

# LISTY Z KRAKOWA.

NAPISAŁ

JÓZEF KREMER.

144596

TOM TRZECI.

DZIEJE ARTYSTYCZNEJ FANTAZJI.

*Cześć druga.*



Nakładem księgarni pod firmą Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

NAUMBURG.  
1869.

T-323962/T.2

G.2

Wojewódzka Biblioteka Publ  
Nr T-480452  
\* LUBLIN \*  
\* M.H. Łopacińskiego \*

111.852:7.01



Дозволено цензурою. С. Петербургъ. 22 Марта 1869го года.

~~Wojewódzka Biblioteka Publ  
323962  
LUBLIN  
M. H. ŁOPACIŃSKIEGO~~

/L.3

18.01:459.94:7.01

# LIST XX.

## Historya Fantazyi u różnych ludów.

(*Ciąg dalszy.*)

### FANTAZYA LUDÓW KLASSYCZNYCH.

#### Grecya.

**Wstęp.** — Stosunek Grecyi do starego Wschodu. — Stanowisko Grecyi w Historji Powszechnej. — Znaczenie fantazyi klassycznej. — Piękność i młodość cechą Grecyi. — Wszystkie warunki sprzyjające estetycznemu rozwojowi Greków. — Jak Grecy pojmują obyczaj. — Idealizują nawet potrzeby cielesne. — Uczucie piękności rozpowszechnione. — Mitologia grecka. — Różność szczepów jest u Greków korzyścią duchową. — Te szczepy jednoczą się językiem, religią i spólnymi igrzyskami. — Harmonia człowieka wewnętrznego i zewnętrznego zradza charakteru niby z jednego odlewu. — Z téj harmonii i historia grecka jest arcydziełem. — Aspazya wyrazem ducha greckiego. — Sokrates. — Czasy greckie i nowożytne. — Grecya umiera na piękność.

**M**oże i ty doznałeś, w latach młodości swojej, owych uczuć pełnych niewymównego szczęścia i uroku, gdy po ciężkiej, długiej niemocy, po przebytej złowrogiej chorobie jakby odrodzony, wczesnym porankiem, pierwszy raz stanąłeś wśród świeżej natury, co równie odrodzona wiosną, równie jak ty tętnęła roskoszą i weselem.

W tych chwilach błogich zapomniałeś wszystkich przemożonych cierpień twojego ciała, uniosły się z duszy wszystkie męki fizyczne, któreś przeboleł; lecz została przecież, jakby na rąbku wspomnień, pamięć smętna owęj duchowęj niemocy, która cię niby zmora gnębiła w czasie choroby twojęj; została pamięć owych krzywd sromotnych wyrządzonych jasnej myśli od demonicznych potęg natury; jeszcze straszą ciemnym zarysem widzia-  
dła ohydne, gorączkową fantazyą wymarzone, co cię trwożyły wśród jasnego dnia, a nawiedzały w nocach długich, jak wieczność; jeszcze jakbyś widział one twarze straszliwe a larwy dziwaczne, które, ciągle przeradzając się w nowe a zawsze w okropniejsze poczwary, unosiły się zawrotnym tanem a szyderyczym chichotem nad łożem boleści twojęj.

Lecz teraz na serce twoje młode tchnęło zaranie świeżego żywota natury i rozbudziło w niem radości weselne, dawno oniemiałe. Odetchnąłeś głęboko, szeroko; owe straszzydła potworne, owe mary uciekły w dal, straciwszy swoją groźną moc, jak ucieka chmura nocnej burzy na ostatni rąbek nieba, gdy ją złoci i barwi promień magiczny młodego dnia.

Ten piękny Boży świat teraz otacza cię do koła, nderza na duszę falą roskoszy, nie zdołasz się pojąć w tém morzu szczęścia! Wszystko w koło gra i śpiewa, cała natura jest muzyką czarowną. Wiosna, dziewica skrzydlata, z wysokości niebios spuściła się na ziemię i przebudziła geniuszki śpiące w pączkach, a geniuszkom ciasno i duszno w pączkach, więc odemknęły sobie liście malowane i siedzą w otwartych wonnych kwiatach, i kołyszają się i śpiewają. I patrzysz w siebie; a wiosna młodego życia przebudziła aniołki nie-

biańskie w piersiach twoich; przebudziły się wiary, nadziei i miłości aniołki; a tym wieczności dzieciom nie ciasno, nie duszno w sercu twojém, i one śpiewają radości i szczęścia pieśni, bo im tak szeroko, domaszno w tém sercu, w którémby się już w tój chwili świat cały pomieścił. Geniuszki kwiatów kołyszą się na wonnych liściach i nucają ziemskie piosenki swoje, a roje pszczołek i robaczeków oskrzydłonych huczając, brzęcząc, wtorują ich śpiewkom i spijają rosę z kwiatów, a nie bronią im też tego geniuszki, bo te robaczki i pszczołki to przecież ich grajki nadworne a skrzypki weselne. Otóż i w szafirach niebiańskich odzywają się chóry skrzydlatych muzykantów, i drzewa i krzewy grają, bo i tam świegotny a lekkomyślny ludek ptasi założył szmaragdowe pałace swoje, więc baja i gada i śpiewa i roznosi plotki miłosne. Świegocą role, łąki i dąbrowy, bo i tam ludno i wesoło. Ale już najpiękniejszy koncert wygrywa światło samo, jakby po klawiszach przebiera po tym pięknym cudnym świecie; tam grzmiają tonem głębokim ciemne boru tajemnice; ówdzie znów dźwięki najwyższej jasności spinają się po szczytach drzew, grodów, wież dalekich, aż nie ulecają na lekkie złociste obłoczki; tu światło drga na dygocących liściach; tam znów, niby echem przeczystém, opływa fioletem eterycznym dalekie góry, i nuci światło, i brzmi we wszystkie barwy i cienie i dźwięki: ztąd w tobie rozwarło się serce tkliwością i stanęło na rozcież otworem. A aniołki w piersiach twoich rozmawiają z tą całą przyrodą uroczą, rozumieją ptasie gadanki, znają mowę brzęczącej pszczołki, słuchają gry światła i cieniów, i same śpiewają tak cudną harmonią, tak wdzięcznie i rzewnie, że też nakoniec

cała ta drużyna weselna natury — grajki i skrzypki, organisty skrzydlate, przodem — wstępuje radośnie do piersi twoich, jakby do weselnie ustrojonego domu. Wtedy w piersiach ludno i ochoczo i skoczno; promień z góry wgląda w te niedawno puste ciemnice duszy, co teraz tak jasne, radośne, pełne wieńców i świeczek. W duszy kołyszą się wonią kwiaty i śpiewają i śmieją się aniołkowie niebiańscy i geniuszki ziemskie, i igrają światła i brzęczą i buczą muzykanty i mlaskoty wesole. \*) Bo w sercu twojem niebo i ziemia obchodzą weselne śluby swoje, geniuszki natury i anioły wieczności wiążą się miłości przymierzem. Ztąd ci się już zdaje, żeś i ty jednym z tych kwiatów, jednym z akordów dźwięcznych, jednym z tych jasnych promieni. I rozplynęła istota twoja w tój naturze i zda ci się, że ty i natura to jedno, że to jeden i ten sam boży raj. Ale czyli to tylko z tą przyrodą, tak cudów pełną, zawarłeś to kochania przymierze? O nie! I ludzie i świat i życie, rzeczywistość całą zamknąłeś w objęciu twojem; jeszcze pełnem życiem żyje w tobie wiara w ludzi, nadzieja przyszłości, i miłość co ogarnia świat. Wszystko co jest, co tylko istnieje, jest ci tak lubem, tak drogim, jakbyś je wynosił w ciepłych piersiach twoich, jakby ci się było zrodziło we własnem sercu twojem. Patrzysz oczyma ducha na zewnątrz siebie, a wszystko co tam widzisz, jest niby zwierciadłem własnój, wewnętrznej twojój treści; rzeczywistość a myśli i uczucie zestrojone, nawzajem sobie wtorując, spływają w jedną harmonią szczęścia pełną. Tu jeszcze nie wdarł się dźwięk fałszywy! Tutaj jeszcze nie cofnąłeś się

(\*) Grajki krakowskie.

w siebie, a serce nie zabolało jeszcze żadną raną! Jeszcze kochasz tę rzeczywistość, i ona cię serdecznie miłuje, niby kochanka swojego. Bo sam jej kochankiem będąc, używasz jej co jeno w tobie najzaczniejszego i stroisz ją i zdobisz własnymi skarbami duszy twojej.

Otóż, takim porankiem błogim, cudnym, taką chwilą młodości i wesela była dla dziejów ludzkich Grecya. Człowiek już przebolał, przebył one czasy jęctwa swojego, gdy oddany na łaskę demonicznym potęgom natury, straszony, gnębiony larwami gorączkowej fantazyi, przebywał długie wieki pod oczynieniem ślepiących mocy materyi. To sponiewieranie jasnej myśli się skończyło. Widma, obrazy potworne indyjskich bogów, dręczące, miotające zagadki egipskie, zeszyły jakby chmura słoty nocnej, z jasnego nieba myśli na ostatni horyzontu rąbek. A człowiek w wiosnie młodości swojej stanął wśród natury, a ta natura nie jest mu więcej panią ciemną, złowrogą, ale kochanką lubą. Chaos zamętny, Uranus i Gea, i wszystkie one pierworodne bogi, co dopiéro były głuchemi potęgami materyi, spadły z tronu wszechrzeczy, i powalone są straszliwe Tytany, sturękie potwory (Hekatoncheiry) i ród ogniowładny Cyklopów. Po nich zasiadł na panowaniu Kronos (Saturn) zwycięzca — Czas, chłonący własne dzieci swoje. Ale Czas, choć sam przez się nie jest więcej materją, jest atoli jeszcze tronem a dnem wszech materyi, a potomstwem jego są wszelkie rzeczy skończone, rodzące się i umierające po sobie. Ztąd siłą ducha świadomego siebie dźwignął się przeciw niemu Jowisz i zatrzęsła się ostania twierdza wrogięj materyi, runęło z kolei szerokowładne

królestwo Saturna, a on sam wtrącony do najgłębszych ciemnie Tartaru — tam żyje na wieki bez czei i sławy. Nie spoczęły atoli jeszcze owe moce ślepej przyrody. Zuchwałe i pełne pychy Tytany podniosły się wojną a buntem na Jowisza. I znów łamały się siły bezrozumne z bogiem-duchem. Słuchaj o tej wojnie starą pieśń, którą zabrzmiała arfa Hezyoda przed trzema tysiącami lat; posłuchaj dźwięku ze szarych świtów ludzkiej historyi, a głosu wieszczka o postaci mglistej, rozwiewnej: „Wzdęła się grzmotnym szaleńcem nieskończoność mórz! Łamie się przepaścią ziemia, jękły wysokich niebios sklepienia; w najgłębszych posadach swoich zadrżały Olimpu szczyty. Zadudniły nawet Tartaru nocne otchłanie i zatrzęsły się od huku łomotnych hałasów i pocisków ciężkich; a wkoło grzmot walki wznosił się wzgórze bijąc o gwiazdzisty strop... Lecz bogi niebios jasnych przemogły. — Tytani, rzućni w piekłów głębie, tam w czarnych bezdeniach, w gardzieli wiekuistych ciemnie, u kończyn świata legli. — Posejdon (Neptun) ścisnął ich wkoło murem i przywalił bramą śpiżową.“

Tak jest! W Grecyi wybawiony świat z pod przewagi ciemnych sił przyrody, co odparte do kończyn wiedzy straciły swą ślepą moc.

W Grecyi pierwszy raz stanął ród ludzki w wieńcu zwyciężkim; tu zabrzmiały wiekuiste tryumfy jego. Ta natura, której dawniej był poniewierką, która go niegdyś dławiała ciężką przemocą, teraz promieni się jego duchem, stała się wyrazem jego chwały i zwiastuną jego treści. Tu, na tej ziemi błogiej Hellady, duch z nieba zrodzon obchodził święto młodości swojej. Ani dawne wschodnie ludy, ani wieki, które były



później zrodzone, nie zaznały już więcej tych ślubów ducha a przyrody, tej harmonii wewnętrznej treści a zewnętrznego świata. Bo i ludzki ród, jak i człowiek pojedynczy, raz tylko jest młodym, raz tylko kwitnie wiosną życia; a ta wiosna młodości jest niepowrotną nigdy.

Jakoż, chciiej baczyć, owe pradziadowe rody Azyi i Egiptu, choć się migocą tak różną między sobą barwą, mają wszystkie to sobie wspólnego, iż natura zmysłowa, górując nad duchem człowieka, trzyma go na uwięzi swojej; pierwiastek niebiański u nich gore przyémiony ziemskim wyziewem. Religia, społeczność, fantazyja, myśli i uczucia ich ulegają przemocy materji, a dzieje tych ludów są jedynie szamotaniem się, sileniem instynktowém, by się wydobyć z pod brzemia przewagi natury. Tu jest wprawdzie jedność ducha i materji, wewnętrznego a zewnętrznego świata; ale ta jedność jest raczej pomieszaniem dwóch pierwiastków, jest to jedność rodząca się z panowania natury nad myślą człowieka, ale nie z harmonii swobodzjej tych dwóch światów.

Po skonaniu Grecyi odwrótny dramat występuje na widownią historyi. Wtedy duch wzrasta w olbrzyma, bo uznał siebie; góruje nad materją i nad magią jej zjawisk; on później nawet odepchnie od siebie naturę, jako wroga, nie uzna bynajmniej rzeczywistości, która go wkoło otacza; ona go więcej nie zadowolni, będzie obcą dla niego. Duch i przyroda, wewnętrzne światy a zewnętrzne jęką dyzharmonią, struny duszy się pozrywają, a dzieje rodu ludzkiego gorąco zapragną ukojenia boleści i ziemskiej tęsknoty.

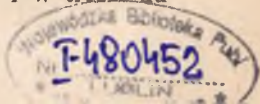
Otóż w samym środku tych dwóch ogromnych epok

dziejowych staje szczęśliwa, uroków pełna Hellada. Jak tutaj duch człowieka nie podlega już naturze, tak też jęj nie przerósł jeszcze; on jęj nie odepchnął od siebie, stawając z nią na stopie równości, łączy się z nią harmonią. To miłośne przymierze nie jest już bynajmniej oném pomieszaniem zamętném dwóch światów; bo duch ludzki w tych ślubach swoich z naturą wie że on jest czemś inném, czemś różnym od niej. Przecież zważ: mimo tego, że lud grecki umiał już odzielić istotę duchową od przyrody, przecież nie zdolen był jeszcze sobie wyobrazić ducha samego przez się, lecz, wzywając na pomoc fantazyą, odziewał go niby szatą ciałem materyalném. I nawzajem, Grek nie zdoła zrozumieć, iż naturą, temi zjawiskami fizycznymi, rządzą pewne abstrakcyjne ustawy, prawa odwieczne; ale uważa jakoby jestestwa duchowe były władcami tych zjawisk, jakoby się w nich pojawiały. Tak w Helladzie nie ma materyi bez ducha, nie ma ducha bez materyi. Treścią jest duch, a natura, materya — formą; nie ma treści bez formy, nie ma myśli bez ciała; Grek myśląc obrazuje, a obrazowanie jest myśleniem jego. Tu przeto nieskończoność istoty duchowej odziewa się w postaci widome z natury wzięte; a toć właśnie jest stanowisko piękności (List XI i XII) i to właśnie jest powodem że Hellenowie są ludem wskroś artystycznym. Gdy tutaj duch, treść z jednej strony, a natura, forma z drugiej są sobie odpowiednie co do potęgi, gdy się równoważą, zatém wszystko, co jest w treści, wyrazi się w formie, i nawzajem wszystko, co jest w formie, w wyrażeniu zewnętrzném, znajdzie się w treści; aleć to właśnie, jak wiesz, jest stano-

wisko ideału; ztąd Grecya jest mistrzem nad mistrzami.  
(Tamże.)

Te kilka słów rozświecają nam serce tego wielkiego, choć tak nielicznego ludu; możemy go tedy już przejrzyć wskrós. Co tylko jeszcze o Grekach powiemy, będzie tylko dalszym rozwojem tych pierwszych lekkich naszych zarysów. Chciój atoli pamiętać, że jakim trybem zachowuje się duch Hellady do natury, do materyi, takim też trybem staje do całego zewnętrznego świata, do całej rzeczywistości, do całego rzeczywistego otoczenia swojego i w niém się przeziara, jakby w miłości swojej. Ztąd też ta Grecya tak szczęśliwa! jęj tak lekko, tak błogo na sercu; ona nie zna, co rozdwojenie wewnętrznego człowieka a zewnętrznego świata; u nięj co jest w duszy to znajdziesz i w rzeczywistości. Grecya więc w dziejach swojego ludu, w mitach religijnych, w posągach swoich bogów, w pieśniach, w prawie, w obyczaju swoim, we filozofii wypowiedziała całą treść wewnętrzną duszy swojej, nie już w tajnych piersi przybytkach nie zostawując: człowiek tutaj żyje z tym światem jakby ze sobą samym, jakby z kochanką, która rozumie najcichsze głosy ducha jego. Dla tego też Grecya w każdym kierunku cielesnego i umysłowego życia jest mistrzem, bo każdy, choćby najskrytszy, pierwiastek ducha jęj znajduje wyrażenie swoje zewnętrzne, a tak isticie zamienia się na piękności dzieło.

Uważ, powiedzieliśmy dopiero, że w Helladzie właśnie każda treść duchowa znajduje swoje wyrażenie i zewnętrzną formę swoją, a formę zupełnie wyczerpującą, tak dalece, że co jest w treści, to i w formie, a co w formie, znajduje się oraz i w treści du-



chowój; otóż ta zupełna równowaga, to zupełne odpowiadanie sobie tych obu stron, ta doskonała ich harmonia stanowi właśnie istotę fantazyi *klassycznej*.

Wnet obaczymy, że ta wdzięczna harmonia raz tylko pojawiła się w ludzkich dziejach! do tej harmonii tęskniły późniejsze ludy, dorabiały się jej ciężkim trudem a pasowaniem się z sobą, nie widząc atoli nigdy końca swojej pracy a krwawego znoju. Wszelako Grecya miała ją darem, bo jako skutek prosty swojego stanowiska w dziejach ludzkich; ona z nią przyszła na świat, ta harmonia była jej naturą, ona nawet nie przeczuwała dźwięków fałszywych; jej usposobienie duchowe, uczucia jej i świat cały wkoło są usposobieniem, uczuciem, światem młodzieńczym; boć wiesz, że i na wiosnę żywota, duch i rzeczywistość, zaślubione wzajemnem kochaniem, śpiewają razem radości himny. Hellada przez życie całe była młodą, ztąd też tak trafnie powiedziano, że dwóch młodzieńców mogiły wznoszą się na dwóch kończynach dziejów Grecyi: na jednej stanęła Achillesa postać, jakby gwiazda poranna, przyświecająca zrodzeniom dziejów greckich, a na mogile drugiej, jakby łuna zachodu, promieni się nad skonem Hellady młoda postać Macedońskiego Alexandra. Bo gdy inny duch miał nastać w świecie, gdy człowiek miał cofnąć się w siebie, wtedy Grecya umarła, a umarła za młodu. Ztąd też lud ten w pełnem uczuciu szczęścia swojego widzi świat tak błogim, uroczym, a życie tak pięknem; ztąd zadrgał w sobie niewymówną rozkoszą i wienczy się w kwiaty i rodzi z siebie ideały cudne, a te ideały, niby orlęta młode, wzbijają się na jasne niebios wysokości, kędy zasiadło wesółych bogów grono; bo co w sercu ludzkim zaczę-

piękne, wdzięczne, — tutaj — staje się bóstwem. Ja-  
 koż widzisz, zjawiska natury, jej potęgi, uderzające  
 myśl człowieka podziwem, były tylko lekkim zewnę-  
 trznem potrąceniem fantazyi, która też owe potęgi, owe  
 zjawiska odziała w postaci cudne, uosobiła w niebiany  
 uroczce. Tak tedy całe grono olimpijskich Bogów wy-  
 wodzi z własnej duszy człowieka rody swoje. — Olimp  
 niebiański wprzód tu zamieszkał w piersiach człowieka,  
 zanim zasiadł na tronie świata. Na ziemi niema  
 krwawego trudu, nie straszą więcęj potworne Indyów  
 potęgi, ustały walki z nieużytym granitem, zamknęły  
 się ciemne katakomby Egiptu, owo głuche państwo  
 umarłych; a natomiast brzmią zewsząd pieśni wesela  
 i radości; życie uśmiecha się wieczną wiosną, strzela  
 pączkiem wonnym, nigdy niezwiędłym kwiatem; a to  
 życie hoże, świeże, przepływa bezkłopotnym tanem  
 wśród dźwięku i kochania. Wszak tutaj wszystko jest  
 piękności ideałem, „śmierć nawet nie jest straszidłem  
 „ohydne, to geniusz, pełen wdzięków, z wieńcem  
 kwiatów na bladym czole, co wywraca żywota pocho-  
 dnią“ (Schiller) a zanim wprowadzi w elizejskie ogrody,  
 zanim zcałuje z ust bladych boleści skonania, przyś-  
 iewuje duszy umierającego starą pieśń pociechy —  
 pieśń Homerową: „Ciebie poprowadzą sami bogowie  
 „na ziemi kończyńy, poprowadzą do cichego szczęścia  
 „elizejskich pól, kędy mieszka Radamant błogi. Tam  
 „bez trudu, w pogodnym, nigdy niezamąconym pokoju  
 „żyją śmiertelni! Tam nie ma śniegów, ani zimowej  
 „zawiei, ani gromów, ani deszczów. Tam wiecznie  
 „szepce tchem lubym zarania powiew zachodu, a po-  
 „syła go Oceanos łaskawy, by ochłodził rozpalone  
 „trudem śmiertelnych czoła.“

I na Olimpu jasnej wysokości płynie bogom bezkłopotne, wiecznie młode życie; na czole ich wiecznie rozlany pokój i wesele; więc zehodzą na ziemię i wplatają się do spraw ludzkich, bo i na ziemi tak pięknie, tak wesoło a miło, i córy ludzkie tak urocze a wdzięku pełne i tęskne kochania! A wszędzie obecną i wśród bogów i ludzi jest Venus Aphrodite, owa przeważna pani, a wszędzie broi jej synek, owo skrzydlate, swawolne pacholę. Choć się przeto z sobą niekiedy i pokwaszą i powasnią urocze mieszkańce niebios, one znów się godzą w Olimpie, gdy zakipi czara ambrozyi i nektaru; przy puharze wraca im się pamięć nieśmiertelności, wraca przyjaźń i jedność, wesele i żarty; a radośnym, serdecznym śmiechem bogów brzmią niebiańskie pałace.

Co w sercu ludzkim radości, smutku, rozkoszy, tęsknoty, toć żyje całą pełnią i w bogach nieśmiertelnych, choć uzacnionych fantazyą i wzniesionych do ideału; bogowie Grecyi, to Grecyi arcydzieła! Człowiek ideałami swojemi zaludnił Olimp. Widzisz tedy, jak tu człowiek wstęgą uroczą fantazyi połączył się z bogami a spokrewnił się z całym gronem mieszkańców niebios. Więc też syn Hellady proroczem, choć bardzo ciemnym jeszcze, przeczuciem odgadł pierwiastek niebiański, tlejący we własnych piersiach jego. Dla tego uważał tę swoją postać cielesną za dzieło piękności, bo te formy cielesne, również jak dzieła sztuki, są zmysłowym objawem nieskończonej istoty ducha. Zrozumiesz przeto, że Grek uzacniał nawet to ciało swoje, uszlachetniał je by z niego uczynić posąg żywy, bogom podobny. O tém wszystkiem atoli obszerniej jeszcze pomówimy; te dotychczas rzucone słówka niechaj ci

będą przegrywką wstępną do przyszłej rozprawy naszej o tym ludzie, nad którego nie było wyższego w sztuce, o tym ludzie tak ukochanym od natury i od Bogów swoich!

Uwierzysz mi też przyjacielu mój, żem z całego serca rad, że przecież razem już z tobą stanąłem na tej błogiej ziemi Hellady, w tej ojczyźnie piękności, przebywszy wędrówką one wszystkie dawne zapadłe stolecia i zamroczone ludy. Niechaj nas przeto tutaj witają słowa Sofoklesa, nad którego świat zaiste nie zaznał wyższego wieszca; posłuchaj pieśni, którą niegdyś ateński jego chór uczył Edypa króla-wygnańca, przyjmując starca znękanego na attyckiej ziemi: „Tu „z gajów zamroczonych liści splotem, z pod sklepu „powojów ciemnych, dzwoni tłumnych słowików pieśń!  
 „a pieśń się żali rzewną miłości tęsknotą. W tych „gajach nietkniętych stopą śmiałą, w tych gajach świę- „tych cieniów, złocistych owoców, nie ma wichrów, „nie ma burzy. W tych gajach sam jedynie weseli „się radości bóg, co wodzi za sobą ochotne drużyny i „orszaki nimf cudnych uroków. Tu pod niebios wonną „rosą, pod zwojem nocnym jagod winnych, wiecznie „rośnie, wiecznie kwitnie narcyz bujny; a szafrany „świecą złotem, a nie zasną nigdy strumieni szeptu, co „się toczą od Kefizu wód, pojone kryształową nieba „strugą, a szerzą się tu wkoło miękkie pagórza, kędy „płasają nieśmiertelnie muzy; tych pagórów nie omija „nigdy miłości bogini.“

Gdy się przypatrzysz tej krainie, która się zwała dawniej Grecyą, wyznasz że ona w porównaniu z ogromem dzisiejszych państw jest niby żarcikiem ducha historii, a przecież ta krainka zaważyła tysiącami lat

w cywilizacji ludzkiej; my żyjemy ciągle i żyć zawsze będziemy puścizną jej. Gdyby tej Europie starszej przyszło oddać to wszystko, co albo wprost wzięła spadkiem po Grecyi, albo czego się dorobiła za potrąceniem ducha Hellady, zaprawdę pod wielu względami powtórzyłaby się bajeczka o onej kawce, ustrojonej w obce piórka. Wierzaj, gdyby kiedyś utonęło w nocy grubej barbarzyństwa co tylko zacnego i pięknego na świecie, gdyby człowiek miał kiedy zapomnieć o wiekuistym pochodzeniu swoim i zapaść się w otchłani nieuctwa i zmysłowości; mógłby jeszcze z głębi swojego poniżenia, z pośród sromoty swojego upadku podnieść się i urość samem wspomnieniem starszej Hellady; sama pamięć, że duch Grecyi był przecież także duchem ludzkim, byłaby ratownym talizmanem wracającym mu uczucie własnej godności jego; ten duch napoiłby ufnością i wydzwignąłby z rozpacz i pogardy siebie. Dziś z tych gruzów Ateńskich, z tych kilku ułamków starych kolumn, z tych kilku ksiąg, z tych posągów marmurowych, wieje na świat dech ożywecy, co ratuje późne pokolenia od zgnilizny a dżumy duchowej.

Powiedziałem wyżej, że stanowisko Greków w dziejach ludzkich zrodziło właśnie ową równowagę, harmonią między duchem człowieka a naturą, między myśleniem a rzeczywistością, między całą treścią wewnętrzną a zewnętrznym światem; zgodzisz się zaiste ze mną, iż to stanowisko jest tak jedyne w świecie, tak oryginalne, tak wyjątkowe, iż warto, byśmy choć lekkim przelotem przejrżeli wszystkie objawy greckiego żywota, a wtedy cecha fantazyi tego ludu wypłynie nam już sama przez się.

Spójrzyj na samo ukształtowanie geograficzne ziemi



Hellenów, czyliż ona sama nie jest już jakoby sztuki dziełem? Zaprawdę tutaj natura sama stała się artystką. Ta kraina grecka, to kamea kosztowna; widzisz jakby misternym dłótkiem, czy pilnikiem powycinane pobraża morskie i zatoki, kształtne góry, doliny, przylądki; cała rzeźba wyrobiona niby wedle rysunku genialnego mistrza. I znów obacz, jak te formy lądów dziwnym splotem wiążą się z żywiołem wodnym. Tak przeto już w tej twardej i głuchej naturze masz wypisane hieroglifem stworzenia losy Grecyi; te jej rzeźby geograficzne — toć nieme nuty do przyszłej pieśni czarującej. W budowie azyatyckich lądów, jakby w grubiej kamieniarskiej robocie, uderza cię potęga tak olbrzymich rozmiarów, iż wyraźnie widzisz, że człowiek, uchwycony ich mocą, staje się jencem natury własnego kraju swojego, że tutaj lud od ludu odcięty to przegrodą nieprzemogoną górskiego pasma, to piaszczystym grobem umarłej pustyni, to stepem tęsknym, nieskończonym. W Helladzie, przeciwnie, rzeźba i cała natura kraju jest dość silną, aby wpłynęła na usposobienie różnych szczepów i wplotła się w ich historią i kulturę, jednakże, z drugiej strony, ta przyroda nie jest znowu tak przeważną, by zdołała ujarzmić niewolą mieszkańców i wziąć ich pod wyłączne panowanie swoje. A klimat! Tu nie ma ostrości złowrogich, tu nie ma śnieżnych zamieci, nie ma mrozów ścinających życie ciepłe, ani spieki pustyni arabskiej. Tu żywioły splotły się wdzięczną harmonią, żaden ich przemagający ton nie głuszy tej czarodziejskiej muzyki natury; a lądy i morza, góry, skały i rzeki, niebo, światła i barwy, niby służebnice

tęj błogiej krainy ubrały ją na świątnicę piękności, na ojczyznę tego co zacne i wielkie na świecie.

Takowe jest pierwsze zestrojenie ducha a materji, człowieka wewnętrznego a zewnętrznego świata, czyli tej geograficznej przyrody jego ojczystej ziemi; tu spotykamy tedy pierwsze akordy onęj harmonii, będącej tonem żywotnym Grecyi i czyniącej tę geograficzną naturę kraju ziemią klassyczną. Dla tego też w Grecyi zapukało serce pierwszy raz gorącą miłością dla ojczystych drogich stron; tém ciepłem duszy swojej Grek uduchowcił i ziemie swoje i pobrzeża i góry i doliny swoje. Tej miłości nie ma na Wschodzie, bo tam natura jest dla człowieka hardo-władną panią; tej miłości nie znajdziesz w krajach przecywilizowanych, kędy człowiek, skurczony na sercu, wybuja jałowym rozsądkiem; wtedy strony ojczyste i ich głosy ogłuchną, oniemieją dla niego; on tę naturę czyni swoją sługą a wyrobnicą. Natura Hellady nie jest dla Greka ani panią ani sługą; on jej sercem zaślubiony, on ją kocha jako przyjaciela, małżonkę lub oblubienicę swoją. Ulisses wśród roskoszy, którą go czaruje Kalipso, tęskni do Penelopy, życia swojego połowicy drogiej, on tęskni do wyspy rodzinnej, a serce mu zadrgało dreszczem radości na wspomnienie dymu z chatek ojczystych.

Drugim pierwiastkiem przyrody jest pochodzenie szczepowe. Zaiste te różne greckie szczepy nigdy nie stały z siebie piętna właściwego, które każdemu z nich było przyrodzone a które tak silnie odróżniało je między sobą; lecz z drugiej strony te szczepy wszystkie połączyły się razem w jeden wieniec cudny, bo te różnice od natury pochodzące ugłaskał, ułago-

dził ogólny duch Grecyi, uduchownił je i nastroił do siebie jako do spólnego kontrapunktu. Tak ów mężki, butny, hardy, pełen grozy a powagi charakter dorycki stanął obok pełnego wdzięku a słodczy miękkiej jońskiego szczepu; tak wszystkie różnice przyrodzone, nie tracąc siebie, pogodziły się w związku a sojuszu ogólnym. Widzisz tedy jako ten ród szczęśliwy Hellenów umiał nawet te różności swoje, z natury pochodzące, obrócić na zdrowie a korzyść dla siebie, bo i tu zespolił ducha ogólnego harmonią z potęgami rodowemi.

A uczucia serca, a skłonności jego i tęsknoty? Wszak i one, rzekniesz, są tą potęgą od natury człowiekowi wrodzoną, — jakże się do nich zachowuje Hellada?

Widziałeś jak tam w głębi Azji, w Indyach zapadłych, albo katusze zadawane ciału i serca uczuciom, albo utopienie duszy w rozpuszcie bezdennej, zapomnienie zawrótne siebie w chwili, oddanie się na pastwę rozhukanym zmysłom jest sprawą zasługi, idącą na chwałę bóstwu Sziwy.

W nowożytnej Europie, przeciwnie, wznosi się głos potężny, głos mędrca sławnego w poprzek świata, (Kant) co na cię woła: „Wyplew, jako chwast wymietny, co jeno mile a drogie sereu, ogłuchnij w duszy choć zapłoną uczucia boleścią; niechaj istota twoja będzie wolną pustą świątnicą filozofii, kędy jeden tylko wznosi się ołtarz, na nim samotny rozumowej powinności majestat. Przed tym ołtarzem zabij na ofiarę wszystkie skłonności serca, wszystkie uczucia twoje, bo tu jedynie czyn pójdzie ci w zasługę którego dokonasz wbrew serca dążnościom z czystej czei

„rozumowej dla ustawy moralnej, wskazującej ci postępowanie twoje.“

Słuchaj co radzą mędracy Greccy: „Zajrzyj w siebie, we własne piersi twoje, spytaj się popędów, uczuć, pragnień twoich, one ci same wskażą jak sobie postępować masz; lecz nie oddawaj się równie, naosłep tym wrodzonym ci potęgom, bobyś spadł po niżej siebie, i ugrzązł w zwierzęcości twojej natury: — uduchownij żądze i popędy twoje, by były godne istoty ludzkiej. Dosięgniesz zaś harmonii między tą naturą twoją a duchem, jeżeli same wszystkie te popędy, ochoty, pragnienia, skłonności razem ze stroisz także harmonią; boć one są wielce między sobą różne a nawet sobie przeciwne, więc żadnemu nie pozwalaj zbyt mocno wybujać, by nie przytłumił sobą innych, niechaj wszystkie się nawzajem miarkują i wazą, bo miara jest doskonałością wszech rzeczy. To miarkowanie i zestrojenie wszystkich dźwięków twojej istoty wykonane być może jedynie pod sterem ducha twojego, — duch, wiążąc je, spólną harmonią, sam się harmonijnie z nimi wiąże.“  
(Arystoteles.)

Tak tedy tu obyczaj poważny zestroił ducha i naturę, sprzymierzył rozum ze sercem; tak też ta zgoda i jedność dwóch światów przejęła sobą nawet zwyczaj powszednie, bo ona doleciała dźwiękiem do spraw codziennych człowieka i uszlachetniła nawet fizyczne potrzeby jego. Powiedz, czyli może już być niższa proza jak potrzeba pokarmu i napoju? — otóż i tu Grek jest artystą, on zidealizował, upoetyzował tę prozę i pozłocił urokiem fantazyi. Ucztę, choćby najwykwintniejszym wymysłem przyprawioną, zwał bie-

siadłą beocką, jeżeli w niej brakło soli attyckiej, niby dowcipu attyckiego. A wiesz, że Beocya, to szary ką Grecyi; mieszkańcy jęj poszli na języki, na drwinki a przycinki, boć nie grzeszyli podobno zbytnią bystrością, ale za to nikt im nie wyrównał przy uczcie bogato zastawionęj. Wstyd nas, gdy czytamy te biesiady greckie, to zaiste poemacik mały — więc wieńce na głowach i kwiaty, i strojno w sali i strojno w duszy; więc żarty, wiersze, pieśni, tańce i muzyka, zagadki, igraszki dowcipu i śmieszki, — a to wszystko tak grzechne, tak uprzejme, lekkie i gładkie, iżby nam się już trudno było na coś podobnego zdobyć, nam, cośmy tak już wyschli powagą, czyli raczej zgburowacielei na duszy. O tych biesiadach, co to iście klassyczne, raz jeszcze mówić będziemy.

A przypatrzno się, teraz tym ich łożom, stolikom, lampom, dzbanom, słowem, wszystkim sprzętom i narzędziom codziennego życia, co je wykopano w zapadłych onych miastach starych, — a zdziwisz się, ile tu smaku i poezyi, ile artystycznęj elegancyi! A wiesz dla czego? Oto te sprzęty wszystkie, że służą potrzebom fizycznym, tę fizyczność trzeba było zakryć, zidealizować, trzeba ją było owionąć tehem ducha, co jest swobodny i wolny, trzeba było i w tych drobiazgach okazać idealność istoty ludzkiej, co, choć do materyi przykuta, kładzie przecież na nięj piętno duchowęj swobody. Pomyśl coby Grecya uczyniła z lokomotywy naszęj, gdyby ją zaznała, jakaby fantazyą ją przybrała!

Słowem, czego się ta Grecya dotknęła, wnet jakby czarem przybierało formy urocze, wdzięczne, boć ona była co się zowie ludem-artystą. Miło też było przed

takim ludem popisywać się malarstwem, rzeźbą i nie żał było czytać mu choćby najgłębsze poezye, bo miał instynkt artystyczny w oku, w sercu, w słuchu! Ztąd też zdarzały się u niego rzeczy, które nam dziś ani przez myśl nie przejdą: naprzykład razu jednego Sofokles, młody poeta tragiczny, będący dopiero na dorobku swojej sławy, zerwał się, by o prym pojsć z Eschylem, okrytym już dawno wieńcem jasnej chwały. Zbierają się do teatru niezliczone tłumy widzów; — po odegraniu obu tragedyi pytanie, która lepsza? — Wrzawa, spór zacięty, zagrzewają się serca i głowy, namiętności kipią; na szczęście, wśród tój burzy wchodzi do teatru wódz naczelny Cymon, — on wraca z tryumfem z wyprawy perskiój, za nim dziesięciu generałów, towarzyszy jego zwycięstw: więc laury na skroniach, więc wkoło okrzyki radości, więc ciżbą tłoczą się tłumy z uwielbieniem w sercu, w oku, na ustach. Szczęśliwi jak bogi Olimpu, wojownicy wchodzi do teatru; w tój chwili lud okrzykuje wodza i generałów sędziami tragedyi. Nieprawdaż że to dziwnie! coś podobnego nie tak łatwo by się dziś stać mogło, — Sofokles odniósł pierwszeństwo. Zważ, później, po kilku latach, ten sam Sofokles, za napisanie swojej tragedyi *Antygona*, został wraz z Peryklesem obrany naczelnym wodzem! toć podobno jeszcze dziwniej! to podobno trudniej jeszcze dziś by się zdarzyć mogło! Lubo Perykles po skończonej wyprawie orzekł o poecie: „nie ma co mówić, żołnierz dzielny, „ale wódz nie osobliwy!“ Posłuchaj jeszcze, ten sam Sofokles, ot tak sobie poeta, był nawet i w starości troszka hulaką, więc na wesołych kompanijkach hojnie szafował majątkiem. Syn jego Jophon zażądał

od sądu kuratora majątku, twierdząc, że ojeu dla późnego wieku zabrakło już rozgarnienia. Wesoły tragiczny pozwany staje przed sądem, ale, zamiast obrony, trzyma w ręku świeżo napisanego *Edypa w Kolonie*, przeczytał, i pyta — cóż się wam zdaje, mamże rozgarnienie? — Sędziowie odpowiedzieli grzmiącym twierdzeniem, a Jophon sprawę przegrał.

Jednak czas wielki na nas byśmy nawrócili do rzeczy! Widziałeś jak Hellada umie łączyć w harmonią ducha i materią, jak tedy po mistrzowsku uduchowia świat fizyczny — naturę. Przecież właśnie z tej dążności zradza się ich wielobożeństwo. Bo gdy oni nie pojmowali istoty ducha samój w sobie, ale w postaci zmysłowej, ztąd też ich idea bóstwa rozpromieniła się, rozszczepiła się na mnóstwo jestestw duchowo-zmysłowych; bo co zmysłowe jest zarazem jednostkowym, bo aby wiedzieć o Bogu jedynym trzeba pojąć istotę ducha jako czystą i wolną od materii. Te bogi ich, z jednej strony, są własną treścią człowieka uosobioną, a tak stają się pogodzeniem wewnętrznego człowieka a formy zewnętrznej, lecz z drugiej strony też bogi są potęgami, siłami natury, którym tu człowiek fantazją nadaje znaczenie duchowe, użyczając im postaci ludzkiej, czyniąc je osobami. Te bogi tedy są zarazem i treścią ludzkiego ducha (jego uczuciem, skłonnością i t. d. i t. d.) : mocą fizyczną, naturą, (np. znaczą powietrze, ogień, urodzaj i t. d.) one tedy łączą w sobie dwojakie znaczenie; a to właśnie dla tego, że Grek sam z istoty swojej jest zespoleniem ducha i natury. Ta dwojakość istoty bogów okazuje się właśnie w tém, że widzimy w nich ducho-

wość odzianą ciałem. Ale to właśnie jeszcze obszer-  
niej wyłożymy.

Tak niebios wysokości, obłoczne pałace, knieje  
ciemne, tajemnicze, i góry i strumienie, i morskie  
zuchwałę przestrzenie, kwiaty, wichry zaludnia fan-  
tazyja grecka bogami i drobniejszą ich czeladką. Cała  
natura pełna duchów wcielonych, wszystko wkoło od-  
dycha, czuje, raduje się, smuci, tęskni i weseli niby  
człowiek. Cała głębia piersi ludzkich i wszystko, co  
w nich żyje, jest wyczerpanem w tych bogach, przy-  
biera ich kształty pełne poezyi; boć w tych posta-  
ciach ich jest nieskończoność, co świeci nieprzymro-  
czonym nigdy piękności promieniem, i dla tego wła-  
śnie one są najwyższem fantazyi dziełem. Bogowie  
Hellenów są duchami, ale obleczeni w ciało ze ser-  
cem ludzkim; tak one przeto są harmonią ducha i  
przyrody, i dla tego znów właśnie człowiek sam sie-  
bie w nich przegląda.

Tutaj nie spotkasz widoku pełnego ohydy a po-  
niżenia, owych głów zwierzęcych na ciele ludzkim,  
owych potworów spaczonych, straszliwych. Te formy  
skręcone i zwierzęce kształty straciły tu na znaczeniu,  
one poszły jakoby na gawieź dworską i służą u  
głównych bogów, przebrawszy się w satyry, syreny,  
trytony, nereidy, dryady, harpie; a co więcej, ta cała  
niższa przyroda niekiedy jest tylko prostem godłem  
panów Olimpu np. paw' Junony, gołąbki bogini miło-  
ści, orzeł Jowiszowy. Nakoniec uważmy że ta przy-  
roda zwierzęca przypomina się lekkim odgłosem w sa-  
mej postaci głównych bogów: pan Nieba potrząsa  
włosy niby lew grzywą, z czoła u Posejdona spły-  
wają kędziory, jako fale morskie burzą kołysane,



Apollo wiatronogi, śmigły, lekki jakby jeleni skoczny. A lubo te bogi wszystkie są wprawdzie wyobraźnikami potęg natury, nad którymi oni czuwają, niby baczne ich opiekuny, jednakże ta strona przyrodzona ułatwia się i znika obok znaczenia duchowego bogów. Rzekliśmy dopiero, iż każdy z tych niebian greckich wyraża głównie jeszcze jakąś treść żyjącą w sercu człowieka; nie rozumiemy atoli, że te bogi są jedynie jałowym symbolem, czczą allegoryą, abstrakcją tej lub owej serca ohoty lub zdolności umysłowej. Owszem każdy z nich ma swoją historią a żywot pełny wdzięku i uroku: fantazyja tak bogata a lekkomyślna Hellady przypięła każdemu z nich jakieś powiastki genialne, a czasem nawet jakieś swawolne, awanturnicze kome-raże i plotki. W tych jednak mitach i plotkach najczęściej żyje myśl głęboka a znaczenie wzniosłej mądrości, odzianej w cały urok nadziemskiej poezji. Te mity rosły jakby kwiaty polne, bezświadome siebie; nikt ich nie siał, nikt nie sadił, one się same rozwinęły po różnych greckich ziemiach, jako dech i uczucie serdeczne różnych szczepów. Później dopiero uszczknione, zwite w jeden wieniec, złożone zostały na ołtarzu boga, do którego się odnosiły, stanowiąc całość dziejów jego. (\*)

Chcielibyśmy baczyć: z postaci bogów spadły niedostatki i wszelka nieudolność ziemskiej natury; ta postać, wolna od krzywd materialnego świata, króluje na wysokościach w młodości wiekuistej a w nieśmiertelnym wdzięku; a przecież — przecież każdy z tych bogów

(\*) Ob. Vischera Estetykę o fantazyji różnych ludów, od §. 434.

odziany jest postacią indywidualności pełną, nadającą mu charakter osobny, właściwy, odróżniający go od innych niebiańskich mieszkańców. Z drugiej atoli strony, choć w tém wielobożeństwie, tak w sobie rozdzieloném, znajdziesz najwyższą rozmaitość indywidualną, choć w niém rozstrzelona jest, jakby różnobarwnym promieniem, całość treści duchowej człowieka i jedność bożej idei, toć znowu wszystkie te promienie, te różne bogi zlewają się w całość swobodną. Jakoż przewodniczy im wszystkim Olimpu Pan, ów niebo-władny Zews; on jest ich wspólném ogniskiem i głową; jednak rządy jego nie są panowaniem ciężkiem, on niby pierwszy między równymi, więc zwykle to złagodzi, to pogodzi; tu pogłaska, tu poswata, czasem się zmarszczy i przywołuje do porządku; słowem, jak może radzi sobie z témi niebianami swojemi. Lecz krom tej powagi Jowiszowej, jest jeszcze inne połączenie tych bogów, jest to ono głuche bezdenne fatum, owo przeznaczenie, będące niby ciemnym tłem, na którym rysują się żywe, ciepłe postaci bogów i ludzi; ale to fatum grozi i straszy ludzi, grozi i straszy bogów nieśmiertelnych. Fatum samo jedno nie jest osobą, nie ma postaci, nie ma ciała; jest to głucha abstrakcja, moc przepaścista, bezdenna, nieznaną, i dla tego tak okropna; jest to jako bezkształtna moc natury, a przecież rozumna, a przecież sprawiedliwa! Śmiałym powiedzieć, że to fatum, co siłą nieznaną zawieszony jest nad światem, na którego wspomnienie przejęte są zgrozą i lękiem bogi wszystkie i sam nawet gromowładca Zews, — że to fatum, które wedle starych a niezłomnych wyroków stracić ma wesóły Olimp z wysokiej świata stolicy, jest z jednej strony jeszcze

lekkim zidealizowaniem, odgłosem cichym indyjskiego Bramy, a z drugiej strony jest ciemnym przecuciem o innym Bogu — o Bogu, przed którym kiedyś zastąpią z podnoża Olimpijskie bóstwa i, opuszczając świątynie religijne, schronią się do artystycznych piękności przybytku.

Uważaj następnie, że te niebiany łączą się jeszcze z sobą innym trybem, bo ogniwami natury; wszak one, jak wiesz, nie zaparły się bynajmniej ziemskich serdeczności, więc ich wiąże urok wzajemnego pokrewieństwa i rodzinnych ogniów: ci dwoje, to brat i siostra; a tamta dama, toć znów córką onego boga; a owa pani, co tak harda i gniewna zasiadła obok Jowisza, co tak się sępi, a duma a myśli, to jego małżonka zazdrośna; zapewne doleciała ją jakaś świeża plotka o małżonku niewiernym; może pan Olimpu, jakto on lubi, incognito spuścił się na padoły ziemskie a przebrawszy się za jakiego tam łabędzia, czy za obłok lub wołu zwykle figle płatał. Znasz kopciem zaczernionego Wulkana; inne bogi nie rade się z nim parać, gdyż on „reprezentuje“ jeszcze jedną z potęg przyrodzonych, bo ogień, a oni przecież duchy z duchów, więc on nie równy im z pochodzenia a rodu. Wszyscy pamiętają, jak go niegdyś nawet wyrzucono z Olimpu na ziemię, z czego też okulał. Teraz „intruza“ już jako tako „tolerują“, a co więcej jeszcze, najszeptniejszemu z bogów najcudniejsza z niebianek, Wenus, oddała rączkę swoją — oczywisty „mezalians!“ Ale cóż począć, kiedy tę biedaczkę tak już ogadali, że już dla samej „reputacji“ swojej zdecydowała się pójść za kulawego kowala. I dobrze obojgu z tem, boć niechaj sobie gadają co chcą, on tam nie dba na przy-

einki, plotki, dowcipki i komeraże. Zresztą, inni nie lepsi; nie jeden z nich ma pokrewnego w jakimś śmiertelniku ziemskim, więc gdy temu dokuczy jeden z olimpijskich mieszkańców, on u drugiego znajdzie protekę i dobrodzieja, co jakoś tę sprawę jego nadrobi i sprostuje.

Widzisz tedy, iż te bogi Hellenów, choć każdy z nich samodzielnego osobnego piętna, pod każdym względem wiążą się jednak w całość, a pod ich panowaniem nie najgorzej jeszcze wiodą się rządy świata.

Jakie rządy na Niebie, takie i na Ziemi. Tutaj jeden duch, jeden ród Grecyi rozstrzelił się niby na różnobarwne promienie, na różne państewka, co choć drobne miniaturki polityczne, a przecież każde z nich miało pretensyjki do własnego piętna, i, nawzajem, lubo każde gospodarzyło po swojemu u siebie, a przecież znów wszystkie wiedziały się być jedną całością. Spólny język, wspólne bogi, wspólne pochodzenie i spólny sąd, rozstrzygający spory między niemi, wiązały te ludki i ziemie różne w jedną całość; a przypominały ciągle tę ich jedność owe uroczystości zacnych zabaw a igrzysk, co, jako święta religijne a polityczne, od czasu do czasu pukały do serca Hellady, wzywając do wielkich czynów a szlachetnej ochoty.

Jakby rzewną a wzniosłą epopeją sływały ludy starogreckie na uświęcone równiny, by oddać na tych igrzyskach bogom a raczej własnemu duchowi cześć i chwałę.

Jakżeś okiem puścił, szeroko, daleko rozlały się niby falą żywą o sercu wrzącem nieprzeliczone tłumy, co stojąc gronami, lub zasiadając na pagórkach czy chodząc i prawiąc, grupując się instynktem przyrodzo-

nym piękności, gotowały się ku radosnej chwili, kiedy urodziwość ciała, zwinność i moc, szlachetność jego ruchów i mężna odwaga pasując się z sobą wystąpiła w szranki. Tu przepych form ludzkich, dźwięczność muszkułów zagrała w postaci człowieka jako w arcydziele natury; w tej dzielności a piękności cielesnej duch Grecyi siebie obaczył i sobie samemu oddał pokłon, bo w nich ujrzał uwidomienie swoje, boć w tych formach cudownych zamieszkał jako w przybytku swoim. Tak przeto stapiało się ciało i duch w muzykę niemą, widomą, pełną wymowy i dźwięku.

Przebrzmiały te poemata żywej rzeźby, a cisza święta, uroczysta zamknęła słowa w piersiach wszechwidywów nieprzejrzanych; milczenie nabożne czcią przejęło duszę, — z wzniosłego pagórza toczą się słowa poważne, świąteczne.

Słuchaj — brzmia akordy głębokie; teraz wieszcz przygrywa na lutni, przebiera w tonach, jak w barwnych promieniach ducha, i splata i wiąże dźwięki strun. Zamarł wszelki głos na ustach ludu, oczekiwanie napręża się, potęguje się serca jego uderzenie; bo lud przeczuwa, że pieśń wieszczka sprowadzi bogów na Ziemię. Mistrz z lutnią w ręku słucha dźwięku jej złotych strun, i dusza jego tonie w błękitach niebiańskich pałaców; on miał poczucie bogów w własnych piersiach, bogi są w nim obecne, więc uwierzył w nie, więc je uczcił w sobie, on z bogami rozmawia na pieśni, on ich poufałym kapłanem. Stąd wieszcz na tłumy ludu patrzy tak dumnie, on jakby wszystkich serc król, on wielomocny ich mistrz. Ta piękna Grecya, te ludy wszystkie i serca wszystkie, to jego państwo, on tém państwem włada jako królestwem a do-

mem rodzinnym, jakby własną wolą swoją. Gdy się w nim odezwą gromem bogi, gdy go posiedzie ich potęga, wtedy, porwany ich natchnieniem, wznosi się, ulatuje z ziemi, wzbija się pod obłoczne dzielnice i z zawrótnej wysokości patrzy na lądy, na morza, na miasta, toczy okiem po starych upłynionych dziejach i duchem widzi senne postaci nadchodzących pokoleń, i mierzy czas i waży żywych i umarłych, a pieśń jego tak dumna, tak hardego majestatu! On sam w promienistej koronie rozdaje korony chwały najwyższej; on bogów wybrańcem, przemawia ich językiem; myśli niebian, ich uczucia i potęga płyną jego pieśnią jak światłości rzeką.

Gdy dotknie umarłych, już tony jego lutni promieniem odzieją wzniosłą ich pamięć, już on ją postawi na jasnym wysokościach. „Kogo z żyjących z wysokości wspomni słówkiem, to słówko splata się w wieńiec nigdy nie zwiędłej chwały, już on szczęśliwym wybrańcem; bez posągu, bez pomników rzeźbionych staje się nieśmiertelności synem, i żyć będzie na wieki w pieśni, bo pieśń na skrzydłach promiennych uniesie go w późne stolecia, w cudze narody, w obce lat tysiące.“ (Pindar.)

Innym razem, na innych igrzyskach, gdy oniemiała wesoła wrzawa, milczenie przeleciało po ludzkich rozjaśnieniach, znów z podwyższenia słyhać głos! — Kto to? — Historyk czyta greckim ludom ustępy z ojcowskich dziejów, a tych ludów fale stanęły niewzruszone, zakłute; cała ich dusza cofnęła się w serce, wszystkie ich zmysły utonęły w słuchu. Jako pierwszy powiew rannego wschodu dreszczem budzi śpiącą dąbrowę, a dąbrowa szepnie, zadrga w sobie, i zatrzęsie się drzewo

każde, i zadygoce listek każdy, a niewidomy duch od listka do listka, od drzewa do drzewa rozniesie po całej kniei tajemniczy szept; tak na głos przeszłości zadrgały dreszczem każde piersi, zadygotały najgłębsze uczucia, a niewidomy duch rozniósł po tysiącnym słuchaczu przeszłości głos. Cisza święta, uroczysta padła na ciżby tłumne, zatrzymał się dech, każdy słyszy tylko własnego serca gwałtowne bicie; te ludy wszystkie, choć tak różne, mają jedno serca uderzenie — jedno wielkie, wspólne serce. Stało nieruchome morze zgromadzonych tłumów, nad równiną żeglują milezące złociste obłoki; wszystko oniemiało, słysząc tylko loty orłów, co płyną po wysokościach; słowa dziejów wionęły z ust proroka przeszłości i przywiały tchem cienie maratońskie i postaci z Termopilów i obrazy Salaminy. Po nad ludem kroczą widziadła ojców, słysząc ich pochód i oddech i szczęk broni i wołanie tryumfów. I patrz, każdy w tej ciżbie, choćby maluczkiego serca, choćby wątłego ducha, rośnie w olbrzyma, w bohatera, dźwiga się sam nad siebie. Bo wielka przeszłość jest wielkiej przyszłości zasiewcą!

Przeminął już dawno historyka głos, umilkł prorok ojcowskich spraw, a w duszy ludu wzniosło, uroczysto, świętecznie; piersi każdego stały się jako panteon wysokich imion o jasnej sławie.

Takie były zabawy, takie igry Greków! Widzisz jak w ruchach ciała, i w dziejach, i w pieśni Grek sam własnego ducha obaczył, jak wnętrza, najświetniejsza treść jego znalazła w zacnej formie zacne wyjawienie swoje, jakto ludy różnej natury przecież spływały mocą duchową w jedną całość, nie zacierając atoli przyrodzonego piętna.

Wszak te same ludy łączą się jeszcze w jeden wielki naród mocą wyroczni, a te wyrocznie same, choć wiodą z natury poczęcie swoje, są jednak natechnione, zidealizowane duchem. W wyroczniach greckich: w Dodonie, w Delfach, proroczej natura mocy: szeleścią liście, gaworzą gaje święte, szumią strumienie tajemniczą pogadanką; tam znów Pitya na trójnogu, owiana ziemskim wyziewem, bezprzytomna sobie, rzuca słowa bezświadome. Zaiste, szelesty i gawory drzew, pomruki wodne, ciemne wyrazy pityjskiej kapłanki, toć jeszcze mowa tajemnicza bezrozumnej natury; lecz kapłani ujeli te głosy duchem, wysłuchali z nich mowę bogów i przetłumaczyli ją na język poetyczny, pełen mądrości a harmonii; a tak i tutaj widzisz uduchownienie natury w najszlachetniejszym znaczeniu. Pomnij, gdy nadejdzie w Grecyi czas, w którym o prawdzie przemówi wyrocznia we własnem wnętrzu człowieka, wtedy Grecya skona; lecz ten czas jest daleki, jeszcze żyją stare wyrocznie, jeszcze natura zewnętrzna uzniona jest ducha jaśnią, jeszcze treść głęboka znajduje zacną a odpowiednią zmysłową formę swoją.

Patrz, ta harmonia, która, jak mówiłem, jest istotą Grecyi, wiąże też każdego z pojedynczych ludzi z kraikiem, w którym żyje; ogół tej drobnej społeczności jest obrazem własnej istoty jego, ogół i człek pojedynczy są wzajemnym siebie wtórowaniem. Ztąd też każdy człowiek jest tutaj jako posąg z jednego odlewu. Bo jego życie, jego sprawy, ochoty, jego wiara i myśli i uczucia są wszystkie z sobą w zgodzie, i w zgodzie jest człowiek z rzeczywistością, która go otacza. On więc zawsze jest jeden i ten sam. Tu przeto ojczyzna charakterów. Jakoż i charakter jest



zgodą treści wewnętrznej a formy zewnętrznej, bo harmonią zasady i przekonania a całego wątku żywota. Gdy w Grecyi treść jest pełna, niesprzeczna z sobą samą, ztąd i żywot cały jest z jednego odlewu. Stolecia nowożytne są tak ubogie w charaktery, bo albo znajdziesz ludzi, co przędą to życie swoje jednostajnie, bez walki, bez treści, albo też są inni, których życie pełne treści, ale w ich piersiach ta różna życia treść budzi co chwila inne moce, które same między sobą walczą, pasują się i szarpią a zwycięstwo każdej z nich od chwili zależy; więc nie znajdziesz zgody i powiązania tych potęg, bo brak siły, któraby je ujęła i zestroiała akordem. Nie dziw też, iż nie jeden, gdy go spłoszy rzeczywiste życie, chowając się sam przed sobą, cofa się jak ślimak do najskrytszego zacisza duszy swojej.

W Neapolu, w oném świątosławném muzeum, wśród oniemiałych dziś bogów, wśród orszaku bohaterów, co niby skamieniałą Epopeję przemawiają do biednego wędrowca z północy, wśród tych wszystkich marmurowych cudów piękności, które po dawno już pochowanych świetnych stoleciach dostały się puściźnie karłowatym pokoleniom, stanął, jako żywy wizerunek, posąg Arystydesa. Jest to jedna z tych postaci, co gdy je choć raz w życiu obaczysz, już nigdy więcej nie ustąpią ze świętych głębin duszy twojej. Taka postać, zamknięta w przybytku piersi naszych, może być przy pylona kurzawą powszedniego życia, mgły słotne świata mogą ją pokryć jakąś oponą żalobną, ale przecież obraz tej postaci nie zemrze nigdy w sercu. W godzinach szczęśliwszych, gdy choć na chwilkę zajaśnieje pogoda w wnętrzu naszym, gdy do ducha naszego,

jakby do czystego przybytku, wstąpi posłaniec boży i przyniesie pokój domowi temu, wtedy rozwiane są posępne tumany a rozświeci się ta postać cudowna i wystąpi w pełnym a cichym majestacie swoim. Widzisz jakby oczyma tu na jawie to oblicze nadziemskiej ci-szy a przecież tak pełne nieskończonej treści: rysują się te kontury czyste, melodyjne, widzisz wszystkie fale spływających włosów, każde zagięcie miękkie draperyi. Tak jest, — wołasz ze czcią radośną i serdeczném zachwyceniem — toć to jest Perskiej dzicy pogramca! toć wybawca swojego kraju, toć jest ten obywatel co spokojnym ducha majestatem patrzył na rozhlukany lud, który w złej chwili zapomnienia nie mógł wielkiemu człowiekowi przebaczyć wielkości! i powiesz: tak jest, z tém obliczem Arystydes przechadzał się wśród tłumów nieopatrznych, gdy one tego najzaciejszego syna Aten wskazywały na wygnanie; z tém też obliczem głębokiego pokoju wrócił, gdy kraj znowu jego usługi potrzebował; to jest całkowity, to jest klassyczny człowiek! Nie będę tu prawil o piękności artystycznej dzieła tego, które jest arcydziełem sztuki; wszak sam Thorwaldsen nawet ozna-czył na posadzce miejsce dla widza najstosowniejsze do wpatrzenia się w to dziwo piękności; ja przywodzę je tylko jako najpotężniejsze, najzaciejsze objawienie się charakteru. Kogoż nie uderzy ta powaga, ta moc woli, niby ze spiżu ulanej, a jednak splecionej z nieskończoną słodyczą i uśmiechem dobroci, ta niebiańska jakby pośmiertna spokojność na tej twarzy, obok najwyższego udziału w tém wszystkiém, co innych boli i weseli? Tutaj widzisz treść ogromną duszy, treść ogarniającą wszystkie stosunki człowieka, a prze-

cież spływającą z sobą głębokim i pełnym wdzięku akordem. Tutaj, w tej twarzy marmurowej a tak jaśniejącej życiem najwyższém promieni się zgoda człowieka ze światem, z ludźmi, z losem i z sobą samym. Cała ta postać otulona płaszczem, nawet rękę znać tylko z pod szaty, trzyma ją na piersiach; a przecież ten charakter, ten sam duch płonie w całym marmurze, niby w czystém kryształowém przezroczu, żyje w każdej linii, w każdym zarysie, w każdym załomku tej szaty jego. A przecież, a przecież to nie zjałowiały pedant o skurczoném sercu, to nie pełen cynicznej pychy stoik; on Grekiem, on zna życia radośne wesela, ale je uszlachetnił, on je umiał uduchownić i podnieść do zacności obyczaju i otulić artystycznym wdziękiem. W nim tedy zaślubiona treść człowieka z jego formą, bo żywotem zewnętrznym w nim zespolony duch z naturą; tu przeto klasycyzm występuje w całej potędze swojej. Dla tego wierząc, że taki posąg, taka postać może być tylko wizerunkiem Greka; tu znać, że Artystydes jest także artystą w najszlachetniejszym znaczeniu; samo życie jego jest arcydziełem sztuki jego; ten żywot jest także posągiem, jest formą doskonale objawiającą treść wewnętrzną ducha. Patrząc się na tę postać, czujemy że człowiek takowy mógł rozgrzać zacnością, wznieść szlachetnością całą społeczność swoją, mógł się treścią ducha podzielić ze wszystkimi, a przecież zbogacić jeszcze samego siebie tym podziałem. Wstyd bierze nowoczesną Europę, gdy pomyślimy jakich to Hellada rodziła mężów! Cóż dziwnego że, jakby z instynktem własnego niedostatku w sercu, rzucamy się pełni tęsknoty w objęcie owego ludu, że radzi otrzcć się o niego choć

myślą, by przecież, ile siły naszej, samych siebie uzupełnić. Zaiste, uczucia nasze, myśli nasze, wypuszczone z duszy, jakby pszczołek rój, ulatują po nieśmiertelnych kwiatach Grecyi, pijąc z nich osłody i porzepienie w życia naszego goryczy i omdleniu duchowem.

I chciiej baczyc że jaki był tu żywot pojedynczego człowieka, taka też była historya całego ludu tego; jak wielkie charaktery, będąc mistrzami siebie samych, wyrabiały się na własne arcydzieła, tak też cała Grecya artystyczną potęgą stworzyła swoje dzieje niby rzeźbę cudowną. Żaden kraj, żaden naród, nie miał takiego żywota, coby był tak zupełnie całkowitością ukończoną w sobie, tak doskonałym objawieniem wewnętrznej treści. I historya Hellady jest z jednej sztuki, z jednego odlewu, ona jest zawsze wierną samą sobie. Grecya nigdy nie zaznała różnorodności sprzecznych sobie pierwiastków, co przywiane z obcych ludów, z obcych stóleciów, matwają się z sobą, a tak czynią zbyt często narody niepodobne do siebie samych. Grecya od nikogo nie pożyczyła swoich obyczajów, zwyczajów, swoich praw i religii; bo cokolwiek z obcych żywiołów w pierwszych czasach do niej przyplątać się mogło, toć ona przeistoczyła w sobie nie do poznania, przerobiła na własną krew, na własne soki, a tak rozwijała samoistnie dzieje swoje.

Ona sama sobie wymyśliła początek pradiadowej historyi swojej, ona niby sama siebie poczęła, sama siebie zrodziła: Grecya wszystko sobie samą winna, ona jest własnym swoim dziełem. Stąd też, nad wszystkie inne historye, historya Greków tak jest ucząca; jest to wzór dziejów narodu, jest to wyrocznia

historycznej mądrości. Tu nie ma gwałtownych przeskoków, ani przerw w wątku żywota, tu nie ma cofania się przed nowym postępem, tu nie ma zaparcia się siebie. W tych dziejach każda epoka tak przezroczysta i rozumiała, w każdej epoce możesz policzyć pulsa, podsłuchać pukanie serca tego ludu, tu niema zagadkowych zjawisk; Grecya od kolebki do skonu nigdy nie odstępowała sobie. Te dzieje są istic dramatem artystycznie ukończonym w sobie; rzekłbyś, że jakiś arcymistrz odważył wszystkie figury, wszystkie akta, każdą scenę w tój cudownej kompozycyi. Czytając te dzieje Grecyi widzisz w nich prawidła jak narod się rodzi, rośnie, osiąga szczytu swojego; zstępuje z niego i kona.

Niechaj nas tedy nie dziwi, że grecki historyk, opisujący dzieje ojczyzny swojej, jest również artystą, mistrzem; jego opowiadania i przedstawienia, to plastyka cudowna, to marmurowe rzeźby, nie dodać, nie ująć nie zdołasz. To są arcydzieła; a przecież są u nas, którzy nie pojmują, za co to literatury i języki starożytne są uznane za warunek wszelkiego wychowania rzetelnego — „wszak wystarczą nam tłumaczenia!” wołają zewsząd. — Tłumaczyć ich nie można, boć to są dzieła sztuki, mające nie tylko treść ale i formę, tu forma artyzmem: i o nią to właśnie chodzi, ona jest rzeczą. Tłumaczenie! Dla czegoż każdy się zgodzi, że litografia nie zastąpi ci oryginałów Rafaela, a litografia przecież odda ci zupełnie treść jego obrazów? Treść jest dana, forma zaś to dzieło ducha!

Zrozumiesz przeto, że ta historia Hellenów, tak w sobie jednolita, tak artystyczna, gdy stanęła na

szczyście swojego żywota, rozwinąć się musiała najwonnejszym kwiatem swojej istoty, bo czią i hołdem serdecznym dla wdzięków i urody duchowej, dla istnej piękności. Wszak to właśnie w samo południe chwały greckiej pojawiła się w Atenach Aspazya, co jakby gracya niebiańska zamieszkała wśród ludzi; a patrz! Perykles, ten szlachetny wielki człowiek, co skinieniem swojego geniuszu prowadził losy swojej ojczyzny, ten Perykles zaślubił sobie Aspazyą, a tym trybem uwidomił śluby historyi i wdzięków w Grecyi. A jak u Hellenów jedna i taż sama świątelnica bywała przybytkiem Muz i Gracyi, tak też dom Aspazyi stał się świątelnicą, kędy się zbierali wybrańce muz, ludzie jaśniejący chwałą to w umiejętności, to w sztuce, to genialnym dowcipem. Wszakże nie sama piękność ciała była magiczną siłą, którą czarowała Aspazya, ale raczej te powaby niewymowne duszy, woń rozmowy, wdzięki uroku pełne trzymały wielkich mężów jakby w zaklęciu misterném. Wymienię kilku z tych ludzi; oni zaiste ludźmi nie na małą stopę! Bywał w domu Aspazyi naprzód głęboki Anaxagoras, który pierwszy wyrzekł, że pod szatą rzeczy zmysłowych, że na dnie gry atomów żyje w świecie myśl, co rządzi wszech jestestwy, a tak w jego filozofii pierwszy raz z głębin ciemnych natury spojrzwały na człowieka jasne oczy ducha. Obok filozofa, Phidias; wszak usta nasze jeszcze w pacholących latach wymawiały ze czią to imię, a dziś kornie pamięci jego oddajemy cześć, boć on arcykapłanem piękności! Dalej Sokrates, męczennik prawdy, co gotował ścieżki wyższym jeszcze prawdom w dziejach ludzkiego rodu; dalej Aleybiades, awanturny geniusz, co wielki w cnocie,

wielki w występki, w światła i cienie, co potężnym wrogiem i potężnym ratownikiem ojczyzny swojej, choć błyszczącej sławy, był przecież zwiastunem, iż w Grecyi już dojrzewa choroba i śmierci zaród. Wszyscy ci ludzie, pomijając innych, znajdowali wdzięczną rozkosz w towarzystwie Aspazyi; te imiona, toć świeciste gwiazdy, które ona wplotła sobie w kwiaty wieńca swojego. Przyznasz, że ten „salon literacki“ Aspazyi nie ma dziś równego sobie w świecie, boć w nim bywali ludzie, z których każdy w swoim sposobie stanowił epokę w dziejach ludzkiego rodu. Od tych imion liczymy wypadki obchodzące świat cały; one nie do historii greckiej należą, one są historii powszechnej własnością.

Uważaj przykład jednego z nich — Sokratesa; on uczynił zwrot myśli człowieka. Na samotnych przechadzkach niekiedy stawał, jakby martwym posągiem, jakby bezprzytomny sobie, nie słysząc, nie widząc wrzawy światowej i ruchów powszedniego żywota; lud nazywał te stany katalepsją, chorobą, snem na jawie i litował się nad biednym nauczycielem; aleć to raczój ten lud sam śnił na jawie, świat to społeczny drzemał bezprzytomny. Te chwile wrzekomój bezprzytomności były chwilami świętymi, bo duch nieskończony, wszechobecny i przytomny we wszystkim, co jest, obecny więc i w człowieku, wybrał sobie za pierwszego świadka a kapłana swojego czyste Sokratesa serce, zapukał w ducha mędrca i dawał mu znać o sobie: i słuchał mędrzec pukania tego; to nie bicie serca jego ciała, toć serce świata w nim biło. I słuchał Sokrates tajemnych szeptów, uczących o najwyższej bezwzględnej mądrości. Tak sam zwlokł z siebie

zwyczajnego codziennego człowieka, a gdy z utonienia nawrócił do siebie, nie rozumiejąc, co mu się stało, wmawiał w siebie, że jakiś geniusz (demon) w nim szepta. Wyrzekł przekonanie, że człowiek w sobie ma miarę wszech rzeczy, że się niczego ze zewnątrz nie nauczy, że uczenie się jest rozwijanie treści wewnętrznej naszej, jest wyśledzeniem tego, co od wieków w nas zarodem spoczywa. Słuchaj jeszcze: gdy Sokrates tonął w przepaściach duchowego poczucia tego, gdy na poły tylko sam rozumiał wieszczę głosy przemawiające w nim, a tęsknił rzewnie, a bolał za uczniem, coby zdołał rozsunąć te myśli jego, zdarzyło mu się jednej nocy, że go nawiedził proroczy sen: śniło się bowiem jakoby piastował na kolanach młodziuchnego łabędzia, a łabędź ten tak był śnieżnej bieli, tak cudnych kształtów, tak luby a potulny że się już nim nie mógł dość nacieszyć, napięścić. Lecz, patrzy, a tu o dziwy! młode skrzydła ptaszęcia nagle zaczęły rość i rość, i rosły w olbrzymie loty, i o dziwy! łabędź zaśpiewał cudowną, wdzięczną pieśnią i rozwinął te loty swoje i uniosł się w górę, uleciał nad ziemię, i wyżej i wyżej ulatywał, i wyżej i wyżej dzwonił pieśnią swoją, wzbił się nad świat i śpiewając zniknął w niebie! Nazajutrz, gdy Sokrates myślał nad tym dziwnym snem swoim, przyprowadzono mu nowego ucznia, młodego *Platona*, który, gdy urósł w skrzydła geniuszu, z wysokości nadświatnych zaśpiewał, wszystkim stóleciom i wszystkim rodom przyszłości na podziw, mądrości pieśń.

O tym śnie Sokratesa, o łabędziu, pełna była wszystka starożytność i wierzyła marzeniom proroczym, a wyznaj, że ta powieść, idąca z pokolenia w pokolenie, nie tylko poszła uczniowi i mistrzowi na



czuć, lecz i na chwałę całemu ludowi owemu, co umiał tak wielbić wielkich ludzi swoich, że ich aż odziewał poetycznym fantazyi urokiem.

Chodzi i druga wieść z pokolenia do pokolenia: oto szeptano sobie, że ten Sokrates, co mądrością swoją dał hasło nowej epoce w dziejach świata, że ten Sokrates sam tęsknił miłością ku Aspazyi! a Aspazyja, Aspazyja nawet miała pisywać do niego jakieś poemata, jakieś dzwięczne wiersze, niemi go pocieszając. Oto głęboka mądrość znalazła siebie, przejrzała się we wdzięku niewieścim.

Przecież dość tych moich białych zarysów owego pięknego i pełnego życia, co kipiało całym warem uczucia i świeciło całą barwą radośnego wesela. Tutaj wszędzie a wszędzie we wszystkich sferach rzeczywistości znajdziesz cudowny zestrój treści wewnętrznej a zewnętrznego objawu. Wszak widziałeś tę harmonią ducha Hellenów i z naturą geograficzną ich kraju i ze szczepowem ich pochodzeniem; widziałeś jak się u nich spłotła powinność z rozumu płynąca z tęsknotą sercu wrodzoną, jak nawet potrzeby cielesne były uzacnionem duchowym. I też same wdzięczne akordy dwóch wtórujących sobie światów właśnie sprawiły, że człowiek, czując się spóldzwiękiem wszech rzeczy, wszędzie sam obaczył siebie, bo wszędzie uduchowiał materją i nawzajem wszędzie ducha ubierał w szaty materji; więc obaczył się też i w swoich bogach, w tych jestestwach duchowo-zmysłowych, ujrzał się całkowicie w społeczności swojej i w igrzyskach swojego ludu, i w dziejach własnej ziemi, i w wielkich ludziach tych dziejów. Otoż i sami ci wielcy ludzie byli artystami swojego żywota; i widzieli się we własnem życiu, tak

jak się widział historyk-mistrz w arcydziele swoim, jak się przejrzał mędrzec ich w najwyższym wdzięku niewieścim. Tutaj wszystko jest artystycznem, bo wszędzie duch przybiera na się ciało godne jego istoty nieskończonęj, słowem, co było w głębiach ducha występowało radośnie na jaw; cały człowiek wewnętrzny wypowiedział się na zewnątrz.

Inaczej przeto tam było, niż w naszych posepnych stóleciach o namarszczonem czole: w Grecyi dusza rozkwita tysiącnym pączkiem wiosennym, a choć te kwiaty jej z ziemi zrodzone, przecież kąpią się w powodzi światłości słonecznej, pojone rosą niebiańską, pieszczone powiewem promiennego dnia. W nowożytnych serca dziejach inaczej bywa. Najzaciejsza, najświętsza treść duszy wtedy się rodzi, gdy życie zgaśnie do koła, gdy oslepną wszystkie zewnętrzne barwy i światła; wtedy dopiero w przepaściach duszy wschodzą gwiazdy, i płoną i goreją niewidzialne dla ludzi, zapoznane od świata; ale ufajmy że ten sam Bóg, co na miłości skrzydłach unosi się od planet do planet, od słońca do słońca, tą samą miłością, którą strzeże firmamenty przez siebie stworzone, jest też obecny tym gwiazdom zrodzonym w piersiach śmiertelnego człowieka. A choć je zapoznają ludzie i nie przeczuwa świat, Bóg zna te gwiazdy, i kiedyś zabierze je do swojej chwały, by były klejnotem strojącym Jego nieskończoności tron.

I Grecya umarła, ale wszystkie zacniejsze ludy, ludy-wybrańce dziejów oddały cześć téj uroczej dziewicy. Grecya umarła, „bo wszystko co piękne umiera“ bo duch nigdy nie zdoła na zawsze zaślubić się skończonemu światu i materji śmiertelnęj; te śluby zdradzają

wprawdzie piękności dziwy, ale te śluby są doczesnymi ślubami, piękność nie jest jeszcze najwyższą prawdą; duch jest wiekiwości synem, on przerasta materję, zrywa związki z doczesnością znikomą, ona mu nie wystarcza, a wtedy piękność kona. Nie dziw tedy, że Greeya umarła na piękność, będącą jej żywotnym pierwiastkiem.

# LIST XXI.

## Greya.

(*Dalszy ciąg.*)

Pestum. — Świątnice Posejdońskie a mianowicie świątynia Neptuna i charakterystyka architektury greckiej, jako ściśle klassycznej. — Wróżba o skonaniu Hellady. — Mit o Prometeuszu i Herkulesie. — Torso belwederski Herkulesa. — Plastyczność jest cechą przeważającą w fantazyi greckiej, zatem rzeźba jest sztuką najwięcej celującą w Helladzie. — Wysokie znaczenie urody cielesnej u Greków, ztąd taniec i gimnastyka tak ważnym pierwiastkiem ich żywota. — Uczta ateńska i Sokrates.

„Jeszcze chwileczkę cierpliwości, signori! jeszcze „troszkę, a staniemy na miejscu!“ Tak wykręciwszy się na koźle do ciebie przemówił veturino, chłop przepysznych kształtów, piękny jak posąg z brązu i zaświecił oczami dużemi, co wilgotne a płonące jako węgiel żarzący, a zaświecił śnieżnemi zębami i poprawił kapelusza, zrzucił do reszty kurtkę aksamitną, zawieszoną na lewem ramieniu, zatrząsł koleczykami i zaciął konie, a rzeško dalej a dalej popędziły koła po równinie brunatnej, przepalanej na popiół.

Słońce bije pionowo w ziemię i ssie z niej ostatki życia; natura wkoło mdleje w żarach skwarnych; oddychać jej ciężko. Tu i ówdzie po pustkowiach głuchych zabłąkały się jakieś drzewa chude, jakieś krzewy ubogie, a te drzewa i krzewy smętne, samotne wygnające ze szczęśliwszych stron; żaden powiew nie ucałuje ich liści biednych, żaden szept nie pocieszy; stoją w milczeniu oniemiałe. Powietrze rozpalone płonie, dygoce, skacze, więc się zdaje że wszystko wkoło się rusza, i trzęsie się i łamie, niby febryczną gorączką dotknięte. Każda gałązka na drzewie drży, wije się, łamie z osobna; rzekłbyś, że to drzewo potwór sturęki, że to ramiona olbrzymich gramolących się polipów. Równina bura, głucha, ocieżała zaległa cię wkoło zaspana, i marzy bezprzytomna, a słońce strzela ogniem i pali żarem; słyszysz tętna bijące w skroniach, czujesz wary we własnych pulsach.

Tu i ówdzie pastuch na poły nagi, wycieńczony, schorzały przepędza krowy i kilka kozek; tu i ówdzie siedzi i duma chatka obdarta, wykrzywiona, spaczona, i sapie i ziewa, a gdzie nigdzie rozlały się błotne młaki, co dyszą złośliwym wyziewem, w nich rusza się gad, nad nimi chmury komarów; w trawach przepalonych świerszczą świerszcze, — toć jedyny głos wśród grobowej ciszy. Nad równiną burą sklepi niebo złociste błękity swoje; one tak głębokie, czyste, pogodne, jakby wesołe, wiecznie spokojne mieszkanie starych bogów tej ziemi. A tęskno ci do tych gór, co w dali się piętrzą jakby ziemskie pałace tych bogów szczęśliwych; tam na wysokościach wieją chłody, tam szumią strumienie świeże; tam co żywe, oddycha szeroko, głęboko, a kontury szczytów, lekkie, eteryczne spły-

wają z jasnym nieba tłem. Te góry, niby napowietrzne grody, ochuchane to złotem różowym, to fioletem promiennym; a te barwy tak lekkie, tak czyste, jakby rumieniec pierwszej miłości dziewiczej; te góry tak eteryczne, przezroczyste, jakby malowania na szybie kryształowej przeświecanéj światłem słonecznym.

Pędzą dalej a dalej koła równiną skwarną, śpiekłą. Gdy puścisz okiem po tych pustkowiach głuchych, po tych umarłych bagnach i stęchłych młakach, uwierzysz, że tu czatują w łęgowskich swoich wrogie febry, nieprzerwane nigdy, idące smętnym dziedzictwem z pokolenia na pokolenie, niby jedyna puścizna tych pastuszków nagich, co, jako upiory przed śmiercią, wloką to życie nędzne starzejąc się za młodu; uwierzysz, że obok febry jadowitej hulają tu jadowite węże, jedyne żywe stworzenia, którym tutaj zdrowo i ochoczo. Znów wykręca się na koźle veturino i pokazując biczyskiem w dal, woła: „Vedete — Pesto!“ Z dala na równinie rysują się budowania jako grobowce stare; są to pradziadowe świątynie pradziadowych lat, cel twoich pragnień i wycieczki z Neapolu. One dziwnie się odbijają na tle płynnych szafirów morskich fal, co posypują się siejbą złotych iskier w promieniu słonecznym.

Tak jest, to Pestum Rzymian, a niegdyś Posidonia Greków. Ta tu równina, co dziś jest cmentarzem niemym, łęgowskiem moru i zdradnej zarazy, a panowaniem zatrutego gadu — niegdyś, przed bardzo dawnymi laty, była onych Sybarytów rajską ojezyczną; bo Pestum to osada z Sybaris! Tutaj przeto mieszkał ów ludek z uśmiechem nigdy nie zwiędłym na ustach, co duszkiem spełniał wszech uciechy i radości ziemskie;

tutaj to on żył i śpiewał, tutaj się kochał i pieścił, tutaj rozkoszował ciesząc się niezamąconym życia weselem; on to przetłumaczył sobie całą treść życia i świata i natury na rozkosze doczesne, i płynął mu wiek mlekiem i miodem wśród woni róż. Zaiste, wśród róż, bo cała starożytność sławiła Posidonii róże, co dwa razy do roku rozwijały przepych swojej cudobarwnej woni. Choć Rzym później spiżową pięścią zadławił życie rozkoszne, pełne słodyczy i wdzięku, i zabił kwiaty w ludzkich sercach, toć te róże zostały, a umizgały się do nich rzymskie wieszczki. Wirgiliusz wyznaje, że gdyby nie był party pośpiechem, jeszczeby zawrócił statkiem i dobił do brzegów cudnych i zaśpiewałby o kwiecistych ogrodach bujnych, hodowanych troskliwą miłością — zaśpiewałby o różach, co dwa razy do roku roztulają liście wdzięczne chuchając zapachem. A ten biedak Owidiusz, wygnaniec ze stolicy świata, wykwintu i smaku, za to iż podobno wmięszał się w miłostki Julii, onój zbyt tkliwych uczuć córki Augusta — ten Owidiusz, marząc gdzieś na północy i biedując wśród Getów, zaklinając się woła: „Wprzód Babilon nie zazna ognistych skwarów, wprzód „Pontus straci mrozy swoje, wprzód nagietki apteczne „zagłuszą wonie pesteńskich róż, niż....“ i t. d. A Martialis, co tak dowcipny a ucinkowy, choć człek o ciepłej duszy, pragnąc obłaskawić dla siebie serce jakiejś rzymskiej damy, zapewnia, że jej usta walczą o prym z różami Posidonii.

Patrząc się dziś na tę naturę głuchą, co niby całunem ciemnym, śmiertelnym rozwlekła się nad życiem wszelkiem, zaiste, one wieści czarowne o starych stóleciach, są jakby snem i niby senném marzeniem;

zdaje się też, gdy pomyślisz, żeś to dopiero wczoraj wyjechał z Neapolu, zdaje ci się że na setki mil gdzieś zostały one pomarańcze i pieśni wesołe, one makarony i bukiety, tarantelle i kawiarnie szkliste, Wezuwiusz i pulcinello, okręta masztowe i osiełki dzwoniące, one oficery świeciste i damy o strzelistych oczach, lemoniady i serenady i pomidori!

Stanałeś przed nędzną locandą, dochodzisz do onych budynków, które dźwigiły stare czasy, na pół tysiąca lat przed chrześcijańską erą; należą one do najszczerliwiej dochowanych pomników po Grekach starych. Jakos ci w sercu świętecznie, uroczysto, niespokojnie, bo masz obaczyć dziwy, o których ci się niegdyś w młodości przyśniło!

Teraz już zatrzymujesz się w obec najwyższej z trzech budowli, patrzysz się na świątnię *Poseidona*, co go rzymianie Neptunem nazwali.

Ale czy to doprawdy ta sama świątynia, o której tyle się nasłuchałeś, naczytałeś, która ci tak często obrazem wplotła się w marzenia twoje? To budowanie przed tobą takie drobne, takie nikłe! wszak one nie wyrównywa ogromem nawet w części wielkim świątynicom chrześcijańskiego świata!

I żal ci się robi na duszy i smutno ci. Spodziewałeś się gwałtownych wrażeń, olbrzymiego dzieła, coby zatrzęsło całą istotą twoją, a tu budowanie tak skromne, ciche! czyli to znów jeden z zawodów w życiu? Radbyś podziwiać, bo cię wstyd że cię jednego niby nie rozpala uniesieniem widok, którym się wszyscy zachwycają; więc zaledwie sam sobie wyznajesz, żeś nie tego się spodziewał! Może ten brak wspaniałości spodziewanej pochodzi też ztąd, że ta świątynia nie na-



leży jeszcze do czasu najwyższego rozkwitu sztuki hellenickiej, to nie geniusz Peryklesowych czasów, który stawiał te świątnice, więc też dla tego one nie zagrzewają chętniej miłości twojej.

Pocieszając się radbyś tedy obaczyć w tém budowaniu choć pomnik starych wieków i ludów, co dawno już przemknęły się sceną historyi; wpatrujesz się w wyszczerbione głązy, śledząc tropów wielkich wydarzeń, które tędy przeszły, zanim przebrzmiały jako jęk ostatni wędrowca na głuchój pustyni. Zioła, krzewy, kwiaty powiewne wyrosły na połamanych murach i umiały zwietrzałe ciosy; toćto wianek śmiertelny, którym natura ustroiła skronie przeszłości zmarłej.

Ale, wśród dumania, wśród marzeń twoich coś zadrgało w tych głązach! coś gada w tych martwych ciosach! I patrzysz i oczyma toniesz w zwaliskach, a one się ruszają, i jakieś dźwięki dziwne wionęły po gruzach, gruzy zmartwychwstają, kolumny rosną, dźwigają się majestatem, rośnie potęga kapitelów, biją wdzięczną falą linie, grają światła i cienie. To budowanie, dopiero tak skromne, drobne, teraz urosło olbrzymem! jakże wspaniałe, uroczyste, jak poważne i pełne grozy! schyliłeś czoło oddając wielkości zapoznanej przez ciebie pokłon i cześć! Teraz cię wstyd, żeś wielkość masą mierzył, żeś ją mierzył na stopy i kroki! — Wszak na naszej północy chodzą wieści o dziwnych obrazach malowanych: w zaśniedziałych ramach bieleje jakaś postać zapomniana, obraz spłowiwały, przypylony o omdlałych zarysach; mówią też ludzie, że są pewne dnie i godziny nocne, gdy rozświecą się barwy, gdy postać ożyje, odetchnie, wystąpi z ram i odrodzona wdziękiem cudownym rozpowie

dzieje swoje; lecz usłyszy, obaczy postać uroczą tylko ten, kto w łasce, kto rozumie mowę duchów — kto ma oczy ku widzeniu, a uszy ku słuchaniu. Tak, bądź w łasce, znaj się na mowie duchów, zapadnij w tych gruzach całym sercem, całą myślą, a ze starych, spłowiałych rozsypisk wystąpi piękności geniusz, i obaczysz postać jego odrodzoną wdziękiem cudownym, obaczysz ją na własne oczy twoje — ogromną, niebotyczną. Jakimże dziwem ta świątynia tak skromnych wymiarów urosła w tę wspaniałość wzniosłą, w ten majestat dumny a potężny? — Bo to budowanie jest ducha wcieleniem, bo jest harmonią skamieniałą, bo w niej wszystkie szczegóły, każda kolumna, każdy kamień, każda linia spływa wspólnym akordem z całością; dodaj, zmień, ujmij choć drobnostkę, a już znieważysz tę harmonią, pełną tak cudownych dźwięków i obrazisz ją tonem fałszywym. Jak w organizmie ludzkim, w tém arcydziele stworzenia, każdy organ, każdy członek odpowiada każdemu innemu w szczególności, a tem samym całej budowie żyjącego jestestwa; tak też w téj architekturze cudownej zespolenie wszystkich szczegółów czyni z niej organizm dziwnego zestroju, co brzmi i śpiewa, jakby one starodawne muzyki kościelne, co tak proste i rzewne, a przecież budzą wtórujące dźwięki w piersiach twoich, nawet tobie samemu nieznanne. I to jest zaprawdę cała tajemnica téj potęgi czarodziejskiej, którą ten stary budowniczy grecki przygrywa na strunach duszy twojej. Bo zważ — i duch nasz jest także całością także ogółem pełnym treści różnej; on jest morzem uczuć, myśli, tęsknot, i wyobrażeń tak różnych między sobą a związanych i przeciwieństwami; więc dla tego też ma

za mieszkanie dane sobie ciało, które, będąc również doskonałym zestrojeniem różnorożności w jedność, jest wyrażeniem zmysłowym, godnym tej harmonii ducha naszego. Stąd też to budowanie greckie jest jakby zwierciadłem duchowej istoty; w niem przeziara się duch nasz i w niem znajduje ducha ludu, który je stworzył. Ten starodawny lud umarł dla zmysłowego świata, ale część jego wiekiusta oddechła w tych głazach martwych, ona z niemi zaślubiona, ona odziała je nadziemskim urokiem; więc byleś miał oczy duchowe, a już przez organizm kamienny tej świątynicy, przez to głuche ciało gładów, dojrzysz ducha, który w nich mieszka, a on cię powita jako brata w piękności; on, choć dawno umarły i zapomniany od ludzi, dla ciebie wiecznie młody, wiecznie odradzający się nieskończonym wdziękiem. Zrozumiesz tedy, dla czego ta architektura jest tak wspaniałości pełną, dla czego ona się dźwiga tak dumnym majestatem!

Widzimy także jak się tutaj w architekturze na-przód prawdziwa zasada wyrzeczona o Grecyi w liście ostatnim, że w niej duch w dziele sztuki znajduje doskonałe wyrażenie swoje jako we formie zupełnie odpowiedniej; a tak i budowanie Hellenów jest klasycznym budowaniem.

Stary Egipt przez całe swoje życie szamotał się i łamał z materyą, a łamał się z nią aż do śmierci, aby ją przewyciężył; ztąd olbrzymie rozmiary jego budowania, ztąd ogrom straszliwy jego granitowych ciosów, ztąd chmurotyczne piramidy, a praca niesłychana, niewypowiedziana męka są jedyną oznaką jego tryumfów nad martwą, głuchą materyą; lecz ta architektura jego nie jest jeszcze wizerunkiem istnym ducha,

w niej nie znajdziesz organicznej harmonii, onego zestrojenia rozmaitości szczegółów w jedną całość. W Egipcie, równie jak w Indyach, w Chinach, nie obaczysz architektonicznej całości; możesz dobudować drugie tyle gmachów, komnat, dziedzińców, bram; możesz zburzyć ich połowę, a całości nie pogwałcisz, bo jej tutaj nie ma. Tak podobnie dzieje się w naturze nieorganicznej — możesz roztrącić ów kamień, a każda część będzie także kamieniem, tylko drobniejszym. W Grecyi nie znajdziesz tych wymiarów tytanicznych, bo ona nie pragnie już grubych tryumfów nad materią, samą tylko mocą siły fizycznej dokonanych; te tryumfy są li ujemne, negacyjne, one są mniej godne Hellady; jej tryumfem jest raczej uduchownienie głazów, zatém jej celem jest architektura, będąca symboliczną mową jej ducha.

I zważ dobrze, owa harmonija wszystkich części nie jest bynajmniej harmonią dla samego tylko oka, nie jest samym zestrojem estetycznym; tu zestroj a wzajemne zestosowanie wszystkich części jest ugruntowane na technice, jest obrachowane wedle praw mechaniki, statyki, tutaj najściślej obliczona ciężkość, moc materiału. Otóż, jak nie możesz zmienić najdrobniejszych szczegółów bez znieważenia piękności ogółu i zgwałcenia estetycznego uczucia, tak też zmiana tych szczegółów byłaby zgwałceniem praw mechaniki, nadwierzającem moc i trwałość budynku. Co tu jest pięknnością artystyczną, jest zarazem techniczną potrzebą, i nawzajem: w budowaniu greckiem możesz rozumowaniem wyprowadzić znaczenie każdej części. Podobnie, gdy cię uderza proporceya i piękność członków w jakiejś postaci ludzkiej — możesz śmiało wno-

się o sile i czerstwości człowieka tego. Chciiej baczyć, ta zgoda artystycznej piękności z potrzebą techniczną jest właśnie zgodą i harmonią ducha a materji. To zastosowanie się ściśle estetyki a praw fizycznych natury jest właśnie powodem, dla którego architektura grecka jest wiecznie młodą i kwitnie nieskończoną nigdy wiosną; tu masz rozwiązanie zagadki, że to hel- leńskie budowanie nie jest bynajmniej tylko budowa- niem jednego narodu, jednej epoki, ale jest własnością świata i wszystkich stóleciów. Tak przeto i tutaj znów wypłynęło nam zestrojenie dwóch światów, stanowiące klassycznosc greckiej fantazyi. Obaczysz w innym liście, iż nasza, tak urocza a pełna właściwych sobie wdzięków, architektura średniowiekowa jest jakby wo- łaniem, że duch chrześcijańskich ludów już przerósł materją, że na skrzydłach wiary wznosił się nad wszelkie jej prawidła, że uleciał tchem duchowym. Stąd też ta ogromna jej różnica od budowy greckiej. Patrz na gotyckie śmiałe budowania: tutaj zaiste właśnie chodzi o to, aby ukryć prawa materji, aby ona, wbrew swojej ciężkiej natury ku ziemi cisnącej, stała się lekką, eteryczną; słupy w świątyniach na- szych niby nie dźwigają sklepienia, one, jak pieśń na- bożna, strzelają w górę, a sklepienie z nich zrywa się, rozwija się jako konary palmowe; zważ te wieże cio- sowe, dziergane w koronkę; tutaj kamień przezroczysty, przez niego świeci, promieni wiekuisty błękit niebiań- ski; te przypory ciosowe, z których, jakby ogrody boże, wyrastają kwiaty, gałęzie kamienne a igrają i bawią się wdzięcznym splotem budując kapliczki wysoko wzniesione na mieszkanie ludzi. W świątynicy go- tyckiej nie chodzi o naturę, bo tutaj zakryte jest

stosowanie się ducha do jej praw; tutaj znać o sobie daje swoboda duchowa, niedbająca o rzecz, ale pragnąca wyrazić siebie w rzeczy, w świecie zewnętrznym.

Spójrzyj na tę Posejdona świątnicę — lat tysiące i promienie słoneczne oblały ją barwą ciemnego złota, a koloryt ten tak ciepły i miękki, a jednak tak poważny; rysuje się ona na czystych głębokich nieba lazurach, w koło cicho i spokojnie; cała natura umilkła nabożeństwem; niekiedy tylko stado dzikich gołębi przelatuje po nad gruzy, jak przelatywały z kolei stolecia długim szeregiem, dotykając ciężkiem skrzydłem swoim świątnicę ludów starych. Tu, w stolicy dawnego szczęścia i ziemskich rozkoszy, oparł się teraz na kolumnie chłopczyzna schorzały w łachmankach — i żebrze; dalej na gruzach siadła matka blada, bawiąc zgłodniałe dziecię Madonną zawieszoną na szyi.

W koło otoczył uroczyste budowanie zastęp dorzyckich kolumn potężnych; słupce nie są wcale czczym przystrojem, one dźwigają doprawdy brzemień budowy jak bohaterów szereg, na którym spoczywają losy drogiego im kraju; a moc podpierająca tych kolumn, a ciężar cisnący najcudniej zestrojone z sobą; praca dźwiganie zaiste nie lada, nie łatwa, lecz ona im przychodzi bez męki i zbytniego mozołu; one nie mają podnoża, bo dzielne ich zgrubienie od dołu zastępuje im podstawę; lecz aby znowu ułagodzić ich butność zbyt poważną, fantazyja artystyczna poprowadziła wzdłuż ich żłóbki głębokie kanelury (rówki), w których mieniają się światła i cienie lekką falą, a od góry głowica dzielnie występując podtrzymuje brus

a zarazem wdzięcznie łączy się z okrągłym trzonem; a tak każdy słupiec jest prawie całością dla siebie i prawie sam w sobie harmonią. Te kolumny przemawiają tutaj jakby ludzką mową, duch przez nie spogląda, one są więcej niż ciosem, niż martwym nieczułym kamieniem. Ba! wszak nawet do kolumn swoich Hellenowie, jakby do swoich bogów, przypięli legendy a mityczne podania, a tak techneli na nie życie indywidualne i wyraz duchowy. Posłuchajno co nam baje Vitruvius o powstaniu kolumn greckich: on, arcypróżną duszą będąc, bierze za prawdę te podania i wierzy im co do litery, nie pojmując tej poezji, co nam w nich płynie z dawnych lat. Osadnicy greccy w Jonii, powiada, pragnąc stawiać świątnice, a nie mając prawideł sobie danych, wzięli się na sposób, chcąc otrzymać kolumnę poważną, butną; zabrali się do mierzenia postaci mężczyj, a gdy stopa mężka jest właśnie szóstą częścią całego ciała, „więc, powiada Vitruvius, uczynili kolumnę mającą te same wymiary, a tak zrodził się dorycki słup.“ Innym razem znów „osadnicy, radzi widzieć kolumnę lekką, pełną uroku a strojnego wdzięku, jęli się mierzyć wysokość postaci niewiasty i jej stopę, a tak z bezkształtne go bałwana, niby wdzięczna dziewica, wyskoczyła na jaw kolumna jońska, w której podnoże jest tylko ósmą częścią wysokości, a przystroili też jej głowicę w lube zwoje ślimacznic, udających jakby włosy niewieście, wijące się w drobne kędziory, a kanelury, idące po kolumnie, udają długie szaty spływające fałdami.“ Otoż masz w tej powieści zaślubienie ducha i materyi, jestto odgłos daleki postaci ludzkiej, oblatujący nawet kolumnę grecką.

Przed laty, a jest temu bardzo dawno, umarła

w Koryncie dziewczyna młoda, i była zaniesiona do grobu jako nieroztulony pączek kwiatu, od śmierci podcięty; umarła dziewczyna zostawując lzy i serdeczne żale po sobie. Płakała ją też w zaciszy z boleścią rzewną niańka stara, boć ona dziecię wykołysała na ręku miłością gorącą, a płakała dniem i nocą niańka biedna, aż pragnąc ukoić cierpienia duszy swojej chodziła po domu i pozbierała ze łzami bawidła i spręciki, które niegdyś najmilsze były zmarłej dziecinie, i ułożyła je wszystkie w koszyczek schludny i z koszyczkiem poszła na grób kochania swojego, i złożyła go na grobie, a chroniąc od słoty zimowej przykryła koszyczek cegielką małą. Gdy atoli na wiosnę nad grobem odezwały się pieśni ptasząt, przebudziły pieśni rośliny śpiące, przebudził się też acanthus, co także był drzemał w grobie obok śpiącej dzieciny; on ożył i puścił łodygi zielone i strzelił w liście, a liście jego objęły miłośnie koszyczek, zwijając się miśternie pod cegielką ową. Zdarzyło się, iż przechodził tamtędy rzeźbiarz Kalimach, człek, co miał w oku serce, i patrzy, i zachwycony wdzięcznym widokiem siadł i przerysował koszyczek, i cegielkę i liście, i uczynił z tego głowicę do kolumny; i takito jest początek korynckiego kapitelu, a opowiedziałem go biorąc sobie za tło podanie Vitruviusa.

Otoż tu podchwyciliśmy grecką fantazyą na uczynku; ona z niewinnych bawidełek i z liści wyrosłych na grobowcu młodej dziewczyny stworzyła sobie architektoniczną formę, ochuchawszy kolumnę tchem poezji lubej. Proszę cię nie myśl atoli, jakoby ten kapitel koryncki, choć strojny we formy od roślin pożyczony, był naśladowaniem natury; w Grecyi już natura przemie-



niona, ona tutaj jest tylko jeszcze szatą dla ducha, przezroczeniem lekkim, przez które on się patrzy.

Te liście korynckie — toć nie kopia rzeczywistości, to wesołe drwinki, lekkie żarty igrającej fantazy greckiej; ona uśmiechając się przetwarza sobie formy roślinne na ornament architektury. A tak i pod tym względem widać ześlubienie ducha a natury.

Hellada nie jest Egiptem, nie jest Azyą; ona wie, że kolumna nie jest łodygą, że kapitel nie jest pączkiem ani kwiatem. Dla tego Grecy równie nie lubili Karyatyd onych postaci ludzkich wyrzeźbionych, co zastępują dźwigające kolumny; im jakoś było wstrętne, duszno patrzeć się na to poniżenie form ludzkich, które przecież są ducha przybytkiem. Przepych takiowy chętnie zostawiali barbarzyńcom wschodu, rzadkim tylko wyjątkiem używając postaci ludzkich zamiast słupów, bo jedynie wtedy, gdy chodziło o pamiątkę odniesionych tryumfów; a tych przykładów na palcach się doliczysz. Owe zaś Kanefory, owe dziewice marmurowe cudownej piękności, niosące koszyczki na głowie a podtrzymujące tram w jednej z kapliczek ateńskich, pewnie nie raziły uczucia, boć te dziewice tak hoże i wdzięczne, belkowanie zaś z umysłu uczynione tak lekkie i eteryczne, a wejrzenie niewiast tak spokojne, iż znać, że ich praca istnym żartem.

Dla instynktu artystycznego Greków wystarczyło, by samą proporcją kolumn oznaczyć ludzką postać, a nawet płęć. Różne zaś porządki słupów wypłynęły z różnego uczucia różnych szczepów greckich. Jońska i Koryncka kolumna mają podnoża, a tak każda z nich, choć do ogólnej całości budowli należy, jest znowu jakby całością o sobie stojącą. Dorycka kolumna zaś

nie ma osobnego podnoża, ona z całym szeregiem swoich rówiennic osadzona na wspólnej podstawie. Tak też działo się w rzeczywistym świecie; w państwach jońskiego pochodzenia rozwinęła się swobodnie indywidualność każdego z osobna obywatela, w państwach zaś doryckiego rodu indywidualność była starta; ogół brał górę nad odosobieniem się ludzi, on był im spólną ogólną podstawą. I zważ, że gdy w Atenach tak rzeczko, tak świeżo i bujnie zakwitła indywidualność ludzka, więc też tutaj wcześniej, niż w innych ziemiach właściwej Grecyi, rozwinął się joński porządek. A lubo prawda, że w czasie najświetniejszego rozwoju sztuki pięknej za czasów Periklesa porządek dorycki był w Atenach przeważający i dla tego właśnie tracił tam swoje wejrzenie ponure i butne, a kolumna dorycka wyzwolona z pod ucisku wznosiła się pełna swobody i nabierała kształtów wysmukłych; co więcej, ona w arcydziele architektury owoczesnej (w Propyleach) wdzięcznie umiała się łączyć z kolumną jońską — był to jakby cudowny śpiew męzkich i żeńskich głosów, któremi duch Hellady śpiewał chwałę swoją.

Z tych różnych kolumn, różnych szczepów, mógłbyś wywróżyć różnicę usposobienia tych ludów, różnicę ich żywota, ich losu i skonu. Te dwa porządki kolumn mają się do siebie jak Solon łagodny, a twardy Lykurg, jak Ateny a Sparta.

Patrząc na tę naszą Posidońską świątnię, <sup>znac.</sup> że ona wyprzedziła Periklesowe czasy, że te jej kolumny zachowały jeszcze całą starą zadumę zuchwałą; one spoglądają na cię tak hardo i poważnie, tak są uroczystości i grozy pełne, a przecież spójrzanie ich tak

rzewne i tkliwe, tak serdeczne a poruszające, że już na widok ich same ci się powtarzają w duszy słowa owego termopilskiego grobowego napisu: „Przychodniu! powiedz Sparcie, żeśmy tu legli, posłuszni jej prawom!“ Ty, wędrowiec z zimnej północy, sercem gorącym, miłością wrzącą wlałeś uczucia twoje w te ślasy południowego świata, wskrzesiłeś do życia świątynię zmarłej przeszłości, a Poseidon, stary gospodyń domu tego, miłość miłością płacąc, życie za życie dając, przemienił nawzajem serce twoje na świątynię, — na świątynię tego, co wielkie i zacne na ziemi; on w tych piersiach twoich zamieszkał, więc też się patrzysz na to budowanie Hellady własnymi jego oczyma.

Jak Hellady serce żyło w harmonii ze światem zewnętrznym a wesołym dramatem natury, tak też jej świątynice zwracały na zewnątrz całą piękność architektury swojej; i ta nasza świątynia nie ukryła się wewnątrz siebie, ale zwróciła te jasne, wesołe podsienia, te kolumnady swoje do świata, na znak zgody z naturą i przymierza z ludźmi.

Stąd te podsienia zalewa radośnie powódź światłości; do nich miał przystęp ów lud mówny, ruchawy, o jasnym oku a sercu wesołym, poufalący się z bogami swojemi. A pięknie też tym kolumnom, co tak uroczo rysują kształty swoje na jednostajnej ścianie świątynicy, bo w tych ścianach nie ma okien, coby krzyżowały, niepokoiły, bałamuciły kontury kolumn.

Gdy szerokość budynku wyrównywa prawie połowę długości jego, stąd też te wymiary tak cudownie się miarkują i równoważą. I takąż równowagę znajdziesz w stosunku wymiarów poziomych do wysokości

całej. Tu nie obaczysz ani rozchodzenia, szerokiego rozczółgiwania się budynku po ziemi jak w Indyach, ani sennego zrywania się wzgórze piramid Egiptu. Nie ma też tu przesady w przystrojach rzeźbionych jak w budowaniach nadnilowych, kędy czasem trudno zgadnąć czy rzeźby są dla budynku, czyli budynek dla rzeźby. Grecka fantazyja oszczędnie używała skulptury, nie zacierając nigdy właściwej cechy architektonicznej; owszem ta rzeźba, również jak malowanie jak pozłota była budownikowi tylko pomocą, by charakter każdej części, każdego członka architektonicznego podnieść, uwyraźnić i spotęgować.

Lecz słońce, mając się już ku zachodowi, rospływa złotem po tej ciosowej poezyi i zapala na niej światła różowe i pełne głębokie cienie brązowe; nie czas ci już prawić o tym mistrzowskim rytmie, którym sobie wtórują części belkowania, o współdzwięku, którym się odzywa brus, stropowie i wieniec. Odbuduj sobie jedynie w myśli dach, który zaiste od lat tysięcy runął. Chciiej baczyć, iż jak w Egipcie szczegółowe budynki, pilony, dziedzińce, choć należące do jednej i tej samej świątnicy lub pałacu, nie wiążą się przecież w organiczną całość; tak też każdy z tych budynków nie jest całością w sobie skończoną, a nie jest taką całością już nawet i dla tego, że dach nie jest widny dla płaskości swojej; brakuje tedy estetycznego zamknięcia z góry, uzupełnienia całości. W Grecyi, przeciwnie, widzisz dwa szczyty po dwóch węższych bokach świątnicy, i im odwrótne po dłuższych bokach dwa połacie dachu, dwa okapy; sam kierunek kalenicy tedy okazywał kierunek całego przybytku. Tak tedy pochyłość piramidalna, będąca w egipskich budynkach

formą przeważającą, tutaj w greckiej architekturze odzywa się tylko jeszcze w kształcie dachu, stała się tylko jednym z pierwiastków całości.

Zważmy, jeżeli na wschodzie, a mianowicie w Indjach, fantazyja budownika, będąc bezmiernem sennem marzeniem, miota się i szamocze, nie znając praw rozumu, w Grecyi istnieją prawa i ustawy sztuki; ale wśród tych ustaw znowu z wolnością i swobodą porusza się geniusz artystyczny. Jest prawo, że świątynia jest domem podłużnym, zamkniętym w sobie, otoczonym w koło kolumnadą, każdy porządek ma sobie dane liczebne proporce, a przecież fantazyja może swobodnie urozmaicić całość świątynicy. Podobnie, też prawidła, odnoszące się do liczebnych stosunków i proporecy, kładą jedynie im pewne granice (stanowią jedynie ich minimum i maximum) których przestąpić nie wolno. Dla tego, mimo tych przepisów sztuki, nie znajdziesz w całej Grecyi dwóch świątyni zupełnie do siebie podobnych. Tak i tutaj, jak i we wszystkich kierunkach żywota greckiego, prawo zewnętrzne i indywidualność osobista człowieka zaślubione są wolnem, swobodnem przymierzem; i tu nie ma ani swawoli bezuzdnej, ani duszności krępującej.

Wstąp teraz do wnętrza naszej świątyni Neptuna. Ten wewnętrzny przybytek spokojny, cichy jako serce zacnego starca po burzach żywota i krzywdach światowych. Ziemię zasłały ogromne, zgruchotane ciosy, spiętrzone w pagóry, a na pagórach jakby na grobach wyrosły bujne krzewy kwieciste i zioła pachnące; ścigają się po nich motyle, owe maluchne zmartwychwstania wieszce. Tam, pod ochroną długiego cienia kolumny, zasiadł samotny artysta — i on, jak widać,

synem obcej dalekiej ziemi; pędem, ołówkiem chwytając wizerunek tych dziwów, by mu już towarzyszyły na zawsze przez świat. Szczęśliwy to ród tych artystów! Ich życie także motylim żywotem; kędy się roztworzy piękność barwą i wonią tam zlatują i ssą słodczye niebiańskiej uciechy i karmią się nieskończoności kwiatem. Co piękne, co urocze a wdzięczne to jest ich ojcowizną, to ich własnością.

Jak świątynię na zewnątrz otoczyły kolumny, tak we wnętrzu, w kierunku długości, stanęły dwa ich rzędy; na nich spoczął ogromnej potęgi brus ciosowy, na którym znowu wznosi się drugi rząd kolumn nierównie mniejszych. Dziś z tych słupów zwierzchnich pięć tylko przetrwało potrącenie stuleciów, co tędy do wieczności przegnały, inne spadły z wysoka, drżąc śmiercią wśród ziół i kwiatów. Uważ, te wierzone mniejsze kolumny niegdyś podierały dach. Zapewne i tutaj ten dach, jak wszędzie w większych świątyniach dla ich oświetlenia, był w środku wycięty szeroko; w mniejszych bożnicach otwory wąskie w stropowiu wystarczały dla celu tego. Tak tedy środkowa część wnętrza miała niebo za strop, a słońce i gwiazdy patrzyły się w serce świątynicy, opływając jasnością posąg boga, który się tutaj wznosił w milejącym majestacie. Ta postać jego była olbrzymia w porównaniu przybytku samego; całe budowanie, choć pełne wspaniałości, malało, skromniało w obec olimpijskiego mieszkańca. Świątynia Hellenów nie była już pustą łupiną jak egipska, ona w rzeczy samej jest domem a mieszkaniem gospodyni, co tu włada uosobioną potęgą.

Rozpuść raz jeszcze oczy i uczucie twoje po tych

głazach, niechaj ci ta lira kamienna raz jeszcze zaśpiewa pożegnaniem, niechaj ci po raz ostatni jęj dźwięki uroczyste a lube wsiąkną w duszę, byś je uniósł z sobą kędy zimne wieją wichry, kędy natura lodami krzepnie a gorące serce w piersiach żyje. Raz jeszcze, i już na zawsze, pożegnaj przybytek ten! spójrzyj na niego po raz ostatni; a choć ci smętno i chmurno w duszy, pomnij, że i chwilka mała, co ci upłynęła w obec piękności, zaważy długie lata tego zwyczajnego, tak biednego żywota; chwilka takowa, choć przelotna, w której ci się udało oko w oko obaczyć piękność i rozmówić się z tém, co zacne i wielkie na świecie, jest zaiste szczęśliwem podejściem własnego losu i ogromną, niespodzianą wygraną w życiu!

I patrzysz się na tę świątynię, a trudne, a bolesne z nią rozstanie; aleć bo i jęj samej czegoś tak smetno i chmurno, może i jęj żal pożegnać się z tobą! Może i jęj mile było i lubo, że ktoś zrozumiał tajemniczą jęj mowę; a żeś te nieśmiertelne jęj wdzięki sercem ukochał, uwielbił, żeś podsłuchiwał jęj ukryte, a tak głębokie boleści, stąd też i ona, przy rozstaniu z tobą, nastroiła tony żalobne wtórujące strunom duszy twojej. Ba! téj świątynicy też smętno i chmurno; ona zaiste od urodzenia swojego, od poczęcia już ukrywa w sobie boleści głębokie! Stały w świątnicach bogi radością, weselem promienne, z uśmiechem pokoju na ustach, otulone w uroki i wdzięki niebiańskie. A tym bogom rodziły się też ludy o sercu radośnem, weselném — dzieci szczęścia i ziemskiej rozkoszy. Kwiaty i wieńce i wonie składały te ludy na ofierne swych świątnic ołtarze; a brzmiały, pieśni i lutnie i tany bogom na dzięk, na cześć, za żywot tak błogi, za losy bezchmurne,

za wiosenne ich dzieje, za urok tak młody. Kwitły tym ludom róże miłości, kwitły im róże na ścieżce żywota.

Lecz gdy noc głęboka samotna po ziemi, po niebie rozleje swe cienie, gdy mrokiem smętnym obejmie te wdzięczne bogów postaci, już one są tak zadumane, tak tęskne, a boleścią tak rzewną, tkliwą owiane, żeć się zdaje że ta cicha kropelka, co po ich spływa obliczu, nie jest nocnej rosy kropelka, ale łęku i troski łza.

Czegoż te cienie, te mroki nocne tak smućą, trwożą tych bogów postaci? z kąd tym bogom ta żalność bolesna, z kąd im te lęki i tęskne przeczucia? — Słuchaj, od wieków, od wieków zapadłej przeszłości idzie zgrozy pełna wieść — wieść, co jęczy w cichych nocnych powiewach, co szeleści w liściach oliwnych, w gajach cyprysów i laurów bogom poświęconych, co się żali w szeptach strumienia, którą nawet słyszą bogi w cichym kwiatów i ziół westchnieniu. Słuchaj co niesie straszna owa wieść! Gdy jeszcze panował rodzącym się dopiero ślepym potęgom przyrody Kronos, ów złowrogi, chłonący dzieci swoje, Czas, gdy jeszcze nie było na stolicy świata Jowisza, boga bogów, ani jeszcze żyła Hera, niebomoca pani, ani żył Poseidon morzowładny, ani żaden z jasnych niebian Olimpu, wtedy noc ciemna, bezdenna zrodziła dzieci swoje, dzieci okropności pełne. Wystąpiła z łona jej Ker — śmierć blada, „wichroskrzydła,“ „sercołonna,“ śmierć; a drugim ciemnym porodem nocy było Przeznaczenie, owo nieprzeblagane, nieodwrotne głuche Fatum. A zrodziła noc te straszliwe dzieci, bez małżonka, bez miłości. Ker ściga ludzi, a Przezna-



czenie potężniejsze nawet niż niebian potęga. Więc niesie wieść że ta córa nocy zamknie kiedyś w swych otchłaniach ciemnych, bezdennych całe jasne grono promienistych olimpijskich Bogów. Tę to wieść szeptają strumienie, szeleszczą liście gajów i nocne powiewy; tę wieść proroczą wyrocznie. Ztąd więc tym bogom tak smętno, tak straszno, tak rzewno i bolesno, gdy zapada noc — ich przeznaczenia zwiastuna. Bo co piękne, ze światem doczesnym jest ześlubione; co piękne, tego śmierć jest przeznaczeniem!

I ziściły się straszne przepowiednie; otworem stały otchłanie bezdenne, ciemne, a z jasnych świątlic, płynających w powodzi światłości słonecznej, wystąpiły bogi, a bogi smętne, żałobne; ciągną długim pogrzebnym orszakiem, za nimi płyną nieprzejrzany tłumem ich ludy ukochane; a bogi i ludy wchodzą razem do otchłani bezdennej, ciemnej. Fatum jako grób, przyjęło, nocą nieprzespaną nigdy i Olimp jasny i ludzi radosnych i cały ten wdzięczny, luby świat.

Spełniły się straszne wróżby twoje, o ludu biedny! Na ciebie i na bogi twoje padło przecucie tęskne, bolejące, że umrą bogi twoje, boć one są z tego świata bogi, bo one, jak i ty, doczesności dzieci! Chmurno ci było i smętno; bolesno i żałośno było bogom twoim, bo ciebie i niebian twoich miała otulić ciężka gruba noc. Lecz ta ciężka noc waszego skonu stała się dla świata wiekuistej światłości zdrojem, ona stała się dla świata nocą Zmartwychwstania! stała się Wielką-Nocą! Tobie zgasły gwiazdy wszystkie, ale zapaliła się owa gwiazda Boża nad Betleemską strzechą; w onęj nocy zrodziło się świata Zbawienie! — Zbawienie z ciemnej nieprzespanej nocy! Spełniły się proroctwa, bo

śmierć umarła śmiercią. Śmierć nie jest więcej nie-przespanym snem, śmierć stała się żywotem. — Sama tylko pusta świątelnica stoi, i дума, i marzy w upadku swoim; jej tylko samęj bolesno i żałobno po tych jej bogach zmarłych.

Ale nie! te bogi nie zmarły; one ustąpiły z wysokiego Olimpu, ustąpiły z rządów świata; one już nie wodzą słońca po niebie, ani rozkazują morzom, one już nie wywołują kwiatów z ziemi, ani sądzą już więcej, umarłych pośmiertnym sądem; lecz im oddane inne panowanie, inne świątelnice. Te bogi wprawdzie otuliło nocne fatum bezdenne, one zniknęły z żyjącego świata; ale o dziwy! dwanaście stuleciów przesumiało ciężko nad ludzkim rodem, — dwanaście długich stuleciów, — wtedy bogi powstały z długiej sennęj niemocy, podniosły się z ciemnicy grobowęj, a nie wróciły już do Olimpu, lecz zostały z nami, — z nami na ziemi; one zebrały się w piękności świątyniach i tam, odziane marmurową bielą, stanęły posągiem na wzniosłym podnożu; tam promieniały się i świecą wdziękiem nieskończonym. Patrz, tam w wiekuistej Romie dźwigły się watykańskie pałace i Świętego Piotra gród, a obok apostolskiej stolicy, w samych watykańskich pałacach dziś zgromadziły się dawne Olimpu mieszkańce w bogato dla nich ustrojonych przybytkach. Wiara z miłością użyczyła przytułku wiecznie żyjącej piękności dawno zapadłych ludów.

Zaprawdę, w owęj Wielkiej Nocy dokonane było, co drgało poczuciem w tych starych ludach, bo i w nich żyła wiekuistości wróżba, a świata zbawienie poruszało się w sercu zapadłych narodów i dawało znać o sobie to widmem senném, to tęsknieniem marzeniem

i przemawiało przez usta proroków; o niēm wie-  
szczyły Sybille natchnione i tajemnicze wyroczni słowa.  
To przeczucie zbawienia tak pukało w duszy ludów i  
ubierało się w poezyą ich mitów, jak młode serce  
dziewczyny, nie zaznawszy jeszcze miłości, przeczuwa  
ją atoli we wróżbie uczuć i w postaciach fantazyą  
stworzonych, jak lekkie obrazy i gry porannego snu  
wyprzedzają prawdę jawną i rzeczywistości pełną.

W Grecyi chodziła z pokolenia do pokolenia  
dziwna wieść, co ją zrodził lud przeczuciem z głębi  
ducha swojego i odział fantazyą najcudniejszej poezyi,  
a wieść, jako mit uroczy, żyła w ustach i piersiach  
ludn. Hezyod wypiewał ten mit proroczy swojej arfy  
dźwiękami, a Eschylus uosobił go i unaoczniał  
w tragedyi.

Wierzył hellenński lud wiarą serca, że w zaraniach  
ludzkiego rodu biedził się twardo z życiem człowiek,  
że na myśli jego cisnęła ciężka pomroka „więc patrzył  
a nie widział, i słuchał nie słysząc,“ powiada staro-  
wieczne podanie.

Ulitował się atoli rodu ludzkiego jeden z Tytanów,  
ów światłodawca Prometeusz, boć w trwożne serce  
człowieka zaszczeplił choć uludne pośmiertne nadzieje,  
a spiąwszy się w niebo, unosił zazdrośnym Bogom  
ogień niebiański, i światłem nadziemskim rozjaśnił  
ludzkiej duszy ciemnice. Człowiek przejrzał: więc  
zaznał siejby polne i nauczył się jak wschodzą i  
zachodzą gwiazdy, jak zrozumieć wróżby rzeczy przy-  
szłych i jak proroczy ptasi polot; a wiadomość wszelka  
i sztuka wszelka wstąpiła w głuchą myśl człowieka.  
Lecz zawistny ludzkiego szczęścia Zews (Jowisz)  
zemstą nieużytą rozkazał przykuć Tytana do samotnej

skalnej iglicy odsadzonego od świata Kaukazu, i nasłał nań sępa, który wiecznie mu rozdzierał wiecznie odrastające wnętrzności. Cała natura wkoło przychodziła chorem żalnym płakać nad przeznaczeniem dobroczyńcy ziemi; wystąpił z przepaści ciemnych Okeanos wodowładny i bałwany zagrzmiały żalnym jękiem, i przyplęnęły rzeki i źródła westchnęły stroskaniem, a ile ludów zamieszkało świętej Azyi równiny, tyle bolesnego współczucia, tyle było łez wylanych w ofierze; nawet Tartaru otchłanie i urwiska nocne jego odezwały się głuchym smętkiem. Prometeusz trwał w cierpieniu, bo jasnym przecuciem widział, że i Jowisza doczesne jest panowanie, że i on runie ze stolicy rządów nad światem.

Przeplęnęły stolecia po stoleciach, przeleciały lat miryady a Prometeusz cierpiał nieskończone i niewypowiedziane katusze. I znowu umierały i rodziły się nowe stolecia w mękaeh bez granic, aż z Jowisza, najwyższego króla Olimpu i Alkmeny, śmiertelnej niewiasty, zrodził się Herkules; ztąd też dwojaki w bohaterze tym ważył się pierwiastek: ojcowski unosił go ku bogom, gdy pierwiastek po matce zatrzymywał jeszcze na ziemi, nakazując cierpienie i twarde pasowanie się z życiem i pracę, trudu pełną, by się nieba dosłużył i aby się stał jako jeden z bogów. Tak żywot jego jest pasmem poświęceń krwawych i trudem trudów. Herkules, jeszcze dziecięciem będąc, dał światu przyszlność swojej dławiąc dwoje węzów w kolebce niemowlęcój; a gdy wyrosłszy na młodzieńca stanął na rozdrożach żywota, już odwrócił się od dziewicy, wabiącey przelotną ziemską rozkoszą, a po-

szedł ze drugą, co, polecając ścieżkę cierniów i boleści, zwiastowała mu tryumfy nieśmiertelne.

Przeszedł światem bohater wśród zwycięstw, okupionych walką a cierpieniem i stanął pod Kaukazem. Poznał go Prometeusz, — a poznał że właśnie ten najukochańszy syn Zewsa będzie zbawcą jego. Pomodlił się bogom strzałosławny Herkules i przeszył krwiożerczego sępa, i wybawił z mąk Tytana i wyzwolił z długowiecznych katuszy: a Prometeusz na oznakę swojej winy i pokuty uwieńczył czoło koroną oliwną i nadział na palec pierścień żelazny, jako przebytego jęctwa znamię. I znów poszedł Herkules przez świat szeroki, by wyswobodzić człowieczy ród i przemógł hydrę stugłową i ludożercze rumaki i srogie szaleństwem woły, i lwy zajadłe, i potwory, co na poły ludzkiej, na poły zwierzęcej potęgi: — Tak padło pod ciosami jego, co tylko tchnęło chucią zmysłowej natury; i przemógł też Cerbera, stróża ohydnych piekieł i wywlokł go na jaw dzienny. Cięższym atoli trudem nad te wszystkie prace były cierpienia, które wytrzymał Herkules oddając się w służby poniżające, a posłuszeństwo dobrowolne z ubliżeniem zacności swojej.

Zwalczał Herkules trudy po trudach, aż znalazł w bolesnej śmierci ukoje ziemskich prac. Małżonka Dejanira krwią niecnego centaury Nessusa skropiła szatę białą bohatera, by go uczynić miłością wierną na wieki. Zatruta krew potworu, zrodzonego z młaku materyi, żarem jadu paliła członki; Herkules zrzucił z siebie zdradną szatę, lecz z nią zdarł zarazem poszarpane ciało swoje, — ciało doczesne przystępne jadom doczesnym. Przeto, na górze Oeta sam wzniósł

sobie stós ofierny i wśród płomieni umiera oczyszczony z zuzelie ziemskich; umiera atoli samą tylko śmiercią tuteczną, bo na płonące ognie stosu spuszcza się obłok, a Herkules, uniesiony do nieba, został zaślubiony z Hebą, młodości wiekuistej boginią, z oną wdzięczną cześnicą bogów nieśmiertelnych, co im nalewa napój wiekuistej radości i niebiańskiej uciechy. Sam jeden Herkules ze wszystkich ludzi wzięty jest do Olimpu, on sam jeden stał się równiekiem niebian z cierpien i dosługi.

Tak w tej starzej Herkulesowej mitycznej wieści znajdziesz w połączeniu niebiański i ziemski pierwiastek i tryumfy ducha nad chucią zmysłową; tu widzisz uzacnioną materyą, ciało duchem świecące, — obraz człowieka łamiącego się z życia trudem o wieniec wiekuiste. Przecież to wszystko jest dopiero marzeniem nocnem pierwiastkowej, nieprzebudzonej jeszcze Historii ludzkiej; są to widma, wróżące we śnie o nowym żywocie, co się kiedyś zrodzić miał w dziejach świata! są to przepowiednie o zbawieniu rodu ludzkiego, zamknięte jeszcze w pączku bożego kwiatu! W tych proroctwach sennyh a poczuciach duch nie jest jeszcze duchem w sobie; on jeszcze zmysłami oczyniony i odziany jeszcze powłoką cielesną, choć uzacnioną, promienistą! Ta stara wieść, niby fosforescencya duchowa a błędne nocne światelko, miała zgasnąć za nadejściem porania prawdy, a wschodem niebiańskiego słońca.

To podanie pradziadowe o Herkulesie było wyrażeniem istoty greckiego ludu, owój harmonii ducha a ciała uzacnionego poświęcą jego, tej istoty będącej ze-strojeniem treści wiekuistej z formą uwidomioną w ma-

teryi. I dla tego ten Herkulesowy mit jest sztuki i piękności zwiastunem. Bo i piękność jest wiekuistością odzianą we formy materyi, i ona dwoistego jest pierwiastku: jeden z nich z nieba, drugi z ziemi pochodzi. I piękność wybawiła świat z grubiej zwierzęcej ochoty i przemogła dzikie materyi potęgi; i dla tego ona zostawia zwłoki ciężkie na poniżach natury a wyswobodzona ogniem od doczesnych zuzelic, ciałem przeczystem unosi się do Olimpu: tam żyje w wiekuistej młodości, w niezamąconém weselu. Zrozumiesz przeto, że podanie o Herkulesie dziwnie się nadawało greckim wieszczom i artystom.

„Zgruchotany, sponiewierany do ostatka, bez rąk, bez głowy, bez nóg pojawia się nam posąg ten; lecz kto zdolen wpatrzeć się w tajemnicze tonie sztuki, obaczy go w promieniach dawniej piękności jego. Mistrz w tym Herkulesie wykonał ideał wzniesiony nad zwyczajną przyrodę, a ideał przyrody nieskończenie wyższych stuleciów, spotęgowanej do szczęśliwości niebian. Ta jego postać pojawia się nam oczyszczona z doczesnych pyłów, zasiadająca nieśmiertelnością w pośród bogów stolicy.“ Temi słowy zachwycenia zawołał niegdyś Winkelman, gdy ujrzał owe marmurowe dziwo, ów okruch posągu, który dziś zowie *belwederskim torso*.

Z gorącą czcią w sercu, z niemém milczeniem na ustach wstępujesz w progi Belwederu w Watykanie Rzymskim. Przed tobą bieży galerya, jakby ulica sklepiona długości nieprzejrzanej. Ona dziełem nieśmiertelnego Bramante. Wspaniale, a przecież lekko sklepi się nad galeryą strop; strop lekki, eteryczny, by cię nie cisnęło tęsknotą to olbrzymie budowanie.

Choć cię Rzym nazwyczał do ogromnych wymiarów, choć cię wyuczył mierzyć rzeczy ludzkie na lat ty-  
siące, na wielkości światowładne, choć cię oswoił gi-  
nąc okiem w niedościgłych przestrzeniach ręką ludzką  
zbudowanych, choć w tym Rzymie wszystko, na co  
kiedyś patrzałeś i co kiedyś przesunęło ci się myślą,  
kurczy się w karła, toć przecież ten korytarz z całym  
rzędem nieprzeliczonych okien swoich przemawia do  
ciebie, jakby ustami długich wieków.

Pochód tą galeryą jest iście podróżą. Od dołu,  
od góry, z prawej i z lewej, wzdłuż ścian cisną się  
grobowce, popielnice, napisy, sarkofagi, jedne poświęcone  
pierwszych chrześcijan, inne nieme świadki starych po-  
gańskich stuleciów. Zatrzymujesz się niekiedy słucha-  
jąc rzewnej mowy cichych gładów, ale cię prze do po-  
śpiechu jakiś niepokój wewnętrzny. Na inną chwilę  
zostawując te pomniki stare, udajesz się w dalszą piel-  
grzymkę, i znów dalej a dalej towarzyszą ci ciżba nowe  
szeregi napisów, pomników, grobowców. Daleko je-  
szcze przed tobą ciągnie się ta galerya, teraz widzisz  
atoli już wyraźnie jej granice; tam schody marmurowe  
wznoszą się ku bramie żelaznej, przezroczystej, zdobnej,  
ale do końca galeryi, do tych stopni jeszcze daleko.  
Na uboczu pod ścianą, siadł na stołku prosto-duszny  
syn Alpów, gwardzista szwajcarski; halabardę średnio-  
wieczną oparł o sarkofag, helm złożył na posadzkę;  
i strojno mu i dobrze w tej sukni opiętej, uszytej ze  
skrawów błękitnych, żółtych i czerwonych wedle ry-  
sunku, jak prawią, Rafaela; szwajcar podkarmiony  
świecistą twarzą ziewając patrzy i na te pomniki da-  
wne i na podróżnych gości. I znów dalej się puszczasz  
wzdłuż korytarza, i teraz już przy ścianach obok sie-



bie, nad sobą ustawione posągi, popiersia, grupy, postaci bogów i bogiń, bohaterów. Te stoją hardo opierając się na sobie, te spoczęły zadumane, owe witają cię z uśmiechem na ustach, te z obłokiem gniewu na czole; jedne pomniejsze, inne kolosalne. Nakoniec miąłś i ten Olimp kamienny, już stanąłś w końcu galeryi. Ze stopni wspaniałych rzuciłś jeszcze spójrzeniem na przebieżoną drogę, jakby na całe długie życie, któreś przewędrował przez szereg lat. Wstępujesz po za ową bramę kraciastą, a objął cię w koło przysionek niewielki, lecz poważny jak kaplica piękności, pełna prostoty a dumy szlachetnej. W środku tej świątyniczki na sześciennym głazie jakby na ołtarzu: Torso Belwederski! kadłub — od ramion odtrącone ręce, od kolan nogi, z głowy pozostała tylko część szyi, i piersi nawet uszkodzone; na podstawie wyryte słowa: „Apollonius syn Nestora z Aten.“

Jest to zaiste Herkules spoczywający, bo o tém przekonywa skóra lwia na której siadł, a dziś już bystrość badawcza odkryła, że przy nim stała druga postać, pewnie Hebe; więc bohater już do nieba wzięty, już świecący w chwale niebiańskiej po przebytych trudach, po boleściach. Ten okruch posągu jest całym światem piękności! on zdrojem marmurowym, co bije krynica nigdy niewyczerpanych rozkoszy duchowych. I obchodzisz do koła ten cud wdzięków najwyższych, a wpatrujesz się w każdą linię, w każdy ruch, w każdy ton tych muszkułów, co tu występują to potężnie i silnie, to miękko i łagodnie. Jakże pełne wysokości te słowa Winkelmana, gdy w dalszym ciągu tak o tym torsie prawi: „Niechaj artysta podziwia za-  
„rysy tego ciała, jakto te formy jego nawzajem z sie-

„bie wypływają, i jak one niby fale to wzbierają, to „nizą się, by się znów z sobą spoić i zlać harmonią. „Pozna artysta że niezdola być pewien siebie gdy się „zabierze do odrysowania tych cudownych kształtów; „bo gdy mu się zdawać będzie, że już, już dojrzał kie- „runku jakiejś formy, że mu się już tylko trzymać jej „biegu, a jużci niedostrzeżonym zwrotem forma zlekka „zbczy i z czarodziejska złudzi i oko i rękę jego.

Stajesz to z tej, to z owej strony, a co raz to nowe niewidziane piękności budzą ci się w tym zimnym marmurze, a z każdą chwilą wzmagą się magia, która cię trzyma i czaruje. Radbyś wykąpać oczy tem urokiem nadziemskim, by je na zawsze uświęcić na służbę piękności, byś siebie samego wychrzcil ze wszelkiej skazy i zmaży tutecznej, byś serce twoje wyzwolił od pyłów powszedniego żywota. I zaiste, głos wewnętrzny ci szept, żeś w tej chwili urosł nad siebie, żeś wyszlachetniał: jakże w tej chwili najczystszej uciechy zdają się być marne i drobne te troski, te biedy, które cię tak bolały w żywocie twojem! Rzekłbyś, że duch, przebywający w tym posągu, tchnął w serce twoje, że ten cichy jego majestat nadświatny rozniecił w tobie przecucie oniej błogiej nieskończonej spokojności pośmiertnej, zagrobowej! I stajesz i wielbisz starego mistrza, który w tym Herkulesie i siebie uwielbil i uwielbil zacność ludzkiego ducha.

Lecz serce nasze ludzkie za słabe, by zniosło na długo wielkie rozkoszne wrażenia, jak nie znosi długo głębokich boleści. Stąd radbyś pofolgować wzruszeniu, przerwać uczucia; w przysionku, na przeciw Torso, na uboczy postawiona z marmuru ławeczka, na niej siadasz, byś duchem odetchnął. Spójrzałeś oknem na

zieloną tak artystyczną rzymską naturę; zlekką kołyszą się mirty dziewicze, ciemne pinie, smętne cyprysy, laury harde i kwitnące oleandry; w dali, w przezroczystej różowej rysują się cudowną falą sabińskie góry. Znowu oczyma do przysionku nawracasz. Iście ten Rzym, toć stolica dziwów, wiecznie nowych, wiecznie się rodzących. Na przeciw siebie, za Torso, obok ściany, widzisz sarkofag ciemny, pełen grozy; on zdobny fryzem doryckim, między tryglyfami róże, na nim napis: Corn. Lucius. Scipio. Barbatus. — Scipio! i on walczył z trudem żywota, a łamał się ze światem pełen chwały!

I znowu czarem pociąga cię do siebie torso, i znowu duchem w nim toniesz; zdaje ci się że duch twój a ta postać w jedno spłynęły! Co kto przejdzie, stanie w milczeniu; nikt się nie waży dotknąć nawet ledziuchno dzieła tego, bo każdy, choćby nieświadomy sztuki, instynktem czuje, że ten ułomek jest własnością wszystkich stuleciów, wszystkich narodów, że jest klejnotem całego ludzkiego rodzaju. Już tędy przeszły i przechodzą będą, niby rzeką, długie fale różno-języcznych pokoleń, a każdy z wędrowców zatrzymuje się tutaj z holdem i podziwieniem, i choćby już wiele, wiele razy był widział Herkulesa tego, nie opuści Rzymu, by mu po raz ostatni nie oddał pożegnalnej czci. A tęskno ci a bolesno, gdy cię uderzy myśl, że i na ciebie niezadługo przyjdzie rozstania chwila!

Już podobno nie ma czego prowadzić cię po innych skarbach Watykanu; ten torso, ten kadłub zgruchotany wystarczy nam za wyobraźnika najwyższej piękności rzeźby greckiej.

Ale, zkad tej greckiej rzeźbie ta magia nadziem-

ska, co cię unosi po nad własną istotą twoją? Skąd tym posągom ta uroda niebiańska? — Lud Hellenów jest arcymistrzem nad wszystkie ludy powszechnej Historii. Ale co więcej! ze wszystkich znów rodzajów sztuki, rzeźba jest sztuką Grekom właściwą, ona jest ich sztuką żywotną, narodową. Prądem pełnym światłości uderzyła dusza Hellenów w rzeźbę, w nią się zbierając jako w ognisku swoim! uboczne tylko promienie padły na architekturę, malarstwo i poezję.

Prawda, że te Greków świątynie, ich malowane obrazy i mozaiki, ich wieszce jaśnieją po przez wieki, rozświecając ducha prawnucznych pokoleń, rozgrzewając ich serca wzorami najwyższych, najczystszych wdzięków; toć przecież stolicą żywota Grecyi, najświętszym jej sercem jest rzeźba. Widzisz tedy, z kąd przyszła tym posągom ta magia nadziemna, ta uroda niebiańska: oto, że cała potęga ducha Hellady wstąpiła w rzeźbę. Stąd też także architektura tutaj była organiczną całością, niby ledziuchnym przypomnieniem ciała organicznego, które właśnie jest główną osnową rzeźby; stąd też ów lekki oddźwięk postaci ludzkiej odzywającej się nawet w kolumnach greckiego budowania.

Ujdzie ci, choćbyś porównywał Shakespeara, Dantego z Homerem i Sofoklesem lub Eschylem, nasze tury gotyckie ze świątnią Hellenów, bitwę Konstantyna w Stanzach Rafaela z bitwą Aleksandra na mozaice pompejańskiej, ale Thorwaldsen sam nie śmiałyby się równać z arcydziełami rzeźby greckiej, — a Cagnola? temu źle się przysłużyło umieszczeniem w Watykanie jego Perseusza w sąsiedztwie Apolina belwederskiego i Laokoona. Słusznie ktoś rzekł, że „wieki

„i ludy, idące po Grekach, wyrobiły sobie właściwą architekturę, osobną i wielką szkołę malarstwa i muzyki, zrodziły sobie właściwą rodzimą poezję; ale co do rzeźby są tylko słabymi naśladowcami i uczniami Greków.“ Fantazyja Hellady jest wskrós plastyczną.

Pytasz atoli, dla czegoż znowu skulptura jest tą sztuką od Grecyi wybraną i ukochaną nad wszystkie inne, dla czegoż właśnie ona a nie inna stała się formą a wyobraźnikiem jęj duchowego żywota? Wiele o tém rozprawiano i szeroko pisano. Może mnie się uda choć w krótkich słowach porozumieć się z tobą; co tém snadniej nam przyjdzie, jeżeliś się zgodził na zdania objęte we wstępie poprzedniego listu.

Wiesz, że istotą ducha Hellady, że piętnem jęj fantazyji jest owo zestrojenie ducha a materyi, owe pełne miłości zrękowiny nieba i ziemi. W tym współdzwięku dwóch światów, żadna strona nie przeważa; tutaj duch przenika materyą wiekuistą poświęcą swoją, a nawzajem natura staje się powłoką przejrzystą ducha. Wszak to porównanie tych dwóch potęg było właśnie powodem, że Grecya, choć wiedziała o duchu i znała go być osobą, toć jednak nie umiała jeszcze pomyśleć ducha bez ciała. Właśnie dla tego jęj bogi obok niebiańskiej istoty odziane są ziemską naturą; wiesz równie, że to doskonale równoważenie się treści i formy, ducha i materyi stanowi klassycznosc sztuki greckiej. Lecz z tego wszystkiego wprost wypływa, że dopiero postać ludzka jest najwłaściwszym przedmiotem dla fantazyji Hellenów. Bo cielesność człowieka iście już sama przez się jest ducha przybytkiem, więc objawem osoby; tutaj istotnie brzmi harmonią zestrojenie onych

dwóch światów, ducha i materji, nieba i ziemi, wiekości i doczesnego żywota. Postać ludzka, jej ruchy i rytm, jej fizyognomia i postawa, owa tajemnicza muzyka ciała — są odgłosem ducha obecnego w formach widomych cielesności. Stąd idzie też ogromne znaczenie, jakie miało u Greków ciało rzeczywistego, żywego człowieka, a zarazem poznać możesz, że do prawdy ono było osnową najwięcej odpowiednią artystycznej fantazyi Hellady. Tak tedy się dzieje, że architektura, lubo brzmi w Grecyi w tak cudownych formach, nie mogła być przecie sztuką odpowiednią w zupełności usposobieniu Hellady; budowanie nie wyraża jeszcze w zupełności ducha, nie objawia go wprost; jest ono dopiero symbolizowaniem jego i echem dalekiem. Dzieło architektury nie ma jeszcze własnego swojego ducha, w niem dopiero żyje duch pożyczony od mistrza, który je stworzył. Sama świątynia nie wyraża osoby, sama świątynia bez niebiańskiego mieszkańca jest dopiero głuchą łupiną, piersią upiora bez serca. I dla tego właśnie ludy wschodu, stojące poniżej Grecyi, a mianowicie Egipt, były dopiero ludami budownikami; bo nie znając ducha istoty, nie wiedząc go być osobą, w architekturze znalazły dostateczne, wystarczające wyrażenie swoje.

Zgodzisz się tedy już ze mną, że architektura nie była sztuką najwłaściwszą dla fantazyi Greków, i że raczej sztuka, mająca za osnowę postać człowieka, nierównie więcej była odpowiednią ich artystycznemu usposobieniu. Spytasz się jednak, dla czegoż takową sztuką właśnie miała być koniecznie rzeźba, gdyż przecie i malarstwa najzaciejszym celem jest ludzki kształt z całym dźwiękiem tonów duchowych odzy-

wających się w nim. I spytasz dalej, czém się to dzieje, że wieki późniejsze, a mianowicie ludy chrześcijańskie nie miały również celować w rzeźby, boć to przecież na łonie wiary Zbawienia dopiero wypiastowała się wiedza o istocie duchowej, o znaczeniu duchowem osoby? — Wytłómaczę się, ile zdołam najkrócej.

Jakoż widzieliśmy, że w Grecyi chodzi o zestrojenie ducha i materyi, o zupełną równowagę tych dwóch światów, wypada tedy, aby duch nie przemagał nad materją, aby ona zachowała istotę swoją. Istotą zaś materyi jest jej byt w przestrzeni, więc trzy wymiary przestrzeni, zatém wysokość, długość, szerokość; dalej istotą materyi jest ciężkość. W malarstwie zaś, w obrazie malowanym ta istota materyi ginie; obraz jest-li powierzchnią, ma tylko dwa wymiary: długość i szerokość, a ztąd same przedmioty malowane mają jedynie wymiary zmyślone ale nie rzeczywiste; miłowe oddalenia, skrócenia, perspektywa, ciężkość, cienie i światła i t. p. są tutaj jedynie złudzeniem zmysłów, są jedynie idealne, duchowe, istnieją tylko dla widza, ale nie mają rzetelnego, materyalnego istnienia. Ta przewaga duchowości nad materją w malarstwie okazuje, że ten rodzaj sztuki będzie mniej właściwym dla Grecyi, która jeszcze równowazy ducha i materją, a stanie się rodzajem sztuki właściwszym dla ludów chrześcijańskich; boć w nich materya jest przemożona, starta, a duchowi wyrosły wiekuistości skrzydła. A cóż dopiero muzyka! w której przestrzeń przypomina się tylko jeszcze drganiem muzycznego narzędzia i dygotaniem powietrza, onego jakby duchowego pierwiastku ciężkiej materyi. Muzyka, która jakby nie z tego świata zrodzona, która jakby aniołem, co nas wita przelatując

do nieba, będzie zaiste po nad wszystkie inne sztuką chrześcijańską.

W rzeźbie, przeciwnie, znajdziesz wszystkie trzy wymiary właściwe przestrzeni, zatem materji. Tutaj ducha zmateryalizowanego ciałem widzisz przed sobą, możesz się nawet dotknąć jego form czarownych. Tutaj oddalenia, skrócenia, kształty, nie są złudzeniem, ale rzeczywistością, a cienie i światła nie są udane, ale są rzetelne, same się rodzą. A ciężkość? — Ba, tu nie tylko materya, nie tylko ten marmur lub spiż cięży, ale sam posąg cięży na sobie, na swoich członkach, on sam opiera się na sobie. Słowem, co tu widzisz, to jest rzeczywiście; co istnieje dla ciebie, dla ducha, toć istnieje i zewnątrz ciebie i materyalnie: tak i pod tym względem jest zgoda ducha i materji — człowieka wewnętrznego a zewnętrznego świata. A gdy w Grecji właśnie chodzi o wyrażenie ducha w cielesności, stąd tutaj piękność i forma ciała jest głównym warunkiem; przeto też draperya nie ukrywa cudności tych form, lecz właśnie służy aby wyświecić ich urok i najwyższy wdzięk.

Chciiej baczyć, że w tém całym rozumowaniu nie miałem bynajmniej na celu przeczenia, jakoby wieki chrześcijańskie nie szczyły się wieńcami chwały Michała Anioła lub Thorwaldsena, albo jakoby Hellada nie wykwitła arcymistrzami malarstwa; chodziło mi raczej o wskazanie dążności artystycznej, przeważającej we dwóch światach, tak wskróś różnych od siebie. Ten splot wiekuistości a świata fizycznego w sztuce plastycznej Greków jest powodem, że potęgą cudowną rzeźby ich bogi uwidomiły się na ziemi; wszak i bogi są nieskończonością uzmysłowioną; ztąd one ubłagane



mistrza fantazyą spuścili się z wysokiego Olimpu, stanęły wśród ludzi i pojawiły się oczom śmiertelnym.

Właśnie atoli dla tego, że skulptura była sztuką wybraną, najukochańszą Greków, ztąd też Hellada cała się jej powierzyła, w nią wlała całą miłość swoją, w niej złożyła całe własne życie i wszystkie tajemnice duszy swojej. Nie dziw tedy, że rzeźba w Grecyi żyła długą nieprzekwitłą wiosną, odradzając się ciągle arcymistrzami nowymi, że ona przetrwała wszystkie inne sztuki Hellenów, że przeżyła nawet byt polityczny ich ojczyzny. Dawno już owa Roma nieużyta, harda i twarda położyła brzemie miecza swojego na pełnej wdzięku Helladzie; dawno już dawno i poezya nawet z ostatnim lutni dźwiękiem umarła na ziemi i uleciała w nadświatne krainy, by w nich przeczekać długą, kilkunasto-wiekową noc, co miała paść grubą, ciężką cimą na ludzki ród. Przeczucie smutne cisnące serce świata niby zły sen, niby mara, dręczyło duszę zwolna konającej Grecyi; wtedy sama jedna skulptura została z Helladą, jakby matka u śmiertelnego łoża najukochańszej swojej córki i przebyła z nią cierpienia i boleści wszystkie; i pocieszała ją długo jeszcze szeregiem postaci marmurowych i bogów, co świeciły pięknnością wśród tęsknego mroku, a bogi zstępowały na smętną ziemię jako wspomnienia przeszłości wielkiej chwały, uczuć dawnych i upłynionych dziejów. Nie było już pieśni radości, wszystkie tony przebrzmiały w głuchocie. Po ziemi Hellady wdziękiem uświęconej, teraz gruzami zasłanej, grzmiał jedynie pochód ciężki, spiżowy rzymskich legionów. Lecz geniusz Grecyi, zanim się uniósł do nieba Historii, jeszcze długie lata przemieszkiał w cichej nadziei-

skieję piękności tych posągów; one śnieżne, bez skazy, z uśmiechem innego świata, broniły długo jeszcze ród ludzki od rdzy barbarzyństwa, a uzacniając nawet onych synów od wilczycy karmionych, chroniły długo jeszcze Historją od wrogięj potęgi nadchodzącej już nocy.

Uważ, że co było u Greków powodem tego prężnego znaczenia skulptury, stało się też powodem owęj ogromnej wartości, jaką miały u nich postać i ciało rzeczywistego żywego człowieka. Piękność i urodziwość ciała uchodziły u nich za zasługę, dla tego też gimnastyka stała się tak celnym warunkiem greckiego wychowania; lecz ona nie była bynajmniej owem samem rubasznem ćwiczeniem muszkułów i kości i pięści, gotującym obrońców, gdy o płatne pójść miało; zacniejsza strona gimnastyki imiała się duszy człowieka, ucząc młodzież jak wyrobić estetycznie, muzycznie ciało, aby cała postać i wszystkie jej ruchy stały się ducha wyrazem, aby osoba cała była żywym posągiem, do bogów podobnym. Kto tego dokazał, nazywał się u Greków muzycznym człowiekiem. Gdy zaś te bogi same są wiekuistością uwidomioną w najwyższej piękności, cóż już dziwnego, że ułożenie, że ruchy pełne wdzięku, że taniec ściśle się łączył z obrzędkiem religijnym i z ofiarą, którą człowiek czynił niebianom swoim. Zaiste wiele ludów starych odprawiało tańce na cześć bóstwa, ale sami Grecy, ów lud-artysta, zaprawdę znał istotę prawdziwą jego. Tutaj, pod tym głębokim nieba błękitem, a przecież wiecznie promiennem, jasnym, — tu, w oczynnie wszystkich wdzięków, taniec był zaiste sztuką piękną, bo był rzeczywiście wcieleniem nieskończono-

ści ducha i odbiciem nadzmysłowego świata; tutaj duch a natura, bo ciało, zaślubione wieszczem natelnieniem, równoważyły się harmonią artystyczną. Dla tego też nie tylko nogi, ręce, były wyjawieniem wiekuistej treści człowieka, ale i głowa i oblicze i całe ciało splatało się mimiką i pantomimą cudowną.

Dla tych to właśnie ślubów ducha i cielesnej postaci, uczuć i natury, taniec nie przekraczał nigdy naturalności granic, nie znieważał gwałtami zadaniami ciała przyrody jego, i z tej to właśnie przyczyny taniec grecki jest sztuką piękną; a z tego także właśnie powodu, balet nam współczesny jest często raczej sztuką łamaną, przeistaczającą te szlachetne formy ludzkie na fruczki, kołowrotki, sadząc się na skoki desperackie i na to wszystko, co jest wbrew przeciwne piękności przyrodzonej. Wszak i między naszymi towarzyskimi tańcami znajdzie się i taki co jest jawnym świadectwem barbarzyństwa naszego czasu, taniec, w którymby się nawet nie puścił i Faun grecki bez ubliżenia sobie. — Faun grecki! — W muzeum neapolitańskim jest Faun z brązu, znaleziony w jednym z pompejskich domów. Kto widział, przyzna, że ani w Paryżu, ani w Wiedniu, ani w Londynie, ani w Warszawie nikt piękniej nie tańczy jak ten wisus mały. Jakaż to lekkość, jaka nieskończona gracya w tej drobnej figurce! To ułożenie jego, ta fizyognomia tak jest pełna radości, iż ci się już serce śmieje, gdy się patrzysz na tego malca. On cały piosenką wesołą; to anakreontyk, to cały świat uciech i szczęśliwości niczym niezamąconych. On wcale z twarzy nie ładny, ani też bardzo młody; owszem, znać po nim, że już wiele w świecie nadokazywał;

ależ jakże on zgrabniutki, jaki śliczny! jaki on kontent z siebie i ze świata! Ta radość a wesele, rozlane na całej jego postaci, od stóp do głowy, występuje w każdym muskule, w każdym ruchu, więc on też może dla tego taki piękny i wdzięczny. Wszak on blizkim sąsiadem onych tanecznie Herkulańskich, onych małych obrazków, co się stały podziwem ludzi. Dziś te małe obrazki zblakowały, przygasły, ale któraż ze sławnych dam tańczących dziś po Europie w bale-  
tach przewyższyć je zdoła! A jeżeli która z pań tych istotnie porywa poezją swoich ruchów, toć zapewne o tyle, o ile się zbliża w pojmowaniu tańca do Greków, o ile, nie hołdując panującemu smakowi, prostuje go raczej, ucząc świat, czém jest taniec, jako sztuka piękna.

Ideał rozwija się w duszy mistrza obrazem z natęgnięcia zrodzonym; i ideał rośnie, wzmaga się, wznosi się w toniach twórczych mistrza, aż mu zaboli w duszy, aż mistrz, folgując wewnętrznym cierpieniom, wcieli ideał w duchu poczęty, to w rzeźbę, to w malowanie lub architekturę, lub wypuści go z piersi na świat uskrzydloną pieśnią. Gdy atoli ideał jednym gromem uderzy w duszę, gdy w jednej chwili płomieniem ogarnie całego człowieka, gdy owładnie, uchwyci, jakby czarodziejską potęgą, własną osobę jego, wtedy ruch wewnętrzny duszy występuje na jaw poruszeniem ciała, a ideał wciela się w taniec. Wszak ruch jest zmianą przestrzeni odbywającą się w czasie, a zmianą czasu w przestrzeni. Stąd ruch uduchowniony wyraża się jako przestrzeń pięknoscią linii, a jako czas rytmicznością (taktem). Jak taniec w ogólności jest harmonią ducha i ruchów ciała, tak pięknosć linii

tych poruszeń i ich rytmiczność w każdej jednostkowej chwili objawia się harmonią wszystkich członków. One wszystkie zatem razem tworzą w tej chwili artystyczną całość, kompozycją, one są jakby jednym widomym akordem. Następnie znów wszystkie odmiany ruchów, we wszystkich po sobie upływających chwilach, zlewają się znowu w jedną całość wielką, w jedną wielką kompozycją.

Taniec u Greków jest zdoprawdy rzeźbą żywą, uwidomioną poezją, muzyką niemą, stąd też towarzyszy mu pieśń i dźwięk lutni. Spadanie i wznoszenie się tonów muzyki wciela się w poruszenia ciała, a rytm lutni jest ich miarą i prawem. Lecz gdy muzyka wtóruje tanom, toć nawzajem i taniec towarzyszy muzyce. Muzyka podnieca, podsyca duszę ogniem niebiańskim, by wystąpiła na jaw ruchem ciała; przecież znowu rytm muzyczny trzyma dzikie potęgi natury zmysłowej na wodzy, miarkuje je i łagodzi, by te moce bezprzytomne przyrody nie buchły ślepa, niezacną ochotą.

Gdy taniec jest wystąpieniem na zewnątrz wewnętrznego człowieka, przeto też Hellenowie najczęściej tanom towarzyszyli śpiewem, bo i on wytryskuje z głębin wewnętrznych, z duchowego źródła, jest tedy właściwszym dla człowieka, niż muzyka wydobyta na martwem narzędziu, która zawsze jest czémś obcym i cudzym i niby zewnętrznym.

Widzieliśmy w liście poprzednim, jak Hellenowie, jak ten lud-arcymistrz nadawał nawet sprawom codziennym fizycznego życia artystyczne piętno, jak nawet naczynia i sprzęty, służące potrzebom powszednim, za dotknięciem się jego ręki przybierały postać

estetyczną; otóż podobnie umiał on sobie upoetyzować i prace i roboty zwyczajne, mające na celu zaspokojenie potrzeb przyrodzonych. Każda z tych prac miała piosenki osobne do siebie zastosowane, a każda z nich była również przedstawioną sobie właściwym tańcem; były tańce udające winobranie, żniwo, pieczenie chleba i t. d. Takiego drugiego ludu już nie będzie na świecie; on sam siebie umiał wyrobić na arcydzieło piękności, on sam z siebie uczynił pieśń uroczą, posąg pełen wdzięków cudownych. Ta gracia postaci ludzkiej, ten instynkt ułożenia stały się zaiste wonią całego ludu Grecyi; on potem przeszedł do Italii i spadł pradiadowém dziedzictwem na spółczesne nam ludy Włoch; patrz, jak ów transteveranin rzymski okryty gałgankami, trzyma się, jak on stanął lub jak usiadł. Miałby mu czego pozazdrościć nie jeden elegant krajów północnych, kędy już dziś nawet do arcyzradkich dziwów należy, jeżeli kto umie pordządnie chodzić.

Nie będę ci prawił o Orchestyce, o owęj wyższej sztuce tańców w Helladzie, byłaby to zbyt obszerna osnowa. Lepiej podobno uczynimy, jeżeli puścimy, choć mimochodem, oczy w ściany domowe Greka i obaczmy, jak się bawił, gdy się z przyjaciółmi zebrał na ucztę wesołą. Tutaj żywcem uchwycimy artystycznego ducha tego ludu, a o to właśnie najwięcej nam chodzi. Nie braknie nam też materyałów, mamy je nawet z pierwszej ręki, a z jakiej jeszcze! Oto, z pióra Platona i Xenofonta; każdy z nich opisał biesiadę takową, a na każdej z nich był obecny Sokrates, ich nauczyciel wspólny. Pierwszy z nich wieszcz-filozof urósł nie tylko swojej Grecyi, ale

wszystkim ludom i krajom i stóleciom, ba, całemu rodowi ludzkiemu na chwałę. Wszak to nasza dzisiaj Europa, wykluwając się z ciemnie średniowiekowej myśli, świeciła przed obrazem Platona dniem i nocą lampy, obchodząc jakoby święto odrodzenia swojego, a zarazem chcąc uczcić pamięć wielkiego męża, i sama pochwalić się zachwyceniem, którym rozgorzała dla olbrzymiego geniuszu jego. Xenofon również jak i Plato był uczniem Sokratesa. Gdy Plato potęgą mądrości natchnionój uchwycił mistrza swojego porzucaną ułomkami naukę i z nięj dzwignął budowę — wysoką, — a tak wysoką, że aż w niebo zaglądała; Xenofon wprawdzie nie został filozofem, bo jakoś zbyt z żołnierska zabierał się do spekulacyi, ale za to stać go było na co innego. Oto, któż nie słyszał o odwrócie dziesięciu tysięcy Greków! Otoż to właśnie był ten sam Xenofon, który ich, krajem obcym, manowcami przez kilkaset mil zwyciężko przeprowadził. Wyznaj, że to wódz nie na żarty! Gdy boje ucichły, Xenofon zawiesił szablę na ścianie domowej, bogów świątnice ustroił w laury zdobyte i zabrał się do pióra i jął się pisać historią. Dokonał też arcydzieła na wzór wszystkim wiekom. Wszak dziś, po dwóch tysiącach lat z okładem, młodzież po szkołach uczy się na jego książce i długo się jeszcze na nięj uczyć będzie kunsztu pisania historii. Wiązała też Xenofonta cześć serdeczna do Sokratesa; on się nie nauczył od niego filozofii, lecz nauczył się zaćności prawego, niczém niezachwianego żywota. Wszyscy też w Atenach wiedzieli, jako Sokrates, co to także nie czyzy teoretyk, raz w krwawęj bitwie widząc Xenofonta powalonego dzidą z konia, wziął

go na barki, a odcinając się tłumnym nieprzyjaciółom mieczem, wyniósł z ciżby. Odsłużył mu się też nawzajem Xenofon. Nie mogąc odeprzeć wyroku, którym był Sokrates na śmierć wskazany, wystąpił z całą ucziwą odwagą broniąc czci i sławy swojego niesłusznie potępionego nauczyciela.

Dość już tych przedmów, wypiszę ci najważniejsze ustępy z Xenofonta malującego ucztę, na której był i Sokrates obecny. Żal mi, że cię nie mogę uraczyć tłumaczeniem całego opisu, bo to rzecz bardzo długa: niechaj ci tedy wystarczą te pojedyncze kamyki kosztowne, które ci podaję, domyślisz się z nich całego obrazu tej mozaiki prześlicznej. Wyimki te chciiej uważać za dosłowne tłumaczenie.

Zaczyna Xenofon opis swój od wyrazów: „mnie, mam, że wieczystej pamięci są godne nie tylko poważne sprawy wielkich mężów, lecz że warte zachowania i to wszystko, co czynią na żart i zabawę; dla tego tutaj publicznie ogłaszam rzecz, na którą sam się patrzałem!”

Zaiste i dla nas rzecz ciekawa i wielce zajmująca wejść do sali jadalnej tych starowiecznych ludzi i patrzeć się na nich i słuchać, co rozprawiali przy obiedzie, dwa tysiące trzysta lat temu. — Scena w Atenach, we dworku nad morzem.

W Atenach żyje Kallias, człek bogaty, lubiący wyprawiać obiadki literackie. — Otóż zdarzyło się, że przyjaciel jego, młody *Antolikus*, przecudnej urody młodzieniec, odniósł nagrodę na wyścigach konnych. Kallias, pragnąc uraczyć zwycięzcę, zaprasza go wraz z ojcem na ucztę, a gdy mu zarazem przyszła myśl zaszczytowania domu swojego obecnością ludzi znakomi-



tych, bardzo mu było na rękę, gdy obaczył grono mężów słynnych po przez Grecyą całą, stojących razem, rozmawiających z sobą o sprawach ważnych i zajmujących kraj cały. Był to Sokrates, Kritobulus, Xenofon, Antysthenes i kilku innych. Co się tyczy tego Antysthenesa, przypominam ci, że on był wprawdzie początkiem szkoły Cyników, ale proszę, byś go nie mieszał z onemi obszargańcami starożytnego świata, u których nie ochędństwo moralne i fizyczne a bezczelność stanowiły całą filozofią, obyczaje zaś uliczne i dowcip brukowy całą mądrość. Antysthenes był iście postacią zacną i szlachetną, daleką od wszelkiego baragulstwa. Kallias zbliża się tedy do onego kółka, wzywa na obiad do siebie, puszczać się więc w komplementa powiada: „wierzajcie mi że będę ucztę moją za nierównie świetniejszą uważał, gdy mężowie czy tego serca bytnością swoją przyozdobią dom mój, niż wtedy, gdy przyjmuję u siebie dowódców jazdy lub takich, co gonią za dostojenstwem.“ Oni też, trochę się podrożywszy, poszli. W końcu obiadu wstępuje do sali jadalnej aktor ze Syrakuzy, mając z sobą wyborną flecistkę, dalej tanecznicę, a nakoniec pachole przedziwnej piękności. Chłopczyna ten tak już cudownie przygrywał na cytrze i tańcował z tak niewypowiedzianym wdziękiem, że goście unosili się z radości.

Wtedy Sokrates do gospodarza: „Jak mi Zews miły, doskonale nas podejmujesz, bo i obiad przewyborny a teraz jeszcze uraczasz oczy i uszy najwyższą przyjemnością!“

Kallias. „Pozwólcie proszę, bym kazał jeszcze

„przynieść pachnącej wody, radbym was woniami uczyć  
„stować.“

*Sokrates.* „Daj temu pokój! — zostawmy pachni-  
„dła niewiastom, ot zdałoby się dla córek naszego  
„Kritobula, zwłaszcza iż, jak słyszę, te panienki za  
„mąż idą. Lecz co do nas, chciejmy zważyć iż lada  
„kto może skropić się wódką pachnącą, a jaki taki  
„może pod tym względem wyrównać najzacniejszym  
„ludziom. Już to dla nas mężczyźni nie ma zapachów  
„wyższych, jak woń czynów szlachetnych; tą jedynie  
„oznaczyć się możemy nad innych.“

Tymczasem trwały tańce uroczyste, a te ruchy mło-  
dziej taneczniczki zachwycały wszystkich. — *Sokrates*,  
wpatrując się w wyraz duchowy jej postawy, w har-  
monią artystyczną jej poruszeń, zawołał:

„Przypatrzcie się dobrze tej dziewczynie, a przy-  
„znajcie, że kobiety w niczem nie są niższe od nas.  
„Ich zalety przyrodzone zaiste wyrównywają naszym.  
„Kto tedy z was ma żonę, niechaj ją kształci, a może  
„być pewien, że się wszystkiego nauczyć zdoła!“

*Antysthenes.* „Jak to! i tyż to tak mówisz! dla  
„czegoż sam nie wyedukujesz sobie wprzód twojej Xan-  
„typy, dla czegoż żyjesz z kobietą najnieznośniejszą  
„ze wszystkich, które są, będą i były na świecie?“

*Sokrates.* „Jużci to prawda! nie ma co mówić!  
„Lecz zważ, — ja pragnąłem nauczyć się obcowania  
„z ludźmi, — wybrałem sobie zatem tę niewiastę, bo  
„myślałem, że jeżeli mi się już uda znieść taką żonę,  
„toć mi z innymi ludźmi pójdzie jakby z płatką.“ ...  
„Ale coż wam się zdaje, czyli ten chłopczyzna nie sto-  
„kroć piękniejszy w tych poruszeniach wdzięcznych,  
„niż wtedy, gdy w miejscu spoczywa?“

*Charmides*: „Ty coś wysoko cenisz sobie taniec, „Sokratesie!“

*Sokrates*: „I wielce, bo widzicie, jak to całe ciało, „nogi i ręce i szyja i głowa wchodzą do gry, a tak „wszystka postać nabiera giętkości wdzięcznej.“... „Ot, wiesz co Syrakuzanie, jabym się chciał tych „poruszeń i kroków od ciebie wyuczyć!“

*Syrakuzanin*: „A tobie co po tém?“

*Sokrates*: „Jak Zews żywy, tańcowałbym!“

Uśmiechnęli się wszyscy, bo każdy wyobrażał sobie tańczącego Sokratesa, co i podeszły i słynny ze szpetności swojej i z tuszy obwisłej i t. p. — Sokrates, sam wytykając te niedostatki swoje, na poły do prawdy, na poły żartem dowodzi, że właśnie dla sprostowania tych niedostatków ciała zdałby mu się taniec, nakoniec woła:

„Otóż macie tutaj obecnego nam Charmidesa, pytajcie go, czy mnie dziś rano nie zastał tańczącego.“

*Charmides*: „Na Zewsa, prawda! wyznaję, żem się „z razu nie mało przestraszył, byłem pewien, że cię „coś złego opadło. Gdym jednak później słyszał, jak „zdrowo a mądrze rozprawiałeś, więc przyszedłszy do „domu, nie tańcowałem wprawdzie, bom się tego nigdy „nie uczył, ale machałem przynajmniej rękami na „wszystkie strony.“

*Kallias*: „Pamiętajże Sokratesie, proszę cię, daj „mi znać, gdy się będziesz miał uczyć tańcować, będę „chętnie twoim współuczniem.“

Tak wśród ciągłej muzyki i tańców toczyła się żartobliwa gawęda, przeplatana niekiedy i bardzo poważną i bardzo głęboką rozmową. Nakoniec, na wnio-

sek Sokratesa, stanęło na tem, aby każdy z kolei wyznał, którą ze swoich zalet najwięcej sobie ceni.

Bogaty *Kallius* chwali szczodrość, bo powiada, że „ona wspierając ubogich uprzedza złe rodzące się naj-  
„częściej z biedy i nędzy.“

*Nikerat*: „Ojciec mój, pragnąc mieć ze mnie uczci-  
„wego człowieka i wychować w cnotach i prawości,  
„dopilnował mnie, abym się nauczył Homera. Otóż ja  
„umiem całą Iliadę i całą Odysseę na pamięć; i to  
„właśnie wazę sobie najwięcej ze wszystkich przymio-  
„tów moich. Homer śpiewał o wszechrzeczach ludzkich,  
„— kto tedy z was chce być doskonałym gospoda-  
„rzem, albo rządzcą, albo wodzem, ten niechaj się  
„mnie trzyma, a ja mu doradzę.“

*Kritobulus*: „Wszak nieraz przysięgaliście, że  
„bardzo piękny i urodziwy, a wam wierzę, bo was mam  
„za ludzi rzetelnych i uczciwych. Wiedzieć o tem, że-  
„bym ja tej mojej urody nie ustąpił za całe ogromne  
„państwo Wielkiego Króla (perskiego); — bo piękno-  
„ścią można wpłynąć wszechwładnie na ludzi, piękno-  
„ścią zdołamy wpoić w nich miłość do pracy, do  
„umiarkowania, do wstydu i dodać im mężstwa w cięż-  
„kich potrzebach. Ja uważam tych za szaleńców, któ-  
„rzy nie wybierają sobie chętnie pięknych ludzi na na-  
„czelników wojskowych! Wiecie, że ja się gniewam  
„na noc, która ciemnością zasłania mi Kliniasa, który  
„tak precudnej urody, a z całej duszy wdzięczu je-  
„stem słońcu, że mi pokazuje jego postać uroczą.  
„Wyższaby dla mnie było przyjemnością oddać wszy-  
„stkie moje majątki Kliniasowi, niż przyjmować od in-  
„nych skarby ... Powiadacie, że uroda wnet przemija,  
„ale ja wam powiadam, że kto był pięknym pachole-

„ciem, będzie i młodzianem i mężem pięknym, i w późnym wieku nie straci wdzięków swoich. Wszak wiecie, że dobierają najurodziwszych starców, by nieśli gałązki oliwne przed pochodem uroczystym, i t. d. — i t. d.“

Otóż masz gorącą apoteozę piękności! — powiedz, za coby miano człowieka, któryby się w naszych czasach podobnie odezwał! Zdanie Kritobulusa było prawie powszechném przekonaniem u Greków: wszak Krotona wystawiła Filipowi posąg jedynie za to, że był tak prześliczny.

*Sokrates*: z kolei uważa, że „najwyższą zaletą w człowieku jest sztuka jednania sobie serc ludzkich i wiązania ich między sobą wzajemną przyjaźnią, bo tym trybem można wiele dobrego na świecie dokonać.“

Tak następnie ciągnie się rozmowa, która się kończy na sporze pełnym dowcipu, żartów i konceptów między szpetnym Sokratesem a urodziwym Kritobulem: Sokrates dowodzi, że jego nos zadarty, oczy wystające, usta duże i t. p. odpowiadając najdoskonalej przeznaczeniu swojemu, są arcydziełami natury i że są przeto nierównie cudniejsze niż cała piękność Kritobuła. Nie mogąc go przekonać, żąda sądu i głosowania: padły kréski za Kritobulem. — „Sędziowie przekupieni!“ zawołał Sokrates.

Tymczasem przy gawędzie, muzyce, tańcu i winie, coraz to głośniejsza wrzawa i gwar, wszyscy mówili razem a mało kto słuchał. Wtedy *Sokrates*: „Ponieważ wszyscy radziibyśmy mówić, więc zaśpiewajmy razem!“ i zaintonował piosenkę wesołą.

Gdy zaś tanecznica w końcu zaczęła wyprawiać

jakieś sztuki łamane, wtedy *Sokrates* do Syrakuzanina:  
 „Prawda, że to są rzeczy trudne i dziwne, ale czyli  
 „maganie koziółków, a skakanie przez miecze dobyte  
 „są miłym dla widza? czyli jest wdzięczniejszym niż  
 „wejrzenie na ciało kwitnące pięknnością i pełne spo-  
 „kojnego powabu? Słuchaj, ja mniemam, iż gdyby ta-  
 „necznicy twoi wykonywali mimiki przypominające  
 „nimfy, gracye i Hory, toćby im łatwiej przychodziło,  
 „a nam sprawiłbyś widok uroczy i stosowniejszy dla  
 „uczty.“ Zgoda! odrzekł tamten; więc na zakończe-  
 nie biesiady odegrano pantomimę: „Spotkanie się mło-  
 „dego *Bachusa* z kochanką swoją *Aryadną* na wyspie  
 „*Chios*. Przedstawienie było tak czarujące, zaloty ko-  
 chanków tak pełne wdzięków, że goście patrzący za-  
 grzmieli pełnym, hucznym oklaskiem; uniesieni naj-  
 wyższym zachwyceniem, głośnym okrzykiem oddali pię-  
 kności hołd.

Podziękowawszy serdecznie gospodarzowi, wrócili  
 jedni pieszo, drudzy konno do domu.

„Tak się kończyła ta uczta,“ powiada *Xenofon*.

Z uczty opisaney przez *Platona*, pozwól, bym choć  
 jeden przywiódł zarys: — *Agathon*, młody poeta, otrzy-  
 mawszy wieniec za napisanie tragedyi, w radości serca  
 wyprawia gody, zaprasza na nie przyjaciół swoich,  
 do których należy i *Sokrates*. Biesiada trwa trzy dni.  
 Drugiego dnia *Sokrates* nakłonił towarzyszy, aby pili  
 z umiarkowaniem. Gdy wszyscy bawią się wesoło, ale  
 spokojnie, wpada do świetlicy jadalnej *Aleybiades* już  
 nieco podochocony. Widząc wszystkich trzeźwych, rad  
 był ich wznieść z prozaicznych nizin rozsądku i po-  
 stawić na wysokości własnego natchnienia. Bierze pu-  
 har do ręki, ogłasza się królem biesiady, pije z kolei

do wszystkich, pomija atoli Sokratesa, mówiąc: „tego nie warto zaczepiać, praca stracona, bo chociażby spełnił najrzęsiwsze pubary, nie zmieni się i będzie zawsze jeden i ten sam.“ Udało się też Alcybiadesowi: — wszyscy z kolei zasnęli na wezglówkach. Budzą się dopiero nazajutrz z rana, a z wielkiem podziwieniem spostrzegają Sokratesa, jak sobie stał najspokojniej z puhaem w rękę, rozmawiając z Arystofanesem, owym sławnym pisarzem komedyi; — rozbierali oni głęboko istotę tragedyi i komedyi, a mianowicie pytanie, czyli ten sam człowiek może być zarazem wielkim autorem tragedyi i komedyi. Potém, jakby nigdy nie, Sokrates udał się wprost do swoich dziennych zatrudnień.

W tych moich wypisach, choć tak niedostatecznych, nie znajdziesz zaiste ani wyrazu, któryby nie był potwierdzeniem tego, com dotychczas powiedział o usposobieniu artystyczném Greków, tego nadzwyczajnego ludu. Obejdzie się tedy bez komentarzy, bo zrozumiesz powód dla którego te ustępy przytoczyłem, choć w skróconej treści.

Zważ tylko jeszcze, ten Sokrates nie jestże wskroś Hellenem, ten cały jego stosunek do życia powszedniego, do natury, do obyczaju, nie jestże wierném wyrażeniem i przedziwném odbiciem tój harmonii cudownej wiążącej treść duchową z całym zewnętrznym światem? A treść duchowa w tym Sokratesie zaważyła ludzkość, ona była ogromna, olbrzymia. Ta treść, zrodzona w duchu jego, stała się, jak już rzekłem, nową epoką wykluwającą się w ludzkich dziejach; stała się onym nawrótem ogromnym świata do wewnętrznych głębin duchowych. Nauka, co płynęła

z ust Sokratesa, usłala ścieżki dla wiekuistych prawd, które po trzech stuleciach miały odrodzić człowieka i wyświęcić go na pracownika bożego zakonu. Powiedziałem już dawniej, że silnie a potężnie biło wielkie serce tego człowieka, a w toniach jego ducha szeptały głosy jakiejś na pół zrozumiałej wyroczeni; — lecz to serce, które w nim tętniło, było zarazem sercem świata, sercem całego ludzkiego rodu, — a te głosy, które w nim szeptały, były mową ducha Historii. Ten duch ludzkich dziejów wszechobecny, choć rozlany po wszechistnieniu, choć wszędzie przytomny, jeszcze milczał, odezwał się jedynie w duchu Sokratesa, w przeczytym sercu jego. Ten Sokrates był dziejów wybrancem, a zapłacił też życiem to wybranie swoje.

Widziałeś jakim on był na tych biesiadach z przyjaciółmi swoimi; on, choć tak wielki a niebotyczny, nie jest pysznym, hardym pedantem, — a zaiste nie jest hardym, bo jest prawdziwie wielkim człowiekiem. On czuje po ludzku; on jest chętnym uczestnikiem darów zwyczajnego żywota, a tak mile umie podzielać uciechy ludzi powszednich! Ale już w tej chwili, gdy z ust jego płyną żarty lekkie i ironia uprzejmości pełna, i słodycz serdeczna, już około głowy jego, przez historią na śmierć namaszczonej, opływała aureola wybrannictwa jego. Jakoż on z tą samą słodyczą na ustach i lekkim sercem umierał. Kochał to życie i kwiaty jego, a przecież nie chronił się skonu, choć mógł go uniknąć; on umarł, bo uważał, iżby było nieprzyzwoicie niechcieć, umrzeć gdy padł taki na niego wyrok współziomków jego.

Gdy w przybytku duchowym tego człowieka położone były ostatki jednej epoki a zawiązki drugiej, na-



stępnej, — gdy w nauce jego wyrzeczony był nawrót umysłu ludzkiego ze świata zewnętrznego do własnych głębin duchowych; ztąd też ta nauka, mimo wiedzy samego Sokratesa, była zwiastunem skonania pierwiastku żywotnego Grecyi, bo owęj harmonii wewnętrznej treści a zewnętrznego świata, owęj harmonii, stanowiącej właśnie piętno fantazyi klassycznej, greckiej.

Grecya i fantazyja jęj umarła na filozofię Sokratesa, lubo on sam w życiu towarzyskięm swojęm był jeszcze tak wiernęm wyrażenięm a. prawdziwem odbicięm onęj cudownęj harmonii. Lecz o tęm obszernięj jeszcze pomówimy w liście najbliższym.

# LIST XXII.

## . Grecya.

(*Dalszy ciąg.*)

Poezya grecka. — Jój charakterem jest plastyczność. — Bliższa cecha poetów greckich. Homer i świat jego. — Lira grecka. — Tragedya grecka. — Tragedya w Helladzie jest wróżbą jój skonu. — Znaczenie Tragiczności w świecie greckim i nowożytnym. — Eschilus. — Sofokles. — Euripides oznaką bliższego skonu. — Arystofanes. — Sokrates i Arystofanes. — Grecya umiera na filozofią Sokratesa. — Epikureizm, Stoicyzm i Sceptycyzm u Greków. — Sokrates i Antygona Sofoklesa. — Filip i Alexander Macedoński.

**P**amiętasz zapewne, że mi w tych kilku listach bynajmniej nie chodzi o to, abym ci rozwinał obraz historyi sztuki; wzięłem jedynie na siebie obowiązek skreślenia w kilku lekkich rzutach dziejów fantazyi; i ztąd mniemam, że to wszystko, com dotychczas o Grekach powiedział, mogłoby już zupełnie wystarczyć, zwłaszcza że nieco za obszernie się rozpisałem, mówiąc o architekturze i rzeźbie Hellady, a tak wyjaśniłem, jakoby przykładami, pojmowanie nasze o jój fantazyi. Uwolnisz mię przeto zapewne od bliższej charaktery-

styki jęj malarstwa i muzyki, ale za to pozwolisz że jeszcze dodam tu kilka słów o poezyi Hellenów. Trudno ją pominąć milezkiem, boć to jest poezya, która odrodziła nowożytną Europę. Grecya umarła niby dziewica młoda, złożona z wiankiem kwiatów do grobu. Lecz wianki kwiatów, choć w grobie, nie zwiędły nigdy, a lutnia Grecyi, uniesiona do nieba przez geniuszów piękności, tam zawieszona na obłoku, niedowidziana z poniżów ziemskich, przeczekwała w milczeniu siedemnaście stuleciów. Gdy atoli nocne émy wieków średnich, rozwiane tchem ducha historyi, pierzchnęły ze sceny świata, a dzieje ludzkie znów zaświeciły wiosną młodą, kwiaty wyrosły z grobu, a lutnia owa, dawno zapomniana, ożyła i zagrała z nadziemskich wysokości — jakby skowronek zadzwoniła z pod obłoku na zaranie, na podziw światu i serdeczne wesele. W sercu słuchających ludów odezwały się pieśni echem, niby muzyka nowa a przecież jakby kiedyś dawno w młodości słyszana; a dusza ich, pięknoscią odmłodniona, nurzyła się w falach tych tonów, jakby w pierwszej kąpieli po odrodzeniu swoim.

Dziwne to losy tęg Grecyi, — poezją był jęj żywot, poezją jęj skon i rodzenie. Na szczytach stromych północnych, w dolinach głębokich Tracyi i Tessalii urodziła się poezya Hellenów. Tam, na wzniosłych Helikonu przyczolach zabrzmiała owa cudnowdzięczna pieśń siostr dziewięciu, a gdy muzy śpiewały o prym, Helikon skalny, uchwycony czarem tonów, unosił się ku niebu; ale zatrzymał górę w polocie i utwierdził ją na ziemi Pegaz; a kędy uderzył nogą rumak skrzydlaty, trysnął z Helikonu hipokreń-

ski źródł, — co daje wieszczom natchnienie, co ich unosi do stolicy nieśmiertelnych Bogów. Na tej północy Orfeusz zaśpiewał cześć i wielbienie Bogom, a Hezyod uczy Helladę o Bogów zrodzeniach i wiąże wieści o losach w jeden wieniec akordem swój lutni, bo oni kapłani i wieszczowie swojego ludu. Lecz wnet ożywcze, świeże, górskie powiewy zaniosły na południe Hellen-  
skie te pieśni; więc na nizinach, na wyspach, na jońskich pobrzeżach zagrała poezya, jakby na strunach Apollina — śpiewnego boga, — wszędzie budząc drzemiące w kwiatach pieśni, a pieśni owiane ciepłem jasnego bezchmurnego nieba, rozwinęły się wonnym poezyi ogrodem.

Pierwsza Jonia zabrzmiała Homerowym śpiewem — Iliada i Odyseja wyniańczyły bohaterskiego ducha Grecyi; w nich wieszcz kapłanem i filozofem i prawodawcą zarazem. Dziś pytają się nawzajem, badają i radzą, azali rzeczywiście istniał jaki Homer? Czyli może nie było nawet więcej Homerów? Otóż te pytania i badania dowodzą właśnie, czém była poezya u Greków: ona żyła w sercu, w krwi, ona żyła w powietrzu; śpiewała w drzewach, szeptała w strumieniach, gadała w ptakach; poezya była wszędzie obecną, żywą. Iliada, Odyseja, ba, cała poezya grecka była warunkiem żywotnym Hellady, a zarazem objawem koniecznym jej żywota. Ona rosła, kwitła, nie siana, nie sadzona; sama strzeliła z serc, z ziemi; ona należała do natury tego kraju i tego ludu. Stąd też ten lud zaśpiewał, — zaśpiewał z wolnych szerokich piersi, z całej duszy, bo nie straszyły go więcej mary fantastyczne, bezmierne a rozplątne rozwiewne Indyów, ani grobowe zagadki w granitach

egipskich zaklęte. Hellada odetchnęła całemi piersiami i zaśpiewała, bo nie mogła nie spiewać. Ta poezya sama siebie zrodziła, powstała bez wzorów, lubo się stała wzorem dla wszystkich późniejszych stóleciów, powstała bez prawideł i reguły, nie była więc bladém, wymokłem dziecięciem rozumowania i krytycznego rozbioru. (\*)

Z drugiej strony atoli nie była to już fantazyja opojona bezprzytomnym szalem Wschodu, który nieobecny sobie szamoce się podniecany marzeniem senném. Hellada śpiewała z natchnienia, ale ten zachwyty nie był nasłańcem ślepych a ciemnych potęg natury, on był darem idącym z jasných wysokości Olimpu, był nawiedzeniem bogów. Więc wieszcz grecki, choć uniesiony zachwyceniem, nie tracił siebie; w nim przemieszkiwał duch, co obecny sobie miarkuje i mierzy i waży sprawy swoje. Tutaj duch i natura, treść i forma, przedmiot zewnętrzny i człowiek wewnętrzny wiążą się w dźwięczną jedność; poezya grecka jest wskrós plastyczna, i toć jest główną jej cechą.

Wytłumaczę się, ile możności mojej, jeszcze dokładniej z téj plastyczności. Rzekłem powyżej, że plastyka, że skulptura jest sztuką, będącą z wszystkich rodzajów sztuk najwierniejszém odbiciem artystycznego ducha Grecyi i jej fantazyi, zatem znać, że i poezya

(\*) Ob. Co do Literatury starożytnej Małeckiego „Prelekcyje o Filologii“ Kraków, 1851, dalej dzieło, które skreślił K. O. Müller, Bernhardy, Herrmann, Petterson. Schöll. Dla początkujących miłośników literatury greckiej najwięcej godne polecenia dzieło Munka. Jakoż co do literatury starożytnej najwięcej zasługi dziś położyli filologowie Niemieccy.

Greków jest jakby rzeźba, że ich postaci poetyczne są jakby posągi. Że tak istotnie rzecz się ma, krótkie zastanowienie się wyjaśni. Okazałem bowiem powyżej że malarstwo jest sztuką nierównie więcej należącą do wewnętrznego człowieka, niż skulptura. Jakoż wymiary, oddalenia, kształty, cienie i światła i t. p., które widzimy w obrazie, są tylko udane, są tylko malowane, one nie istnieją zdoprawdy w obrazie, ale przemieszkują tylko w nas, w człowieku, w wewnętrznym przybytku naszym. Rzeźba zaś to ma do siebie, że jej formy, oddalenia, światła i cienie i t. p. istnieją rzeczywiście, że nie są złudzeniem, że przebywają w dziele sztuki, w przedmiocie samym zewnętrznym. Choć i malarstwo, równie jak rzeźba, winno mieć oczy i duszę otwarte dla natury, inaczéj atoli, jak widzisz, zachowuje się malarstwo do zewnętrznego świata, a inaczéj rzeźba. W plastyce treść duchowa, wewnętrzna najściślej zaślubiona jest formie materialnej; ta treść wewnętrzna nie istnieje duchowo, ale przemieszkuje w przedmiocie zewnętrznym, widowym, dotykalnym; w posągu dotykalną, zmaterializowaną jest myśl i treść duchowa mistrza. Lubo tedy w rzeźbie duch przeistacza tę rzeczywistość zewnętrzną, tę naturę, tę postać żywą na ideał, na dzieło sztuki, toć jednak nawzajem i ta rzeczywistość, ta natura nie wypuszcza go na chwilę z objęcia swojego: ona mu się ciągle przypomina, wiecznie przemawia do niego stając mu żywcem na oczach. A gdy plastyka właśnie odnosi się do tej rzeczywistości, więc też rzeźba potężniej, niż którykolwiek inny rodzaj sztuki, chroni ducha, by nie puścił się luzem, by nie zbudował sobie we wnętrzu swoim światów osobnych, nie będących w żadnym

związku z rzeczywistością, z przedmiotem rzetelnym, z postacią żywą. Rzeźba ma przedewszystkiem oczy otwarte na świat rzeczywisty.

Jeżeli tedy mówimy, że poezya Hellenów jest plastyczną, do rzeźby podobną, rozumiemy pod tém wyrażeniem, że ona najściślej wiąże się z rzeczywistością; ona z jednej strony idealizując w pieśniach swoich przedmiot zewnętrzny, wzięty ze świata rzetelnego, uświęca go na dzieło sztuki, z drugiej strony uzmysławia po mistrzowsku treść duchową, wewnętrzną. Ta poezya grecka oddycha przeto w przedmiocie rzetelnym, jako w świecie prawdziwym, jako w żywiole swoim, nie odrywając się nigdy od niego. Wieszcz grecki nie zna nowożytnego cofania się duszy w siebie, nie zna tego utonienia w cichych tajniach piersi, kędy rodzą się mistyczne przecucia, kędy szepcą tęskne głosy nieznanego świata; on nie zna owego niezglębionego morza uczuć i osobistych sentymentów, które w każdym człowieku mogą być inne, bo nie zostają w żadnym związku ze światem rzeczywistym, zewnętrznym, który dla wszystkich jest jeden i ten sam. Grekom atoli za to obcą była ta uczuciowość, tak często chorowita, która się chowa w głębi duszy, jakby przed świętokradztwem zewnętrznego świata.

Zaiste, jak już dawniej rzekłem, szczęśliwym Grekom nie było jeszcze znane owo ogromne a pełne boleści rozdwojenie między światem wewnętrznym a zewnętrzną rzeczywistością. Owe radośne zrzękowiny ducha i natury, serca a rzetelnego świata — będące, jak wiesz, istotą Hellenów, — uczyniły ich ludem artystą, nacechowały ich fantazyą i uświęciły ich poezyą. U nich co w sercu to w lutni; tu nie było cie-

mnych duszy zagadek, tu nie było treści, któraby była li wyłączną wieszczą własnością; on nic dla siebie nie zachował w piersiach swoich, on wszystko z siebie wyśpiewał pieśnią; cała treść jego wystąpiła uzmysłowioną na jaw jasny, stała się widoczną, dotykalsną jakby rzeźba, posąg. A nawzajem co życie, co świat podawał, owa cała bogata treść rzeczywistości stała się poezji osnową i zaświeciła w jasności ideału. Stąd treść wewnętrzna równa się zewnętrznej formie, a forma wyczerpuje treść; — wszystko co w duszy wieszca tchnęło, było też prawdą w świecie, prawdą ogólną, rzeczywistą. Dziwnoż tedy, że Grek w swoim wieszcu widział kapłana uczuć wszystkich, swojego zakonodawcę a mistrza! Hellada przezierała się w tych pieśniach, jako w uzacnionym, opromienionym wizerunku swoim.

Stąd też, dla tej wrodzonej jedności wewnętrznego człowieka a zewnętrznego przedmiotu, grecki mistrz nie uczył się prawideł estetyki, obchodził się bez szkoły; prawidła i szkołę zastępowało u niego sumienie estetyczne, instynkt artystyczny i jasna świadomość rzeczy, która nie była pożyczoną, przyuczoną, ale była wyrobioną we właściwym duchu jego; on miał oczy duchowe, duchowy słuch; zatem wieszcz grecki dojrzał, dosłyszał, czego przedmiot jego poetyczny sam przez się wymaga; pod tchem artysty przedmiot sam się rozwinął w rękach jego, sam urosł, jak rośnie sama roślina — on tylko hodował tę roślinę przyświecając jej promieniem swojego geniuszu, ciepłem serca i pojąc rosą swojego natchnienia. Grecki mistrz jasnym okiem ujmuje zjawiska świata, widzi głębokie znaczenie w nich skryte, ujmuje ich duszę, nie uwodzi go



ani samowolne zapatrywanie się na rzeczy, ani przypadkowe osobiste nastrojenie duszy. Nie było w poematach planu wprzód z góry obmyślanego, a przecież nie znajdziesz nigdzie w rozwoju ich treści ani jałowych suchot, ani przesadzonych zbytków. Tak, jak w ciele organiczném, będącém osnową dla rzeźby, jak w budowaniu Greków, tak też rzecz się ma z ich poematem: co w nim jest, jest, bo tego wymaga przedmiot, a czego przedmiot wymaga, to pewnie znajdziesz w dziele poetyckim. To umiarkowanie skromne fantazyi, ta jej wstydliva wstrzemięźliwość wlewa w tę poezją grecką spokojność uroczystą i prostotę wzniosłości pełną, będącą zarazem cechą ich postaci rzeźbiorych. Patrz np. na ich figury dramatyczne, — to istne posągi; tutaj nie doznasz tego naprężenia wszystkich namiętności, tej ciekawości demonicznej, którą cię prą nowożytnie, zwłaszcza najnowsze autory dramatów, byś brodził z nimi przez to ich błoto krwawe od sceny do sceny; i brodzisz i patrzysz z duszą jakby na męki wziętą, a zgadnąć nie zdołasz jak się to wszystko jeszcze obróci, na czém się to skończy, ani wiesz, czego się ta lub owa figura straszliwa jeszcze dopuści lub czego się uchroni: aleć ta figura sama siebie nie jest jeszcze pewną, bo nią szarpia i podrzucają wbrew sobie przeciwne uczucia i żądze, ona jest pastwą jędz i wewnętrznej walki. W tragediach greckich nie ma tych zagadek; bajka w nich zupełnie prosta, opowiesz ją w kilku słowach; tak też i postać każda w niej jest prostoty pełną, wyobraża tylko jedno uczucie, a wyobraża go z całą jasnością; ta figura jest tedy w zgodzie z sobą, odlana niby z jednej sztuki. Jedna scena, jedna chwila wystarczy, byś tę postać wskroś

przejrzał; a na t $\acute{e}$ m wla $\acute{s}$ nie zale $\acute{z}$ y plastycznosc $\acute{e}$ ; wszak i w rze $\acute{z}$ bie, wie $\acute{c}$  wla $\acute{s}$ nie w rzeczywistej plastyce, tak $\acute{z}$ e widzisz figurę tylko w jedn $\acute{e}$ m chwilow $\acute{e}$ m jej poruszeniu, w któr $\acute{e}$ m skamieniała, a przecie $\acute{z}$  ta chwila wystarcza, zrozumiałeś zupełnie tę postać i mógłbyś się już szeroko rozpisać o jej znaczeniu, o wrażeniu, któr $\acute{e}$ m cię za serce chwyciła.

Stąd, wedle mnie, najw $\acute{z}$ yszym, najprawdziwszym komentarzem, t $\acute{ł}$ maczącym poetów greckich a zwla $\acute{s}$ zcza dramaturgów, jest galerya posągów staro $\acute{z}$ ytnych; gdy cię w koło obstąpią te postaci marmurowe z tym gł $\acute{e}$ bokim a wzniosłym wyrazem na obliczu, wtedy iście przemawiać będą do ciebie jęz $\acute{y}$ kim Homera lub Sofoklesa, i powiesz sobie, że tylko ta mowa wielkich wieszczów mo $\acute{z}$ e być wla $\acute{s}$ ciwą tym figurom. Lecz te $\acute{z}$  dla tego czytujesz i znów odczytujesz te poczye Greków, nie mogąc się do syta napić ich pięknosc $\acute{a}$ ; to tajemnicze ich życie jest dla ciebie samego jakby zdrojem wla $\acute{s}$ nego żywota twojego. I st $\acute{o}$ lecia i pokolenia i ludy różnego rodu, idące po sobie w dziejach świata, piły u tego zdroju, a dopiły się w nim ochłody z trudu a poniżenia. Tym czasem owe, powy $\acute{z}$ ej wspomniane, nowo $\acute{z}$ ytnie dramata, choć tak bujne w pomatwaną intrygę, a wypadki napinające duszę, lubo szaleją warem kipiącej fantazyi, one raz przeczytane wystarczą, rzucasz książkę rad, żeś się z nią pokwitował na zawsze.

Dopiero lat kilka upłynęło, gdy świat, jakby palony febrą gorączkową, pochłaniał tę literaturę, a dziś, dziś ją mało kto weźmie do ręki; ona zapomniana mimo świetnego talentu swoich pisarzy. Jest to pokuta i kara. Kto się wyświeca na kapłana sztuki, niechaj służy jedynie prawdziwej pięknosc $\acute{i}$ , która jest

wiecznie jedna, wiecznie ta sama; niechaj nie znie-  
 waża talentu swojego mizdrzeniem się do smaku i  
 ochoty społecznego wieku, bo mistrz niechaj będzie  
 mistrzem swojego czasu, ale nie jego służalcem i  
 zausznikiem. Smak się odmieni, nastaną inne ochoty,  
 ów zausznik pójdzie w zapomnienie, wymieciony po za  
 progi historyi.

Ta zgoda ducha a rzeczywistości nie tylko uczyła  
 Greków, jak widzimy, właściwej miary w roztoczeniu  
 treści, lecz była mistrzowi światłem przewodniem pod  
 każdym względem. Jednym rzutem myśli odgadywał  
 czyli ten lub ów przedmiot nadaje się do epopei lub  
 liry, albo dramatu; tym samym błyskawicznym in-  
 stynktem przeczuwał styl właściwy dla pewnej treści,  
 miarę wiersza i t. p. — Buffon niegdyś rzekł: „le style  
 c'est l'homme“ i to jest prawdą, ale dla nowożytnych;  
 dla Greków zaś styl był wypadkiem i człowieka i  
 treści czyli osnowy jego. (\*) Smak jest raczej zupełnie  
 osobistym pierwiastkiem. Grecy dla smaku nie mieli  
 nawet nazwy; a lubo w Grecyi do stylu mistrza każ-  
 dego wplatało się jego usposobienie duchowe, indywi-  
 dualne, przecież takowe było tylko lekkim odcieniem,  
 nie paczącym treści, a strojącym się do niej harmonią.  
 Jeżeli, jakto bywa często między nami, styl niewła-  
 ściwy zastosowany jest do przedmiotu, wtedy treść jest  
 zgwałconą, wykrzywioną pod wpływem wewnętrznym,  
 osobistym autora; wtedy nie widzimy rzeczy, o którą  
 chodzi, ale raczej pisarza, wtedy też pisanie takowe  
 nie jest już stylem, lecz naciąganiem, manierą. Cóż

(\*) List VI., tam powiedzieliśmy w jakim sensie wypadaloby  
 brać to zdanie Buffona, aby się zgodzić na orzeczenie takowe.

dopiero się dzieje, gdy treść właściwa np. dla epopei, romansu, wciśniona zostaje w dramat. Te nierządy bezecne odbywają się codziennie pod oczyma naszymi. Gdy jakaś powieść plugawa i krwawa, znieważająca święty obyczaj domowy, przypadła do smaku grymaśnej, bo chorzej publiczności, już wtedy pojawiwszy się we felietonach i w książkach ilustrowanych i nie ilustrowanych, przeszedłszy wszystkie piątra i pięterka, strychy i zatyłki towarzystwa, przewędrowawszy od bogatych złocistych salonów do garderoby, kuchni, warsztatów, wytarłszy wszystkie kąty, zostawiwszy wszędzie jad swój, wkońcu przeistacza się w nowy kształt, bo wrzekomy dramat, na wielką radość umysłowej gawiedzi i kassy teatralnej; a ze sceny idzie prosto na odstawkę między rupiecie literatury, przeżywszy to życie kilkoletnie w nierządzie i bezwstydzie, ale hucznie, ale szumnie. Mało która z główniejszych literatur europejskich nie przedstawiała tego dziwnego, ale niepokojącego zjawiska.

Ta zgoda ducha a rzeczywistości w Helladzie rozświeciła również w wieszczu jej onę instynktową świadomość własnego usposobienia; on patrzył w siebie i widział się, przejrzał do dna własnej istoty; z tą nieomylną przeczuciem odgadywał właściwy dla siebie rodzaj poezji; liryk np. nie zabierał się do epopei ani do dramatu. Widziałeś nawet powyżej jako Sokrates z onym wielkim Arystofanem rozbierają wątpliwość, czyli tragiczny może być zarazem komikiem. Stary mistrz umiał się mierzyć i miarkować, on znał rodzaj odpowiedni jego zdolnościom.

Co więc, ta poezja Greków rozwijała się jeszcze w różnych epokach ich Historii i wśród różnych rodo-

wych szczepów, osiadłych po licznych jej ziemiach. Jak tedy każda roczna pora roku występuje w wianku właściwych sobie kwiatów, jak każda składa właściwe owoce na cześć natury, tak fantazyja Hellady, przeobrażając się w dziejach tego ludu, w każdej epoce występowała właściwym jej rodzajem poezyi; tak naprzód epopeją, później lirą, nakoniec dramatem. Co było na czasie, zabrzmiało w sercu, rosło i przybrało formę poetyczną, w której się zwierciadlił czas. Każdy rodzaj poezyi był w swoim czasie całą poezyą grecką, każda z tych postaci rozwinęła w tej sobie właściwej epoce cały żywot swój, a gdy przeszła wszystkie jej przemiany, już skonała na zawsze, nie budząc się już nigdy z martwych. Nakoniec zważ że każdy z tych rodzajów poezyi wyrastał znów ze serca szczepu właściwego sobie: Jonia wypiastrowała Epos, ród dorycki zabrzmiał hymnem, a ta Attyka, co tak mowna, tak skora do przypatrywania się rzeczom ze wszech stron, rozdzieliła te różne stanowiska pojmowania na różne osoby i stworzyła dramat.

Tak przeto każdy szczep i ziemia, każdy peryod dziejowy, każdy wieszcz ograniczał się ściśle w sobie, nie przekraczając kończyn własnej istoty swojej; za to też w niej był jakby sam u siebie, oddawał się całym sercem tej poezyi jemu przyrodzonej, był w niej, jakby w własnej duszy, w niej zaważył całą pełnią ducha, nim nie miały chęci i pokusy obce jego fantazyi; nie zaznał też przeto nigdy powątpiewania o sobie — o swojej zdolności. Mistrz, dla onęj harmonii wiążącej ducha jego z przedmiotem, był też ściśle zaślubiony swojemu rodzajowi poezyi; ta poezya,

jemu przyrodzona, stała się jego własną istotą niedłgą-czną, on w niej żył, w niej umierał.

Przecież z drugiej strony znowu cała poezya grecka była jedną całością cudowną. Tak jest! bo w Helladzie jak się uzupełniały epoki dziejowe, jak się uzupełniały ziemie i rodowe szczepów pierwiastki, tak uzupełniały się nawzajem rodzaje poezyi i wieszczce sami, składając jeden wielki Olimp mistrzów. Byli to ludzie, z których żaden nie zapragnął być każdym i wszystkim; każdy z nich znał się być tylko jednym dźwiękiem w tym wielkim akordzie Grecyi całej, i w tém umiarkowaniu widział chwałę swoją. Byli to ludzie na ogromną miarę, na olbrzymią historyczną stopę, byli to ludzie wieley, bo umieli się ograniczać, bo umieli przestawać na swoim. Otoż widziałeś, że poezya Hellenów, jak cała ich sztuka piękna, miała za cechę to zespolenie wewnętrznego a zewnętrznego świata. Ta istota jej odbiła się też w ludzic Grecyi; on tój poezyi słuchał z ust żywych, on słuchał śpiewców epopei, słuchał i widział liryka, gdy uniesion zachwytem wielbił Bogów na Olimpie, lub zacnych mężów na Ziemi. Lud ten patrzył i słyszał, gdy przez widownię sceny kroczyły wielkie dramatyczne postaci; co tylko w widzu, w słuchaczu odezwało się w wnętrzu głębokiem, toć słyszał i widział przed sobą w dziele mistrza.

U nas inaczej się dzieje: my mamy książki; cof-nąwszy się tedy w siebie z biedą samotnego ślimaka, czytamy, przenosimy się na chwilę w obce światy, żyjemy i czytamy w sobie i dla siebie. Ale gdy się książka zamknie, znów nas obleje zimna wodnista rzeczywistość, w koło nas stanie dawno opatrzona.

wymokła proza, nie znająca żadnego związku z pieśnią, powieścią czytaną; ten świat poezyi książkowy wydaje się tedy marzeniem, cackiem dziecinném w obec grozy żywota. Za to też chłoniemy książkę za książką, pędzimy na wyścigi, kto liczniejsze półki książek spożyje, kto je rychlej zapomni.

W pierwszych chwilach młodego zarania, gdy ziemia, morza Grecyi tchnęły lekką powiewną mgłą, jakby lubą dziewczą nadzieją, na niebie wschodniém grono obłoków, palących się złotem, stanęło wieńcem wkoło, słońce witając. Te obłoczne kształty świeciły w barwy mieniące, i, niby widma lekkiej fantazyi, budowały się to w baszty, to w grody to w statki żaglowne, to malowały dziwnym zarysem postaci mężów zbrojnych szyszakiem i włócznią, to znowu spływały w miękkie niewieście formy. Te widziadła świeciste, napowietrzne — to Homerowy świat.

Śpiewał wieszcz w Iliadzie chwałę męztwa i butność wojowników, i śpiewał w Odyssei dziwne czarnoksiężkie przygody i mądrość bohaterów wśród trudu pielgrzymki, co wiodła ich powrót przez świat, przez życie, do ojczyznej ziemi.

Śpiewy wieszcz nie czytane, nie pisane, — on powierzył pieśni swoje rodzinnym powiewom i ustom swojej ziemi, a pieśni te, rozniesione tchem po krajach, po ludach, po pokoleniach, wpisały się w serce ludzi, wpisały się na wieki w duszę! Pieśnie te przetrwały budowania marmurów hardych, przetrwały pamięć złożoną w mogiłach, bo wieszcz nie siebie śpiewał, on cały się stał pieśnią, on rozplynał w naturze, w głębiach ludzkiego ducha, — on był niewidzialnym w tej pieśni swojej; natura, ludzki duch, prawdy

odwieczne przemawiały przez usta jego. Stąd też postaci jego tak są wyraziste, tak pełne krwi i życia: zoczył je mistrz świeżem, jasnym okiem duchowem, — one tak potężne, tek prawdy pełne jakby dzieło samej przedwiecznej przyrody; a przecież te kształty wszystkie owiane, uszlachetnione wdziękiem nieskończonym fantazyi. Te bohaterzy, te wojownicy Homerowskie, — to dzieci ziemskich padołów, one cierpią i weselą się po ludzku; niemi podrzuca zemsta i miłość, niemi mierzają tryumfy i trwogi, a przecież w nich puka sercem ciepłym natura ludzka, wzniesiona do ideału podobnego bogom. Tłem tych postaci, tych obrazów jest spokój niebiański, niezamącony nigdy, a ten spokój jest ową ciszą duchową wieszczą, co składa, wiąże, szykuje i splata części w całość artystyczną. Gdy mistrz przeniknął do dna prawdy żyjącej w tajniach świata i w sercu człowieka, gdy podsłuchał w nich bicie pulsów, przeto też rozlał uczucie głębokie obyczaju po świecie przez siebie stworzonym. W lekkich i pełnych uroku tonach, w wierszach, co kroczą niby lotne gracye, płynie chwała zaerności, a wstręt do winy. Trojańskie boje okazały Grekom, że jeden jest ich ród, jedno pochodzenie, a pieśni Homerowe postawiły ołtarze tym samym bogom i wspólnej Greków sławie. Księgi Homerowe, to księgi rodzaju pradziadowej mądrości dla Grecyi; na ich obrazach, malowanych niezgasłemi nigdy barwami, Hellada uczyła się własnej duszy swojej, uczyła się czytać tajemnice natury i własnego serca.

Zaiste, te pieśni są zakonem obyczaju nieznanego Wschodowi, — w nich pierwszy raz występuje na świat wysokie znaczenie kobiety. Wszak wdzięci niewieście rozpalają wojnę Trojańską i stają się piastkami



Iliady, a Penelopa znów jest ogniskiem duchowém, idealném Odyssei, bo ostatecznym celem tęsknoty Ulissesa. Dla niej on cierpi, dla niej zwalcza trudy ciężkie i rozliczne przygody swojej podróży, bo ku małżonce również jak ku ojczyźnie zwrócone serce i myśli jego. Daremnie pełna wdzięków Kalipso czynia go czarodziejstwem uroków i szczęścia, napróżno ofiaruje mu wieczną młodość i życie nieśmiertelne; on wyznaje że niebianka iście cudownej nadziemskiej urody, że lata długie a przebyte w samotnej tęsknicy dotknęły zaiste boleśnie wdzięków małżonki, a przecież jedynie do żony śmiertelnej zwrócone myśli jego i serce; tęsknota do niej, do ojczystej ziemi jest jego gwiazdą przewodnią. Cześć ta, którą Homer, a z nim cała późniejsza Hellada, otacza niewiastę, była zarodem uczciwego obyczaju, który się atoli dopiero w całej pełni w chrześcijaństwie rozwinął. Wszak kobiety są kapłankami ogniska domowego a miłości rodzinnej. Czuł wieszczym geniuszem tę prawdę Homer, gdy kreślił postać tak zacną jaką jest Penelopa; rzekłbyś, że ona wychowana w świętym obyczaju chrześcijańskim — tak przezysta, tak szlachetna i wzniosła ta postać! Od dawna rozchodzi się wieść że jej małżonek już nigdy nie wróci z pod Troi na ojczyście brzegi, więc ją otacza tłum zuchwałych zalotników o jej rękę; w samotnej, komnacie przez długie, głuche lata wiernie dochowuje i rękę i serce piérwszej i ostatniej miłości swojej, i tkąła zcicha szatę ową, a praca dla niej tak nieskończona jak jej miłość, jak i tęsknota, jak wiara jest nieskończona. I czeka i wierzy, kocha i kryje lzy i nadzieję, uśmiechy i tę miłość co nigdy nie umrze w jej sercu. Nareszcie, gdy po długich,

smętnych latach pojawia się żebrak schylony starością na grodzie Penelopy; gdy pociesza serce królowej, troskami skołatane, wiadomością o małżonku, ona, najwyższą radością zdjęta, przyjmuje go ze czcią w pałacu, jakby przyjaciela, jakby brata od dawnych czasów, stroi i pieści żebraka. Wtedy senne widziadła wróżą jej blizkie przybycie małżonka, bo się jej śniło że orzeł, co wytępił jej gęsi na podwórzu, przepowiada blizki powrót Ulissesa. (Oddys. XIX 545.) I ziściły się marzenia: żebrak zwleka szaty biedne i przed Penelopą staje jej miłość, jej małżonek — Ulisses w postaci odzianej cudowną mężką urodą! Toć jest obyczaj w całej piękności swojej. A ta Nauzyka, — to niezapominajka niewieścia, to cudowny kwiatek młodziuchny! Ulisses, rozbitek morski, sam jeden ze wszystkich towarzyszy falą wyrzucony na wyspę, kędy króluje jej ojciec. Nauzyka nieznajomego biedaka opatruje w szaty, i, by uniknąć plotek zawistnych, zatyłkami miasta prowadzi do rodzicielskiego pałacu. (\*) Nikt nie zna przychodnia, on opowiada

(\*) Trudno mi się wstrzymać od przytoczenia krótkim wyśmkiem ustępu z Odyssei, tak prześlicznie tłumaczonego przez L. Siemieńskiego. Rzecz taka. Nauzyka królewna, wybrała się ze służebnicami na brzeg morza dla prania bielizny. Po skończonej robocie, dziewczęta stają do piłki; wśród zabawy Nauzyka przyśpiewuje towarzyszkom; w tém piłka, rzucona ręką Nauzyki, omija dziewczęta i wpada do wody; ztąd śmiech i wrzaski. Aleć to właśnie tam w krzewach spał Ulisses, wyrzucony przez morze, zwalany morskiem błotem. Obudzony głośną ochotą dziewcząt, w niepewności co czynić, zbliża się. Dziewczęta uciekły; jedna Nauzyka, jako wyższa duchem i sercem, została; wtedy już Odysseus, natchniony przez Palladę, w ten sposób do niej w prósy się udaje:

cierpienia swoje, i trudy i prace przebyte, i wzdycha,  
i gdy mu się na płacz zbiera, szatą okrywa oblicze.  
Pewnego razu Nauzyka stanęła w zaciszu niewidziana.  
Ulysses przechodzi, — dziewica długiem, przeciągłym

Błagam cię, bądź-eś bostwem, bądź panną śmiertelną;  
Jeśliś jedną z tych bogiń w niebiesiech udzielną,  
Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kroniona.  
A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padolu,  
Błogoszawiony ojciec z twą matką pospołu,  
Błogoszawieni bracia! Jakżeż im gdzieś rośnie  
Serce przy tobie, jak się rozpływa radośnie,  
Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać!  
Lecz szczęściu oblubieńca nie może nic sprostać,  
Gdy po kosztownych darach zawiezie cię do dom!  
Różnym jam się napatrzył, przeróżnym narodom,  
A równej nie znam tobie.

Tak zacząwszy, prosi by mu królowna dostarczyła szat, i  
przywodzi nieszczęście swoje, przecież nie przyznaje się być  
Ulyssesem, i dalej mówi:

A Bogi cię najmiłszą opatrzą nagrodą:  
Dadząć męża i domek; przenijszawszą zgodą  
Pobłogoszawią! skarb to najcenniejszy w świecie,  
Kiedy męża z małżonką tkliwa miłość splecie,  
A pokój włada domem. Wróg na to się skrzywi,  
Cieszą druhy, a oni nad wszystkich szczęśliwi! —  
Snieżnoramienna panna w te ozwie się słowa:  
„Widno żeś człek nie podły ani miałka głowa.  
Darmo! woli Jowisza nikt się nie wybiega,  
I czy pan czy chudzina losowi podlega.  
Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemię.  
A teraz, kiedyś nogą wstąpił w nasze ziemie,  
Okryjem cię, na niczém nie będzie ci zbywać,  
Co tylko obcy tułacz może potrzebywać.  
Do grodu drogę wskażę, dam ludu nazwisko:  
My Feaki, tę ziemie zamieszkujeć wszystkie.

spójrzeniem utonęła w obliczu jego „i rzekła uskrzydlonemi słowy: niechaj ci życie będzie radością! lecz chciój też i na ziemi ojców swoich pamiętać o mnie, boć to ja przecież uratowałam ci życie!“ I słusznie ktoś z estetyków powiedział, że nikt tak nie umie jak Homer kilku słowami skreślić pierwszy pączek przeczystej miłości, kłującej się w sercu niewinnej dziewczyny bez własnej jej wiedzy! Przypomnijmy sobie jeszcze postać smętną a tak uroczystą jaką jest Andro-

Jam córka Alkynoja — wyższego tu niema,  
On władzy i potęgi w ręku berło trzyma.“

Poczem zawołała Nauzyka na służebnice by mu podały szaty chędogie, a Odysseus, oddaliwszy się, zmywa z siebie morskie brudy i piany. Bogini Pallas-Atene rozlała na całą postać jego urodę i krasę mężką — tak „iż był piękny bez miary.“

Ujrawszy go królowna, wielce zdziwiła się,  
Więc po cichutku prawi do drużyny swojej:  
„Słuchajcie-no dziewczęta! tak mi się coś roi,  
Ze nie wszystkich on bogów gniewem obarczony,  
Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.  
Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,  
A teraz jak bóg który, niebianin promienny.  
O, gdyby mi się trafił mąż coby mu sprostał  
Z młodzi naszój, lub gdyby on sam moim został! —  
Ależ jadło, napitek, co tehu mu zanieście!“

(Orędownik rok 1844, No. 45.)

Otóż jest ułomek z owęj pradziadowej pieśni którą wyśpiewał Homer bez mała przed 2700 lat. Widać iż co piękne i wielkie zawsze pięknem i wielkiem zostanie; a co do tłumaczenia, wyznaj, że jest takowe jakoby było napisane oryginalnie po polsku. Taką właśnie zaletę znakomitą a tak rzadką mają wszystkie tłumaczenia L. Siemińskiego; zdaje mi się że gdyby się zabrał do przetłumaczenia całej Odyssei, jużby ta praca nie ustąpiła tłumaczeniom żadnej Literatury.

macha, i znów ową wykwintną ale uzacnioną zmysłowość w Kalipsie, albo grubą ziemską namiętność, wyrażoną w Cyrce, albo gminne pojmovanie życia i nieszlachetne uczucia w służebnicach Penelopy, a wznaj, że Homer z mądrością głęboką skreślił wszystkie barwy i odcienia natury niewieściej. — A któż to jest ten Homer, kiedyż on żył? — Niewiedzieć! żył może na ośmset lat, może na tysiąc lat przed Chrystusem!

W Epopei artystyczny geniusz Hellady nauczył się czystem, niezamąconem sercem, wolnem od osobistych uczuć patrzeć na świat; — więc mistrz własną duszę swoją przetłómaczył na postaci olimpijskich bogów, na bohaterów swoich, na sprawy ich i walki, — sam siebie przeistoczył na sceny wielkie przyrody, na kołysanie szumiących mór, na cisze uroczyste wieczora, na lekkie dymy ojczystych chat, i na ten cały dramat natury, co zawsze jeden a zawsze świeży, nowy i zawsze wielki. Jak serce, chwycione miłością, traci siebie ginąc w przedmiocie ukochanym, tak w Epopei greckiej osoba mistrza przepadała w treści pieniów jego; on tonął w świecie zewnętrznym, jakby w duszy kochanki swojej.

Lecz zważ, właśnie ta istota Epopei, spotęgowana do ostatecznych granic, nawróciła fantazyą Greków do nowego rodzaju poezyi. Gdy bowiem ta Epopeja dobiła się szczytu swojego, gdy człowiek ujął już swoją istotą cały ten świat zewnętrzny, gdy go przepatrzył we wszystkim objawie jego, — teraz dziwnym, a jednak koniecznym nawrótem, ten świat nawzajem wstąpił we wnętrze człowieka i przetłómaczył się na głosy serca, na uczucie własne duszy jego. Cały przeto ten dramat przyrody, wszystkie te bogi, bohaterzy, wypadki

radośne i smętne ludzkiego żywota wkroczyły w serce wieszczka i zagrały mu na uczuciach, jakby na wewnętrznych strunach, a tak zrodziła się *liryka* grecka.

W lirze serce wieszczka jest światem jego. Gdy przeto treścią Epopei jest rzeczywistość cała roztoczona w obrazach, treść liry zebrana jest w sercu jako w ognisku swoim, — tą treścią są uczucia mistrza. I toć właśnie stanowi tę wyrazistą cechę liryki greckiej, będącej wzorem po wszystkie wieki. Uczucia i budzenia się ich nie zależą od człowieka; uczucia są jednostkowe, a im które potężniejsze, tém silniej wyłącza inne; stąd każda pieśń liryczna ma tylko jedno uczucie za duszę swoją, za treść swoją; od uczucia zależy zrodzenie pieśni i ukończenie jej; jest to część duszy, część siebie, którą z siebie wypuszczają serca przybytki. Co w piersiach się budzi, wyrывa się teraz na jaw, — to bogosławnym hymnem unosi się w obłoki, lub śmiałoskrzydłą odą wielbi czyny pradiadowe, — to wypływa potokiem rzewnej, tkliwej elegii, — to wyskakuje znów ze serca śmiejącą się, radośną ochotą Anakreontyka, ową lubą piosenką, co hula rzezko, dziarsko, brzmiąc chwałą miłostek i puhara!

Chciiej atoli baczyć, że ta fantazyja liryczna Helenów, tak różna, tak bogata, choć wypadala zdrojem z wnętrza wieszczka, nie była przecież samym tylko osobistym wpływem jego, i tém ona różni się całą przepaścią od tej liry nowożytniej, co bywa najczęściej fałszywie sentymentalna. Bo co mistrz grecki zaśpiewał, toć było istic tonem zrodzonym za potrąceniem zewnętrznego świata; te tony i dźwięki wieszczowych piersi, toć one właśnie są tym światem, ale przybranym niby w osobiste uczucia śpiewaka. To nie on sam,

to świat, co w nim śpiewa i gra, ale świat już przestoczony na własną duszę wieszczą. Treść duszy poety wzniesiona jest do ogólnego znaczenia; w lirze śpiewa nie ten pojedynczy człowiek, którego lud słucha, na którego się patrzy, ale w pieśni śpiewa i nuci ogólna wiekuista natura człowieka. Nie jest to liryczność nowożytna, nie jest to pieśń, co jest li osobistym śpiewem, co tak często chorobliwa tęskni i żali się, że świat nie rozumie uczuć, zrodzonych w tajniach serca wieszczą.

W lirze greckiej słychać wprawdzie także osobiste, własne uczucie mistrza, lecz właśnie dla tego, że wieszczę był szerokiego, wielkiego serca, że żadna ciasnota samolubna nie odgraniczała go od świata zewnętrznego, nie krępowała jego swobody — dla tego właśnie ta rzeczywistość cała, bogata, pełna treści zdolna była wstąpić w tajne przybytki duszy jego. Co on zaśpiewał, choć party niby osobistém uczuciem, to rodziło się z rozwartych, wolnych piersi, to budziło uczucia wszystkich, — odbiło się echem w sercu wszystkich i po wieki wszystkie. Mógł przeto Pindar zaśpiewać „Jam człowiek jeden, a powołanym dla całej społecznej sprawy.“ W piersiach jego tchnęły bogi same, gdy śpiewał bogom. Stąd też gdy raz w Delfach, uchwycen potęgą natchnienia, uwielbił niebian na wysokim olimpie, tłumny słuchający lud, uderzony jakby obecnością bogów, zapada w zapomnienie siebie, staje słupem niemy, a grono kapłanów świętej wyroczni kroczy ku niemu w uroczystym pochodzie i wzywa wieszczą do świątyni na gody. Apollo, obecny w mistrzu i w śpiewie jego, wzywa śmiertelnego człowieka

na ucztę do siebie, do domu swojego. Wieszcz — bogów gościem; on od nich uraczony, uczczony.

Rosa niebiańska błyszczy na listku, zbiera się w kroplę, co się pali jasnością słonecznych żarów, a im więcej kropelka się wzmoże, tem mocniej ona promieni wszech tęczy barwami; a gdy już zaświeci najcudniej całym niebios przepychem, spada, ginąc w ziemi, w matce wszystkiego żywota. Jest też stara gadka między ludźmi, że skon i kochanie — to dwa anioły bliźniaki; bo w miłości, w najwyższym życia nastroju, już zarodem budzi się śmierć. Tak Tragedya Grecyi, będąc najwyższym jej piękności tryumfem i najzacniejszą jej fantazyi postacią, — jest zarazem zwiastuną już kroczącego jej skonu.

Gdy w Helladzie przeminęło dawno ono pierwszej wiosny tehnienie, co zrodziło śpiew Epopei, gdy lira już ciszej, a ciszej brzmiała w sercu śpiewaka, wtedy stanął wśród ludzi dramat, bo on jest zespoleniem zewnętrznego świata Epopei a świata wewnętrznego lirycznej poezyi. Dramat roztacza wspaniały obraz ludzkich czynów jak Epopeja, lecz tych ludzi już widzisz tuż w obec siebie, słyszysz jak w lirze te tajemnicze głosy co je prą do czynu. Jak w lirze sam śpiewca wyjawia wnętrze swoje, tak w dramacie każda jego figura jest wyobraźnikiem uczucia, co w nim robi a warzy; i znowu wszystkie te figury i ich uczucia splatają się w jedną całość artystyczną jak w Epopei, a ta całość tem więcej jest w dramacie ścisłą, artystyczną, iż te figury nawzajem się uzupełniają organicznie, tak dalece, że każda z nich wymaga koniecznie bytności drugiej. Ta ścisła łączność liry a Epopei w dramacie objawia się jeszcze pod innym względem, bo w chórze



tragedyi greckiej. Chór należy wprowadzić do gry, ale udział jego jest tylko liryczny, a znów jest niby aktorem, a przecież znów tylko widzem, zachowując się jedynie biernie do wypadków odbywających się na scenie. Chór grecki godzi i miarkuje rozkołysane uczucia tragicznych bohaterów; on radby pojednać strony, które się zderzają całą potęgą namiętności swoich. Chór atoli jest bez mocy, wysilenia się jego daremne, on świadkiem i walki i skonu wrogich pierwiastków. On ma słusność po walce, po zgonie; jest to demos, lud, owa potęga ogólna co zostaje i nie ginie wśród gromów łomotnych, wśród skonu figur dziejowych. Chór ma słusność; co on orzeka jest prawdą ogólną, którą przytłumiły w sobie figury główne, działające; jest tedy (wedle mojego zdania) odgłosem owego fatum, będącego tłem tragedyi całej; i dla tego (śmiałybym powiedzieć) chór grecki i Przeznaczenie zostają w ścisłym związku z sobą. Co się w chórze dzieje niby biernie, co u niego jest śpiewem, jego wewnętrzną treścią, staje się w dramacie czynem, występuje na zewnątrz. Stąd każda postać tragiczna zderza się z inną a inną postacią, którą znów inne włada uczucie. Bo co w sercu zamknięte, to nasze, — co czynem się jawi, toć świata własnością, to bije w ludzi i w rzeczy, a tak rodzi się kollizya, zwanie się potęg wrogich. (List X.)

Kollizya pierwiastków żywotnych nieznana była jeszcze w życiu Grecyi, — ona pierwszy raz pojawiła się w sztuce tragicznej prorocstwem poezyi. Hellenowie patrzali się na te walki i łamania się wrogich mocy, co się wcieliły na scenie w osoby starogreckich bohaterów, królów i ich rodzin. Te postaci zamroczone,

te dzieje mityczne, żyjąc tylko tradycją wśród ludu, zdawały mu się historią dawno odbytą, niepowrotną nigdy. Te króle i bohaterzy pradziadowych lat wystąpiły ze mgły przeszłości, świecąc całym urokiem piękności tragicznej, stanęły przed tym ludem i niby smętne zwiastuny przywiodły mu na oczy walki i zderzenia okropności pełne; — lud Grecyi patrzył na te obrazy zdumiony, struchlały. Zgroza serce ścisnęła; rozbierały duszę jego trwogi i żale, a lud ten nie przeczuwał, że na tój scenie, w obec siebie widzi własne dzieje łzawej przyszłości swojej; nie przeczuwał że ta walka i zwanie się potęg wrogich zestąpi nie zadługo w rzeczywistość, że zdoprawdy na jawie Grecya odegra dramat, tragedya, że umrze na tę walkę własnych pierwiastków swoich, że piękną stróny enėj harmonii.

Grecya umarła na walkę tych pierwiastków swoich! bo owa ich harmonia, będąca żywotnym warunkiem, duszą Hellady, pękła rozsadzona za dotknięciem się ducha dziejów ludzkich, co idzie przez świat.

Ten cudowny, harmonijny zestrój wnętrza człowieka a zewnętrznego świata, ducha i natury, serca i rozumu, to zespolenie pełne wdzięków człowieka z prawem, obyczajem i bogami jego nie mogło się długo ostać w świecie greckim. Na dnie tój harmonii rozwierała się niewidomie sprzeczność bezdenne, jakby otchłań grobowa, osłoniąca różami wonnemi. Gdy nadszedł czas, ziewnął ciemny grób i pochłoniął różę wonne i Grecyą.

To zespolenie i harmonia były tylko chwilą piękną, ulotną w ludzkich dziejach; Hellada wprawdzie wiedziała o różnicy owych dwóch odwrótnych światów; to jej przecucie jednak nie było dostatecznym, ona

nie zdołała rozdzielić tych światów wskroś, do dna, i dla tego właśnie nie umiała uznać wzajemnego ich i prawdziwego stosunku i związać ich rzeczywistą harmonią. Grecya wiedziała o różnicy ducha a materyi, a przecież nie stało ją na to by pojąć ducha bez ciała, więc i bogi swoje oblekła zmysłowością, ciałem! — Nieskończoność była tedy u nich na wieki materyi zaślubioną. Bogi były wiekuiste i nieskończone — ale nieskończoność ta jest spreczna wielości ich, bo gdy było wiele bogów, już każdy z nich był koniecznie odgraniczonym, od wszystkich innych, był więc w sobie ograniczonym, a przecież on miał być nieskończonym. Te bogi były wiekuiste a cielesnością odziane! Dla tego też one w swoich posągach, choć z uśmiechem niebiańskim na obliczu, tak czegoś tęskne i rzewne, — po tym uśmiechu płynie łza! Jakby w przeczuciu smętném tej spreczności, Grecy uznali fatum, ową straszliwą przeznaczenia moc, co grozi ludziom i bogom. Ztąd znów dalsza spreczność bogów a przeznaczenia, stąd znów następnie spreczność w samém ciemném łonie tej mocy wrogiej. Bo fatum nieubłagane, to raz ślepe, uderzające z przypadku, jakby obłąkanie w ciemnicy porwany bezprzytomnym szaleńcem — to znów sprawiedliwe i mszczące krzywdy, — to zawistne szczęściu ludzi, pełza milczkiem niewidomie i zabija; one wszędzie obecne a niedostrzeżone, aż nie uderzy całym nieszczęściu gromem. W Grecyi człowiek jest już wolnej woli i mistrzem swoich czynów, a przecież odpowiada za przodków swoich; zbrodnia pradziada wlecze się chyłkiem za późnem pokoleniem i ściga furiami wnuków. Te spreczności zradzały inne a inne, rysując najgłębsze podwaliny greckiego żywota;

fundamenta Grecyi się padały; zrazu te szczeliny lekkie, niedostrzeżone, rozwierały się zwolna jako rany śmiertelne, niewyleczone nigdy.

Tragedya Greków była cichą, dziś ledwie dla nas dosłyszana wróżbą przyszłego jej skonu, a więc też najwyższem górowaniem sztuki Hellady. Trzy imiona przesławne jaśnieją też jako wyobraźniki jej, a te imiona gromadzą się w około najświetniejszych tryumfów dziejów greckich, bo ich piastą jest owa Salamińska bitwa, — w niej Greków duch przemógł milionowe Xerxesowe tłumy. Eschylus, żołnierz-poeta, walczy jako mąż dojrzały w tej bitwie: skronie jego już wieńczy chwała tragedyi głośnej sławy, a piersi jego jaśnieją uczzone już bliznami z pod Maratonu. Naówczas szesnastoletni Sofokles wśród grona najurodzawszych młodzianów, uroczystym tanem oddaje dzięki bogom za odniesione to zwycięztwo, i właśnie znów w dzień tej potrzeby salamińskiej rodzi się Eurypides. Grecya za młodu umarła, — było jej śpieszno z tém życiem. Liczny szereg wielkich mężów swoich i wielkich spraw streściła w krótkim życiu, nie rozwlekając ich na stolecia i lat tysiące.

Wszak z dawniejszego listu i z tego, co powyżej rzekłem, wiesz czém wedle nas jest tragiczność (List X). Tutaj każda z postaci jest wyobraźnikiem jednego z tych uczuć, które rządzą sercem człowieka, ale żadna nie jest całą prawdą, prawda która łączy i jednoczy wszystkie szczegółowe prawdy i uczucia, która jest dnem światowładnem wszechrzeczy, która właśnie owe szczegółowe uczucia i prawdy wysyła z siebie niby promienie pojedyncze. Postać tragiczna tedy, oddając się, wyłącza jedną z tych prawd i urzeczy-

wistniając ją czynem, obraża inne figury tragiczne, bo z nich każda przyznaje się do innego osobnego uczucia, a t<sup>ę</sup> sam<sup>ę</sup>m każda z nich potrąca i znieważa prawdę wszystkich prawd, będącą ich wszystkich tronem a podwaliną, będącą samą prawdą wiekiustą i nieskończoną. Postać przeto tragiczna z jednéj strony jest w swoj<sup>ę</sup>m prawie, ma słuszn<sup>ość</sup>, bo uczucie, które ją podżega do czynu i prze, jest przecież jednym z tych promieni t<sup>ę</sup>j prawdy nieskończon<sup>ej</sup>; z drugie<sup>j</sup> strony atoli na t<sup>ę</sup>j same<sup>j</sup> postaci ciąży cał<sup>ę</sup>m wrogi<sup>ę</sup>m brzemieniem wina, bo<sup>ć</sup> ona, nieopatrznie gruntując się na t<sup>ę</sup>m jedn<sup>ę</sup>m swoj<sup>ę</sup>m wyłączn<sup>ę</sup>m uczuciu, nie uznaje uczuć innych, a tak nie uznaje też on<sup>ę</sup>j prawdy bezwzględn<sup>ę</sup>j, nieskończon<sup>ej</sup>. Ta prawda zrazu niewidziana, będąca oddalon<sup>ę</sup>m t<sup>ę</sup>lem, wysuwa się zwolna, strasznie z za kulisy swiata, rośnie majestatem niebotyczn<sup>ę</sup>m i uderza gromem, karząc winę skonem! Kara ta i skon mrozi strachem serce widza, sięgając, do ciepłych głębin jego zimną, nieubłaganą ręką, bo widz uznaje, że to jest spawiedliwość wiekiusta, co tu karze! I znów zarówno widz uznaje, że to uczucie, za które skonem płaci postać tragiczna, mieści się w jego własn<sup>ę</sup>m sercu, że to samo uczucie jest obecne w nim, we widzu, niby demon śpiący, a gotowy co chwila się obudzić i porwać go w nieszczęścia otchłanie; i dla tego widz truchleje, — stąd jego współczucie tak jest głębokie!

Chci<sup>ę</sup>j jednak baczyć, że inne ma znaczenie tragiczność w sercu wypiastowan<sup>ę</sup>m mądrością nowoczesnego swiata, a inaczej wcale ona zaważyła w Grecyi. U nas tragiczność i skon jest zgładzeniem wina, pogodzeniem się człowieka z sobą i z prawdą wiekiustą, bo w nasz<sup>ę</sup>m sercu tak głęboko! tak przepaścisto! My instyn-

ktem, przecuciem, wiedzą, wiarą chrześcijańską wiemy, że ta prawda wszystkich prawd jest w nas samych zarodem, że jest naszym własnym pierwiastkiem; ba, że jest własną istotą naszą wiekuistą! Stąd wiemy, że wina, że oddanie się jednemu uczuciu wyłącznie, będące obrazą prawdy wiekuistej, odstępstwem od niej, jest zarazem odstępstwem od właściwej istoty nieskończonej naszej; gdy przeto ta prawda uderzy karą, toć uznajemy własną istotę naszą w niej więc godzimy się z nią niby z sobą. Zważ! tu zaiste zawarte są najgłębsze głębie duchowego naszego żywota! Kto się wyrzeka winy swojej, kto w niej widzi jedynie błąd złej chwili, kto się jęj zaprze całą gorącą serdeczną żałością, ten już zaiste nawraca z niej ku wiekuistej a przeczystej prawdzie, i w tej prawdzie miłością tonie. Wtedy już wina owa przestaje być winą, wina staje się dla niego obcą potęgą — ona zgładzona; a człowiek nie tylko w przekonaniu swoim osobistym, ale rzeczywiście, naprawdę uwolniony jest od winy; on staje znowu w zgodzie z sobą i z ową prawdą wiekuistą, przedwieczną. Kara uderza jedynie w błąd jego, ale nie w jego istotę; ona jest zniesieniem chwilowego obłędu, pogodzeniem się przez skon z sobą, z prawdą nieskończoną, nawrotem przez miłość do Boga; na grobie pokutnika wyrasta palma — godło przebaczenia. Jest to tragiczność żywota ludzkiego w najgłębszem znaczeniu.

Takowej tragiczności nie znała Hellada, ona nie zaznała tych głębin ogromnych, przepaścistych ducha. Grecya żyła ze światem zewnętrznym w harmonii pełnej wdzięków; świat zewnętrzny był tedy brzemiennej dla niej wagi. Nie zdołając utonąć we własny ch

bezdeniach, Hellada korzyła się przed życiowładnym fatum, ślepekim losom przypisując przewagę nad sprawami i żywotem człowieka. Jakoż oparcie się na sobie, zapuszczanie się nurkiem we własnych toniach, rozsadzające ową harmonią, byłoby antygreckiem.

Niech się tedy święci po wszystkie wieki geniusz tragików greckich, bo Eschylus, bo Sofokles wzięli na się jako zadanie swojego żywota przywieść ludowi na oczy sprawiedliwość bożą, karzącą złe mszczącą krzywdy; oni uczyli jak miarkować serce, jak ważyć namiętności. Oni wskazali, jak człowiek łączyć ma wolną wolą swoją z rządem niebian losowładnych, jak czcić obyczaj i prawo, jak godzić rzeczy boskie i ludzkie. Tę drogę pierwszy wylamał geniusz tytaniczny Eschyła, co wznosi się nad świat całą fantazyą Wschodu, a mądrością i umiarkowaniem Grecyi, co tak zuchwały a potężny jakby natury moce, jako burze morskie, jak zrywające się ognie podziemne, jak trzęsienie ziemi lub pożar ciemnej nocy.

Treść w jego tragedyi prosta; ona kroczy zwolna, harda, pełna grozy i głębi jako chmura, co niesie pioruny i grom. W tropy za nim idzie Sofokles. Sofokles — on tragikiem połowy świata! Ród ludzki czekał dwa tysiące lat, bo czekał aż się Shakespeare urodził, a z nim tragedia innego rodzaju. Sofokles i Shakespeare — to jakby dwaj reprezentanci dwojędznej tragedyi. Moznaby powiedzieć, że nie ma tragedyi, tylko ta co staje przy Sofoklesowej sztuce, albo ta co idzie wzorem Shakespeara; tu środka jakby nie ma. Choć okazemy w innym miejscu, że ta odwrotność nie dochodzi bynajmniej do gruntu samego rzeczy, że gdy jedna jest piękność, więc tragedia Shakespeara i grecka,

czyli prawdziwie klassyczna, mają spólne sobie tło i podstawę, i są może więcej z sobą spokrewnione, niż się z wierzchu zdaje. Są to dwa dęby olbrzymie, łączące się pod ziemią w spólny pień, w spólne korzenie.

Sofokles treść powiązał z mistrzowska; figury jego są pełne, plastyczne, niby światem w sobie zupełnym, skończonym; z piersi ich płynie Pathos, jako rzeka wspaniała, głęboka. A co w sercu jego bohatera rodzi się, to porywa inne figury, boć to jest uczucie włożone od wieków w duszę człowieka i żyje w niej nieprzemogłą nigdy potęgą, i żyje w świecie, jako jego krew a tętno. Sofokles roztwiera skarby, obłędy ciemne zamknięte w duszy człowieka, podnosi opony zasłaniające historią serca i świata, a z wysoką sztuką splatając w jeden obraz dzieje tragiczne figur swoich, dotykając się wszystkich uczuć, niby klawiszów brzmiałych, wydobywa z nich i jęki i żale, boleść, trwogi i gniew i szal i wszystkie ochoty i namiętności ukryte; aż w końcu te dyzharmonie różnych dźwięków, te zderzenia się ich i walki cichną, korząc się przed powagą ustawy obyczajn. Bo ta ustawa jest konieczną, niewyrotną a przecież ugruntowaną na woli człowieka, na tej woli będącej z wierzchu tak ruchomą, kołysaną wichrem namiętności, a spoczywającą przecież na trzonie niewzruszonym i wiecznym.

Tak tedy Eschylus i Sofokles światłością geniuszu swojego rozjaśnili nocne tło przeznaczenia, okazując nosobijące się na niem postaci sprawiedliwych bogów i odsłaniając występującą z ciemnicy jego Nemesis, co ściga zbrodnie.

Tak ułagodzona jest nieużytość twarda nieubłaganego fatum w poezji tych wielki tragicików; ale prze-



cięż i oni, jako cały świat grecki, nie zdołali go zgłębzić, zetrzeć na zawsze. Rzekłem albowiem, że nie było w onym świecie starym owęj głębi chrześcijańskiego serca, bo ani Eschylus ani Sofokles nie zdołali zanurzyć się w topielach własnego ducha i zerwać do dna z potęgami, co broją zewnątrz człowieka. W nich niema tego głębokiego pogodzenia człowieka z wiekniącą prawdą w znaczeniu wielkiem nowoczesnego świata, niema tego zupełnego, całkowitego nawrotu do siebie; bo do tego trzeba, aby człowiek wiedział, że prawda wiekuista, nie ginąca nigdy, mieszka w nim samym, że jest jego własnym istotnym pierwiastkiem; do tego trzeba było wiedzy żywej o nieśmiertelności ducha człowieka. Żywot pośmiertelny u Greków był cieniem bladym, smętnym, nierównie niższym, niż życie doczesne wśród jasnej promiennej rzeczywistości. Skon, nie ma u Greków tego znaczenia wysokiej prawdy jak u nas, cośmy dziećmi innej wiary, innego świata.

Dla tego właśnie, że nieśmiertelność ducha stawała w lekkim rozwiewnym obrazie przed oczyma Greków, ztąd też oni żyli całą istotą swoją w rzeczywistości tutecznej, i dla tego też właśnie nie rozdzielali do dna wiekuistości od doczesnego świata; wynikało ztąd, że najwyższym szczytem dla ich ducha, była ta harmonia owych dwóch światów, owa piękność fantazyi. Dla nas zaś, cośmy duchem urosli, dzieła piękności, te lubie fantazyi dzieci, wystarczą by sobie upięknąć, umilić tę ziemską tymczasową gospodę, ale ich nie stać by nam zastąpiły wieczność; a piękność jest nam o tyle drogą, o ile nam jest wieczności ziemską zwiastuną. W naszej tragiczności, czyli ona się roztoczy na teatrze, czyli w życiu, grom, który spada na człowieka, choć piorunny,

śmiertelny, znajduje usprawiedliwienie swoje we własnym sercu, we własnym przekonaniu tego, na którego uderza cios; bo karząca go wiekuista, władająca światem sprawiedliwość, zarazem zasiada w sercu jego. U Greków zaś karze fatum.

Dziś w estetyce słusznie przeważa zdanie, że fatum nie jest jedyną mocą działającą w tragedii greckiej, bo to fatum, choć jest raczej mściwe niż karzące, choć kary jego straszliwe nie bywają w stosunku do winy, toć z drugiej strony prawda, że to fatum nie jest ślepią mocą, bo ono wywołane bywa z ukrycia przez własną winę człowieka. Zaiste, to zdanie estetyków jest słuszne, lecz trudnoby mi przyszło zgodzić się z tymi, którzy przesadzając twierdzą, jakoby fatum żadnej władzy nie miało w tych greckich tragediach. Fatum nie było starte ze świata, bo nie była jeszcze starta moc cielesna, bo duch nie był jeszcze w Grecyi samoistnym, samodzielny.

Grecya była ludem młodym, prawie pierwotnym, ona była jedną z pierwszych cór historii; przeszłość dziejowa, która ją wyprzedziła, była jeszcze tak krótka, tak niedawną, przeto też i treść w człowieku nie była jeszcze w Grecyi tak bogatą, tak pełną osnowy jak w naszych stóleciach, które się wychowały długim pasowaniem się przez lat tysiące, które są wypadkiem wielkich cierpień, boleści niewymownych i tryumfów łzawych a krwawych. Z tego też powodu charaktery greckich tragedyj były prostoty pełne, a to nie tylko dla tego, że były stworzone przez wieszczów należących do tego pierwotnego ludu o treści prostej, ale nadto dla tego, że wzięte nawet były z historii pierwotnej, z mitów tego pierwotnego ludu, z czasów

porannego świtu jego. Ztąd wynika prostota tych charakterów; każdy z nich wyobraża tylko jedną wyłącznie myśl, jedno wyłącznie uczucie; a jest cały tą myślą, tём uczuciem. W tragediach np. Shakespear'a, każdy z charakterów jest wprawdzie także wyobrażeniem jednego uczucia, jednej myśli, ale oprócz tego pierwiastku, panującego w nim i będącego w nim główną sprężyną działania, on jeszcze chowa w sercu treść bogatą, w nim waży się i kipi wiele uczuć i myśli, które razem wzięte dopiero stanowią jego indywidualność, jego właściwą fizyognomię duchową. Każda z tych figur brzmi wprawdzie jednym tonem panującym, ale z nim zarazem słyhać i inne wtórujące akordy, a co więcej, prawda wiekuista, jako boży pierwiastek udzielony człowiekowi, nie usypia nigdy w sercu, a choć przygłuszony, budzi się przecież jako anioła głos, co woła na ostateczne sądy Boże. Tego niema w tragediach greckich, w nich niema tój bogatěj, różnorodnej treści, ujętej w jedność wiekuistą; w nich figury są niby niezmiennie maski o nieruchomej twarzy, bo w nich jedno tylko uczucie włada, a pierwiastek wiekuistěj prawdy jeszcze nie zapukał w głębiach duchowych.

Nadto, warto nam jeszcze i na to zwrócić uwagę, że te figury przysły Grekom tradycją, podaniem z dawnych lat, jako typy nietykalne, których zmieniać nie było wolno; wieszcz nie ośmieliłby się był nigdy przedstawić bohatera z dawnych lat wedle swojego własnego zapatrywania się; on go tak stawiał przed oczy widza, jak żył w wyobrażeniu i sercu ludu. Z drugiej strony te charaktery i typy już gotowe, już dane, były nieprzebrany skarbem dla wieszczów

jakim był Eschylus i Sofokles; oni zbadali tajemnicze i pełne wagi znaczenie tych typów, oni przeprowadzili je w obce ludu, jakby filozofią ojczystych dziejów. Ztąd Arystoteles rzekł, że tragedia wyższa od sztuki pisania historii, „bo ta jedynie przedstawia rzeczy jak były z całą przypadkowością swoją, tragedia zaś bada duszę dziejów i dotyka się ich tętna.“ Przyznasz mi jednak, że właśnie dla tego, iż Eschylus, że Sofokles uczyli czci dla bogów i praw i obyczajów, że przywozili w obec ludzi wieczną sprawiedliwość, już tём samém uznali potrzebę tego nauczania, a tak stali się dla nas wróżbą, że stara Grecya i harmonia jęj z obyczajem i religią usuwała się już z dramatu rzeczywistego życia. Przyznasz, że gdy ta tragedia nakazuje człowiekowi rozpatrzenie się we własném wnętrzu swojém, już tём samém była cofnieniem się jęgo w siebie i pierwszym zaczątkiem rozvodu między światem wewnętrznym ducha a rzeczywistością zewnętrzną.

Ta cecha przeradzającej się, a raczej konającej Grecyi występuje z całą prawdą swoją w tragedyi Eurypidesa — on synem wskroś odmiennęj epoki. Nastal czas gorączkowy; wyrywało się osobistą chęcią serce ludzi miotane namiętnością i podrzucane innemi potęgami, które dotychczas trzymane na wodzy czcią ogółu milczały na dnie duszy. Podwaliny pradiadowe społeczności, zakon dawnego obyczaju, straciły świętość swoją, a człowiek zdanie swoje jednostkowe, te chętki piersi własnych uważał za prawdę, za skazówkę postępowania swojego. Popękały dawne ogniwa, każdy uważał się być całością osobną dla siebie, a nie stojąc na zasadach ogólnych jako na fundamen-

tach swoich, nie brał też sił i żywotnych pierwiastków z głębin prawd rodzimych; stąd stał się wiotkim i słabym, bo był-li tylko na sobie oparty. Drzewo zeschło, a te liście, co niegdyś silnie trzymając się drzewa, jako spólnego tła, były czerstwe i zdrowe, teraz żółkły, spadły idąc na poniewierkę lada powiewom. Takim jest Eurypides, takie są jego figury. Owa harmonia, która była żywotną istotą Grecyi, czyniąc z jój ludu lud-artystę, która była dla nas wątkiem całego rozwoju naszego, ta harmonia znikła niepowrótnie ze sceny świata. W Eurypidesie nie ma owych potężnych i wspaniałych charakterów, w których żyje rdzeń żywota całej Grecyi, ale jawią się figury popisujące się błyskotkami swoich osobistych sentymentów. Postaci Sofoklesa działały parte wewnętrznym Pathos; tém Pathos było nie tylko ich uczucie osobiste, ale prawda istotna, ogólna, i dla tego tak olbrzymiego wrażenia. U Eurypidesa figury są rozwojem psychologicznym, są roztozeniem swawolnej osobistej chętki sofistycznej; niemi miota jakaś tęsknota, jakieś na pół zrozumiane chorobliwe pragnienie. Gdy u tamtych tragiczków właśnie to pathos, jako ogólne, wystarczało aby poruszyć wskroś widza i zatrząść sercem jego; Eurypidesa figury nie mają same przez się tej potęgi; więc rade zając jeszcze widza sztuczném powikłaniem bajki tragicznej, wymyślnem naprężeniem ciekawości, wznieceniem jakiejs tęsknoty nieukojonęj. Te tragedye były wyrazem dziejów, które nastać miały w rzeczywistości, gdy już każdy w Helladzie uczynił się odrębnem ogniskiem samego siebie, gdy Grecya rozjednostkowała się na atomy osobne. Był to czas wojny Poloponez-

kiej, w której również one wszystkie ludy Grecyi, zrywając ogniwa jednoczące je w całość, stanęły do siebie kollizyą a bratobójczą walką. Tę wojnę opisując Tucydides, mistrz dziejopisów, powiada, że: „dużo było rozkazujących a słuchających mało, że każdy upatrywał przyczynę każdej przegranej właśnie w tém, że jego tam brakowało, boć on byłby niby złemu zaradził.“

Słowem, ów, niegdyś cudnej piękności, żywot Grecyi wypaczył się, wydrzeźnił w ironią — on dojrzał w osnowę dla komedyi. Bo gdy zniknęła część dla rzeczy publicznej, gdy zewsząd pchała się prywatą, gdy interes osobisty rozpierał się po świecie, siebie za piastę wszech rzeczy mając — wtedy zachodziła sprzeczność między tém, czém każdy się być mniemał, a czém w istocie był, a przekonanie się jego własne o téj sprzeczności zrodziło komiczność. I znalazł się tu komik! znalazł się starogrecki człek z krwawą boleścią w sercu, z łzą w oku, ze śmiechem na ustach, a z jadem zółci w mowie: był to Arystofanes, komik długo zapoznany a przecież tak olbrzymi. On pisał tym Grekom komedye, a lud śmiał się na komedyi, chichotał z dowcipów, z konceptów lubieżnych, ze scen tak pociesznych! Ale na dnie tych dowcipów, konceptów był wyrok śmierci na lud ten; w nich brzmiał jego sąd ostateczny, w nich śmiała się rozpacz konająca.

Arystofanes palił dowcipem rany śmiertelne Grecyi; pod wesołością lekką ducha, pod drwinkami rozpusty chował ucziwe, prawe nadzieje wyleczenia ludu swojego i nawrócenia go do starego obyczaju, do przeszłości: on się łudził, że zdolen wlać nowe życie

w ten biedny kraj swój, on pieścił się myślą, jakoby ta choroba Hellady była jedynie przechodnia; on za mało sobie ważył te pojawy nowego pierwiastku, który się na świat rodził. Ten pierwiastek, mający przeistoczyć dzieje ludzkie, już był obecny, już pukał pod ziemią, unosił się w atmosferze. Grecya nie tylko dla tego umierała, że była popsowana w sobie, ale psuła się, bo wybiła godzina, gdy inny zwrot miał nastąpić w historii ludzkiego rodzaju. Tym zwrotem był nawrót człowieka ku sobie, utonienie jego w duchu.

„Mężowie! ci wszyscy którzy podrobili świadectwa nastające na mnie, równie jak ci, co od nich wyczerpieli świadectwa dawali, krzywoprzysięstwem je uświęcając — są to zaiste ludzie przekonani w duchu o nieprawości i bezbożności czynu swojego. A czyliż mnie przystoi, abym w tej chwili mniej siebie ważył, niż przed zapadłym wyrokiem waszym? Wszak nie dowiedliście mi żadnej winy, o którą przed was przyzwany zostałem. Bo świadkiem mi Zews i Hera (Juno), żem nie czynił nigdy ofiar żadnym nowym bogom, anim też nie przysięgał nigdy na imie ich, anim ich kiedykolwiek uczył bogów imieniem!.... A czyliż ja mogłem psuć młodzież? ja, com ją uczył zawsze, jak się miarkować, jak cierpieć! Śmierć moja niesprawiedliwa, nie jest dla mnie wstydem, ale jest tylko hańbą tym, co mnie skazują na skon! Wiem, że nie tylko czasy przyszłe, ale cała przeszłość będą mi świadkiem, żem nikogo nie krzywdział w życiu mojem, żem nie gorszył nikogo, owszem, że świadczy-

„Ilem tyle dobrego, ilem tylko mógł, tym wszystkim,  
 „z którymi przestawałem; i to pewna, że uczyłem bez  
 „nagrody żadnej, jak to być zacnym człowiekiem na  
 świecie.“

*(Przemówienie się Sokratesa po skazaniu go na  
 śmierć — z Xenofonta.)*

Wiadomo ci zaiste, że Plato w dyalogu swoim „Phaedo“ powtórzył rozprawę, którą miał Sokrates z uczniami przed skonem, mianowicie cały rozwój nauki jego o nieśmiertelności duszy człowieka — rozmowa, która po wszystkie wieki i po wszystkie ludy zostanie arcydziełem mądrości i filozoficznej głębi. Slusznie też powiedziano, że chwile uroczyste przedśmiertne mędrca oblały poświęcą swoją ten zacny przedmiot rozmowy, i nawzajem, że zacność przedmiotu uświęciła i podniosła ostatnie chwile i skon jego. „Phaedo“ kończy się temi słowy: ów zaś sługa więzienny, który mu podał truciznę, pokazał nam jako Sokrates stopniowo od nóg drętwiał, i dodał: „gdy to dojdzie do serca, będzie po wszystkim!“ — Niezadlugo, drgnęło nim, sługa odkrył twarz, oczy zgasły. — Widząc to Kriton zamknął mu usta i powieki. — Taki był koniec naszego przyjaciela, tego męża, który wedle przekonania naszego jest najdoskonalszym człowiekiem, i pewnie też najrozumniejszym ze wszystkich.“

Zaiste był to człowiek najdoskonalszy, był to człowiek, co się urodził na chwałę rodzajowi ludzkiemu, a przecież ten człowiek bezświadomie, bo party duchem przyszłości w nim żyjącym, przez naukę swoją dał hasło na śmierć Hellady. Od powiewu jego filozofii zerwała się harmonia wewnętrznej treści



człowieka a rzeczywistości — ta harmonia, która, była Grecyi żywotem; — więc uleciała i fantazyja artystyczna Grecyi, owa fantazyja klassyczna, której oddechem a istotą była właśnie owa harmonia wdzięków pełna.

Dziwném to zrządzeniem ta sama fantazyja, której szczytem była tragedia, ta fantazyja umarła na naukę męża, którego skon sam jest tak wysoką tragicznością. Dziwny to splot dla nas, ale nie dla Grecyi, bo ona jest taką całością pełną konsekwencyi! bo jej życie samo jest jakby arcydziełem sztuki!

Łatwo cię przekonać, że tak istotnie się rzecz ma; zechciej tylko przypomnieć sobie, co gdzieś wyżej rzekłem. Powiedziałem, że duch dziejów wszechobecny, krocząc przez ludy i stolecia, widział, że nadszedł czas, by człowiek uczynił nawrót ku sobie i zapuścił się w zapadliny głębokie własnej istoty swojej. Ten duch, obrał sobie za świadka a kapłana swojego czyste serce Sokratesa, a usta jego za wieszczą nadchodzącym stoleciom. Duch dziejów zapukał w jego piersiach i dał mu znać o sobie. A Sokrates, sam nie wiedząc, co się z nim dzieje, nie przeczuwając, skąd mu to parcie duchowe, przypisywał owe wewnętrzne wołania w duszy jakiemuś geniuszowi, co mu szeptał ciche wróżby; i zatonął, młodzieńcem jeszcze będąc, w onym napisie na wyroczni delfickiej „poznaj siebie samego.“ I Sokrates myślą zapadał się w duchu swoim, i poznał go, i dokonał zadania onej wyroczni; w sobie znalazł wyrócznie wszelkiej prawdy, więc też owa zewnątrz delficka Pitya oniemiała, — umilkła. Gdy sam duch człowieka z głębi własnych rozpoczął proroctwa swoje, ona ustąpiła wyższym wieszczom —

Ale to nurkowanie, to zapadanie się ducha w sobie było zarazem cofnięciem się jego z rzeczywistego świata, więc skonem harmonii, którą płynęło owo piękne życie Hellady. Serce jej ciszej a ciszej biło, — w rychle miało stanąć i umilknąć na zawsze. Duch dziejów ludzkich oko swoje zwrócił na wewnątrz swoje, więc dla niego świat doczesny, słoneczny stracił wartość. Duch przewidział. Te dawne, pełne piękności marmurowe posągi bogów, były bez źrenicy, bez wzroku! one już miały zestąpić z wysokiego podnoża! (\*)

(\*) *Sokrates* był zaiste pierwszym z Greków, który zwrócił myśl na wewnątrz duchowe, na myśl samą, a tak nauka jego już w zarodzie chowała pierwiastek antygrecki, bo gotowała zerwanie człowieka ze światem zewnętrznym, więc zerwanie harmonii ducha z całą rzeczywistością, bo tak z naturą jak i ze społecznością; — a wiemy że ta harmonia była właśnie pierwiastkiem żywotnym Grecyi, jako klasycznego ludu. Lecz gdy to zerwanie było dopiero zarodem zamknięte w nauce *Sokratesa*, więc nie rozumiemy jakoby ono zaraz, bezzwłocznie i w całej pełni wystąpiło z jego filozofią w świat; owszem ten nowy pierwiastek pojawia się dopiero w całej wyrazistości w późniejszej nierównie filozofii i w późniejszej epoce historii greckiej.

Jakoż, uważmy, to zwrócenie się *Sokratesa* do wnętrza duchowego wyraża się głównie tem: że *Sokrates* uważa iż pierwszym warunkiem wszelkiego prawdziwego poznania przedmiotu jest: „aby człowiek zwracał baczność na własne pojmowanie swoje, aby myśl własna stała sobie samej na straży.” Widzimy tedy że *Sokrates* jak z jednej strony cofa myśl wewnątrz ducha, a poznanie własnego trybu poznawania czyni warunkiem wszelkiego istotnego poznawania; — tak z drugiej strony nie zaprzecza prawdziwości rzeczywistych przedmiotów. Uczeń jego, *Plato*, posunął się jednym stopniem wyżej; u niego bowiem jedynym prawdziwym przedmiotem są myśli, są pojęcia — ale nie zwyczajne myśli ludzkie, ale myśli światorodne.

Rozumiész przeto, że sam ten Sokrates jest tak głębokiego tragicznego znaczenia. On ma słusność, bo przez usta jego objawia się pierwiastek nowej nadchodzącej epoki świata, i w tém jego prawo; ale z drugiej strony, choć bez wiedzy swojej, on zarazem

ideje istniejące we wszechbytności, wyrażające się w przedmiotach; świat zewnętrzny zaś przedmioty rzeczywiste, otaczające nas do koła, są jedynie odbiciem, odgłosem tych idei. — Te ideje, te myśli rządzące światem są, wedle Platona, rzeczywistością prawdziwą; to zaś co ludzie zwykle przedmiotami rzeczywistymi zowią, więc ten świat zmysłowy, materialny, dotykalny, jest tylko cieniem onych myśli. Widzimy tedy, że Płato z jednej strony zrywa ze światem zewnętrznym, zwykle zwanym rzeczywistością, ale z drugiej strony na miejscu jego sadza prawdziwą rzeczywistość — ideje, które nie tylko mają istnienie wewnątrz człowieka, ale są prawdami i zakonem świata. Wszelako Platona filozofia ten ma niedostatek, że nie zdołała wytlómaczyć stosunku między dziedziną tych nadświatnych idei a rzeczywistością zmysłową, widzialną i t. d. To właśnie w nim gani uczeń jego *Arystoteles*, który dla tego całą potęgą geniuszu ku temu się ma, aby wytlómaczył styczność między idejami a światem widzialnym, między duchem a materją. Główna myślą w tym względzie jest u *Arystotelesa* zasada: że ten stosunek i styczność jest stosunkiem formy do osnowy; że myśli, że ideje są formą a rzeczywistość zmysłowa materjałem, czyli osnową dla téj myśli a idei.

Nie rozszerzając się dłużej nad tym naszym rozwojem, wystarczy gdy powiemy, że filozofii *Arystotelesa* nie udało się rozwiązanie tego zagadnienia; stosunek formy do osnowy był niedostatecznym by zrównać łączność dwóch odwrótnych światów. Ztąd znać że on, całym geniuszem pracując nad połączeniem dwóch tych odwrótnych biegunów, tém samem pragnął zatrzymać ową harmonią między myślą a materją, między człowiekiem wewnętrznym a rzeczywistością zewnętrzną. Była to więc dążność, pracująca w nim mimo wiedzy, aby utrzymać właśnie to, co było charakterem i warunkiem żywotnym Grecyi

obraża i śmiertelnie rani Grecyą, która umrze na ten właśnie nowy pierwiastek, — i w tém jego wina. Nawzajem Ateńczycy, nastając na mędrca głoszącego prawdę, kłującą się w dziejach, stali się winni w obec zakonu historyi; lecz zaiste to nastawanie było znów ich prawem, bo było własną obroną Grecyi i jej żywota. Toć jest zderzenie się kollizya tragiczna dwóch stron odwrótnych.

Ateńczycy instynktem przeczuwali, że filozofia Sokratesa stanie się skolem Hellady; — oskarżają go tedy, że nie wierzy w dawnych bogów, ani w stare wyrocznie, lecz w demonium co w nim przemawia, że lekceważy obyczaj rodzinny, że młodzież psuje uwodząc ją nauką swoją. Utorował im już dawniej drogę Arystofanes — ów genialny komik — wierzący w możność nawrotu do starogreckich obyczajów. On całym natchnieniem swojej żółci uderza na Sokratesa,

i świata klasycznego. Lecz z jednej strony, sama ta dążność jego, a z drugiej strony niedoprowadzenie do skutku tej dążności, tego zamiaru, okazuje że również jak w Platonie, jak w Sokratesie, — tak i w Arystotelesie widzimy naprzód zerwanie ducha ze światem wewnętrznym a rzeczywistością, a powtóre widzimy także, iż to zerwanie, że ten zwrot ducha ku sobie jest tutaj dopiero w pierwszym swoim stopniu.

Dopiero po Arystotelesie następuje nowa epoka Filozofii Greckiej — cofnienie się człowieka staje się zupełnym, bo filozofowie nawet uczą: że człowiek opierać się winien sam na sobie, i w sobie samym szukać spokoju i zadowolenia, że świat nie da mu nigdy tego zadowolenia. Ten kierunek w najwyższej potędze okazuje się w filozofii *skeptycznej*, która wyraźnie orzeka: że człowiek nie zdolny poznać prawdy, że nie zdolny poznać przedmiotu; a tém samém ta filozofia orzeka, że niema już żadnego związku między myślą człowieka a przedmiotami, między duchem a rzeczywistym światem.

szarpiąc dowcipem, szargając szyderstwem uczciwą, nieskalaną sławę zacnego nauczyciela. Ateńczycy, zrazu na komedią oburzeni, wnet sami wytoczyli Sokratesowi gardłową sprawę i zadali filozofowi śmierć. — Nie wrócił już atoli stary obyczaj, a lud Ateński w **rychle** po skonie mędrca swojego, sam już przesiąkniony nowemi prawdami jego, skazuje onych oskarżycieli na śmierć lub wygnanie. W sercu własnem całego ludu staje gościem wrogim, — rozdwojenie.

Gdy się tak zerwały ogniwa między światem zewnętrznym a wewnętrznym, już nadaremnie późniejsze filozofie greckie pracowały, by połączyć oba te światy. Każda z nich trzyma się ostateczności; „Rzucaj się wyłącznie całą duszą, w objęcie zewnętrznego, zmysłowego świata, on sam jeden jest prawdą“ tak woła *Epikureizm* późniejszy, zepsuty. — „Odepchnij od siebie tę rzeczywistość, pomiataj zakonem jej; zmysłowość jest kłamstwem, szukaj w sobie prawdy“ uczą *Stoicy*, co, cofnąwszy się w ducha, otulają się dumą enoty i przestawania na sobie. Nakoniec człowiek rozpacza i o treści ducha i o rzeczywistości i o myśli własnej, i o tém wszystkiem co istnieje, rozpacza tedy o wszelkiej prawdzie, o sobie samym — a tak zdradza się *Sceptycyzm*. Sceptycyzm złożył zwłoki Grecyi do grobu i stanął na jej mogile, a serce człowieka spustoszało i ogłuchło. Świat w boleści swojej wołał ratunku.

Tak tedy słuszne było twierdzenie moje. Owe podania mgliste pierwotnych dziejów greckich, owe postaci poranne a mityczne historye, co się zdawały być greckiemu ludowi niepowrotną już nigdy przeszłością, odżyły naprzód poezją wielkich tragików jego, prorocząc mu własną smętną przyszłość; a wnet

też owe zderzenia się i walki zestąpiły ze sceny w rzeczywisty świat. Stało się przeto, że najwyższe arcydzieło poezyi: *Antyгона* Sofoklesa, a losy Sokratesa, najzacniejszego męża Hellady, co był wróżbitą skonu ojczyzny swojej, dziwnie są odpowiednie sobie. (\*)

(\*) Dla łatwiejszego porozumienia się z czytelnikiem, przypomnę tutaj treść *Antygony*. . . . .

Recz tak się ma: — Dwaj bracia *Antygony* walczą o tron zmarłego ojca *Edypa*. *Eteokles* z krzywdą brata zasiadł na stolicy *Tebańskiej*. *Polynikes*, dochodząc prawa swojego, na czele hufców obcych najeżdża miasto rodzinne. Ztąd oba winni. W bitwie krwawej obaj bracia nawzajem zabijają się bratobójczą walką. Teraz *Kreon*, wuj ich, oświadczył władzę w *Tebach*. On, jako wyobraźnik prawa i ustawy publicznej, chowa zwłoki *Eteoklesa* z całym przepychem i czcią należącą obrońcy miasta; ciało zaś *Polynikesa* zostawia na pastwę ptastwu i dzikiemu zwierzowi a śmiercią grozi każdemu, kto by je śmiało pogrzebać. Mimo ogłoszonego zakazu tego, *Antyгона*, idąc za natchnieniem miłości rodzinnej, powierza ziemi zabitego brata, a tak działając wbrew publicznemu prawu, winną się staje. Schwytana przy dopełnieniu powinności pobożnej, jest skazana na zamurowanie żywcem w grobowcu. Toć jest cała treść tragedyi.

*Kreon* i *Antyгона* zderzają się kollizją jako dwa uosobnione, wręcz przeciwne sobie, pierwiastki, — są to dwie główne postaci smętnego dramatu. Obok *Antygony* staje siostra jej *Ismena*; ona przedstawia słodycz niewieścią, łagodność i bierność charakteru, a tak tém potężniej rysuje figurę siostry swojej. — Obok *Kreona* znowu *Hemon*, syn jego, narzeczony *Antygony*; on przemawia imieniem miłości; ujmując się za kochanką, zderza się z ojcem, zapomina o czci jemu należnej, a tak sam przewinił obyczajowi domowemu, powinnościom rodzinnym. Nakoniec kapłan i wróżbita *Tyresias*, stary, mroczny, od dziecięctwa prowadzony, napomina imieniem bogów *Kreona* by się pomiarkował i nie obrażał świętych odwiecznych ustaw. — On jest głosem sumienia, radą serca; sło-

Sokrates i Antygona! Dwadzieścia i trzy stolecia minęły, gdy natchniony geniusz Sofoklesa udarował ród ludzki tą tragedją swoją. A dopiero kilka lat upłynęło, gdy teatru Berlina i Paryża, pragnąc prze-

zostać zakryła mu świat zewnętrzny, ale oko duchowe otwarte i czuwa, jasno wgląda w najdalsze, dla innych niewidzialne prawdy.

Każda z tych figur tragicznych ma słuszość, bo jest wcieleniem jednej z onych prawd; ale każda z nich, tém jednem uczuciem porwana, pomija względy należące od niej innym prawdom: — ztąd brak umiarkowania, ztąd zderzenie z niemi a spadający grom nieszczęścia. Lecz każda z nich w końcu godzi się, miękniejąc traci szorstkość swoją. Antygona, w obliczu okrutnej śmierci, wraca do słodyczy i łagodności niewieściej, a mężne i szlachetne jęj serce płacze nad własnym losem swoim. A Kreon, co nieużyty i twardy, bo jest uosobioną ustawą, rozplýwa w końcu rozczuleniem nad losem rodziny swoje którą sponiewierał. — Obraził bogów podziemnych nie grzebiąc ciała poległych nieprzyjaciół; jakoż dziki zwierz, ptastwo, roznoszą krwawe ich członki, kalając ołtarze ziem pogranicznych. Ludy sąsiednie ciągną gęstym zastępem, pomścić się świętokradztwa znieważonych ołtarzów swoich.

Hemon, syn jego, zadaje sobie śmierć, nie chcąc przeżyć kochanki. Eurydyka, żona Kreona, rozpaczając nad śmiercią syna, ginie skonem samobójczym. Tak grom po gromie spada na głowę Kreona. On dawno już odwołał wyrok srogi, ale Antygona zamknięta w grobie sama sobie życie odebrała; — serce jego kruszy się pod brzemieniem nieszczęścia. Kończy się tragedia oddając upamiętaniu cześć i napomina śmiertelnych, by samowolą nie bluźnili bogom.

Zaiste warto byśmy te rozprawy nasze o fantazyi greckiej ukończyli kilku słowami z Antygony. Podaję ci tylko okruchy ulomków, a przecież one jakby klejnoty drogie z bogacą kosztownie tę biedną pracę moją. Nie ośmielam się korzystać z mistrzowskiego tłumaczenia pana Kaszewskiego, bo mając, jak rzekłem, podać jedynie okruszyny téj tragedyi, nie radbym zadać gwałtu

cież jakąś nowością podrażnić znudzoną, zużytą publiczną swoją wprowadziły Antygonę na scenę. Tłumnie garnie się gadatliwa, dowcipkująca, wytworna cizba, by się przypatrzeć dziwowisku, co zakłete wy-

pięknym a wdzięcznym wierszom tłumacza i spaczyć tak wielce zasłużoną a zacną pracę jego.

Antygoną, słysząc o zakazie pochowania zwłok braterskich, pyta Ismeny czyli zechce razem z nią dokonać pobożnego dzieła.

Ismena. Pomnij że my niewiasty nie zrodzone by wbrew przemocy mężów stanąć do walki! — Ja się modlić będę umarłym o przejrzenie méj winy, żem zmuszona korzyć się przed powagą doczesnej ustawy. . . . .

Antygoną. Więc ja sama jedna zmarłego pochowam. I unrę radośnie po dziele tém, i złożę głowę moją obok mojego przyjaciela, ukochana od niego . . . . . Tym, co są pod ziemią, dłużej podobać się godzi niż żyjącym na ziemi, boć kiedyś przyjdzie na zawsze spocząć obok nich! Ty znieważaj prawa przez bogów uczzone! . . . . .

Straż donosi Kreonowi, że zwłoki Polynikesa pochowane ręką niewiadomą. Kreon grozi straży śmiercią, jeśliby nie odkryła sprawcy, a gdy Chór starców powiada, że przecucie jakieś mu mówi, iż pogrzeb ten stał się z nakazania bogów, Kreon. . . . . Umilknij! a umiarkuj nieopatrznej mowy! — Śmiesz mówić, że bogi zasłaniają paizą swojej opieki tego, co na ich świątнице w kolumny strojne, i bogate w dary ofiarne, niósł pozogi, co w kraj ich opieki rzucał gwałcenie ustaw i praw! . . . . .

Zaczajona u grobu straż dostrzega Antygonę, czyniącą błagalną ofiarę i chowającą zwłoki brata. Kreon pyta, czyli



stępowano z zapadłych zbutwiałych grobów. Cisną się i garną ze zdaniem już gotowem: „Zapewne ten „Sofokles był wielkim poetą na swój czas a lud; ale „przecież od tój epoki, przez blisko półtrzecia tysiąca

znała ogłoszony rozkaz jego, i pyta, z kąd jej ta śmiałość działania wbrew jego woli? Ona przyznając się do czynu powiada:

Ani od Zewsa, ani od bogów podziemnego świata płynęło rozkazanie twoje; ono nie jest wzniesione nad boże prawa, co niezmiennie nigdy, nie pisane nigdy, nie dzisiaj, nie wczoraj zrodzone, żyją bez końca, a nikt nie wie kiedy stanęły wśród ludzi! więc mnie nie trwoży żadna groźba ludzka, bym miała gwałceniem tych praw wywołać na się bogów sądy! — Zaiste! nie minie mnie skon! — Lecz choć mię i przed czasem zabierze, będzie dla mnie wygraną. Bo kto mnie podobien, wśród katuszy wie dzie żywot swój, temu zaprawdę ukojeniem żalów jest śmierć. . . . Śmierć nie jest dla mnie boleścią, ale boleścią mi widok niepogrzebionego własnej matki syna! —

Kreon. Ty go czcząc znieważasz drugiego brata!

Antygona. Zaiste, sam umarły nie sądzi sądem twym! —

Kreon. Ten pustoszył kraj, tamten umarł w obronie jego! —

Antyg. Państwo umarłych żąda dla obu jednakięj czci!

Kreon. Nieprzyjaciel nawet i w śmierci nie jest kochany. —

Antyg. Ja nie znam, jak nienawidzić spólnię z innymi, ja tylko kochać umiem spólnie z innymi. —

Przyprowadzona Ismena chce dzielić z siostrą winę i śmierć.

Ismena. Nie chcięj o siostrę pogardzać uczestnictwem mojem w skonie, i czią, którą uświęcę umarłego brata! —

Antyg. Nie umieraj spólnie ze mną, ani nazywaj twojem dzieła, któregoś się nie tknęła nigdy. Moja śmierć wystarczy! . . . . .

„lat, tyle i tak dzielnych narodów pracowało nad „cywilizacją świata, a do tego o tyle wyższych od „Greków smakiem, uczuciem, obyczajem, krajem, sta- „nowiskiem, pojęciem rzeczy i t. d. Pójdźmy! obaczmy

. . . . Tyś pragnęła życia, ja wybrałam śmierć.

. . . . Ty żyjesz, a dusza moja już skoła, by pójść umarłym w służby.

(Obie siostry odprowadzone pod strażą do pałacu; występuje Hemon; zrazu rozmowa jego z ojcem łagodna, lecz w miarę jak Hemon traci nadzieję skłonicnia ojca do przebaczenia winy Antygonie, namiętność wzrasta w sercu młodzieńca oburzeniem. Rozjątrzony Kreon nakazuje bez zwłoki wykonanie wyroku na Antygonie, Hemon grozi samobójstwem.)

Wyprowadzają Antygonę.

Antygon a. Patrzcie na mnie, ziemi mojej synowie, jako śpiesznie ostatnia wiedzie mnie droga, jako widzę ostatnią jasność promienistą dnia, i na wieki! Żywa wprowadza mnie podziemny bóg do Acherontu brzegów. Ja nie uradowana nigdy pieśnią ślubną i tanem uroczystym weselnym. Idę do weselnój Acheronta komnaty. —

### C h ó r.

Lecz idziesz chwały pełna, czią ustrojona do umarłych grodu. Ty nie zaznasz męki długiej a zwolna trawiącej niemocy, ani od miecza nagrodnej zapłaty. Ty żywa wstępujesz do państwa ciemnic sama jedna, a wedle własnej woli a własnej ustawy twojej — . . . . .

. . . . . My śmiertelni z ludzkiego rodu! Ztąd chwała, gdy choć w śmierci doznajemy losu, jakiego doznają bogowie!—

Antygon a. Te potoki zdrojorodne i ten pełen roskoszy Tebański gaj, i cały świat w koło, wzywam na świadki jako bez płaczu przyjaciół, jako za ouym wyrokiem zstępuję do więzień grobowych, pod sklepy skalne niesłychanej zgrozy!

„przecież jakąś odmianę wśród tej jednostajności nudów śmiertelnych.“ Tak rezonując zasiadają na ławach. Podniosła się zasłona. Spójrzyj po widzach, — uśmiech litości i pobłażania — tu ówdzie poziewają,

Biada! Ja nieszczęsna nie będę ani wśród umarłych ani wśród żywych, ani wśród ludzi, ani wśród martwych zwłok.

I ty bracie mój — ty umarły zabijasz mnie żywą! Nieopłakiwana, nieukochana, niezaślubiona, boleści pełna idę przygotowaną już drogą. Nigdy, nigdy nie obaczę już onęj światlistej dnia pochodni a jasnego niebios oka! — Nikt z przyjaciół nie westchnie nad samotnem skonaniem mojem!

(Kreon wchodzi.)

Idę do was! — Wiem że mnie ojciec przyjmie miłością, przyjmie i matka serdecznem kochaniem! Boć i ja umarła uczciłam was miłością, własną ręką umyłam ciało wasze i przyniosłam pośmiertne ofiary. . . . I ty bracie mnie przyjmiesz, bo czcząc zwłoki twoje te zbieram nagrody.

(Antygona odprowadzona.)

(Tyresias kapłan prowadzony od wróżbity wstępuje na scenę) — Kreon. . . .

Tyresias (do Kreona). Wiedz! nieliczne już obieży kołowroty swoje słońce, a ty umarłym z własnej krwi twojej za umarłych zapłacisz! — Ty zgrzeszyłeś Bogom nadziemskim, wtrącając pod ziemię życie żyjące, a bluźniłeś Bogom podziemnym, bo zatrzymałeś ich własność nie pogrzebując zbezczeszczonego umarłych ciała! — One przeto potęgi, co niszczą bezbożności zbrodnię, już tropią ciebie, czyhając by cię umatnić równem nieszczęściem!

Kreon w objęciu swoim trzyma zwłoki syna . . . . Ciało Eurydyki przynoszą na scenę . . . .

szeptą zarciki, dowcipki. Ale tragedia roztacza się jakby burza daleka; duch starego wieszca kroczy przez scenę; szepty umilkły, drwinki oniemiały, przeży się uwaga. Cisza głęboka, — każdy słyszy własny oddech swój. Coraz potęższe, dźwiga się tragedia, bije trwogą i strachem; — rzewność i litość rozbiera słuchaczy; uczucia dawne, senne, co przycichły w sercach, teraz dygocą i jęczą i boją, — głębiej a głębiej przenika duszę ta dziwna poezja. Spójrzy w koło, — łzy zrazu wstydzące się, ukryte, w rychłe już jawne — bo powszechne. Zapadła kortyna, — jeszcze cisza, — teraz już grzmiące, serdeczne okrzyki cześć staremu poecie, a te lekkoduche dzieci nowożytnego świata ściskają się nawzajem w najwyższem rozczuleniu. „Tak! co prawdziwie piękne żyje na „wieki i nie zna różnicy lat tysięcy ani narodu,“

Kreon. Biada! piętrzą się nieszczęścia, cierpienia; w objęciu dźwigam dziecię drogie i przed oczyma ciało matki jego. — Biada ci Matko. — Biada ci . . . nieszczęsne dziecię! . . .

Ach, ach szcują mnie strachy! Przeszyjcie obosiecznym żelazem piersi moje! — Patrzcie na mnie! Biada! Przepadam w okropności morzu! . . . . . Nikt z ludzi niechaj niema winy, na mnie samego zwała się całe zbrodni brzemię. — Ja — ja sam zamordowałem się w szale moim. Tak jest, ja sam mordowałem siebie! — uchwycie mnie, trzymajcie mnie, odprowadźcie śpiesznie, odprowadźcie mnie śpiesznie, bo ja nie jestem już niczém na świecie! . . . . .

### C h ó r.

Najwyższem ze wszech darów dobrem jest mądrość! — Nie bluźnij bogom! bo słowo potęgą, gromem gwałtownym. Lecz przypłata za butne zuchwalstwo uczy na starość upamiętania.

powiada Jules Janin, kończąc w swoim feljetonie powyższe swoje zdanesprawy o przedstawieniu Antygony i wrażeniu, jakie uczyniła na publiczności paryżkiej.

Toć się stało przed kilku latami, a przed kilku znów wiekami, właśnie w tém XV i XVI stóleciu, wtedy gdy Europa zmiatała z siebie sredniowiekową pleśń, a wróciła się całém uwielbieniem do Greków, odgrzebuując ich poezją, — wtedy znów dała po swemu dowód swojej czci dla Antygony. Wystaw sobie, ten przezysty kwiat ludzkiego serca, — ta Antygona tak wówczas wszystkich zachwyćiła, że rozbierano uczenie pytanie, azali ta dziewica, choćby sama jedna z pogańskiego świata, nie zasłużyła na żywot wieczny??

Jak Sokrates tak i Antygona zderzają się z prawami kraju swojego; gdy atoli w nim, jako w mężu, prze i robi rodzący się przyszłości głos, Antygona, niewiastą będąc, idzie za natchmieniem przyrodzonego uczucia; ona staje na straży miłości rodzinnej i życie za nią daje; boć niewiasty są kapłankami domowego ogniska i zacnego rodzinnego obyczaju. Nazwano też tę tragedją słusznie tragedją miłości. Jest to jednak miłość przezysta, wolna od potęg zmysłowych, bo nie dla kochanka poświęca się Antygona, ale dla brata. W téj miłości gra wprowadzie i różnica płciowa, ale idealizowana, ale wyswobodzona od samolubstwa materyi.

Sokrates i Antygona! obie te postaci były porwane potęgą wewnętrzną, — Antygone parło uczucie przyrodzone, — Sokratesa duch przyszłości; w niej natchmienie idzie od serca, na Sokratesa zaś wionął duch filozofii. Obie te postaci zerwały ze światem zewnętrznym, obie łamią się ze światem, z prawdami istnieje-

jącymi między ludźmi, i zerwana jest harmonia między człowiekiem zewnętrznym a wewnętrzną ogólną prawdą. Obie te postaci giną, bo śmierć — to ich tragiczne prawo; ale zginie także ten świat zewnętrzny, rzeczywistość. To rozdwojenie się rzeczywistości zewnętrznej, które Sofokles przedstawił w tragedii swojej, a które tchnęło w filozofii Sokratesa, samo stało się rzeczywistością, wstąpiło w świat zewnętrzny, w historię. Demon wyłączny parł w każdym greckim ludzie; inaczej więc one uderzyły na siebie wojną Peloponezką; zerwała się harmonia między wewnętrznym uczuciem tych ludów, a zewnętrzną ogólną prawdą, bo prawda, która te ludy greckie czyniła jedną całością. Uderzyły na siebie te ludy i skonały z ran na wzajem sobie zadanych. Rozwiązał tę tragedję, Filip i syn jego Alexander, król Macedonii.

---

# LIST XXIII.

## R z y m.

Wstęp. — Forum Romanum. — Zadanie Rzymu w Historii. — Idea panująca w Rzymie. — Ztąd usposobienie jego duchowe. — Porównanie Greków i Rzymian a ludów Chrześcijańskich. Duch historii rzymskiej (użyteczność). — Rodzina rzymska. — Wielkość rzymska. — Bogowie rzymscy i greccy. — Bogi rzymskie są sprawą rozsądku ale nie fantazyi. — Rozsądek nie wystarczy głębokim prawdom religijnym ani filozoficznym. — Zemsta bogów. — Z tego usposobienia ducha wypływa też piętno ich fantazyi. — Architektura rzymska i techniczność. — Rzeźba. — Kilka słów o poezyi rzymskiej.

**W**róciłem do domu już dość późnym wieczorem. Noc cudnie piękna, całe miasto nasze kąpie się w powodzi księżycowej jasności. Wyznaj, że to jednak dziwna sprawa z tym księżycem, choć tak ogadana i oklepana od dawna. On spowiednikiem miłości młodej, do niego wzdychają kochankowie i jemu się żalą z tęsknoty a biedy swojej; a on duma i słucha niby i jak tam może pociesza, udając, że i on bardzo się frasuje ich troską. Lecz niechno stary ten ówik pod-

patrzy gdzieś razem tę parkę, a już ją tak urzeczywiedzeniem swoim i tak ją zmatni, że to już na życie całe zostanie! Bo on, choć sam tak zimny, tak błądy i samotny, lubi przecież być swatem lic rumianych i miłości wrzących a sere ognistych.

Na tych magicznych nocy promieniach płyną też wielkich mistrzów pieśni, boć poezya sama jest tylko księżycową ducha naszego poświatą. „Niechaj nam „żyje zdrów nasz stary druh! Do ciebie księżycu pi „jem!“ wykrzykuje wesoły ludek artystów poetów! Dla tego też każdy młodziuchny wieszczek, choćby ze sławą jeszcze w pestce zamkniętą, puszcza się w komplimenta do księżycyca; więc jak porwie nieboraczkę gęśl swoją, to ci pewnie, jak na gwałt, zaśpiewa o dziewczynie, o strumyku, o księżycu i słowiku.

Cicho, spokojnie w izbie; — noc głęboka — sły chać tylko stukające sekundy, jak ze starego zegaru ucickają do wieczności; małe pacholátko śpi w kolebce, a tu księżyc milczkiem wmyka się przez okno do izby i świeci w kolebkę i świeci aż się drobne chłopię poruszy, skrzywi, ziewnie. Matka jednak czuwa zazdrośną miłością, zrywa się i osłania kołyskę; bo ta smutna, martwa księżycowa twarz patrzy się tak strasznie na dziecinę, a ono w tej jasności smętnej takie blade, jakby umarłe; i trwoży się matka, by ta księżycowa twarz nie zcałowała rumieńców jej dziecinie i nie wyssała oczek niebieskich. Ba! inne jeszcze, a coś nie bardzo dobre rzeczy prawią o tym księżycu. Tak np. rozgadali o nim, że to on promieniem swoim wyprowadza ludzi z komnat sypialnych, każąc im się spinać po dachach i grzemsach i skałach zawrótnych, że miewa jakieś kouszakty na Łysěj górze, że owe złe



ziółka, co to na śmierć lub na miłość służą, to w jego obecności zbierane, że to on przyświeca na cmentarzach w pewne noce tanom zapustnym, gdy szkielety hulają po grobach. Przecież nie mówmy o tém; mogę cię zapewnić, że nigdy nic podobnego nie widziałem; więc wolę wierzyć, że to plotki i bajki wierutne przez poetów zmyślane, i nie wierzę aż się osobiście przekonam. Ale za to wiem, że księżyc czasem i bardzo usłużny; ten lub ów tak zapada po uszy w księgi, w szpargały nowe i stare, a tak się zaduma nad niemi że już nie wie o sobie ani o bożym świecie; wtenczas niekiedy księżyc w całej paradzie solennj występuje po nad dachy miejskie i brudne kominy i jak ciśnie zadumanemu w oczy światłością, tak i obudzi, i da znać, że procz papieru i atramentu jest przecież jeszcze i natura na świecie!

Co do mnie, jestem mu rad z całej duszy, bo widzisz, ja jeszcze z dwóch powodów mam serdeczną słabość do niego. Zważ tylko—księżyc jest dla nas istną przypominajką (przepuść wyraz); jakoż, gdy mu się czasem zdarzy, że tę pełniutką dobro-duszną twarz swoją zwróci do biednej ziemi naszej i jasnym spójrzeniem wyleje na nią czarodziejskie blaski swoje, już wtedy dziwnie się coś w duszy płacze i roi. Te promienie jego drgają, dźwięczą niby srebrne struny arfy anielskiej — a dźwięczą i drgają i grają, jakby na ukołysanie boleści dawnych, i usypiają pokojem, choć na chwilę, myśli ekliwe, smętne, i koją wszystko, co w duszy kwili i cierpi i płacze. Patrz — ten księżyc światłością swoją otulił ziemię śpiącą i, jakby równem kochaniem, jasnością urocą ustroił i mogiły i świątynie i żyjących i umarłych. On mogiłom i świąt-

nicom, żyjącym i umarłym na srebrnych strunach promieni swoich przygrywa pieśń, pieśń o innych światach, kędy nie ma trudów życia, kędy nie ma łez i lęku skonania. A tak gdy, wśród téj pieśni jego, w sercu i w myśli uśnie troska dzienna, gdy z duszy uleci ciemna chmura, wtedy odetchniesz choć na chwile i spójrzysz w siebie i utoniesz we wspomnieniach weselejszych, szczęśliwszych żywota twojego, a te wspomnienia popieszczą się z tobą, chłodząc bolejące miejsca twojego serca. I patrzysz w koło siebie, a tu chmara geniuszów nocnych, skocznych, lekkich krząta się, zwija i lata i biega; ciała ich przejrzyste i niby utkane z promieni księżycowych i z wonnego tchu nocnych kwiatów; i zwija się i śpieszy i lata, i biega czeredka, i dźwiga kulisy, kórtyny, i przywleka malowane pałace, kolumny, ciągnie wizerunki krzewów i drzew, i ustawia i szykuje, i jakby mularze, cieśle, malarze, buduje, muruje, rysuje i stroi, — a już i gotowa scena z dawnych lubych lat i teatr gotowy. Robotniki, dziwnie grzecznie skłoniwszy się, uciekają, a z głębi duszy twojej występują aktory, niby lunatyki księżycem obudzone, i odegrywają ci dramat z dawnych wspomnień drogich; — i patrzysz i weselisz się i poklaskujesz wdzięcznej komedyi, której sam jesteś widzem i autorem. Tak, niesieni na falach księżycowych światłości, płyniemy w oddalone czasy i raz jeszcze, choć na chwilkę, nawracamy do uczyty weselnej, którą nas raczą rozkosze niegdyś doznane a zmarłe dziś w życiu! A księżyc czegoś mruga i niby mówi „nie prawdaż? tak samo ci się uśmiechałem — tam! wtedy — pamiętasz?” Tak jest, ile razy taka noc cudowna, jasna, już nam stają przed oczy wrażenia, jakie odebraliśmy,

gdy równie świat się ubierał w te czary jasności nocy magicznej. Powiedz tedy, jakże tu nie kochać onego czarodzieja, co choć zmyśla i ludzi, jednak pieści a koi. Ale o tych wskrzeszonych księżycem wspomnieniach lubych potem jeszcze więcej powiem.

Teraz naprędce o drugiej przyczynie mojej przyjaźni dla księżycy. Prawda, że ta przyczyna trąci niby trochę wdzięcznością miejscową, trochę tchnie sentymentem parafiańskim, ale może i ta moja parafia nie lada! Ot! ja jeszcze lubię a miłuję księżyc za to, że nam tak cudownie przystraja ten stary nasz rynek krakowski! Trzeba ci było być ze mną przed chwilą, i tak widzieć ten rynek w swym blaku, jak ja go widziałem; nie uwierzysz, jak mu też ślicznie w poświęceniu księżycowej! Budki i kletki, przylepki, daszki, stragany, opadłe tynki, to wszystko gdzieś się skryło, a rynek stanął uroczysty, poważny, wystrojony jak do ślubu. Za dnia te domy, — to tak sobie dawne kamienice — usiadły w kółko, niby stare ciotki zebrane na kawę i bajki. Jedne o dachu wiezasiym, spiczastym niby w czepku czubatym; inne powykrawały sobie wierzchy we falbany, w cętki dziergane; inne, jakby marząc o królowej Bonie, udają włoszki i chowają dachy po za jakieś frontony. A już to prawie wszystkie w wygodnym, choć trochę niedbałym, rannym negliżu.

Gdy atoli spadnie noc, gdy potop księżycowych światel zaleje miasto, wtedy proszę spojrzeć na te kamienice! Jakie to harde! jakie to dumne! Niechnoby one poczęły bajać, gadać a opowiadać, jużby stało czem zapisać grube księgi wieściami temi, a byłoby też po co czytać te stare baję. Boć one kamienice

wszystkie, to niby wróżki dawno uleciałych setek lat, więc im się też dziwnie coś roi i marzy i śni.

Wśród rynku, jakby zamknięta arka przymierza, ciągną się *Sukiennice* krakowskie; a choć one same opylone, obleciane i połatane, podpierają przecież jakieś starowieczne jatki i sklepiki i tulą do siebie domki i przylepki jak z opłatków sklecone, to większe, to mniejsze, to proste, to krzywe. Zwyczajnie jak to stary pan, który, choć biada około niego, wspiera jeszcze respektowe szerepetki i, jak tam może, żywi szarą czeladkę wziętą dziedzictwem po ojcu. My, mieszczanie krakowscy, co to znamy każdy strzęp naszego gniazda, cośmy z lat dziecięcych, młodzieńczych, w tych domach i gmachach krakowskich po kawałku duszę naszą zostawili, my, czasem niewiedzieć nawet po co i na co, ciągniem jakoś przez *Sukiennice* — ciągnie nas miłość do starych, tak ukochanych gratów naszych. Stachowicz, co to także dziecko krakowskie, raz w życiu swoim ruszył z Krakowa, a to z księdzem Woroniczem i to do Warszawy. Zajechali. — Stachowicz co tchu w świątecznej kapocie, w ręku trzcina srebrem knia, czapka zuchwała z barankiem, na bakier, puszcza się na zwiady po stolicy — i czegoś szuka, czegoś pyta, zaczepia ludzi i lustruje i biega i mruży. Wrócił do domu: — „Jedźmy sobie do Krakowa, Możci księżu Biskupie! nie ma tu co robić!“ — „A coż to wam znów Panie Michale?“ — „Co mi to za miasto *Excellissime!* Biedaki nie mają *Sukiennic!*“ — „Wiesz, że to istne *factum* historyczne; lecz nie mów tam o tём Warszawianom — A co prawda to prawda, może pan Michał i miał racją! Bo trzeba widzieć te *Sukiennice*, gdy biją pełnym blaskiem nocnych światłości. W koło

cisza, jak w kościele, niby to orientalny bazar, niby olbrzymi grobowiec. Podwójne ostrołukie bramy już z późnym mrokiem zatrzaśła stara krata żelazna, w środku gęsta noc, a dziwaczne jakieś o tём ciemném wnętrzu chodzą wieści; starzy prawią o jakichś płochych światłkach, co się migają, gonią i tańczą, i gdzieś giną w piwnicach zapadłych: prawią o gwarach różnojęzycznych ludów, co je wysyłał Zachód zamorski, i głęboki Wschód; o owym nożu ojcobójczym, który, choć od wieków do swęj ściany na łańcuchu przykuty, niekiedy w pewne pory kapie jeszcze krwią czerwoną, ciepłą. Ale lepiej nie mówmy o tём wnętrzu, — co nam do tego! — patrz raczej na to, co na widoku księżycu. Ciągną się długie boczne ściany, u góry wystrugane we floressy i essy kamienne, niby snycerskie koncepta prababczynych apteczek domowych. I za każdym essem jakaś głowa czy maska ciosowa wycina się na tle nieba. Osobliwe to i straszne te głowy i twarze. Póki dzień biały, to jeszcze jako tako; snuje się wrzawa targowa i handryczy i huczy i gwarzy, i tysiączny przejdzie i ani się spostrzeże, co się tam u góry nad nim świeci. Gdy się zaś spuści nocna ćma, a miesiąc weźmie ciskać światła swoje, gdy się rynek wyludni a miasto zaśnie, gdy ty sam jeden w těj kompanii zostaniesz, wtedy, jeśliś zuch, przystąp i patrz się tym ichmościom oko w oko. Ten rozdziawił szeroką gębę i śmieje się do rozpuku, a śmiech jego iście z piekła rodem; na głowie czub zadarty w różki kończate; tam dalej drugi powieki zamknął i śpi i niby już umarł; trzeci ciężko zadumany, spuścił wargi i waży i myśli o czémś głębokiém a przemądrém; ale z obu stron od twardych skroni potężne odstają uszy;

sąsiad jego wywrócił głowę w tył, a oczy w ślup, usta rozwarte, krzyczy, — on cierpi męki nie z tego świata! Tam znów jakiś zuchwalec szydzi i drwi, coś mu bardzo na sercu rado i śmieszno; a ów dalszy sąsiad jego ciska się i złości najeżywszy czuprynę a gniew jego piorunny, zacięty. Tak dalej a dalej, a co twarz, to inna a inna. Księżyc lunął im w ślepie; ale właśnie w to im graj; cienie i światła migocą; mającą po tych twarzach; więc dziwaki mrugają, ruszają brwiami i gębą i wydrzeźniają się i krzywią udając niby że żywe! ale ktoby im tam wierzył! — Tu obok Sukiennic stanęła nasza stara wieża, ongi ratuszna, dziś samotna sierota; jej suknię, z gotycka wyszywaną, posrebrzyła światłość nocna. Wierna strażnica, postaremu wywołuje miedzianemi usty godziny, przelatujące nad miastem, i długim przeciągłym cieniem znaczy w koło na domach księżycowe wędrowniki na niebie. Nad zegarem, na czterech rogach ustawione jakieś cztery pękate urny, o metalowych złożonych płomieniach; choć urny jakoś dziś już nie statkują, choć one płomienie szerniały, jednak księżyc, pocziwiec, po stariej znajomości spuszcza się ku ziemi i jeszcze zapala na onych płomieniach iskry dygocące, niby gwiazdkę białą, by się biedaczka wieża miała choć czém pocieszyć po nieboszczyku swoim mężu — ratuszu.

Z drugiej strony Sukiennic w głębokich cieniach przykleknął do ziemi skromny kościółek Ś. Wojciecha. On nie patrzy na blaski cudownej nocy, zamknął się w sobie, boć w jego sercu goreje inna a nie pożyczona gwiazda: tam jaśnieje światłość wiekuista, widna dla oczu duchowych, z niego wyszedł na świat dzień jasny, Boży, i rozświecił serca ludzi. Z tego kościółka

wyszło niegdyś wołanie anioła, głoszące ludowi, śpiącemu jeszcze we śnie pogańskim, że wybiła godzina wiecznego żywota. Jakoż we wnętrzu tego kościołka zanknięty kamień, z którego niegdyś Męczennik Święty siał w lud wiarę zbawienia. W koło świątyniczki wianek zielony topoli, — tych cyprysów i mirtów naszej północy. Spadają i odradzają się ich liście, świątyniczka cicha, niezmienna nigdy, zawsze jedna i ta sama; ona żyje wiosną nigdy nieskończoną. Schną z kolei podstarzałe jej drzewa, a pokolenia po pokoleniach, same odradzając się, dochowują stariej czci i na miejsce zwiędłych sadzają młode drzewa do wianka Patrona.

Po nad rynek i miasto, po nad kraj w około unosi się poważnie, uroczysto, kościół Maryacki; on jest całego ludu i kilku wieków modlitwą skamieniałą. Cegła, olbrzymie ciosy, metal twardy, straciły tu ciężkość swoją; materya hezwładna, tu uskrzydłona po bożności uczuciem, zrywa się z ziemi ku obłokom, ku gwiazdom. Wznosi się przybytek Matki-Dziewicy na te głębokiemi nieba; on ku nam zwrócił stronę ciemniem zalaną — stąd postać jego, — podobna do tajemnicy Wiary, co niby okryta mrokiem świętym, a przecież rozwidniona serca poczuciem — jest wiekuistości zwiastowaniem. Wzbija się wieża, jakby uniesiona cherubina lotem; pozostawiła siostrzycę swoją niższą bliżej Ziemi, bliżej doczesności i jej spraw, sama zaś ulatuje formą tak wdzięczną, tak lekką a przecież tak poważną! a wzbija się sama jedna wśród topieli światłości nocy, i w nich się nurzy i płynie i pali, jakby kagańcem na wysokościach. U góry unosi z sobą wieniec wieżyczek lekkich, budując z nich w koło siebie jakby twierdżoną powietrzną Wiary. Znowu wy-

żej i wyżej piętrzy się lekkie budowanie i dosięga promienistej korony, którą ludzie uczcili Boga-Rodzicę. Wystrzeliła już wieża powyżej korony i u podgwiezdnych szczytów niesie błyszczącą w księżycu kulę, świata godło; nad kulą, nad światem, chorągiew, — miłosierdzia sztandar, — na niej imię Maryi, pośrednicy Ziemi i Nieba!! Świątelnica czuwa nad miastem, jako orędownica jego; w niej złożone jego nadzieje i miłości i ciche wierzenia; w niej nas Krakowian uswięcają chrztem na żywot, w niej wiąże ślubem „aż do śmierci“, w niej nas Bogu oddają. W tym przybytku zamknięta Alfa i Omega wszystkiej naszej ziemskiej wędrówki!

Kościół oblekł się szatą uroczystą nocnych cieni, wieża tylko ubrała się w blaski promienne; po dachu stromym rozpląnęła rosa niebiańska, a po rosie tej księżyc rozlał srebrną polewę swoją. Patrz na te przypory pełne potęgi, które podparły kościół koło wielkiego ołtarza; każda z nich od szczytu wykwitła, jakby w liliję śnieżną w drobniuchną, eteryczną świątelnicką gotycką; ścianki jej przejrzyste z marmurowej koronki — cała ta kapliczka zwita z kwiatów, liści, słupków i wdzięcznym splotem przerosła dach, i bieli się i świeci na wysokości jakby lekki sen dziecięcia. W kapliczce próżno, w niej nie zamieszkał żaden wizerunek święty; ale jest tam gospodyni, jest! tylko nie widny zdołu; tam, w tych śnieżnych, eterycznych, kwiecistych kapliczkach siadają aniołkowie na straży małych dzieciaków naszych. Te aniołki tam czekają na dzieci, co umierają na dole, na Ziemi. Gdy dziecię chore, matka nocą chodzi po izbie i huśta na rękach kochanie swoje; chodzi biedna, husta i płacze i wstrzymuje tchy, i



przemaga łyzy, by nie przebudzić śpiącej dziecięcy; tak! matka chodzi, huśta, do serca ją tuli, a nie wie, że dziecię już umarło, że aniołek z bieluchnej kapliczki już całuje i pieści jej dziecię, ulatując z braciszkiem — aniołkiem do nieba.

Raz jeszcze objąłem okiem i sercem ten rynek krakowski, i te domy i gmachy stare, wieże i kościoły lśniące w świątecznym uroku nocnej natury i wróciłem do domu. Przebaczyć, że się tak bardzo rozgadałem, że marzę o tym mieście naszym, ile mnie stać, miłością je strojąc; ale ty pewnie nie potępisz roślinki biednej, co, wyrosłszy ze szczelin starego grodu, zdobywa się na kwiatek mały i rozsypuje wonne listki jego po tych kamieniach siwych, jako ofierne dary miłości swojej. Bo widzisz, choć my Krakowianie między sobą wydziwiamy niekiedy na to nieboże miścisko nasze, toć jednak gdy kto do Krakowa przyjedzie a pochwali przed którym z nas tę ucziwą chudobę naszą, i tę Wisłę naszą i te góry, doliny i mogiły i kościoły nasze, tak go za serce uchwyci, jakby mu rodzzonego ojca uczcił.

Po tej pielgrzymce około rynku naszego jakoś mi było uroczysto, i świecisto w duszy i tak czegoś rzeczno i nabożno żem z cicha zapadał sam w sobie słuchając gwaru różno-mownych uczuć moich. Tym czasem księżyc zazierał przez szyby do izby, i po szafach, po książkach i szpargałach porozstawiał świeczki magiczne; po swojemu jął mrugać, jakto zwykle czyni, gdy nam chce przypomnieć jakąś noc wrażeń świątecznych, którąśmy kiedyś, gdzieś przeżyli, gdy on podobnie jak dziś jasnością swoją otulał świat. Więc też głosy zapadłych a uroczych chwil, obrazy dalekich

żywota scen przemykały się w duszy mojej, to wypływając z morza wspomnień, to tonąc w jego głębiach. A tu znowu owa czeladka gnomków wyroiła się z kątów i z kącików i nuż się krzątać i kręcić i zwijać, aż mi książki i szafy i szpargały stopniały w oczach i gdzieś znikły, a na miejscu skromnej izby widziałem pagór ciemny, na nim gmach stary, groźny i sterzące samotne kolumny; w koło rozsypiska i bramy tryumfalne ze szczytem w kwiaty porosłym, z podnożem w gruzach pogrzebionem; tam dalej dźwigły się sklepienia szare, potężne, jakby dzieła skalne zbuntowanej przyrody; one na poły spadły, na poły wyciągają ramiona groźne w ciemną noc; w dali piętrzy się w rzędy łuków, jakby upiór ze starych lat, jakies tytanów budowanie okrągłe, wyszczerbione, a spojrzeniem umarłem trwoży, mrozi serce późnych pokoleń. Tam na uboczu pagór ubrany w roślinność południowej natury: z gęstwiny wonnej jego brzmia nocne słowików pieśni, a nad nim rysuje kształty zwoje cyprys żalobny, pinia rozłożysta i wawrzyn hardy. Swieciło i uroczyście było mi w duszy, rzewno, i nabożno, boć to *Forum Romanum*, to rynek starego Rzymu — rynek, co był ogniskiem świata i ludzkiego rodzaju panem przez lat tysiąc. Ten stary Rzym tak jeszcze straszny, choć umarły, tak jeszcze wielkiego majestatu, choć już pod stopą twoją w rozsypaniu kości jego. Tak jest, tutaj, na to forum spływały dzieje a losy powszechne świata; wszak ten pagór ciemny — to Kapitolińskie wzgórze, ten szary na nim groźny gmach, — to starorzymskie tabularium; z jego szczytów, jakby ze strażnicy historii ludzkiej, obaczysz przemożone ziemi przestrzenie. Od Szkockich jezior do brzegów

Indu, od skał Gibraltaru do podnoża Kaukazu — wszystko to, co ztąd okiem ducha obejmiesz, wszystko to Rzymskie panowanie. Po prawej Kapitolu — przepaść Tarpejska; po lewej — duszne, czarne Mamertyńskie więzienia; w nich zamorzony głodem Jugurta, wyobraźnik zamordowanej Afryki; w tychto podziemiach konały króle i wodze zgruchotanych w koło państw; w nich wyzionęli życie spółnicy Katyliny, co był jadowitym wyrzutem śmiertelnego moru, który miał stoczyć Rzym; tu czekał śmierci męczeńskiej on Apostoł, co był opoką, na której zbudowana Wiara. Patrz pod siebie, — tam w głębi odgrzebali szczątki mównicy odkopanęj — to dawny bruk, to głazy, po których chodził Cezar i Pompejus, Sulla i Marius, Nero i Titus. Tuż przed tobą brama tryumfów nad odwieczną Azyą: szerniałe rzeźby na niej prawią o zgromionęj Arabii, o zdeptanęj Babilonii, o upokorzeniu Eufratu. Tam w dali druga brama; ona stanęła, gdy Rzym bezświadomie dokonał proroctwa o zgładzeniu z ziemi Jerozolimy i o upadku świętego Syonu. Powyżej tego pomnika tryumfów Izawych wznosi się ów pagór czarodziejskich ogrodów — to Palatyńska góra! Tutajto ów, od wilezycy wymameczony, bratobójca położył kamień węgielny Romie; tutaj dziś, wśród splotu krzewów wonnych, a eizby laurów i cyprysów, wśród nocnej słowików pieśni stanął cały świat zwalisk. Po nad wawrzyny i cyprysy wyzieraają padające się ściany, popękane sklepienia, oberwane filary; te rozsypiska dziś jeszcze zdobne są w szczątki rzeźby marmurowej i w strój różno-barwnej mozaiki; tu pod rumowiskiem spoczywały cudne postaci, posągi, co je niegdyś stwarzała Grecya, od Rzymu w służby wzięta. Te

nagie, zwietrzałe mury, jakby olbrzymów szkielety, opłotły szatą zieloną, w kwiaty szytą, powoj, latorośl winna i kaktus zwieszisty o pięknym i hardym kwieciu. Ten świat rozwalin, to szczątki pałaców Cezarów — tu Augusta gród, tam Tyberyusza, Domicyana złote gniazdo sępie, krwią oszargane, trupem cuchnące.

Z Palatynu wprost patrzysz się na one tytaniczne okrągłe budowanie: stają łuki na łukach, dolne piętro już dziś w ziemi ukryte, najwyższe tu ówdzie runęło z wysokości. Straszy to budowanie i serce wznosi świętości uczuciem, i lękiem mrozi, i rozgrzewa wzniosłością pamiątki, to jest *kolizeum*. — Tu świat stary konał wśród własnych tryumfów, tu świat nowy się rodził, a potoki własnej krwi były pierwszą kąpielą jego. To jest ów amfiteatr krwawej pamięci, kiedy tysiące Chrześcijan męczeńskich walczyło z tysiącami dzikiego zwierza. Ale krew — to ziarno; śmierć — to żywot. Dziś zapadły się ławy ciosowe, z których niegdyś w sto tysięcy był zebrany widz: cisnęła się ciżbą rozhukana gawiedź; od ziemi, od dołu do najwyższego, piętra, wszecz i wzdłuż, wkoło zapchana jest przestrzeń tym świetnym, hardym a rozjuszonym motłochem; olbrzymie budowanie zdaje się być doliną utworzoną z nieprzeliczonych ludzkich żywych ciał, a te tłumy, jakby ptastwo drapieżne, jakby zwierz posoki łaknący, przyciągnęły tu, bo nęci je nadzieja krwi świeżej i cuch przyszłych trupów. W oczach wywróconych, rozpalonych, rozkosz okropności, obłąkana chuć; — zrzenice opojone krwią toną w zamęcie bitwy; walki, krzyki radości, wesela — Cezar kontent ze swoich zwierząt. — U góry, na niebie ciągną obłoki różowe, na nich stoją anieli z palmą w ręku; uśmiechają się

anieli ze łąką, z niebiańską perłą w oku. — Na dole, na ziemi, w arenie, zrazu kłęby i tumany kurzu, wnet kłęby pogmatwanych ciał ludzkich i zwierzęcych — bagno krwi i błota — ryk, wycie, jęki; pieśni, wściekłość lwów, tygrysów, — psalmy modlitwy konających.

Dziś tu cicho, spokojnie, — dzieło dokonane. — W środku areny krzyż prosty, dwa drewna wpoprzek zbite wyciągają ramiona, by obtulić świat. Po tém drewnie śpinał się słowik śpiewając pieśń niebiańskiej miłości, i spał się na szczyt krzyża, i śpiewał, i piersi mu pękły! — (stara legenda).

Dwieście lat stała ta arena, gdy naprzeciw niej znów wzniosła się owa brama tryumfów, a tryumfów Wiary; dźwignął ją Konstantyn W. po zwycięztwie w znaku tego krzyża!

Od tego forum, od podnoża Kapitolu, niegdyś biegły bite gościńce na wsze strony świata: — te śpieszyły przez Gallię do kończyn Brytanii, tamte pod podnoża jerozolimskiego Syonu; po nich grzmiały żelazne Rzymskie legiony a prowadziły je orły złote na pogrom narodów i państw. — Dziś cicho, milcząco na tém forum, — po gruzach wiją się chwasty, przechadza się bydło; sąsiadami Kapitolu chaty biedne, gospody rzemiosł rozmaitych i wyrobników. I w dzień nawet tu głucho i pusto; niekiedy tylko przemknie się tędy wieśniak lub przeczołga się żebrak, lub stanie zadumany wędrowiec, lub pogonią swawolne pacholeta puszczając w powietrze papierowe orły; — i znów cicho w kruchcie zmarłych wielkości. — Głucho i pusto, tęskno i śmiertelno, ale świecą jasno ścieżki, któremi przechodził anioł pański, przewodnik wielkich dziejów na ziemi.

---

Rzym podbił świat, i nie było świata, tylko rzymski; ludy i państwa ciągnęły rydwan jego tryumfów, a bogi narodów zabitych, sprowadzone jencem do Rzymu, stawały w jego Panteonie, jako pośmiertne upiory.

Rzym ogarnął całą świata ośnowę, cały dochówek jego i zamknął je w sobie. Gdy umierał na złotem łożu swojej boleści, cisnęły się ludów roje po dziedzictwo. Na wychrzczoną nowym żywotem ludzkość spadła puścizna długich wieków, spadł dorobek duchowy starzej Azyi, zapadłej Afryki i arcydzieła dawno zgasłej Hellady. Jego pracą a dosługą wykarmiła się wędrowna dzicz Wschodu; wszak cała Europa, wszak my wszyscy owocem trudu jego i znoju dotąd żyjemy, rozsiadłszy się szeroko na ojcowiznie jego. Rzym był dwóch światów pośrednikiem; wszak to i on oborał rolę Pańską, na której siał zasiewca Boży; — a język nawet świątobójczej Romy stał się językiem Wiary zbawienia i miłości. — Taka sprawiedliwość Bóza!

Rzym bezlitośną pięścią ścisnął ludzkości serce, a ludzkość wśród mąk niesłychanych, wśród poniżenia bez miary, wśród ogniów swojej boleści krwią wypociła z siebie pogańskie uczucia i parcie swawolnej chuci. Serce ludzkości, wypalone w płomieniach cierpień bezdennych, stało się jako zgliszcze świątnicy, puste, głuche ale czyste i spokojne, godne by do przybytku jego wstąpił panujący Pan.

Zaiste, pod ferulą żelazną Rzymu świat skruszał; wzięty w karby nieubłagane przywykł do zrzeczenia się własnej istoty swojej, nauczył się zaparcia się bez granic osobistych uczuć, samowolnych sądów; a tak w mękach i w żarach katuszy wytopił z siebie pierwiastki barbarzyństwa i dzikości i ukorzył się na

głos wołającej wiekuistej prawdy, a budującej się we własnym duchu jego. Tak! Rzym jest przygotowaniem rodu ludzkiego do nauki zbawienia, on jest ołtarzem ofiernym, na którym człowieczeństwo składa treść duszy swojej, zanim przystąpi do ołtarzów nie-  
skonieczonej miłości Bożej.

Takie było powołanie Romy, takie też było odpowiednie usposobienie rzymskiego ludu! Ten lud hardy i twardy miał jedną, jedyną tylko ideę, której się poświęcał, której duszę swoją, żywot swój zaprzedał, której poprzysiągł ciężkie swoje służby; — tą ideą była wielkość jego Romy. Tą ideą lud Rzymski żył; ona mu była religią, sumieniem, boleścią i rozkoszą; dla niej on się rodził, dla niej umierał; słusznie powiedziano że lud ten „wierzył, że same Bogi chcą wielkości Rzymu: — Kurtius, Decius poświęcają się za Rzym piekłom. Lud rzymski wierzył, że Rzym powinien, że będzie światem władał, — więc też ta wiara jego stała się prawdą — Bogi nawzajem i jemu dochowały wiary,“ a dochowały mu wiary i dodały sił do wzrostu i potęgi, dla tego że ten lud rzymski stał na nieskalanej prawości, bo idea Rzymu wyrzuciła z niego wszystko, co małe, niegodne; bo czystość, prostota obyczaju, cześć dla prawdy i życia prywatnego bez plamy i zmazy, i cnota były jego siłą i mocą.

Państwo rzymskie jest acrydzielem rzymskiego ludu. Ale państwo, wielkość jego, mądry rząd, jest sprawą najwyższą rozumu a bynajmniej artystycznej fantazyi kwiatem! — Państwo, fantazyą stworzone, nie ostałoby się w świecie, rozbiłoby się w Historji o rzeczywistość — bo Historia nie jest fantazyą, ale jest rozumem, logiką, której kartami są epoki dziejów

ludzkich, a jęj oddziałami narodów żywoty. Rzymski lud był przedewszystkięm logicznym i rozumnym. W tęg pańszczyźnie pełnęg znoju a cierpięnię umilkły dla rzymskiego ludu wszystkie serca głōsy; tu nie ma mowy o sztukach, owych lubęg fantazyi dzieciach; żywot był napawany grozą i zgrozą, łamaniem się i posłuszeństwem dla onęg idei. — Lud rzymski nie miał czasu chodzić marząc po księżycu! w tęg Romie nikt by nie był się rozpisal o poświęacie księżycowęg, jak ja to uczynilem na wstępie listu tego, nikt nie byłby czytal obrazków takowych, jak to ty uczynileś. Przecięż my jesteśmy tęg synami innego świata; dla nas rzeczywistość zewnętrzna nie jest całą istotą naszą; my we wnętrzu naszym chowamy sanctissimum w siebie zwrōcone, co jest drugim a bezdennym dla nas światem; do niego się uciekamy, do niego wstępnem w rzewnōści chwilach. Z tych cichych przybytków serca patrząc na otaczającą nas rzeczywistość, odziewamy ją poświęatą naszego ducha i strojemy ją i ubieramy lśniącą szatą naszęg fantazyi, a tak znowu się godzimy, ile nas stać, z tęg otoczeniem naszym. Ow mōj wstępn do listu tego choć na to się może zdał, by wyświecić różnice między naszym światem a rzymskim pojnowaniem; to nasze pieszczenię się z naturą wypływa z uczuć, których Rzymianie nie znali, znać nie mogli, i znać nie chcieli póki budowali i dźwigali tron Jowisza kapitoliniego na podwalinach zgromionych ludów i państw. Tak, jest to prawdą niezachwianą że Rzymianie sami nie mają fantazyi w sobie, że nie są poetami, ale są ogromnym, niewyczerpanym przedmiotem dla poezyi. (\*) Odwrōtnie, dzieje Hellady są mnięj

(\*) Vischer e. e. §§. 442—446.



poetyczne, choć sami Hellenowie wskrós są ludem-artystą. Rzymianie są dopełnieniem Greków, — co się rozpoczęło w Helladzie, doprowadzone było do ostateczności w Rzymie. Może jednak te zarzysy i lekkie rzuty nie są dość wyraziste, wytłómaczę ci się z nich bliżej jeszcze.

Wiemy z listu przeszłego, że w Grecyi harmonia szczęśliwa, dźwięczna wiąże ducha ludzkiego z naturą i całą zewnętrzną rzeczywistością. Cała treść istoty ludzkiej, więc zmysły i uczucia, rozum, tęsknoty serca, myślenie, ochoty, i miłości jego, znajdują ziszczenie w świecie zewnętrznym. Świat wewnętrzny a zewnętrzny zupełnie się równoważą, całkowicie są do siebie nastrojone, są to tony jednego akordu. Ten zestroj i harmonia są Hellenom dane z urodzenia; Hellenowie z nią na świat przychodzą, ona jest skutkiem stanowiska Grecyi w ludzkich dziejach. Grek nie zrozumiałby żywota bez tej harmonii. — Wiész równie, że ta harmonia i współdźwięk, ta zgoda dwóch światów stanowi właśnie to, co my klassyczością zowiemy. Stąd też u Greków i fantazyja jest klassyczną, bo treść mająca się uwidomić w dziele sztuki znajduje w niem zaiste swoje uwidomienie doskonałe. Zatem pierwiastek duchowy tak zupełnie wciela się i uzmysławia w formie zewnętrznej, że co jest w treści, znajdzie się wyrażone w formie, i nawzajem forma zawiera w sobie całą treść, ale też nic więcej krom treści takowej. O tém jednak prawilem ci już w trzech listach poprzednich, tutaj przypominam jeszcze, że gdy duch Hellenów ku skonowi się ma, wtedy pęka ta harmonia; świat zewnętrzny nie zadawalnia więcej ducha, człowiek cofa się w siebie. Otóż to zerwanie z rzeczywistością, ten rozwód we-

wnętrznego człowieka a zewnętrznego świata iść się ma do ostateczności w Rzymie, choć dopiero w dalszym okresie żywota jego ziści się nawet w całej okropnej postaci swojej

Wszak i Rzym należy do okresu klasycznego historii powszechnej; ale nie zupełnie w tém znaczeniu jak Grecya. — Rzekłem powyżej, iż w Rzymie nie cała już pełnia treści duchowej znajduje ziszczenie swoje w świecie zewnętrznym, lecz tylko jedna myśl tej treści, a tą jest, jakieś widział, idea państwa, idea wielkości Rzymu. Te idee Rzymianin wcielił w świat; on się silił i łamie, aby tę ideę urzeczywistnił, aby ten Rzym historyczny był iście takim, jakim go zapragnęło jego niezachwiane przekonanie, — aby tedy stanęła harmonia między rzeczywistością jego ojczyzny a duchem, czyli tém niezłomnem przekonaniem wewnętrznem. Ten Rzym rzeczywisty jest przeto jakby formą, jakby uwiadomieniem wewnętrznnej treści duchowej człowieka, jest naczyniem jego boleści i roskoszy, jego krwi i znoju. Ta możność uiszczenia treści wewnętrznnej w świecie zewnętrznym, w Romie, ta harmonia i zgoda obu stron, jest właśnie głównym względem dla którego Rzymian podobnie jak Greków klasycznym ludem nazywamy. Zważ że i Grek kocha i miłuje z serca chwałę ojczyzny swojej; u niego atoli idea polityczna jest tylko jedna z wielu stron istoty jego; on obok tej idei ma inną jeszcze treść, której ziszczenie znajduje w rzeczywistości. On cały jest tedy wskróś ludem klasycznym. A gdy cała pełnia istoty jego wewnętrznnej znajduje odpowiednią sobie rzeczywistość zewnętrzną, dla tego też żywot jego jest tak błogi i młodociany, tak kipiący radością a szczęściem. Rzym zaś właśnie dla

tego, iż żył poświęceniem się i zrzeczeniem, iż przysłuszał wszelką inną treść swojego serca dla jednej wybranej idei, — dla tego żyje w ciężkiej a twardej służbie tej idei, i stąd też jest tak poważny, zadumany, tak posępny i pełen grozy a uroczystości. Grek się rodzi w tej harmonii, a Rzymianin dokupuje się jej okropnym sileniem i mocowaniami z sobą i ze światem.

Ludy Chrześcijańskie nie są z istoty swojej klasycznymi, bo w nich już się przebudził pierwiastek wiekuistości, który nie znajduje ziszczenia swojego w świecie tutecznym; ten pierwiastek nie będzie nigdy w harmonii zupełnej z tą rzeczywistością tego świata; żadne szczęście ziemskie nie zdoła ukoić nieskończonej serca tęsknoty; daremnieby nas doczesność pieściła i usypiała; i we dnie i w nocy, i we śnie i na jawie patrzą się na nas oczy, co nie z tego świata. U nas rzeczywistość gospodą, żywot wędrówką, grób przemienieniem, a człek przez życie całe obcym na tej ziemi. Dla tego też Rzym tak mrozi i nasyła dreszcze na serca nasze; on całego siebie poświęcił, on zabił siebie, on choć nie zna niebiańskich nagrodnych nadziei, odwraca się przeciw od uczuć ziemskich, zadaje sobie męki bez granic, płaci krwią serdeczną, by ziścić ideę, która jest tylko ideą tuteczną — ideą wielkości doczesnej: A ta idea, ta wielkość będąc rodem z tego świata „przemineła jako liść i uschła jako zioło polne!“

Widzisz tedy, że wszystka inna rzeczywistość, że wszystka inna treść duchowa, która nie była ideą ową, stała się w Rzymie tylko podrzędną i o tyle jedynie ważyła, o ile mogła służyć za środek dla tej idei politycznej, jako dla celu swojego, zatem o ile była użyteczną wprost dla wielkości Rzymu, lub o ile się na-

dawała, by ustroić, by stać się ojczyściej chwały zwiastuną. Użyteczność, utylitarność jest przeto główną tętnicą żywota Rzymskiego. Więc co się nie może zdać wprost jako środek dla Rzymu, nie ma wartości, jest głuchą łupiną, dziecinną igraszka, czczem próżniactwem. Aby zaś umieć poznać, na co się co zdać może, aby umieć powiązać środki i cele, na to potrzeba, jakem rzekł, rozsądku, rozumu praktycznego, obcego wszelkiej fantazyi. — Nie było też drugiego już ludu w dziejach powszechnych, równego pod tym względem Rzymianom. Oni, bystrością błyskawiczną zgadując co na zdrowie ich państwu, genialnym praktycznym instynktem umieli obracać na korzyść swoją dorobki duchowe ujarzmionych ludów. Rzymianie nigdy nie byli ślepyimi naśladowcami obcych pomysłów; lecz, co im tylko narody i państwa złożyły na klęczkach kornym hołdem, to przerobili, przeistoczyli, by służyło Romie za podnoże wielkości jej światowładnej.

Ta logika nieubłagana, ta proza matematycznej rachuby, odbiła się na całej umysłowej historii Rzymu. Patrz — każdy lud, gdy wzrośnie w siły, gdy się poczuje na sercu, lubi sobie złocić i mać i zdobić pierwsze zaczątki żywota swojego; wieści uroczę, podania, pełne poezyi, dolatują z zapadłych wieków i przynoszą mu kwiaty, które urosły w krainie niemożliwych jego lat, i te kwiaty cudowne fantazyi wplata w laurową koronę, zdobytą długim trudem i pracą krwawą. Jego góry i bory, mogiły i zwaliska stare, błonia i rzeki, zaludnione duchami z dawnych lat, co pieczą i koją, prawią, gadają i stroją te wszystkie w koło ziemice. Lecz te powieści, podania i gadki są przejrzałem serca ludu, on w nich siebie widzi i po-

znaje, boć to dech własnej duszy jego, toć to pierwiastki własnej jego krwi, a wykwit cudowny rodowej jego istoty. Rzymianie nie znali tych przystrojów początkowych historii ubraniej we wdzięki fantazyi czarującej, bo nie znali oni wspólnego ojczyzstego domu, ani wspólnego pochodzenia rodowego, ani wspólnej krwi; *wszak* każdy z onych siedmiu królów był z innego narodu, a Rzym w swych początkach, jako niesie wieść, był zbiegowiskiem różnorodowej awanturniczej gawiedzi. Kto ścigany od swoich, kto za progi własnego kraju wyrzucony z życiem uchodził, zbierał się też około Romulusa, dzikiego herszta zuchwałej bandy, a on ujął tę rozhukaną czerń ręką szpizową; nie mogąc jej zakłąć na bogi wspólne, — bo ich nie miała, — ani trzymać obyczajem wspólnym, — bo każdy był gwałcicielem obyczaju, — więc okuł ją w prawa twarde i w karność bez serca. Bo prawo nie patrzy na różnorodność usposobień ludzkich, pomija różnice wiary, pochodzenia, rodu, uczuć, zdolności, wieku, ale bierze człowieka w abstrakcyi głuchej, beztreściwej, żąda posłuszeństwa i łamie indywidualność. Prawo tedy, samo puste w sobie, jest ogniwnem żelaznym, łączącym pierwiastki Rzymian. Prawo było warunkiem wewnętrznym bytu i siły: a na zewnątrz trzeba było się bronić od ściany wrogim sąsiadom, tehnącym nienawiścią i pogardą; — zatem miecz i wojenne rzemiosło było drugim żywotnym pierwiastkiem Rzymu.

Tak urósł tu człowiek w jurystę-żołnierza, a jak prawo bierze człowieka w abstrakcyi nie wdając się we wewnętrzną jego treść, tak i żołnierz był abstrakcją; karność ślepa i bitność tu żywiołem, reszta obojętną. Sztuka wojenna Rzymian, żołnierski ich duch podbił

świat; pod jego ciosem padały się państwa i ludy; runęła i Kartagina waląc się na 700,000 ciał wyciętych mieszkańców. A na takowe prawo, jak je miał Rzym, żaden już naród się nie zdobył; prawo rzymskie i ścisłość matematyczna jego pojęć, jest do dziś dnia wywikhą dla prawniczego rozumu; uczymy się go też na uniwersytetach, bo bez prawa rzymskiego można być i zręcznym i wymownym mataczem, ale prawnikiem — nigdy.

Prawo, żołnierz — otóż dwa pojęcia tak dalekie od wszelkiej fantazyi, tak abstrakeyjne i głuche w sobie jak sama idea Rzymu, której one służą. Ta idea potężna a groźna pomiotła też i świętą miłością rodzinną; Remus zabity od własnego brata, bo zbuntował się prawu, bo chybił karności. Rzymianie porywają niewiasty sąsiadów, bo rodzina, bo obyczaj jest czczem, pustem słowem, gdy chodzi o dobro Rzymu. A czémże jest ta Rzymska rodzina! Jak każdy lud stroi sobie w kwiaty kolebkę pierwotnej historii swojej, tak dla każdego niezepsutego człowieka, pamięć ojcowskiego domu otula się w złocisty obłok miłości i poezyi: uśmiechy ojca, pieszczoty matki, to posag na życie dalekie, na świat szeroki; i unosisz je w duszy z sobą niby talizman święty, co cię broni od złego uroku i niedobrój serca przygody. A choć liście na drzewie żywota twojego zżółkną i pobladną, rzeźwią cię jednak i krzepią wspomnienia drogie z dziecięcych lat. — Zaiste, co w którym z nas dobrego, jest dobrój matki zasiewem, a często pamięć na matkę umarłą, więcej ma jeszcze mocy, niż jej przestrogi za życia dawane. Jak Rzymianie nie znają lubych i wdzięcznych mitów, strojących im pierwsze założenie ich

państwa, tak i wspomnienia, wyniesione z ojcowskiego domu, nie tulą zaprawdę duszy ich wdzięcznym urokiem. Rzymska rodzina nie zaznała tej błogiej, cichej miłości; tu nie powstały pieszczoty, a ciepło przyrodzone serca zmroziła groza i despotyzm ojcowski. Ojciec jest panem życia i śmierci dzieci swoich: — on może sprzedać syna; syn nie posiada własności: czego się on dorobi twardą pracą, jest ojca majątkiem; a najwyższe dostojenstwa w państwie nie wyswobadzają od nieubłaganej władzy ojcowskiej, która jeszcze i na wnuków i na prawnuków całym brzemieniem spada. Gdy syna usamowalnia ojciec, używa formy pedanckiego prawa, sprzedając go pozornie po trzykroć mocą wałek i pieniążka. Wszak i małżeństwa zawiązują się kupując żonę, lub przedawnieniem, jak gdyby chodziło o rzecz jaką bezduszną.

Wierzymy chętnie, że mimo tej grozy, odzywały się uczucia serca, jako wiekuiste prawo potężniejsze niż wszelkie ludzki ustawy; — lecz przecież samo istnienie tych ustaw jawnie okazuje, jak nieśmiałe i lekliwe były głosy natury w obliczu posepnej powagi prawodawstwa. Jakże tu strasznie, jakże duszno było we własnym domu i ojcu i dzieciom! Miłości skromne, wykwitające z duszy młodej dziewczycy, te pierwsze ducha rumieńce, one tu były wątłą roślinką, którą w rychle zwarzył szron, która nie wypuściła nigdy lubego pączka fantazyi, co zamyka w sobie tęsknoty, nadzieje, i marzenia, i sny kochania pełnego szczęścia. — Ale za to też niewiasta Rzymska jako matrona, jako matka-obywatelka, wychowująca synów dla Rzymu, świeciła pełnym uroczystości majestatem.

W tym ludzie, tak olbrzymiu a tak nieużytnym, rodzina była twardą szkołą, gotującą do twardszych jeszcze powinności publicznych; wszak cenzora ocywglądały w tajne ściany domowe, w zacisze prywatnego życia, a kto chybiał obyczajom, prawu, na kogo padł cień czynu nieuczynego, niegodnego, był strącony z urzędu, choćby ze senatorskiego krzesła.

Tak Rzymianin poświęcał to bezhałaśne a głębokie szczęście domowe, co się tak wdzięcznie uśmiecha ludom Chrześcijańskim, żyjącym życiem na wewnątrz zwróconém. W zamian, atoli, za tę szczęśliwość błogą skromną domowego życia w naszym rozumieniu, wstąpiła tu do głuchego wnętrza człowieka idea wielkości ojczystego państwa i zasiadła w niém, jako na tronie swoim. Idea ta rozparła serce, — serce nabrzmiało ufnością i dumą szlachetną; tak Rzymianin dźwignął się w olbrzyma, wznosił się nad samego siebie. Obok tej idei wielkiej, nie drobnego, nie niezacnego ostać się już nie mogło; w duszy ogłuchł egoizm samolubny; prawość nieugięta, cnota wzniosłości pełna, dotrzymująca wiary i swoim i wrogom, poczciwość bez skazy w sprawach prywatnych i publicznych, harde przekonanie o powołaniu Rzymu i o własnej osobistej godności stanowiły istotę obywateli rzymskich. Oni czuli się być wyobraźnikami, kapłanami jednej wielkiej myśli, a to kapłaństwo chroniło ich od wszelkiej zmy moralnej, od zbrudzenia uczuć swoich, od wszelkiej nikiżemności. Czytaj tych historyków rzymskich! — cnota niezachwiana ani strachem ani złotem, poświęcenia bez miary, czyny nadludzkiego heroizmu, któreby inne ludy rozniosły, prozopopeją nadętą chęłpiąc się i szumiąc, były w starym Rzymie wypadkiem codzien-



nym, rzeczą powszednią, która się niby sama przez się rozumiała; zatem takie czyny są wspomniane w ich dziejopisach zaledwie kilku jałowemi wyrazami. Lubo później uleciały cnoty i poświęcenia starorzymskie, zostało jednak jeszcze wysokie uczucie przyzwoitości i poszanowanie siebie; Cezar umierając w senacie, wśród morderców swoich, zasłania sobie płaszczem oblicze, by boleścią ostatniej chwili wypaczone rysy twarzy nie ubliżyły jego godności.

Możemy nie lubić tych Rzymian, ale czcijmy ich cnoty pierwotne, korzmy się zarumienioném czołem przed ich wielkością. W tej idei duchowładnej Rzymu tkwi tajemnica tych figur tytanicznych, które, jakby galeryą olbrzymów ze spiżu ulanych stanęły w świątyni dziejów ludzkich. Na taki szereg postaci nie zdobył się żaden naród w świecie, z takimi ludźmi Rzym mógł zagrać w kości z światem — o świat. I Rzym wygrał ogromną stawkę. Przyczyn jeszcze w duchu rachubę mądrości politycznej, która przez siedmset lat snuła się kalkulem ścisłym, nie odstępując na chwilę od siebie samej. Ztąd też ten organizm państwa, chłonący w sobie wszystkie siły tych ludzi na stopę olbrzymią, był rzeczywiście arcydziełem mądrości ludzkiej, gdy przeciwnie skład rządów Greckich był w porównaniu z nim próbką dziecięcą, niedonoszoną, która dostać nie mogła gwałtowniejszym zderzeniom.

Patrz — ten Rzym jest jeszcze wielki nawet w pierwszych chwilach, gdy mu się już zbiera na ostatnią chorobę. Gdy na miejsce starorzymskich cnót występują z za kulis świata zbrodnie potworne, te zbrodnie dziś jeszcze przerażają trwogą, mrówiem stra-

szą duszę, ale nie budzą pogardy; są to zbrodnie odziane jakąś wielkością piekielną. Marius, Sylla, Tyberius kroczą przez teatr historyi, jako nieszczęścia olbrzymie demony, niosące na barkach swoich losy ludzkiego rodu; i oni są wieley po swojemu, i oni geniuszami na kolosalną stopę; im też chodziło o ogromną sprawę, ich żarła chuć władania Rzymem i poigrania ze śmiertelnie chorym światem. Później gdy wiara w bogów wygasła w piersiach człowieka, gdy na miejsce kapitolńskiego Jowisza stanął na jego podnożu Kaligula, Klaudius, Nero, i cały ten szereg słabogłowych władców, cóż dziwnego, że myśl panowania świata śpiekła im krew i zakipiła w mozgu obłąkaniem! Olimp dla nich był pusty, bez mocy, wyludniony z bogów; w sercu tych ludzi nie było więcej bojaźni istot nadziemskich; oni zostali w osamotnieniu, pełnem okropności, bez równych sobie na Ziemi, bez wyższych od siebie na Niebie. Ci ludzie straszliwi są jeszcze ludźmi na ogromną stopę, podobni do ślepowładnych mocy natury, nieświadomych zlego, podobni do fatum, co ciemném skrzydłem zaległo świat. Tak się stało, jakem rzekł, iż choć Rzym sam jest bez fantazyi, zdolen jest rozpać ogniem fantazyi nawet najgnuśniejszą wyobraźnię.

Olimp rzymski wymarł śmiercią, sam przeto Rzym był blizki skonania. On swoim Bogom gotował mor zabójczy. Bo zważ — ta właśnie utilarność, ta proza rozsądkowa, dławiąca wszelką fantazyę, była jadem śmiertelnym, który zatrul ziemię i niebo. Tu okazuje się z całą potęgą otchłani oddzielająca Greków i Rzym. Bogi Hellady ród swój wiodą z nadziemskiej krainy poezyi; Hezyod, Homer uderzyli

pieśnią w struny lutni swojej, a struny zabrzmiały cudownemi tony; ulatujące dźwięki lutni uosobiły się w Bogów Hellady; postaci tych bogów tak urocze, napowietrzne, nadziemskie, jak akordy tonów, jak fantazyja mistrzów natchnionych; i jeszcze i jeszcze płyną pieśni one i zradzają rojami powiastki i mity cudne o tych bogach, a wieści te, jakby swawolne, skrzydlate geniuszki lekkim dworem oblatując niebian postaci, wybajały ich kochania i tęsknoty i słabostki i cały ich żywot wdzięczny. Ztąd też te bogi i czarowne o nich plotki nie były owiane grubym tchem nizin ziemskich; one — swobodne dzieci swobodnej fantazyji — bujały na wysokościach przezystych, kędy nie sięgają sprawy doczesne i biedy potrzeb codziennych. Te bogi Hellady i te przesłiczne a lubie o nich mity, chowały w sobie wprawdzie głęboką treść i wzniosłe prawdy, ale ta mądrość rodziła się bezświadomie, ona wypłynęła z zachwyty, z jasno-widzenia poety, ona nie jest bynajmniej bezbarwnym owocem rozsądkowego zastanowienia się i chłodnej obrachowanej rozwagi. Tutaj jednem uderzeniem, jednym gromem powstała treść i forma. Dla tego też to bogi greckie są arcydziełem fantazyji i najwyższym piękności szczytem. (ob. List XI).

Inaczej w Rzymie. Imiona jego bogów podszyły się wprawdzie pod cudowną fantazyję Hellady, pod ten piękny Olimp grecki, ale one same nie zrodziły się z wieszczego natchnienia, są to robione trupie kwiaty, wydrzeźniające życie; one wyrosły wprost z potrzeby doczesnej, więc też służą ziemskiej potrzebie. Całe niebo Rzymian jest gronem praktycznych myśli przebranych w ludzkie kształty, a wszystkie odnoszą się do Rzymu, jako czeladź do wszechwładnego pana

swojego. Ztąd też na czele bogów stanął Jowisz Kapitoński — uosobienie państwa rzymskiego; obok niego podrzędne bogi-pomocniki, wyrażające znów środki dla głównej idei; a poniżej tej znowu stają niższe środki, niższe bogi, jakby sługi sług. Tak, mury miasta, pokój, wojna, granica, piec piekarski, febra, moneta i t. p., mają opiekuńczych bogów, niby bacznych stróżów pilnujących dobra Rzymu. Ile razy zjawiała się nowa potrzeba lub spadł jakiś nowy kłopot lub bieda, już też, jakby na rozkazanie, wyrósł nowy jakiś bóg, jakby na zawołanie nowej służby. Zważ, że te bogi nie były niczem same w sobie, one nie miały swojej osobistej historyi, swojego żywota dla siebie, ale byłyli tylko środkiem pomocniczym dla ludzi i nie więcej. W Grecyi bogi rodzą się naprzód po swojemu i wedle istoty swojej; każdy z nich ma niby biografią swoją, a Hellada dopiero później w skutku tego ich żywota czyni ich opiekunem to tej, to owej sprawy ludzkiej. Ztąd też te bogi Grecyi tak poetyczne obok jałowej prozy rzymskich bóstw. Rzym bogów swoich uczynił służalcami, wyrobnikami doczesności; on ideę religijną, choć pogańską, poniżył, splugawił, czyniąc ją niewolnicą ludzkich spraw.

Ale te bogi zemściły się sponiewierania swojego. Jakoż, potrzeby i tryb zaradzenia im są rzeczą rozsądnej baczności; ztąd te bogi są dziełem rzemieślniczem rozsądku. Są to myśli grubego praktycznego rozumu, które uosobiono, dobierając dla nich kształtów. Treść tedy, to jest owa myśl, a forma nie rodziły się razem w ścisłej jedności, nie były dziełem natchnienia fantazyi.

Rzymianie dla myśli już gotowej dorabiali, jakby na urząd, formę (nowego Boga) wyrażającą niby sym-

bolicznie ową swoją treść; tak tutaj forma jest wymyślona, wymuszona, naciągana. Treść i forma nie stopione tutaj w jedność, odstają od siebie; jest to jednemu słowem allegorya. Allegorya jest cechą Rzymu, on jest głównym jej wynalazcą i hodownikiem, ona jest arcydziełem, na które się chłodna prozaiczna jego fantazyja zdobyć może. Jego bogi — to allegorye. Allegorya zawsze tam się rodzi, gdzie treść jest dziełem rozumu zimnego, i gdy zarazem dla tej treści, którą jest jakaś myśl, rozum dobiera formy (List XI). Ale o tym szeroko już mówiłem dawniej (List XI). Ta forma allegoryczna, zależąc atoli od wymysłu rozumu, może być różna bardzo, choćby dla jednej i tej samej treści; i nawzajem, też sama forma nadać się może dla wiele różnych treści. Stąd węzeł obu stron jest wiotki; one nie trzymają się siebie (List XI). Z tego też powodu trzeba było Rzymianom uwyraźnić znaczenie tych postaci godłami, atrybutami, symbolami i inną łątaniną; więc te bogi ich takie zimne, abstrakcyjne, tak głuche, jak idea Rzymu, jak pojęcie osoby prawnej. Te bogi, jako abstrakcyjne, skostniały w sobie, one nie mają życia, nie mają dziejów, nie mają powieści; żadne mity nie łączą ich sobą zwojem kwiatów; te bogi są samotne na swych podnóżach i dla tego tak posępne, tak gróźne, tak nieużyte.

Widziałeś tedy dla czego Rzymianom tak łatwo o stwarzanie sobie nowych Bogów; o toż, z tej samej przyczyny nie trudne im było przyswojenie bogów obcych. Oni ze zrabowanych świątń wszystkich ludów uwieźli bogi pojmane na tryumfy swoje. Bóstwa Azyi, Egiptu, Grecyi zaludniły Rzym w kamienne postaci. W obecniemych tych posągów stawał zwycięzca barbarzyński

i palcem gburowatym je wytykając, pyta po swojemu o znaczenie, o treść rozsądkową tych figur? Gdy mu ta treść przypada na rękę, przyjmuje bóstwo obce do inwentarza nieba swojego, dając mu w niem obywatelstwo. Wydobywając jednak treść z formy, zabija i treść i formę. Rzym wycisnął duszę, treść z tych bogów i bogi umarły; ciała ich — toć już martwe, trupy zwłoki. Takowe to są zawsze sprawy rozsądku, gdy się on rozzuchwali i sięgnie do wyższych dzielnic duchowych, do których nie urósł z istoty swojej. Rozsądek jest wprowadzie pierwszym warunkiem powszechnego żywota człowieka, bez niego nie obejdują się ziemskie sprawy, bo on rozsądza rzeczy różne, by się nie majaczyły zamętem. Ale właśnie też dla tego właściwą jego ojcowizną jest świat przedmiotów nawzajem się odróżniających, odgraniczających od siebie; a zatem przedmiotów ograniczonych, skończonych. Sferą właściwą rozsądku jest świat doczesności. Zatem go nie stać, by mistrzował w dzielnicach wiekuistości a nieskończonych prawd, które właśnie są odwieczną harmonią różnic, kontrapunktem różnorodnych dźwięków, akordem zlewającym niebo i ziemię, śmierć i żywot, tuteczność i wiekuistość. Powiedz, czyli rozsądek wystarczy gorącej serca twojego wierze, gdy do przybytku duszy twojej zapuka Pan! Czyli ci on wystarczy, gdy anioł muzyki unosi się do nadświatnych krain, kędy nie dolatują doczesne westchnienia? Gdy w chwilach świętych żywota twojego spójrzysz w głębie nocnego nieba, i spójrzysz w głębie piersi twoich, a tu i tam obaczysz światła gorejące — ono pismo gwiazdziste, którem Bóg wypisał zakon i przykazanie światu; gdy w tych chwilach uroczystych odezwą się we wnętrzu

twojém głosu, niby archaniołów wołania, i przemówią o zacności, o wiekuistości twojej bezśmiertnej istoty, o sumieniu, o Bogu; — czyli w chwilach takowych jeszcze rozsądek winien być sędzią twoim? Gdy w koło natura rozłoży się obrazami swoich cudów, gdy w tych szczytach górskich śnieżnych, do nieba się pnących, w grzmiących organach morskich fal, w mroku zielonym śpiewnych gajów i w promienistych błoniach, obaczysz i usłyszysz własnego serca tęsknoty, modlitwy, nadzieje i uciechy twoje, gdy spłyniesz rokoszą z tym cudownym bożym światem, i utoniesz w nim nieskończoną miłością, czyli wtedy, w tych chwilach rozsądkowanie nie powinno się ukorzyć i umilknąć przed tém wewnętrznem duszy nabożeństwem? Kto o wierze, o miłości rozsądkuje, nie ma ani wiary ani miłości, i sądzi o niej, jako bezoki o światłach, o wdzięku barw (\*).

(\*) Ta wrzekoma filozofia, która w zeszłym wieku tak zachwale rozpierała się po świecie, czémże ona wojowała, jaką bronią rzuciła się na wymordowanie tego wszystkiego, co człowiek jako wielkie, święte i wiekuiste piastował i tulił w sercu swojém? Tą taktyką a bronią było rozsądkowanie, dowcipem naostrzone! Całą mądrość téj filozofii negacyjnej, w jakakolwiek była przebrana formę, można sprowadzić do zarzutu jednego, który ona niby głównią rzuciła w duszę człowieka. Jest to ciągle przez nią czynione pytanie: „Jako wy, gdy wam chodzi o rzeczy powszednie, codzienne, o rzeczy marne i zmysłowe, wy nie wierzycie omackiem, ale chcecie dowodu naczynego, dotykającego, używacie ciągle rozsądku, a wy na oślepię wierzycie co wam uczucie wasze gada, co wam majaczy przez sen serce wasze o rzeczach nadziemskich, zaświatnych? Wy wierzycie wbrew rozsądkowi, mącąc z sobą rzeczy wręcz sobie przeciwne; i ucho wasze nie słyszy dyzharmonii własnych maniemań waszych!“ Wiesz co się wtedy stało? — serce uległo,

Nawróćmy atoli do Rzymu. Powiedzieliśmy, iż Rzymianie poniżyli bogów, czyniąc ich służalcami celów doczesnych, ziemskich, że przybierali tłumy obcych bóstw, że wycisnęli z bogów treść rozsądkową, a tak

bo nie było zdolne obronić się napaści téj nauki, walczącej rozsądkiem, umilkło w głuchocie, zrabowane z całej treści swojej. Uległo uczucie, bo serce umie tylko czuć, ale nie jest umiejętnością; bo umie tylko instynktem wróżyć, ale nie jest filozofią. Przyznasz, że na ową filozofią ujemną, negacyjną, skreconą, był tylko jeden sposób, jedna tylko broń — tę filozofią wrzekomą, złowrogą mogła tylko zwalczyć filozofia prawdziwa. Bo co nauka krzywa zepsuje, to jedynie przez samą umiejętność rzetelną sprostowane być może! Trzeba więc było wtedy filozofii, któraby była wykazała, że ów rozsądek gospodarski jedynie rozstrzygać może o rzeczach skończonych a nie zdolien wznieść się do wysokości nieskończonych prawd; że do tych wysokości podniebnych wcale innego rodzaju rozumowanie może sobie rościć prawo. Trzeba było naówczas filozofii rzetelnej, głębokiej, któraby była przyszła w pomoc onym wewnętrznym a cichym serca pocuciom, któraby była drogą ścisłą, umiejętną przypomniiała światu, że jedynie rzeczy ułamkowe, tuteczne, więc przypadkowe, mogące być lub nie być, lub mogące być inaczej, wymagają naocznych dowodów. Taka filozofia byłaby okazała, że te głosy wewnętrzne są mową prawd wiekuistych, koniecznych, i obejmą się bez onych dowodów; że one są prawdami, co władają wszechrzeczami od początku światów, że one są tchnieniem Bożem wiejącem i przez naturę bezduszną i po przez państwo duchów. Następnie umiejętność prawdziwa, okazawszy że te głosy prorocze serca są iście Bożem tchnieniem wiejącem po przez wszystkie jestestwa, byłaby orzekła, że ono jest wszech-przytomne, wszech-obecne, a ztąd wypłynąłby wniosek, że jak ten dech boży staje się ustawą dla martwego kamienia, że on to jedynie wedle pewnego prawa matematycznego spadać może, że jak ten dech Boży staje się prawem dla rośliny, że ona tak a nie inaczej rozwijać się winna, tak też równie te tchnienia Boże są i obecne i przytomne i



wypruli z nich serce, zostawując ich ciała, jako głuche łupiny i bezduszne lalki. Te tłumy bogów umarłych pomściły się swojej krzywdy, bo pomnażając coraz potężniej zastęp swój, dokonały zawrotnego zbałamucenia w duszy ludzkiej; wielość bezmierna rzymskich bogów, nie będąca kołem w sobie zamkniętem jak u Greków, ale mnożąca się bez końca, wylęła z siebie zobojętanie dla wszystkich bogów.

Niewiara mroźna padła dzumą na ducha. Zdawało się, że te bogi bezduszne zstępowały w ciemnościach nocnych z podnożów swoich, i jakby upiory wyssały śpiącym zwyciężcom świata krew serdeczną i mściwie wydławiły z nich nawzajem treść żywotną. Te bogi z kolei uczyniwszy teraz z Rzymian ezeze mary rzuciły ich na pastwę przesytu, zwątpienia, rozpaczy i samobójstwa. I zważ, jak Rzymianie nauczyli się wyjmować treść z bogów, tak że treść, fantazją zrodzona, umarła bez ciała będąc, a to ciało stało się zwłokami trupiami; tak później rzymskie państwo, będące wcieleniem wszystkich uczuć, całej duszy rzymskiego ludu, będące arcydziełem i formą wszelkiej

żywe w sercu człowieka, i w tém sercu o sobie znać dają owém proroczém przecuciem, i kołącą i wróżą. Te głosy, wróżące o najwyższej prawdzie, póty są ciemne, póki umiejętność prawdziwa, odgarnąwszy od nich chętki osobiste, chwilowe, doczesne, nie ujmie w głębiach naszych tych niebiańskich wróżbitów i nie wysnuje z nich umiejętnego wątku i nie zestroi tych różnic i sprzeczności, którym poradzić nie zdołał rozsądek. Właśnie jednak wtedy, gdy owa wrzekoma filozofia negacyjna, rozsądkowa i drwiąca, wjadała się rakiem w duszę ludzi, nie było filozofii, coby obroniła wewnętrzną skarbnicę duchowej od napaści. Serce więc, zwątpiwszy o sobie, umierało na cześć i rozpacz sceptyczną.

treści duchowej jego, stało się mimo wielkości swojej także marą głuchą i upiorem bez serca; bo lud ten później sam wycofał z tego państwa, z tej światowładnej Romy duszę swoją, swoją treść; treść nie miała już formy odpowiedniej dla siebie. To państwo, co dawniej było tą formą, stało się bezduszną łupiną, postacią bez serca i krwi, zatem runęło w końcu, przywalając rozsypiskiem swoim późne pokolenia dawnych budowników swoich.

Pobobno cała nasza powyższa rozprawa zdoła już wystarczyć, by okazać czém w istocie jest fantazyja Rzymian; dość nawet wiedzieć jako się oni obeszlą z bogami swojemi, aby osądzić ich usposobienie artystyczne. Mniemam atoli, że nie zawadzi, gdy choć przelotnie rzucimy jeszcze okiem na niektóre szczegóły ich życia i sztuki, bo nam to wyjaśni do ostatka wszystko com powiedział dotychczas o właściwej im fantazyi.

Chciéj tylko, proszę, mieć w pamięci wypadki główne całego mojego wywodu; one będą kluczem do zrozumienia dobitnego przykładów i pojawiaów, które ci jeszcze choć ułomkowo przywiodę. Miéj tedy przed oczyma naprzód ową wszystko chłonącą ideę Rzymian o potędze i wielkości ich państwa; dalej ich rozum prozaiczny, praktyczny, szukający w każdej rzeczy użytku; pamiętaj, że utylitarność była ich godłem. Następnie, pamiętaj że dążność do symbolizowania i allegoryi oznacza brak ścisłego zestrojenia formy i treści, co właśnie jest warunkiem żywotnym wszelkiej piękności. Nakoniec, chciéj baczyć, że z owego braku wypłynęło późniejsze wycofanie się treści duchowej

człowieka z zewnętrznej rzeczywistości, a mianowicie ze samej Romy będącej arcydziełem tego ludu.

Fantazya ta lekka i swobodna, „ta kapryśna a przecież tak wdzięczna córka Olimpu“ (Göthe), zrodzona w nadświatnej krainie poezyi, stała się tutaj wyrobnicą najemną owej idei Rzymu; ona, jako niepraktyczna, nie zdołała pomódz do ujarznienia świata, więc jej nakazano złościć i stroić rydwan tryumfujących zwycięzców; ona poniżona by floresem zdobyła i ubierała w hafty świecisty płaszcz rzymskiej sławy. Fantazya staje się tutaj przepychem bez miary, rośnie w hardą dumę i pańskość; jest zwiastuną głoszącą po wszystkie ziemie potęgę Romy, by świat znał olbrzymią wielmożność jej majestatu.

Z tego już zrozumiesz, iż po nad wszystkie inne sztuki Rzymianie ukochali architekturę, boć ona więcej, niż którakolwiek inna sztuka piękna, zdołała unaoźnić moc gigantyczną panów świata i uwidomić ją w przestrzeni, materialnie; bogactwo i bajeczna zamożność Rzymu mogły być tu mierzone na sążnie i wazone na masy piętrzących się marmurów. Tutaj poniatyczna uroczystość uderza przychodnie ludy ogromem zuchwałej wielkości swojej. Ztąd ta „grandezza“ harda architektury, służąc do uwidomienia potęgi, była właśnie dla tego jakby czemś utylitarném.

Hellada ograniczała się szczupłością wymiarów swojego budowania, bo jej chodziło o ducha a nie o materją. Rzym kocha bezmierność; on co mieczem powalił świat, on rozkazuje ciężkiej, nieużytej materji; a materja się korzy i słucha swojego pana — pana, którego zawiął tehem wielkości Wschód azyatycki.

Nadto, co, jak wiiesz, wielce odpowiadało duchowi

Rzymu, architektura jest nadewszystko sztuką symboliczną; wzniosłość i wspaniałość, światowładztwo butne, nie wyrażały się też postacią ludzką jak w rzeźbie, ale ruchem linii w przestrzeni, co choć nieme, równie tak butne i wzniosłe, tak głośne i grzmiące. Nakoniec zważ, że budowanie najczęściej łączy się jeszcze z użytecznością we właściwym znaczeniu, bo z jakimś celem praktycznym, co właśnie poszło Rzymowi w smak. Widzisz tedy, że on miał czego kochać architekturę, więc ją też z taką miłością pielęgnował.

Stań przed jaką staro-rzymską ścianą — co to za wykonanie! co to robotnicy! Tutaj to znać ludzi systematycznych, porządných, pilnych, co nie pracują byle zbyć. Łuk do połowy zgruchotany; druga połowa, niby ramię, sięga w błękity powietrzny; puściła się na niem roślinność bujna, cisną się drzewa, zioła, kwiaty w napowietrzne ogrody; na tém ramieniu budowanem odpoczywają wędrowne obłoki, o niego biją wichry, burze i słoty od tysięcy lat, a ramię kamiennego olbrzyma sterczy i grozi jak przed tysiącem lat. Ba! aby tak budować trzeba było właśnie Rzymian, więc ładu, a ducha prządka, więc wytrwałości, więc dzielnego rzemieślnika, praktycznego rozumu, obchodzącego się bez fantazyi.

Fantazyja! uczucie piękności! Uważ — Greków cisnęło i parło uczucie potężne do dzieł sztuki, a co robiło, co wrzało im w sercu, to ulatywało pieśnią, drgało życiem niebiańskim w marmurowym posągu, lub zdumiewało ludzi cudem budowanego przybytku. U nich duch panem — a duch, syn nadświatnej krainy, wznosił się nad przepychy ziemskie, nad bogactwa materji; on nie potrzebuje olbrzymich obszarów w prze-

strzeni, bo jego celem jest piękność, a piękność jest duszą Hellady. W Rzymie zaś chodziło tylko o Rzym i potęgę jego. Tutaj, im budowanie ogromniejsze i zuchwalsze, im głębsze wyczerpuje skarbee, im rzęsi-  
szym znojem robotników skąpane, tém piękniejsze; bo tém potężniej roznosi sławę światogłośnej i ludobój-  
czej Romy. Ona przystraja się w łupy świątnic Azyi, Egiptu, Grecyi, rabuje rzeźbione ich odrzwia, bramy, progi bronzowe, wyważa kolumny cudne i kosztowne; piłą odcina od murów malowane na nich arcydzieła. Tysiącami posągów obciąża okręty, a z tym zaboręm wraca do domu, i, zadowolniona z siebie, ubiera niemi świątnice schlebając swoim bogom, lub zdobi widowiska, Termy (łaźnie), mizdrząc się do pospółstwa, drugiego swojego boga, co głodny i z nudów ziewający, więc straszny, gdy krzyczy: *chleba i igrzysk!* Zład jeden z konsularnych hardych korzy się, a potrzebując łaski tego ludu, buduje teatr na ośmdziesiąt tysięcy widza; jedno piętro jego odziewa marmurem, drugie szklaną mozaiką, trzecie pokrywa złotem, i trefi w 360 kolumn cudownych a w 3,000 spiżowych posągów, a kędy jeszcze miejsce próżne rozściela wschodnie kobierce lub rozstawia obrazy ukradzione Helladzie. Drugi chwycił się oryginalniejszej myśli: stawia dwa teatry, wprawdzie drewniane, ale posłuchaj — teatry półkuliste, odwrócone od siebie; przeto na obu jednocześnie odegrywano sztuki sceniczne, nawzajem sobie nieprzeszkadzając. Gdy się zaś dramata skończyły, teatry oba dziwnym przyrządem mechanicznym zaczynają się poruszać, wraz z widzami, nawracają się na czopach ku sobie, już się złożyły w jeden amfiteatr, w jedną arenę, kędy już gotowe gladyatory do wza-

jemnych mordów na wielką pociechę, a huczny oklask rozszalałej zgrai. A Termy? — to łazienki publiczne „gratysowe“, dziś ich gruzy rozkładają się jakby niastem; w jednej z nich liczą trzy tysiące izb na łazienki — tu na rozkazy kąpiele, to zimne, to letnie, to gorące; w tych termach są jeszcze teatra lądowe i wodne, galerye obrazów, biblioteki, amfiteatra, widwiska różnego rodzaju, wszędzie ściany wyłaczane, wszędzie posadzka z mozaiki. Wszak dziś jeszcze puszczać się po tych zwaliskach w kroku potrącając o sztukę barwną mozaiki, o przepych zgruchotanych kapitelów, wyrabianych misternie gźémsów: wszak pod tym gruzem odgrzebano Herkulesa i Wola Farnezyjskiego, Laokoona i wiele tych dziwów piękności, nad które świat nie zna cudowniejszych arcydzieł mistrzów starych.

Daremnie podobno powiedziałbym ci o innych a niezliczonych robotach rzymskiej architektury, wzdętych przepychem i ogromem bez miary. Któż nie wie, jaki szal parł i prywatnych, gdy ich opadła żądza przesadzania się we wspaniałości swoich siedzib wiejskich, jako to oni równali góry, wybierali doliny, zamieniali morze na ląd, a ląd na morza, by dogodzić kapryśnej ochocie; jak stwarzali pełne wspaniałości pałace dla każdej pory roku, dla każdej zachcianki, i t. d. Ten zbytek, walczący o prym z marnotrawstwem Wschodu, zawiązał się jeszcze za czasów Republiki a wzmacnia się i potęguje w cesarskich stóleciach. Patrz — sam ten Hadryan, co stawia wszystkim bogom świątynie, a w żadnego nie wierzy, co unosi się nad pięknością idealną, niebiańską sztuki greckiej a rozpasany na chuc zwierzęcą, co lubi filozofią a wierzy w gusła i

czary; on jest pełen tkliwych sentymentów a podejrzliwy i okrutny; on twardy i zahartowany, a zarazem nurzy się w morzu miękkich pieśczętliwych roskoszy; on lekarzem i muzykiem, poetą i matematykiem, gramatykiem i astrologiem; on umie na pamięć książki przeczytane, on nawet zna na pamięć imiona wszystkich żołnierzy swój armii; ten Hadryan jednym razem zerwał się i rusza, aby piechotą, z gołą głową zwiedzić cały ówczesny świat rzymski, i rusza pieszo i z gołą głową przez lat wiele i zwiedził państwo swoje od końca do końca. A gdy wrócił do Rzymu, nuż własnoręcznie rysować plany, nuż w Tiburze, co dziś zowią Tivoli, budować sobie cały świat w miniaturze: i buduje świątnice i lycea, termy i teatra, akademie, prytańskie i amfiteatra, pałace i galerye; a buduje z grecka i z egipska, po syryjsku i po persku, i mieści obok siebie bogów z różnych krańców świata, i stworzył sobie i piekła i pola elizejskie i Tartarus i Lete i Styx i już nie wiedzieć co; a gdy tego wszystkiego dokonał, pojechał do Bajów i tam, tęsknąc do Tiburu, umiera. \*) Dziś dzień cały chodzisz i jeździsz po tej willi jego; wśród bujnej, pełnej natury, wśród zuchwałej, a przecież wdzięcznej roślinności stoją gruzy, zalegając ogromną przestrzeń zamętym labiryntem; i zamętem także skreca się myśl i ani się pochwycić, ani upamiętać możesz w tym świecie wielkości dawniej.

I zaiste, te budowania rzymskie z taką potęgą gwałtowną uderzają wyobraźnią, jakby wielkie dra-

(\*) Mniej więcej w ten sposób jeden z badaczy dziejów skreślił ten charakter tak dziwaczny a tak znakomity cesarza Hadryana.

mata, które niekiedy odegrywa natura w obec ulękniętej duszy człowieka. Gdy patrzysz bowiem na te dzieła, przenika cię uczucie, jakbyś widział burzę, co łomotem pędząc przez kraje, gruchoce puszcze odwieczne i pomiata mieszkaniem ludzi; zdaje się, że słyszysz grzmiące wichry i gromy piorunne, że patrzysz na rozjątrzone morza i buntowne fale jego, na powodzi, na pożar, na Alp szczyty; ztąd mimowolnie korzysz się tym budowaniem, tym prorokom zapadłych stuleciów i powtarzasz mimowolnie: „co to za wielki naród! co za przeszłość olbrzymia!“

Zważ atoli — sztuka jest wolną córą ludzkiego ducha; ona niczyją sługą, niczym środkiem; ona, użyta za środek, spacza się i skręca. Tak się stało w Rzymie — architektura, skazana na służebnicę hardości i dumie, nie zniosła upokorzenia i ukarała budowniczków, wykrzywając w ich rękach czyste formy piękności. Dziś patrzymy się na te zwaliska rzymskie, jako na grobowce wielko-ludów historii; przecież, gdy je bliżej zbadasz, obaczysz, że tym robotnikom hardym brakło estetycznego sumienia, że poniewierali sztuką i prawami jej tak jako poniewierali światem. Wśród przepychu, ogromu wspaniałego, wśród kosztowności materiału dźwięczą dyzharmonią architektoniczne błędy. (\*)

(\*) Nie będę cię nużył głębszą krytyką występków poświadczonych w Rzymie przeciw Estetyce, u mianowicie przeciw prawom kompozycji (List XII.); dotknę się jedynie kilku wyrazistych przykładów, pochodzących ze źle zrozumianej żądzy przepychu.

Przysionek grecki o kolumnach, tak szlachetny i wzniosły, i w oczach Rzymian uchodził za arcydzieło architektury, i słusznie; ale zważ, co się dzieje. Mniejsza o to, że porządki greckie zdają



Rozumie się, że dwory wiejskie, świątnice, fora, pałace, ogrody, wymagały zaludnienia posągami. Zaradzono też tój potrzebie, posyłając do Grecyi i jej osad okręta, które wracały tonąc pod brzemieniem

się im być zbyt skromne, że budownicy rzymscy łączą głowicę stojącą Koryntu z ogromem ślimacznie kapitelów jońskich i tworzą kapitel rzymski tak hardy i bogaty — o to mniejsza; zważ atoli, że same wymiary kolumn greckiego portyku nie wystarczają ich żądzy ostentacyi i okazałości pańskiej; ztąd Rzymianie wnoszą kolumny kolosalne, olbrzymie. Rzecz jasna, iż w stosunku wzmagającej się wysokości i grubości tych słupów trzeba było powiększyć i przestrzeń między temi kolumnami i oddalenie ich od ściany. Lecz to było rzeczą niepodobną, bo brusy i tramy (belki) marmurowe mające u góry łączyć kolumny między sobą i ze ścianą, z natury rzeczy nie mogły mieć wystarczającego ogromu. Kolumny tedy te olbrzymie umieszczano zbyt blisko siebie. Tak tedy zrodziła się ciasnota a duszność przysionku. Pomyśl następnie, że obok tych gigantycznych a jedno-piętrowych przysionków, budynek sam ma wiele pięter, jako np. w teatrach lub amfiteatrach. Każde z tych pięter oznaczone jest na zewnątrz rzędem kolumn, choćby udanych, dekoracyjnych. Więc te kolumny są znów drobnostkowe i małe w porównaniu do onych olbrzymich kolumn przysionku i wszystkich jego ogromnych rozmiarów. A tak zgwałcona była harmonia całego budynku.

Baczmy następnie, że do architektury rzymskiej przybył nowy pierwiastek, który stanowi ważną niezmiernie epokę w budowaniu; jest to sztuka stawiania sklepień. Tę sztukę wzięli wprawdzie Rzymianie od starych Etrusków, ale ją rozwinięli potężnie i wspaniale; bo też to była forma piękności tak dziwnie przystająca do ducha rzymskiego! Jak bowiem on rozpina nad światem potęgę swoją, tak sklepienie rozpina się nad budowaniem ogarniając sobą olbrzymie przestworza jego. Sklepienie jest tedy pierwiastkiem żywotnym rzymskiego budownictwa. Sklepieniem tedy głównie odróżnia się architektura rzymska od greckiej, która tylko zna stropy brusowane,

dziel arcymistrzów. Już to stary konsul Mummius umiał rabować na stopę wielką i systematyczną, choć, jak się okazuje, nie był osobliwym znawcą. On zdobywa Korynt. Wszedłszy do miasta, jako człowiek

zatem płaskie. Ztąd też budynki greckie tak są pełne prostoty, a tém samém wielce do siebie podobne, gdy przeciwnie rzymskie tak są różne i tak bogate w różnaitość. Lecz tutaj właśnie znajdujemy łęgowisko nowego błędu w architekturze rzymskiej; wszak ten dwojaki rodzaj pokrywania, bo płaski (poziomy), więc tramowany, a zaokrąglony czyli sklepiony, są wręcz od siebie różne. Rzymianie atoli, nie mając głębszego uczucia piękności, mieszają dziwnym zamętem oba te rodzaje, kładąc je też obok siebie. Z czego znów wynikło, że często bardzo ich kolumny nie wcale nie dźwigają i są czezą paradą nieusprawiedliwioną przez potrzebę.

Ten brak taktu estetycznego przywiódł ich równie do tego, iż używali wysokich kolumn za podnoża posągów, co jest błędem; bo kolumna jest wprawdzie jakby całością, ale przecież gdy jest przeznaczona na podporę budynku, przeto znowu nie jest do tego stopnia całością, by mogła stać osobno i odrębnie. Kolumna np. Trajana w Rzymie jest wprawdzie wielce okazała; ona harda i pełna majestatu spojiera na mrowiska ludzkie, krzątające się u jój stóp; szczegóły jój są prześliczne i szlachetne, ale całość jest grzechem przeciw ściśłej piękności, a zwłaszcza gdy około kolumny obwinięta jest w śrubę wstęga płaskorzeźb wyobrażających świetne sprawy cesarza; linie przeto téj wstęgi nie zgadzają się z linią pionową samej kolumny, a tak rodzą dźwięk fałszywy w całym dziele. Gdy atoli i całą Europę na początku naszego stolecia zawiął powiew z Rzymu więc też i suknie damskie i hafty i krzesła i świeczniki i herbacznice, imbryki i t. d., po wszystkich państwach zarywały na wzór kolumn Cezarów staréj Romy; i tu wstęga, i tu rzeźby, których oczyma gołemi nie dojrzysz. Dla tego wolę gładką kolumnę Zygmunta w Warszawie — ona mniej okazała, lecz też ma mniej „pretensyi“.

lubiący porządek, rozkazuje odstawić na bezpieczne miejsca, co kosztowniejsze, potem puszcza żołnierstwo na rabunek, rzeź — Korynt w płomieniach! Czego kilko-dniowym pożarem nie zniweczył Mummius, każe gruchotać taranami; poczem sprzedaje niewiasty i dzieci w niewolę i puszcza na licytacyą obrazy i posągi. Wysłannik króla Attalusa za jakiś cudny obraz ofiaruje (na nasze pieniądze licząc) 10,000 dukatów. Konsul Mummius co tchu każe zatrzymać ten obraz, bo jest przekonany że niepodobna, aby małowidło samo miało mieć taką wartość, że tedy zapewne do

Następnie — Grecy byli ludem-artystą, czuli tedy, że dzieło budowane, jak każde inne dzieło sztuki, powinno być wyrazem jednój panującej w niem idei; dla tego też, mimo różnicę świątnic greckich, tak łatwo zdefiniować czém być powinna prawidłowa świątynia helleńska. Wystarczy powiedzieć, że ona jest prostokątem, którego szerokość jest prawie połową jego długości, a przytém wkoło obwiedzionym kolumnadą. W Rzymie nie ma téj idei panującej, dla czego też trudniej o definicyą ich świątnic.

Nakoniec zważ, że w Grecyi wszystkie członki architektoniczne w budynku, nawet najmniejsze części w kolumnie mają swój powód w technice; każdy z tych szczegółów może być usprawiedliwiony potrzebą, i toć jest właśnie chwałą geniuszu artystycznego Hellenów, że u nich to, co jest ozdobą i przystrojem architektury, jest zarazem wynikiem z przyczyny technicznej i nawzajem. Inaczej u Rzymian. Oni zapomnieli pierwotnego znaczenia szczegółów architektonicznych, uważają je za przystrój, więc nadużywają ich, nadając im kształty przepyszne, bogate, ale nieodpowiednie ich przeznaczeniu. Co więcej, oni mieszczą kolumny tam, gdzie ich niepotrzeba, i dla tych kolumn wymyślają ciężary, gźemsy, bramy i t. d., które są li dekoracyjne, a nie są bynajmniej wpływem z samej istoty rzeczy.

obrazu jakieś czarodziejskie moce są przywiązane. Wnet też spostrzeża, że jacyś żołnierze jego niezgrabnie i gburowato zabierają się do przenoszenia posągów, więc też krzyknął — „Ostróżnie tam z tém! bo jak który co złamie, to każę mu nowe zrobić!“

Takie to zrazu były dzieje arcydzieł greckich w rękach rzymskich. Jednak znowu nie sądzmy, jakoby każdy z wodzów rzymskich, zwłaszcza z późniejszych, był Mummiusowi podobny. Niema wątpliwości żadnej, że i Rzymianie wyższego ukształcenia doznawali rozkoszy nieskończonej w podziwianiu dzieł artystycznych; a wysypując skarby za nie, zaiste nie zawsze uważali posągi jedynie za sprzęty kosztowne, dogadzające częściej próżności. I pod ich nawet własną opieką aż do czasów Trajana sztuka rozwijała się w całej pełnej piękności. Uważ też, że na palcach dziś zliczyć można rzeźby w Rzymie, o których jaką taką mamy pewność, że sięgają czasów kwitnącej Grecyi, i że stamtąd przywiezione były. Te dzieła z małym wyjątkiem przypadły w wywrotnych burzach historii. Te cuda rzeźbione przeto, które spotykamy po muzeach rzymskich, neapolitańskich, florenckich i po innych galeryach europejskich, po większej części wykonywane były za czasów Rzymian i z ich polecenia. Rzeźby przywiezione z Grecyi, choć niezliczone, nie wystarczyły potrzebie; wreszcie i dla bóstw właściwie rzymskich trzeba było właściwych form a mianowicie allegorycznych. Pamiętaj atoli także, iż w tym całym spisie mistrzów pracujących dla Rzymu ani jednego nie ma znakomitszego artysty pochodzenia rzymskiego! Najczęściej są to Grecy, którzy pracują około sztuki.

Wpatrując się w te postaci rzeźbione, które po świecie starożytnym na nas spadły, wyraźnie znać w nich, jakby dwie cechy różne: jedne są idealnej nadziemskiej piękności, dokonane stylem iście greckim, inne zaś mają na sobie piętno smaku Rzymian. Z tych ostatnich przeciera żywa rzeczywistość, występująca z całą, silną, zdrową prawdą; tu znać, że artyście chodziło o uchwycenie głębokie indywidualności oblicza i całego piętna żyjącego wzoru, który miał przed sobą; a przecież mimo tej prawdy a ciepłej rzeczywistości, mimo tej fantazyi rzymskiej, trzymającej się ziemi, te prace tchną szlachetnością a zacną dumą, i są dalekie od gminnego, grubego pojmowania rzeczy, jak tego dowodzą nie tylko popiersia i postaci znakomitych mężów i cesarzów, ale nawet i osób prywatnych. W muzeum kapitolinśkiem niezmiernie też zajmującym jest ów zbiór ludzi bez głośnej sławy, niby galerya „obscurorum virorum“, co przeżyli to życie swoje w zaciszu domowem, nie wysuwając się na widownią historii; na tych twarzach kamiennych nie ma wielkich światonośnych myśli, ale za to ta proza powszednia, te kłopoty, biedki, radości, ohotki codziennego życia, zostawiły wyraziste ślady swoje. Patrząc na te oblicza, czujemy żeśmy między równymi sobie, między swoimi. Znać, że te głowy są podobne do żywych swoich wzorów. Bo Rzymianin utylitarny uważał, że jeżeli popiersie ma być wizerunkiem, niechajże będzie podobnem a nie idealnem, bo inaczéj szkoda pieniędzy. Ta wierność i prawda jest pod pewnym względem dla nas nieoszacowana; możemy się spoufalić z tymi poczciwcami, co żyli tutaj prawie przed dwoma tysiącami lat. Plinius, istny Rzymianin, sam wyraźnie

powiada, iż sztuka rzeźbiarska właśnie tylko na to wynaleziona, aby oblicze umarłych w najwierniejszym naśladowaniu dostało się następcom (!). Ale ta chęć do wiernych wizerunków stała się upadkiem smaku, bo się wyrodziła w przesadę, która doszła do tego, że np, włosy wyrabiano w najdrobniejszych szczegółach, bo nawet świdrem je dziergano. W muzeach spotykamy marmurowe damy z rodzin cesarskich z fryzurami podobnemi do peruk dawnych markizek francuzkich; co więcej, z niektórych tych popiersi zdjąć można tę fryzurę kamienną; znać, że ją odmieniano, gdy zaszła nowa moda.

Za przykład stylu rzymskiego smaku, trzymającego się prozy życia, przywodzę ci jeszcze grupę z galeryi neapolitańskiej. Dwóch setnych drabów stańło przy kotle. Jeden z nich podmucha ogień, trzymając się ręką za kociel, drugi sprawia nierogaciznę. Oba te hultaje żywcem z rzeczywistości wzięte; mianowicie jeden z nich, — rzekłbyś, żeś go gdzieś spotykał na ulicach. Bądź pewien, że ta grupa zrodziła się w fantazyi jakiegoś rzymskiego Teniersa. Ba, w ogólności mówiąc, śmiałym twierdzić, że smak rzymskiej rzeźby najczęściej tak się ma do nadziemskich ideałów greckich, jak one malowania niderlandzkie do Rafaelowych anielskich widziadeł. Krom tej cechy w stylu rzymskich rzeźb, wpływającej z ich praktyczności, są jeszcze inne. Wspomnę tylko o jednej z nich, będącej prostym skutkiem chęci okazałości, — jest to upodobanie w ogromnych wymiarach posągów. Jak wszędzie tak i tutaj Rzymianie wielkość mierzą łokciem. Tak np. cesarz August polecił ulanie posągu Jowisza Kapitońskiego, który był tak gygantyczny, że go było

widzieć od spadów wód tyburskich aż do albańskich pagórów; a Nero nakazał wykonać własny posąg swój ze spiżu 110 stóp wysokości.

Te budowania Rzymian, majestatu pełne, te uroczyste kamienne postaci, rozplynęły w muzyce ich poezyi; bo, co milejącem prorocstwem zapowiadają marmury, co w barwie malowanych obrazów patrzy na nas niemém ducha spojrzaniem — to staje się istnym żywotem w ustach wieszczów natchnionych. Wszak poezya, owa najukochańsza fantazyi córka, jest wieną duszy narodów malowniczą, jest spotęgowanem biciem serca ludów i jasnym komentarzem zagadek wypisanych w tajnym ich wnętrzu. Ta treść bezdenne, te pączki światów, co ciśnione doczesności mrozem zimuja w piersiach naszych, one wszystkie się budzą życiem pełnem, gorącym, nieśmiertelnem, gdy po nich zawieje wiosenne poezyi tchnienie. Narod każdy samego siebie widzi w pieśni swojej, ale już się widzi w ulotnionej postaci, swobodą nadziemską uskrzydłonej, tak jak się widzi kochanek w miłości swojej. Ta poezya jego jest jego duszą bezśmiertną, wzniesioną nad doczesne doliny, nad niziny tuteczne; ona okiem archaniola ogarnia lat tysiące co dawno pomarły, ona widzi lat tysiące co dopiero mają być poczęte w wiekuistości łonie; dla niej wszystko jest obecnością żywą jest mapą Bożą, w której czas się zatrzymał, stając się widzialną przestrzenią. Poezya wielkie czyny przeszłości i przyszlých czasów wróżby promienne, i wesela i smętki obecne splata w jeden harmonii wieniec, jakby dla swojego ludu koronę. Ta poezya zbiera kwiaty z grobów i z ementarzów pokoleń dawno pogrzebionych, i

technie duchem na te kwiaty grobowe zmarłe, a kwiaty ożyją, zapłoną światłem, jako te gwiazdy co, bożą miłością uskrzydłone, rozpromieniły przestrzeń nieskończoną, niemą, głuchą przepaścistą. Poezya ma serce wielkie jak wieczność; ona rozumie i drganie duszy nieświadomej uczuć swoich dziewczyny, i błyskawiczne myśli wielkich ludzi w historii przeistaczające świat — ona sercem rozumie i westchnienia mogił ciche. Ta poezya sprawia cuda, a jej mocą cenna jest miłość nieskończona; ona świat cały pomieści w sercu swoim, ona kochaniem oddechów mrozem tutecznym zziębione, co zapoznane od ludzi, odzieje jasności aureolą; ona stwarza czarodziejskie pałace, które przecież są prawdy najwyższej przybytkiem; ona stwarza jakby bajeczki dla małych pacholąt, ale te bajki jej są tak ciężkiej wagi jak mądrości najgłębszej wyroki.

Poezya — to wróżka nadniebna, zesłana aby ukoić cierpienia, by ochłodzić twarde ziemski trud, — krocząc przez ludy i wieki stanęła wśród synów nieubłaganiej Romy. Bo i Rzymianie przecież dzielne pracownicy na tej ciężkiej roli ludzkich dziejów. Lubo prawiła, że wszystkie ich łamanie się i silenia nie mają człowieka i uzacnienia jego na celu, ale jedynie ku temu zmierzają, aby dzwignąć ukochany Rzym swoją lubo prawda, że ten Rzym jako dzieło doczesne doczesnej idei runął, toć przecież i to pracowanie się ludu tego nie było stracone i poszło na zdrowie światu i cywilizacyi człowieka. Te robotniki znojem swojego trudu i krwią ciepłą serdeczną torowały ścieżkę aniołowi, co miał przejść światem — światu na zbawienie. Tak przeto, choć ta poezya rzymska nie



może sprostać greckiej, jednakże i ona zasługuje bym jej poświęcił list osobny. Jak bowiem jest widokiem wielce zajmującym i nielada, gdy obaczymy jak to poezya, z wyższych światów gość, przytula i swoi do siebie onych hardych synów cudowładnej Romy, tak też sprawą jest nie małej wagi poznanie choć pobieżne tej literatury, co wiąże świat staroczesny z nowożytnym; a nie jest to pewnie rzecz marna przypatrzenie się tej poezyi, co przemawiała językiem, który ogarnął wszystkie ludy oświecone i po dziśdzień żyje wśród nas żyjącą puścizną.

---

# LIST XXIV.

R z y m.

(*Dalszy ciąg.*)

Poezya i język rzymski. — Wiek Augusta. — Piętno téj poezyi, odpowiednie usposobieniu tego ludu. — Allegoryczność. — Horatius i Wirgilius. — Przewaga poezyi dydaktycznej. — Owidius. — Tybullus. — Dramaturgia. — Satyra, właściwa poezya rzymska. — Skon Rzymu.

**I**dealy nadświatne piękności nieskalanéj — a logika nieubłagana powszedniej życia prozy! — Poezya i Rzym! To są sprzeczności jakby dwóch wbrew odwrótnych światów! a jednak te przeciwieństwa zaślubiły się z sobą w Rzymie. Bo piękność, również jak prawda, jak cnota, od wiekuistości ród swój wiecie, więc w samém wnętrzu człowieka ma swojego sprzymierzeńca pełnego potęgi. A łatwiej zagasnąć gwiazdom na niebie i olsnąć słońcom, niż zaginać téj wiekuistości w człowieku; żyć ona będzie w nim choćby w letargu, choćby żywcem pogrzebiona, i odżyje bylebyś znał słowo co ją zbudzi z martwych. Poezya ufała téj wielkiej prawdzie, więc stanęła wśród Rzymu, a rozebrana nie-

skonńczoną miłością zapragnęła umaić tym robotnikom czystém duszy weselem krwawe prace i brzemie ekliwego żywota. Litując się chwały Rzymskiej tak wielkiej, tak bogatej w ofiary bezmierne i w cierpienia bezmierne, zrzekła się postaci niebiańskiej, przybrała na się doczesne formy, a tak stała się widzialną oczom rzymskim i przemówiła do twardych wojowników zrozumiałą im mową. Poezya w Rzymie wzięła na się rzymskie formy, śpiewa wojownikom to piosenki wojenne, to starodawną ojców ich chwałę, to wtóruje ich hasom i weselom, to ich bawi komiką figlarną, to uzaenia serca odą wzniosłą, to uczy, lub znowu przytula piosenką miłosną. Ta niebianka długo została na ziemi, wśród Rzymian; ona dotrzymała im dłużej wiary niż sława wojenna i wtedy dopiero ustąpiła z ziemi, gdy Rzym sam zapomniał siebie, gdy go za żywota toczył już pośmiertny robak zepsucia; wtedy poezya rzymska ze łzą w oku, z raną bolesną w sercu wróciła do niebiańskiej ojczyzny swojej.

Ta poezya rzymska miała też za szatę swoją mowę pełną uroczystego majestatu. Ten język rzymski jest to muzyka poważna, pełna szlachetnej dumy i uczucia własnej godności i potęgi.

Słyszając ten dźwięk i te fale tej mowy rytmu, rozumiałbyś, że to jakieś pochody uroczyste muzyki Bethowenowej, że to oratorya unoszące się na grzmiących skrzydłach organów kościelnych. Dziwisz się np. okazałości w mowach sejmowych Skargi, a majestatowi miary i brzmieniu jego peryodów? On podsłuchał pulsów łaciny, zastosował je do mowy polskiej; — w tém tajemnica tej wspaniałości poważnej, a tych dźwięcznych akordów jego języka. Ztąd też mowa Skargi

podobna do rzymskiej mowy; ztąd ona kroczy, to jakby uroczystym pochodem areykapłana w święto Boże, to jakby tryumfem bohatera uwieńczonego wawrzynem zwyciężkim. A cóż dopiero ta rozumna a logiczna budowa mowy rzymskiej, która tamuje swawolę, nie broniąc swobodnych ruchów myśli, która żąda dobitności i siły, ścisłego rysunku wyobrażeń i dokładności najwyższej w znaczeniu słów. Gramatyka łacińska — toć najzwyklejsze wyćwiczenie dla rozumu, ona nadaje myśli logikę, wagę i podwalinę, na której stanąć może, jako na ciosowém podnożu. Ztąd też aż do końca żywota poznać zdołasz w iście naukowych ludziach piętno, które im nadała nauka łaciny, odróżniające ich od wychowania pochwyconego na dorywku, na żarty, anatorstwa.

Słowem, język łaciński jest tak dzielny a mianowicie tak rozumowym i praktycznym, jak sami Rzymianie. Ztąd widać, iż mniej nadaje się dla fantazyi, że jest mniej językiem poezyjnym, lecz za to stał się językiem wszechświata. Nie przeczę bynajmniej trafności zdań przywodzących fakta historyczne, dla których ten język rozlał się na wszystkie ludy cywilizowane i dochował się w całej pełni do naszych czasów; nie zaprzeczam tych powodów, ale one są tylko przyczyną zewnętrzną, która nie byłaby wystarczyla do wyjaśnienia tak osobliwego i jedyne go w historii pojawu, gdyby w samym języku tym, we wnętrzu jego, nie było powodu prawdziwszego, a tym jest właśnie języka tego abstrakcyjność, rozumowość, jego istota ogólna, naginająca się tak doskonale do wszelkiej treści rozumowej, przeto do każdej nauki i umiejętności, stosująca się i do ducha każdego ludu, i do tęt na każdego

wieku, do wszystkich epok cywilizacji(\*) Przyznasz mi, że te różne okresy któremi przechodził ten język, te nawet spaczenia się jego w średnich wiekach, dowodzą zasobów i sił żywotnych nieprzebranych jego istoty. A zawsze i wszędzie dochował swojej potęgi tak czerstwój i tak zdrowej. On równie dzielnie się toczy we wierszach Lukretiusa i w mowie Cycerona, jak w „Dies irae“ lub „Stabat mater“. I prawodawstwo i filozofia scholastyczna i pieśni kościelne przejęły ten język, czyli raczej były przyswojone przez niego. Zaiste Rzym umierając zapisał testamentem mowie swojej świat cały i wszystkie cywilizowane narody; on przekazał jej na dziedzictwo długie wieki i lat tysiące. Rzym umarł tylko cieleśnie, ale mowa jego, niby duch jego zwycięzki, przebywa między nami, jest w atmosferze naszego żywota, nim odrycha myśl nasza.

Powyżej roztoczyłem ci ducha ludu rzymskiego, teraz wpmniałem o języku jego; to już niechaj będzie dostatecznym, by zgadnąć jaka jest i poezya Rzymu. Nie pisząc bynajmniej historii literatury, wspomnę tylko o niektórych rzymskich śpiewakach z czasu najwyższego zakwitu poezyi, i tych nawet jedynie zwierze i przelotnie dotykając.

Tryumwiraty mordercze już umarły, krew proskrypcyi wsiąkła w ziemię, porosły ją zioła kwieciste; August cesarzem, cicho na świecie, jak po ogniu, po morach, — pokój głęboki otulił ludzki ród. Poczucia

(\*) Co do języka i literatury Rzymian obacz głównie dzieła pr. Bernhardy, Bähr, Herrmann, Krause: wielce godne polecenia; przypominam również tutaj powyżej przywiedzone dziełko Małeckiego, dalej Wirgiliusza wzorowie rozbiera Wagner a Tybulla Richter T. I. § 9.

przyszłości z lekka tylko zadrgały wróżbą w łonie dziejów; orły rzymskich legionów gdzieś przepadły na północy dalekiej w mrocznych kniejach dzicy germańskich, a na południu weszła na niebo ona gwiazda wschodu i zatrzymała się nad strzechą Betleemską. August płacze straty legionów, choć nie przeczuwa wróżby, co nań woła z południa; a wieść o gwiazdziejonej nie doszła uszu jego. Na świecie cicho, spokój, nie, teraz czas się bawić i brząkać na lutni i śpiewać i pieścić się i miłostkować! A August zachęca do lutni, do piosnek jako do cacka, i pielęgnuje sztuki, i buduje marmurowe miasto na miejsce starych świątlnych i domów ceglanych, poszarzanych czasem i poplamionych ludzką posoką. August niekiedy sam robi wiersze, a za przykładem z góry i cały Rzym wykształcony wierszami się pieści. Bo w stolicy świata, co morzem namiętności, szaleństw, kaprysów, dziwactw, przepychu i ogłady, krystalizuje się teraz towarzystwo wytworne, wykształcone, wybrane, bawiące się w poezję i literaturę. Lecz nad tych elegantów, świecistych i strojnych dowcipem i smakiem, wznoszą się o głowę od nich wyżej poeci, co na prawdę wieszczą o talencie potężnym, o zacnym sercu i uczuciu czystym.

Z całego grona tych poetów wybiorę ci na pokaz trzech tylko, którzy wedle mojego zdania najtrafniej wyobrażają całą poezję rzymską. Wyznaję znów atoli chętnie, że i ci poeci są istni Rzymianie, ich nie porywa natchnienie o skrzydłach wichrowych, ich nie zagrzewa zachwyty od Bogów idący; w nich nie robi geniuszu potęga, wzbijająca się wiekuistą swobodą nad świat. Z tych wieszczów przemawia poezya, która „odetchnęła wonią ziemskich owoców, i przybierając

uczucia Rzymian, ich chęci i duszy pragnienia, przemawiała zrozumiałą im mową.“ Ta poezya, to nie samorodne puszcze wolnej natury, co pod tchem powiewów a urokiem rosy niebiańskiej i promieni słonecznych wystrzeliły w chmurotyczne dęby, odziane w sploty powojów kwiecistych, w bujne zioła i mechy bogate; ta poezya — to grządki kwiatów prześlicznych, sadzonych artysty ręką, co je pieści sztucznie i pielęgnuje z miłością.

Chceszli mieć pojęcie jednem słowem o tój poezyi Augustowskich czasów, przypominam ci że pod tę epokę właśnie kochano się w Rzymie w ogrodach, które z górą tysiąc sześć set lat później niby wymyślił Le Nôtre na tak wielką admiracyą hardego Ludwika XIV, iż go nawet serdecznie wyczałował! słowem, wtedy szalano w Rzymie za ogrodami w szpalery strzyżone, w chodniki wymuskane i strojne w krzewy i drzewa udające kształty zwierząt lub postaci ludzkie; były w nich bukszpany wysadzone w cyfry, w imiona i t. d. Brakowało tylko przechadzających się robronów, korków czerwonych u trzewików i chłopiąt małych w jedwabnych frakach, długich kamizelkach, ze szpadą u boku.

Choć tedy poeci owoczesni, jako ludzie nie na lada stopę, nie ulegali ślepo bezsmakowi swojego wieku, przecież i oni nie zdołali się w zupełności wyzwolić z pod tchu społecznej im atmosfery. Ich pieśni nie są skutkiem wszechmocnej potęgi co prze, i wre, i kipi w sercu, lecz talentu świetnego, wytwornego smaku; są to ludzie umiejący doskonale literaturę grecką, ale nie są jej niewolniczymi naśladowcami, bo w nich całą potęgą żyje hart rodzimy rzymskiej ojezyny. Ich

fantazyi towarzyszy rozum, ten rozum rozsądkowy, który wszystko waży, liczy, mierzy i wiąże w ład i szyk. Z tą fantazyą łączy się wytrwałość niesłychana i pracowitość, co ich czyni dzielnymi mistrzami słowa i władzcami języka; stąd w nich najwyższe wykończenie formy. Otóż więc te poezye, jak ktoś słusznie rzekł, są „istne arcydzieła złotnicze, dokonane nie-  
 „znękaną pilnością, osadzone w perły i brylanty, szafiry,  
 „szmaragdy błyszczące, wyszlifowane z mistrzowska;  
 „tu najdrobniejszy szczegół do ostatka wyrobiony.“ Nie tylko jednak w tej formie zewnętrznej okazuje się rozumowość praktyczna Rzymu, ona występuje i w dążności przeważającej do użyteczności, a co więcej odzywa się nawet i w istocie poetycznych obrazów. Te obrazy, jako szaty myśli, najczęściej nie są dziełem szczęśliwej natchnionej chwili, ale są raczej troskliwie dobierane do tej myśli, jakby szaty na jej miarę zrobione; są tedy skutkiem rozważań, reflexyi, a tak stają się allegoryami.

---

Po Tivoli, wśród skalnych ścian, szumów wodospawów srebrnych, powiewów lekkich, pieszczących, wśród cyprysów i gajów oliwnych, przedzie się wzdłuż przepaści dróżka chędogo, wysadzana kwiecistym krzewem; z daleka równina „Kampanii“ Rzymskiej, zalana powodzią mglistego światła; a na ostatnim rąbku widokręgu w sroździe różowej rysują się lekkie kształty kopuł i wież stolicy świata. Na dróżce tej zwykłe ciągnie na osiołkach, konikach grono pań i obcych ichmościów, — słycać gadatliwe koncepta, i żarty i dowcipy, aż w końcu cała kawalkada, jakby na komendę staje. — Przed nią zwaliska, sklepienie sieni, otwory



okien, bram, w koło gruzu, tu ówdzie ze strzelin powiewa oleander dziki i cyprys smętny. Te gruzu, prawi przewodnik, to resztki z willi, owęj lubęj zaciszy Horatiusa.

Tuż znowu przy Neapolu jest góra opoczysta; w nięj wydrążona owa ulica długa a wysoka, którą nazwali grotą Pausilipo. Nad tą grotą, na zawrótnęj wysokości, samotnęj, odosobnionęj od świata, od ludzi, jakby na napowietrznym przyładku skalnym, jest przestrzeń mała, ścianami opoki otoczona, na nięj płaczą się bogate zwoje bluszczowe, i rozwiesił się kaktus pnący o purporowych kwiatach. Tu Aloësy urosły w drzewa, figi ciemnolistne stoją nieporuszone, a długie zioła rozstąpiły się bogatym miękkim kobiercem. Widać Neapol, otulony obłokiem kurzawy palacęj się w gorących słońca promieniach: wrzawa hałaśna najkrzykliwszego na świecie miasta splata się i kłóci z hukiem sąsiednich morskich błękitnych fal, a znów pod tobą w głębi głucho dudni gwar, turkot przytłumiony, ryk, krzyki, dzwonki, — to wozy, konie, koczce strojne, trzody, i tysiące pieszych ludzi, co się cisną przez pausilipską grotę. Życie dolatuje cię tutaj jedynie przytłumioném echem. Na tęg samotnęj wysokości skalnęj, na tęg przestrzeni drobnęj, oddzielonęj od świata, wyrósł mały wawrzyn, tuż przy nim wstęp do komory czworograniastęj, wykuty w skale. Ten wawrzyn sadił niegdys Petrarka a odnowił go świeżo Delavigne; ta komora, jak nam prawią, jest grobem Wirgiliusa!

Horatius i Wirgilius, — imiona wdzięczne i ukochane! wszak do nich przedewszystkiem stosują się owe nasze zarzysy rzymskich poetów.

Horatius, ów wielki mistrz mowy i rytmu, on pisze zwolna i rozważnie; i gładzi i struże i dłutkiem

dzierga te myśli swoje, jakby figurki cudne z kości słoniowej, sztuczne i misterne, i dodaje im złota i kamieni drogich. Znać, że te pieśni jego nie urosły od razu jakby pod różeczką czarodzieja; każda z nich jest arcydziełem mozolnej rozwagi i pracy niezwykłej, a znać nawet, że różne części jej dorabiane w różnych ustępach czasu. Horatius zna świat i ludzi, on bystrym okiem rozumu przeniknął życie do dna, i dla tego też w jego poezyi pełno maxym, sentencyj technących prawdą głęboką. Naucz się Horatiusa na pamięć, a znajdziesz do każdej pory życia, do każdego wypadku w rzeczywistości, do każdej chwili czy radośnej, czyli smętniej, trudnej czyli wdzięcznej, wiersz, co niby ustawa starodawna i uczy i radzi i karci i pociesza. Jego poezye mniej może dogadzają młodszemu sercom, ale są roskoszą istotną starości doświadczonej, chłodnej. Ody jego, to nie potoki wypadające wywrótną potęgą ze serca alpejskich szczytów, to ciche i spokojne strumienie, które czystym zrodem wylewają się z duszy wytrawionej życiem, a płyną wśród brzegów kwiecistych, strojnych ręką ludzką. One płyną z czystego serca, — Horatius był uprzejmym, ale bez podłości; on nikomu nie dworaczył, jak twierdzą niektórzy oszczercy, zawistni obcej sławy.

Horatius pisze też i Satyry. Satyry te atoli, choć tak drwiące, burzące, są znów tak grzeczne a gładkie i uprzejme, iż widać że to człek dobrego wychowania, światowiec genialny, który lubo uśmiechem pogani, ironią lekką ukarze, nie zrani przecież ani obrazi. Satyry Horatiusa podobne do owej pięknej pani, której dowiecip lekki, gracyjny niby skrzydełka motyle, uśmiechem, słówkiem, spojrzeniem, ulotnym żarcikiem ogro-

mną prawdę wypowie; lecz tak wdzięcznie się sprawi, iż zanim się spostrzeżesz, już ów dowcip zwinął skrzydelka swoje i uleciał, kędy trudno za nim pogonić.

Ale zważno — satyra to rzeczywiście rodzaj poezyi na gruncie rzymskim zrodzony; chciój baczyć, iż satyra, jako poemat, zwraca się przeciw stanowi społeczności, co właśnie znów ma głębokie znaczenie: — bo wróży, że rzeczywistość, że ten świat obyczaju, nie odpowiada więcej idei swojej, że już nie jest tęp, czémby być powinien, że idea a myśl żywotna, która winna być treścią społeczności, ustąpiła z niej jako z wyrażenia i widomej formy swojej, że treść nie znajduje się więcej w rzeczywistości, że jest jedynie ideałem przemieszkującym już tylko w piersiach satyryka, a że świat rzeczywisty stał się pustą, bezduszną łupiną. Satyry Horatiusa radeby sprostować, poprawić ludzi; ale nie poprawia, nie sprostują one, choć tak gładkie i wdzięczne i grzeczne; raczej wróżą że zawistne Rzymowi potęgi już robią i pracują pod ziemią.

Horatius pisze też tę sławną „ars poetica,” co to na poły satyrą, lekką ironią na poetków-wierszokletków, a na poły poematem dydaktycznym; — niby z niechęcia rzucona estetyka poezyi. Jeżeli tedy Horatius i w odach i satyrach uczy praktycznie, na przykładzie jak pisać, w poemacie o „sztuce poetycznej” staje się wprost nauczycielem podającym teorye.

Spółczesnym Horatiusa a przyjacielem jego od serca jest Publius Wirgilius Maro. — Drugi człowiek zacny i szanowny. — Na świecie było cicho i spokojnie. Rzym dochodził południa swojej wielkości; był tedy czas zaśpiewać mu dzieje jego zarania, ozłocić, ustroić kolebkę jego i umaić zmyślonemi przez poetę mitami

prozaiczne początki Rzymian. Zadzwoił Wirgilius w lutni swojej struny, uczniając i wielbiąc ideę ludowładnego Rzymu. Zaśpiewał więc Eneidę, co jest epopeją-hymnem. Wszak on sam woła wdzięcznym wierszem: „Niechaj inni tchną życie w marmury, niech udzielają duszy spiżowym posągom; sztuką prawdziwie rzymską jest pogrom narodów i panowanie nad światem.“ Słusznie ktoś z krytyków rzekł, iż obrazy Homera są malowaniem technionem na przezroczach eteru, a obrazy Eneidy są mozaiką lśniącą, cudną, złożoną z kosztownych i drogich kamieni. Boć w tej pieśni ślicznej nie znajdziesz zaiste onego duchowego widzenia, co rozsuwa mgłę starych heroiczych czasów. Wirgilius patrzy na dawnych bohaterów odzianych całą gigantyczną ich potęgą; — te postaci jego ruszają się, mówią i działają jako oglądzeni Rzymianie z wytwornych czasów Augusta; to nie burza zachwytu, co unosi ducha wieszczą, to talent świetny, znakomity i studia i praca wytrwała. (\*)

Wirgilius pisze jeszcze Eklogi, to jest sielanki. Dziwne to goście, te sielanki, które jakby bosc dziewczęta wiejskie chodzą po złocistych pałacach Rzymian; lecz nie wierz tym maseczkom; wszak patrz jakie małe, zgrabne ich nóżki, jakie rączki białe; one pewnie nie były u żniwa, a daremnie udają prostotę w mowie; ich wyrażenia tak dobrane, iż widać, że to salonowe wytworne damy; one dla fantazyi a kaprysyku przebrały się za wieśniaczki, by w odmienną postaci doświadczyć mocy swoich powabów i wdzięków, jak to czyniły owe głośne damy głośnych Ludwików francuzkich.

(\*) Ob. dzieło Bähr.

Jakoż wieśniaki i pasterze tych sielanek — to przebrane znakomite figury Rzymu: jest między nimi nawet i umarły już Julius Caesar, jest i sam autor: — słowem, te sielanki są po prostu allegoryami. Wykwintny Rzym nie pojmuje, jakby się zadawać można z rzeczywistymi rolnikami, bartnikami, pastuchami, a on, jak wiesz, tak lubi allegorye. Te sielanki miały jeszcze przypomnieć zbyt kującem, płochym i psującym się panom świata, uczucia rzewne i żywot ich ojców pełen prostoty i poczciwego obyczaju; te pieśni sielankie są tedy zwierciadłem, w którym się miała przeżyć społeczność i obaczyć, obok tych postaci czystych i nie zepsutych, własne rysy twarzy, w karykaturę wykrzywione.

Jeżeli zaś Eklogi zlekka prostują i uczą, toć Wirgilius, śpiewając Georgiki swoje, wprost staje się nauczycielem, ale nauczycielem najmiłszym w świecie. Rzecz tak się ma. August patrzył z żalem — a kto wie — może i z wewnętrznym wyrzutem sumienia na opustoszałe pola Włoch, zniszczone długoletnią wojną; namówił tedy, jak słychać, naszego wieszca, aby zatrudnienia wiejskie przyodział urokiem czarodziejskim wdzięcznej poezji swojej. Ba! wtedy i serca były pustkowiec, a dusze zapyrzyły się chwastem; a ty wiesz, jak to zaprzyjaźnienie się z naturą, jak ta zacna praca około zagona uspakaja rozmiotane namiętności, jak ona koi rany od ludzi zadane; gdy osa ukąsi, mówią, przyłoż ziemi a ziemia pomoże na żądło. Miał słusność bardzo on August, jeżeli mu to wszystko przez myśl przeszło.

Śpiewa tedy Wirgilius o hodowaniu pszczół i drzew, o roli, o siejbie i zbiorze a śpiewa tak cudnie

i lubo i słodko, że nawet niekiedy pogodzić się możesz z nie jednym szkolnym próżniaczkiem, — który, gdy mu już do żywego doskwirzy łacina, greczyzna lub matematyka, na gwałt pragnie oddać się gospodarstwu, jako rajowi ziemskiemu, kędy godziny nie biją, kędy nie ma słyhu o książkach, a przepadły egzamina na wieki.

Rozum praktyczny Rzymu, upatrujący wszędzie użytku, kochał się też wielce w poezyi uczącej, dydaktycznej. Wszak pojąć można łatwo, iż ten rodzaj poezyi właśnie dla tego, że ma za swoją treść naukę, więc rozumową ośnowę, nie jest dziełem swobodnej fantazyi, — treść a forma nie są ściśle z sobą zlane: — ta poezya, służąc jakiemuś obcemu celowi, nie odpowiada już ściśle istocie sztuki, która właśnie ma cel sama w sobie.

Bądź jak bądź, Georgiki Wirgiliusa brzmiały też we wszystkich ustach, a przed nim i po nim dydaktyczne poemata wschodziły gęsto, niby posiane, na niwie poezyi rzymskiej. Jeden zaśpiewał o Astronomii wierszami, drugi o ptakach, trzeci poeta udaje geologa i pisze wierszem o Etnie i powodach jej wybuchów. Lucretius nawet, ten wieszcz znakomity, zabrał się do filozofii Epikura i z téj nauki jego, która jest pewnie najjałowszą metafizyką, jaką zaznała kiedy filozofia, uczynił prześliczny poemat. Owidius pisze rodzaj kalendarza, poetycznie wywodząc święta i uroczystości Rzymian; ale mniejsza o to. Lecz, co więcej, wystaw sobie, ten Owidius wierszami napisał cały kurs sztuki kochania! Dalej ten sam wieszcz swawolny, niedyskretny, napisał inny poemat, „Remedia amoris,“ co znaczy środki, niby lekarstwo na miłość! — i napisał

jeszcze jedną pieśń „Medicamina faciei,” w której podaje sposoby na podratowanie a podwyższenie piękności! Niechaj mi wierzą wszystkie piękne panie, że ten Owidius w tych naukach swoich, wcale nie jest bakałarzem pedanckim. On podobno nawet tak wysoko zastosował do praktyki te teorye swoje, iż August, co to przecież dość wyrozumiały na poetów, uczuł się osobiście obrażonym. Nie wiem, co isticie zgrzeszył Owidius o miłującym sercu, i nikt tego nie wie i wiedzieć nie będzie; rzecz cała jakby w wodę wpadła. To tylko pewna, że się przesiedział aż do śmierci jako wygnaniec gdzieś na północy, podobno słowiańskiej, między grubemi Getami. Przeto, wśród mrozów, biedaczysko chłodził zapalę miłosne i na wiecznicach uczył gospodarzy swoich łacińskie wiersze składać.

W pieśniach Owidiusa błyszczy, świeci dowcip, humor lekki, figlarny, fantazyja ciągle na zawołanie, łatwość szalona do wierszy; sypią się obrazy jakby na wyścigi; a obrazy te malowane w gorące, przepyszne barwy, zwroty nowe, niespodziane, pełne świeżego i niesłychanego wdzięku. Ale cóż z tego, gdy mi trudno bliżej rozprawić o tych poezjach. Te amorki jego, śliczne wprawdzie pacholeta, gładkie to i dowcipne, zwinne i powabne; przecież znów taki to chłopięta swawolne i rozpustne, że podobno lepiej nie zaczepiać ich wcale; a ten Owidius tak nieidealnie pojmuje miłość, on tak „niedyskretny“ i zuchwały! Więc jakże tu pisać o tych pieśniach! — chybaży może po łacinie! Ale to znów niegrzecznie! Dajmy więc temu pokój, a powiedzmy słówko o Tybullu, który wprowadzie także rozkochanego temperamentu człek, ale przecież już inny jak Owidius.

I w Tybullu uśmiecha się miłość ziemską z niewypowiedzianą lubością i wdziękiem; lecz ta miłość jest uszlachetnioną, zidealizowaną; ona się wprowadziła na ziemi zrodziła, ale jej wyrosły tęczowe skrzydła Psychy; ztąd ona przypomina niebiankę na olimpie poczętą. — Elegie Tybulla — to nie kwiaty w szklance chowane, one nie wyciśnięte z mozgu zimną reflexją. Dusza śpiewaka uciekła z zewnętrznego świata, bo jej ten świat niemiły, tak zimny, pusty, bezsercy; utonęła tedy sama w sobie, własnym tajnym uczuciom dając posłuchanie. A te uczucia tak tkliwe i rzewne! tak głębokie a tak prawdziwe! Uczucia te, z razu zcicha szepczące, wzmagają się potęgą, i mówią i śpiewają, i nucą w piersiach poety; a co mu zanucą, co mu zaśpiewają, toć on pisze, a tak jawia się śliczna, dźwięczna i tkliwa elegia. Te pieśni Tybulla wyśpiewało serce po swojemu; nie znajdziesz tedy w nich rozumowego układu, artystycznego planu, ani ścisłej jedności, bo o tem wszystkiem nie wie serce; są to słowiki, co sobie śpiewają od ucha, ale właśnie też dla tego te pieśni są tak wdzięczne, tak urocze. — Na tych miłościach Tybulla, jakby na fiołkach młodych, dra jeszcze łązką rosa poranna.

Czyliż może być wdzięczniejsza, wyższego czardziejstwa poezya, nad ten bukiet pieśni nazwany Sulpicia. Tutaj Tybullus mistrzem miłości — mistrzem światów żyjących w sercu niewieściem. Sulpicię słusznie nazwano Heloizą rzymską, pogańską; żary namiętne ochłonęły jej duszę, świat cały nie ma dla niej znaczenia; sercem jej serca, jej światem jest ulubieniec; ona go czci i kocha, miłuje i wielbi. Jej miłość daleka od idealności chorowitej, kłamanej, ale



też daleka od ziemskich ogniów nieuzacnionych głę-  
bokiém, bogatém duszy uczuciem. Poświęcenie się jej  
jest bez granic a przecież bez sromu a poniżenia, —  
Sulpicia dumna swoją miłością. Kochanie jest jej  
chwałą i tryumfem wartości.

Zważ jednak, — ta Elegia jest odwróceniem się  
od świata, od rzeczywistości, a zwrótem duszy ku so-  
bie! W tej poezji przeto tkwi wróżba, że duch cofa  
się z rzeczywistości, że świata zewnętrznego, że ten  
Rzym już nie zadawalnia, że go opuszcza duch, który  
już w sobie się zwinął obojętniejąc na sprawę publi-  
czną; słowem, że treść duchowa rozstaje się z formą  
zewnętrzną; znać tedy, iż, jakby wąż, zcicha, niepo-  
strzeżenie od ludzi zblłża się milczkiem przeznaczenie  
Rzymu.

Dość już o poetach Rzymskich: com o nich rzekł,  
wyświeca dostatecznie istotę fantazyi Rzymian wyło-  
żoną powyżej. Nie ma więc czego rozszerzać się nad  
ich dramaturgią, a to tém bardziej, że ona nie wyró-  
wnywała doskonałością innym rodzajom poezyi. Wzory  
dramatu greckiego, takie świetne i wielkie, odbierały  
rzymskim autorom odwagę mierzenia się z ich ge-  
niuszem. Naśladowano tedy Greków i, o ile się dało,  
naciągano ich formę gwałtem do rzymskich stosunków  
i obyczajów. Brakło też dramatowi publiczności jednej,  
wielkiej, litiej, mającej jedną spólną duszę. Kółko pa-  
trycyuszów ogładzone, wykształcone, ze smakiem wy-  
robionym na Grekach, z lekceważeniem dumnym pa-  
trzało na zabawy grube i dowcipy nieokrzeseane teatru,  
który bawił większą część mieszkańców. Co tedy  
było w rym ludowi, było odrazą patrycyuszom, a  
w czém się ci kochali, było niezrozumiałe a może ja-

łowe i nudne dla ludu. Po co nam atoli wchodzić w dalsze a głębsze przyczyny niepowodzenia w Rzymie dramaturgii: dość przypomnieć kilka faktów: — wiiesz, autorowie dramatyczni pochodzili albo z cudzoziemców, albo z klasy najbiędniejszej, albo nawet z niewolników, bo nikt sobie takiem autorstwem nie chciał ubliżyć, bo na artystów scenicznych spadała plama infamii; uważano ich sztukę za nikczemne a pogardliwe rzemiosło. Baczmy jeszcze, że komedia, chcąc się podobać ludowi, musiała mu się zapisać na służby błazeńskie a tak pozbyć się godności swojej: — cel jej była zabawa, to niby użytek płynący z niej. A jaka tego upodlenia nagroda? Oto, odegrywa się komedia pełna dowcipu i żartów, lud się cieszy chichocze i poklaskuje; wtém słyhać, że przybyli skoczki i mistrzowie sztuk łamanych; lud każe przerwać komedią i dla skoczków ustąpić aktorom! — Pod gruzami Pompei, zasypanej przez Wezuwiusz w 79 lat po nar. Jezusa Chrystusa, znaleziono też bilet wstępny do teatru; znać z niego, że miano grać właśnie wtedy jedną z komedyi Plauta. Gdy atoli ten człowiek z tak świetnym talentem kwitnął na 200 lat przed Erą naszą, widać tedy już że najmniej przez lat 280 był ulubionym konikiem rzymskiego ludu, choć trudno wątpić, że nierównie jeszcze dłużej sztuki jego napelniały teatralne ławy. Otóż ten Plautus wtedy, gdy talent jego okrył go już był sławą, gdy imię jego chodziło już z ust do ust, zapadł właśnie dla teatru w długi, oddany był przeto wierzycielom jako niewolnik i zmuszony był pracować za parobka w młynie. Nie popłacały też na scenie docinki i żarty strzelające tu lub ówdzie. Naevius żartobliwy swój humor odpo-

kutował w więzieniu, a później na wygnaniu. Tragedya jeszcze mniej była narodowa, mniej świetna; kluła się jak mogła niby roślina exotyczna, w donniczce na oknie chowana.

Widzisz tedy — i z rozwoju ducha Rzymian, i z historyi, i ze składu społeczności im właściwej — rodzaj ich fantazyi. To rozumowanie nasze potwierdza sama sztuka i poezya rzymska; wszędzie spostrzeżęś, iż cechą tej fantazyi jest allegorya, utylitarność, idea Rzymu, a przedewszystkiem brak ścisłego zlania treści i formy. Raz już powyżej rzekłem iż Romie samiej brakuje tej ścisłej jedności formy i treści; formą jest państwo rzymskie, a treścią duch Rzymian. Lecz idea ziemiska, doczesna, nie była zdolną, by w sobie pomieścić całą treść ducha człowieka, zatem poszło, że śluby między duchem jako treścią, a Romą jako formą, nie były ścisłe, że się ta jedność ich rozwiódła, bo była gwałtowną. Ten zaród śmierci, który w przykładach powyższych, wziętych z epoki najświetniejszej Rzymu, odzywał się dopiero lekkim proroczym szeptem, dawał znać o sobie coraz potężniej, głośniej, aż w końcu zagrzmiął wołaniem ostatecznego sądu nad konającym Rzymem.

Satyra, co niegdyś tak uprzejma z uśmiechem żartobliwym przyganiała wadom, staje się w ustach Persiusa i Juwenala ponurą, groźną, zólcia palącą, bo rzeczywistość zewnętrzna, wykrzywiona w poczwarną maskarę, jest coraz mniej tém, czémby być winna wedle prawdy swojej; między tą formą zewnętrzną a treścią, coraz okropniejsza roztwiera się przepaść. Rzym psuje własny język swój, bo on stracił sumienie siebie, sam siebie zdradza i zapoznaje; on nie umiejąc własnej we-

wewnętrznej istoty swojej, nie umie już odziać jej ciałem a formą swojej mowy.

Zerwała się tedy harmonia między duchem a rzeczywistością zewnętrzną. Człowiek nie zdołał już połączyć tych dwóch światów. Rzeczywistość jest teraz w Rzymie bezduchową łupiną; a duch już nie ma w sobie rzeczywistej treści. Więc człowiek albo porzuca z pogardą ten świat, zamyka się w sobie i dla siebie wymyśla harde teorye, osobną treść, nie będącą w żadnym związku ze światem rzeczywistym, którym pogardza, dla którego już nie ma współczucia, a tak czyni się niezawisłym w sobie, otula się płaszczem dumy swojej, słowem staje się filozofem stoickim. Albo też, odwrotnie, nie mogąc wytrzymać otchłani próżnej własnego ducha, rzuca się w objęcie rzeczywistości zewnętrznej, którą dla niego jest teraz sama natura zmysłowa; rzuca się zatem w rokosze cielesne, a szukając zapomnienia siebie, w chuci bezdennej zmysłowej chce utopić istotę duchową swoją, — i to nazywa filozofią epikurejską. Albo nakoniec Rzymianin teraz w nic nie wierzy, niczemu nie ufa, rozpacza o wszystkiém, o sobie, o prawdzie, o rozumie, a tak sam staje się uosobioném nicstwem, słowem oddaje się sceptycyzmowi — onęj filozofii rozpaczy. Te trzy filozofie rodzaje: bo Stoicyzm, Epikureizm i Sceptycyzm, które u Greków były tylko nauką, systematem filozoficznym, teorią, w Rzymie stały się straszliwą, okropną praktyką.

Świat stał się cmentarzem, kruchtą psujących się zwłok, i psuło się przez stolecia to ciało umarłej potęgi. Ród ludzki wzywał ratunku, anioł stróż dziejów świata wołał zbawienia. A z nieba szedł głos przez świat, przez ludy i przyszłość: „wy wszyscy, co pracu-

Jecie, przyjdźcie do mnie a ja was pocieszę!... a ja zostanę z wami aż do skończenia światów!"

Gdy w złocistym Rzymie szłał rokoszy, boleści straszliwe, krzyki namiętności rozźwierzonej i rozpacz hulają w dzikie zapusty; — pod ziemią stuka i puka przyszłość. — Pod ziemią, pod Rzymem, w głębiach wyłomów kamieni modlą się, i płaczą, i radują się i cierpią, — to chrześcijanie, robotniki i czeladź Boża; z głębin tych katakomb ciemnych wyrośnie zasiew niebiański.

Na szerokich, niezmiierzonych Azyi rozłogach, na przestrzeniach, co toczą się do ostatniego Wschodu, kędy słońce wstępuje na świat, szum w powietrzu, szelest, brzęk, niby w pasiece ludzkiej, gdy się wyroić mają mieszkańce milionowe. To szczepy, to ludy i rody, nieprzebrane tłumy, one mają porzucić błonia nieprzebyte i stepy niemające granic i puścić się wędrówką na Zachód im nieznanym; ich prze siła niewidoma, opatrna, mądrość żyjąca w dziejach ludzkich; ta mądrość, niby matka pszczelna, wie dzie ich przecuciem w nieznanym świecie strony, jak wie dzie stada ptaków wędrównych przez morza, przez kraje, do nowej siedziby. I ich starodawne dzieje umarły, przebrzmiała przeszłość pradziadowa, bo na świat woła przyszłości duch. — Są to szczepy azyatyckie, germańskie, słowiańskie; one idą na odrodzenie świata.

Dreszczem przecucia zadrgały serca rodów nieznanym Rzymowi, serca ludów na Wschodzie zapadłym, na stepach bez granic, i serca ludów na Północy aż na onych skałach morskich, na górach mgłą odzianych. Ossyan śpiewa pieśń z dawnych lat, z lat, które przeszły dawno, pieśń o dziejach pradziadowych, które

skonały dawno. I śpiewa bard samotny, jeden, tęskny, na skalistym brzegu, śpiewa o bohaterach, które ustąpiły w kraj nieznany, i płyną w postaciach mglistych, rozwiewnych. I śpiewa Bard. „Lube są pieśni dźwięki! Słuchaj pieśni moich, słuchaj ich samotny mężu, co dumasz na skale mgłą odzianej! Ty, coś na obcej ziemi zrodzon, chciej posłuchać pieśni moich! Rozbudziła się dusza we mnie i pełna jest treści upłynionych dawno czasów; wróciła mi się radość młodych moich lat.“ I śpiewa bard, i słuchają pieśni jego w koło pagory zielone a pieśni jego słuchają rozsypiska starych grodów, i ziola, co porosły stary tron, i słucha ich tarcza, w której się lęgnie puszczyk. Ale mąż samotny na skale milczał i dumał. On na obcej ziemi zrodzon, on w kraje mglistych rozwiewnych postaci, on w kraje bardów, w ojczyznę Fingala przyniósł wiarę zbawienia, on w Chrystusie wychrzczony, on nowego świata wysłannikiem.

---

# LIST XXVII.

## Ż y d z i.

Przegląd ludów mieszkających nad morzem Śródziemném. — Palestyna. — Powołanie ludu Hebrajskiego. — Architektura. — Przybytek. — Kościół Salomona i dzieje jego. — Brama tryumfalna Tytusa w Rzymie. — Język hebrajski. — Pieśni święte. — Dzieje Hiobowe. — Pieśń Mojżesza dziękczynienia. — Późniejsze czasy. — Muzyka hebrajska. — Psalmi. — Kaplica Syxtyńska w Rzymie.

**U**cichło, onemiało dziś na forum dziejowładnej Romy; jej mównicę przywaliły rozsypiska świątyń dawnych bogów, bramy jej tryumfów porosły w kwiaty i zioła, jakby wieniec śmiertelny. Dziś samotno, milcząco na forum rzymskiem. Tu nie zalatują gwary dzienne życia, tu nigdy wrzawa drobnych ludzkich kłopotów nie znieważa tej ciszy świętej.

Gdy się zmruży słońce, gdy zaśnie dzień i uspi się cała w koło natura, wtedy historia chodzi wśród tych ruin i duma nad ludami i wiekami przyszłości, które jeszcze nie zrodzone spoczywają zwinięte w wieczności łonie. Wśród nocy milczącej duma historia

na rzymskiem forum. A od Śródziemnego morza, co sąsiaduje z Rzymem, śpieszą duchy onych ludów, co na pobrzeżach jego napracowały się w służbie dziejów świata. Boć te wody Śródziemne śpiewały falami pieśni swojej tym ludom, gdy one, niby niemowlę w kolebce, nie marzyły jeszcze o wielkości i potędze światomożnej, która na nie w życiu z kolei czekała. Te wody rozniosły później wieści o ich sławie, gdy z kolei stawały na reju państwowym prowadząc je na odrobienie onej pańszczyzny, którą im przeznaczył Pan. Te same wody Śródziemne śpiewały tym ludom pieśni grobowe na cześć ich skonu i twardego żywota.

I śpieszą duchy tych ludów z brzegów Azyi, Afryki i Europy na rzymskie forum, kędy im wszystkim historia daje posłuchanie.

Patrz, to duch starego Egiptu! On przez życie całe zanurzony w przepaściach własnego wnętrza swojego i badał i dumał, i mocował się, by rozwiązać zagadkę świata i zagadkę ducha ludzkiego. I podsłuchiwał Memnony swoje, gdy tęsknem wołaniem witały słońce wschodzące, i czekał azali Sfinx nie roztworzy ust kamiennych, prawiąc o tajemnicy śmierci. Ale Egipt nie zdołał zrozumieć Memnonów wołania, nie przemówiły do niego Sfinxy i milczały też własne serca przepaści; i umarł zacny pracownik-lud. Może on dopiero przed śmiercią, może jakby w błyskawicznym jasnowidzeniu, w chwili skonania ujrzał rozdartą oponę, co mu przez życie całe zakrywała prawdę? Obok niego występuje inny duch, jego niegdyś sąsiad od Zachodu, co za żywota swojego na ziemi dźwignął miasto morzowładne; on z raną śmiertelną na skroniach, historia uwieńczyła blade, krwawe czoło jego laurem, co świeci nocą niby



aureola święta. Jest to duch Kartaginy. On przez życie całe frymarczył i kupeczył i rozsyłał okręty swoje po wszech świata krańcach i dufał skarbnicami i złotu, i niemi kupował obrońców zdradnych i półki najemne; a przecież ten duch wyświecił się zaernością, bo zacie stanął do walki rzymskim legionom, i gdy mu przyszło bronić krwią i śmiertelnym bojem ognisk swoich, i bogów swoich, i gdy mu wypadło już umrzeć, umarł pocziwie, na tarczy, na wzór późnym pokole- niom. Gruzy palące się Kartaginy pogrzebały kilka- kroć sto tysięcy jej synów, ale też te płomienie palące się Kartaginy zaświeciły w serce rzymskiego wodza rozjaśniając mu straszliwe wróżby o własnej jego ojczyz- nie. A jeszcze dalej — ku zachodowi tej królowej mórz, po dziś dzień plątają się po świecie zwłoki żywe mauritańskiego ludu, którego duch już staje przed sądem historyi. Duch ten, póki żył na ziemi, świet- ności i cudów pełen, śpiewał miłość i cześć dla kobiet, i wypiastował uczucia rycerskie i budował Alhambry i czarodziejskie, i nauczył się greckiej mądrości, i strzegł pilnie ołtarzy nauk w onych mrocznych wiekach, gdy inne ludy nie wyleniły jeszcze myśli swojej z pier- wotnej surowizny a barbarzyństwa. Runęła Grenada, a duch Maurów przeniósł się do dziedziny historyi, ustępując pirenejskiego półwyspu dwóm nowym ludom, z których jeden stanął Europie na czele, prowadząc ją przez dalekie, bajeczne oceany do mitycznego świata Indów, a drugi zdobył dla cywilizacji świata nową światła połowę, a jaśniał chwałą ten naród i promienił wielkimi czynami, aż razem z onym ponurym okropnej pamięci Filipem był pogrzebiony w ciemnych sklepach grobowych Eskurialu.

Niedaleko od tych brzegów Hiszpanii, wody Rodanu niosą do morza wieść o trudach nowożytnych ludów, o ich dziejach, co rozpoczęte długo przed lat tysiącem, przecież jeszcze są tak młode i świeże, iż się zdaje, że te wszystkie europejskie ludy przebyły dopióro jeden zupełny okres swojego żywota; — takto one są głośnym dowodem, że wiara chrześcijańska nadaje pierwiastek ciągłego odrodzenia i wyzdrowienia z niemocy narodom, co się wychrzeiły wiekuistością na zacne sługi Zbawiciela.

I znów Italia wiecznie młoda, wiecznie roskoszy pełna ziemia, ona trzech części świata sąsiadą, ona po dwakroć w tym samym Rzymie dzwignęła, a ognisko wszech dziejów. Niegdyś Rzym mistrzował światu żelaznym orężem swoich legionów. Później wznosił wielki ołtarz wiary, co świeci na świat, i zącą gością przyjął u siebie dzieła sztuki stariej, promieniejące pięknnością, i przyjął je gością, i przytulił do serca, choć te dzieła — to bogi ludów, co nie przeczuwały jeszcze wiary, która miała przyjść na świat, ludzkości na zbawienie. I stanął duch Italii na rzymskiem forum przed historią, i stanął w uroczej postaci, jako jeden z najszlachetniejszych robotników około uzacnienia człowieczego rodzaju; duch ukoronowany koroną wysadzaną, jako klejnotami, gorejącemi gwiazdami, a temi gwiazdami korony jego: to Decius i Fabricius, to Scipio, Cezar i Pompejus, Grzegorz W., Dante i Petrarca, Kolumb, Leonard da Vinci, Michał Anioł i Galileus i Pergolese i Palestrina, i wiele, wiele jeszcze świeci gwiazd na koronie Italii; one świeciły za życia i świecą po za grobem światłem przewodniém państwowi i ludom. Więc też stworzenia

Mądrość, budując twierdze lądów Europy, dodała Italii w posagu grono wysp, których imię grzmi głośno w historii starego i nowego świata, bo dodała jęj Sycylią i Sardynią, dodała jęj jeszcze Korsykę i Elbę!

Gdy Italia patrzyła się w świat szeroki i słuchała, co jęj szeptały Śródziemnego morza fale, oto, do jęj południa, do jęj Sycylii, zawitali goście, co jęj przynieśli hołdem i kochaniem dary piękności, a przybyli z krainy niezbyt dalekiej, bo z owej ojezyny najwyższej artystycznej fantazyi, kędy śpiewali wieszce natchnione chwałę wielkich bogów na Olimpie, wielkich ludzi na ziemi, kędy stały świątnice wesole, strojne w uroki budowania, strojne w kwiaty i wieńce wonne, a kędy postaci marmurowe bogów, wdziękiem niebiańskim oblane, przemawiają śmiertelnym ziemi mieszkańcom, że piękność na doczesnych dolinach jest zacną wysłannicą nieskończonej prawdy, że ona ściele ścieżki, po których przyjdzie na świat wiekuistość bez opony, nie odziana już więcęj w szaty zmysłowe, zasłaniające prawdy Boże. Wszak to Hellada jest tą ojezyną piękności wdzięcznej, ona to zabrzmiała pieśniami, ona to uceziła się urokiem swoich świątnic, ona to pierwsza w arcydziełach marmurowych postaci ujrzała zacność człowieka i oddała nieskończoności cześć. Ta Hellada dziś sama skamieniała marmurową postacią, co niema, bezduszna z wysokiego podnóża na nas spogląda; oczy jęj bezżrenicy, postać jęj zimna. usta jęj nieme; lecz byleś miłością gorącą Pigmaliona przytulił do duszy te zimne marmury i rozcieplił je rzewnością serdeczną, już te mroźne głązy ożyją, zatętnią życiem głębokim, oczy przewidzą, a usta nieme roztworzą się pieśnią i

za miłość twoją zapłaca, i zaśpiewają pieśnią cudowną, harmonii pełną o wszech wielkich synach Hellady; i ożyje chwałą Leonidas, Arystydes, Cymon, Perikles, Epaminondas i Homer i Sofokles, Pindar i Plato i Sokrates, i płynąć będzie z ust rzeka wielkiej sławy. I staniesz przejęty podziwem, że ta kraina o tak szczerpłych rozmiarach, o dziejach tak krótkich i przelotnych, zrodziła ten świetny orszak znakomitych ludzi, tak wielki i liczny, że Grecya odstępując ich połowę innym ludom, podniosłaby ich nieskończenie w znaczeniu, a mimo to sama byłaby jeszcze ludem najbogatszym w zacną chwałę, byłaby jeszcze pierwszą mistrzynią w uszlachetnieniu człowieka! Więc też historia wita z miłością ducha Hellady, a wita go jako wybranego i najukochańszego syna swojego.

Na północ Grecyi mieszkał lud twardy i surowy, śmiały i mężny; on wszystkie uczucia swoje, wszystkie myśli swoje zebrał w postaci młodego Alexandra, króla swojego. Alexander zwyciężył bojem żołnierskim Grecyą, a po zwycięztwie oddał się w służby jej wierne i zacne, roznosząc dobytki jej ducha po szerokich obszarach Azyi, siejąc jezyk, nauki i myśli Hellady po ludach pradziadowych, gotując je do nowej epoki dziejów, która miała zadnieć nad światem.

Na wschód od Macedonów błyszczy miasto Koustantyna i świeci w złociste kopuły, przezierając się w toniach krystalicznych morza swojego, a natura w koło, sama czarodziejka, ustroiła się cudami swojemi, co, czyniąc człowieka, wznoszą go jako hymnem w nadobłoczne wysokości, i urzekając, roskoszą miękką usypiają duszę. Wszak państwo Bizańtyńskie, stawszy się połowicą wschodnią dawnego rzymskiego świata, o

tysiąc lat przeżyło zdobycie i zrabowanie Rzymu przez dzicz westgocką; ono więc przeszło lat tysiąc było upiorem na ziemi, więc zgnuśniało w sobie, spróchniało na mocy, wysilając się obląkaniem wojen domowych, ulicznych mordów i okrucieństw szalonych. A przecież, gdy duchowi Bizantium zebrało się na skonanie, umarł bohaterem; w godzinie śmierci swojej błysnął pamięcią starych dziejów, a szanownym bojem i krwią serdeczną zmył swoje winy, i został uczczony od dziejów, co sądzą i mierzą i przebaczą błędy, gdy one zaczną śmiercią zmazane. A za Hellespontem, na południu rozwija się bożą mappą Azya Mniejsza i Jonia. Tam stała Troja i mogiła Achillesa; tu śpiewał Homer i dumał Tales i głębokiej treści Heraklitos; tu stał Efez pyszniący się kościołem swojej Dyany, co był cudem świata; tutaj Milet, miasto ojczyste Aspazyi. A jeszcze więcej na południe wzdłuż morza, rzędem stanęły porty fenicyjskie, w nich krzątał się ów ludek, co śmiały i mądry, awanturniczy, handlowny i żeglowny, puszczał się gdzieś przez Gibraltar, oceanem Atlantyckim, Kategatem na Pruskie pomorza po bursztyn, i posyłał karawany w Egipt i w Indye. Między Fenicyą starą a Egiptem, który rozpoczął przegląd historyi, wcisnęła się kraina mała, drobna; jęj długość zaledwie ciągnie się na mil trzydzieści a szerokość ledwie na mil dwadzieścia; na dalekim widnokregu budują się góry jednostajnych rysunków bez szczytów, bez wierzchołków śmiałych, a lasem cedrowym poszyte. Słuchaj — ta drobna krainka, co na połę pustynią głuchą, na połę czarodziejskim ogrodem, ona jest dla dziejów niebiańskich i ludzkich Ziemią Świętą, ziemią obiecaną; te góry, to — Liban, ta kraina dro-

bna, to — Palestyna! Ta ziemia mała — ona była od ludzi poniżoną, zdeptaną, ona była zoraną od świątoburzców Azyi, ona była karmiona łzami, a przecież Bóg ją uzacnił i uczynił odkupienia oltarzem. Nad wioską tój ziemi zatrzymała się gwiazda przewodnia, co sama jedna świeciła ludzkiej historii, gdy wszystkie gwiazdy pogasły na niebie, a nadzieje wszelkie już zagasły na świecie i w sercu ludzkości, gdy noc padła na świat i duszę człowieka. Wśród nocy samotnej, ciemnej, gwiazda wieczności błysnęła krzyżem na Golgocie — i Bóg umierał.

Tysiąc lat z górą przeminęło od pojawienia się gwiazdy-zwiastuny w ciemnej nocy, gdy Europa wyroiła z siebie krzyżowców miliony, co, parte tajemniczą potęgą, skrapiały krwią serdeczną stopy krzyża; a nowe i nowe zastępy śpieszyły tłumnie, by umrzeć na ziemi uświęconej śmiercią i zmartwychwstaniem Boga. Ludy różnej mowy, różnego rodu, u stóp krzyża umierały we krwi wspólnej, uznając się braćmi w duchu. Ale łzy i krew, boleści i śmierć, nie idą światu w zapomnienie. Europa utraciła grób święty, ledwie co zdobyty, ale sama zmartwychwstała z ciemnej nocy duchowej; uznał człowiek człowieka bratem w Zbawicielu, a duch ludzki, na krzyżu rozpięty, uwolniony od katuszy i poniżenia, uczczony był jako wysłannik pański na doczesności doliny!

Wszak to w tój drobnej krainie, kędy stanoło Betleem a Golgota, zachowana była światu od wieków wieków wiara w Boga jedyne, co jest Stworzycielem Nieba i Ziemi, a który duchem jest. Zachowana jest wiara, która była objawiona ludzkości przy stworzeniu jej, a która poszła w zapomnienie

gdy człowiec odstał od Boga i własnej wiekuistej istoty swojej, oddając się złowrogięj zmysłów potędze.

Lud hebrajski sam jeden uniośł przez wieki w sercu wiernie cześć prawdziwemu Bogu, aż nie przyszła na świat zbawienia chwila; więc wyrzekł się obrazów i posągów, chroniąc się od demonów bałwochwalstwa, które czyniły inne stare narody w koło. Tak w pierwiastkach swoich i zawiązku lud ten zerwał z całym Wschodem; Wschód starożytny umarł na wiarę hebrajską, jak sam hebrajski lud umarł na wiarę Zbawiciela. On przechował wiarę w jedyne go Boga; z jego łona narodziła się nowa era, nowy czas nastał w dziejach bóżych i ludzkich; wtedy lud hebrajski spadł z żywego drzewa historyi, jak, gdy ziarno dojrzeje, łupina pęka i spada na ziemię idąc wiatrom na pomiotło. Ztąd lud ten jest ogniwem między Wschodem a Zachodem, między staroczesną a nowożytną historyą. I dla tego też dopięro w tym liście o nim mówić nam przystało.

Co więcęj — gdy lud ten z rozkazu Bożego wyrzekł się obrazów i posągów, wszelkiego uzmysłowienia swojej wiary, gdy wiernie stał przy prawdzie, którą miał objawioną sobie, ztąd też rozprawiając o nim nie możemy o nim mówić trybem zwykle przez nas zachowanym, gdy rozbieramy istotę duchową innych ludów. Obok prawdy objawionej temu ludowi, obok ogromnego jej znaczenia, sztuka piękna i wszystko, co połączone z pierwiastkiem zmysłowym, traciło na wadze, małało i nikło.

Widać przeto, że nam wolno będzie rzecz całą o tym ludzie zamknąć w szczupłych rozmiarach.

Gdy roztworzysz Pismo Ś. starego zakonu, zawieje cię jakby dech od trzech tysięcy lat. W nim, jakby w testamencie dziejów Bożych na ziemi słyszysz i dawne mowy, i obyczaj pomarłych wieków, i sztuki starowieczne pomnikiem złożone.

Jak człowiek w biedach i trudach ziemskich ściera z siebie niedostatki duchowe i wśród ciężkiej pielgrzymki przez życie myślą nawraca ku Bogu, ufając, że przecież znajdzie miejsce, kędyby już mógł spocząć po twardym trudzie i rozpatrzeć się w tej wędrówce przebieżonej długą męką i znojem, tak i ten lud hebrajski ciągnie z Egiptu przez pustynię jałową. W koło głucho, samotno i ciężko mu na sercu, a wśród boleści, biedy i mokołu wyswabadza się z obłądu i ułomności duchowej; starey zwolna wymierają po pustkowiu, jako wyobraźniki dawniej winy: ale lud cały wie, że przecież ta otucha, że się dosłuży obiecanej Ziemi Świętej, kędy znajdą żyjący strzechę spokojną, a umarli grób spokojny wśród swoich. A on myślą i sercem zwrócił się ku Bogu i na rozkazanie Jehowy buduje przybytek Pański.

W tym przybytku nie upatruj sztuki architektonicznej, ale raczej ofiary, którą uczynił lud cały „sercem dobrowolnym jako podarek uczyniony Panu“ (ks. Mojżeszowe II, 25. 2.) a żydzi „uczynili Bogu świątynię, aby mieszkał w pośrodku ich“ (I. c. 8). Nie było w tej świątynicy wizerunków bożych, ale sam Bóg w niej zamieszkał.

Przybytek, jak żywot ówczesny całego ludu, był wędrownym namiotem, który łącno było rozebrać i złożyć wedle potrzeby: deski i kobierce, otóż główny wątek tego przybytku; skromnych też był wymiarów



(długość 30 łokci, wys. i. szer. po 10 łokci). Lecz gdy w nim nie tak chodziło o sztukę samą, jak raczej o ofiary złożone podarem, więc deski były powleczone blachami złotemi (l. c. 26, 29), a stały na „podstawkach ze szczerego srebra.“ Były też „bogate opony umocowane na pętlicach a haczykach złotych“ (l. c.)

Cały przybytek stał umocowany na słupach srebrzem powleczonych. Rozdzielony był na świątnię i na świątnię przenajświętszą, przez „zasłony z hyacynu i szkarłatu i z karmazynu dwakroć farbowanego i z białego jedwabiu kręconego, a na tej zasłonie robotą haftarską uczynione były Cherubiny“ (l. c. 31 do 33). W przenajświętszej stolicy stała skrzynia czyli arka, w której „było złożone świadectwo Pańskie;“ opis tej arki w szczegółach równie znajdujemy w Piśmie Ś.: była ona z drzewa akacyowego, lecz wewnątrz i zewnątrz powleczona złotem. Ona przykryta błagalnią (wiekiem) szczerozłotą; na niej ze złota wyrabiane Cherubiny, osłaniające ją skrzydłami. I rzekł Pan do Mojżesza: „tam (w przenajświętszej świątnicy) z tobą się schodzić będę i z tobą rozmawiać z ubłagalni. z pośrodku dwu Cherubów, którzy będą nad skrzynią świadectwa“ (l. c. 22). I jeszcze uczyniono stół akacyowy powleczony złotem czystym z koroną złotą w koło; na ten stół kładziono chleby pokładne. Wyrobiono też świecznik o siedmiu konarach rozwijających się kształtem roślinnym w „orzechy migdałowe i kwiaty;“ dalej ołtarz miedzią powleczony i inne sprzęty i naczynia święte unaoczniają sztukę owych starych wieków. W koło przybytku szerzył się dziedziniec utworzony ze słupów, na których zawieszano kobierce i makaty kosztowne.

Słowem — w tym przybytku lud składał się ze swojej chudoby; stawiając namiot pełen przepychu, czynił ofiary z rzeczy doczesnych, materialnych na cześć i chwałę Jehowie, najwyższemu Panu, a tak sam dał świadectwo sobie, że w obec Stworzyciela, co odziany nieskończoności majestatem przedmioty materialne, skończone nie mają wagi, że nikną i ulatniają się, gdy je owionie nieskończoności duch. Bo światy i słońca wszystkie i stolecia są jedynie rąbkiem jego szaty, a same niebiosa gwiazdziste są podnóżem jego tronu, na którym kładzie stopy swoje.

Wiele lat upłynęło. Lud hebrajski zdobył sobie obiecaną ziemię, rozgospodarzył się na puściznie ojców swoich. Niewola egipska, co była twardą szkołą, stała się już jedynie echem, podaniem z dawnych lat i dawnego poniżenia. Wtedy po Dawidzie, owym królu-pasterzu, zasiadł na stolicy izraelskiej Salomon, syn jego. On sławą swoją olśnił Wschód cały, mądrość jego poszła w przysłowie, a azyatyckie ludy swoje bajki czarodziejskie wplotły w pamięć jego potęgi, mądrości i chwały, niby nie złotą, co choć się tu i ówdzie ukryje, znowu wystąpi pełnym blaskiem świecąc i błyszcząc. Wszak Talmud i ludy islamiczne usnuły sobie o królu Salomonie mity a wieści tak czarodziejskie, iżbyś rzekł, jakoby wielki ten człowiek był iście bohaterem powiastek z tysiąca nocy i jednej! Cudotworność a dziwy otaczają jego postać obłokiem magii fantastycznej. Tak Talmud prawi o pierścieniu, co go Salomon nosił na palcu; na sygnecie tym wyróżnione było tajemnicze słowo, którego już nikt wymówić nie zdołał. Tym pierścieniem Salomon stawał się światła panem; gdy go na palcu obrócił, z dała i z blizka,

z dołu i góry śpieszyły zastępy nieprzeliczonych demonów, by służyć rozkazania króla Izraela; gdy Salomon podniósł rękę w górę, władał falom wodnym, i płomieniom ognistym, i wichrom i deszczom i roślinom i zwierzętom, i rozumiał głosy natury i rozumiał mowę ptasząt. Pieczęci przyłożonej tym sygnetem już żadna ręka odjąć nie zdołała.

Wszak nawet i przez całe średnie wieki postać wielkiego króla wplatała się w powieści cudotworne, a sygnety jego nabierał symbolicznego znaczenia w naukach tajemniczych i ukrytych.

Niema się też czemu dziwić rozgłosowi tej wielkiej sławy Salomona po całym mu społecznym świecie, po wszystkich ludach i po wszystkie następne wieki. Pelen mądrości politycznej, bystrym, przenikliwym okiem odgadł potrzeby swojego ludu, przejrzał wskrósł stosunki swoje do mocarstw ościennych. On otworzył morze handlowe izraelskiemu ludowi, a zhołdował narody obce berłom swojemu. Więc państwo jego rozpromieniło się blaskiem niesłychanym, więc lud oddał mu cześć najwyższego podziwiania, a tłumy cudzoziemców dążyły do Jerozolimy, by obaczyć wielkiego człowieka, i napatrzeć się wystawie i świetności jego dworu, i tej stolicy jego jaśniejącej przepychem, który nawet lśnił oczy nawykłe do wystawności pełnej zbytku mocarzy wschodnich. Wszak przyjechała i królowa Saba z dalekiej Etiopii „usłyszawszy sławę o Salomonie i imieniu pańskim, aby go doświadczyła we wróżbach“ (Król. III, 10, 1, i Kroniki II, 9). Gdy królowa obaczyła wszystkie przepychy i wspaniałości jego majestatu, zdumiała się bardzo i mówiła do niego o wszystkim, co miała na sercu i rzekła do króla:

„Prawdziwac to mowa, którąm słyszała w ziemi  
 „swojej o sprawach twoich i mądrości twojej. Alem nie  
 „wierzyła powieściom onym, ażem sama przyjechawszy  
 „oglądała to oczyma swemi. Ale mi tego nie powie-  
 „dziano i połowy. Większa jest mądrość i dobroć  
 „twoja, niżeli sława, którąm słyszała“ (I. c.) Potem  
 czytamy dokładne rozwody nad wzajemnymi podarami  
 któremi się uczeili król i królowa obcej ziemi.

Wśród takowej epoki gorejącej świetnością, stanął  
 ów głośniejszy kościół Salomonowy w Jeruzalemie,  
 na przyczolach góry Moria, lat tysiąc przed  
 czasem gdy Boży-Syn rzekł do Apostoła swojego, iż  
 jest opoką na której zbuduję Kościół mój.

Wszak kościół Salomonowy jest zagadnieniem tru-  
 dnym do rozwiązania dla historyi sztuki, bo mimo opi-  
 sów szczegółowych, które o nim znajdujemy w Pismie  
 Świętym, mimo najświeższych badań i prac około prze-  
 miotu tak wielkiej wagi, trudno nam uczynić sobie do-  
 kładny obraz tego budowania, co był cudem dla spo-  
 czesnych, a promienił najwyższem bogactwem.

Same już przygotowania do tej budowli były  
 ogromne. Salomon posyła do króla Tyrskiego, aby  
 mu pozwolił drzewa z lasów cedrowych Libanu; poczem  
 Salomon wybiera „robotniki ze wszystkiego Izraela,  
 „było wybranych trzydzieści tysięcy mężów, które  
 „do Libanu do dziesięciu tysięcy na każdy miesiąc us-  
 „przemiany; i po miesiącu mieszkali na Libanie, a po  
 „dwa miesiące w domu swym. Miał też król Salomon  
 „siedmdziesiąt tysięcy tych, którzy nosili ciężary,  
 „ośmdziesiąt tysięcy tych, którzy rąbali na górze (na  
 Libanie).“ A oprócz tych robotników było „przedniej-  
 szych urzędników trzy tysiące trzysta“ którzy byli prze-

łożeni nad ludem odprawującym robotę.“ (Król. III, 5. i kron. II, 2.)

Praca ta trwała lat siedm.

Widać z opisu, że kościół Salomona był zbudowany wedle wzoru pierwotnego przybytku, choć z prze-  
 pychem a okazałością odpowiednią potędze ówczesnej  
 Żydów.

Dwa wielkie dziedzińce otaczały do koła kościół. Ściany ich składały się z trzech warstw ciosowych a  
 jednej belek cedrowych. Środkowy dziedziniec prze-  
 znaczony dla kapłanów, zewnętrzny dla ludu. Świątynia  
 sama była prostokątem, a było jej wzdłuż na łokci 60,  
 a na 20 łokci wszerz, wznosiła się też na wwyż na  
 30 łokci. Widzisz że wielkość całego budynku jest  
 arcyskromna, gdy ją zechcesz porównać z ogromem  
 budowli starożytnego Egiptu lub z tamami chrześcijańskich  
 ludów. Ten budynek był w środku w poprzek roz-  
 dzielony przepierzeniem (?) na dwie części, z których  
 pierwsza stanowiła właściwy kościół (Cella), a druga  
 była świątynią przenajświętszą, czyli Sanctissimum, w  
 którym umieszczono arkę. Gdy zaś właściwy kościół  
 (cella) miał długości 40 łokci, więc na świątynię prze-  
 najświętszą przypadało 20 łokci; długość tedy kościoła  
 była 40 łokci, szerokość 20, a wysokość jak się rzekło  
 30 łokci. Sanctissimum zaś wedle tego, co powie-  
 działem, 20 łokci wszerz i wzdłuż, a zarazem 20 łok.  
 wysokości; było tedy doskonałym sześcianiem. Lecz  
 tutaj spotykamy wątpliwość główną, bo pytanie, jeżeli  
 wysokość całej świątyni dochodziła 30 łokci a Sanctis-  
 simum jedynie do 20 łokci, cóż się działo z 10 łok-  
 ciami wysokości, które jeszcze zbywały? Może tam  
 była świetlica na chowanie sprzętów świętych, może

była otwarta od góry. Ta pytanie nierozwiązane do statecznie. Ale jest jeszcze druga wątpliwość. Na wstępie do kościoła był przedsionek, którego było wzdluż 10 łokci, ale wysokość jego niepewna, choć wiemy, że był nierównie wyższym niż świątynia sama. Do tylnej ściany świątynicy i do dwóch jej boków dłuższych przytykały budynki na trzy piętra, w których były komory, zapewne skarbcce i schowania dla sprzętów i szat do nabożeństwa służących; te budynki, przylegające do ścian kościelnych, były jedynie na 10 łokci szerokie. Dach, jak się domyślają, był płaski jak to bywa na całym Wschodzie.

Trudniej nierównie wystawić sobie zewnętrzny kształt całego kościoła; wiadomo tylko, że jego ściany były pionowe a nie ukośne, jak to bywa w Egipcie, i że nie był otoczony kolumnami w koło. Pismo Starożytności wspomina, że na wstępie do przysionku stały dwie kolumny, z których jedna nazwana jest Boas, to jest Boża, a druga Jachin czyli utwierdzenie w wierze. Nie wiemy przecież, czyli te kolumny były rzeczywiście podporami, czyli stały wolno, mając tylko znaczenie symboliczne, cobym uważał za podobniejsze do prawdy; bo, o ile się zdaje, one dopiero po wybudowaniu świątynicy ulane były przez Chyrama z Tyru. Kolumny te były ze śpiżu ulane, trzon ich miał wysokości 18 łokci, krom tego głowica była bardzo potężna, bo na 5 łokci wysoka. Każda była ozdobiona w lilię, otoczona dwóma rzędami jabłek granatowych i ustrojona w siatki robotą dzianą i w sznury nakształt lancuchów (król III. 7. 17 i następne, dalej 41 i następne jeszcze kroniki II. 3). Rzeczą jest wielce niepewną, jako rozumieć mamy te sznury; niektórzy twierdzą,

i zdaje się, że słusznie, że te sznury niby przyczepione były do główic kolumn i otaczały w koło świątynię. (\*)

Widzimy tedy dostatecznie, iż świątynia Salomona mniej była dziełem sztuki architektonicznej w ścisłym znaczeniu, jak raczej, podobnie jak ów pierwszy przybytek, kosztowną ofiarą złożoną Bogu przez lud, który się błogosławieństwem Jego wzmógł i dźwignął z ponizienia w chwałę i potęgę. Że ten kościół nie był, ściśle mówiąc, dziełem sztuki, znać z tego, że osnowa najwłaściwsza dla prawdziwej architektury, bo ciosy, mniej były w poważaniu u żydów. Wszak mury składały się na przemiany z trzech warstw ciosów, z jednej warstwy belek cedrowych, a opis wyraźnie wspomina, że nigdzie nie było widać kamieni (król III. 6. 18).

Bogactwa i kosztowność budowy można sobie jedynie wytłómaczyć ze świetności panowania Salomona, który i wytknął był drogi handlowe żydom, dopiero co pasterskim, i zgromił ludy obce, zmuszając je do płacenia haraczu. Zadumienie pełne podziwu uderzało zapewne przychodnia, gdy wstąpił poza progi tej świątynicy Bożej. Gdzieś spójrzył, świeciło złoto całym blaskiem swojej okazałości; bo cały strop, wszystkie ściany do koła, nawet podłoga, wyłożone były blachą złotą! Kędyś okiem potoczył: i z góry i z dołu i z

(\*) P. Selvatico w *Historji estetyczno-krytycznej sztuki* 1852 l. str. 139 widzi w tych łańcuchach, obwodzących kościół w koło, zwyczaj, który zwykle zachowywany bywa u niektórych kościołów włoskich, niby łańcuchy jakie widzimy około naszego kościoła Maryackiego, i innych świątynie Krakowskich. — (?)

boków, jakoby w zwierciadłach złocistych odbijały się jasności gorejących szczerozłotych świeczników; a było ich 10, a każdy o siedmiu konarach, więc 70 płomieni rozświecały te bogactwa, okazałości pełne. W świątynicy stał ołtarz złocisty, i stół szczerozłoty na chleby pokładne. Ze świątynicy prowadziły do Sanctissimum drzwi z drzewa oliwnego, a na tym wehrodzie pozawieszano kobierce drogic i złote łańcuchy, na znak nieprzystępności i świętości miejsca. Samemu nawet arcykapłanowi raz tylko do roku wolno było wstąpić w tę przენajświętszą świątynicę. W niej stała arka przy mierza, a było jej wzdłuż  $2\frac{1}{2}$  łokcia, a  $1\frac{1}{2}$  wszerz i tyleż wzwyż, a była z drzewa akacyowego powleczonego złotem, a wieko zaś było ze szczerzego złota; obok arki stały dwa Cherubiny (10 łok. wys.) o rozpiętych skrzydłach, które tak były wielkie, że gdy skrzydło każdego zewnętrzne końcami dotykało bocznej ściany, skrzydło drugie, to jest, wewnętrzne, schodziło się w środku nad arką ze skrzydłem wewnętrznem drugiego Cherubina.

Tak po siedmiu latach stanął ten dom Boży gotowy; budowano go z kamienia już wyrobionego, „który przywożono, a młota, ani siekiery, ani żadnego naczynia żelaznego nie słychać było w domu, gdy budowano (król III. 6. 7).“

Wystarczy nam tedy ten ogólnie i z lekka narysowany obraz kościoła Salomona. Nie będę się też już rozwodził nad innem budowaniem króla tego, choć wyznaję, że opis pałacu, który sobie wystawił, dałby wam wyobrażenie bliższe o sztuce hebrajskiego ludu, gdyż jego architektura światowa, będąc wyrazem fantazyj wolnej i swobodnej, wyswiecełaby nam dokładnie, arty-



styczny jej kierunek. Ale podania o tym pałacu są tak niedostateczne, że z nich trudno zbudować sobie w myśli obraz wierny; z tego atoli, co o nim wiemy, zdaje się, że można upatrzeć w nim jakieś podobieństwo do perskiego budowania, choć kosztowność materiału i ozdób była przeważającym charakterem w tym pałacu Salomonowym.

Dopiero co cztery wieki stały Salomońskie pomniki w blasku i przepychu, gdy od Babilonu zerwał się światobójca Nabuchodonozor i wziął miasto Jeruzalem, i króla oślepił, i okuł w łańcuchy, i zawiódł go do Babilonu; potem przyciągnął „Nabuzardan, Hetman żołnierski, sługa króla babilońskiego, i spalił dom pański, i dom królewski, i wszystkie domy w Jeruzalem, owe wszystkie budowania kosztowne popalił ogniem. Mury także jerozolimskie w około rozwaliło wszystko wojsko chaldejskie, które było z onym hetmanem żołnierskim.“ (król IV. 25) A dawniej za pierwszym najazdem „wszystko Jeruzalem, i wszystkie księżęta, i wszystek lud rycerski zaprowadzono do Babilonu; a teraz po spaleniu i rozwaleniu Jeruzalem, ostatek ludu, który był został w mieście i zbiegi, którzy zbiegli byli do króla babilońskiego, i inne pospolstwo przeniósł Nabuzardan hetman żołnierski“ (król I. c.). Bo Pan rzekł: „podam to miasto na spustoszenie i na świstanie; każdy idący mimo zdumieje się a świstać będzie nad wszystkimi plagami jego! — Tak stłukę ten lud i to miasto, jako gdy kto tłucze naczynie garncarskie!“ (Jerem. XIX.)

Wiadomo, jak to po pół wieku babilońskiej niewoli Cyrus dozwolił Żydom powrotu do ojczyzny. Wtedy Zerubabel postanowił nowy dom Boży w Jeruzalem

(około 520 pr. J. Chr.), który zaiste, jak się zdaje, był wiernym naśladowaniem kościoła Salomonowego, lubo mniej bogatym, z powodu mniejszej już zamożności żydowskiego ludu. Aż dopiero Heród, na 20 lat przed samą erą chrześcijańską, dźwignął świątnię pełną okazałości a majestatu, co już była przesławna na wszystkie ziemie w koło. Przecież sztuka rzymska a mianowicie grecka na ówczas już przejęła sobą świat, więc też ten kościół Heroda o tyle jedynie był przypomnieniem kościoła Salomona, o ile służba Boża wymagała rozkładu części zastosowanego do siebie, ale styl i szczegóły, i duch cały artystyczny był greckim. Ta to jest świątnia, która się tak ściśle wiąże z dziejami Chrystusa Pana; jej kolumny a stropy patrzyły się na zbawienie świata, które się gotowało rodowi ludzkiemu w tych świętych przestrzeniach. Atoli te mury, uczczone obecnością Syna Bożego, nie dostały nawet stu lat, padły pod ciężkim uderzeniem Rzymu; padło nazawsze Jeruzalem i nie podniosło się więcej z grobu swojego. Dziś nawet niepewne miejsce, kędy niegdyś stał kościół, a potomki onych mieszkańców, jakby ich widma pośmiertne, błakają się między nami, wśród świata obcego sobie, jako lud, co kona od wieków a umrzeć nie może.

Dziś w sąsiedztwie forum, wśród ciszy samotnej i natury prawie wiejskiej, dźwiga się budowanie, co okazałe, szlachetne, patrzy jakby z wysokości dziejów na sprawy ludzkie. Jest to brama tryumfalna Tytusa, pogromcy Jerozolimy, ona mu była postawiona po zgonie na oznakę ubóstwienia zwycięzcy. Dziś widać postać cesarza uniesioną przez orła ku niebu; gdy staniesz pod jej łukiem, bogate płaskorzeźby roztańczają ci, niby pismem kamiennym, historią łzawą, co

spełniła wieszczę proroków słowa. Wśród ciszy sielskiej, która cię w koło tu otacza, patrzysz na płaskorzeźby; widzisz mężów niosących skrzynie i lichtarz siedmioramienny: są to sprzęty święte z kościoła jerozolimskiego, niesione na tryumfie Tytusa; one użyte były jako świecidła by dodać blasku hardziej uroczystości nieużytych zwycięzców. Gdy dziś tryumfalne bramy zwycięzców hardych stoją samotne, niby grobowe pomniki na cmentarzu przeszłości, — gdy i po ludzie zwyciężonym, zgruchotanym nie zostały nawet miejsca, kędy stawiał budowanie swoje, gdy wszystko, co materyą, runęło w rozsypaniu, — zostało przecież światu puścizną słowo, — została światu na dziełstwo ona księga święta, co jest świętym testamentem dla ludzkiego rodu. W niej żyją głosy, które nie umilkną nigdy, w niej żyją pieśni, które po wieki wieków budzić będą wtórujące im dźwięki w sercu człowieka; ta księga już jakby deszczem niebiańskim zrosiła serca wszech ludów różnej mowy, różnego szczepu; a już nie znajdziesz kraju, ani wyspy na oceanach, ani pustkowia, ani wysokości śnieżnych, kędyby te księgi nie przemówiły słowem Bożem i potęgą niebiańską.

A godne też i przezacne szaty znalazły te pieśni w mowie hebrajskiej. Jak puszcza pierwotna Bożą ręką zasiana, po której nie powstały wrzawy ludzkiego żywota, po której nie prowadzą ścieżki, a wędrowiec wedle kory drzew a gwiazd kieruje kroki swoje, takim jest ten hebrajski język. Znawcy języków wschodnich, bystrością głęboką czyniąc porównania między hebrajszczyzną a innymi pobratymczymi językami, nie mogą się nadziwić tej mocy a świeżości, tej dzielno-

ści męskiej mowy hebrajskiej; w niej żyje cała potęga i moc pierwotna ducha, niezwałona, nieskalana. W tym języku słowa żyją, ruszają się, tehną oddechem, w nich płynie krew ciepła żywa. Tutaj słowa czasowe nawet są jakby uosobieniem, są upostaciowaniem, a przymiotniki rodzą się z powiązania wyrazów, więc i one są żywe, niby myślące, czujące jestestwa. Do tej mowy, co czystym źródłem płynęła od światła początku, sięgali po słowa historycy i od Boga natchnione wieszczę! A te słowa wyrzeczone są obrazem, każde zdanie przybiera ciało i krew, i dycha i woła, raduje się lub żali. Tutaj każda myśl wciela się w przenośnię, w porównania; każdy wyraz już sam przez się wyjawia istotę rzeczy, maluje naturę jestestwa, o które chodzi. Wszak sam Pan, „gdy stworzył z ziemi wszelki zwierz polny, i wszelkie ptastwo niebieskie, tedy je przywiódł do Adama, aby obaczył, jakoby je nazwać miał.“ (Mojżesz I. 2. 19.) A tak nazwy stworzeń powstały, gdy człowiek obaczył na żywe swoje oczy jestestwa przez Boga stworzone. I dla tego ta mowa jest malowniczą precudną, dla tego wyraz jej każdy jest obrazem, dla tego słowo żyje, i jest przenośnią i uzmysłowieniem ogromnej głębi i znaczenia. O przykłady nie trudno. „Dwa uczynione są od Boga światła wielkie“ światło większe aby *rządziło* dzień, a światło mniejsze aby *rządziło* noc i gwiazdy.“ (Moj. I. 1. 16) wody *wywiódły* płaz i ryby. Krew Aba *woła* do Pana z Ziemi!“ a ziemia *otworzyła* usta swoje, aby *przyjęła* krew brata z ręki brata!

Ztąd ta mowa tak uderzająca i potężna; ona płacze i weseli się chwytając za serce czytelnika, ona

wnosi z sobą myśl do Boga i przenika je trwogą, ona pieści duszę i straszy ją strachem.

A ten sam język, który zrazu jest niby tak uzmysławiający, obrazujący, przecie w późniejszych wiekach znów nagina się do wyrażenia myśli i pojęć rozumowych i głosi światu najwyższe prawdy.

Gdy wszech ludy w koło odstały od wiary Boga jedyne, gdy świat w koło ociemniał a wszech narody odpadły się od wiary przekazanej ludzkiemu rodowi od chwili jego poczęcia, ta Boża wiara dochowała się w sercu, jako w przybytku, jedyne tylko izraelskiego ludu. Czyliż tedy dziwno, że on, wierząc w Boga, który duchem jest, sam utonął w głębi ducha swojego, i był w przymierzu z Panem, że stał się istic ludem wybranym? Gdy inne narody lgnęły do Bogów materyi, co dowidzialne dla oczu cielesnych, lud żydowski sam jeden ze wszystkich widział Boga oczyma serca swojego, więc skupił się w sobie a zebrawszy się w duchu swoim oddziaływał całą potęgą na bałwochwalstwo, i bronił się zarazie, co się rakiem rozjadła w świecie, tocząc duszę zepsuciem.

I dla tego właśnie, póki lud żydowski stał wiernie przy wierze swojej, póty też fantazya jego, będąc trzymana w karbach, nie zbłąkała się ani w bałwochwalstwo, ani w światy czarodziejskie imaginacyi, ani w panteistyczność, jak to czyniły inne ludy, u których fantazya była twórcielką religii. I dla tego też, jak do téj ziemi i tych dziejów jój nie możemy stosować miary, którą mierzymy inne ludy, tak też te jój pieśni już nie ulegają ani zwykłemu sądom, ani rozbiorem używanym przy rozpatrzeniu się w sztuce innych ludów. Z tego powodu zrozumiesz, jak już wyżej

rzekłem, dla czego w tém miejscu dopiero mówimy o Żydach i o ich pieśniach natchnionych tchem Bożym, i dla czego to nasze rozprawianie o nich, jest jakoby przysionkiem do świata chrześcijańskich ludów.

Z tych przyczyn tedy ograniczamy się li na wypowiedzeniu tych uczuć a wrażeń, jakie one czynią na duszy każdego człowieka, który został zdrowym na rozumie i zdrowym na sercu.

Chciéj baczyć, że gdy lud ten oczyma ducha swego widział Boga i zebrał się we wnętrzu ogniska duszy swojej, więc też zrodziło się w nim uczucie liryczne niewypowiedzianej głębi i odezwało się w nim jakby westchnieniem głębokiem. A jak on nie stwarzał sobie obrazów malowanych i rzeźb, tak też i w pieśniach nie dokończył obrazów i przenośni rozpoczętych. Najczęściej się dzieje, że obrazy dopiero się rodzące już rozplývają się na inne a inne.

Tutaj zaiste dusza, gorejąc płomieniem świętym, który Bóg w niej rozpałił, niema dość spokoju w sobie, by dokonała w zupełności rozpoczętych obrazów i przenośni! A zważ, że się to dzieje mimo języka tak plastycznego, którego same słowa już, jak rzekłem, są obrazem, a same zdania już są przenośnią malowniczą. Niechaj ci się atoli nie zdaje być sprzecznością ta liryczność uczuć z jednej strony, a plastyczność języka z drugiej strony. Bo rzekłbym, że gdy właśnie w tym języku każde słowo jest rozpoczęciem obrazu i przenośni, już tém samym każdy wyraz następny nie jest rozwojem obrazu rozpoczętego przez słowo poprzednie, ale sam staje się znów zarodem nowego obrazu. Niechciéj zarzucić, że znajdujemy to w księgach Ilibowych, to w Psalmach, obrazy natury

najwyższej doskonałości plastycznej, będące na wieki wzorem, jak malować naturę. Prawda, aleć ja też w powyższej charakterystyce kreśliłem tylko ogólne cechy tych pieśni świętych; a nadto zważ, że tam nawet, gdzie obrazy uderzają nas podziwieniem, najczęściej one złożone są z wielu po sobie idących obrazów, a co więcej, te malowania natury wszystkie bez wyjątku mają to właściwe sobie znamie, że w nich mniej chodzi o naturę samą, jak raczej o to, aby wystawić Majestat i Moc Bożą; te obrazy są złotym haftem na rąbku szaty Pana na Niebie. Jak cała natura nie ma znaczenia przez się i jest jedynie podnożem Bożego tronu, tak też te opisy wspaniałe natury mają o tyle znaczenia, że są spotęgowaniem uczuć lirycznych, które wypływają pieśnią na chwałę a uwielbienie Pana!

Ta liryczność gorąca, serdeczna, wylewa się Hymnem, Oda, Psalmem; te pieśni święte, niby kadzidło ofiarne, wznoszą się ku niebu, otaczając Boży tron. A tchną one tęsknotą nieskończoną, miłością gorącą; w tej tęsknocie rzewnej a miłości gorącej płacze serce za Panem; ale te pragnienia duszy, te upały serca, one dopiero znajdują ukojenie swoje, gdy sam Pan, sam Zbawiciel świata, stanie się człowiekiem i zstąpi wśród ludzi.

Wśród tej liryczności głębokiej a tęsknoty nieskończonej, opowiadanie Bożych łask, przez naród cały i pojedynczych ludzi doznanych, rosą pocieszenia. Jakoż te zdarzenia, w których lud żydowski miał jawne świadectwo łaski Bożej zawsze i wszędzie mu obecnej, opowiedziane są tchnieniem z góry idącym,

więc też poruszają serce czytelnika w najcichszych głębiach i grają mu rzewnością w duszy jego.

Wspomnij np. na historią Agary.

Abraham wstał bardzo rano i, wzięwszy chleb i łągiew wody, dał Agarze, i to włożywszy na jej ramię, odprawił ją z dzieciąciem.

Agar z dzieciąciem błąka się sama jedna wśród pustyni. Ale nie stało wody w łągwi! Matka złożyła dziecię pod drzewem. I odeszła, siadła naprzeciw niego tak daleko, jako na strzelenie z łuku. Bo mówiła: Nie będę się patrzyła na umierające dziecię!

A tak siedząc naprzeciw niemu, podniosła głos i płakała!

I wysłuchał Bóg głos dzieciący. I zawołał Anioł Boży Agarę z Nieba. I wołał: co czynisz Agar! Nie bój się, wysłuchał Bóg głos dzieciąca z miejsca, na którym ono jest! Wstań, podnieś syna i wzmocnij nim rękę twoją. Bo ja w naród wielki rozmnożę go. Wtedy Bóg roztworzył oczy jej, że ujrziała źródło wody; i poszedłszy do niej napełniła łągiew wodą i dała pić dzieciąciu.

I był Bóg z tém dzieciąciem. Ismael urósł i mieszkał na pustyni i stał się szelcem (Mojż. ks. I. r. 21. w. 14.)

Patrz, równie wzniosłym a pełnym prostoty jest opis następujący.

Jakób, w podróży do Mezopotamii, pewnego wieczora zaszedł w miejsce bezludne, opuszczone od świata. Słońce już zaszło. Tutaj Jakób chciał nocować. Wzięwszy jeden z kamieni, które leżały na tém miejscu, położył pod głowę swoją, i spał na témże miejscu. I śniło mu się, że widzi drabinę stojącą na



ziemi, a wierzch jęj dosięgał nieba, a Anioły, Boże wysłauniki, wstępowaly i zestępowaly po niej. A na jęj szczycie stał Bóg i rzekł: Jam jest Jehowa, ojca twojego Bóg!..... Ota ja jestem z tobą i strzedz cię będę, gdziekolwiek pójdziesz, i przywrócę cię do tęg ziemi, i nie opuszczę cię, aż uczynię com rzekł!

A gdy się ocknął Jakób ze snu swojego, rzekł; Zaprawdę Pan jest na tęg miejscu! — A jam nie wiedział! — i przeląkł się w duszy, i mówił: O jakże to miejsce jest straszne! Tu Boże mieszkanie! Tu brama niebiańska!

Świt pokazał się na niebie. Jakób wstał bardzo rano. I wziął kamień, który był podłożył pod głowę swoję i postawił go na pomnik i nalał oliwy na wierzch jego. I nazwał miejsce Betel, bożym domem. I uczynił ślub mówiąc: Jeżeli będzie Bóg ze mną, a będzie mię strzegł na drodze, którą idę, i da mi chleb i szaty, jeżeli się wrócę w pokoju do ojca mojego, tedy Jehowa będzie mi za Boga! A ten kamień, który wystawiłem na znak, będzie Bożym domem!

Te lęki, które padły na Jakóba, to widzenie, które miał we śnie należą do historyi młodości jego. A on urosłszy w męża pasuje się z Aniołem oną nocną walką, która cię przejmie dreszczem byleś w nięj duchem utonął. (Moj. I. r. 32. w. 25.) (\*)

Jeżeli dusza zabiegnie ci boleścią nieubłaganą, gdy na serce padnie powątpiewanie i smętek nocny pełen rozpaczy, wtedy roztwórz księgi Hiobowe i

(\*) Wykład Filozofii T. I. str. 342.

naucz się ze świętokradzkim zuchwałstwem są wszelkie twoje sądy o rządach Bożych; naucz się, że płoche i grzeszne będą twoje szperania, gdy z nieszczęścia doczesnego lub szczęścia doczesnego zechcesz odgadnąć winy albo zasługi człowieka przed Bogiem. Ze taką naukę wyniesiesz w życie z ksiąg Hiobowych, toć jest zdanie uświecone orzeczeniem ludzi wielkiej powagi; toć jest prawda, którą potwierdzi własne serce twoje, byleś czytał te księgi ze skupieniem się w sobie! Księgi Hiobowe uczą byś stał wiernie przy Bogu i ufał całą głęboką ufnością w łaski Jego, a w końcu Bóg poda ci rękę i nie będziesz zawstydzony przed ludźmi w ufności twojej w Panu, a w nadziejach położonych w nim. A gdy cię Bóg nawiedza, to ufa tobie, że się nie zachwiejesz w sobie. A któryż człowiek, który z narodów tak pewny przyszłości swojej, by dufał że na niego nie przyjdą dni Hiobowe, dni łez i poniżenia, że nie dozna, co nawiedzenie Pańskie!

Zrozumiesz, że tutaj jedynie w wielce skróconej treści podać ci mogę dzieje Hiobowe; wszak one należą do najstarszych podań ludzkiego rodu.

Był mąż w ziemi Uz, imieniem Hiob, a ten mąż był doskonały i prosty, i bojący się Boga, a nie czyniący złego. I urodziło mu się siedm synów i trzy córki. A miał Hiob siedm tysięcy owiec i trzy tysiące wielbłądów, i pięćset jarzm wołów, i innego dobytku bardzo wiele, tak iż on mąż był najmożniejszy nad wszystkie ludzkie na Wschód słońca.

I schadzali się synowie jego i sprawiali uczty i posyłali do siostr, aby biesiadowały z nimi. I tak z kolei odprawowali uczty, a gdy biesiady obeszły w koło, wtedy wzywał ich do siebie Hiob, i wstawając

rano czynił tyle ofiar, ilu było synów. Bo mówił Hiob u siebie: może zgrzeszyli czém synowie moi i nie błogosławili Bogu w sercach swoich! — Tak czynił Hiob po wszystkie dni....

Gdy tak się działo z Hiobem na ziemi, stało się, że przed Pana stanęli synowie Boży, a był też między nimi i szatan. I rzekł Pan do szatana: Skąd idziesz? I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Okrążyłem ziemię i schodziłem ją. I rzekł Pan do szatana: Przypatrzyłżeś się słudze mojemu Hiobowi, że mu niemasz na ziemi podobnego? Mąż to doskonały i prosty i bojący się Boga i nieczyniący złego.

I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Azaliż się Hiob darmo Boga boi? błogosławiłeś sprawom rąk jego, i dobytek jego rozrósł się po ziemi! Ale ściągnij tylko rękę twoją a dotknij wszystkiego, co ma, a obaczysz czyli w oczy złorzeczyć nie będzie!

Tedy rzekł Pan do szatana: Oto wszystko, co ma, jest w ręce twojej, tylko na niego samego nie ściągaj ręki twojej! — I odszedł szatan od oblicza Pańskiego.

Stało się pewnego dnia, że przybieżał posłaniec do Hioba i powiedział, jako przypadli Sabejczycy i zabrali woły orzące i pasące się oślice, i pozabijali sługi mieczem, a uszedłem tylko ja, ja sam, abym ci oznajmił. A gdy ten jeszcze mówił, przyszedł drugi i rzekł: ogień Boży spadł z nieba, i uderzywszy na sługi i owce spalił je. Jeszcze ten mówił, gdy przyszedł inny i rzekł: Chaldejczycy, rozsadziwszy się na trzy hufce, wypadli na wielbłądy i zabrali je, i sługi pozabijali ostrzem miecza i uszedłem tylko ja sam, abym ci oznajmił. A gdy ten jeszcze mówił, przybieżał inny i rzekł: synowie twoi i córki twoje jedli i pili

wino w domu brata swojego pierworodnego; a oto wiatr gwałtowny przypadł od onęj strony pustyni i uderzył na cztery węgly domu tak, że upadł na dzieci twoje i pomarły, a uszedłem tylko ja sam, abym ci oznajmił.

Tedy wstał Hiob i rozdarł płaszcz swój i upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. I rzekł: Nagim przyszedłem na świat, nagi się wrócę. Pan dał, Pan odjął: jako się Panu podobało, tak się stało. Niechaj będzie imię Pańskie błogosławione.

Gdy tak się działo z Hiobem na ziemi, stało się pewnego dnia, że przed Panem stanęli synowie Boży. przyszedł też szatan między nich i stał przed oczyma jego. I rzekł Pan: Przypatrzyłeś się Hiobowi słudze mojemu, że mu niemasz podobnego na ziemi; mąż to doskonały i bojący się Boga a zachowujący niewinność swoją, choć trapiiony bez przyczyny! I odrzekł szatan: Wszystko, co ma, człowiek oddaje za duszę swoją, ale ściągnij tylko rękę twoją i dotknij się kości jego ciała jego, a ujrzysz, czyli w oczy złorzeczyć nie będzie. Tedy rzekł Pan do szatana: Oto w ręce twojej jest. Wszakże żywot jego zachowaj!

Wyszędłszy tedy szatan zaraził Hioba niemocą i raną od stopy nogi jego aż do wierzchu głowy jego.

Wtedy przyszła własna jego żona do niego i rzekła: Jeszcze trwasz w bogobojności twojej! Błogosław Bogu i umrzyj!

I rzekł do niej Hiob: Izali tylko dobre przyjmować będziemy od Boga a złego przyjmować nie będziemy!

A miał Hiob trzech przyjaciół dawnych; ci, gdy usłyszeli to wszystko złe, które nań przypadło, przyszli każdy z miejsca swojego, przyszedł Elifas i Bilad i Sofar. Bo się byli zmówili, żeby pospołu przy-

szedłszy nawiedzili go i cieszyli. A podniósłszy zdaleka oczy swoje, nie poznali go, i zakrzyknawszy płakali a rozdarłszy szaty swoje sypali proch na głowy swe ku niebu.

I siedzieli z nim na ziemi siedm dni i siedm nocy, a żaden do niego słowa nie mówił, bo widzieli, że się wzmagala gwałtownie boleść jego!

Wtedy Hiob otworzył usta swoje i zlorzeczył dniowi i nocy urodzenia swojego. I mówił: Dzień on niech się obróci w ciemność, niech się o niego nie pyta Bóg z wysokości! Niech go zaćmią światłości i cień śmierci! Noc onę ciemny wicher niech zasiądzie! aby nie szła w liczbę dni rocznych i niechaj nie będzie policzona w miesiącach. Bodaj noc ona była samotna i abym w niej nie było śpiewania! Bodaj się były zaćmiły gwiazdy mrokiem jój, a czekając światła, aby się nie doczekała, ani oglądała zorzy porannój! Czemuż nie umarłem przed urodzeniem, albo czemu urodziwszy się nie zginąłem! Czemuż mnie piastowano na kolanach, czemu byłem karmiony piersiami. Teraz bowiem odpoczywałbym i miałbym pokój!

Bo tam niebożnicy przestawają straszyć i tam odpoczywają spracowani siłą. Tamże więźniowie sobie wydechają, a nie słyszą głosu trapiącego ich. Mały i wielki tam sobie równi są, a niewolnik wolny od pana swojego. Czemu nędznemu dana jest światłość, a żywot tym, którzy są utrapionego ducha, którzy czekają śmierci a nie przechodzi, choć jój pilniej szukają, niż skarbów ukrytych.

Wtedy Elifas gromi Hioba dla niecierpliwości jego, a powiada, że te utrapienia nań przyszły od Boga dla grzechów jego, bo Bóg niewinnego nie karze.

I tak mówił Elifas: Jeżeli będziemy mówili z tobą, czyliż ci nie będzie bolesno? Otóż ty wielu innych uczyłeś i wzmacniałeś ręce obce, gdy omdlewały, upadającego wspierały mowy twoje a kolana zemdlone posilałeś; a teraz, gdy na ciebie przyszła plaga, ustałeś w mocy twojej i strwożyłeś się! Czyli pobożność twoja nie była ufnością twoją? Gdzież teraz jest moc twoja? Słuchaj! doszło mnie słowo ciche i dosłyszało szepty jego ucho moje. — Było to w godzinie nocnych widziadeł, gdy sen twardey ludzkie zmorzy — zdjął mię strach i drzenie — i wszystkie kości moje strachem zdjęte były! duch około mnie szedł, szedł tuż przed twarzą moją! a włosy stanęły na mojej głowie! — I stanął! Stanął ktoś a nie znałem twarzy jego. Kształt tylko jakiś był przed oczyma memi — oniemiałem — i słyszałem głos jako cichego powiewu: — Czyliż człowiek, porównany Bogu, będzie usprawiedliwiony; czyli człowiek czyściejszy niżeli Bóg? —

Na to Hiob okazuje, że ciężiej cierpi niż zasłużył, uskarża się na przyjaciół ciężko, że go opuszczają. I rzekł Hiob: Daj Boże, aby grzechy moje, któremi na gniew zasłużyłem, i nędza, którą cierpię, były włożone na wagę, a nędza ukazałaby się cięższą niż morskie piaski. Ztąd dla boleści moich nie stawam mi słów.

Ale wy na łajanie słowa stroicie, a przewiewacie mowy utrapionego! Na sierotę targacie się i chcecie wyrzucić przyjaciela waszego. Wszakóż coście zaczęli dokonajcie, nadstawcie ucha i obaczcie, czyli mowa moja kłamstwem jest. Odpowiedzcie proszę bez swaru, a mówiąc, co jest sprawiedliwe, osądźcie. I nie znajdziecie w ustach moich nieprawości.

Dalej powiada Hiob czem żywot ludzki jest, mówiąc: Bojowaniem jest żywot człowieczy na ziemi, a jako dni najemnicze są dni jego. On jako niewolnik pragnie cienia, a jako najemnik czeka końca pracy swojej!

Potem Hiob woła do Boga, śmierci żądając, i mówi: Wspomnij, o Panie, że żywot mój powiewem jest. Jeżeli rzekę do siebie: pocieszy mnie nocne łoże moje i ulży mi się, gdy będę z sobą mówił na pościeli, tedy mnie straszysz przez sny, i widmami trwożą trząszasz! Sprzykrzyłem sobie żywot! Zaniechajże mnie, bo marnością są dni moje! Cóż jest człowiek, że go tak wielce ważysz, że go nawiedzasz na każdy zaranek? I że w każdej chwili doświadczasz go?

Teraz Bildad Elifasowi wtóruje, gromiąc Hioba, i domawiając mu do żywego rzecze: takieć, jak twoje, są drogi wszystkich, którzy zapominają Boga, i tak nadzieja obłudnika ginie. Podcięta bywa nadzieja jego, jako siatka pajęcza, i ufanie jego.

Tak tedy wzmaga się spór jątrzący duszę Hioba. Przyjaciele coraz groźniej i twardziej nastają nań, mówiąc że on grzesznikiem wielkim jest, bo go Bóg tak srodze karze, że jego prawość dawna, sprawiedliwość była obłudą, a teraz zawstydzon jest w obliczu ludzi. A Sofar prawi, jako Hiob dwakroć większe karanie zasłużył. Tak każdy z nich, a każdy wedle własnego trybu a patrzenia swojego, przykrą a niesłuszną nauką jątrzy serce Hiobowe. Wtedy Hiob, nie będąc już siebie mocen, wywiaduje się od Boga przyczyny utrapienia swojego, woła: Jeślim bezbożny, biada mi! a choćbym też był sprawiedliwy nie podniosę głowy mojej, będąc nasycony pohańbieniem! Czemu

mnie na żywot wywiodłeś! Ach bym był umarł, żeby  
mnie było oko nie widziało!

A później w chwili, porwany gorączką sporu i  
uniesienia, jakby zapominając siebie, woła: Przecież  
niepobożni żyją, starzeją się, wzmagają się w bogac-  
twach, a oni weselą się przy odgłosie muzyki! — *Lecz*  
wrychle cofa zbyt śmiałe orzeczenie i z boleścią, pełną  
rozzewnienia, przywodzi sobie na pamięć dawną bło-  
gość swoją. O bodajby mi się wróciły miesiące dawne  
i dni one, w których jeszcze Bóg był mi opiekuńczym  
stróżem, gdy pochodnia jego świeciła jeszcze nad głową  
moją, a ja w jej promieniach przechodziłem ciemności,  
gdy za dni młodości mojej Bóg, siadając pod strzechą  
moją, był mi radą w żywocie moim! Wtedy Bóg był  
jeszcze przy mnie, a około mnie dziatki moje. Kędym  
stąpił ścieżki płynęły mléką, a ze skały płynęła oliwa  
strugami. Gdy wchodziłem bramą do miasta, na rynku  
rozpostarto dla mnie kobierce; widząc mnie młodzi  
ukrywali się, a starcy powstawszy stali, a książęta  
ucichli. Bo każde ucho słuchające błogosławiło mnie,  
a każde oko widzące dawało o mnie świadectwo; bo  
ja wybawiał ubogiego wołającego ratunku, byłem po-  
mocą sierocie, który nie miał pomocy! mnie błogosła-  
wił, kto już miał zginąć, a serce wdowy napełniałem  
radośnem śpiewaniem. Ja przyoblekłem się sprawie-  
dliwością jako szatą, przyodziałem się prawem jako  
płaszczem i zawojem, byłem niewidomemu okiem, chro-  
memu stopą, byłem ojcem ubogich, i ujmowałem się  
nawet za prawem nieznanym mi..... A teraz sy-  
nowie tych, których niegdyś z pośród ludzi wygoniono,  
za którymi wołano jako za złoczyńcami, brzydzą się  
mną i oddalają się odemnie; stałem się śpiewką ich!



W końcu przeciwnicy Hioba umilkli, przemożeni wywodami jego. Ale występuje jeszcze czwarty, rzecznik Elihu, co był młodzieńcem; on, widząc milczących, strofuje starce z niemądrości, że nie umieli Hioba przekonać; namawiając tedy słuchania, pokazuje nieprawosć Hiobową i długo się wielce rozwodzi, lubo jemu już nikt nie odpowiada.

Ale w tém wichry zagrzmiały, a Pan przemówił z wichrów. I przemówił Pan do Hioba. Któż to jest, co zaciemnia wyroki moje nieroztropnemi słowy! Gdzieżeś był, kiedy zakładał węgły światu? Któż uczynił rozmierzenie jego, gdy śpiewały wespół gwiazdy poranne, i radowali się wszyscy Boży synowie: Kto postawił bramę morzom, gdy się wrywały na świat, jako rodzące się; kto morzu, jakby niemowlęciu zrodzonemu, dał obłoki za szatę jego, a ciemność za pieluchy jego: Czyliż ty skinąłeś na świtania i okazałeś, kiedy mają wschodzić zorza? Czyliż ty widziałeś śmierci wrota? wrota ciemne śmierci widziałeś ty? Powiedz, kiedy droga do miejsca, w którym się rodzą światłości, lub w którym mieszkają nocne ciemności? Czyli umiesz powiązać z sobą gwiazdy niebiańskie, albo czyli możesz rozerwać związek gwiazd Oryonu, czyli powiedziesz gwiazdy południowe, czyli powiedziesz wóz niebiański z gwiazdami jego!

..... Któż przygotował krukowi pokarm jego, gdy wołają dzieci jego do nieba tuląc się, gdy nie mają pokarmu? Azali na twoje zawołanie wzbija się orzeł w górę i składa sobie na wysokich miejscach gniazdo swoje?

Tak Pan przywodzi na oczy i dalsze sprawy wszechmocnego majestatu swojego.

Wtedy Hiob korzy się Panu i wyznaje błąd swój. A Pan zwrócił się do Elifasa i dwóch przyjaciół jego, strofując ich, że nie mówili o Bogu z tą prawością jako Hiob sługa Boży. A Pan każe im czynić całopalenia ofierne dla oczyszczenia, i poleca, by prosili Hioba, aby się modlił za nich, bo jego oblicze przyjmuje Pan. A oni uczynili jako nakazał Pan, a Bóg przyjął oblicze Hiobowe. I gdy Hiob modlił się za przyjaciółmi swojemi, Bóg powrócił mu wszystko, co dawniej miał w dwójnasób, a Pan błogosławił późniejszym czasem Hiobowym więcej niż początkom jego.

Potem Hiob żył długo i oglądał syny swoje i syny synów swoich, i umarł Hiob będąc starym i dni sytym.

Te są dzieje Hiobowe. One należą do najdawniejszych pomników ludzkich dziejów, bo im pewnie 3,000 lat z górą. One przekazane światu, by ludzie wzięli je sobie do serca.

Widzisz w tém opowiadaniu onego wielkiego Bożego dramatu liryczność, wylewającą się z najskrytszych źródeł ludzkiego ducha. A cóż dopiero się dzieje w prawdziwej pieśni lirycznej.

Mojżesz po długich walkach a pasowaniu się wywiódł lud swój z egipskiego jęctwa, wszystkie tabory izraelskie już przeszły z dopuszczenia Bożego przez morze Czerwone, a zastępy egipskiej pogoni już pochłonięte są w topielach, pochłonięte jeźdźcy i konie i wozy wojenne. Wtedy nad morzem stanął Mojżesz, wybawca swojego ludu, a uczucie dziękczynienia wzdęło mu serce i natchnęło piersi jego, i zaśpiewał i wtórował mu chór mężów i wtórował chór niewiast. I śpiewał Mojżesz, wybawca ludu swojego!

Ja śpiewam Chwałę Panu. Bo mocny jest Bóg! Bóg, co wtrącił w morze i konie i wozy wojenne! Mocą moją i Chwałą moją Pan, i stał mi się zbawieniem Bóg. On jest Bogiem moim, i wielbić będę Boga, co jest Ojca mojego Bogiem. . . . .  
(Mojż. ks. II. roz. 15.)

A jest druga jego pieśń przedśmiertna. Gdy po mozołach a długim pracowaniu i trudzeniu ujrzał na koniec tę Ziemię Obiecaną, otuloną w dali słońcem i niby przejrzystą oponą. Wtedy wyszedł Mojżesz i rzekł: „sto dwadzieścia lat jest mi dziś, a powiedział mi też Pan: nie przejdiesz za Jordan, i ty zajdziesz między ojcami twojemi!“ A Mojżesz, przewidując odstępstwo Żydów od wiary, napisał słowo drugiego zakonu, a gdy je napisał, kazał je włożyć do Arki Przymierza i rzekł do ludu: Ten zakon będzie tam przeciw tobie świadectwem. I mówił do ludu. Znam ja upór twój i kark twój twardy. Oto, póki ja jeszcze dziś z wami żyję, byliście upornymi, co dopiero kiedy ja umrę! (Mojż. ks. V. r. 31, w. 27.) Wtedy w obec wszystkiego zgromadzonego ludu zaśpiewał pieśń: Słuchajcie niebios a mowę moją; słuchaj słowa ust moich. Jako deszcze, niechaj płynie uczczenie moje, niechaj słowa te rosą jako wilży rosa, jako deszcz ziele młode, jako rosa wilży trawę wszystką. Bo wielbię imię Boże; oddajcie Panu cześć. Opoką jest Bóg, i bez chyby jest dzieło jego! I wszystkie drogi doskonałe są! Bo On jest bez błędu; Bóg sprawiedliwy i wierny jest . . . . .  
. . . . .  
. . . . .

(Mojż. V. 32.)

Ta liryczność pierwotna wzmaga się i rośnie majestatem przez następne czasy, aż dosięga najwyższej swojej potęgi za lat Dawida i Salomona. Wszak czasy Sędziów, wyprzedzające panowanie królów, były pełne trudu twardego i pełne walki ze sąsiedzkimi szczepami, a jak lud cały żydowski nabrał hartu, jak urosł w one bohaterki postaci: Jeffego, Gedeona, Samsona, tak i mowa jego zmeźniała w sile a mocy godności pełnej. W tej epoce mężkiej rozwinął całe swoje głębie i wdzięki swoje właśnie wtedy, gdy i państwo stanęło w całym blasku swoim. Dodaj jeszcze, że muzyka, równorodna siostra pieśni, nastroiła je do melodyj a harmonij swoich. Dawniej pieśni miała-li za miarę swoją instynkt serca; jej rytmem były uczucia i natchnienie bezświadome siebie; gdy się atoli złączyła z muzyką, już te obrazy, pieśni objęte, płynęły na falach tonów, a tak pieśń sama winna się była stosować do tonów tych, a tak nabrac muzykalnego rytmu. To poślubienie muzyki z pieśnią było bardzo dawne. Wszak ów hymn Mojżesza nad morzem Czerwoném był śpiewany chórem przy odgłosie narzędzi muzycznych. Wiemy też że przeróżnaito były te narzędzia muzyczne, i że ich miało być 63 rodzajów; lecz choć wiemy, jak się nazywały, przecież trudno nam odgadnąć ich znaczenie i kształt. Wszak i wyobrażenia nasze o całej muzyce hebrajskiej są wielce niedostateczne. Jest atoli pewna, że lud, tak pierwotny jak Żydzi, nie mógł mieć zapewne muzyki sztucznej, że jego melodye były zaiste pełne prostoty. Mimo tego jednak wątpić nie można, że muzyka ta ogromną potęgą chwytała duszę; bo całe usposobienie Żydów było wskrós liryczne, muzykalne.

Samo podanie owo o Dawidzie, który śpiewem muzyką urzekał obłąkanie Saula, i zaklinał ducha złego, który nim miotał, dowodzi i wykształcenia tej sztuki u tego ludu, i jej mocy nad sercem jego. Jakoż Dawid, zostawszy królem, ustanowił cztery tysiące Lewitów mających wtórować muzyką służbie Bożej; wiemy również, że do tego celu za jego czasów byli osobni nauczyciele śpiewu i 284 śpiewaków. Zdaje się, że to usposobienie Żydów do muzyki przetrwało wieki i wszystkie ich losy i koleje. Rozpatrz się w całym poczcie dzisiejszych wielkich muzyków, a obaczysz, że nieporównanie większa ich część jest starozakonnego pochodzenia, gdy tymczasem tak rzadko znajdziesz ich mistrzami w innych rodzajach sztuki.

Łatwo zrozumieć, że liryczność dosięgła najwyższej wysokości swojej w Psalmach Dawida. Arfa jego była mu za dni młodości jego pociechą i utuleniem w żalu, ona mu śpiewała ufnością w Bogu.

Gdy na niego przyszły strachy, gdy lęki płoszyły serce jego, wtedy pieśń i muzyka dodawała mocy, a dźwięki jej uniosły z duszy ciemne grozy. A gdy znów zajaśniały dni pogody, gdy radości uczyniły z serca jego przybytek wesela, wtedy, niby Anioły Boże, ze strun barfy ulatują hymny uwielbienia, niosąc cześć Panu na wysokościach. Czyliż ci więcej mam prawić o tych pieniach Dawidowych? gdybym się i najwięcej nad nimi rozwodził, toby słów brakło; bo one są najwyższą lirą, jaka kiedy pojawiła się między ludami. Żadna literatura Zachodu i Wschodu, żaden wiek ani starożytny ani nowożytny historyi, żadne stolecie niema takich pieśni, takich hymnów, jak są te Psalmi Dawidowe. Któż ich nie zna! Komuż one

nie są towarzyszem przez życie. Jakoż dzięki niechaj będą Janowi z Czarnolesia — bo on je uczynił własnymi pieśniami naszymi, on je uczynił talizmanem każdego domu naszego, każdej naszej rodziny. Matki czytają te Psalmy jego nad śpiącym niemowlęciem, te Psalmy czytają i nad konającym starcem, czytają je mali i wielcy, w nieszczęściu i w utrapieniu, w jasnych i ciemnych chwilach.

A z Psalman już nazawsze brzmieć będzie w duszy Pieśń nad Pieśniami Salomona i będą myśli przyświecać przypowieści jego.

Czyli ci wspomnieć o wieszczych głosach Proroków! wszak one są jakby wyrocznice, które Bóg umieścił w sercu, świecąc w niem światłem. Boże myśli, co ogarniają gwiazdy, ześlubiają przeszłość i przyszłość, rządzą światami, co są wszechobecne, wszędzie rozlane, jako pulsa wszechistnienia i niewiedoma jego krew a żywot, — te myśli Boże są także obecne i w sercu człowieka, bo są tchem Bożym, tchnionym na niego przy stworzeniu jego. A wedle czasu i wieku, narodu i człowieka, ten Boży dech, to przytłumiony, zaledwie błysnie w sercu iskierką mdłą sumienia, tęsknego przeczucia lub sennym obrazem, to znów rozplómieni się jasnym światelkiem; lecz gdy człek Bożym jest wybrańcem, wtedy już w nim buchnie ogniem płomiennym i ogarnia całą duszę; cała dusza śmiertelnego człowieka zajmie się pożarem Bożym i gore ogniem proroczym za łaską a dopuszczeniem Bożem; — wtedy Pan sam przemawia przez usta śmiertelne.

Michał Anioł na stropie Syxtyńskiej kaplicy roztoczył historią zrodzeń świata; a u góry między ścianą

a sklepieniem widzisz proroki, męże od Boga natchnione, co widzeniem duchowém, słuchem nie z tego świata poczętym, widzą i słyszą nadchodzące dzieje ludzkiego rodu! I przed nimi księgi przyszłości rozwarte, i obok nich stoją Aniołowie, wysłanniki Bożych dziejów, i szepeją i mówią. Obok Proroków mistrz pokazał Sybille ludów pogańskich; niemi miota przeczucie, przeczucie nieznane, senne zapala im oczy, wstrząsa łękiem serce; bo do nich doleciał duch — duch, co wróży o przyszlém świata zbawieniu. I znów około okien kaplicznych widzisz świat cichy rodzinnego zycia: tutaj jaśnieje świętość domowego obyczaju, uosobiona w postaciach przodków Panny Przenajświętszej. Oni od pokolenia do pokolenia piastują w sobie wiarę, że z ich rodziny wyjdzie Matka-Dziewica, Matka Zbawiciela; więc czekają chwili onęj wielkiej, gotują się do niej. Te postaci, piękności pełne i wdzięku pełne, są jakby uobrazowaniem tej tęsknoty, tych żalów rzewnych, tych pragnień, co brzmiały w pieśniach świętych izraelskiego ludu, które żyły w sercu wszystkich dziejów jego. Więc z zebraniem serca czekają przodkowie Panny Przenajświętszej spełnienia się Niebios łaski, czekają w świętości nieskalanego obyczaju i gotują się do onęj Wielkiej Nocy, w której się spełnią proroctwa proroków. I spełniły się! Na ścianie wielkiego ołtarza Chrystus Pan Zbawiciel stanął na sądzie, by sadzić żywych i umarłych. Nad nim Bóg Ojciec i Duch Święty, obok Niego Rodzica Jego Przenajświętsza; trąby Archańców zagrzmiały na sąd, ziemia się rozstała, groby jako kretowiska się poruszyły; ziemia pęka, umarli zmartwychwstają, i piekło się rozwarło; szatany, złego

potęgi, roztwarły na oścież państwo swoje. I niebo się rozwarło — tam pasowanie się potępieńców z szatanami, tu wniebowzięcie wybranych i niewypowiedziane wiekuiste wesele. Jest to Sąd ostateczny Michała Anioła w kaplicy Syxtyńskiej.

---



# LIST XXVI.

## FANTAZJA U LUDÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH.

### Średnie wieki.

Wstęp. — W. ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie, wykonany przez Wita Stwosza. — Widok wewnętrzny kościoła. — Święte postaci na w. ołtarzu. — Wrażenia których doświadcza widz. — Charakterystyka tego dzieła. — Porównanie tej sztuki z grecką rzeźbą. — Bliższe opisanie Stwoszewego dzieła. — Wpływ malarstwa i architektury w tém dziele. — Dramatyczność. — Wpływ wiary Zbawienia na mistrzów Chrześcijańskich. — Nowy kształt świata. — Sztuka zmienia znaczenie swoje. Romantyczna fantazja. — Porównanie powołania sztuki w Grecyi a u ludów Chrześcijańskich. — Cofanie się ducha w siebie a sztuka ludów Chrześcijańskich. — Zastosowanie tej prawdy do dzieła Stwosza. — Miłość niebiańska i Legenda. — Prawda wiekuista w sercu zamieszkuje. — Skrucha. — Dokończenie o dziele Stwosza. — Niewiasta, rodzina i obyczaj domowy w świecie Chrześcijańskim. — Rzeźba, dla tych samych powodów dla których jest sztuką odpowiednią światu klasycznemu, staje się sztuką mniej właściwą dla ludów chrześcijańskich. — A natomiast pojawiają się iune sztuki odpowiednie duchowi czasów Chrześcijańskich. — Fantazja romantyczna.

**W**ierzaj, ten podeszły krakowski gród jest jakby galeryą zabytków sztuki staręj, zostawionych od dawno-zapadłych czasów puścizną na artystyczny dorobek

pokoleniom późnym. Wszak historia świata, przechodząc wędrowką po ziemi, nie mijała też nigdy naszego miściska; a co który wiek nowy pojawił się w ludzkich dziejach, znalazł też gościnę od serca w tym podsiwiałym domu; więc też każdy z nich, z kolei do wieczności się wyprawując, zostawiał w nim jakąś pamiątkę swojego pobytu, a na znak wdzięczności za uczciwe przyjęcie obdarował upominkiem, by się też miało czém pochwalić a ustroić miasto nasze. Ztąd ten Kraków stanie za obrazkową książkę, w której się doczytasz gadek starych o uczłowieczeniu się człowieka, i o pracach jego wdzięcznych około umajenia doczesnego żywota.

Gdy ci spokojnie w piersiach, a cicho na dworze, na świecie, weź się przechadzać po tych ulicach, rynkach, kościołach, domach i szarych kątach naszych, a nie mało się nacieszysz, byleś miał oczy ku widzeniu, a troszkę uczucia, co to nie głuche, nie twarde na to wszystko, co ludzi obchodzi.

Ledwie się puścisz na taką wędrowkę estetyczną, a już cię zagadnie rzeźba mistrzowska, co na chwałę starych wieków wmurowana w ścianę kamienicy pradziadowej. Rzeźbione święte figury, - to arcydzieła sztuki gotyckiej; one oddychają pobożnością umarłych czasów i, jakby pacierzem na kamieniu wrytym, modlą się za one wszystkie pokolenia, które pod ich stopami długim szeregiem przebicdowały życie tuteczne. Postaci rzeźbione kwitną młodością wiekiustą swoich uroków, a owe pokolenia o drgającym sercu, o krwi cieplej, żywej, przeminęły jako sen. A znów nieco dalej zatrzyma cię na drodze kaplica kościelna, ubrana od ulicy, jakby na święto, w precudny Zygmuntowski

renesans. Ta zacna sztuka szesnastego stolecia, przebudzona z nocnych magicznych widziadeł wieków średnich, tak szlachetna i czysta, powitała świat uśmiechem wdzięków świeżych, a ufna w siły swoje a wiosenne czary patrzyła na swoją przyszłość pełną nadziei tak bogatęj a przecieź tak kłamiwęj, zawodnęj. Widząc te szlachetne linie, któremi tu biegną wyrabiane jej ciosy, tę muzykę rysunku, te pełnem uczuciem piękności wyrabiane liścianki, rosety, hisiorki, serce ci smętkiem zabiegnie na myśl, że chmury słotne, mroczne następnych stolecioów padły na ten cudnie piękny świat, i samowolnie nasunie ci się obraz dziewicy młodej, — co wyrosła z marzeń sennych, zrodzonych ciemnem serca przeczuciem, co ufna swoim wdziękom narzeczona szczęściu, zaślubiona swojej miłości, pełna nadziei, otwartem sercem, jasnem okiem wita przyszłość uroczą — bezświadoma chmurnych słot i nieszczęść przyczajonych milczkiem na dalszej drodze jej żywota.

Indziej znowu, gdzieś w zakąciu zapyłonej sieni jakiegoś odwiecznego domu, rysują się kamienne odrzwia, sięgające może żywota ostatnich Piastów. Fantazya średnich stolecioów, owa wróżka czarnoksiężka, oplotła je zwojem gałęzi i liści misterynych, wydziergała na nich kształty magiczne, jakby powieści ze starych lat. Zdaje ci się, iż to furta do państwa czarów, że za temi drzwiami świecą brylantowe pałace, ogrody śpiwające, drzewa, co rodzą, jakby złociste jabłuszka, gadki i klechdy i baje czarodziejskie, słyszane niegdyś w dziecięctwie od nianiek przy kominku; rzekłbyś, że przez te progi za lada chwilę wystąpią rojem rycerze, królewne zakłete, lub smoki i karzełki, kur czarny i

czarownice, i zbójców dwunastu; oto, że cię przywita znowu ta cała hołotka drwiąca, świecista, psotna, co ci była strachem i radością, Kochaniem i trwogą w chłopięcych latach. Oj nie! — ta furta od dawna zamurowana, za nią dziś komtoar handlowy! nie roztworzą się więcej te progi, nie wystąpi z nich ów czarnoksiężki wdzięczny świat, zamknięte też na zawsze one tęsknoty młodości twojej i marzenia złote i sny dziecięctwa twojego. W pobliżu tych gotyckich ozdób misternych, w ustroniu, na jakichś ciemnych schodach, odziane wielokrotną powłoką wapna stanęły, jakby na straży, dwie wysłannice z dalekiej nadmorskiej stolicy; one przechodniów witają cichym szeptem, ale witanie ich niedosłyszane, a mowa niezrozumiała, ona obca, cudza; są to dwie smętne i samotne kolumny bizantyńskie; one poważne, przysiadłe, wyrzynane w pierożki i o posępnęj głowicy. Znać, że w tym Krakowie, tuż obok siebie zesła się fantazyja gotycka Zachodu ze sztuką Wschodu; te kolumny, to graniczniki dwóch światów, dwóch cywilizacyi różnych a odrębnych od siebie.

Przejdź się kilka kroków, a zamizdrzy się znowu do ciebie brama kamieniczna epoki króla Sasa Drugiego, wykrygowana w rokoko, wyfiokowana niby dawna dworska galantka; troszkę sztywna, troszkę wymuszona, gadatliwa, ale uprzejma, zgrabna. Biedaczka ta brama! ona marzy o czasach, kiedy była młodą, śni jej się o świecie dowcipnym, gładkim, delikatnym, pełnym czci dla dam; więc jej markotno i cklewo w tém naszym stóleciu na pół zdzieczałem, o mowie zgrubiałej.

Widzisz, jak tam ze ściany kościoła (Świętej Barbary) na ulicę wyrósł cudnym kwiatem przypornik kamienny

rzekłbyś, że liście jego, miłości tchem rozwite, roz-  
 lają się wonią niebiańską i życiem nieskończonem.  
 Jednak krzywdy żywiołów, gwałty wiechrów, mroźnych  
 zawiei, zamieci śnieżnej, przeszły przez kwiat ka-  
 mienny i odrywały po kawałku te jego liście cudne,  
 rozsypując po ziemi okruchy; tak daremnie też dusza  
 nasza roztuliła się kwiatem miłości nieskończonej i  
 niebiańskiej woni; bo gdy ten duszy kwiat zmrozą  
 krzywdy światowe, gdy nań zawieją szarugi słotne  
 życia, już po jednemu odpadają liście jego, odpadają  
 miłości i nadzieje, wesela i tęsknoty, i rozsypują się po  
 ziemi, idąc wiatrom na igrzysko!

Tak, kędy spojrzysz, kędy oczyma ducha się zwró-  
 cisz, odezwie się do ciebie jakaś niezabudka z czasów  
 starych; chodzisz, jakby po muzeum sztuki, po tęp  
 mieście naszym. Chceszli atoli uradować się najwyższą  
 radością i roskoszować arcymistrzostwem średnich stó-  
 leciów, i obaczyć się oko w oko ze sztuką, którą ro-  
 mantyczną zowią, wstąp do naszego kościoła Panny  
 Maryi i wpatrz się w arcydzieło, którym się świeci  
 ołtarz wielki.

Jest dawna wieść, wieść, co wróżbą chodzi między  
 ludźmi, jako umieranie człowieka podobne jest skona-  
 niu kagańca. Płomyk przed skonem dygoce, drży,  
 mruga; lecz zanim zgaśnie na zawsze, raz jeszcze strzeli  
 jasnem światłem i rozwidni całe otoczenie swoje. Tak  
 się dzieje i z człowiekiem. Zanim skona, dygoce, drży  
 serce z lęku, bo życie jest przecież „tak lubem nawy-  
 knieniem“ (Göthe), — lecz wśród ciemnego śmierci po-  
 topu duch raz jeszcze strzeli wiekuistości płomieniem i  
 rozwidni mu przeszłość i nieskończoność przyszłą. Co  
 było w życiu potęgą mocy wielkiej, staje się bajką w

skonie, a prawdy bezdenne, niezgłębione stają się tak proste i łatwe jak uczucia pocholece. — Doczesność i jej troski i uciechy, jej trwogi i radości, natura i jej gwiazdy, góry i łąki i bory, i wszystkie ludzkie zabiegi rozplywają się niby dymek obłoczny, ulatują jakby sen poranny, a tajemnice wieczności i życia, zagadki okryte dla oczu doczesnych obłokiem, występują teraz na obecny widny jaw, rozdartą jest ich obłoczna opona, jak rozdartą była opona Jerozolimskiego kościoła w chwili Bożego skonania. Jest-to wiekuistości jasnowidzenie.

Tak umiera człowiek, tak umiera epoka w dziejach ludzkich, tak skonała historia wieków średnich. Ona przed śmiercią zebrała siły gasnące, wzmogła je raz jeszcze w jasne promienie, w błyskawiczne światło, i zajaśniała nadchodzącym pokoleniom. Ona te ostatnie swoje promienie odziała w wielkie mistrze, a zajaśniała przyszłym pokoleniom dziełami tych robotników swoich. Jednym z tych mistrzów jest Wit Stwosz, a jednem z tych dzieł jest: „Zaśnięcie N. Panny“ w naszym kościele Krakowskim. — Zaśnięcie Przenajświętszej Panny! wszak w tém zaśnięciu promienie Boga Rodzicy błysnęły na Ziemi jasnością jej skonu.

Wybierz sobie jedną z tych chwil, w których umilkną w duszy ziemskie głosy, w których słyszysz kłucie się własnych uczuć w głębinach serca twojego, w których słyszysz uderzenie skrzydeł wzbijających się myśli twoich, wtedy, stanąwszy pod ołtarzem wielkim Maryackiej świątyni, daj posłuchanie duchowi. Godzina popołudniowa, — kościelne przestrzenie samotne, milczące powiewne tchy wieczności płyną przez budowanie świątyni, ty sam na sam z duchem pozostałeś. Polotne sklepień wiązania uniosły się ku niebu w wy-

sokości zawrótnie, splatając się w gwiazdy i w krzyże misterne, pod nimi mroczą się wiekami przyćmione obrazy: malowane ich postaci niby widne, niby we śmie utopione, one jakby uczucia twoje na poły jasne i jawne, na poły ukryte dla ciebie, robią i pracują w tajnej serca topieli. Na podniosłych gżemsach obiegają kościół ganki lekkie, nad nimi światłość promienista, pod nimi na dole mroczno, wieczorno — te ganki jakby ścieżka ziemskiego żywota między niebem a doczesnością ziemską zawieszona. Jeszcze niżej, na ubocznym chórze drzęmią, jakby śmiercią, organy; one umarły, ich metal głuchy, drewno martwe oniemiały jako beczułe zwłoki duchowych harmonij: gdy jednak przyjdzie chwila oddania czei wiekiustemu Pann, beczułe i martwe zwłoki ożyją, w nich wstąpi duch, a harmonie umarłe zmartwychwstaną, a pod akordem tonów zadrga życiem metal i drewno.

Jako krystaliczne wody potoku rzucają się z przepaści skalnej, grając różnobarwym tęczy promieniem, — tak tu, przez wyniosłe ostrołukie okna a kolorowe szyby spada rzeka słonecznych światłości, mieniając się barwami malowanych na szkle obrazów. I te przejrzyste malowania i one również uczciwém dziełem sztuki starej, i pobożności dawniej pracą ofierną. Na nich jaśnieją, jakby napowietrzne, promienne, niebiańskie widziadła, dzieje Boga-Rodzicy i palą się w słońcu szafirów, szmaragdów przepychem, pożarem rubinów, a ta troistość barw jest jakby troistém wiary, nadziei i miłości godłem. Tak światło słońca jest tu wyrazem jasności niebiańskich, bo przezyste, wiecznie jedne i te same mieniają się barwami ludzkiej istoty, gdy wpłyną w serce człowieka.

Rozlewa się powodzią po przestworzach kościelnych wielobarwna światłość słoneczna, i drga po potężnych filarach i po marmurowej posadzce i zapala złocistym ogniem spiżę odgodnych balasów u wielkiego ołtarza. I cicho w świątyni i spokojnie. Jesteś sam na sam z duchem; powiewne wieczności tchy kroczą milcząc przez kościół; słyszysz tylko klujące się uczucia w piersiach twoich i słyszysz skrzydła wzbijających się twoich myśli. Te myśli, one, niby ptaki wędrowne, one, choć na ziemi zrodzone, ciągną w jesieni żywota w niebiańskie krainy, choć jej nie widziały nigdy, ciągną w nieskończoności ojczyznę, — kędy nie ma zimy. Powiedz, kto ptaki wędrowne, kto myśli człowieka nauczył tej drogi?

Dumasz i myślisz, a z wdziękiem niewymownej serdeczności patrzą na ciebie z ołtarza postaci, co się zrodziły w ciepłych piersiach Wita Stwosza. Mistrz stary je wystrugał ze suchego drewna, ale w to drzewo suche tchnął nieskończoności dech i w drzewo to wlał tętno wiary, bijące w sercach milionów. Więc to drzewo stało się drzewem żywota, co nie więdnije nigdy, co wiecznie zielone, wiecznie młodą wiosną sieje nieśmiertelne kwiaty w serce ludzi. Te postaci, — to nawiedzenia pańskie, a miłości i przebaczenia proroki. Są chwile w których serce pęka nieznaną, niewypowiedzianą tęsknotą; w tych chwilach burze i troski żywota nie przytłumią cichych płaczów w duszy; w takich chwilach, choć wśród ludzi, przecież na świecie i w piersiach głucho, pusto; zdaje się jakbyś chodził po popiołach spalonego rodzinnego miasta, jakbyś stał na pogorzeliisku ojczystego domu, kędy gnają wiatry po szerniałych, popękanych ścianach, słoty gzą się po



pusztkach; ledwie się dopatrzysz śladów dawnych izb, a mury, co niegdyś były ochroną i przybytkiem domowego życia, dziś sterczą jako straszdyła wrogie i chwiejące się radeby cię zagrzebać w gruzach. Kto w takich chwilach szuka dla schorzałej duszy ukojenia w Bogu, już mu nieme usta tych postaci cichą mową szepną z ołtarza anielskie powitanie: „pokoj sercu temu!“ Znow w zbiedniałej duszy jego, jakby po długiej zimie, roztała się pączkiem stokrotki boże, dawne niewidziane goście! a serce jego znow ożyje żywotem, nadzieją w siebie i w świat.

Zważ, — iż gdy się opatrzysz sam z sobą i rozpoznasz się w duchu swoim, jakby w domu własnym, wtedy zrozumiesz, że trojaka potęga płynie z tych postaci do duszy twojej. Bo naprzód jakiś daleki głos brzmi głębokim, rzewnym akordem; na jego wołanie modli się serce w ciszy uroczystej; są to uczucia religijne, wiekuistości wróżby. I znow słyszysz, jakby westchnienie puszczy, gdy zimnej oddech północy przelatuje, jak chuch, przez starowiecznych dębów szczyty: to jest przeszłości westchnienie a chuch tych pokoleń, co tu z kolei modlić się przychodziły, co w tej tu posadzce przed tym ołtarzem wyplakały stoleciami żywot swój; dziś ich groby nieznane, zapomniane, dawno już trawą i knieją porosły. — Znow cię porusza trzeci głos; jest to przemówienie anioła wdzięków nadziejskich a przecież widomych, jest do dech anioła sztuki chrześcijańskiej; on niebiańskim wysłannikiem, co opuścił wiekiową ojczyznę swoją, wzywając uczucie piękności, drzemiące w sercu człowieka, na sprzymierzeńca wiekuistych, religijnych prawd.

Ztąd też chciój nurkiem zapuścić się w siebie i

chciej ściśle, o ile możesz, rozróżnić w sobie te trojokie uczucia i sam siebie zapytaj, ile w tych akordach brzmiaćej w tobie muzyki jest brzmieniem uczucia piękności, przebudzonego dziełem starego mistrza; pytaj o ile sama sztuka jego poruszyła ducha twojego.

Orszak tych świętych postaci na ołtarzu otoczył gronem Boga-Rodzicę. Ona, ukoronowana koroną Nieba i Ziemi, zasypia skonem, który jest nieskończonym żywotem, nieskończoną chwałą. Ona i Matką i Dziewicą, „różą i lilią niebiańską.“ Jakoż i ziemia nie zna wyższej miłości nad matki miłość, nie zna wyższej czystości, nad niewinność dziewicy. I dla tego nam tutaj tak błogo, tak rzewno i ufno w sercu.

Patrząc na te męże święte, cześć, uwielbienie niewypowiedziane, urzeczenie innego świata ima duszę twoją; — a przecież, mimo bołdu i czei, mimo uwielbienia, nie zna tu serce lęku, — ta świętość nie jest poniżeniem dla ciebie; jest to majestat bez dumy, jest to wielkość duchowa a tak pełna słodyczy, — jest to świętość, a przecież tak poutna, potulna; na tych twarzach tyle dobroci słodkiej, tyle serdeczności rzewnej; z nich tehnje powiew niebiański, a przecież w nich nie ma zgrozy i grozy! Słowem, im więcej oczyma, sercem zapadniesz w tych postaciach, tém silniej jakieś wspomnienia lub echem dolatują z dawnych lat; rzewność dziwna rozbiera duszę, a odmładzają się radości, niegdyś uczuć twoich piastuny, i znów ci zaśpiewają w duszy piosenki tak miłe, tak wdzięczne! — Toniesz w przeszłości, i przebierasz w obrazach pamięci, i dumasz i myślisz, aż, jakby serca błyskawicą, rozwiązują się zagadki uczuć twoich. Te echa, te pieśnie, te wonie a radości dawne, toć wspomnienia

drogie zmarłej matki twojej, co liczyła tchycy duszy twojej, co promieniem serca swojego tonęła w piersiach twoich, co cię strzegła miłością dniem i nocą, i w pobliżu i w dali, a ta miłość jej była prorocstwem i jasnowidzeniem nieznającym co oddalenie w przestrzeni, co oddalenie w czasie; życie jej syna było dla niej obecnością nieprzemijającą nigdy. Więc też otoczyłeś jej postać czcią i uwielbieniem, uwieńczyłeś jej oblicze aureolą jasną twojej miłości i czci. Otóż widzisz, czém jest dla ciebie tej matki twojej poświęcone oblicze, świętą jasnością oblane, tém są te postaci co na ciebie patrzą z ołtarza. Czujesz że dla nich nie masz w sercu tajemnicy, radbyś pozalić się im z tego, co cię i trapi i boli, wypowiedać się nawet z winy jeśli jaka na duszy ciąży, pewien że znajdziesz pociechę i ochłodę, radę i utwierdzenie na tej drodze żywota twojego przez świat; a choć czujesz płynący od tych postaci wieczności powiew, nie znasz jednak co lęk, co groza, znasz tylko miłość i cześć.

Rzekłem dopiero że z troistego wrażenia, które w serce nasze płynie, winniśmy z naszego stanowiska uwzględnić wyłącznie pierwiastek estetyczny, nie tykając mianowicie strony religijnych uczuć brzmiących w sercu naszym. Weźmy tedy pod sąd osobny pracę artystyczną naszego mistrza i uważmy, jak się pod tym względem wywiązał ze swojego zadania. Naprzód patrzmy się z wierzchu na dzieło jego i zdajmy sobie sprawę z faktów zewnętrznych, które mamy przed sobą.

Otóż zaraz uderza nas osobniczość, indywidualność tych twarzy; każda z tych figur ma fizyognomię tak osobną, tak sobie właściwą, tak do niej wyłącznie na-

leżącą, iż znać wyraźnie, że widzisz wizerunki osób niegdyś żywych, które chodziły doprawdy po tej ziemi. To piętno indywidualne tak dobitne się wykazuje w tych obliczach, iż od razu, za pierwszym rzutem oka rozpoznasz te same głowy, gdy je znachodzisz po raz drugi wśród grup wyrzeźbionych, na drzwiach wielkiego ołtarza. Te oblicza wszystkie zaiste w niczem nie są podobne do tych rysów zatarzonych, spłódkanych, do tych twarzy powszednich, które tak często spotkasz w życiu zwyczajnem; to iści głowy wysokiej szlachetności. Na czole jaśnieje myśli potęga, wejrzenie głębokie, a przecież otwarte, uśmiech pełen wdzięku rozlany na ustach, a zacność i wyższość duchowa rozplynęła po całym obliczu. A przecież te twarze, tak rzewne a serdeczne, nie są greckich mistrzów nadziemskim ideałem; one nie są ową pięknnością klassycznego świata, zrodzoną w nadgwiazdnej ojczyźnie uroków nieskończonych; to nie są z wysokiego Olimpu przychodnie! — Wskrzesz sobie w pamięci kształty greckich bogów odziane marmurową bielą i porównaj je z wyrazem téj naszej rzeźby chrześcijańskiej, a obaczysz jakto te bogi greckie wystąpią z całą wyrazistością swojej cechy; ich natura tém porównaniem dopiero stanie się zupełnie dla nas jasną i zrozumiałą. Te greckie posągi bogów, one tak obce, tak cudze sercu twojemu, bo one tak chłodne i harde i dumne pięknnością swoją! — Te bogi wprawdzie zstępują niekiedy na ziemskie doliny, one niby kochają, czują i cierpią jako człowiek; ale te kochania ich i cierpienia nie sięgają głębi ich istoty, dotykają tylko wierzchu jej i przechodzą lekkim powiewem nie poruszając falą wiekuistego ich żywota.

Te postaci greckich bogów nie straciły nigdy błogiej ciszy głębokiego pokoju; ztąd też one tak dumne w milejącym majestacie swoim. Mieszkańcy Olimpu z nadobłocnych wysokości patrzą się, jako z bezpiecznej złocistej stolicy, na mocowanie się i łamanie bolesne biednego ludzkiego rodu. Zrozumiesz tedy, że ta piękność ich nadludzka trzyma w nieśmiałym oddaleniu znękanie ziemi mieszkańce i strapione doczesności syny. Te bogi „skamieniałe, te ich nieme, „nieruchome posągi mileżą, nie udzielą nam rady; „w ich zimnych twardej marmurach nie zatętni krew „ciepła, ani serce nie zapuka; one nie zstąpią z „dnożów swoich, — nie zawitają w rzeczywistość „naszą, — i z nami i nad nami nie zapłaczą, i nie „zasiędą z nami do uczty życia i wesela.“ (\*)

Oblicza tych bogów — to nie są wizerunki wzięte z koła rzeczywistości tutecznej, one więc też nie mają na sobie indywidualności piętna; ich piękność nie jest z tego świata, ona jest abstrakcją piękności, bo oderwaniem się od ziemskiej niziny, od ziemskich krzywd, i ztąd też te wszystkie ideały greckie, ogólnie mówiąc, są do siebie podobne. Wszak żywot ich na wysokim Olimpie płynie im wszystkim jednako, płynie bez burzy w nieskończonym pokoju, więc też nie wycisnął na nich tak silnie cechy osobniczej, żywej i wyłącznej.

Odwrótnie w tych figurach Stwosza znać, że burze cierpeń, głębokich boleści do dna roztworzyły te piersi ich, zostawując ledwie ukojone blizny na sercu; widać, że w ich duszy również kwitnęły tęsknoty i smutki, a roztulały się radości i wesela ziemskie,

(\*) Wykład Filozofii §. 124. przyp.)

prawdziwie ludzkie, że pragnienia i chęci świata, przy-  
 czajone na dnie ich istoty, zrywały się nadzieją i  
 ochotą światową, a anioły niebiańskie, przebywające  
 w ich sercu, zwijały niekiedy skrzydła swoje. Znać,  
 że te postaci po naszymu walczyły i pasowały się ze  
 światem i z sobą, że wiele przeboleły w życiu. Może  
 te figury są wizerunkiem braci a przyjaciół od serca  
 naszego snycerza, może powierniki jego trosk i radości  
 domowych, opiekuny a obrońce jego żony i dzieci,  
 gdy się wybierał za robotą artystyczną do dalekiej  
 Norymbergi. Te twarze też z taką baczną miłością,  
 a tak pilnie wyrobione, iż znać, że były jego sztuki  
 ogniskiem. Zaiste, te głowy są arcydziełem; każda  
 z nich jakby epopeją opowiada długie dzieje zacnego  
 świątobliwego żywota na ziemi,

Jeżeli zaś oblicza w dziele chrześcijańskiego mi-  
 strza nie zbliżają się do najwyższych ideałów sztuki  
 klasycznej Greków, t $\acute{e}$ m mniej zbliżają się do owych  
 ideałów nadziemskich inne części ciała, a mianowicie  
 ręce i nogi. Lubo ani wątpić, że i one są wypadkiem  
 pilnych studyów przyrody toć one są przecież jawnym  
 dowodem że w t $\acute{e}$ j średniowiekowej sztuce sama tylko  
 twarz była ogniskiem najtroskliwsz $\acute{e}$ j baczności, reszta  
 zaś ciała stała się jedynie cz $\acute{e}$ mś podrzęd $\acute{n}$ em a ubo-  
 cz $\acute{n}$ em. Dążność takowa znowu wbrew przeciwna jest  
 fantazyi Hellady, bo tam w $\acute{l}$ asnie natura jest w pra-  
 wie swoj $\acute{e}$ m, zat $\acute{e}$ m w $\acute{l}$ asnie tam ciało w nagości swoj $\acute{e}$ j  
 jest cudem nad cudy uroków idealnych. Zt $\acute{a}$ d też  
 tam i draperya ma inne znaczenie. Szaty greckich  
 posągów są istnym poematem, płyn $\acute{a}$ cymi na wdzi $\acute{e}$ -  
 cznych falach lutni; draperya tam nie jest ukryciem  
 ciała, ale racz $\acute{e}$ j objawem ruchów i mimiki, t $\acute{e}$ j niem $\acute{e}$ j,

tak czarodziejskiej muzyki jego. Ta draperya u Greków jest przeto raczej środkiem uwidomienia ciała, które przez te szaty świeci promieniem, jakby kagańca płomień zapalony w przezroczu lampy strojnej. Zupełnie inaczej się dzieje u Wita Stwosza; tutaj szaty są istnem zakryciem cielesności, a one choć wspaniałe, poważne, choć fałdy miękkie, są jednak sztywne niby sztuczne; rzekłbyś, że tu ciężkie a przemokłe sukno łamie się w różne tryby; one nie są idealizowane. Więc nie dziw, że puściwszy oczy po tej grupie, one od draperyi, od rąk i nóg ciągle nawracają do twarzy; wabi je ku sobie tajemniczem oczynieniem jakiś urok niesłychany, jakieś przeczucie nieodgadnionej jeszcze głębi. (\*)

Zaprawdę, cudny to być musiał widok, gdy cała ta kompozycya figur, nagle odsłonięta ludowi, zagrała po raz pierwszy jakby koncertem kształtów, barw i złota! Bo wiemy o tem, że te postaci rzeźbione są jeszcze z najwyższą starannością malowane i złocone; i to jest dla nas nową charakterystyką tej sztuki dawnej. Nie mów, że polichromii używali i greccy rzeźbiarze. Wszak wiadomo że w Helladzie owa polichromia, owo powleknięcie posągów barwą nie było

(\*) Co tutaj mówimy o tem arcydziele Stwosza, stosuje się też prawie do całego snycerstwa i malarstwa średniowiekowego w północnej Europie; obaczmy w późniejszym liście, że sztuka we Włoszech znów osobnym a sobie właściwym trybem wyraża ducha tych stuleciów średnich. Sztuka we Włoszech, mając ciągle przed oczyma dzieła starożytnego świata, ciągle obwiana była tchem klasycyzmu. Inaczej zupełnie dzieje się w Europie północnej.

nigdy istn $\acute{e}$ m malowaniem, lecz mia $\acute{l}$ o racz $\acute{e}$ j ten cel, aby rozmaito $\acute{s}$ ci $\acute{a}$  zlekka rzucon $\acute{e}$ j farby oznaczy $\acute{c}$  silniej r $\acute{o$ zne cz $\acute{e}$ sci pos $\acute{a}$ gu, aby tym sposobem ul $\acute{y}$ cz $\acute{e}$  fantazyi widza, kt $\acute{o}$ ra tak z cicha potr $\acute{a}$ cona mog $\acute{l}$ a t $\acute{e}$ m  $\acute{l}$ atwiej uzupe $\acute{l}$ ni $\acute{c}$  sobie ca $\acute{l}$ y obraz idealny mistrza. Grekom, maluj $\acute{a}$ cym niekiedy rze $\acute{z}$ by swoje, wcale nie chodzi $\acute{l}$ o o zbli $\acute{z}$ enie si $\acute{e}$  do natury, co ju $\acute{z}$  pozna $\acute{c}$  mo $\acute{z}$ na ze sam $\acute{e}$ j wielkiej liczby arcydzie $\acute{l}$  spi $\acute{z}$ owych, kt $\acute{o$ re nam si $\acute{e}$  po nich w dziedzictwie dosta $\acute{l}$ y; a nie zadawali sobie te $\acute{z}$  oni żadnej pracy, aby maluj $\acute{a}$ c spi $\acute{z$  farb $\acute{a}$  na $\acute{s}$ ladowali  $\acute{s}$ ci $\acute{s}$ le natur $\acute{e}$ . Bo Grecy albo nie tykali wcale metalu, powierzaj $\acute{a}$ c go t $\acute{e}$ j prze $\acute{s}$ licznej barwie rodzim $\acute{e}$ j i jemu w $\acute{l}$ asciwej, albo te $\acute{z}$  j $\acute{e}$ li si $\acute{e}$  takich  $\acute{s}$ rodk $\acute{o}$ w, kt $\acute{o$ re w $\acute{l}$ asnie s $\acute{a}$  dowodem,  $\acute{z}$ e dbali jedynie, jakim rzek $\acute{l}$ , o lekkie potr $\acute{a}$ cenie fantazyi; a bynajmniej o  $\acute{s}$ ci $\acute{s}$ lejsze udawanie przyrody: tak np. maj $\acute{a}$ c ula $\acute{c}$  Jokast $\acute{e}$  a chc $\acute{a}$ c przypomnie $\acute{c}$  j $\acute{e}$ j cierpienia, przymieszali do spi $\acute{z$ u srebra, by j $\acute{a}$  uczyni $\acute{c}$  blad $\acute{a}$ . Wszak pokazuj $\acute{a}$  ci w Neapolu one aktorki tragiczne z Herkulanum, porywaj $\acute{a}$ c nas ponurym majestatem; one stan $\acute{e}$ ly jakby do ch $\acute{o$ ru Sofoklesa, g $\acute{l}$ oszc $\acute{a}$ c spi $\acute{z$ owemi usty wyroki niez $\acute{l}$ omne  $\acute{s}$ wiatu. Te figury ciemne maj $\acute{a}$  wprawione szklane oczy, a r $\acute{a}$ bki u tuniki po $\acute{z}$ l $\acute{a}$ cane i na t $\acute{e}$ m poprzesta $\acute{l}$  ich tw $\acute{o}$ rca staro $\acute{z}$ ytny. Zwa $\acute{z}$  jeszcze, — i $\acute{z}$  te marmury greckie tak s $\acute{a}$  szlachetne, tak przezyst $\acute{e}$ j bi $\acute{e}$ li, i $\acute{z}$  powlekanie ich farb $\acute{a}$  by $\acute{l}$ oby istn $\acute{e}$ m barbarzy $\acute{n}$ stwem, niew $\acute{l}$ asciw $\acute{e}$ m owemu ludowi z t $\acute{a}$  wysok $\acute{a}$  czujno $\acute{s}$ ci $\acute{a}$  i czu $\acute{l}$ o $\acute{s}$ ci $\acute{a}$  artystyczn $\acute{a}$ . Inaczej si $\acute{e}$  dzieje z nasz $\acute{a}$  grup $\acute{a}$  krakowsk $\acute{a}$ ; figury j $\acute{e}$ j s $\acute{a}$  z drewna, wymagaj $\acute{a}$  wi $\acute{e}$ c koniecznie barw; malowano je te $\acute{z}$  ze wszystkimi szczeg $\acute{o}$ łami cho $\acute{c}$ by najdrobniejszymi, pragn $\acute{a}$ c niby jak najwi $\acute{e}$ rniej kopijowa $\acute{c}$



naturę. Ten naturalizm najsilniej się odbija na twarzach, włosach; boć i pęzel, jak widać, miał za cel indywidualność i oddanie wizerunków osób żywych, rzeczywistych, które były modłą dla artysty. Jeżeli w posągach greckich oko jest najczęściej bez źrenicy, tutaj przeciwnie ono jest żywym wróżbitą duszy przebywającej we wnętrzu cielesném. Błyszczą przeto barwy czerwone, zielone, błękitne i fiolety, a wśród nich obszerne przestrzenie pozłoty. Tęj to pozłocie świecistęj i szkleniu się barwy zawdzięczamy przedewszystkiem, że te rzeźby, choć kolorowane, w niczém nie są podobne do trupich a tak wstrętnych figur woskowych. Inne ważniejsze tego powody wypłyną nam jeszcze poniżej. Zwracam tylko uwagę, jak tutaj malarstwo w tęg rzeźbie o przewadze swojej znać daje.

Malarstwo atoli wplata się do tęg rzeźby jeszcze pod innym a głębszym względem; ta grupa postaci ma bowiem jeszcze rzeźbione tło, słowem perspektywę, która, jak wiesz, jest cechą malowania właściwego, nie zaś skulptury. Tę perspektywę silniej jeszcze widać na płaskorzeźbach strojących drzwi ołtarza i stalle.

Stalle w kilkunastu wystruganych obrazach roztoczyły historią Najświętszęg Panny, a choć są niższęg wartości, i, jak się zdaje, dokouane przez innego późniejszego mistrza, dziwnie wyjawiają ducha średnio-wiekowęg fantazyi. Tutaj wglądasz w izby głębokie, w ulice miejskie, w świątńce, w domaszne ciche komnaty; widzisz powyrzynane wschody, to wyrzeźbione sprzęty domowe, porozstawiane perspektywicznie po izbie; sprostregasz okna na poły zamknięte lub otwarte, dalej naczynia, dzbany, stoły, krzesła, i te wszystkie

lube towarzysze zacisza domowego, co choć martwe i bez czucia stają się przez długie lata przyjaciółmi naszymi. Tak np. widzisz i obraz rzeźbiony: — Zwiastowanie. Panna Marya modli się w komnacie na klęczniku poduszką pokrytym, przed nią książka, w oddaleniu dwa okienka, udany strop, posadzka, i t. d., przez drzwi otwarte anioł wstępuje do izby: Bogarodzica zwraca ku niemu oblicze. Za nią stołek gotycki, na stołku kotka stulona w sobie, jakby przestraszona widziadłem, i t. d.

Zważ, że wyobrażenia zwierząt domowych często bardzo się powtarzają w dziełach sztuki średnich wieków; wszak np. na drzwiach samego ołtarza widzisz powtarzane jeszcze dwa razy kształty zwierzęce; na-przód na oddziale wystawującym Narodzenie Zbawiciela: Najświętsza Panna klęczy modląc się, przed nią w koszyczku dzieciątko święte. A przy niem rozłożył się na ziemi wół potulny i cichy. Ale co więcej, w oddziale następnym widać trzech królów oddających pokłon nowo-narodzonemu Panu: jeden z nich podniósł wysoko nad głową czapkę, jako na znak hołdu; za nim stoi jego konik siwy, co sobie spokojnie trawkę skubie. Nie tylko atoli same wizerunki zwierząt są zaiste charakterystyką sztuki w tej epoce, ale nawet błędny ich rysunek ma tutaj również znaczenie swoje.

Krom tego, uderza nas bogactwo architektonicznych ozdób wplatające się w tę rzeźbę. Wszak od stropu, nad grupą główną, spuszczają się głęboko łuki, przystroje i kwiaty gotyckie, a tak tworzą jakby podniebek przezroczysty, grubo pozłacany. Wszak i przedziały na drzwiach ołtarza odosobniły się między sobą strojną

architektoniczną przegrodą. Ta architektura silniej jeszcze splata się z górnym oddziałem wielkiego ołtarza, ustawionym wprost nad tą ową celną grupą jego. Ta przewaga architektury na tēm wyższēm piętrze tłumaczy się i samą naturą przedmiotu. Jakoż gdy w głównej części ołtarza „Zaśnięcie Panny Maryi“ jest jakby dramatem świętym odbywającym się jeszcze na ziemi, przeciwnie u góry Najświętsza Panna, już do nieba wzięta, jako królowa świata stanęła w jasności swojej chwały i światłości wiekuistej; jest to liryczność, hymn, Hosanna, śpiewane przez Ziemię i wszech duchy stworzone na uwielbienie i cześć Matki Boga. Gdy tutaj przeto już nie ma dramatyczności, ztąd postać Bożej Rodzicy w swojej aureoli podobnie jak i reszta figur są więćj pomnikowe (monumentalne), są odosobnione, bo oddzielone od siebie architekturą własną. Każda z tych postaci staje pod misternym podniebkiem (baldachimem) strojnym, złocistym, będącym jakby osobną świątniczką, ale przezroczystą, przepromienioną niebios jasnym światłem.

Mówilem o dramatyczności figur tych. Zaiste, choć średnie wieki, jak obaczymy, nie mają właściwego dramatu, toć te na ołtarzu postaci splecione są z sobą, jakby dramatem, odnoszą się nawzajem do siebie, wiążąc się w jedną całość, w jeden zupełny obraz, jak to bywa na dziełach malowanych. Rzekłbyś, że pierwiastek wewnętrzny duchowy poślubił te wszystkie postaci z sobą. Tę dramatyczność znajdziesz nie tylko na ołtarzu, ale i na drzwiach jego, ale i na stalach.

Chciēj zważyć, że tego wzajemnego powiązania postaci nie znajdziesz w greckiej sztuce, wyjąwszy na ich płaskorzeźbach, lubo i tu nawet splot figur nie jest

jeszcze ściśle dokonanym. A posągi, zdobiące otoczniny (fronton) wystaw greckich świątlic, nie tak odnoszą się nawzajem do siebie, jak raczej do faktu zewnętrznego, który wprowadzie obchodzi wszystkie te figury, ale przecież nie jest bynajmniej potęgą duchową, zrodzoną w ich wnętrzu (np. w grupie Eginitów, Niobidów i t. p. (\*)) Dla tego też prawie każda z tych figur greckich grup ma zawsze niby cechę pomnika, jest jakby całością dla siebie; każda z tych postaci, dumna swoją pięknnością nadziemską, opiera się sama na sobie. Zważmy jeszcze że taki zbiór postaci greckich, jak nie był ścisłą całością, tak też ma za główny swój cel przyozdobienie architektonicznej przestrzeni, a tē m samē m jest zniewolony stosować się do miejsca, które właśnie zostało wolne — próżne. On nie istnieje dla siebie.

Przestańmy na tē m lekkim wyliczeniu tych kilku cech charakterystycznych; wiem, iżby można jeszcze wiele innych przytoczyć, lecz te, które tutaj przywołałem, wystarczą zupełnie dla naszego celu. Wytłómaczmy sobie atoli teraz bliżej tych cech znaczenie.

Wyznaj naprzód, że te wszystkie fakta, pochwytnane na dorywku i przezemnie tu pośpiesznie nadmienione, byłyby głuchonieme, martwe, gdybyś wypuścił z pamięci, że w tę uczciwą pracę swoją snycerz stary „tchnął nieskończoności dech, że w postaci te właf tętna wiary bijące w sercu milionów.“ To dzieło drewniane jest pacierzem gorącym, rzewnym całego stolecia; uczucia wrzące, kipiące rozsadzały piersi ludu, a mistrz,

---

(\*) Dramatyczność rzeźby greckiej wykazuje się dopiéro w późniejszych czasach, jako w Laokoonie, w grupie wołu farnezyjskiego.

by ulżyć sercu, zamienił uczucia w dzieło sztuki swojej. Obaczmy tedy jeszcze jaśniej, że te postaci bynajmniej nie są prostem natury kopiowaniem, jako nam się za pierwszym rzutem oka powyżej zdawało. Te cechy były dopiero uchwycone li zmysłami naszymi, duch nasz nie zniachodził jeszcze ducha przebywającego w tém dziele.

Anioł Zwiastun — wysłannik Pański, niosąc dowi naszemu zbawienie, wstąpił do wewnętrznego przybytku człowieka — roztworzyły się przed Zwiastunem niebiańskim bezdenne ludzkiego ducha głębie, a w ty ducha przepaściach drzemał drugi anioł; i przebudził go ze snu anioł-wysłannik, przebudził drzemiącego brata swojego, brata w światłości; a powitał w imieniu wiary i wiekuistego żywota. Przestrzenie duchowe mroczne, nocne, za przebudzeniem się anioła, rozpromieniły się jasnością. Ludzki ród zadygotał w sobie dreszczem, jak dygoce puszcza ciemna, gdy się ockuje na powiew wschodzącego dnia; bo anioł, przebywając w duchu człowieka, zatęsknił do ojczyzny swojej, i ludzki ród westchnął tą tęsknotą nieskończoną; a nieznaną rzewność zapłakała mu w duszy, i zapłakała radością i lękiem; mrowie trwogi i miłości przeszło istotę jego; poczucie tajemnicze, dziwne wróżyło o gościu niebiańskim, co przemieszkuje w duchu stworzonym. Ztąd też myśl człowieka cofnęła promienie swoje ze zewnętrznego świata, zebrała się sama w sobie jako w ognisku siebie: a tak dokonany jest nawrót ogromny ku własnej wewnętrznej, nieskończonej istocie. Człowiek, utonąwszy w sobie samym, w swojej treści, wyzwolony jest od potęg doczesnych. Przemówiło wiekuistości słowo, a doczesność przemożona zotała; śpie-

wali aniołowie wyzwolenie ludzkiego rodu, i starta jest doczesności potęga, i śmierć jest starta; ona „sama umarła śmiercią.“ Gdy tak w człowieku odezwało się poczucie głębin wiekuistości roztwierających się w duszy jego, już wtedy świat cały rodzi się w jego wewnętrznej istocie; ten świat jemu własny jest teraz ogniskiem, do którego on się odnosi, jako do najwyższej bezwzględnej, absolutnej prawdy. Światy zewnętrzne zbladły w koło, spłowiały i są dla człowieka tylko jawidłem marném, ale co każdy w głębiach swoich przechowuje, to teraz jest prawdą. Ta treść atoli nie jest bynajmniej już rozumowaniem rozwinięta, ale pojawia się dopiero uczuciem.

Ludzkość jest teraz morzem punktów świecących, iskier wiekuistych; każdy człowiek jest taką iskłą, taką jednostką odrębną, co w siebie samego patrzy. Światy zewnętrzne zbladły w koło, spłowiały; teraz mało waży świat ustaw i praw zewnętrznych, nie waży świat zmysłowy, natura. Słowem — nie nie waży, nie ma znaczenia, co z zewnątrz przyszło, chyba o tyle, o ile głos wewnętrzny własny osobiste dał temu zewnętrznemu zjawisku uświęcenie i świadectwo. Te światy zewnętrzne stają nawet tylko środkiem, aby człowiek na nich wyraził tę nieskończoność treści swojej; lecz z drugiej strony przepaść, którą się rozdziela ta nieskończoność żyjąca w indywidualności człowieka, w jego wnętrzu, od doczesnego świata, jest tak ogromna, że ta treść wiekuista nie zdoła nigdy już znaleźć wyrażenia w tej tuteczności przemijającej.

Przecież, gdy duch cofa promienie swoje z rzeczywistości zewnętrznych, gdy sam w sobie pozostał, wtedy mu ekliwo, smętno w tej samotności; nieskończona

tęsknota rozbiera mu serce, bo czuje sprzeczność w sobie. On umieszczony na ziemi, w dolinach doczesnych, a niebo ojczyzną jego. I znów — obłożony będąc ciałem, otoczony naturą zmysłową, przecież w sobie ma wiekiistości wróżby! Ztąd sprzeczność pełna boleści. Walka i rozdwojenie jest jedną z głównych cech a piętnem romantycznej fantazyi; jak to obaczmy jeszcze następnie wyrażniej.

Gdy zaś świat zmysłowy już nie starczy duchowi, gdy nie zdoła być dostatniem ducha wyjawieniem, gdy treść nieskończona, bez granic, zamieszkała w nieśmiertelnej istocie człowieka, już w rodzie ludzkim stanęła prawda przecuciem, że sztuka, będąca właśnie uwidomieniem, wcieleniem ducha, nie zdoła być zupełnym wyrazem jego, że piękność nie jest jeszcze prawdą najwyższą, szczytem szczytów dla najwyższych prawd. Piękność nie wyczerpuje teraz bynajmniej wiekiistego pierwiastku, który mieszka w piersiach człowieka, a jest wzniesionym nad wszystko, co zmysłowe, co widome.

Teraz z jednej strony prawda nieskończona żyje życiem wiary w człowieku, jest pewnością, już daną, już gotową, jest już dokonaną przed wszelkiem dziełem sztuki. Tak też sztuka jest teraz jedynie wypływem pragnienia, które prze i robi w człowieku, aby tę prawdę, już istniejącą i gotową w duchu, wprowadzić w naturę, aby z natury uczynić dzieło sztuki, aby tę prawdę, o ile to być może, uwidomić w materyi, we formach doczesnych, w jestestwach materyalnych. Z drugiej strony — istnieje natura bezduszna, z której duch wycofnął promienie swoje; jest tedy, jak rzekłem, rozdwojenie się zupełne między wiekiistością a doczesnym

fizycznym światem. Zrazu to odstanie jest zupełne, ale z wolna, stopniowo pasuje się i mocuje ludzki ród, aby obie te strony niby zbliżyć do siebie, aby ciężkim trudem zdobyć cały zewnętrzny świat i uczynić go odpowiednim tej prawdzie, która odzywa się w duszy.

Powiesz tu jednak może, że każda fantazyja artystyczna właśnie na tém zależy i tę ma istotę a przeznaczenie, aby uzmysłowiała wdzięcznymi formami zewnętrzными treść duchową; jeżeli tedy u ludów chrześcijańskich treść duchowa tak przerosła wszelką formę zmysłową, że takowa już jój nie wystarcza do uzmysłowienia się jój, już tém samém ta fantazyja traci cechę czyniącą ją fantazyją artystyczną.

Oto — zarzut takowy jest mi iście na rękę, bo wyjaśni nam rzecz w zupełności. Uważ, że fantazyja chrześcijańskiego świata ma właśnie to powołanie, aby w formach swoich wyraziła właśnie to górowanie ducha nad formami temi! Uważ dalej, że gdy w samej tej treści duchowej jest niby przecucie o tej sprzeczności między nią (to jest tą treścią duchową) a formą zewnętrzną, zatem to przecucie, ta wiedza o tej sprzeczności sama już należy do tej treści i stanowi jój piętno, a tém samém fantazyja chrześcijańska, wyrażając we formach zewnętrznych, w dziełach sztuki, tę sprzeczność, już wyraża i główną istotę tej treści duchowej, wyraża główną jój cechę. Widzisz tedy, że i ta fantazyja romantyczna odpowiada warunkom każdej prawdziwej fantazyi. W liście późniejszym, dokładniej jeszcze ten przedmiot rozbierając, wykażę zarazem, że już sama osnowa, która się nastreczy fantazyi romantycznej, będzie właśnie środkiem wyświeccenia tej sprzeczności



powyżej wspomnianej, jako piętna, które jest jej cechą charakterystyczną.

Z tego zaś wszystkiego, co się rzekło, znać, że jak z jednej strony ta sprzeczność między prawdą wiekuistą a formami zewnętrznymi będzie się wyrażała już w tych formach stworzonych przez fantazyą romantyczną, tak z drugiej strony historia silenia się ducha, aby nieskończoność treści swojej wyjawiał w tych formach, a zatem aby zniósł ową sprzeczność, będzie stanowiła zarazem i historyą fantazyi u ludów chrześcijańskich.

Tęj pracy a mocowaniu się towarzyszy przecież jakby na poły zrozumiana a tajemnicza wróżba, że ziszczenie się zupełne tego pragnienia jest niepodobne, że wyrażenie się prawd wiekuistych ma miejsce właśnie dopiero po za granicą widomego świata, po za kończynami rzeczy materialnych. Ztąd (jak ktoś z estetyków rzekł) „nieskończona tęsknota, jakiś żal słodki, miękki, uczuciowy, brzmi jakby tonem elegii w całej sztuce średnich wieków i dolatuje odgłosem rzewnym aż do naszych czasów. Bo piękność pracuje i pasuje się nad zadaniem, którego nigdy w zupełności nie dokoną; i ztąd jej żal i tęsknota rzewna, ztąd w sztuce romantycznej ta sentymentalność“ w najzacniejszém znaczeniu swoim. Podobne zjawisko rozpoczyna się i w innych sferach w sercach czysto ziemskich. W świecie chrześcijańskim człowiek daremnie się mozoli i biedzi, aby w rzeczywistość wprowadził ideały rozkwitłe w duchu jego.

Inaczey się działo w sztuce klassycznej, zwłaszcza u Greków. Tutaj nie było jeszcze prawdy danej, gotowej, łaską użyzionej, a duch ludzki o tyle się dopiero

rozwinął z pączka, iż mógł jeszcze być w zupełności wyrażony w świecie zmysłowym. Człowiek wewnętrzny a zewnętrzny świat równoważyły się harmonią (obacz List XX. i nast.). Duch Grecyi nie zerwał jeszcze z naturą. On tedy, jęj zaślubiony kochanek, w niej siebie widział, cały siebie jęj oddał, nie dla siebie nie zostawując. Tutaj przeto cały duch Hellady świeci i goreje w tych posągach marmurowych, one są w nim, on jest w nich. Piękność była bóstwem Hellady, ich religia była religią piękności. Grecya nie miała prawd wiekuistych gotowych, danych; dla tego też duch jęj, uzmysławiając się w świecie przyrodzonym stopniowo sam poznawał siebie, sam dopiero dochodził do obaczenia siebie w dziele piękności; on ujrział bogów swoich w formie idealnej piękności, jako wyszły z rąk arcymistrzów swoich. Grecya, pracując około piękności dzieł, dopiero się dorabiała wiedzy o nieskończoności ducha, a dosługiwała się tęg wiedzy o tyle tylko, o ile ta nieskończoność może mieć wysłowienie swoje w dziele sztuki, o ile zdoła być poznana w formach doczesnych. A gdy Grecyi już nie starczyły te formy piękności zewnętrznej, wtedy ona umarła.

Ten nawrót do siebie ludzkości chrześcijańskiej nie był nigdy dokonany w świecie starożytnym w całej prawdzie. Grecya, Rzym, jakeśmy widzieli, przy skonaniu swoim zerwały wprawdzie z rzeczywistością, człowiek i tu zebrał się w sobie samym; ale to zebranie było dopiero jedynie skutkiem niezadowolnienia ze świata i uznania jego doczesności; było to stuleniem się ducha w sobie i niby ucieczką ze świata zewnętrznego, dumą zacną, uznaniem własnej godności, rozpaczą nad światem, w obec rzeczywistości rakiem sto-

czonój. U tych ludów starożytnych atoli takowe studzenie się w sobie, ta ucieczka do własnego duchowego przybytku, nie były jeszcze wypływem rozstąpienia się na oścież głębin duchowych i przekonania o wiekuistości tętniącej w sercu człowieka. Ta wiekuistość a Boża prawda, bijąca jasnym płomieniem w duszy naszej, zrodziła się dopiero z Wiary Zbawiciela. Człowiek w świecie starożytnym tonąc w sobie znalazł w ognisku swoim dopiero zasady ludzkie, uczucia osobiste, ziemskie, albo w najszcześniejszym razie jakieś Sybille na poły zrozumiane, przemawiające jeszcze do niego jakby mową sfinxową.

Skreśliliśmy sobie przeto, lubo zlekka, charakterystykę tej nowój epoki świata i tej fantazyi romantycznój. Wszystkie przez nas przywiedzione powyżej cechy rozwiniemy sobie jeszcze bliżej za kilkakrotnym nawrotem. Chciiej atoli zważyć, że te znamiona są właśnie tłem ogólném dla artystycznój fantazyi wszystkich ludów chrześcijańskich i do dziś dnia podwaliną prawie powszechną ich sztuki, choć różne ludy te i różne czasy ich rozwoju odznaczają się znowu różnym odcieniem tej głównej a spólnój im wszystkim barwy.

Obaczmy przeto dokładniej jeszcze i w szczególności, jako wieki średnie stosują po swojemu ten ogólny charakter do dzieł sztuki swojój. Ołtarz Wita Stwosza będzie w tej mierze wystarczającym dla nas wzorem i przykładem. Proszę atoli byś miał się na baczności i pamiętać, że z tego, com dopiero powiedział, wypływa, że cechy, które w nim obaczymy a tém samém i wnioski, które z nich wyprowadzimy, będą koniecznie dwojakiego rodzaju; bo jedne wynikają wprost z tego ogólnego piętna fantazyi chrześcijańskich ludów, a drugie

rodzą się znów z właściwej istoty wieków średnich. Dalszy ciąg naszych rozpraw wystarczy zupełnie do rozróżnienia tych dwojakiego rodzaju cech.

Gdy człowiek uznał wiekuiste znaczenie swoje, gdy sam spuścił się nurkiem we własną istotę pod słuchując pieśni przebudzonego w nim anioła światłości, wtedy też, jakem rzekł wyżej, wycofnął ducha swojego z natury. Ta natura i jój wesela, tętnące ziemską radością, przygasły, obumarły; przyroda zobojętniała w jego oczach, ona raczej stała się teraz jakoby pokusnym wrogiem, mącącym hymny niebiańskie, które duch nieśmiertelny śpiewał na cześć Panu.

Tak przeto fantazyja średnio-wiekowa nie tykała się niby zmysłowego świata, zostawiła go jakim był sam z siebie, nie rozpromieniając w nim piękności nadziemskiej. Rozumiemy tedy ów naturalizm Stwosza, pojmujemy dla czego te figury na pierwszy rzut oka zdają się być prawie naśladowaniem natury; mistrz w nich prawie zostawił naturę jaką była przez się i przeniósł w dziedzinę sztuki te indywidualności rysów, przypominające niejako wizerunki osób, które mu stały za modłę. Zważ nadto, iż gdyby mistrz był uczynił z figur swoich piękność najwyższą w greckim znaczeniu, już tém samém byłby je przeistoczył na piękność abstrakcyjną, niemającą już téj silnej, wybitnej indywidualności. A przecież właśnie człowiek indywidualny, pojedynczy, nabrał w chrześcijaństwie nieskończonego wiekuistego znaczenia, bo on właśnie jest okupiony niebiańskim, nieskończonym okupem; tutaj chodzi o wszystkich ludzi pojedynczych a bynajmniej nie o samą jedną abstrakcyą ogólną ludzkiego rodu.

Widzisz następnie, że gdy tutaj celem głównym jest duchowa istota człowieka, a takowa wyraża się najpotężniej w obliczu jego, jako w widomej jej stolicy, ztąd też u figur Stwoszonych fizyognomie, twarze, są wyrobione z najwyższą staranną miłością; one są ogniskiem jego sztuki i pracy artystycznej. Po rysach twarzy tych przelatuje echem wewnętrzną mową duchowa. Wspomniałem już powyżej, że te posągi greckie, mimo najwyższej piękności swojej, najczęściej nie mają źrenic — one mają światło zewnątrz siebie, ale nie w sobie; tutaj w sztuce chrześcijańskiej rozwarła się źrenica, zdjęta już jest katarakta duchowa — te oblicza patrzą, widzą, bo w nich jest duch, we wnętrzu ich istoty jest światłość, która jaśniejąc sama świeci i oświeca. Zważ — te twarze to są portrety, w nich silnie wybita indywidualność. Widziałeś, że gdy w chrześcijaństwie każdy pojedynczy człowiek nabiera wiekuistego znaczenia, a więc też ta sztuka dąży ku temu, aby tę indywidualność jak najdobitniej wyrazić; ku temu celowi zmierza nawet i malowanie tych figur, wykonane z najściślejszą bacznością.

Widzisz, na wysokiej a śmiałej tarczy naszego Maryackiego kościoła unosi się Zbawiciel ukrzyżowany; sama postać Jego i oblicze, lubo bywają tak odmienne w różnych wiekach i przez różnych mistrzów przedstawione, są przecież w głównych indywidualnych zarysach zawsze do siebie podobne, mają zawsze jedno i to samo główne piętno swoje. Bo Syn Boży zaprawdę dokonał dzieła nieskończonej miłości, zaprawdę zstąpił z Nieba na doczesności doliny, stał się człowiekiem, — jednym pojedynczym, indywidualnym człowiekiem —

i umarł na świecie za świat; i odkupił z miłości ludzki ród, każdego pojedynczego człowieka.

Wracajmy atoli do pracy naszego Stwosza. Gdy te postaci jego wpływają do uczuć widza, potrącając najcichsze nawet struny duszy, — gdy i dygocą i grają te nieśmiertelności struny, jako tony arfy eolskiej, skoro na nie wionie od obłoków wianie, znać przeto, że te formy tych figur, choć na pozór z rzeczywistości wzięte, nie są bynajmniej istic wiernymi kopiami natury. Ten pozór ścisłych wizerunków, ta indywidualność ma jeszcze znaczenie głębokie, znaczenie wspólne całej sztuce chrześcijańskiej. Tutaj dopięro wiekuistość istotnie zstępuje z wysokości niebios na doczesności doliny, przybiera na siebie postać ziemską, by pośredniczyć między niebem a ziemią; i toć jest sprawą miłości niebiańskiej. Każda miłość jest widzeniem siebie w drugim, jest przeistoczeniem siebie w przedmiot ukochany; ztąd też miłość mądrości podobna, bo i mądrość widzi i poznaje w drugim własne myśli swoje. Miłość niebiańska, nieskończona, będąca też najwyższą mądrością, zręka się wiekuistęj ojcowizny swojej; przeistaczając się w postać doczesną poświęca się z miłości. Gdy niebo na ziemię zstępuje, ziemia ku niebu się zbliża. Niebo rozwiera się ludzkiemu rodowi. Wysłannik Boży budzi niebian w sercu człowieka, budzi je z miłości nieskończonęj.

Zaiste, człowiek nie dotrzymałby widoku wiekuistęj prawdy, gdyby mu się zjawiała w jęj właściwęj promienistęj postaci, lecz gdy ją obaczy odzianą w cielesność rzeczywistego człowieka, z całą indywidualnością, ze wszystkimi cechami tutecznych bólów i doczesnego pasowania się z żywotem i ze światem — już

wtedy biedny mieszkaniec ziemi nie spłoszy się lękiem, poufali się z wysłannikiem Bożym, które mu się zdaje, jako jeden z ludzi śmiertelnych: więc zwabiony niebiańskiem oczynieniem słyszy jakby wołające na niego głosy, co utonęły gdzieś w dawniej — w dawniej bardzo przeszłości, lubej, świętej. Coraz bliżej atoli nęci go wiekuistość i ku sobie pociąga miłością. Bliżej, choć jeszcze z sercem nieśmiałem przystępuje do niej człowiek, — ono dziecię boleści i cierpień, bo on sierotą na ziemi! bo jemu tak tęskno, tak ciężko w duszy iżby rad wyzalić, wypłakać z siebie te biedy i te smutki swoje; a im bliżej się przysunie do wiekuistości, tém ona potężniej pociąga go do siebie i nęci go i wabi uśmiechem niewypowiedzianej lubości i tajemniczego uroku, aż go obejmie miłością swoją i niebiańskiem kochaniem przytuli do łona, a człowiek, ono boleści dziecię a ziemski sierota, sam staje się wiekuistości synem, żyje życiem niebiańskiem, nieskończonem. Przecież właśnie dla tego, że samo niebo odziało się postacią rzeczywistego, osobnego człowieka, że właśnie człowiek pojedynczy nabrał nieskończonego znaczenia, stąd też i człowiek, stając się wiekuistości synem, nie traci siebie; — nie traci osobności swojej osoby, żyjąc życiem niebiańskiem nieskończonem.

Wszak nie raz ci się przyśniła twoja matka zmarła? widywałeś ją we śnie, jakby żywą była, choć odziana jakoby niebiańską poświatą; ona ci nosła radę i moc, wytrwanie i przestrogi. Powiedz mi, czyli nie przenikało duszę twoją przecucie, że to są anioły niebiańskie przebrane w postać lubą, drogą zmarłej matki twojej?

Za prawdę takie są cuda miłości niebiańskiej, a miłość najwyższa najwyższem jest poświęceniem.

Małoż to wieści z tych stóleciów dawnych o miłości cudach! Posłuchaj jednej z nich; ona zaiste tkliwa, rzewna jakby słowicza pieśń, przywiana z dalekich mrocznych ducha twojego gajów, kędy rodziły się przeczucia święte młodości twojej.

Słuchaj! — Przed staremi laty, na urwistej hardej skale urósł siwy, dumny gród; on wieżycą sięgał w przelotnych obłoków walki i patrzył na fale rzeki, co w głębi na wyścigi śpieszyły w daleką nieznana dal. W zamku żył rycerz młody. On dumaniem sięgał nad obłoki, co płyną po jasnych niebios błękitach, a duszą tęsknił w daleką dal. Dumał i tęsknił, bo ze Wschodu, od Syonu, dolatywał głos o hufcach zbrojnych, co ciągną do grobu Chrystusa; głos o walkach w Świętej Ziemi, kędy Zbawiciel zbawił świat: ale rycerza młodego trzyma w oczynieniu do małżonki miłość, bo jej serce czystsze niż przeczystej rzeki fale. Przecież, jak grzmot daleki, od Wschodu, od Syonu potężniej i potężniej dolatywał głos o hufcach, o walkach za Świętą Ziemię!

Poszedł za wołaniem głosu rycerz młody.

Mijały wiosny o krzewach i drzewach kwitnących, o lesnych skrzydlatych śpiewakach; a krzewy i drzewa w jesieni listkiem po listku płaciły za wiosenne kwiaty swoje; a lesne śpiewaki milczeniem umarłem płaciły za wiosenne pieśni i kochania swoje. Zima nocna objęła świat. I Pani na zamku samotna, — serce jej zaszło zimą nocną, a z liców spadły róże kwitnące; ona smętkiem w duszy płaciła za kwiaty, za pieśni weselne, za kochania młodego życia. Wracały wiosny,



a z niemi wracały liście i kwiaty, pieśni i kochania skrzydlatych śpiewaków. Lecz w serce głuche młodej małżonki nie wróciły więcej śpiewne wesela, ani ziemskiej miłości rozkosze; nie rozkwitły już nigdy jej róże na licach, nie zeszła już z duszy nocna zima mroźna, bo nie wrócił już nigdy z Świętej ziemi serca jej kochanek. Ona zaślubiona na zawsze wdowienstwu; samotnej tęsknocie zaślubiona na zawsze.

Ale chociaż w sercu nie zakwitły już nigdy ziemskie miłości, ani dusza światowem kochaniem, przecież serce zapłonęło inną miłością, bo zapłonęło niebiańskiem wiary uczuciem. Wiesz — choć zima załegnie kraj, choć pora nieużyta mrozem ściśnie przyrody ochotne wesela, choć skamienie lodem życie młode, i pulsa natury zewnętrznej bić przestają, przecież ta Ziemia nasza ma własne ciepło swoje. W głębinach planety goreją ognie; one rzadko tylko buchną słupem złowrogim, płomiennym rozrywając piersi wulkanów; ale wiecznie grzeją, wiecznie płoną w sercu planety. Im głębiej więc zapuścisz się szybem górniczym w jej otchłanie, tém gorętsze jej ukryte tajniki. Te ognie bronią ziemską kulicę by zewnętrzne chłody zimowe nie przestudziły jej serca, by jej wkrós nie przejęły mrozy. Podobnie bywa i z ludzkim sercem. Mniejsza o mrozy światowe, mniejsza o chłody, mniejsza o mrozy co od życia, co od ludzi, od pory przemiennej zimowej na uczucia twoje wieją; jeśli te uczucia twoje głębokie, nie wygaśnie w nich ciepło; uczucia tylko z wierzchu skrzepną, lecz w piersi głębinach tętnieją źródłem wiecznie wrzące uczucia, a ognie święte ciągle płonące bronić będą serce, by nie przeszły go wskrós mrozy. Tak się stało z pobożną w zamku

niewiastą; choć serce jęj z wierzchu zabiegło ziemskimi  
 uciech zimą, Bóg w głębiach jęj zachował zdrój ciepły,  
 ognie płonące chrześcijańskiej miłości, co zbudziły  
 inne wesela, inne nieskończone pociechy. Jakby anio-  
 łów posłannica, zjawiała się po chatach niskich niosąc  
 pocieszenie strapionym i chleb zgłodniałym; ona była  
 już matką sierotom opuszczonym przez ludzi. Kędy  
 powstała, z pod jęj stop ustroiła się w różę wdzięcznej  
 ścieżka łzawa ziemskiego żywota; gdy się dotknęła  
 cierniów doczesnego świata, ciernie zakwitły wonią i  
 barwą a boleści radosnym ukojeniem; więc ją też  
 czcił w koło lud biedny, jako Świętą, jako Bożę ko-  
 ehanie.

Raz wieczorem, — gdy zima miała ustąpić wio-  
 śnie młodej panowania nad przyrodą, a świat czekał  
 jedynie skowronków pobudki, jakby porannego dzwonka,  
 co wzywa do życia i rozkoszy śpiącą snem naturę —  
 Pani przechadzała się w mroku po obejściu zamko-  
 wem, rozmyślając o Bogu na niebie, a biednych lu-  
 dziach na ziemi. Zrazu, zdziwiona w sercu swoim  
 stanęła, bo zoczyła krzew cierniowy okryty bielą ja-  
 sną, co świeciła wśród mrocznego wieczora. Czyli to  
 jeszcze zimy pożegnanie śnieżne? czyli to już wiosny  
 kwieciste powitanie? — I przystąpiła bliżej Pani;  
 o radości! ciernie bezlistne, ostre, suche, obsypane,  
 jakby gwiazdkami, rokosznym kwiatków rodem.  
 Uszczknęła gałązkę, by nią ustroić obraz Boga-Rodzicy,  
 który chowała z miłością w komnacie, puścizną po  
 dziadach pobożnych. I uwieńczyła obraz w komnacie,  
 jako cierniem doczesnego trudu, rozkwitłym wiekuiśto-  
 ści kwiatkami, i ślubila sobie w duszy, że z każdym

wieczorem świeżą gałązką uwienczy Pannę Przenajświętszą.

Wróciła przeto nazajutrz wśród zmierzchu zachodzącego wieczora, ale lęki przeszły jej duszę; krzewy cierniowe były jakąś promienną jasnością; zdawało się że goreje poświatą wdzięczna ciżba kwiatów! — Skąd kwiatom te jasne promienie, czyli to robaczków świecenie błyszczące, czyli może rozbojników utajone czaty! Trwoga przejęła duszę niewiasty, lecz pomna swoich ślubów, drżąca, z wejrzeniem spuszczone, zatrzymując tchy zbliża się do krzewów i dygotną ręką uszczknęła gałązkę i zanosła na wieniec ofierny Boga-Rodzicy. Noc przeszła jej na dumaniu i myślach, bo w niej robi i nie daje pokoju pragnienie, by rozwiązać tajemnice onęj dziwnej promiennej poświaty. Gdy przeto znowu nazajutrz dzień z Nieba spłynął, a nocne namioty rozpinały się nad ziemią, nad zamkiem, opuszcza Pani ciche samotne komnaty swoje, z nią sługa sliwy, powiernik jej stary, i kapelan, wierny sługa boży. I widzą, jak wśród wieczornych cieniów goreje krzew jasną poświatą, a jaśniej i jaśniej rozgorzał światłością. Uklękło grono śpiewając hymny na cześć Panu. Przystępuje kapłan do świecących cierni, dłonią drżąca roztula gałązki kwieciste, świecące, — a wśród krzewów i kwiatów promieni się blaskiem niebiańskich jasności wizerunek Panny Przenajświętszej. „Bądź pozdrowiona Maryo! łaskiś pełna!“ zawołał kapłan, — a wszystko troje, z sercem rozebraném radośną trwogą, zaśpiewali litanię na cześć Matki Boskiej; jakby w uczuciu niewymównego szczęścia; a tkliwiej i rzewniej brzmiały pieśni serdeczne, mocniej a świetniej jaśniał wizerunek święty Matki-Dziewicy.

Obraz pełen prostoty, z drzewa rzeźbiony, pomalowany farbami, on to był onych jasności stokiem, on to promienił poświatą w cierniowych krzewach kwiecistych, on i teraz promienił weselem nieskończonem w sercu tych trójga ludzi. I zaniósł kapłan obraz cudowny, do zamkowej świetlicy; za nim idąc Pani i sługa stary śpiewali koronki.

W świetlicy, w niży postawili obraz; ustroili go w kosztowne lichtarze i bogate sprzęty; noc całą przemodliło to zacne grono, a rzewne, serdeczne składali dzięki za łaskę tak wielką, że królowa niebios wstąpiła za progi doczesnego ich domu. Nazajutrz gromadzą się znów na modlitwę przed wizerunkiem świętym. Aleć, jakież był przestach i gorący żal ich duszy, gdy nie obaczyli więcej Boga-Rodzicy; ona znikła z niży bogatej, strojnój! Daremnie przenikają najskrytsze tajniki swojego serca, pytając czyli może jakieś uczucie światowe, jakaś myśl doczesna nie wplotła się w ich pobożność i nie skaziła modlitw i pieśni świętych; Pani atoli, wiedziona wewnętrzzną tajemniczą wróżbą, poszła nawiedzić krzewy cierniowe, a dreszcze roskoszy nieskończonej przejęły jej serce, gdy już zdążyła spostrzegła krzewy w powodzi jasności, a wśród kwiatów i gałązek promieniejący obraz Panny Maryi! „Niechaj się stanie wola twoja święta. Na tém miejscu niechaj się wzniesie twój przybytek wybrany i dom!“ zawołała niewiasta. Wkrótce też na miejscu cierniów zbudowany jest kościół, budo-wników cudo, — wspaniały i świetny darami całego kraju w koło; zdobny w rzeźbione na kamieniu konary i gałązki gotyckie, a poświęcony „Przenajświętszej Pannie w cierniach kwitnących.“ Nie zadługo też

stary rycerski gród ustąpił miejsca grodowi wiary, bo na podwalinach jego wzniósł się okazały klasztor dla niewiast pobożnych, które, cofnąwszy promienie ducha swojego z zewnętrznego świata, odwróciły się od uciech doczesnych, co ulatują jako sen, jako rosy rannej kropelka na listku drżącym, gdy ją wysie skwar pod życia południe. Pani starego zamku, ulegając prozbom i czci powszechniej, stała się pierwszą tego zgromadzenia matką. I przewodziła domowi, aż Cherubiny Pańskie śpiewem niebiańskim nie ukołysały jej bożym snem i nie przeniosły w one światy, kędy w nieskończonej jasności roztulają się już bez cierni kwiaty wiekuiste.

Spłynęło światem stolecie jedno i drugie, a w ustach ludu żyła dziedzictwem pamięć o cudownem powstaniu świątnicy i o Pani pobożnej. Zawsze i zawsze w klastorze tak już bywało, że jedna z dziewięć z jej rodziny była ksienią kaplicy onego cudownego wizerunku Panny Przenajświętszej. Stało się tedy, iż jednego razu wybraną była na ksienią Bożenna młoda, wdzięcznej urody dziewica. Jej duszy nie zawiąły kłamliwe tchy światowe, jej uczuć nie doleciała wieść o grzechu doczesności ziemskiej. Jej serce przeczyste jak lilia śnieżna było mieszkaniem aniołów, co jej przynosiły wieść o królowej nieba i ziemi, i znów pacierzem, z westchnieniem gorącej, pobożnej miłości dziewicy wracały do nieba, niosąc jej paciery, westchnienia w ofierze Maryi Pannie, co się świeci w wysokościach nadgwiżdnych. Bo też najwyższem kochaniem dziewicy, najrzewniejszą jej serca tęsknotą była miłość ku Świętej Pannie, oniej lilii niebiańskiej, której poświęciła młody swój żywot i

wszystkie tchy duszy swojej. Całą treść serca wylewała przed tym wizerunkiem, składając mu łyzy radości w ofierze, niby perły kosztowne. Co wieczór, co rano, odwiedzając kaplicę cudowną, świeżym zwojem kwiatów stroiła przybytek Panny Przenajświętszej; co dzień rozwiewny dymek kadzidel wonnych lekkim obłoczkiem otoczył obraz, a przez obłoczek świeciły, jakby gwiazdki, lampy błyszczące jej ręką rozświetlone. Więc jej się zdało, że razem z królową niebios uniosła się już po nad obłoków i gwiazd krainy. Jak motylek w rajskich ogrodach przelatuje z kwiatów na kwiaty, tak jej przelatywało życie po niewinnych ucieskach, w niezamąconym nigdy serca pokoju.

Otóż, zdarzyło się, iż pewnego razu chłopiec przyniósł wieść straszliwą, jako nieznany rycerz młody, ciężko od rozbojników ranny, zemdlny, z ostatkiem życia przyniesiony był do chatki poblizkiej. Niewiasty świątobliwe były słynne po przez kraj cały znajomością leków, a nad wszystkie już celowała przez czuciem szczęśliwem Bożenna młoda; ona też przeznaczona została na opatrność ziemską konającemu młodzieńcowi. Z sercem ufności pełnem w moc leków, a z wyższą ufnością w pomoc Bożą, młoda służebnica Przenajświętszej Panny zwróciła staranne troski swoje by wskrzesić umarłe życie w rycerzu nieznanym. Walczyła dniem i nocą, by przemodz ohydne śmierci straszydło, stojące przy łożu boleści jego. Co rano oddawszy swojej niebiańskiej Pani czesne służby swoje i pokłon serca, splotami kwiatów umaiwszy świetlice Królowej świętej, spieszenie wracała do chatki nizkiej.

Jak po długiej zimie klują się ledwie dostrzeżone okiem trawki młode, wywołane wiosennego słońca

spójrzeniem, tak u młodzieńca, pod spójrzeniem jasnym dziewicy, wykluwały się pierwsze nadzieje znowu wracających sił; — lecz te nadzieje młode drżały, dygotały lękiem, by powrót mroźnych powiewów nie ścisnął skonem dopiero co rodzących się zdrowia oznak. Rzewnie, z duszą pełną gorącej wdzięczności modliła się swojej Pani dziewica; w radości jej serca zalało się, że jeszcze wdzięczniejsze kwiatów zwoje, że wonniejsze kadzideł obłoczki, że świetniej jeszcze jasnieją lamp srebrnych gwiazdki błyszczące.

Dzień po dniu Bożenna witała wróżby bliższego a bliższego wyzdrowienia w wojowniku młodym. Spójrzenie jego już niekiedy błysnęło jakby słońcem myśli; w sercu, jakby ptaszków wiosennych tęskne śpiewy, odzywały się uczucia za światem, za życiem, a purpury Wschodu z lekka już ochuchały lica jego.

Rzewnie, z duszą pełną gorącej wdzięczności modliła się swojej Pani dziewica i stroiła radością przybytek Jej i dom. Ale do modlitw, do pacierzów i pieśni pobożnych wglądały jakieś dziwne, jakieś niewymówne uczucia, jakieś zgrozy a uciechy zagadkowe. Ciężko jej było na sercu i łzawo, — serce zadygotało, bo głosy lubie, słodkie, rokoszne, a przecież obce, trwożące wznosiły się z głębin nieznanych jej duszy; to straszyły, to nęciły z kolei, a pieszcząc i grożąc przechodziły mrowiem jej istotę. Jak gołębicą spłoszona, tuliła się myślą do Boga-Rodzicy, pragnęła wyplakać strachy i lęki ze serca swojego, lecz przez łyzy widziała postać Panny Przenajświętszej jakby za mglistą, ciężką oponą.

Biada niewinnej dziewicy! — jeszcze trwały powinności jej nałożone, — jeszcze i jeszcze zniewolona

była wracać do chatki młodzieńka, a one niepokoje, one nętne, pieszczące, słodko-śpiewne głosy mocniej a mocniej brzmiały w piersiach jój! Jakieś zostaci lubę, z przymilającym się uśmiechem, lekkie i urocze niekiedy otaczały ją tańcem hożym, wabiąc i pieszcząc piosenką dźwięczną. Te atoli postaci z innego pochodziły świata, ich uśmiech, to nie uśmiech niewinności rajskiej; — te piosenki, to nie pieśni śpiewane na cześć lilii niebiańskiej. Każdego wieczora, gdy, miotana niewypowiedzianém uczuciem, opuszczała chatę, zmierzając do zaciszy klasztoru, jeden z owych aniołów, co przemieszkiwali w jój sercu, ulatywał do Nieba, a co który uleciał, już więcej z Nieba nie wracał do Bożenny biednej. Rzucała się krzyżem u stop ołtarza w cichój samotności świętego przybytku, i modliła się i płakała, i drżącą ręką opatrywała w kwieciste wieńce i rozświetlała kagańców płomień; ale kwiaty, jakby chore, pochylały swoje główki wdzięczne, a płomyki lamp srebrnych mrugały smętnie i gasły. Oblicze Najświętszej Maryi tak teraz bolesne i poważne! i wnet też opona łzawa zakrywała ją przed dziewicy spojrzaniem.

Bliżej, bliżej otoczyła Bożennę siatka potęg zdradnych, siatka z róż ziemskich spleciona, i liczniej a liczniej gromadził się orszak mocy czarodziejskich, wezwanych wrogą sztuką złego młodzieńca. Zawrotnym wirem one postaci i widziadła hasały około biednej dziewicy, a słodsze a wdzięczniejsze były pieszczoty ich pieśni. Już aniołki, w jój sercu żyjące, po jednym uleciały na wysokości, i już nie wrócił z nieba żaden z nich. Jeden tylko aniołek



pozostał w sercu Bożenny, sam jeden, samotny; tym aniołkiem była — miłość jej dla Maryi Świętej!

Pewnego późnego wieczora Bożenna blada, drżąca, ze spuszczoneym wzrokiem, o chwiejącej stopie wchodzi do kaplicy i padła krzyżem przed Boga-Rodzicą. Tyś mnie opuściła, o Maryo! zawołała ze łkaniem boleści, już ja nie dotknę się tych kwiatów nieskalanych, tych sprzętów świętych, jam już nie godna, bym była służebnicą twoją, już ja więcęj tobie służyć nie będę! Przyjmij, o Matko Bolesna, łzy moje gorące, świadki mojej żalności serdecznej i katuszy. — I opuściła kaplicę i klasztor cichy, młodych czystych roskoszy raj.

Przeszła noc, uleciał dzień, jeden, drugi i trzeci, a Bożenna stanęła wraz ze zradnym młodzieńcem na ojczystej jego ziemi. Tu zabrzmiały w koło niej ziemskie uciechy; tu zapieniła się odurzająca czara światowych roskoszy. Szał zabaw bucznych, szumnych unosił jakby wichrem niewiastę młodą a roje młodzieży wytwornej, gładkiej, o duszy zepsuciem stoczonej, składały służby swoje jej wdziękom cudownym, otaczając ją dworem świecistym, złocistym; zewsząd słówka jedwabne, zwody schlebne, mowy słodkie opajały jej myśl. Obsypana darami, strojem wykwintnym, cackiem klejnotów, porwana dziką, zapustną zmysłów ochotą i rozhasanych namiętności wirem, nie zdolna była upamiętać się w bezdeniach zamętu. Przecież, gdy choć na chwilę przebrzmiały czarnoksięskie oczynienia, gdy się obaczyła sama z sobą, wtedy jakby od dziecięcia wymarzone obrazy senne o klasztorze, o kaplicy, o najświętszej Pannie Cudownej snuły się przed oczyma jej duszy i pokazy-

wały jej wrota zamknięte utraconych na zawsze rajskich ogrodów. W tych chwilach eichych żalność bez granic zabięła jej serce, rzewność pełna palących niewymównych uczuć rozbięrała jej duszę; — wtedy ona dobywała szkaplerza z wizerunkiem „Maryi w cierniach kwitnących“ i tonęła nabożeństwem w tym obrazie przeczystym, bo szkaplerz i wizerunek święty były zawsze jeszcze najdroższym klejnotem uniesionym z czasów dawnych, tak szczęśnych, błogich i niewinnych. Wszakże nie śmiała dotknąć się skalanimi usty świętego obrazu, tylko lzy kipiące żarem boleści padały na szkaplerz, na obraz; a aniołek samotny, co sam jeden pozostał w sercu Bożenny, uśmiechał się radością niebiańską.

W rychle atoli, gdy samotność ustępowiała wraz z ochotniejszą, błyszczącej, znów zabawy, festyny huczne, strojne, znów opojenie światowe zalały powodzią serce niewiasty biednej, i uchwyciły prądem gwałtownym i zaniósły daleko, jej umysł od wspomnień drogich. Tak kilka lat przesunęło wśród hucznych mamideł, świetności ponętnych, wśród wrzaw burzliwych i opojenia rozkoszy zmysłowej, gdy ów młodzieniec, zdradny zwodźca, opuścił kochanie swoje.

Bożenna stanęła sama jedna na szerokim złym świecie. W koło niej rozstawione na czatach demony grzechu, co wiecznie czujne, wiecznie stroją zasadzki nieopatrzniemu sercu, które choć raz jeden powierzyło się ich kłamstwom pokusnym. Nieszczęśna niewiasta opuszczona, ujęta w matnie własnej swojej piękności czarownej, parta podstępem, zdradą, i mocą nawyknięcia, odurzona światem, zstępowała na coraz niższe szczeble sromu i strasznego poniżenia. Sil-

niej a silniej osidlały ją demoniczne potęgi, a w końcu pograżyły w trzęsawiska, z których świat nie zna wybawienia; do poniżeń i sromu przyłączyły się niedostatek i nędza sroga. Szaty wykwintne, stroje kosztowne, klejnoty błyszczące już od wielu lat rozplynęły; choroba nieubłagana, widmo śmierci głodowej zazierały w oczy, — to jedyne już jej towarzysze przez resztki życia. Zebraczka o proszalnym chlebie, o siłach zwątlonych i postaci chwiejącej, jakby żywe wyszydzenie dawnych uciech, wlokła drżące stopy swoje, błagając ratunku. Często u wrót zamkniętych, nieużytych, padała ze czczości; — wtedy koleje przeszle i przyszłość, świat cały, zakreśliły się hasem kołowrotnym, dzikim; bezuzdny pędem przemykały się demony chichotne. Długi szereg lat, długi jak wieczność, upłynął w tém powolnym, powolnym konaniu. Lecz przez ten długi szereg lat nie ustępował z jej piersi szkaplerz z wizerunkiem Panny Maryi, „w cierniach kwitnących.“

Na ustroniach samotnych, umarłych, kędy nie dochodziły wrzawy uliczne, dobywała szkaplerza swojego i z zeszkłonemi oczyma zapadała sercem w niegdyś niebiańskie kochanie swoje. Wszakże już łzy palące, gorące nie padały na obraz święty, bo już łez nie stało, one wszystkie już wypłakane; w sercu atoli mieszkał jeszcze ten aniołek miłości ku Maryi Świętej; choć samotny, choć sam jeden ze wszystkich braciszków swoich, które już dawno do nieba uleciały, on jedyny, samotny kwiateczek niebiański pozostał na cierniach żywota Bożenny.

Jakby długa noc, wlokło się wolne konanie niešťczęśnej niewiasty; jakby noc boleści nieprzepłakana,

nieprzeżyta, trwały katusze nędzy i cierpienie bez granic. Wsparta na kij, w męczarniach czyscowych szła od wsi do wsi, od miasta do miasta, z kraju do kraju, szukając miejsca, kędyby mogła już spocząć na wieki; lecz nigdzie, nigdzie nie mogła znaleźć grobu dla siebie.

Pewnego razu zapadły ją ciemności wieczorne, ponure, bezgwiazdne, mroźne jak jej życie; w koło zamieci śnieżne, wichry ludowe; w koło pusto, głucho — jęki zimowe same hulają po umarłej naturze. Żebra czka mdlejąca źrenice topiła w ciemnicy wieczornej. Zewsząd pustkowie przyrody bezładne; zdała tylko na rąbku widnokrzęgu mrugało światełko. Czyli to może już ostatnia gwiazdka przewodnia na drodze pielgrzymki doczesnej? Czyli to kaganiec, co mrugał ze samotnego domku? Ku światelku zmierza chodem omdlałym, ociężałym, płacąc poruszenie każde ostatkiem opuszczających sił. Wątpienie padło na jej serce, czyli zdoła osiągnąć jeszcze migocącego płomyka, azali może nie przyjdzie na samotnym polu umrzeć wśród zgrozy i mrozów! Idzie, idzie długo, przyciskając szkaplerz swój do serca, które już biegało przestawało, dźwigając z wysileniem schorzałe, strętwiałe zimnem członki. Dosięgła nakoniec celu.

Na wzniosłości pagórow urwistych stał gmach wspaniały, niby pałac, niby gród; z okien wzniosłych biły jasności w ciemną noc. Z nateżeniem ostatecznym doszła bramy. — Zadzwońska — głos dzwonka wywołał jakby echa z jakichś dawnych, dawnych lat — zadzwońska — i padła nieprzytomna sobie; już jej brakło sił.

Z wskrzeszonym życiem, spojrzała w koło żebra czka, potoczyła okiem — te miejsca, kolumny i skle-

pienia, otaczające ją w koło, tak dziwnie na nią spoglądały, jakby senne wspomnienia dawnych, dawnych wieści czarownych, Jakoż zakonnica pełna miłosierdzia cuci, dodaje sił wzmacniającym napojem.

„Gdzie jestem!“ pyta żebraczka. „Alboż to nie wiesz biedna niewiasto moja, żeś w klasztorze Maryi Świętej w cierniach kwitnących!“ Dreszcze żalów, ognie radości mroziły, paliły serce nędznej kobiety — i milczała długo. Nakoniec rzekła „Bywałam i ja niegdyś w tych murach świętych, ale to już dawno, już bardzo dawno, było to przed wielu laty, wtedy, gdy jeszcze siostra Bożenna żyła w klasztorze.“

— „Lecz — rzecze siostra furtyanka — siostra Bożenna ciągle jeszcze mieszka między nami.“ — „Matko moja — rzekła drżąca żebraczka — ja mówię o tej siostrze Bożennie, która niegdyś była ksienią kaplicy cudownej, i tak, tak niegodnie, jak było słychać, zdradziła śluby swoje święte.“ — „Niechaj ci Bóg przebaczy, niewiasto biedna; aleć ta sama właśnie siostra Bożenna jest zawsze jeszcze ksienią kaplicy cudownej. Ja od pół wieku żyję w tym drogin przybytku naszym, a żadna ze siostr nie skaziła nigdy ślubów swoich. Siostra Bożenna zaprawdę jest nam łaską Bożą, ona nam wszystkim wzorem świątobliwego żywota i uczuc świętych nieskalanych. Cały kraj w koło ma ją we czci najwyższej, boć ona wszystkim wzmocnieniem, otuchą niebiańską. Ale ona właśnie znajduje się w kaplicy — wszak znasz drogę — idź niewiasto moja i z nią się przywitaj.

Żebraczka w napięciu duszy, bez tchu, bez upamiętania przechodzi przysionki, korytarze, ganki, co były niegdyś dla niej światem całym a światem tak

błogim rajskim. Już wstąpiła za progi kapliczne — tutaj uklękła, legła krzyżem, biła czołem w posadzkę kamienną. I widzi, widzi zakonnice strojącą ołtarz świeżym kwiatów zwojem i rozświetlającą lampki błyszczące. Zakonnica zwróciła się ku niej chodem niedosłyszanym i już się zbliża. Lęk, niepokój przejmujące serce Bożenny — ta siostra! to ona sama! to sama ona Bożenna! To jej wizerunek żywy; to jej własna postać i oblicze! Ale jej wizerunek, jakim była niegdyś, przed laty, żyjąc w klasztorze jeszcze w wiosnie młodości niewinnej, nieskalanej. Zakonnica, przystępując do drżącej żebraczki, rzekła: — „Witam cię ukochana córo moja! Ja długo na ciebie czekałam, ale wiedziałam, jak mnie kochasz, że twoja miłość dla mnie znów cię tutaj napowrót sprowadzi. Gdy byłaś daleko odemnie, jam przybrała postać twoją, jam za ciebie służyła, by cię osłonić od sromu, od wyrzutów. Teraz poznałaś ten świat, wiesz jaka wartość jego, już jesteś moją na zawsze! już teraz będziemy razem z sobą, razem na wiekiistość całą! Witam cię dziecię moje! W twojej celi znajdziesz swoje dawne szaty; gdy je przywdziejesz, wrócona ci będzie z dawną postacią i młodością, dawna niewinność i pierwotne nieskalanie, i będziesz czém byłaś niegdyś! Gdy to wyrzekła z uśmiechem anielskiej miłości wstąpiła postać na ołtarz i przemówiła tylko jeszcze: — „Pozdrawiam cię siostró ksieni! Kochaj Maryją, jak ona cię kochała!“ — Rozpromieniła się majestatem jako Boga-Rodzica i Nieba Królowa!

W ten dzień na niebie obchodzono święto radośne, a na ziemi dnia tego wszystkie ciernie zakwitły kwiatem!

Czyliż ta powieść nie jest wymowniejszym świadkiem o zwrocie ogromnym rodu ludzkiego, niż wszystkie choćby najgłębsze rozbiory naukowe! ona jest jasnością, roświecającą znaczenie świata, który teraz nastaje w dziejach ludzkich, i dla tego pozwoliłem sobie tak się rozszerzyć z tą powieścią; jest ona jedną z tych cudnych historyi, które nam w naszych tu stronach za lat dziecięcych opowiadano, a która podobno utkwi w sercu na życie całe, z całą formą tak pełną wdzięku a prostoty. Boć też każdy, kto ją raz usłyszał, nosił ją w sercu swoim, jakby klejnot od matki na pamiątkę darowany. Cieszyłem się gdy ją przed kilku laty widział skreśloną przez jednego z autorów francuzkich; gdy ją czytał, zdało się że wieloletni pył ścierał się z tego obrazku wspomnień pacholęcych; a lubo z tych powodów wiele wien jestem rzeczonemu autorowi, zdało mi się atoli że może zbyt nadał tej legendzie barwę romansu; wolałem ją tedy opowiedzieć po swojemu, trzymając się przytém wspomnień z młodości porannej; boć i one są podobnie „kwiatkiem na cierniach suchych żywota.“ Lecz mniejsza o to. W każdym razie myślę że ta legenda, jedna z najpiękniejszych, godna była przełożenia, zwłaszcza iż nam się tak nadaje do celu naszego. Przyznaj, że ówczesny świat, który w duszy swojej piastował podobne obrazy niebiańskie, sam wprzód odrodził się wiekuistością i wychrzcził się z więzów materyalnej natury a przemijających, jako sen, uciech jego. Ten świat z tych powieści, jakby z przeczystego źródła, pił nieustannie tę prawdę, że niebo samo zstąpiło na ziemię, że przybiera na się postać ludzką, że miłością nieskończoną ku naszemu

rodowi oddaje się w służby doczesności i że z nim cierpi i płacze, bez granic się poświęcając.

Zaiste, człowiek zrazu nieśmiało, z lękiem w sercu zbliża się do gości wiekuistych; przyciągniony jednak kochaniem bezdenném, rzuca się w ich objęcia, im się zaślubiając na wieczność całą. Przyciąga go własna wiekuistość, miłością obudzona. Im potężniej zarem roznieci się w nim ta miłość, tém potężniej w nim prze i robi bezmierna ku niebu tęsknota, i tém też nawzajem potężniej płynie prąd w serce jego od miłości nieskończonej, która w niebie króluje; tém też nawzajem i niebo silniej tęskni ku niemu.

Prawda wiekuista bynajmniej nie jest samą wiedzą, przez rozum i pasowanie się myśli nabytą; ona jest i uczuciem, miłością gorącą serca naszego. Bo choć nie przeczymy, że w sercu zarazem gnieźdzą się i złe uczucia, owe demony siatniki, co, lęgnąc się z doczesnej naszej natury, a przebrane w kłamliwe urocze postaci, mają i stroją nieopatrzny oehotom sieci zdradne; choć tedy nie przeczymy, że tu potrzeba myśli oględnej, by stanęła na straży i po przez wdzięczne kształty poznała pokusne złego wysłańce i odróżniła je od niebiańskich zwiastunów; toć przecież wyznać potrzeba, że prawda nieskończona, samą pracą rozumową zdobyta, że sama chłodna wiedza nam nie wystarczy, jeżeli zarazem nie przejdzie w ciepłe serce i nie stanie się żywém, obecném w nas uczuciem. Chciéj zważyć, iż każda nauka, wiadomość, której się pracą myśli dorobiłeś, którą sobie przyswoiłeś, jest wprawdzie twoją, jest twoją własnością; ale dla tego, iż jest dopiéro własnością twoją, nie jest jeszcze tobą samym. Wszak ty sam odróżniasz siebie samego od



tych nauk, wiadomości twoich. Co jednak w sercu twojem żyje, co czujesz, co wierzysz, toć jesteś ty sam, to twoja istota. A lubo uczucia same jedne nie wystarczą, to jednak, gdy ich braknie, nie mogą być zastąpione samym rozumem; dla tego żądamy, aby wiara była w sercu, aby się stała sama istotą człowieka.

Jak umiejętność każda i mądrość jest poznaniem wewnętrznego znaczenia przedmiotu, zatem poznaniem myśli tkwiącej w nim, więc przeniesieniem tej myśli jego do naszej własnej myśli; tak też uczuciem odpowiedniem mądrości jest miłość, bo i miłość jest znalezieniem, widzeniem siebie w przedmiocie ukochanym. Jak zaś najwyższa mądrość jest poznaniem wiekuistych prawd, tak miłość najwyższa jest ukochaniem prawd wiekuistych — jest miłością ku Bogu. Bo miłość odnosi się już koniecznie do osoby; pojęcie ogólne, abstrakcyjne, jakim jest prawda — idea — może jeszcze odnosić się do jakiegoś rozumowego celu; ale serce, ale miłość, uczuciem będąc, zwraca się do osoby. Dla tego idea — rozum wiekuisty i inne podobne wyrażenia abstrakcyjne nie wystarczą dla serca; dla miłości trzeba Boga będącego osobą, Bogiem żywym; ale i dla rozumu one abstrakcyjne nie wystarczą, gdyż są niedokończonym wypadkiem; sam rozum party jest potęgą, koniecznością logiki, by te abstrakcyjne dalej rozwinął, by stanął u celu który wywróży to serce jasnowidzeniem, przeczuciem swoim.

Gdy taka miłość nieskończona zapłonie w sercu człowieka, już on zwróci się w siebie, na wewnątrz, ku słońcu, które w nim rozgorzało jasnością, wtedy człowiek zrazu cały tonie w samym sobie, przepada we własnej wiekuistości swojej, nurzy się we wnętrzu

swojém. Co tedy na zewnątrz niego istnieje, co doczesne, tuteczne, światowe, zrazu gaśnie, zmiera. Wtedy cała treść, tkwiąca w zewnętrznych rzeczach, ustępuje, znika; ten świat staje się dla niego bezduszną, bezjadrną łupiną, bo człowiek cofnął ducha swojego promienie z tego wszystkiego, co cieleśne, co zewnętrzne jest. Odwraca się od tego doczesnego świata, co już jest bez znaczenia i obcym dla niego. (\*)

To nie przyznawanie się do świata zewnętrznego, to wyrzeczenie się a utonienie ducha w sobie, dochodzi téj mocy, że się człowiek nawet wyrzeka własnych czynów swoich, boć i one należą do zewnętrznego świata; więc i one stać się mogą czémś obcém i cudzém względem nas. Aby zaś te własne sprawy stały się rzeczywiście czémś obcém i zewnętrzném, potrzeba aby z niego boleść wytopiła wszystkie pomyłki, jako ziemskie, marne i przemijające; wtedy to dopiero zaprawdę duch, wstąpiwszy w siebie do głębin swoich, uznała te błędne sprawy swoje, jako zjawiska tylko zewnętrzne, które nie poszły z istoty jego, ale jedynie ze słabiej i nieopatrznej chwili; uzna tedy, że te sprawy

---

(\*) Uważ że te zjawiska wszystkie zrazu się pokażą, bo w pierwszych chwilach ludzkość, czując w sobie gorejącą wiekuistość, olśniła ję światłem: nie widziała przeto zewnętrznej rzeczywistości. Trzeba było długiego czasu za nim ród ludzki, nie tracąc wiedzy i uczucia o wiekuistości przebywającej w nim, zająć się zdołał i naturą i rzeczywistością, więc całym światem zewnętrznym. Otoż, temi pierwszemi chwilami, onemi chwilami utonienia w sobie i odwracania się od zewnętrznego świata, temi chwilami dla ludzkości są Wieki Średnie, trwające 1000 lat, a ze stóleciem XVI-tym, jak obaczysz w późniejszych listach, rozpoczyna się nawrot do rzeczywistości, bez utracenia skarbu wiekuistości żyjącej w duchu.

nie były i nie są nim samym. Wtedy, nawracając do przybytku wnętrza swojego, znajdzie w nim wiekuistość, w której już będzie jako w domu ojcystym, i będzie obchodził święto nieskończone pogodzenia się z samym z sobą i z Bogiem.

Tak tedy z rozumowania powyższego widzimy znaczenie powieści przez nas przytoczonej. Wiekuistość istnieje w duchu, zatem człowiek zrywa z naturą, ze światem zewnętrznym, i czuje nieskończoną swobodę zamknąwszy się w sobie. Przecież gdy on ma również byt w świecie, w cielesności, więc następuje w nim walka dwóch pierwiastków, bo nieba i ziemi. W tej walce może chwilowo uleść potęgom tutecznym, ziemskim, przecież gdy wiekuistości swojej nie traci, więc nieskończona tęsknota rozbierze serce jego, usłyszysz wołanie w sobie, bo duszy tęskno do matki, do wiekuistości. Jeżeli tedy żal, żal serdeczny, głęboki, wypalił z serca pomyłki i winy, już one staną się obce, jakby nie nasze: one z nas spadną, a dusza staje w czystej, pierwotnej swojej nieskalanej niewinności anielskiej.

Może tedy jaśniej jeszcze teraz wypłynęła ci prawda, już powyżej powtórzona, że sztuka piękna, odziewając nieskończoną treść człowieka w postać cielesną, już nie wystarcza nową epokę świata; bo co materialne, cielesne, zewnętrzne, straciło już wagę swoją i nie zdoła być wyrazem wiekuistości w całej jej bezdeni, jak ją teraz pojmuje ludzki ród.

Ta powieść rzewna, przytoczona przeze mnie, posłużyć może i za komentarz ostateczny dzieła naszego Stwosza. Zdaje mi się bowiem, że z niej dostаточно wytłómaczyć sobie zdołamy i te wszystkie uwagi, które

nam powyżej wypłynęły z zapatrywania się na tę zacną pracę jego.

Chcemy sobie jeszcze wyjaśnić niektóre fakta, na które powyżej zwróciłem bacność twoją.

Patrz — to cofnienie się w siebie, to życie wewnętrzne, które, rozpromieniając się najwyższą potęgą, staje się miłością nieskończoną, objawi się odpowiednią sobie formą, gdy będzie zastosowane do sfery rzeczy ziemskich; a najbliższym objawem takowym będzie życie rodzinne i ten cichy i święty obyczaj domowy; bo dom, bo rodzina jest równie cofnieniem się od świata, i tutaj człowiek słucha jedynie tętna własnych uczuć swoich.

Zaiste — rodzina w znaczeniu prawdziwem występuje dopiero na łonie wiary Zbawiciela. Wszak z tego, co już rzekłem, widać że dopiero u ludów chrześcijańskich uznane być mogło znaczenie niewiasty. U Greków, u Rzymian znaczenie to już wprawdzie pojawiło się w pączku swoim, który się dopiero mógł rozwinąć w całej pełni, gdy duchowa istota człowieka uznana została w głębokiem znaczeniu swoim. Wszak bez uznania i uczczenia wartości niewiasty nie ma rodziny pojętej w całej jej prawdzie. Wiara z istoty swojej dokonała tego uznania. Następnie, niewiasty chrześcijańskie dokupiły się czei najwyższej krwią męczeńską niewiast świętych, które śmiercią swoją podniosły jeszcze nawet w obliczu świata całą pleć żeńską. Zważ że to życie uczuciowe, wewnętrzne, to zwrócenie w siebie, będące charakterem nowego świata, jest właśnie wyrażone przez niewiastę; ona jest kapłanką domowego obyczaju. Mąż jest zaiste i teraz głową i

rozumem rodziny, małżonka zaś jest jej sercem i jasnowidzeniem.

Tak pod osłoną cnót domowych niewiasty chrześcijańskiej stanęła jakby na opoce twierdza domowego życia; o ściany tego domu rozbijają się fale dzikie zewnętrznego świata; choć tam szumią wichry i mroźne zamieci, człowiek sam siebie odzyska, sam do siebie nawróci, gdy przestąpi progi swojego domu. Tu znajdzie ukojenie swoich trosk, gdy go owionie uśmiech małżonki, co matką domowi: tu gdy jego serce burzą świata skołatane, niesmakiem żywota zmrożone, niechaj spojrzy na śpiące niemowlę swoje, a ten pokój głęboki, anielski na twarzy dziecięcia ukołysze mu duszę pokojem, wygoi serca boleści (Chateaubriand). Wszakże pacholeta krakowskie wierzą, widząc niemowlę śpiące, że dusza jego bawi się z aniołkami, biegając z nimi po łąkach i kwiatkach. Mniejsza już o słoty zewnętrzne, o słoty światowe; ognisko pod własną lubą strzechą rozciepli uczucia, rozświeci, rozjaśni chmurne czoło. W ścianach zacnego obyczaju domowego wszystkie uczucia członków rodziny, choć każdy ma różną indywidualność, wiążą się wzajemną miłością w jeden spólny wieniec wśród szczęścia domowego.

Czyliż tedy dziwno, że w sztuce średniowiekowych mistrzów, że w dziele rzeźbionem Stwosza, wglądasz w to zacisze domowe, w komnaty, w izby, w tę widownię rodzinnych kolei, w tę historią skromną ścian domowych? Czyli dziwno, że tu nawet widzisz, jakem rzekł powyżej, porozstawiane sprzęty i te domowe graty, boć i one są towarzyszami przez życie; a serce, co przepiękało uczuciem, i im udzieliło po cząsteczce swojej

treści rzewnej, swojego kochania; te martwe, bezczule przedmioty są przecież świadkami przeszłych wydarzeń domowych, przeszłych ciemnych i jasnych chwil; one się patrzyły na trwogi, na radości, na biedy i na uroczyste obchody rodzinne; one userdecznione uczuciem, uduchownione wspomnieniem, stają się jakby symboliczną kroniką własnego naszego żywota. Jeżeli zaś bezduszne sprzęty domowe nabierają już tyle wagi, tém więcej jeszcze mają znaczenia zwierzęta domowe, boć i one te senne uczucia swoje wplatają w losy owęj naszej strzechy, boć i my wglądamy oczyma ducha naszego w te obrazy zatarte ich marzeń; a one czują te spójrzenia nasze, jakby promień wpadający z góry w niepewny mrok ich duszy.

Chciiej jednak zważyć, że te komnaty, izby, ulice, są w samej rzeczy wystrugane na tych rzeźbach, że tedy udają perspektywę; ale perspektywa, jak wiesz, jest przecież jedynie malarstwu właściwą! gdy do tego zważymy, że te rzeźby wszystkie są nadto rzeczywiście starannie i pilnie umalowane, więc już, jak powyżej rzekłem, najwyraźniej znać, że tutaj rzeźba przechodzi w malarstwo, zatem w rodzaj sztuki zupełnie od niej różny! rzeźba opuszcza właściwe sobie granice i wstępuje w obręb obcej sobie sztuki.

Wszak to snycerstwo i w innym kierunku splata się jeszcze z trzecim rodzajem sztuki, bo z budownictwem, jak to znać z ozdób i opraw architektonicznych nadających cechę tak wybitną całemu dziełu Stwosza. Na oba te fakta atoli zwróciłem już baczność twoją; teraz raczej zapytajmy się, jaki powód tych właściwości, które tutaj tak silnie występują.

Otóż — skulptura z jednej strony bierze na się

piętno malarstwa, z drugiej strony architektury; rzeźba niby wzywa na pomoc obie te sztuki; ona sama siebie opuszcza, jakby nie ufała swojej mocy. Toć znaczy zaiste że fantazyja średniowiekowa a raczěj fantazyja ludów chrześcijańskich nie jest dostatecznie zadowolniona ze samej skulptury, że jej jakoś nie dowierza w zupełności; jest to instynktowe przeczucie, że rzeźba nie jest dla niěj sztuką właściwą, że to raczěj malarstwo i architektura jest objawem więćej odpowiednim treści, która pracuje i robi w duchu.

Lecz dla czegoż skulptura mniej odpowiada fantazyji ludów chrześcijańskich? Oto, rzeźba dla tych samych powodów jest sztuką mniej odpowiednią fantazyji chrześcijańskiego świata, dla których była właściwie sztuką najwięćej właściwą fantazyji klassycznych ludów. Rozprawiając o fantazyji Hellady szeroko się rozwoździłem, dla czego właśnie skulptura była sztuką najłatwiej przypadającą do fantazyji greckiej; odwołuję się przeto do tego wszystkiego, com już tam powiedział (w Liście XII). Tutaj z lekka tylko przypomnę, co tam rzekłem o architekturze, malarstwie i muzyce.

Jakoż okazaliśmy w tymże powyższym liście naszym że jak z jednej strony architektura, będąca sztuką wyprzedzającą rzeźbę, nie zupełnie już odpowiada geniuszowi Greków, tak z drugiej strony malarstwo i muzyka, występujące w dziejowym rozwoju i z samej istoty swojej późniěj niż rzeźba, są rodzajami sztuki nadającemi się mniej dla fantazyji Hellady. Jakoż architektura z natury swojej jest sztuką symboliczną, a tém właśnie okazuje, że tylko przez przybliżenie zdoła wyrazić treść duchową we formach zewnętrznych; w architekturze duch przemawia jakby przez hiero-

glify na poły zrozumiane. Myśl grecka atoli właśnie dla tego, że była w zgodzie z sobą i ze światem, że była harmonią ducha i Natury, że tedy była jasną i zupełnie siebie świadomą, mniej ma skłonności do symboliki zagadkowej.

Rozbierając istotę malarstwa rzekliśmy podobnie, że tutaj materya się ulatnia, ustępując duchowi, który silniej już przeważa w dziełach malowanych. Zaiste, obraz właściwy jest tylko płaszczyzną, ma tylko dwa wymiary, ztąd wszystkie warunki materyi, bo oddalenie, perspektywa, ciężkość, światła i cienie, są tutaj tylko zmysłów złudzeniem, są czemś idealnym; znajdują się tylko we widzu i w mistrzu, ale nie tkwią już w rzeczywistości, nie istnieją materyalnie w dziele samém; słowem, tutaj świat wewnętrzny, duchowy bierze górę nad materyalnym, a tak równowaga tych światów znika.

Więcej atoli jeszcze to przemaganie duchowości nad światem materyalnym wyjawia się w muzyce, w której wymiary materyalne przestrzeni sprowadzone już są do oscyllacyi a drgania narzędzi muzycznych; tony przelatując lekkim skrzydłem potracają struny duszy naszej, która pieśnią wewnętrzną wtoruje tej muzyce ziemskiej.

Wyplłynęło nam przeto z tej istoty malarstwa i muzyki, iż żadna z tych sztuk nie mogła być pełną wyobraźnicą fantazyi greckiej, że atoli na ich miejscu skulptura była tak przeważna w Grecyi, iż nawet, jak w owym liście rzekłem, zrodziła gimnastykę w najzaciejniejszym znaczeniu; co więcej, że i poezya Hellenów ma piętno plastyczne. O tej zaś plastyczności poezyi greckiej rozwoziłem się już szeroko. Tutaj chciej



raczej baczyć, iż właśnie dla tej ogromnej różnicy, która oddziela świat chrześcijański od świata klasycznego, rzeźba jest sztuką mniej właściwą dla tej nowej epoki, dla tej fantazyi romantycznej, że w niej raczej występują sztuki z przewagą pierwiastku duchowego, zatém że sztuki z ulatniającą się materjalnością stają się teraz przedmiotem ulubionym artystycznej fantazyi. Pojmujemy przeto, że malarstwo naprzód z całym cudem uroków zamieszkało w tym świecie nowym; że tu geniusz muzyki, czarodziejski władzca uczuć i serc, rodzi się teraz w doczesności chacie, by dźwiękami ulotnemi swojej harmonii przypominał ludziom nadziemskie światy, co niewidzialne, niedoizane od oczu ziemskich, niedotknięte czuciem cielesnym drgają w najświętszym wnętrzu duszy, śpiewając jej pieśni, których nuty na niebie zostały.

Widzimy tedy, dla czego w dziele Stwosza rzeźba przechodzi w architekturę i malarstwo; bo oba te rodzaje sztuki są więcęj odpowiednie duchowi chrześcijaństwa, niż rzeźba. Co o istocie malarstwa mówiłem dopięro powyżęj, wystarczy; tutaj powiedzieć jeszcze wypada słów kilka o architekturze.

Wszak architektura jest sztuką symboliczną, bo jej formy wyrażają silenie się ducha, aby w nich wypowiedzieć serca tęsknoty; dla tego właśnie architektura staje się sztuką panującą prawie we fantazyi chrześcijańskiego świata. Architektura zaiste jest najdobitniejszym wyrazem fantazyi romantycznej. Jeżeli inne rodzaje sztuki mieniają się różną barwą, wedle różnego narodowego tła ludów chrześcijańskich, tak iż trudnięj dopatrzeć już z nich charakteru spólnego im wszystkim; sztuka budowania zachowuje znamię więcęj

ogólne, co znów właśnie ztąd wypływa, iż architektura jest sztuką więcej symboliczną, zatém więcej abstrakcyjną; a dla tego właśnie już trudniej poddaje się różnicom mniejszej wagi, zachodzącym między różnemi narodami chrześcijańskiego świata. I w tym właśnie widać rozdział między architekturą a muzyką. Bo choć obie te sztuki są niby symboliką uczuć wewnętrznych, to przecież architektura ma do czynienia z masą głuchą materyi, która wymaga umiejętnego obchodzenia się z nią, wymaga pracy wielu lat, nie jest rzeczą chwili; więc też ta symbolika, która się winna budowaniem wyrażać, winna mieć piętno ogólniejsze, przyjęte powszechnie; a to tém więcej, że dzieło architektoniczne, z istoty swojej mając być dziełem zewnętrznym, mając ostać się w świecie, wymaga charakteru i wyrazu, któryby trafił do ogólnego, powszechnego uczucia. Inaczej dzieje się z muzyką, bo ta nie wymaga już, do wyrażenia treści duchowej, ciężkiej nieużytej materyi; ona, co tylko chwila w sercu poczęła, przebiera w tony ulotne, a nawet w dźwięki własnego głosu człowieka; więc też lekki geniusz natchnienia, ulatując na skrzydłach melodyi, promieni się jasną barwą i świeci duszą kraju i ludu, kędy się rodził. Z drugiej jednak strony, oba geniusze tych sztuk odwrotnych, właśnie dla tego, iż są odwrotne, są do siebie podobne i zaślubiają się serdecznym kochaniem.

Dawno już, i słusznie bardzo, nazwano architekturę muzyką skamieniałą; czém w muzyce są tony, tém tutaj są massy materyi; czém tam jest rytm kroczący w czasie, tém jest tutaj wymiar w przestrzeni; gdy w muzyce przepływają z kolei tony w czasie, wiążąc się w akordy i melodye, w architekturze wzrok

twój przepływa z kolei po przestrzeniach; to podlatuje pod wysokie łuki, to spuszcza się i potrąca o filarów podnoża; to wpatruje się w melodyą głębokich cieniów i światła jasnych, to buja po ogromnych przestrzeniach, to znowu bawi się splotem wdzięcznym szczegółów, co spływając w całość uderzają akordem. A jak w muzyce tak i tutaj gospodarzy jedno żywotne a niewidzialne prawo, jest to *statyka*, co wszechbytna, niedostrzeżona, jest budowania kontrapunktem.

Ten kontrapunkt — on zaiste jest ustawą żywotną, a uderzeniem serca ludzkości odrodzonej; wszystkie tony nieba i ziemi, wszystkie dźwięki serca, i wszystko, co się na dnie ducha i natury święci, i gwiazdy, co się klują w przestrzeni nieskończonej, i epoki ludzkich dziejów, co jeszcze drzemią w przyszłości, wiąże ten kontrapunkt wiekuisty. On rozwiązuje dyzharmonie wszelkie i wszelkie dźwięki fałszywe, zlewając je w jeden zestroj, w jedno oratoryum. Przecież w następnych listach nawrócimy do tej muzyki i architektury chrześcijańskiej; tam przeto, czegośmy się tutaj zlekka dotknęli, rozwiniemy dokładniej, obszerniej.

Pytałeś się, skąd się bierze ten splot wdzięczny figur Stwosзовych, to ich wzajemne do siebie odnośzenie a spływanie w jedną dramatyczną całość? — One się splotły w jedną całość harmonii pełną, bo i we wnętrzu ich rozwarły się wiekuistości głębie, co brzmią dźwiękiem pieśni nieskończonej; a choć tony ich duszy są różne, zlewają się przecież w jedną harmonią jednym zestrojem i kontrapunktem prawdy nieskończonej. Ich kontrapunktem jest miłość niebiańska. Te postaci gromadzą się około Boga-Rodzicy, co zasypia niebiańskim żywotem, łącząc przymierzem mi-

łości niebo i stworzony świat, a nad tą gromadką unosi się Duch Święty, który ją ogarnia; ta gromadka jest wyobraźnikiem jedności kościoła, jedności połączonej przez Wiarę.

Tak ogólnym zarysem skreśliwszy charakterystykę tej nowej epoki, przychodzi mi w liście przysłym okazać, jakie formy ona zrodziła w stosunkach ziemskich, czysto ludzkich, a mianowicie, czém była fantazyja artystyczna tego nowego świata, którą zwykle *fantazyją romantyczną* zowiemy. Już teraz widzisz, że to głębokie bezdenne wnętrze chrześcijańskiego ducha jest przepowiednią, że i w tych ludzkich stosunkach liryczność płynąca z serca tajnej krynicy, że uczuciowość, serdeczność rzewna, że muzykalność fantazyi będzie tutaj piętnem główném.

---

# LIST XXVII.

## Średnie Wieki.

(Ciąg dalszy.)

Wstęp. — Władysław Biały książę Gniewkowski jako typ rycerza średniowiekowego. — Powód figur podobnych w wiekach średnich. — Bliższe ich oznaczenie. — Wojny krzyżowe. — Fantastyczność; poezya romantyczna. — Cechą tych wieków honor. — Miłość; miłość jako ustawa wszechrzeczy. — Miłość ziemską jest przejściem do miłości niebiańskiej. — Dante, Petrarca, Heloiza, Barbara Radziwiłłówna, Walkierz i Helgunda. — Ziemskie pierwiastki życia romantycznego. — Zapatrywanie się w średnich wiekach na rzeczywistość i na naturę. — Witellio i Roger Bako. — Dwie wręcz sobie odwrotne Filozofie w średnich wiekach a pochodzące z tego samego źródła. — Zwolna zapoznaje się człowiek z naturą. — Katakomy. — Symboliczność. — Cimabue i Giotto. — Indywidualność inaczej występuje w dziełach sztuki włoskiej a inaczej na północy. — Angelico da Fiesole. — Poezja romantyczna. — Fantastyczny świat.

**B** było to za onych czasów, — gdy w Łobzowskim ogrodzie nie wznosiła się jeszcze Estery mogiłka, którą natura, litując się miłośnicy biednej, co wiosna stroi w pierwiosnki i fiołki ciche, aby, gdy ludzie

odmówili napisu grobowego, choć same kwiatki świadczyły, że tu kochanie pogrzebione; — było to za owych czasów, gdy w rynku krakowskim naprzeciw Świętego Wojciecha pysznił się jeszcze w gotyckie floresy i dziergane okna starego Wierzyńka zdobny dom, kędy gospodarz posadził do uczyty cesarza i czterech królów majestat; — było to w owe lata, gdy postać wspaniała Wielkiego Kazimierza, co dziś marmurem na Wawelu legła, żyła jeszcze życiem pełnem, tchnęła sercem ciepłym, uczuciem tkliwem, ludom mądrością władając. Otóż gdy tak jeszcze na świecie było, w Awinionie, mieście francuzkiem, zebrało się grono ludzi z nad Wisły i Warty, co radząc i ważąc rozmawiali o sprawach publicznych i o kraju i o Ojcu Świętym. Nie lada też było to ich zebranie, a najzacniej w niem ważył ksiądz Janko, co był Archidyakonem gnieźnieńskim.

Zanim zaś o tym szanownym księdzu Janku więcej opowiem, przypomnę, że to właśnie pod te lata w tem mieście stało jeszcze promienne Apostolskie krzesło; więc jak krew do serca, tak do Awinionu, jako do wielkiego ołtarza wiary a ogniska kościoła, napływały wysłańce ze wszech stron świata a wyobraźniki różnojęzycznych ludów. Ciągnął tam i pielgrzym skruszony, by u stop Ojca Ś. wyblagać, wypłakać łaski duchowe, by ulżyć sercu, co konało pod ciężkiem brzemieniem tajemnej winy. A byli znów i tacy, co z duszą swobodną, z myślą lekką, wesolą, wybierali się do tej pełnej uroków stolicy, co ich nęciła, wabiła, jakby pieśń ukrytej wdzięcznicy. Bo i w ustronia, najdalej od świata odsadzone, dolatywały wieści o błogiej naturze tej szczęśliwej prowansalskiej ziemi, o tem

niebie jej, co tak cudnych jasnych lazurów, o tych pagórkach ubranych w gaje oliwne, w gęstwiny chłodne figowych, migdałowych drzew, a bajały wieści że tam pomarańcza, cytryna wita wędrowca siejbą kwiatów wonnych, a dziewice oczkiem jasnym, jakby spójrzenie gwiazdek na niebie.

Wszak w tej naturze tak lubego uśmiechu wybujała też i poezya jakby w ogrody, jakby w gaje pieśni dźwięcznych. Boć to tutaj przecież prowansalów, trubadurów ojcowizna! Tutaj na tej ziemi gniazdo swoje miały ich harmonie czarowne, co tak rozkochane, tęskne i rzewne, i znów tak wesole, ochocze, rozleciały się po świecie, niby ptasząt śpiewnych stado. Tutaj muzyka i miłość i piosenka umiały żywot ziemski. Obok ciężby posępnej ponurych, wyschłych pielgrzymów, ubranych we włosienice cienne, w kapelusze muszlą nazywane, przyciśnionych brzemieniem winy, zabłysnął orszak lekki urodnych, śpiewnych trubadurów w szatach błyszczących, w czapeczce z piórkiem, w powiewnym płaszczyku a z lutnią w rękę: a z lutni strun, z ust urodzonego śpiewaka zrywają się kancony, i serenady, ballady i pastorelle i cały tłum piosenek światowych, co oblatywały, jakby amorki figlarne, piękne panie, szepcząc im i prawiąc i bając, aż też nie jedno serce rozebrały rzewnem, tęsknem marzeniem. I te pieśni wdzięczne, lube, miłosne, śpiewały od świtu do zmierzchu, od wieczora do zarania, a śpiewały przez dwa z okładem stolecia.

Patrz, trubadurów poezya nie umilkła jeszcze, tu i ówdzie jeszcze brzmiała ich śpiewka jakby pieśń słowika spóźnionego w miłości i kochaniu, gdy, pewnego razu, w tymże Awinionie, — w Poniedziałek, w sam

wielki tydzień, — w kościele świętej Klary, pojawiła się postać niewieścia, obłana poświatą wdzięków najwyższych. Włosy jasne aureolą opłynęły niebiańskie oblicze, z pod długich rzęsów patrzyły słodczye duszy anielskiej, szata błękitna, w złote gwiazdki wyszywana, otuliła kształty idealne, nie z tego świata zrodzone; zdawało się, że widziadło nadziemskie, obłoczne, zestąpiło z wysokości rajskich wśród ludzi. Modliła się ta postać cudów pełna, — modliła się rzewnie, gorąco, jakby jeden z aniołów, gdy się modli za cały człowieczy ród. Obaczył ją młodzieniec, oparty w zaciszu samotnym o kolumnę kościelną. Obaczył ją i jakby błyskawicą rozjaśniły mu się wszystkie własnego ducha głębie, — jakby wiekuistości iskra rozświetliła wszystkie jego piersi tajniki. Przyszły na niego strachy i dreszcze, mrozy i radości niewymowne; lęk tajemniczy, a wesele i tryumfy, mrozy i upały przejęły duszę jego; bo z przepaści duchowej dźwignęła się owa potęga co niby własna a przecież obca, co cudza a przecież swoja! — Błyskawica miłości rozpalila w duchu płomień gieniuszu. — Młodzieniec, tą chwilą na wieszczą uświęcony, stał się prorokiem miłości po przez wszystkie czasy i wszystkie ludy. Bo miłość tych obojga kochanków, — ona tylko duchów ślubem; ona czysta, nieskalana ziemskim tehem, niezważona niezacnym uczuciem, wywołała z piersi młodzieńczych nieśmiertelne pieśni, co tchnęły serca upałem, a przecież były tak czyste, co śpiewały melodyą cudowną, a były tak rzewne, uczuć tak głębokich! Młodzieniec śpiewał Sonety, Kancony, w których miłość jego, choć na ziemi zrodzona, promieni się światłem niebiańskim; te Kancony, Sonety będą na



wieki świadectwem żywem, nigdy niezwiędłym o mocy niewiasty, gdy jej wdzięki najwyższe, na ziemi zrodzone, prześwieca uczucie bez skazy i niewinność anioła. To kochanie w piersiach wieszca było mocniejsze niż śmierć, i przetrwało kochanki skon. Ulubienica zapaliła płomień natchnienia w piersiach śpiewaka, co go poprowadził na szczyt chwały, na kapitol Rzymski, po korony laurowe; a wieszcz, tętnąc w swe pieśni cześć i uwielbienie dla kochanki duszy swojej, udzielił jej własnej promienistej chwały, udzielił nieśmiertelności swojej na ziemi; więc już godłem nieskalaną, przeczystą miłości stało się na zawsze jasne Petrarcki i Laury imię.

Widzisz tedy, że iście było po co ciągnąć do Awinionu wyobraźnikom różnorodnych ludów i wszystkich świata stron. Lecz też i dobrze wiesz, że choć tam w dalekiej dali może piękniej bywa i świetniej i wspaniałej, toć tam przecież braknie własnej strzechy i ojczyznanego nieba, co to drogie a miłe; lubo strzecha tak biedna, a niebo tak zimne i szare; choć tam w dalekiej dali może piękniej i świetniej i wspaniałej, toć tam człek, jakby drzewo przesadzone, odchorować musi swoje, — a częściej jeszcze nie wychoruje się nigdy ze serca tęsknoty; a choć będzie w pełni lata swojego życia, żółkną jednak, jakby w późnej jesieni, liście duszy jego, i opadną liście zwiędłe, i nierozkwitnie już dusza myślą świeżą i ustanie w niej krążące życie; człek będzie, jako drzewo wyschłe, upiorem samego siebie. Ztąd w dali zaświatnej, luby ci i wiatr z północy, i miłe wędrownie ptaszę, co żegluję przez morza do krajów, kędy nie ma mrozu; i witasz wiatry zimne, i ptaki wędrownie, jakby posłańce od ojczyznych borów,

od domowych chat; — ztąd tak lubo i błogo, gdy pod obcym niebem, wśród obcych ludzi, swój swojego obaczy; bo i miło razem z sobą pogwarzyć, i łatwiej już i poradzić się, i pocieszyć, i rękę sobie podać i obronić się biedzie jakiej. Tak już za granicą, wiele nie przebierając, tulą się łatwo swoi do swoich, jak to lgną do siebie powinowate pierwiastki, co lubo rozpuszczone w płynie zbierają się w kryształki. Nie ma tedy dziwu, że i w Awinionie mieli się do siebie ludzie spólnego pochodzenia, spólniej mowy, zbierając się razem w różne grona, wedle różnego obyczaju domowego i rodowych chęci. Tam założyli gospodę zamorskie Angliki, ondzie słyhać śpiewne grono Włochów, tu Niemcy poważnie radzą, tam Hiszpany harde wazą honoru sprawy; więc też trzymali się i Polacy razem, a przewodniczył im, jakem mówił, ksiądz Janko; bo też to był mąż i wielkiego wzięcia i zacnej powagi, on przyjacielem od serca swojego Arcybiskupa. Wszak to on bywał i przy królu Kazimierzu Wielkim, on później pilnował chorego pana swojego na zamku Krakowskim, on stał przy śmiertelnym jego łożu; on to, pomyśl, on widział na własne oczy, jak konał ostatni Piast. Prócz tego, ten ksiądz Janko napisał nam jeszcze kosztowną kronikę spólczesnych dziejów, z której wyjąłem obrazek, który ci tutaj kładę.

Otóż, jakeśmy rzekli, Polacy w Awinionie ręka w rękę żyli z sobą, a choć różne ich były sprawy w papieżkiej stolicy, przecież wzajemnie u siebie bywali i zwykle każdy znał każdego. Jednak wtedy żaden z nich nie przeczuwał, że nie daleko od Awinionu, w posepnym, od ludzi odbiegłym klasztorze żył mnich, ich ziomek, wielkiego rodu pan, krewny ich króla. On

przybył do Awinionu właśnie w czasie, gdy jeszcze żył Petrarka a Janko bawił jeszcze w tém mieście. Zaledwie jednak ten mąż tajemniczy ukazał się na dworze papieżkim, — gdy już nagle zniknął, zagrzebując się żywcem w tęsknych murach zakonnych.

Pod grubym habitem piekło się serce niepokojem bolesnym dręczone, pod kapturem ukryła się twarz, jakby pogorzelsko namiętności gwałtownych, przytłumionych, ale niewygasłych. On, uchodząc przed światem, przed sobą samym, schronił się do celi klasztornej, samotnej; modlił się i płakał, i pościł, i martwił ciało swoje — daremnie. Po ścianach posepnych klasztornej, samotnej celi przemykały się obrazy żywe przeszłości, sceny dawnego żywota, ale jaskrawo oświecone magią sceny nieubłaganych potęg, co raz w sercu przebudzone już nigdy nie usypiają, nigdy nie zmrużą czujnego oka. Daremne modły i łzy, posty i samowolne ciała katusze; dniem i nocą przed oczy stawała postać kobieca, wdzięczna, luba, która niegdyś była jego życiem i kochaniem najwyższem. Zaledwie ten obraz rozplynął się marą a już na jego miejscu dźwiga się jawidło krwawe z raną śmiertelną na skroniach, co gniewne i groźne straszy i serce lękiem ziębi. Ten mnich — to książę Gniewkowski Władysław, co go lud zwał Białym. On żył niegdyś w szczęściu błogiem, możny na Kujawach pan, z sercem rycerskiem i butnem; wtedy on u króla był w łaskach, a we czci u narodu. Wyższym jednak nad światowe blaski było to szczęście, co mu kwitło radośnie w domowych ścianach. Umysł z przyrodzenia hardy i zuchwały, serce burzami miotane znalazło ukojenie w miłości małżonki. Ona uśmiechem, spójrzeniem, jakby tali-

znanem zażegnała cierpienia duszy jego, nakazując ciszę rozhukanym namiętności falom.

Wszak pewnego razu, w oddaleniu od małżonki, w nieopatrznej chwili, demony przyczajone w sercu jego pchnęły go w kłótnię o granice ze sędzią Kujawskim; moce zdradne oczyniły myśl gniewem — sędzia ciosem śmiertelnym legł z ręki Władysława. Widok własnej zbrodni wtrącił go w dumę i uporzączięty. Głuchy na rozkazanie królewskie, nie stawia się przed sądem, ubliża nawet majestatowi króla zachwałą mową. Wtedy, jakby z bożego dopuszczenia, spada na niego grom niebios — małżonka, kochanie jego, umiera. Już na on czas duch Władysława, wstrząśniony do dna, korzy się i kurczy w boleści bez granic. Samowolnie odstępuje i lenności królewskich i dziedzictwa po dziadach; z przemożnego pana czyniąc się pokutnikiem, jako pielgrzym idzie do Jerozolimy, aby u grobu Zbawiciela znalazł ochłodę palących boleści. Zmienacka atoli, wróciwszy ze ziemi Świętej, pojawia się w Pradze na dworze cesarskim; tu otoczony wykwintem i blaskiem wysokiego rodu swojego, rzuca się w zabawy zawrótne, świetne festyny, w turnieje; więc pieśni, więc muzyka, więc uroki niewieście zagłuszają na chwilę wewnętrzne niepokoje. Wnet atoli napił się do przesytu uciech dworskich, a znudzony, zmienacka, na podziw wszystkim, przyodziewa się w rynsztunek wojenny, rusza do Krzyżaków, przystaje do nich i wojuje Litwę pogańską. Na miejsce dworskiej wystawy, błyszczących uczt i tańców i śpiewów, teraz wołanie umierających, konających jęki, oboźne śpiewy, bitwy, łamanie się, gra o życie i śmierć, obstały go do koła.

Wnet przecież, przykrząc sobie wojenne krwawe rzemiosło, Gniewkowski książę bierze na się postać skromną zwyczajnego wędrowca i dosięga granic Polski. Jak złe sumienie unika światła i ludzi, przebywa tajnie Kujawy, swoją ziemię ojczystą, zdaleka widzi wieżyce własnych niegdyś zamków, słyszy z za boru głosy dzwonów rodzinnych kościołów. On milczkiem przeprowił się, od nikogo niepozany, przez ziemie i kraje swoje i obce, aż doszedł do Awinionu pod czasy, gdy tam, jak już wiemy, mieszkał właśnie Archidyakon Gnieźnieński. Rzekłem ci również, iż Władysław bez wiedzy swoich wstąpił do zakonu, naprzód do Cystersów, później do Benedyktynów (*habitu griseorum et nigrorum mutavit*, jak docinając wyraża się Janko). (\*) Tu pogrążony w sobie żył molitwą, dumaniem posępnem, srogie odbywając pokuty; ze ściany cichy krzyż, a przez okna błękitny niebios wglądają w serca jego tajemne pracowanie. Tak nad głową znękaną przeleciały lata, lata samotności głębokiej, smętnej.

Razu jednego, wśród ciszy klasztornej wbiegła lotna wieść o skonaniu króla polskiego Kazimierza. Wtedy zakonnik odtrąca precz od siebie pokuty, zrzuci kaptur a przeistoczony w butnego rycerza pędzi przez Strasburg, przez Niemcy na Węgry. Tam siostrzenica jego jest małżonką królewską. Władysław wyprosił od Węgierskiego króla świetne poselstwo z którym ciągnie do Ojca świętego, by wybłagać rozwiązanie zakonnych ślubów. Odprawiony z niczem od aposto-

(\*) Sommersberg *Silesiacarum rerum Scriptorum* T. II. pag. 111.

skiej stolicy, wziął się na zuchwałę, i na sobie tylko polegając, własnej potędze ufając, wichrem przelatuje ogromne przestrzenie krajów, staje w Kujawach, a mając z sobą jedynie czterech towarzyszy, którym także drwinką strachy, a życie stawką marną, zjawia się zmienacka w Inowrocławiu. Sam widok księcia korzy mieszkańców; potulnie przysięgają dawnemu Panu na wierność. Zanim się mógł obaczyć starosta Kujawski, Władysław, to podejściem wojennem, to wstępny bojem, to przestachem zabiera grod po grodzie, miasta po miastach. Tak dokazał swojego. W rychle rozpiera się na panowaniu całych prawie Kujaw, a nawet myśli o koronie, która mu czy marą czy nadzieją promieni z daleka. Butnie stawia czoło starości i zastępom orężnym króla Ludwika; sztandary jego również szczęśliwe, jak zuchwałę, powiewały zewsząd na wysokich wieżycach zamków Kujawskich.

Jakby mu atoli jedynie chodziło o igry z losem, a krotochwile ze szczęściem i walką, wnet seklwił sobie i boje i władze i rządy; porzuca zdobyte zamki, oddając je samoświadcząc Sędziwojowi starości; zamyka się w odludnym zamku Ordzińskim. Zniknął światu z oczów; nikt go już nie widział; kto przechodził, obchodził z daleka Ordziń, a patrząc na te mury i baszty, jakby na gniazdo orła, nateżał zmysły, azali znów nie usłyszy potężnego szumu skrzydeł jego. Ale w zamku Ordzińskim cicho, opuszczono, samotno.

Rok cały Ordzin przeczekał w milczeniu. Wtém jednego poranku powitała Wielkopolan wieść bajeczna, senna; słyhać że Władysław dostał w jętwo Krystyna starostę na Złotorzy, że uderzył na gród Raciążski, że wziął siłą orężną Gniewków. Pogłoski

te jak burza rozbiegły się po Kujawach a nabrzmiały w olbrzyma, przewalając się od wsi do wsi, od zamków do zamków, przenikając trwogą i podziwieniem.

Nie mało by mi przyszło pisać, gdybym chciał choć polotem skreślić jakie to nowe teraz fantastyczne koleje miały życiem Władysława, na jakie on znowu puszczał się harce szalonej śmiałości, jako zdobywa grody warowne i znów je traci i znów odbija; jak raz odbieżony od swoich sam jeden ucieka Wisłą na łodzi, jak wnet znowu, nagle się pojawiwszy, gromi i bije i trwoży i straszy, i znowu dopada władzy; jak Władysław, swawolnie grając niby z losem w kości, wszędzie i zawsze całego siebie na hazard stawia, a jak los, co to zwykle kocha się w śmiałkach, podrzucił go też na wysokości władzy.

Władysław jednak stroi sobie w końcu drwinki z losu, pogardza nim i znowu wypuszcza powtórnie samochęc całą zdobycz, okupioną tak twardym trudem i tysiącnymi przygody, oddaje zamki i grody, ale to pod jednym warunkiem: — jemu jeszcze chodzi o to, aby opuszczając kraj rodzinny opuszczał go jako rycerz, ze czcią, z honorem. Stosownie do umowy tedy, gdy wyjeżdża w całym rynsztunku rycerskim przez most zwodzony zamku Złotoryi, czeka na niego Bartosz z Weisburga, rycerz nieskalanęj sławy, a czeka na koniu, w zbroi, z kopią w rękę. Wedle układów złożyli kopie. Władysław ugodzony ciężko w ramie; mimo tego atoli dotrzymuje danego przyrzeczenia nieprzyjaciołom, ustępując z kraju.

Książę Gniewkowski, dopiero co przemożny władzca, teraz tak ubogi że przeciwnicy jego wspierają go zasiłkiem pieniężnym, Władysław ciągnie na Wę-

gry, tam zostaje — opatem Benedyktynów! Czyliż tu koniec tego fantastycznego życia? Bynajmniej. Opuszcza znów klasztor i t. d. Ale, com dotychczas opowiedział, wystarczy do celu naszego. Nie jestże to dziwne a fantastyczne zjawisko ta postać Władysława! Zaiste, nam ludziom dziś tak spokojnym, statecznym, potulnym, ten jego żywot lózny, błędny, sprzeczny z sobą, migocący się we wszystkie światła i barwy, wydaje się jakby bajeczką wymyśloną na przekór codziennęj, wymokłęj prozie spółczesnego nam 'świata. A jednak ta cała figura awanturnicza jest typem wieków średnich; ha, to czasy romantyczne uosobione, wcielone w kości i krew! (\*). Duch historyi chodził po ówczesnej Europie siejąc tę siejbę swoją, ona też bujnie wschodziła; zewsząd, po wszystkich krajach i ludach rodziły się postaci podobne do naszego Władysława; wszak nie jedna z nich nawet zasiadła na tronie, odziana purpurą a z hełmem rycerskim na skroniach.

Te postaci fantastyczne są piérwszą osnową dla fantazyi romantycznęj, jak obaczymy jeszcze dokładnie poniżej. Przecież ta fantastyczność awanturna niekiedy przekroczyła daleko po za progi średnich stóleciów; zjawia się i w dziejach nowożytnych; przypomina ci one postaci, co występują w wojnie 30 letnięj, jakby spóznione romantyczne rycerze. W Polsce ten duch powiewał jeszcze bardzo późno; przykładem są sprawy Elearów polskich, niegdyś Lissowczyków, co się biją w sprawie cesarskięj pod Wiedniem, a po-

(\*) Ten Władysław Biały, wedle mojego zdania, mógłby być wyborną osnową dla powieściopisarzy naszych.



tém znajdziesz ich w stosunkach i do Bawarów i Hiszpanów i znajdziesz ich w Badeńskim i nad Renem i niewiedzieć już gdzie; a czyny ich wojenne tak zuchwałe i śmiałe, że czytając je w książce ich kapelana ks. Dembołęckiego zdawałoby się, że to powiastki wymyślane, cudotworne, fantastyczne. Nie trudno o podobne zjawiska i później jeszcze w Polsce. Przecież takowe figury są jedynie wyjątkiem w ostatnich stuleciach a prawidłem w wiekach romantycznych, bo w nich się rodzą, niby w rodzimém gnieździe swojém.

Skąd zaś wzięły się figury takowe w tych średnich wiekach, nie trudno zrozumieć, byleś się zgodził na wywody objęte moim listem ostatnim, a które ci tu z lekka na pamięć przywiodę. Rzekliśmy dawniej, że istotą ludów klassycznych był zestrój harmonii pełny, łączący treść wewnętrzną człowieka ze światem zewnętrznym, więc też ducha z naturą. U ludów zaś chrześcijańskich nastaje ów ogromny nawrót ducha do samego siebie. „Anioł, wysłannik innych światów, roztworzył w wnętrzu człowieka głębie wiekuistych prawd, okazał mu nieskończoność przemieszkującą w bezśmiertnej jego istocie.“

Tak teraz człowiek czuje się być wyzwolonym od zewnętrznego świata; doczesność została przemożona; — natura traci panowanie swoje. Atoli świat średniowiekowy jeszcze surowy, jeszcze nieskruszony w butności swojej, zuchwały i twardy, zrazu dopiero po ludzku pojął te prawdy nieskończone, zastosował je też po swojemu do rzeczy ludzkich, bo wedle doczesnej ziemskiej ochoty swojej; a tak uczucie nieskończoności, wyswobodzenie od więzów doczesnego świata,

przetłómaczone z ludzka do ludzkich stosunków, zrodziło butność, dufne opieranie się na sobie i swobodę nieskończoną. Każdy chce być teraz wolnym też od węzłów społecznych, każdy teraz tonie w sobie, w siebie się patrzy, staje się samoistny i odrębny. Ztąd społeczność cała jest teraz niby morzem iskier odrębnych, zbiorem punktów świecących, indywidualności osobnych, z których każda odnosi się do siebie samej, jako do własnego ogniska swojego; tak rodzi się społeczność feudalna, a wyrażeniem kamienném tego rozjednostkowania są one zamki rycerskie rozpojedynczone, okrywające ówczesną Europę. Nie ma jeszcze ogólnego tła, nie ma jeszcze silnych ogniw łączących te jednostki osobne w jedną ścisłą całość; a tém samém świat takowy jest właściwą sceną, po której te jednostki mogą bujać samopas, samotnie niezem niezwiązane. Każda teraz indywidualność w sobie wyłącznie znajduje środek własnej istoty, ona do siebie się odnosi, z siebie czerpie cały żywot swój, — ona jest wskrós liryczna. Ona cofa promienie duchowe ze świata zewnętrznego, cofa je ze społecznego składu i z natury. Ten świat zewnętrzny a przyroda, to teraz zwłoki bezduszne, puste i głuche w sobie, więc tracą dawne znaczenie swoje, i niby o tyle tylko jeszcze wazą, o ile są środkiem do wyrażenia tój przewagi i przemocy indywidualności człowieka nad tym światem zewnętrznym. Lecz w tém wyrażeniu się człowiek słucha tylko siebie samego; on z tego własnego, osobistego wnętrza bierze modłę postępowania swojego. Nieskończoność atoli, odzywająca się w nim, nie jest jeszcze rozwiniętą myślą, rozumowaniem; ona występuje dopiero ciemném, nieodgadnionem parciem, pojawia się

jako uczucie. Przez barwiste więc szkiełka uczuć człowiek patrzy się teraz na świat; on wykonywa to, do czego go prze własne serce jego.

Gdy zaś ten zewnętrzny świat jest już teraz dla ducha ludzkiego bez znaczenia, gdy mu jedynie tyle zostało wartości, aby duch mógł na nim położyć oznakę nieskończonej przewagi swojej, przeto znać iż ta zewnętrzna rzeczywistość cała nie zdoła już wystarczyć duchowi; bo on radby obaczyć wizerunek własnej istoty swojej, a obrazem takowym nie może już być więcej tuteczny świat; bo w duchu odezwało się wiekuistości poczucie, lubo jeszcze niepewne, ciche, instynktowe, a świat ten z doczesności się rodzi, jest sam tylko przemijającym, marném zjawiskiem. Ztąd ród ludzki jest teraz jakby tęsknotą duszy młodzieńca o uczuciach niewymownych, z których sobie sprawy zdać nie zdoła; tęsknota nieskończona, niewytłomaczona brzmi w sercu jego; ta tęsknota robi w nim i pracuje i prze do czynów, wypiera w świat daleki; radby on coś stworzyć, coś zdziałać, obaczyć własną siłę swoją w dokonanych sprawach. To uczucie nieskończonego jakiegoś braku wzmaga się i rośnie a rośnie w potęgę, nie dając pokoju. Więc człowiek rzuca się w świat; a wodzi go przez świat, jak rzekłem, samo uczucie, a nie treść wyrozumowana, myśleniem rozwinięta. Ztąd w tém parciu nie ma pewnego oznaczonego celu; radby on jedynie wytrząść z siebie ten niepokój gwałtowny, wyrzucić z siebie tę burzę a w łamaniu się z tą rzeczywistością wysilić z siebie te moce, co nim miotają; radby położyć na świecie zewnętrzny cech swój potęgi i śmiałości samoistnej. Szuka tedy przygod nadzwyczajnych, fantastycznych,

puszcza się na awantury, igrając z losem. Jest to niepokój młodzieńczy; dla tego właśnie one czasy rycerskie butne i zuchwałe oblane są urokiem tak czarodziejskim dla serc młodzieńczych, żyjących jeszcze życiem wewnętrznym duszy.

Otoż i tu widać ogromną różnicę ducha awanturczego średnich wieków od przygód bohaterów w świecie klasycznym. Można zaiste Odyseję Homerową nazwać poematem romantycznym klasyczności; ale mnie się zdaje, że to porównanie, podobnie jak wiele innych, choć dowcipne, jest powierzchowne, bo miesza dwie rzeczy zupełnie różne. Gdy najgłębszym gruntem swoim odróżnia się świat romantyczny od klasycznego, więc i powstania ich winny być wskróś różne od siebie. Duch grecki właśnie dla tego, iż jest w harmonii ze światem zewnętrznym i rzeczywistym, ku temu się też ma, aby treść swoją, swoje uczucia uścił w rzeczywistości; słowem, jemu chodzi o cel swoich spraw. Ulises w Odysei przebywa wprawdzie awantury, jakby rycerz błędny, ale on nie szuka tych przygód dla przygód samych, one mu się nawijają same, on ich nie zaczepia, ma się tylko obronnie do nich, on dąży do pewnego celu; jemu chodzi o powrót do domu, do żony, do ojczyzny; on przemaga przygody częściej roztropnością, a w ostatnim razie dopiero używa męstwa. Przeciwnie zaś charakter na sobie oparty, odważny, śmiały, sadzący życie na igry aby właśnie okazać swobodę zuchwałą, niczém nie krępowaną, jest głównym tłem, na którym rysuje się postać rycerza średnich wieków.. Ta odwaga, to męstwo różni się od męstwa klasycznego tą właściwą sobie cechą, że rycerz waży życie, choćby bez celu (więc bez odnoszenia się do

świata zewnętrznego), że je waży choćby tylko dla tego, aby okazał światu swobodę duchową i najwyższą niezawisłość, a co więcej, aby sam się uczuł w tej swobodzie, w tej dzielności butnej. Ztąd zabawy i gry rycerskie, turnieje nawet często zaprawione krwią i skonem. Jak zaś u rycerza ta czynność zuchwała, to pasowanie się z rzeczywistością wyjawia przewagę ducha nad światem zewnętrznym i posuwa lekceważenie tej rzeczywistości aż do igier a żartów swawolnych z życiem; tak znów odwrócenie się od świata tego, zrzeczenie się przyrody i społeczności, pogarda tego, co życie daje, zamknięcie się we własnych duchowych głębiach przemieszkuje w ścianach klasztornych. To życie zakonne jest również przewagą ducha nad rzeczywistością i pogardą a lekceważeniem jej; jest również wycofaniem ducha ze świata, z własnego ciała ze życia, choć zupełnie w inném, różnym znaczeniu, bo jest życiem czysto duchowém. We Władysławie, rycerzu-zakonniku, widzimy dwa te powołania usobione w jednej i tej samej postaci, choć w różnych czasach. Oba zaś w średnich stuleciach spływają razem w zakonach rycerskich.

Czas ten, lubo tak kaleidoskopowy, lubo tak rzucający się bez oznaczonego celu, tworzy charaktery potężne, i ludzi dzielnych. Trzeba umieć życie ważyć, jeżeli tego potrzeba, by hartem wyrobić ducha swojego. Młodzieniec, który nie przeszedł nigdy niebezpieczeństwa życia, nigdy nie widział śmierci przed sobą, który się nigdy z nią nie obaczył oko w oko, czyli to trafem czyli w dopełnieniu powinności, ten nie wychrzcził się na męża; duch jego wiotki jest niby bezkostnym miękczakiem.

Widać, że w średnich stuleciach istota człowieka rozpekła się na dwoje, bo duchowa strona przerosła zmysłową, idealna wzniosła się nad rzeczywistą; obie te potęgi zerwały przymierze swoje i nie łączą się więcej harmonijnie z sobą. Właśnie zaś dla tego, że człowiek jest istotą zmysłowo-duchową, gdy niezdolny wyrzucić z siebie potęg natury, zatem się też dzieć musi, iż te moce zmysłowe, choć na czas uspięne, nie mogą być zniweczone i dopominają się o prawa swoje w nieopatrznych chwilach, a odzywają się tęp gwałtowniej, że odstały od idealności, że się rozstały z duchem coby je uszlachetnił, uzacnił. Ztąd występują obok siebie i z kolei ostateczności, które miotają człowiekiem. A gdy, jak rzekłem, społeczność nie była jeszcze uorganizowaną, nie była powiązaną ścisłym węzłem towarzyskim, gdy nie znała tysiącznych nitek trzymających indywidualność w karbach prawa, obyczaju i zwyczaju; dla tego tęp gwałtowniej pojawia nam się teraz wszędzie to dziwne przerzucanie się z idealności nadgwiadnej w niskie mlaki grubiej zmysłów ochoty, — z uczuć rzewnych, miękkich, tkliwych w barbarzyństwo twarde, okrutne. Ostateczności atoli, które teraz ciskają człowiekiem, nie rosną już w kształty potworne, które przerażają, trwożą myśl w Indyach. Bo w świecie chrześcijańskim idealność nie jest już więcej oną abstrakcją głuchą, bezdenną, która niby topielcem ciemnym chłonie i naturę i człowieka; tę idealność teraz napełnia treść głęboka, rozwinięta, przepromieniona prawdami wiary zbawienia; a z drugiej stroni tęp świeci nadzieja, że zmysłowa surowizna natury będzie obłaskawiona, okiełzana nauką chrześcijańską. Moznaby raczej twierdzić, że średnie wieki pod

wielu względami przypominają romantyczność maho-  
metańskich ludów; ale zważmy, że zachodzi przecież  
ogromna różnica w pojawach obu tych światów. Ab-  
strakcyjne wyobrażenie o Bogu w Islamie ma tylko  
potęgę ujemną, ale nie ma treści dodatniej, nie przenika  
wszystkich stosunków człowieka, nie wznosi osoby jego  
do nieskończonej wartości. Wiara chrześcijańska zaś  
przejmuje go wskrós, napęlnia wszystkie serca przybytki,  
uświęca wszystkie drogi życia jego i nadaje mu zna-  
czenie wiekuiste. Lecz zanim nauka ta Zbawiciela  
zdolała skruszyć, przemódz dzikie barbarzyństwo śre-  
dnich wieków, długo jeszcze pasował się w sercu czło-  
wieka anioł światłości z demonem ziemskim; więc  
długo jeszcze umysł ludzki, pełen sprzeczności, kołysze  
się niepokojem, wykazując to jasne, to ciemne strony  
istoty swojej.

Takim był człowiek pojedynczy, takimi były  
narody — ba, cały ówczesny chrześcijański świat.  
Rycerz błędny, o jednym koniu i rynsztunku, tak party  
jest niepokojem w daleki świat, jak Marco-Polo, co się  
puścił w zapadłe, nieznajome ludziom strony Wschodu,  
jak cała Europa, gdy nad nią hasłem zagrzmiało imię  
Grobu Świętego.

Wyznaję chętnie że wojny krzyżowe miały za  
jeden z głównych pierwiastków swoich uczucia wiary  
i pobożności głębokiej, ale też trudno zaprzeczyć, że  
europejskie ludy parte były tęsknotą fantastyczną, nie-  
skończoną. Kipiąca żądza przygód, awantur zaledwie  
nie rozsądzi piersi młodzieńczej Europy; trzeba było  
tylko słowa, nadającego nazwę tym uczuciom niewy-  
mównym, aby to słowo wcieliło się w serca wszystkich  
ludów i zapracowało w nich wrzącem uczuciem. Piotr

Pustelnik, ów pielgrzym zbiedniały, opasany powro-  
słem, wyrzekł to słowo, a ono wpadło żarzewiem ogni-  
stém w duszę palną Europy, a ta stanęła pożarem, co  
ogarnął ówczesny świat od końca do końca, i wszystkie  
ludy i stany.

Ciągną więc do Grobu Świętego: Godfryd z Bouil-  
lonu, książę Normandzki Tankred, Rajmund hrabia Tu-  
luzy, i wszystkie one postaci świetne, szlachetne, ry-  
cerskie, i biegną do Grobu Świętego tłumy tysiączne  
pachołat, dzieci zbiegłych z rodzicielskiego domu, i  
przewala się na Wschód ów motłoch bez liczby, co,  
obrawszy sobie za przewodnicę gęś i kozę, rabuje,  
morduje po drodze, aż znów kupy onej gawiedzi z kolei  
wyrznięte były do nogi; bo z dwóch kroć sto tysięcy  
awanturników, z których się składały, żaden nie ujrzał  
Ziemi Świętej — wszyscy legli trupem jeszcze na euro-  
pejskim lądzie.

Gdy hufce regularne dosięgły pierwszych pale-  
styńskich pagórów, znagła stanęła na widoku Święta  
Jerozolima — cel życzeń serdecznych, a tęsknot gorą-  
cych — oblana światłem różowém młodego świtu. Jęk  
radości niewymownej przeleciał długie wojenne za-  
stępy; rzucają się twarzą o ziemię; płacz rzewny ro-  
zebrał stwardniałe od dawna uczucia; modlą się,  
płaczą, błogosławiąc godzinę, w której się na świat  
rodzili, kwilą serdecznem dziękczynieniem; więc obej-  
mują się uściśnieniem wzajemnem radości; znikły nie-  
nawistki drobne, płaczą pancerne męże, rozczulone  
serce do serca przytulając.

Runęły warowne baszty i mury Jerozolimy; prze-  
wyłomy taranów wpadają tłumy orężne. Wojownicy,  
dopiero co tak tkliwych uczuć, tak roztopnego serca,



teraz, jakby morderczy zwierz pustyni, rzucają się na mieszkańców: — ryk wściekłego szalu, jęk, od ulicy do ulicy, od domu do domu gonitwa, mord, śmierć; bruki, ściany mieszkań posoką spluskane, kupią się trupy niewiast, dzieci, niemowląt stosem na stosach. W meczecie Omara zwycięzcy brodzą powyżej kostek we krwi. Trwają mordy dzień i trwają noc; w końcu umilkły, bo nie stało sił zabójcom, nie stało i ofiar.

Jeszcze nie ostygła krew, tu i ówdzie dopiero z pod kupy zabitych słyhać ostatnie umierających westchnienia, — a już zastępy Europy przerzucają się w ostateczność, i znów ze łzami w oczach modlą się i płaczą, miękkie i czułe, niby kobiety lub niewinne pachołęta.

Krzyżowcy nie widzą przedmiotu, czém jest w samym sobie, ale czém je czyni własna indywidualność wewnętrzna człowieka; jój szkiełkami patrzą na świat i własne dzieła swoje.

Lubo dotychczas w lekkich zarysach przypominałem ci dopiero jedną stronę dziejów ludzkich w wiekach średnich, będącą osnową dla fantazyi romantycznej, przecież myślę, że z niej już widać, iż ta sama epoka historyi powszechnej, która z siebie zrodziła fantazyą romantyczną, nastęrczyła jój zarazem bogatszą jeszcze osnowę, aby ta fantazyja, ten cudowny kwiat miał się czém żywić w piękności swojej, by znalazł i ziemię, z którejby brał sobie soki i siłę do rozwoju swojego.

Zaiste, zechciej zważyć, że w samej téj butności samowolnej, rycerskiej, puszczającej się samopas przez

życie, że w tym fantastycznym harcu, słuchającym jedynie natchnienia własnych osobistych uczuć swoich, zradzającym więc sprawy tak różne i różne, tkwi jakiś pierwiastek, który zestraja te sprawy rozmaite, stojąc im za wspólne tło i dno. Zgadujesz zapewne, iż właśnie dla usposobienia, będącego cechą romantycznych wieków, ów pierwiastek również sam będzie potęgą wewnętrzną a odnoszeniem się ducha do siebie, jako do ogniska swojego; — on będzie również odwoływaniem się do indywidualnych osobistych uczuć, jako do najwyższych wyroków swoich. Tym pierwiastkiem a za-  
konem władającym jest cześć, jest *honor*.

Jak różne barwy w obrazie łagodzą jaskrawość swoją tonem wspólnym, co rozplywa, jakby chuchem, po całym malowaniu, nadając mu harmonię dźwięczną; tak i one sprawy awantur, przygody różne, różnorodne nabierają jakiejś harmonii i całości, bo im wszystkim przyświeca honor, jako gwiazda oblewająca je wszystkie wspólną poświatą lekką, duchową.

Wszak honor i cześć, jak wszystkie pierwiastki rodzące się w średnich wiekach, pochodzi z własnych głębin człowieka, z opierania się jego na sobie samym; jakoż honor i cześć jest uczuciem zupełnie indywidualnym, wypływającym z własnych osobistych głębin, z własnego sposobu zapatrywania się na świat. Każdy człowiek sam jest stroną i sam sędzią w sprawach swojego honoru. Co dla jednego jest obojętnym, jest dla innego ciężką obrazą. Drobnostka, niemająca sama przez się żadnego znaczenia, nabiera ogromnej wartości, gdy człowiek właśnie tę drobnostkę uważa za wyobraźnika swojej osoby, swojego wnętrza. Tak tedy i tutaj przedmioty zewnętrzne nie są więcéj uważane

za to, czém są same w sobie, ale za to, czém je mieć chce indywidualne przekonanie człowieka. Widzisz więc i tutaj przewagę ducha nad zewnętrznym światem! Dla tego wyrządzenie szkody materyalnej, choć ogromnej, nie jest obrazą honoru, jeżeli nie płynęło z chęci obrazy, jeżeli czyn przeciwnika nie wypłynął, również jak honor, z wewnętrznych przybytków serca jego. Świat klasyczny nie znał honoru w znaczeniu ludów chrześcijańskich, bo ani w Grecyi ani w Rzymie nie rozwinęły się jeszcze do dna wiekuiste głębie człowieka, bo tam duch żył jeszcze w harmonii z rzeczywistym światem, o naturą i społecznością, żył jeszcze życiem zewnętrznem, i dla tego właśnie człowiek był raczej obywatelem, niż człowiekiem. Jak przeto w starożytności tej człowiek nie uznaje jeszcze ogromnej wartości swojej jako człowieka, tak też, żyjąc życiem zewnętrznem, uznaje jedynie dostojenstwa, które na niego jako na obywatela spływają, które mu tedy idą ze zewnątrz, ze społeczeństwa; widzisz przeto, że tam nie ma jeszcze honoru, ale są dopiero honory. Wszak jeszcze bohaterzy i króle Homerowe lżą się i przezywają ostatniemi słowy, którychby nikt dziś nie przeniósł na zimno; ale za to ich blisko obchodzi co jest rzeczywistém, zewnętrznem, np. wszelkie niesprawiedliwe rozdzielanie łupów, a zatem krzywdy na własności dokonane; i toć to jest iskrą, podpalającą sławny gniew Achillesa za porwanie Brizeidy; ona nie jest jego kochanką w naszym znaczeniu, ale własnością, ale niewolnicą, nie mającą głosu w tej sprawie.

Wyobrażenia zaś o honorze mogą wystąpić w najprzeróżniejszych kształtach: to się jawią w formie zdrowej, pierwotnej surowości, to znów toż uczucie

honoru kaprysi i przeradza się w dziwactwa chorobliwe.

Najdobitniejszych tego przykładów dostarcza Hiszpania, która właśnie jest krajem, kędy wyobrażenia o honorze rozwinęły się w całej bujności swojej. Ktoż nie słyszał o tój cizbie pieśni, co zaśpiewały setkami sławę Cyda „el Campeador;“ to był rycerz w całym znaczeniu; on przecież „był urodzonym w szczęśliwej godzinie, on w szczęśliwej chwili pasowany na rycerza.“ Wiesz, że Cyd kocha Ximene, córkę Gormaza, że ten zhańbił starego Diega, ojca Cyda, że Diego żąda od syna krwi obraziciela, że Cyd waży się w boleści serdecznej między miłością a honorem, że w końcu uczucie honoru przemaga, a ojciec ulubienicy pada z ręki młodzieńca; wszak to już wiemy wszyscy z Corneilla, nam atoli mniej o to chodzi; daleko więcej, jak myślę, do naszego celu nadaje się scena następna, tak charakterystyczna, a znajdująca się w jednej z tych starych pieśni. Gdy jeszcze Diego, rozpaczając, nad zadany sromem, szuka mściciela z pośród trzech synów swoich — oni stają przed ojcem. Starzec pragnie doświadczyć ich dzielności. Choć głowę pokrywa siwizny biel, uczucie honoru dodaje sił olbrzymich starzej zlodowaciałej krwi. Ująwszy ręką dwóch starszych synów prawicy, tak je ścisnął, że obaj młodzieńcy krzyżąc z boleści zawołali „puść nas ojcze, bo umrzemy.“ Wtedy skonała prawie nadzieja zemsty w sercu ojca. Zbliża się atoli jeszcze do najmłodszego syna, którym właśnie był Cyd, i jego prawicę uścisnął ojciec; ale młodzieńiec, obrażony tym czynem ojca, rozgorzał śmiałością i szaleńcem, jak tygrysowi Hirkanii zabiegły z gniewu oczy krwią i krzyknął na ojca: „Odstąp ojcze, bo biada

„tobie! odstąp, bo ani będę zważał, żes ojcem moim  
 „ — ani zważać będę na żadne słowne przeproszenia;  
 „ja, jakby puginałem, temi palcami mojami przebiję  
 „wnętrznosci twoje!“ Wtedy ojciec zapłakał z radości  
 „i zawołał: — „O synu duszy mojej, twój gniew jest  
 „dla mnie pociechą. — twoja tkliwość na obrazę jest  
 „najwyższą rozkoszą moją. Ty mi zdobędziesz honor  
 „utracony!“ — Ojciec błogosławi syna i podaje mu  
 własną szpadę, i t. d.

To się dzieje w XI-tym wieku, za naszego króla  
 Kazimierza I. (Mnicha) a 600 lat później Calderon  
 w tragedyi „Lekarz swojego honoru“ przedstawił, jak  
 Don Gutierre zabija małżonkę swoją ukochaną nie-  
 winną; zważ, że w tém zabójstwie on nie tak szuka  
 zemsty krwawej z powodu niewierności i popełnionej  
 winy, jak raczej dla tego, że małżonka „w oczach  
 świata“ nie promieni już w czystości nieskalaniej;  
 więc nie miłość, śmiertelnie raniona, ale raczej utrzy-  
 manie honoru przed światem wymaga śmierci małżonki.  
 Dla tego, po dokonaniem zabójstwa, Don Gutierre po-  
 wiada do króla:

Kto rzemiosłem się trudni,  
 wyjawia je wywieszonym znakiem;  
 mojem rzemiosłem honor jest,  
 a ta ręka krwawa znakiem moim!  
 Honor obmywa się krwią!

W końcu tej tragedyi ten sam Don Gutierre na rozkaz  
 królewski zaślubia się małżeństwem Leonorze. On jej  
 nie kocha, ale winien jej to zadosyćuczynienie hono-  
 rowe, bo był niegdyś jej narzeczoną, a opuścił po-  
 dejrzywając ją o lekceważenie honoru jego. Wszak  
 powiada do Leonory:

wiedz, że byłem honoru mojego  
lekarzem, a nie oduczę się  
umiejętności téj!

Lubo sprężyny, działające w téj tragedyi, nie są prawdziwym patos, wypływającym z głębin czysto ludzkiej istoty, to przecież całe zapatrywanie się jest nie równie jeszcze zdrowszém, niż owa kazuistyka z gruntu chorobliwa, którą w innych tragediach hiszpańskich spotykamy.

Przecież jak w każdej ostateczności tkwi jej uleczenie, tak i samowolne wyobrażenie o honorze, dotarłszy do ostateczności swoich, nawraca w siebie, znów się miarkuje. Zaiste, uczucie honoru wypływa z własnego wnętrza człowieka, ale z drugiej strony znów na tém stoi, aby przecież honor był także uznany od innych ludzi; otoż to oglądanie się na innych ludzi już miarkuje, łagodzi osobiste, ciasne, zacięte wyobrażenia, zbliżając je do ogólnego się zapatrywania w świecie, zatem do ustaw rozumu, bo te zaiste są ogólnymi prawami.

---

I ciemności były nad głębokością (Genes. 1. 2.)

Ciemne były i próżne światów bezdenne przestworza; lecz wśród nocnych przepaści, wśród głuchej bezdeni wstąpiła miłość, miłość światłością promienia. Więc wśród próżnej ciemnicy, wśród głuchej otchłani przebudziły się gwiazdy, ocknęły się gwiazdy do wzajemnej miłości, ocknęły się z marzeń ciężkich, a z głuchego snu. Gwiazdy jasne, słońca świeciste, jako druby stworzenia, puściły się kołem weselném, wieńcem radośnym, i śpiewają i grają Bogu na cześć,

miłości na cześć. Bo miłość jest nutą światów, a tonów ich miarą. Gdyby jednego z tych braci jasnych, świecistych brakło w kole weselnem, jużby zmarły ich tany, jużby gwiazdy wszystkie wróciły do nocnej ciemnicy, do głuchego snu; więc te światy niebiańskie, miłością wzajemną złączone, w każdym równiku swoim wszystkie widzą siebie, a każdy z nich we wszystkich kocha i miłuje własny żywot swój; w każdym świeci się i żwierziedli cały naród gwiazd na niebie, i tany ich, i życie ich.

Ziemia śpi i marzy — dech jej ulata ku niebu i buduje się w obłoczne grody i wiąże się w fantastyczne chmur postaci, niby śpiącej ziemi widziadła senne. Niebo kochaniem wzajemnem odpłaca za duszy jej widziadła, za świeciste grody obłoczne, bo rozplywając się dżdżem po niwach jej i gajach jej poi życiem, poi rozkosznem weselem.

Miotają się w boleści morskie kipiące topiele, grzmi piorunny oceanu szal; to dęba stają kędziorne dzikie fale, to nikną, rzucając się w otchłanie pieniające. Lecz choć miota się boleścią, choć grzmi szaleem przepaść morskich wód, wzajem liczą, wzajem ważą, mierzą ruchy swoje rozhukane morskie fale: każda z nich, czy się wzbije, czy przepada, jest powodem, jest i skutkiem ruchów innych fal; każda czy się wzbije, czy przepada, jest powodem, jest wzajem i skutkiem całej morskiej dzikiej gry.

W domku drewnianym mieszka igielka mała, co jej wiecznie tęskno, tęskno do biegunowych gwiazd; choć odwrócisz ją przemocą, choć przetrącisz nawet, ona sili się i mociuje by ci wskazać piasty świata. Igielka cicha, nieporuszona patrzy, kędy ją miłość ciągnie, a

miłość jej na dwóch nieba kończynach. Ona cicha, nieporuszona, niby śni i marzy o kochaniu swoim; lecz niespodzianie, nagle czegoś zadygotała w sobie, czegoś się rzuca, drży, jakby ocknęła się w niej dusza, i ciska to na wschód, to na zachód, to główkę wysoko podźwignie, to ją głęboko spuści i kołysze się i drży, jakby strachem, lękiem niepokojona. W tej samej godzinie, w tej samej chwili, po całej części świata, wszystkie igiełki, choć zamknięte w ciasnej izdebce swojej, choć o setki mil od siebie odległe, miotają się ciskając strachem i lękiem. Skąd igielkom te niepokoje i trwogi? Na biegunie, na piąście świata mocują się, i łamią, i walczą potęgi Natury, pokrewne igielce; igielka czuje ich pasowanie się i jakby jasnowidzeniem serca odgadła wszystko, choć zamknięta w domku małym. Ztąd jej lęki i trwogi!

Pszczołka brzęczy wesoło — brzęczy poranny paciorek swój, i pozdrowiła kwiatek co tęsknił miłością i biedził się miłością, a kwiatek dał jej miodu i powierzył pszczołce tajemnicę kochania swojego, i poleciała pszczołka w posły do drugiego kwiatka, co i przyjął oświadczenie lube, i także słodko podziękował pszczołce, a ona tak się sprawiwszy ulatuje i brzęczy wesoło. Latem kwiat-miłośnica przeistoczył się w owoc wonny, złocisty i wdzięczny. W owocu tym ziarnka małe, a w ziarnkach we śnie zwinięte przyszłe drzewa, przyszłe kwiaty. Ten owoc wonny, złocisty, i te ziarnka małe, toć zaiste kochania kwiatów i pszczołki brzęczącej sprawy!

I był ogród, w nim tłumne rody ślicznych kwiatów, co postrojone w sukienki cudnie wyszywane, a wystroiły się i ubrały kwiatki, bo były miłości tę



skne. Jedne rade hołdom pszczołek, co im grały i śpiewały piosenki zakochane; inne patrzyły za motylkami, co utrefione w barwy światowe lekkim rojem oblatywały kwiaty zalotne; inne kwiatki smutne, że bez hołdów pszczołek a służby motylków, zwiesiły główki i patrzyły w ziemię, drobnym świecącym robaczkom dając posłuchanie; jeden tylko kwiat samotny w górę zwrócił oblicze swoje i w niebo patrzył. A niebo spuściło na kwiaty rosę swoją, a i wszystkim kwiatom udzieliło po rosy kropelce. Więc i onym kwiatom motylki, drugim pszczołki wypily rosy kropelkę, a kwiatki, co w ziemię patrzyły, wypłakały swoją kropelkę co była niebios darem, a ona, jak boża perelka, spłynęła, spadła i zginęła w ziemi niewidomie. Ten zaś kwiatek, co w niebo patrzył, niebu posyłając wonie na ofiarę, zachował kropelkę jakby oczko błyszczące, a w tém oczku jego przezierało się niebo całe.

Zaprawdę, co stworzone jest, tęskni miłością, tęskni miłością do innych jestestw, co równie wykluły się na ciepłej stworzyciela dłoni; zaprawdę, wszystko co stworzone jest, zmierzone, zważone jest wedle innych stworzeń, jest zarazem środkiem i celem wszystkich stworzeń; zaprawdę, wszelkie stworzenie brzmi tonem we wszech światów harmonii, a im wyżej postawił Ojciec jedno z jestestw swoich na szczyblach stworzenia, tém ono ściślej zestrojone do całego koncertu natury, tém wyraźniej z niego wysnuć zdołasz całość wiekuistej kompozycyi i miary jej i akordy; tém wyraźniej w niem złożona zarodem cała myśl stworzenia. Czyliż człowiek ma stanąć niżej gwiazdy, lub obłocznej igry, niżej ptasząt gromady i rozhuka-

ných wód? niżej kwiatka lub owadu lub igielki bezdusznój? Wszak człowiek jest przyczodem jestestw stworzonych; na nim spoczęły pierwsze promienie i ostatnie promienie myśli światorodnej; z miłości dla człowieka Bóg stworzył świat, więc człowiek był powodem stworzenia. Wszak Bóg stworzył człowieka, gdy świat stanął już gotowy przed Bożem obliczem, i gdy „wszystko, co było uczynione, było uczynione dobrze“ (Genes. I.); tak człowiek był i skutkiem stworzonego świata a zarazem powodem jego. Więc też w nim złożony zaród, z którego się snuje całość onój wiekuistej kompozycji; ten zaród jest w duchu jego, w duchu myślącym, czującym. Duch człowieka ogrzany, oświecony Bożą poświatą, rozwinął myślą zaród ten, rozsnuwając samego siebie, rozsnuwając się tęsknotą nieskończoną, miłością bez granic; bo duchowi stworzonemu tak ckliwo, tak tęskno i duszno w tém samotnym oddzieleniu od Boga.

W piersiach człowieka świeci ducha kwiat, a na listkach kwiatu drży rosy kropelka, niby oczko niebiańskie; niechaj się duch ku niebu zwróci a w duchu przejrzy się wiekuistość cała. Wiara Zbawienia zwróciła też ducha kwiat ku niebu, a nieskończoność rozpromieniła się w sereu.

Ckliwo i tęskno duchowi ludzkiemu, by wiekuistość swoją obaczył. Zanim zaś anioł śmierci, zesłannik Pański, zdejmie kataraktę z oczu duchowych, wprzód, by nie olsnęły nieskończoną Bożą jasnością, prowadzi jakoby za rękę człowieka na wyższe a wyższe szczyble, do wyższej a wyższej światłości; i anioł wiedzie go zwolna od ziemi na szczyty niebiańskie. Człowiek nawzajem, w miłośnej tęsknocie ujrzenia

nieskończonej istoty swojej, pragnie gorąco rozświecić nawet ziemskie zjawiska, rozświecić je tym promieniem, co w nim światłością płonie. Takto ziemskie zjawisko, choć samo z nizin doczesnych zrodzone, staje przed nim w gloryi niebiańskiej chwały; bo wszelkie nawet uczucia ziemskie, byle przepromienione owym ogniem bożym, nabiorą świętości nieskalanej i wiekuistego znaczenia, a z nimi też i przedmiot ów, do którego uczucia tęsknią, otuli się nieskończonym, nadziemskim urokiem.

Tak się tedy dzieje, że gdy tęsknota bez granic rozbierze niewymownem uczuciem serce młode, czyste, niezważone grubym zmysłów pyłem, już wtedy miłość na świat się rodzi, miłość, której przyświeca wiekuistości płomień, miłość pokrewna owym zwiastunom niebiańskim, co żyją w nieśmiertelnym duchu człowieka.

Postać ukochana jaśniej wdziękami nie z tego świata, bo serce miłujące użyczyło jej własnego nieba swojego; co zacności, co uniesień szlachetnych, co uczuć świętych a prawd wiekuistych w sercu kochanka, tém wszystkiem on przyodział postać ulubienicy swojej. Te anioły wszystkie, mieszkające w sercu jego, jako w niebie swoim, ustroiły postać drogą, lubą w kwiaty wiekuiste, uzbierane w rajach Bożych. Tak duch kochanka przeziera się w postaci ulubienicy swojej; im tedy on sam bogatszym będzie treścią głęboką, im on sam będzie wyższej wartości duchowej, tém wyższym urokiem, tém wyższą świętością obłany pojawi mu się wizerunek tej jego ulubienicy. Tą kochanką jego jest iście sam duch jego własny; on się w niej widzi, sam się w niej kocha. Ten obraz jej jest jego własną duszą, jego własnem życiem duchowem, więc on też

za tę miłość swoją chętnie daje ziemskie życie. Tak miłość ta trwa po za groby, ona mocniejsza niż śmierć.

Gdy ta miłość jest najwyższym szczytem ducha, więc gdy znajdzie wzajemność, już wtedy na nią pada szczęście najwyższe, bo wzajemność jest świadectwem dla kochanka o własnej wartości jego. Tak miłość rozdaje i radości nadziemskie i rozpacz bezdenne; z miłości „wykwita i róża czerwona błogiego szczęścia, i róża biała skonu.“

Ta miłość duchowa, idealna, romantyczna, nieznaną pogańskim narodom, pojawiła się ludzkim dzieciom w wiekach średnich; ona również poczęła się światu gdy głębiny wiekuiste roztworzyły się w sercu człowieka, ona również jest skutkiem wycofania się ducha ze świata rzeczywistego, zmysłowego, we własne przybytki, w świat idealny, nieskończony; jest ona echem śpiewów anielskich. Wszak Dantego u wrót niebios przyjmuje Beatryxa, co niegdyś była kochaniem jego na ziemi, życiem duchowem w doczesnym żywocie; ona go prowadzi przez wiekuiste państwo nieskończonych radości.

Słuchaj śpiewu wieszczka tego: „Jako orzeł w „słońce, ulubienica patrzała w jasności Boże, i spójrzała w oczy moje; a to spójrzanie błyskawicą wpadło „przez oczy do wnętrza ducha mojego i rozpalilo „w nim potęgi nadziemskie: więc już wzniosłem śmiało „w górę wzrok, wzniosłem go śmiało do wieczności „zdroju; lecz olśniony nie wytrzymałem żarów iskrzących, spuściłem źrenicę! A ona znowu patrzy się w jasne „niebios kręgi; a ja, odwrócony od wysokości płomiennych, ssalem oczyma światłość z oblicza jej — „wyssałem zachwycenie! Zachwycenia tego nie wy-

„powie już żadna ziemską mowa; rozumie zachwycenie  
 „tylko ten, kto łaską przebudzony' . Czyli byłem w tej  
 „chwili duszą tylko? Powiedz mi, o miłości, ty niebios  
 „przewodnico! coś mnie na promieniach światłości  
 „twojej uniosła — uniosła do wiekuistych sfer.“ (Pa-  
 „radiso, pieśń I.)

„I znowu spojrziała na mnie ulubienica moja;  
 „z oczu płonęły miłości ognie, z oczu, co przeczyste,  
 „jasne, jak Boże źrenice, a ja przemożony już spuści-  
 „łem wejrzenie moje, tracąc samego siebie, a ona rzecze:  
 „— Jeżeli ci jaśniej miłości zarem, jaśniej świa-  
 „tłością nieznaną na ziemskich padolach; jeżeli pro-  
 „mienienie oczu moich mroczą źrenicę twoją, niechaj nie  
 „będzie ci dziwem; mój wzrok rozpalony jest owym  
 „widzeniem, co im w głębszych nurtuje światłościach,  
 „tém potężniej pociąga ku sobie.“ (Koniec pieśni IV i  
 początek V.)

A Petrarca po śmierci Laury śpiewa:

„Niebios ślakami uniosłem się na lotach duchowych  
 „bym obaczył w niebie, co zniknęło dla ziemi! I oba-  
 „czyłem ją otoczoną trzecim niebios kręgiem; ona te-  
 „raz ochuchana wdziękiem wiekuistym, ona teraz już  
 „bez dumy podała mi rękę i rzekła: W tém jasności  
 „kole zaślubieni będziem na wieki; ja jestem miłością  
 „twoją, za którą mocowałeś się nigdy tak ciężką walką,  
 „jam opuściła ziemską pielgrzymkę przed żywota mo-  
 „jego wieczorem. Rozum ludzki nie obejmie szczę-  
 „śliwości mojej, oczekuję jedynie jeszcze ciebie, co tak  
 „długo kochałeś szaty doczesne, co już pochowane na  
 „dole — na ziemi.“

Tak jest, ta miłość idealna, romantyczna, ona po-  
 jawiła się światu, gdy się rozstały niebiańskie głębie

w duchu człowieka; ta miłość jest pokrewna owym zwiastunom niebiańskim, co żyją w nieśmiertelnym duchu człowieka; ona mogła pojawić się jedynie u ludów chrześcijańskich, ona również jest skutkiem wycofania się ducha ze świata rzeczywistego, bo kochanek w ulubienicy nie widzi, czem iście ona jest, ale widzi czem ją uczyniła miłość jego. Miłość ta, będąc również, jak uczucie honoru, życiem wewnętrznem człowieka, na sobie się opiera, w sobie ufa. Gdy atoli honor jest wyrazem najwyższym samoistności, miłość odwrótnie żąda zrzeczenia się siebie i oddania własnej istoty. Butność młodzieńca i hardość łamie się o potęgę miłości; tutaj egoizm po raz pierwszy się ściera; młodzieniec zuchwalstwo swoje, samolubstwo i upór dumny, zacięty składa u stóp kochanki. Miłość jeszcze potężniej i głębiej niż honor jest odnoszeniem się do wewnętrznych uczuć człowieka; więc jeszcze mniej niż honor ogląda się na obce zdanie, na wtrącanie się, na rozsądkowania cudze, boć ona przecież nie powstaje w skutek rozsądkowania i siebie świadomego myślenia, a jest mocą, która opanowała ducha, stając się jego mistrzynią a panią. Miłość jest patos, co porywa, unosi bezświadomie, mimowolnie, i w tém podobna do geniuszu, który zarazem jest potęgą niby obcą, a przecież swoją. W miłości jest rozłamanie się ducha na dwoje; bo zarazem człowiek niby działa wedle woli swojej, a przecież jest bezwolny, — w niem świeci myśl jasna a przecież oczyniona — on jest sobą a przecież nie swój, nie jest sam sobą.

Barbara Radziwiłłówna pisze do Zygmunta listy pełne tęsknoty rzewnej i ufności bez granic „Jeżeli W. K. M. pan mój ze mną, któż przeciwko mnie?“ i

znów w innem miejscu: „Posyłam ja też W. K. M. pierścionek od wiecznej niewolnicy swojej, racz W. K. M. miłościwie przyjąć on zegareczek ode mnie, bogdajby mnie rychło oznajmił fortunną a wesołą godzinę przyjechania W. K. M. sam do nas.“ W tych wyrazach pełnych prostoty i uczucia znać że Barbara kochała Zygmunta Augusta choćby i nie był królem, i dla tego też, gdy gromem spadła na niego śmierć ulubienicy jego, on w słoty i burze odprowadza jej zwłoki do grobów wileńskich; przez ciemne puszcze Litwy idzie droga do przybytków śmierci — czarne konie ciągną karawan, na którym Barbara w trumnie; obok karawanu na koniu król ze smętkiem w sercu. On wiedział że Barbara kochała w nim nie króla, ale kochanka. (\*)

Więc też posłuchaj co pisze w tej mierze Heloiza przeszło czterysta lat wcześniej.

Heloiza do Abelarda w jednym ze swoich listów łacińskich tak się wyraża: „Bogiem się świadczę, gdyby „Augustus (Cesarz), pan wszechwładny ziemi „całej, uznał mnie godną pojąć za małżonkę swoją, gdyby „mi oddał cały świat pod panowanie moje, toćbym „przecież uważała być wyższej zacności stać się ulubienicą twoją, niż świata panią. Niechaj się żadna „z kobiet nie ludzi, niechaj wié, że jedynie sprzedaje „osobę swoją, gdy się zaślubia chętniej bogatemu niż „ubogiemu mężowi; niewiaście takowej należy się raczej zapłata pieniężna, niż miłości cześć“ i. t. d.

Miłość zaiste nie radzi się myślenia. Póki miłość w sercu panuje, póty też człowiek nie zdoła odróżnić

(\*) Ob. L. Siemiński w dodatku do „Czasu“ r. 1850. N. 12.

siebie od tego uczucia swojego; nie zdoła przeto badać i wazyć téj miłości swojej; bo gdy ją bada, rozbiera, gdy nad nią rozumuje, myśli, już wtedy odróżnił się od niej; już wtedy ona jest czemś różnem od istoty jego i już nie masz miłości. Właśnie zaś z powodu iż miłość jest tą mocą czarodziejską, tém uczuciem patetycznem, co czyni człowieka bezwolnym i wolnym zarazem, co go unosi, porywa nurząc się w najgłębszych toniach duszy jego; właśnie dla tego miłość jest tak niewyczerpaną, tak nieprzebraną nigdy osnową dla fantazyi chrześcijańskich ludów. Jak zasiew w Maju, tak puściły się pieśni miłości, i na wschód i na zachód, na północ i południe Europy i brzmiały te pieśni w ludach chrześcijańskich i germańskich i słowiańskich. Miłość wylewała się dźwiękiem lirycznym, uosobiała się w postaci epopei, aż i w późniejszych wiekach, w następnej epoce, stworzył się dramat miłości, który śmieje się i żartuje w komedyi, lub kona w tragedyi.

Nie zaprzeczam ci, że ta miłość romantyczna, tak idealna, właśnie dla téj idealnej natury swojej porywała człowieka często w drugą ostateczność, w drugą sprzeczność, więc w grubą, brudną, zmysłową ochotę. Boć ostateczności są, jak wiesz, cechą średnich wieków. Tak obok wdzięków niebiańskich, niebolotnych Dantego i Petrarcki nie brakło w całej ówczesnej Europie przygódek, jakie nam maluje Boccacio, lub przedstawia żywot nie jednego z lekkosercych Trubadurów. Bywały historyjki podobne do owych scen, który się odbyły między Walkierzem i Wisławem, a panną Helgundą, królowną frankońską, która tak się roztkliwiała pięknymi śpiewkami, które jej nocą pod oknami nucił nasz Walkierz, że się też dała wysławiać z ojcow-



skiego zamku i uprowadzić aż tu do nas pod Kraków, na zamek Tyniecki. Przypominam ci, jako ta dama zagraniczna spisała się w Polsce — jako ona zachwycała się urodą Wisława, którego Walkierz trzymał w wieży Tynieckiej, jako ona w nieobecności małżonka, uwolniwszy ślicznego rycerza, uszła z nim do Wiślicy, i jako Walkierz wróciwszy z wojennej wyprawy, po scenach, które pomijam, jednem cięciem zabił oboje kochaństwo. Wszak długo później jeszcze widziano kamień, w którym wyrzeźbione były sceny Walkierza i pani Helgundy, jako na przestrogę a naukę moralną sercom kochającym.

Zgadzam się też chętnie i na to, że ta miłość idealna wyradzała się w przesady dziwaczne; wolno ci się uśmiechać, gdy sobie pomyślisz owego rycerza, co się wałęsa, błąka po świecie, i wyzywa i walczy i goni na ostre z każdym, coby śmiał wątpić o piękności damy, której poświęcił służby swoje. Wolność żartować z owych piękności, które przyrzekwały rączkę i serce wielbicielowi swojemu pod warunkiem aby np. za rok i sześć niedziel złożył u stóp jej z pół kopy wizerunków damskich, odebranych innym rycerzom walką krwawą. Niechaj sobie drwi dzisiejsze pokolenie z owej miłości idealnej, romantycznej, przesadzonej, aleć mnie się zdaje, że choć sobie może żartować z owych czasów, jednak mu nie wolno niemi pogardzać: zacniej podobno dziwaczyć się z ideałami w sercu i gonić je uczuciem ponad gwiazdy, niż tarzać się w młakach samolubnych; z tym szaleem bezrozsądnym piękniej podobno ówczesnym rycerzom, niż wielom z dzisiejszych, których miłość spekulacją a duszą tabliczka mnożenia.

Zważ jeszcze — jak miłość uczciwa, idealna,

serdeczna łamie, jakieśmy rzekli, butność zuchwałego chłopca i kruszy w nim samolubstwo, tak też i ta miłość romantyczna głównie się przyczyniła do przemożenia barbarzyństwa dzikiego wieków średnich; ona pomogła do strącenia surowizny uczuć twardych, upartych, butnych, ona przekłuła serce, nieużytą skorupą odziane, i tak przygotowała Europę do cywilizacji i kultury.

Otoż fantastyczność awanturicza, dzielność samostnych charakterów, śmiałe męztwo, honor, miłość idealna, były ziemskimi pierwiastkami, które składały życie romantycznego świata. Moglibyśmy tu inne jeszcze wytknąć potęgi, które podobnie robiły i kipiały w sercu tych poetycznych czasów, lecz te, które wymienilem, wystarczą. Chciiej tylko zważyć, że wszystkie te pierwiastki weszły w krew i soki nowożytnej Europy, że w niej żyją i tętnią pulsem żywym, choć często niewidnym.

Te pierwiastki wszystkie właśnie stanowią fantazyą powszechną (List XI), fantazyą rozlaną w duszy ludów, a która jest osnową bogatą, a morzem nieprzebranem, wiecznie żywym źródłem, z którego czerpie fantazyja artystyczna wieków romantycznych; ta osnowa staje się jeszcze obfitszą, bezdenną, jeżeli będziesz baczyl, że te pierwiastki nie tylko występują po jednemu, z osobna, ale najczęściej wazą się z sobą, walczą w sercu, zderzają się i krzyżują kollizyą, a tak nowe a nowe zradzają osnowy, których nie znała fantazyja starożytna. Zważ jeszcze, że te moce i pierwiastki same znów odziane są w promienie wiary, nadającęj cechę tak przeważną fantazyji chrześcijańskich ludów, jak to widziales w liście moim ostatnim.

Ta osnowa wszystka — toć zaiste kopalnia nieprzebranych skarbów, co ukryte w podziemnych, nocy przepaściach górskich, strzeżone przez demony zazdrośne; lecz ile razy zjawi się mistrz, zwiastun przeszłości, już rószczką czarnoksiężką odgadnie te skarby; one zapłoną ogniem, a zazdrośne demony uciekną spłoszone potęgą magiczną prawdziwej poezyi.

Cała ta atoli osnowa, wszystkie pierwiastki tej fantazyi powszechniej rodzą się właśnie z owych głębin duchowych, które rozpromieniły się w wnętrzu człowieka; one wszystkie były wypadkiem onego nawrotu ducha ku sobie i jego odstania od rzeczywistego świata, one więc wszystkie mają cechę rozdwojenia się wewnętrznego a zewnętrznego świata. Ztąd też osnowa tej fantazyi powszechniej jest odpowiednia społecznej, artystycznej fantazyi, więc dziełom sztuki czasów romantycznych. Bo jak poczucia nieskończoności, zrodzone nie z tego świata, rozdzielają ducha człowieka od rzeczywistości, tak też i w dziele sztuki znać, że nieskończoność a dzieło, w które ona jest wlana jako we formę swoją, nie są sobie odpowiednie, znać, że treść nieskończona nie zdoła się pomieścić w dziełach sztuki, jako w wyrażeniu swoim zewnętrznym.

Otoż wiemy jakie były pierwiastki duchowe w tych wiekach, wiemy, jaka była fantazyja powszechna, a tém samem jaka była osnowa dla fantazyi mistrzów tych średnich stóleciów. Przecież to wszystko tém jaśniej wyświeci się, tém szczerzej roztworzy nam duszę swoją, jeżeli zwrócimy jeszcze bacność, jakto zapatrywał się człowiek w średnich wiekach na rzeczywistość zewnętrzną, a mianowicie na świat zmysłowy, czyli na Naturę i na świat duchowy, zwłaszcza

na dzieje powszechne ludzkiego rodu. Nie trudno ci wywróżyć, co nam się pod tym względem wyjawia, byleś chciał mieć na myśli całe usposobienie umysłowe średnich wieków, rozwinięte powyżej: więc owo pogrążenie się ducha w siebie, a odwrócenie się od rzeczywistości, od natury, która go otaczała do koła; a przedewszystkiem chciej już pamiętać, com rzekł powyżej, że właśnie dla tego usposobienia swego duch o tyle tylko sobie ważył świat ten zewnętrzny, te formy natury, o ile były mu środkiem do wyrażenia treści swojej indywidualnej, która w nim pracowała, miotając nim i robiąc.

Jak będziesz kiedy w Krakowie, przejdź przez Wisłę, potem weź się na prawo, zostaw po za sobą i mogiłę Krakusową i ów samotny, dziki jar opoczny, co go lud szkołą Twardowskiego zowie; bo podobno on tam, jak słyhać, miał się uczyć po nocach od szatana elementarza czarnoksiężkich sztuczek swoich; a gdy już miniesz całą ścianę skalną stromych krzemionek, wtedy miej się ciągle pod wodę, a niezadługo staniesz w Borku. Borek — to wioska, co warta pamięci i czci. Bo widzisz, będzie temu lat sześćset, gdy ludy europejskie dumały marząc w ciemnej nocy duchowej; zegar dziejów ludzkich zaledwie był wybił północ głuchą; wtedy, jakby ptaki nocne, ciężkiem skrzydłem wałęsały się po świetle roje zabobonów i guseł, a snuły się po ziemi straszydła szkaradne, a chodziły wśród żyjących spragnione upiory. Otoż w tej grubej nocy, siedział właśnie w tym Borku szlachcic, co się bawił światłem. Zwał się on Witellio,

bo się ciołkiem pieczętował. Otoż ten szlachcic od rana do wieczora kreślił jakieś figury matematyczne, liczył i rachował, i badał światło, i uważał, jakto się promienie jego odbijają, jak się łamią, i nadstawiał im to płaskie, to wklęsłe, to wypukłe zwierciadła, i znów czasem ostrokątowe; i prawił o zbieraniu się światła, o ognisku tych zwierciadeł, nawet był przekonany, że mocą takich zwierciadeł i ogień rozniecić można! Znów rysował i liczył i tłómaczył teorią ludzkiego oka. Patrzał też często to na słońce, to na księżyc, i dla tego nieraz wychodził na górę Lasotę, a nawet na stojącą na niej mogiłę Krakusa; bo tam mógł więcej nieba i świata obaczyć. A gdy się już dużo napatrzył, i narachował, i figur nakreślił, jął się pióra i napisał Optykę; a co on skreślił w tej książce swojej, toć potwierdził i uczony Paryż; szkoda tylko, że dopiero w pół tysiąca lat później. Widzisz, że nie ma się czemu dziwić, że go społeczeństwo za czarodzieja mieli; ale szczęściem dla niego, iż oni dopiero po śmierci tak się na nim poznali. Właśnie w te same lata, gdy nasz Ciołek sobie chodził z dworku swojego na Krakusową mogiłę, a z mogiły do dworku, żył daleko od niego, bo za morzem, bo w Anglii mnich, nawet mu z imienia nieznanym. Lecz choć się oni nie znali, oba byli przecież braćmi z geniuszu i natchnienia. Roger Bacon, bo tak było na imię mnichowi temu, także był za czarnoksiężnika, ale za życia jeszcze, uznany. Wysechł więc w katuszach więziennych, w podziemnych ciemnicach, odgradzony od ludzi i od słońca, a głodem morzony. I on bawił się światłem! A ciągle sobie roił po głowie niestworzone rzeczy, a co mu się uroiło, toć i zapisywał w wielkiej księdze (opus majus). Zważ-

no, co on w niej pobajał: „można sprawić zwierciadła, co przybliżą słońce i księżyc do ziemi, a pachole, przez zwierciadła takie widziane, powiększy się w olbrzymia; połącz razem saletrę i siarkę i węgiel, a będziesz miał zaprawę co udaje doskonale błyskawicę i grom, a siła jej tak potężna, że i miasta rozwali. Nie cuda też złożyć wozy, powiada, coby i bez pomocy zwierzęcej przebiegały z szybkością wichrów ogromne przestrzenie; możnaby też takie wymyślić statki, któremiby zdołał pokierować sam jeden człowiek; ktoby chciał, mógłby też za pomocą machin nawet unieść się w powietrze jak ptak, albo spuścić się w bezdna morskie i obaczyć ciemne wód tajemnice.

Patrz — takowe to geniusze świeciły na onczas gwiazdą płomienną! Choć atoli świeciły jasnością, a choć i światłość była ich ulubienicą, której oddawały służby i życie swoje, przecież ciemno, nocno i głucho było po ziemi. Natura i zjawiska jej, one bezduszne wiekuistej mądrości zwiastuny, były jeszcze dla ludzkiego rodu księgą tajemniczą, na siedm pieczęci zamkniętą. Cała umiejętność bawiła się dwójką filozofią. Jedna była owa scholastyczna; dla tejto filozofii nie było natury, ani rzeczywistości; ona popisywała się bystrością osobistą w sylogistyce sztucznej, będącej jedynie wyskokiem subtelności rozumowej; nie zostawała więc w żadnym stosunku do zewnętrznego świata. Obok tej filozofii scholastycznej, zaszczepiającej całą mądrość na formach rozumowania, na sztukach łamanych logiki ówczesnej, żyła w średnich wiekach druga, dla której zdrojem prawdy było widzenie wewnętrzne, patrzeć się w objawy prorocze własnego ducha, kontemplacye tajemnic własnego

serca: słowem, była to filozofia mistyczna, głęboka, bezdenna a pragnąca w zapadaniu w siebie połączyć się z Bogiem. Obie te filozofie średnich wieków, lubo sobie odwrotne, były przecie koniecznym wypadkiem ducha téj epoki, one obie są wzajemném siebie dopełnieniem, obie nie uznają znaczenia natury i rzeczywistości.

Duch człowieka w średnich stóleciach, w siebie się patrząc, miał dla cudów przyrody olśnione źrenice. Natura — to wroga, to pokusna potęga, — ona przyczajona rozpina zdradne sidła nieopatrznej zmysłowej ochocie. Ztąd pogarda dla pięknych, uroczych form; ztąd człowiek wzdryga się na myśl wcielania, zmaterializowania prawd świętych w postaci wzięte ze zmysłowej natury. Fantazya, odwrócona od cudów przyrody, była głuchą na jej muzykę, ślepą na jej wdzięki czarowne. Duch modlił się w sobie, uczucia płakały z rozrzewnienia w cichym, samotnym serca przybytku.

Dopiero późno, bardzo późno, gdy brzask młodego dnia rozwidnił świat średnich stóleciów, z wolna znikła mglista opona z dramatu natury; a po jednym roztwierały się okienka duszy, i powiew świeżego zarania ocucił zadumaną Psychę; a ten powiew zarania i pierwsze łuny świtu nowej epoki wynęciły duszę z samotnej wewnętrznej świetlicy w ten piękny Boży świat. Późno, bardzo późno zjawilo się przekonanie w duchu, że najwyższa świętość na niebie w najwyższej piękności na ziemi znaleźć winna zacne uwidomienie swoje.

Zapuć się pielgrzymką w zamętne Rzymu lub Neapolu katakomby. Tu miasto Boże rozrasta się

labiryntem podziemnych konarów. Uliczki wązkie, niskie, biegną, krzyżują się; znów odstepują od siebie i znów się wiążą; wszędzie i wszędzie u góry, u dołu, we wszystkie strony, i z prawej i z lewej w ścianach wykute niże podłużne, kędy robotniki w winnicy Pańskiej złożyły kości swoje — one spoczęły około męczenników wiekuistej prawdy, jako umierają pszczelne roje około swojej matki. Gdy zaświecisz w te niże, obaczysz jedynie popioły i kostki martwe, lecz słyszysz w nich tajemne bicie ich serca; słyszysz i odgłosy ich tryumfów w skonaniu. I zewsząd ciągną się ulice, krążanki śmierci, i groby przy grobach; zewsząd towarzyszą ci na podróży po ciemnicach umarli, umarli w światłości a za żywot wiekuisty. Wędrowcy, przyświecając sobie drogę zapalonemi gromnicami, ciągną długim sznurem światełek błędnych, jakby orszakiem pogrzebnym, po przybytkach zmartwychwstania. Niekiedy rozstąpią się ciasne korytarze i dźwigną się wysokim stropem, — to niegdys kaplica; ława kamienna, jama u góry, — to niegdys ambona; grobowiec świętego męczennika, Bożego wybrańca — to ołtarz, ołtarz ofierny. Podnosisz pochodnię, co niepewném światłem drży po ścianach, a po ścianach, po stropie dygocą przedwieczne malowania. Rzekłbyś, że psalmy, hymny, pieśni święte, łzy i płacze wcieliły się w te malowania, co jak krzewy wonne rozpięły się po ścianach, po stropach kaplicznych. I toniesz okiem w tych obrazach, i toniesz z lękiem i czcią w sercu w tych postaciach, co tu jakby Bożem przykazaniem żyją i mówią wśród popiołów, wśród cielesnej niemoty. Te malowania rozkwitły tu po grobach przed półtora tysiącem lat w owych pierwszych



wiekach chrześcijańskich, kiedy ziarno Boże puszczało lekkie kielki z pod wrogich mrozów świata. Te malowania tak rzewne, tak niewypowiedzianym wyrazem wglądają w duszę twoją; i ty nawzajem toniesz w nich myślą i sercem.

Zrazu dreszcze i uwielbienia i lęki przebiegły cię mrowiem, a braknie upamiętania, zebrania w sobie, byś zdołał widzieć artystyczność, która władała pędem starego mistrza; bo ty zrazu, podobnie jak on, jedynie oczyma ducha widzisz te dzieła jego; milczą zmysły cielesne, olśnione nadświatnym promieniem.

Gdy się nieco rozpatrzysz i nawrócisz do siebie, wyznasz, że w rzadkich wyjątkach tylko znajdziesz formy ściśle artystyczne, a to jedynie o tyle, o ile je zawiały jakby przypomnienia z umarłej już sztuki klasycznej Greków; o ile zaś one urosły samoistnie z ducha pierwszych chrześcijan, o tyle znać w nich lekceważenie sobie natury i w postaci i w draperyi. A przecież mimo braku ścisłego rysunków, mimo twardości i skostnienia tych figur, one ogromną potęgą uderzają na widza, bo przez te formy nieartystyczne wygląda treść wiekuista; treść ta przerosła formę, która pęka niby łupina wynietna wypuszczając z siebie Boże ziarno, owoc niebiański. Tutaj wszędzie znać kompozycją ogromną, pomysł całości genialny, obok niedostatku w samem wykonaniu; wszędzie widzisz, że forma zewnętrzna, widoma sprostać nie zdoła treści tak nieskończonej jak wieczność. I tutaj jak i wszędzie w tych stuleciach, poznajesz że świat zewnętrzny, że ta natura, że życie doczesne nie ma znaczenia dla człowieka, dla ducha, że ona o tyle jedynie waży, o ile jest dla niego środkiem a znakiem do wyjawienia

jego treści wiekuistej. Te malowania, to isticie hymny i psalmy; jest to modlitwa, co śpiewa w duchu człowieka, jest to źródło, co wypada z serca pełnym potokiem bez względu już kędy popłyną wody jego; jest to malowania liryczność najwyższa.

Widziałeś tedy jaki był powód głęboki braku artystyczności i natury w pierwszej sztuce chrześcijańskiej; już ten powód spoczywał na dnie ówczesnych wieków i tkwił w nich nawet bez ich świadomości jasnej. Średnie wieki, choć nie znały ducha co w nich żył, miały wstręt instynktowy do form uroczych natury, więc do pięknych obrazów, do cudnych posągów i same tłómaczyły sobie tę niechęć swoją niby obawą, aby te dzieła sztuki nie były przypomnieniem pogaństwa.

Zważ jeszcze, że gdy ta prawda już wyświeciła nam się jasno ze samego wykonania tych obrazów, to ona jeszcze silniej nas uderzy, gdy wrócimy bacność na ich ośnowę. Jakoż najczęściej w tych cichych przybytkach żyjących-umarłych przedstawia się postać dobrego pasterza, statku miotanego burzą, baranka, palmy i t. d.; aleć podobne obrazy są symbolami, a symbol właśnie ma dwojakie znaczenie: bo jedno widoczne, dotykalne, niby zmysłowe, a drugie znaczenie nadane, duchowe. (Palma np. raz znaczy wprost palmowe drzewo, drugi raz pokój niebiański.) A to znaczenie duchowe właśnie tutaj waży, ono jest duchem tych obrazów; te przedmioty nie dla siebie isnieją ale dla znaczenia swojego; one są tylko środkiem dla wyjawienia się ducha, są widocznym jego znakiem; znaczenie ich naturalne, przyrodzone tak nie waży, jak i natura sama. Wszak później znajdziesz wprawdzie sceny z pisma S.

Starego Zakonu, ale i te mają znaczenie symboliczne: są to allegorye, bo się odnoszą do prawd wiary chrześcijańskiej, (np. Abraham, ofiarujący syna, jest przenośnią, wyrażającą Niebiańskiego Ojca, co Syna jednorodzonego poświęca światu na zbawienie.)

Owo pomiatanie naturą znajdziesz i w starych mosaikach, które ubrały kościół Wenecki Ś. Marka, lub świecą tak poważnie po najdawniejszych bazylikach Rzymu. Znajdziesz to lekceważenie form przyrody na całym chrześcijańskim wschodzie w owym bizantyńskim malowaniu; te oblicza ciemne, oczy rozwarte, pełne grozy, ten nieruchomy wyraz twarzy, ta drape-rya i układ jej, one zaiste nie zrodziły się z zapatrywania się na naturę, co tak pełna krwi i życia i ruchu. W tych postaciach nie tętni serce ciepłe, ustały pulsa i tchy. W koło też nich nie widać natury, pełnej wese-ła, nie widać drzew, łąk kwiecistych, źrójów stru-miennych. Zamiast wizerunków malowanych tej przy-rody żyjącej, gorącej, błyszczy złote tło, wyciskane w różne wzorki, niby kobierce świeciste. To tło błysz-cząc i jaśniejąc potęguje jeszcze wyraz grozy owych ciemnych, uroczystych twarzy. Ztąd też widok ich uderza jakimś głuchym strachem; patrząc się na te oblicza czujesz jakieś oczynienie i zawianie duszy, ja-kimś chuchem z innych światów.

Jakoż zwolna, stopniowo wyzwalala się sztuka. — Po jednym, niby ptaki wędrownie, wróźbity nadcho-dzącej wiosny, pojawiają się długim szeregami wielcy mistrze, wysłanniki nowej epoki sztuki. Tak przodem staje Cimabue. On roztwiera serce swoje przyrodzie, a choć się jeszcze nie zdoła wyswobodzić z pod urze-czenia bizantyńskiej sztuki, toć przecież jego malowane

oblicza, jego pojmowanie natury tak do serca przemawia, tak jest lubie i wdzięczne, że wykończenie jego obrazów staje się świętym narodowym dla ludu i dumą najwyższą zacnych jego ziomeków. Wszak wizerunek jego Najświętszej Panny przenoszą uroczystym pochodem z pracowni mistrza do kościoła, a orszak świętego rycerstwa i grono możnych książąt włoskich towarzyszy uniesionemu radością ludowi.

Raz, pewnego wieczora, aniołek malarstwa wyprowadził mistrza w dalekie łąki i gaje. Wśród skal samotnych spostrzega Cimabue pastuszka, co, leżąc po swojemu na ziemi, rysował kamykiem wizerunek swojej kozki ulubionej. Cimabue bierze za rękę bosc pacholę i wiedzie z miłością do przybytku sztuki, i uczy i pieści chłopczynę, aż z niego wypiastował onego Giotto, który był również wielkim mistrzem w architekturze i w malarstwie i w rzeźbie. Właśnie to on zwrócił sztukę na nową drogę, której nie przeczuwał nawet świat. Giotto, również jak przyjaciel jego od serca — Dante — uczy się na starożytnych mistrzach i patrzy się naturze w serce, i w oczy, i pyta ją o radę. On ją z serca ukochał. Ta jednak miłość jego jest jeszcze nieśmiała; jest to jakby pierwsze kochanie młodzieńcze, trwożne, bojaźliwe, nie ufne sobie. Giotto, otoczony w koło bogactwem nieprzebranej różnorodności tej kochanki swojej — natury, chodzi lękliwie po jej pałacach, i nie ośmiela się przebierać wśród tych kształtów rozmaitych; więc też jego obrazy jeszcze wiązane są jakąś architektoniczną symetrią, jego oblicza malowane mają jakiś wspólny sobie typ; brak im indywidualności. Ztąd już wyraźnie znać, że oni nie tak są

uniesione z natury, jak raczej wszystkie, niby braciszki rodzone, mają jedno wspólne gniazdko swoje, — a t $\acute{e}$ m jest w $\acute{a}$ lśnie serce i duch samego mistrza.

Baczmyż przeto teraz na r $\acute{o}$ znicę w $\acute{o}$ lskiej a p $\acute{o}$ lnocnej fantazyi. R $\acute{o}$ znica ta dobitna, cho $\acute{c}$  tu i tam panuje jeden i ten sam pierwiastek, bo cofni $\acute{e}$ cie si $\acute{e}$  ducha w siebie i lekcew $\acute{a}$ zenie sobie natury. Widzia $\acute{e}$ ś na dziele Stwoszew $\acute{e}$ m Krakowskim silnie wyrazaj $\acute{a}$ c $\acute{a}$  si $\acute{e}$  indywidualno $\acute{s}$ ć na postaciach rzezbionych; bo mistrz, nie maj $\acute{a}$ c innych wzor $\acute{o}$ w, trzyma $\acute{l}$  si $\acute{e}$  natury, czyni $\acute{a}$ c z ni $\acute{e}$ j wizerunki, portretuj $\acute{a}$ c j $\acute{a}$ , ale nie zdo $\acute{l}$ al tej naturze nada $\acute{c}$  w $\acute{a}$ lonej swojej indywidualno $\acute{s}$ ci, nie zdo $\acute{l}$ al wyrazi $\acute{c}$  zmys $\acute{l}$ owo w $\acute{a}$ lonych uczu $\acute{c}$  swoich kt $\acute{o}$ re mu w sercu gra $\acute{l}$ y. We W $\acute{o}$ lzech za $\acute{s}$  to samo przebywanie ducha we w $\acute{n}$ ętrzu swoim wyraz $\acute{a}$  si $\acute{e}$  w $\acute{a}$ lśnie t $\acute{e}$ m, że mistrz siebie, swoje w $\acute{a}$ lne osobiste zapatrywanie maluje w obrazach swoich, i dla tego te postaci, p $\acute{e}$ zlem jego stworzone, s $\acute{a}$  tak podobne do siebie: nie s $\acute{a}$  wzięte z natury, nie maj $\acute{a}$  w $\acute{a}$ lciwej indywidualno $\acute{s}$ ci, kt $\acute{o}$ rabym je r $\acute{o}$ zni $\acute{l}$ a mi $\acute{e}$ dy sob $\acute{a}$ , i dla tego s $\acute{a}$  tak idealne, duchowe i wyrazaj $\acute{a}$  uczucia mistrza. Tak indywidualno $\acute{s}$ ć, b $\acute{e}$ d $\acute{a}$ c $\acute{a}$  cech $\acute{a}$  wiek $\acute{o}$ w s $\acute{r}$ ednich, wyst $\acute{e}$ puje w p $\acute{o}$ lnocnej Europie tym trybem, że tu mistrz wyraz $\acute{a}$  j $\acute{a}$  w dziele swoim, jako w wizerunku wziętym z rzeczywisto $\acute{s}$ ci; a we W $\acute{o}$ lzech owa indywidualno $\acute{s}$ ć objawia si $\acute{e}$  t $\acute{e}$ m, że mistrz w dzie $\acute{l}$ o swoje wciela wprost tre $\acute{s}$ ć idealn $\acute{a}$ , wewn $\acute{e}$ trzn $\acute{a}$ , swoj $\acute{a}$  w $\acute{a}$ ln $\acute{a}$  indywidualno $\acute{s}$ ć, nie bacz $\acute{a}$ c jeszcze na natur $\acute{e}$  i j $\acute{e}$ j rozmai $\acute{t}$ o $\acute{s}$ ć. W obu za $\acute{s}$  tych razach wida $\acute{c}$  jeszcze rozdzielenie ducha, bo tre $\acute{s}$ ci wewn $\acute{e}$ trzn $\acute{e}$ j mistrza a zewn $\acute{e}$ trznego s $\acute{w}$ iata, czyli natury. To za $\acute{s}$  rozdzielenie, ten dualizm,

jak wiesz, jest właśnie piętnem ogólnem, spólnem wszystkim wówczas krajom i ludom. (\*)

Wracając atoli do Giotto, uważ, że u niego pierwiastek ogólny i tём się jeszcze wyjawia, że obrazy jego lubią allegorye, bo znaczenie przenośne, choć to nie są czeze, głuche allegorye, ale takie, co mają w sobie życie i krew. Jak ten pierwiastek tkwi, z jednej strony, w mistrzu samym i w jego ludzie i w czasie, tak z drugiej strony i przyjaźń jego z Dan-tem, przemawiającym tak często przez allegorye, a nadto echa, dolatujące ze symboliki piérwszej sztuki

(\*) Zważ jeszcze, że mistrze włoscy mają tu ciągle przed oczyma zabytki kosztowne starej sztuki klassycznej, które właśnie są tak idealne, ogólne; — co więcej duch starożytnego świata żył jeszcze w tradycyi, żył w urzędzeniu, w składzie i ładzie miast włoskich, a historia kraju włoskiego w średnich wiekach jest historią miast włoskich. Tutaj przeto indywidualność ludzka nie mogła tak wybujać samodzielnie jak w Europie północnej, bo wzięta była w karby przez spólne prawa, ustawy, obyczaj i t. d., więc przez moc również ogólną. Przeciwnie na północy rozkołysał się tak silnie feudalizm, że prawa ogólne mniej miały wagi, ale za to indywidualność, każdemu właściwa, wyrosła butnością i z całym zuchwałstwem mocy, która sobie ufa i żyje oparta na swojej potędze. Otóż, o ile sądzić się ośmielam w tój sprawie, takowy jest powód różnicy fantazyi ludów północnych a włoskich mistrzów. Odważam się przy tём powiedzieć, że też odpowiedni tej różnicy jest historyczny rozwój sztuki. We Włoszech idealność ku temu się ma, aby się indywidualizować, a na północy indywidualność postaci ku temu dąży, aby się zidealizować! Każda z tych fantazyi dąży do tego, aby idealność i naturę, — indywidualność a piękność nadziemską zestroić w jeden dźwięk, słowem, aby ześlubić z sobą fantazyą romantyczną i klassyczną spólnem przymierzem; co się też ziści, jak obaczymy, w przyszłej epoce bo w XV i stóleciu, które jest szczytem sztuki nowożytnej.

chrześcijańskiej, były tój allegoryczności Giotta przy-  
czyną zewnętrzną.

Mimo atoli tego, że Giotto nie oswoił się jeszcze z naturą, przecież niesłychany wdzięk żyje w tych malowaniach jego; one tak piękne i lube, że znać, że to kochanek natury malował oblubienicę swoją, choć lękliwie i nieśmiało. Trudno mi wspomnieć o tych wszystkich mistrzach wielkich, którzy zaenym promiennym orszakiem przeszli po włoskiej ziemi. Mimo różnicy ich i co do geniuszu i rodzaju ich talentu, na nich wszystkich jednak spoczywa już choć z lekka technienie romantycznej fantazyi.

Patrząc się na ich dzieła, rzekłbyś, że już naturę opłynął świt różowy, odsłaniając stworzenia cuda, lecz że we własnym domu ducha jasno płonące światłości oślniły jeszcze oczy fantazyi, że jój tedy trudno rozpoznać kształty, które już dniały na tym pięknym świecie Bożym. Rzekłbyś, patrząc na ich obrazy, że nie tak widzisz przedmioty malowane, jak raczej głębinę wewnętrzną duszy każdego z tych mistrzów zanych; ich dzieła, to liryczna pieśń, która z piersi wytrysła, by ulżyć sercu, co przepelnione kipiącém uczuciem, a pieśń ta i jój dźwięki i uczucia krystalizują się i ścinają w barwy i światła obrazów malowanych, uczuciowych a pełnych sentymentalności miękkiej. Tak na pograniczu prawie średnich wieków a szesnastego stolecia klęczy pobożna postać zakonnika-malarza o uczuciach niebiańskich, czystych jak pieśni aniołków około bożego tronu; więc go też nie darmo zwano Giovanni *Angelico* da Fiesole (1387+1455.) On zakonnikiem, on maluje bez zapłaty, li z serdecznej miłości dla Boga i ludzi, on pracuje na cześć Bożą i

Matki Jego przenaświęszęd; a gdy maluje, płacze z rozrzewnienia, bo widzi te święte niebiańskie postaci przed sobą, i modli się i krzyżem leży, i z duszy błaga Boga-Rodzicę, by też na niego zesłała łaski swoje, by go natchnęła błogosławieństwem swoim. W klasztorze Florenckim świętego Marka, po cellach, po korytarzach, po kaplicach widzieć możesz dzieła jego; to jego modlitwy malowane, to jego łzy, to jego tęsknoty ku niebu; one przybrały na się kształty widome, a tak przezyste jak ta lilija promienna, co mu tchem bożym w duszy rozkwitła. Ztąd też kościół beatyfikacyą uczcił anielskiego malarza. Otóż na jego obrazach nie szukaj ścisłości rysunków form cielesnych; ale za to ułożenie tych figur, wyraz ich oblicza, -- to z nieba przychodnie, co stanęły w celli obok mistrza, by miał wzór świętości przezystej, a barwy jego tak łube, tak pełne wdzięcznej harmonii! Mówią, że mu się postać szatana nie udawała; zaiste, bo go nie miał w sercu!

W miarę jak człowiek w tęsknocie swojej zbliża się do natury, podpatrując jej kształty i podsłuchując jej mowy, coraz też więcej a częściej występuje ta przyroda bezduszna w obrazach. Więc pojawiają się już zwolna widoki okolic, niebo, drzewa, góry dalekie otaczając ludzkie postaci; a dzieje się to i na południu i na północy. Przypominam ci te urocze kompozycje Jana van Eycka, onego arcymistrza stariej flandryjskiej szkoły. Lecz zważ, że natura jest tutaj wszędzie niy dopięro oprawą dla postaci człowieka; ona nie istnieje dla siebie, ale istnieje jako środek dla figur ludzkich. Natura nie pojawia się tutaj nigdzie jeszcze samoistnie i odrębnie; słowem, nie masz jeszcze tego, co nazywa-



my malowaniem pejzażu, kędy natura jest przedmiotem głównym, a figury ludzkie jedynie dodatkowym środkiem do spotęgowania jej znaczenia, a tém mniej znajdziesz w tej epoce malowania rozciągające samą naturę bezludną, samotną, żyjącą dla siebie i w sobie. Uważ, że ta cecha, niby ta nieśmiałość do natury, tak silnie jeszcze władnie w dziełach fantazyi romantycznej, że spotkać możesz nawet jeszcze jej ślady w następnej epoce sztuki, więc w epoce, gdy one geniusze olbrzymie, one kapłany piękności w XVI wieku stwarzają cuda, światu na uwielbienie. Patrz na bitwę Konstantyna w Stanzach watykańskich, malowaną przez Rafaela; — konie, jak dawno uważano, są błędnie rysowane obok postaci ludzkich nadświatowego uroku.

Ten sam duch, który żyje w malarstwie romantycznych stuleciów, śpiewa również i w ich poezyi. Rzuć okiem, czy to na epopeje, czyli na liryczne pieśni, i Francuzów i Niemców w średnich wiekach, a wszędzie i zawsze obaczysz, jak oszczędnie wieszczą malują naturę, dotykając się jedynie mimochodem jej uroków czarodziejskich. Nawet w miłośnych piosenkach trubadurów i minnesengerów usłyszemy wprawdzie jakieś potrącenie o struny otaczającej ich w koło przyrody, ale dźwięki tych strun nie zlewają się nigdy wdzięcznemi akkordy z treścią główną samej pieśni. Kochankowie w tych pieśniach (jak mówi jeden z dziesiętych estetyków) niby dużo i często prawią i o słowikach i różach i o porach roku; zważmy jednak, że te słowiki i róże i wiosny tak słabo łączą się z treścią poematu, że jakby stereotypy wracają przy każdej pieśni, i słusznie powiedziano, że to są zewnętrzne

arabeski, otaczające rysunek ramką w koło, ale nie splatające się z rzeczą samą. Te wspomnienia natury są kwiatkiem, który bynajmniej nie rozwinął się ze samego gruntu pieśni, ale jest gdzieś tam urwany i przypięty powierzchownie do niej; słowem, te obrazy natury nie wiążą się organicznie z poematem, ale stały obok z lekka o jego treść oparte.

Prawda, że Dante cudownie umie śpiewać wdzięki Przyrody; lecz teżto Dante wykarmiony był na klasykach starożytnych, a, jak wiesz, sam Wirgiliusz był jego przewodnikiem przez Piekło, Czyściec i Niebo. W ogólności chciejmy pamiętać, że wczesne rozwinięcie się Włochów w średnich wiekach stanowi ważną ich różnicę od ludów Europy. Bo oni duszą gorącą patrzą na naturę i rzeczywistość, a do tego wcześniej byli wychowani na sztuce klasycznej greckiej i rzymskiej. Wszelako o tem już mówiłem właśnie powyżej. A przecież znów, mimo tego wszystkiego, Petrarca, co także Włochem, co także wyuczony od starożytnego świata, podróżując po Francji, Anglii i po Renie, ani słówkiem nie wspomina o naturze tych krajów, jak to Humboldt uważa. (Kosmos T. II.) Znać, że Petrarca, mimo klasycyzmu swojej, czuł się pod tchem właściwym średnich wieków.

Ten charakter poezji średniowiekowej już był wyświecony przez nie jednego ze znawców tej literatury francuskiej, niemieckiej i włoskiej; ale ja myślę że nawet i poezja słowiańska średniowiekowa, co tak świeża, pierwotna jak puszcza boża, nie znieważona gwałtami człowieka, że ta poezja słowiańska jest podobnie potwierdzeniem naszych uwag powyższych. Niezmiernie rzadko, a oszczędnie, i to kilku słowami

znajdziesz w niej odrysowany pejzaż jakiś natury, np. w Ruskiej Wyprawie Igora, czytamy: „Drugi dzień rano zorza z krwawym wschodem świt wiodą, tucza w chmury się piętrząca ciągnie od morza zaćmieć cztery słońca. Drżą sine błyski, piorun po piorunie bije, i z Donu strzałami deszcz lunie“ (tł. Aug. Bielowskiego) — albo:

„Już noc z północnej chyliła się pory, rzedniały cienie nad szarawym rankiem; cyt, mówił Wyhoń do księcia Oldrzyka i t. d.“ (Oldrzyk i Jarmir. krółodwor-ski rękopis tłum. z czesk. L. Siemieńskiego.) „Wyszli na górę — stanęli — kraj lasu; tam milczy Praga w zaranném marzeniu, Wletawa mglistą kurzyła się parą, za Pragą góry w błękitnym cieniu, świt za górami wdziewał barwę szarą.“ (tamże.)

Takowych dłuższych rozwiniętych obrazów natury nie wielebyś znalazł w pieniach ludów słowiańskich; najczęściej pieśń ledwie potrąca o naturę, ledwie ją czyni lekkim tłem, na którym odbywają się sprawy ludzkie np. stoją góry z prawicy, stoją góry z le-wicy, na ich wierzchy kończate zsyła słońce oświatę (Czestmir i Włastaw tamże.)

Ten stosunek człowieka do natury jest wprost skutkiem nastrojenia lirycznego duszy w średnich wie-kach, która raczej tonie we własném wnętrzu swoim, a mniej ma zmysłu dla świata, roztaczającego w koło nas wdzięki swoje.

To nastrojenie, wręcz przeciwne usposobieniu Gre-ków, było powodem, że i jestestwa, któremi świat klasyczny zaludniał naturę winny były być wbrew różne od tych jestestw, któremi ją napełniała fanta-styczność wieków romantycznych. Widziałeś z naszego

wyvodu bogów i niższych, bóstw starożytnego świata, że one stworzone są tym trybem, iż ich pierwszy początek pochodzi zawsze od potrącenia, które fantazyja odbiera od natury; człowiek spostrzega zjawisko w przyrodzie, które go uderza, więc nosabia moc w niej ukrytą, a tak rodzi się związek jednego z bogów. Wiész atoli równie że taki początek ideału, idący od zewnętrznego potrącenia, jest prawdziwie artystyczny i dla tego te bogi greckie są tak piękności pełne. Choć atoli to potrącenie idzie od natury, choć związek rodzi się z spostrzeżenia zjawisk zewnętrznych, przecież Grek chwyta ten związek twórczą potęgą fantazyji swojej, rozwija go i roztaacza mity, uroczą bajeczkę o tym bogu, tak pełną wdzięku i poezyi jak te ich rzeźby i budowania i pieśni.

Inaczéj, a nawet zupełnie odwrótnie, ma się rzecz w średnich wiekach. Wiara chrześcijańska zagroziła tutaj wprawdzie fantazyji tworzenie sobie bóstw, ale za to ta fantazyja zaludnia naturę jestestwami nadprzyrodzonymi; bo roje upiorów, karłów, gnomów, rusałek, strachów, czarownic, czarodziejów i innych dziwaków, diablików burmistrzują po świecie. Te wszystkie jestestwa, co straszają, broją i stroją figle ludziom, najczęściej biorą swój początek nie tak z potrącenia natury jak raczej z własnego wnętrza człowieka; dla tego one nie mają na sobie cechy właściwej potęg przyrody, dla tego one nie są odpowiednie bynajmniej z istoty własnej żywiolom, w których sobie broją i gospodarzą (wodzie, podziemiom górniczym, lasom i t. d.) owszem one są wprost kapryśnym wymysłem fantastyczności swawolnej człowieka, który patrzy na na-

ture, ale jej jeszcze nie widzi. Ztąd też ta wszystka czeladź rzadko tylko jest piękna, i ubiera się jedynie we wdzięki ile razy czyha pokusą na ludzi; zresztą najczęściej są to garbate, szpetne, kulawe i jakieś dziwne potwory; bo jak tutaj nie znajdziesz pięknej greckiej mitologii, tak nie znajdziesz i rozumu i doweipu i uroku greckich bogów. Przecież te same uczucia własne serca, wyprawiane w świat zewnętrzny, nie zawsze biorą na siebie kształty osobne, na ich własną miarę wymyślone, ale te uczucia odziewają się w jestestwa już zupełnie w naturze gotowe; do tych jestestw ma się tedy człowiek jak do własnych uczuć swoich, z nimi rozmawia, jakby z sobą samym. W onej prześlicznej pieśni serbskiej dwa czarne kruki siadają na wieży Kruszewca, one przybyły z Kosowego Pola i widziały klęskę krwawą; więc gdy głucho w zamku i cicho, jeden z kruków zakrakał do drugiego: „Czy to zamek sławnego cara! czyliż niema nikogo w wieży?“ Caryca Milica, usłyszawszy rozmowy kruków, wychodzi z wieży i rzecze: „Bóg z wami dwa czarne kruki! zkadże tak wczesnym rankiem, czy może nie z Kosowego Pola? — A kruki na to: „Bóg zapłać Caryco Milico, z Kosowego Pola lecimy... i t. d. i tak następnie dalej roztacza się ta precudna pieśń. W Igorze, „rankiem w maju kukulka kukaniem się żali;— a w Zbychowiu (czeskim)“ „Lata gołąb' siwy i po drzewach siada, los swój nie-szczęśliwy lasom rozpowiada: latał ja w te lasy w lepsze nieraz czasy“ i t. d. i t. d. (Królodworski rękop.) Lecz po co nam dalekie przykłady? takie cechy i zwroty codziennie się koło nas rodzą w poezyi ludu jak po-

ziomki w borze, jak kwiaty na łąkach. Paść się  
przechadzką w wioski nam przyległe a znajdziesz je  
żywe w powiastkach, w krakowiakach, w przypowie-  
ściach i bajach.

---

# LIST XXVIII.

## Średnie Wieki.

(Ciąg dalszy.)

Blizsze określenie średniowiekowej fantastyczności. — Ścisłejsze oznaczenie istoty fantazyi romantycznej. — Brak uczucia plastycznego we fantazyi romantycznej. Za to występuje liryczność potężna i muzyka. — Ś. Ambroży w Medyolanie. Powody, dla których średnie wieki nie zdołały rozwinąć tych zarodków muzyki kościelnej. — Muzyka światowa. — Architektura Gotycka i niektóre przykłady z kościołów krakowskich. — Porównanie jęz z Islamiickim budowaniem. — Architektura ta jest wprost wpływem cech fantazyi romantycznej, powyżej wykazanych.

**W**idziałeś tedy, jako pierwiastkiem a cechą średnich romantycznych stuleciów było owo cofanie się ducha w własne głębie, więc lekceważenie zewnętrznego świata a mianowicie Natury; poznaliśmy również niektóre najgłówniejsze tryby wyjawienia się tego pierwiastku w świecie i w życiu i w sztuce. Obaczmy teraz jeszcze inne wypadki, które również wypłynęły koniecznie z tego samego usposobienia Europy w średnich

wiekach. Wszak gdy człowiek w owych czasach mniej znaczenia przywiązywał do natury, więc też nie uznawał praw niezmiennych, będących tłem jej zjawisk i zakonem. Ztąd powstała wiara w magiczne, duchowe potęgi, w ich przewagę nad przyrodą, ztąd przyszła moc czarów, czarownic, czarnoksiężników, wróżbiarstw i t. d. Tak dziwna sprzeczność objawia się i pod tym względem w średnich wiekach. Bo człowiek niby rozsądnie się zachowuje do rozsądku natury, a przecież znów w niej widzi potęgi magiczne, co łamają i gwałcą ten rozum natury i jego prawa.

Tak na miejscu natury prawdziwej, rzetelnej, wysuwa się inna mieniąca, błyszcząca, jakby świat czarodziejskiej opery, która zasłania średnim wiekom przyrodę rzeczywistą. I to jest także jedna z głównych cech stuleciów romantycznych, o której jeszcze w liście następnym obszernie pomówimy. Teraz zważ tylko, że podobnie się dzieje z historią powszechną. Wyypadki dziejowe, figury historyczne, oddzielone od siebie przestrzenią krajów i stuleciów, bohaterzy Grecyi i Rzymu, i króle i rycerze chrześcijańskie, olbrzymy i bogi greckie i czarowniki mieszają się w kalejdoskopie podań, powieści i sagów. Człowiek stwarza sobie i w dziejach i naturze świat osobny, a co mu się zradza w głębiach uczuć jego, to wszystko wynosi na zewnątrz i rozstawia jakby przyrządy naturalne, malowane, czarodziejskie ogrody, drzewa śpiewające, pałace zaklęte, zamki brylantowe. Więc gdy sobie to wszystko umieści wśród rzetelnego i prawdziwego świata, wśród przedmiotów rzeczywiście istniejących, już wtedy tak zmieni ten świat prawdziwy, iż sam nie pozna, co zmyślane a co rzeczywiste, a to tém



więcej, że fantazyja oświecili ten cudotworny świat sztucznemi ogniami, lampkami kolorowemi i zapuści go rusałkami, dziwożonami, upiorami, diabłami, karłami, strachami i innemi mieszkańcami swojego chowu, co tam czmychają, hulają, broją i dokazują. Świat cały się teraz mieni, błyszczy i mąci z sobą niby maski zapustne. A życie średniowiekowe, już samo przez się fantastyczne i awanturnicze, jeszcze się potęguje dziwami i migoce się pod tchem fantastyczności rozhukanéj, rozbująłéj.

W téj pięknej ziemi klassycznej, w onéj cudnej Grecyi fantazyja zradzała bożków i bogów; w średnich wiekach zaś czarnoksiężników, straszdyła, zmory, karłów zradzała fantastyczność. Grecya była w harmonii z naturą i z sobą; jéj wolno było wywodzić bogów swoich, jakby z zarodów, z potęg przyrodzonych; wolno jéj było wierzyć, że te bogi i bożki, choć są jestestwa jednostkowe, ciałem odziane, władają światem. Średnie wieki zaś były już uduchowione, były wzniesione nad jestestwa fizyczne, a przecież miały wiarę w takowe jestestwa; były tedy te wieki i pod tym względem w sprzeczności same z sobą, a ta sprzeczność i rozdwojenie stanowi właśnie ich fantastyczność. Wszak wewnętrzna sprzeczność wszędzie i zawsze jest cechą ogólną téj epoki. Jest to ta sprzeczność fantastyczna, która rycerza tęsknotą nigdy nieukojoną pędzi przez świat na awantury, nie dając pokoju; która go czyni niepodobnym do siebie samego i wręcz przeciwnym samemu sobie; jest to ta sprzeczność, która, jako uczucie samowolne honoru, w drobnostce pokłada znaczenie całej osoby i godności swojej, a pomija sprawy większej wagi;

jest to ta sama sprzeczność, która w onej idealnej, nadziemskiej miłości tchnęła wiekuiste znaczenie na postać ukochaną, co przecież sama, z doczesności zrodzona, jest śmiertelną; jest to ta sprzeczność, która stawia człowieka wśród uroczego dramatu przyrody, a znów go odwraca od rzeczywistości, bawiąc go fantasmagoryą cudotwornych widziadeł. Wszędzie też widzimy zastąpienie ducha w głęboki szyb własnej swojej istoty, a wszędzie widzimy ów rozwód głęboki treści wewnętrznej człowieka a zewnętrznego świata; ztąd dusza, nie wiązana światem zewnętrznym, to buja nieskończoną swobodą, to znowu niby harfa brzmi samotną tęsknotą, rewną, uczuciową, lubą, bo jej struny wtórują głosom niebiańskich chorów, dolatującym z wysokości nadświatnej.

Dawniej, w liście XI powiedzieliśmy, że fantazyja jest dwojaka, gdyż jedna powszechna a spólna wszystkim ludziom, bo każdy człowiek ma przecież mniej więcej fantazyji sobie dodanej; a drugi rodzaj fantazyji jest ten, który niektórym tylko wybrancom szczęśliwym dostał się udziałem, bo mistrzom, poetom; słowem, który jest artystów posagiem. Otoż w całym liście poprzednim rozprawiałem o fantazyji średniowiekowej, bo romantycznej, ale nie odróżniłem jeszcze dostatecznie obu tych rodzajów fantazyji: zatem teraz nastęrcza się nam pytanie, jak się ma w tych wiekach średnich fantazyja *powszechna*, rozlana po całym ówczesnym świecie, zatem fantazyja gminna, ludowa, do fantazyji artystycznej?

Widzisz, jak sobie gospodarzy w średnich wiekach fantazyja powszechna, wszystkim właściwa, — fantazyja ludu. Ona, jak rzekłem, stwarza sobie osobną naturę, przyrodę czarodziejską, osobną historią, która jej zasłania naturę rzeczywistą i historią, prawdziwą. Sre-

dnie wieki patrzą się na świat rzeczywisty, ale go nie widzą; one widzą jedynie świat wywołany magią fantastyczności swojej, one się patrzą przez szkiełka czarodziejskie na rzeczywistość otaczającą w koło człowieka.

Gdy atoli już tej fantazyi ludowej, powszechnej istotą i cechą jest owo zanurzenie się w duchu, a odwrócenie się od rzeczywistości, przerobienie i przeistoczenie jój po swojemu, zatem znać, że ta cecha i istota nie tylko winna się znaleźć także i we fantazyi artystycznej, ale winna w niej zakipić w stopniu wyższym, spotęgowanym.

Jeżeli tedy fantazyja powszechna, to jest fantazyja ludu, gminu, biorąc sobie za osnowę rzeczywistość, takową sobie fantastycznie przerabia i przetwarza; fantazyja artystyczna nie przestaje na tém, ale najczęściej bierze sobie za osnowę ten świat, już przeistoczony przez fantazyją gminu, i przerabia go raz jeszcze.

Widzisz tedy, że słusznie już od dawna orzeczono w literaturze naszój, że sztuka romantyczna zwykle pożyczka osnowę swoją z podań ludu, z wieści gminnej; brakowało tylko bliższego określenia téj prawdy.

Tak tedy rozwijając głębiej ten rodzaj sztuki, wskazaliśmy teraz przyczynę, dla której zwykle sztuka romantyczna udaje się właśnie do tych podań i wieści gminnych, jako do osnowy swojej. Powyżej zaś oznaczyliśmy właściwy charakter i istotę téj osnowy; albowiem przyznasz mi, że samo obrobienie artystyczne podań ludowych nie stanowi jeszcze istoty sztuki romantycznej; potrzeba zrozumieć dla czego te podania ludów chrześcijańskich są właśnie dla sztuki a mianowicie dla poezyi romantycznej osnową stosowną, bo

inaczej wieszczce i mistrze greccy i rzymscy byłiby także romantykami, o ile czerpali z podań ludowych.

Teraz wypada jeszcze odpowiedzieć na jedno pytanie. Zważ bowiem, czyli to samo spotęgowanie się fantazyi powszechnej wystarczy, aby ją zamienić na artystyczną? czyli doprawdy już będziesz poetą, byleś czerpał z podań gminnych, z wieści ludowej? I na odwrót, czyli sięganie po osnowę do podań ludu ma być już konieczną i niezbędną cechą poezyi romantycznej? czyli poeta, nie czerpiący osnowy z podań gminnych, ale sam z siebie ją wydobywający nie może być poetą romantycznym?

Wiemy już z listu XI. że fantazyja artystyczna nie tylko stopniem wyższym spotęgowanym różni się od ogólnej, powszechnej, lecz się różni od niej nawet rodzajem swoim, trybem swojego postępowania. Obaczmy właśnie teraz, jak ta prawda stosuje się do danego nam wypadku.

Fantazyja romantyczna, jeśli jest doprawdy artystyczna, niechaj bierze za osnowę dzieł swoich całą treść, którą jej podaje fantazyja powszechna, gminna; niechaj ją przyjmie z całą sprzecznością i walką, tkwiącą w niej, z całym jej wewnętrznym rozdwojeniem, bo tym sposobem właśnie ta fantazyja artystyczna wyrazi w dziełach swoich, że ona sama należy do czasów romantycznych, to jest do epoki dziejowej, w której duch odstał od rzeczywistego świata, w której on jedynie słucha wróżbitów serca swojego, wróżących mu o nieskończoności tęsknotą rzewną. Tak ta fantazyja artystyczna w dziełach wyjawi tę walkę, tę sprzeczność, którą się rozstało własne wewnątrz człowieka.

W tych dziełach okaże się przeto owo rozdwojenie

między duchem a materją — doczesnością a światem wiekuistym, między istotą nieskończoną a naturą przemijającą, między treścią niebiańską a formą zewnętrzną z ziemi zrodzoną. Takim sposobem fantazyja artystyczna dopiero będzie iście miała na sobie cechy średnich wieków i stanie się fantazyją romantyczną.

W tém, co rzekłem, okazuje się już związek między fantazyją artystyczną a powszechną średnich wieków; obie są romantyczne, bo obie mają za istotę sobie spólną owo rozdwojenie wewnętrzne a rozłamanie się człowieka na dwoje.

Atoli obaczmy również różnicę głęboką między tą fantazyją powszechną a artystyczną. Fantazyja powszechna w średnich wiekach ma wprawdzie onę dwoistość wewnętrzną za dno swoje, bo ona jest cechą ogólną ówczesnego świata duchowego, ale fantazyja powszechna, choć ma w sobie tę sprzeczność, toć przecie nie wie o tej sprzeczności; ta sprzeczność ją boli i płacze w duszy, lecz lud i fantazyja jego nie pojmuje jasno, co ich boli, co w sercu kwili i płacze. Fantazyja ta gminu nie pojmuje tego rozdwojenia własnego, bo sama jest bierną, bo sama jest aktorem w walce tych przeciwnych sobie pierwiastków i nie pojmuje, co nią podrzuca i ciska. Aby pojąć to rozdwojenie i sprzeczność tych potęg walczących, do tego potrzeba wzniesienia się nad samo to mocowanie się a walkę, potrzeba patrzeć się na pasowanie się pierwiastków z wysokości; a tego dokazać jedynie może artystyczne natchnienie. Mistrz zdoła ujrzeć to rozdwojenie a sprzeczność okiem gieniuszu i dla tego on zdoła wyrazić to rozdwojenie w dziele sztuki swojej, które też właśnie dla tego staje się dziełem romantyczném. Nie rozumiej atoli,

jakoby mistrz miał wiedzę wyrozumowaną, filozoficzną o tój sprzeczności i rozłamaniu się ducha w sobie, bo w razie takowym dzieło jego, będąc jedynie uzmysłowieniem zimnego rozumowania, nie byłoby więcej dziełem sztuki, kwiatem żywym fantazyi, ale kwiatem robionym, martwym. Mistrz, jak rzekłem, poczuciem swojego natchnienia, instynktem artystycznym, jasnowidzeniem gieniuszu odgaduje ją i przeczuwa, bo takowa jest właśnie istota fantazyi artystycznej. (\*)

---

(\*) Czytając te wyrazy moje, może uczynisz mi zarzut, jakoby w samém rozumowaniu mojem była sprzeczność zamknięta. Powiesz może, że wszelkie dzieło sztuki, czyli należy do fantazyi klassycznej, czyli do romantycznej, winno być w każdym razie wyrażeniem, uzmysłowieniem nieskończonego pierwiastku przebywającego w człowieku. Z tego wynika *naprzód*, że to dzieło sztuki winno być wcieleniem treści duchowej samego mistrza, a *powtóre*, że to dzieło samo, wzięte w sobie, właśnie dla tego, że jest wcieleniem takowem, winno być w sobie doskonałą jednością, całością; bo ta idea, którą to dzieło wyraża, uzmysławia, uzewnętrznia, sama jest jednością i całością w sobie. Z tych warunków, które powinny towarzyszyć każdemu dziełu sztuki, wyprowadzisz może następne wnioski i powiesz, że ponieważ fantazyja romantyczna gruntuje się właśnie na rozdwojeniu ducha, to jest wiekuistego pierwiastku, a świata zewnętrznego, zmysłowego, wynika ztąd, że *naprzód* treść duchowa, przebywająca w mistrzu, będąc w rozdwojeniu ze światem zewnętrznym, zmysłowym, nie zdoła się wyrazić w dziele sztuki, bo się nie zdoła uzmysłowić w świecie zewnętrznym; *powtóre*, gdy w duchu mistrza także mieszka to rozdwojenie pierwiastków sprzecznych, będące piętnem jego wieku, zatem też ta treść duchowa jego, wcielona będąc w dzieło sztuki, sama uczyni to dzieło czemś rozdwojonym i nie da mu tój jedności i całości, która przecież jest warunkiem każdego dzieła sztuki; co więc, to dzieło sztuki samo, właśnie dla tego, że jest dziełem romantycznym, winno

Zdaje mi się, że to wszystko, co już w tym i w ostatnim liście powiedziałem, wystarczy do lekkiego określenia fantazyi romantycznej w średnich wiekach. Obejdzie się też zupełnie bez przeglądu szczególnych

się stać odbiciem onego rozdwojenia i sprzeczności, i tak z tego powodu nie będzie ową doskonałą jednością a całością w sobie. Przypominasz sobie może, że już w innym miejscu z lekka potrąciłem o stosunek sztuki romantycznej do warunków sztuki w ogólności. Przecież rzecz cała za nadto jest ważna, byśmy nie mieli poddać jej pod ściślejszy jeszcze rozbiór.

Wracam tedy do zarzutów twoich.

Zgadzam się zupełnie na te warunki, które kładziesz każdemu dziełu sztuki, bo one wypływają z całego wykładu tych listów naszych; nie mogę się atoli zgodzić na twoje zastosowanie ich do sztuki romantycznej. To zastosowanie byłoby zupełnie w moim miejscu, gdyby chodziło o fantazyę powszechną, gminną, nie artystyczną. Lecz gdy, jakśmy rzekli, prawdziwy mistrz unosi się nad te walki i rozdwojenia, właściwe wiekowi swojemu, gdy o nich wie natchnieniem, z tego już wynika, iż nad nimi panuje, iż je zdoła przemódz w sobie, a tém samym że z jednej strony treść jego wewnętrzna, którą wciela, którą uwidamia w dziele sztuki, a z drugiej dzieło same nie będą od siebie rozdwojone. Następnie, gdy mistrz zdoła przemódz to rozdwojenie, więc widać, że w samym mistrzu, w treści ducha jego także to rozdwojenie jest przewyciężone; dla tego on choć w dziele swoim, jako w romantycznym, wyrazi to rozdwojenie i sprzeczność, przecież, mimo tego, to dzieło będzie co do formy rzeczywiście jednością i całością artystyczną. Mistrz w niem okaże walki i sprzeczności, właściwe wiekowi swojemu, a przecież uczyni samo dzieło jednością.

Zaiste, sztuka romantyczna i sztuka klasyczna to mają sobie spólnego, że każda z nich winna wyrazić treść wiekiustą ducha w pojawach zmysłowych, z rzeczywistego świata pożytych, bo taki jest warunek każdej sztuki; różnią się atoli osnową swoją. Sztuka klasyczna, jak ów cały świat jej spólny, ma za osnowę swoją harmonią ducha i natury; sztuka

rodzajów sztuki, by niemi jako przykładami objaśnić, com powyżej rozwinął, a tém mniejsza tego potrzeba, gdym powyżej już się dotknął, przy sposobnościach różnych, tych wszystkich rodzajów sztuki. Tutaj zwróć tylko uwagę twoją na kierunek właściwy tej fantazyi, więc na te rodzaje sztuki, które najsilniiej przeważać musiały w tej epoce dziejowej.

Przyznasz mi, że z całego naszego rozwoju wypływa sama przez się cecha i dążność poezyi średnio-wiekowej. Wszak to zapadanie się człowieka w siebie, to odnoszenie się jego do wewnętrznych przybytków ducha jego — słowem, to nastrojeenie jego liryczne

romantyczna ma za osnowę rozdwojenie ducha a natury, wewnętrznego a zewnętrznego świata; więc też ona to rozdwojenie wyjaśnia w dziełach sztuki, a tém samém wyjaśnia treść ducha społecznego jój. Przecież, mimo tego, samo to dzieło jest znów w sobie jednością harmonijną — całością artystyczną.

Spytasz się atoli może teraz, czyli wedle tego, com rzekł, mistrz romantycznych stóleciów nie ma już żadnej innej cechy, sobie właściwej? Owszem jest w nim i bardzo silna cecha. To rozdwojenie świata wewnętrznego a zewnętrznego, bo odwrócenie się od rzeczywistości zewnętrznej a utonienie we wnętrzu swoim, będące właściwe wiekom romantycznym, okazuje się także w mistrzu romantycznym tém jeszcze, że średnie wieki nie wszystkim rodzajom sztuki poświęcają się z równem zamięłowaniem i szczęściem, że te jedynie rodzaje sztuki są dla mistrza właściwe, które płyną ze samego wnętrza ducha, jak to zaraz obaczymy.

Jakoż nie odwołuję się wcale do ciżby pieśni lirycznych, która jest tak ogromna w porównaniu epopei, ale postrzedz łatwo, że same te epopeje mają na sobie cechę liryczną. Im brakuje unaocznienia, brakuje plastyczności; co już najdobitniej okazuje się we figurach, które nie dość silnie są wyrobione i nie dość wydatnie występują z ogólnego tła, na którym są malowane.



Jest powodem, że poezya ówczesna będzie miała także głównie charakter liryczny. Liryka, która czerpie z wnętrza duchowego, jest daleko właściwszym rodzajem poezyi dla średnich wieków, niż epopeja; dramatu zaś wcale tu nie znajdziesz. Bo też inaczej dźiać się nie mogło w średnich wiekach. Kto chce widzieć zewnątrz siebie widziadło swojej fantazyi, powinien niby siebie zapomnieć, utonąć na zewnątrz. Tego nie zdołała dokonać fantazyja średnich wieków; ich duch nie zdołał wystąpić z siebie na zewnętrzny świat, nie mógł sam wychylić się z siebie, bo cała jego waga ciążyła na wewnątrz. Duch w tej epoce świata tak był zajęty sam z sobą, treść wewnętrzna tak mu śpiewała i grała, tak mu lśniła i świeciła, że stracił wzrok i słuch duchowy dla zewnętrznego świata. (\*)

Jak tedy rzeźba, plastyczność była właśnie sztuką najwięcej Grecyi właściwą, sztuką wybraną, najwięcej od niej ukochaną (obacz list XII.), tak też poezya plastyczna, której wyobraźnicą jest epopeja, stała u kolebki tego szczęśliwego ludu, i jako nianka wypiastrwała go na śpiewach Homerowych, — a jak plastyczność i rzeźba była rodzajem sztuki najmniej odpowiednim epoce wieków średnich (obacz list przedostatni) tak też i w poezyi plastyczność ich figur rozplynęła, gdy zaśpiewała lira całą głębią uczuć, nutą, którą układali aniołowie w nadprzyrodzonych światach.

Nie chciej nazwać lekkodusznością, że niby jednym

(\*) Brakło tedy i w tych epopejach panowania nad światem zewnętrznym; to samo usposobienie ducha okazało nam się w figurach Stwoszowych sposobem odwrótnym, bo jakąś niemocą wzniesienia postaci rzeczywistych (z natury wziętych) do idealnej piękności.

kolorem oznaczyłem poezją wszystkich ludów europejskich, przecież tak różnych między sobą. Lecz właśnie dla tego, że one tak rozmaite między sobą, wolno mi mówić tylko ogólnie bardzo o spólnym charakterze ich poezyi. Nadto zważ, że ta różnica przelicznych narodowości nie była tak silną w średnich wiekach, jak jest dziś. Bo ta różnica i indywidualne piętno każdego narodu wyrabia się dopiero najgłówniej przez historią, przez wielkich ludzi, przez rozwój literatury i języka. Narody tém podobniejsze do siebie, im bliższe swojego dzieciństwa, bo wtedy jedynie zachodzą różnice, idące od usposobienia szczepowego, przyrodzonego, a te różnice wszelkie, właśnie jak to wszystko, co od natury pochodzi, mniejsze miały znaczenie w średnich wiekach. Przypomnij sobie nadto, jak się nawzajem mieszały narodowości w owych czasach, wyprawach krzyżowych, na uniwersytetach, na jarmarkach, turniejach, pielgrzymkach, cechach i t. d.

Nie będę ci wcale przytaczał przykładów, abym wskazał brak plastyczności figur w epejach średnio-wiekowej Europy; biorę jedną z tych pieśni, która zaiste należy do najświetniejszych pojawów poezyi i niemalém podziwieniem przejęła każdego umięjącego czuć, co piękne i charakterystyczne. Mówię tu o pieśni „Wyprawa Igora na Półowców.“ Patrz np. na postać samego Igora. Igor nie ma postaci wydatnej, plastycznej, własnego indywidualnego oblicza; jego postać jest raczej wyobraźnią całego ludu. Kontury obłoczne tej figury rozplývają się pod tchem gorącym uczuć lirycznych. Rzekłbym, że w tej pieśni mniej o Igora chodzi jak raczej o losy, o płacze, o tryumfy Rusi samej; tutaj serce Rusi jest śpiewcą i bohaterem zarazem.

Więcej wprawdzie mają indywidualności i rysunku wydatnego bohaterowie w owych prześlicznych poematach serbskich (choć późniejszych); ale i tu cechą wielce charakterystyczną jest brak silnego zarysu indywidualnego figur pojedynczych. Patrz np. na onych braci Jugowiczów; oni zupełnie do siebie podobni: myślą, działają, mówią nawet temi samymi wyrazami. Nie są to akkordy, ale tony jednobrzmiące, co wtorując wrażeniom ogółu potęgują je silnie i ogromnie. Jugowicze, razem zaproszeni do uczyty, razem siadają do stołu; wszyscy dziewięciu odzywają się do ojca razem, zachęcając, by pił wino — wszyscy dziewięciu temi samymi słowami doradzają, jak wynagrodzić giermka; wszyscy dziewięciu zrywają się od stołu, dobywając, pełni gniewu, szabel, gdy słyszą, że ich siostra Milica ma być giermka nagrodą. (\*) A gdy zająć miała po-

(\*) Wykrzyknęli ku ojcu synowie:

„O Rodzicu, sędziwy Bohdanie!

„Czemu wina nie pijesz z tej czasy,

„Którąć Łazarz doręczył z pokłonem?

Odpowiedział sędziwy Jug Bohdan:

„Dziatwa moja, mili Jugowicze!

„Czaszę wina spełniłbym z ochotą,

„Ale myślę, przemyślam w mój głowie,

„Czém nawzajem obdarzyć Łazarza.“

I wołali na nowo synowie:

„Łacno Tobie obdarzać, nasz Ojcze!

„U nas koni, sokołów dostatek,

„O! dostatek i piór i kołpaków.“

Wnet się zręcznie przymówił car Duszan:

„Łazarz dosyć ma koni, sokołów,

„Ma tu dosyć i piór i kołpaków,

„Łazarz tego wszystkiego nie chciwy,

trzeba pod Kossowem, Milica każdego Jugowicza z kolei jako brata prosi, by został z nią na zamku białym, a każdy z kolei odpowiada prawie temi samými słowy — każdy z nich śpieszy do bitwy — i wszyscy dzie-więciu polegli.

Dla téj przemagającej liryczności, dla tego samego usposobienia ducha w średnich wiekach, nie znajdziesz tutaj, jak rzekłem, rzeczywistego dramatu; jest wpraw-dzie już zaród silnej komiki, ale komedyi jeszcze nie ma. Bo do dramatu, mianowicie do tragedyi trzeba znać zakon, którym się rządzą dzieje ludzkie, trzeba pojąć ład i szyk moralny świata i te potęgi opatrzne, które stoją na straży świata, mierząc i ważąc losy człowieka i ludów; temu wszystkiemu jednak nie po-dołały średnie wieki, one nie umiały czytać w rzeczy-wistości, a tém mniej znały potęgi tajemnicze, które mistrzują losami ludzi sprawiedliwem choć nieubłaganem prawem.

Widzisz atoli że ta liryczność, ten żywot wewnę-trzny obudziły w średnich wiekach właśnie tę sztukę,

„Łazarz łaknie Milicy dziewicy,  
 „Owój ślicznej Milicy Mizinój,  
 „Lubój siostry braci Jugowiczów.“  
 Na te słowa wszyscy Jugowicze  
 Poskoczyli równemi nogami,  
 I sierzniści jęli się do mieczów,  
 Aby natrzeć na cara przy stole.  
 Modlił synów sędziwy Jug Bohdan,  
 „Stójcie, stójcie przez Boga żywego,  
 „Na gościnie, kto dotknie się Cara,  
 „Na wiek wieków niech będzie przeklęty!

Tłom. Boh. Zaleskiego.

która również wewnątrznie dygoce w duszy człowieka, która również rodzi się w najtajniejszych głębiach duszy, która także wolna od zewnętrznego świata, wolna i oswobodzona od natury i jej praw, która podobnie jest zestrojeniem wszystkich duchowych potęg; — tą sztuką jest *muzyka*. Muzyka jest sztuką wewnętrzną, ona więc odwrócona od świata zewnętrznego niż którakolwiek bądź inna.

Turnia tatrzańskich granitów, gwiazd sąsiada, milczy w cichym majestacie, milczy w niemiej samotności harda i dumna. Na dole, pod nią, w głębi niedójrzaną mrówią się sprawy ludzkie i klują się stolecia i lat tysiące i narodów losy, a niewidna i niespostrzeżona kroczy Historia świata. Turnia tatrzańska harda i dumna nie dowidzi dziejów ludzkich, nie dosłysz ani jęków, ani tryumfów rodzących się i konających pokoleń. Ona milczy; u podnoża jej swawolą obłoki, biją się i harczą bezduszne natury potęgi, lęgną się gromy i błyskawice, hasają wichry i burze. Turnia milczy i patrzy w gwiazdy. Przelatują wieki po wiekach; — lecz chyłkiem, nieznacznie u stop turni pracują zdradne przyrody moce; one nie usypiają nigdy, nie spoczywają nigdy; — dniem i nocą, latem i zimą, od roku, od wieku do wieku robotnice nieznekane trawią hardziej, niemiej turni twarde podnoże, jak cierpienia i żale trawią serce, co dumne w niebo się patrzy, jak życie życiem się trawi. Pracują zdradne robotnice, a ziarnko po ziarnku opuszcza granitowe turni podnoże, i porywają ziarnko wichry, i unoszą je w przepaść ulewy. Turnia dumnie, hardo milczy, — aż nagle grzmot głuchy, łoskot piorunny zadygotał w koło krajem, przeleciał go lękiem: turnia runęła! — ona,

co wiecznie milcząca i niema, w upadku swoim jęła jękiem boleści, ona zawołała grzmiotem w skonaniu.

Ocean legł w dolinach przepaścistych ziemskiego planety, i cicho i spokojnie patrzy się w Niebiosa, — on się kocha w niebiańskiej bezdeni, więc ubiera się w barwy ulubienicy swojej, on podziela jej uczucia, on zwierciedli jej ciemne i jasne chwile, — na obliczu jego błyszczą jej gwiazdki; on się weseli, gdy kochanka zajaśnieje światłością promienną, on się rumieni, gdy purpury zarania zapalą się na kochanki licach; a cicha jest ta miłość oceanu, a niema jego cześć dla niebios bezdeni. Ale gdy zerwą się wichry, gdy hukną szaleń burze, gdy potęgi dzikie przyrody uderzą na siebie, ścigając się gonitwą i walcząc po oceanu wodach; wtedy on się zmarszczy, postawi strome fale i zagrzmie gniewem; a fale jak struny piorunne zahuczą, i sykną piany wrzące, i łomot zamętny strachem uchwyci serce żeglarzy.

Wszak i puszcza milczy świętecznie, uroczysto; ona zbudowała się w tajemniczy natury kościół, wydzwignęła swoje drzewa w kolumny potężne i przysklepiła je gęstym stropem konarów, gałęzek i liści. W mrokach zielonego splotu, ziemia ziołami się modli; tutaj w zaciszu niedójrzone odbywają się tajemne roślin miłości, ich zrodzenia i skonania; w każdym listku, w każdej gałęzi, trawce lub meszku natura słyszy swoich pulsów pukanie. Ona дума i myśli w tych drzewach pradziadowych, czuje kwiatkami i tęskni w zalecankach swych ptasząt. I cicho w borze i spokojnie. Dopiero gdy powiew przeleci nad puszczą i dotknie się jej skrzydłem ciemnym, dopiero gdy burza znieważy głębokie milczenie i uderzy bór; wtedy szarpną się drzewa, po-

ruszą gniewnie konary; i bronią się i grożą konary jakby olbrzymów ramiona; strop puszczy rozkołysze się, zagrzmi falą, każda gałązka zakwili, każdy listek westchnie sykiem, bo w każdej gałązce, w każdym listku dygoce lękiem i gniewem demon osobny, niewidzialny; on się obudził ze snu i woła i jęczy. Organy lesne zahuczają pełnym, głębokim, piorunnym akordem; wszędzie i wszędzie rozlega się krzyk, hałas i świst.

Tak i granit i fala przepaścista i bór ciemny milczą, one nie mają z siebie głosu; dopiero, gdy zewnętrzne potęgi w nie uderzą, gdy w nie biją, obce, cudze im moce, wtedy one jękiem, łoskotem, hukiem, brzękiem, szelestem dają znać o sobie, a wedle wewnętrznego składu tych różnych jestestw, wedle różnego powiązania ich części, różne też będą i głosy ich, któremi się odezwą za potrąceniem zewnętrznym.

Dopiero w tym gwarным, hałaśliwym świecie zwierzęcy natura odzywa się samodzielnym głosem; zwierzę w głosie własnym samo siebie słyszy, słyszy i czuje wewnętrzną budowę ciała swojego. Jak atoli dusza zwierzęca jest dopiero niby zidealizowaniem materii, jej wonią, tak i głos zwierząt jest dopiero echem, dosłyszalnym odbiciem ich żywota, ich chęci i wstępu, które także są materialne, także do rzeczy zmysłowych się odnoszące. Głos zwierząt jest dopiero wyrazem bóleści lub radości fizycznej, objawem ochoty, tęsknoty cielesnej, jest odniesieniem się materii do materii. Zwierzę odzywa się głosem, bo czuje, że jest tylko ułomkiem w ogóle zmysłowego świata; głos zwierzęcy jest jeszcze skutkiem stosunków ze światem zewnętrznym. Jednak wśród gwarnej wrzawy

a łoskotnych hałasów bezrozumnej przyrody, wśród brzęków i szelestów bezduchowego żywota słychać muzykę. Muzyka; ona nie z natury poczęta; te jej tony przywiało technienie boże z nad gwiazd na ziemskie poniżej. Ton nie jest natury głosem; on głosem duchów, on słyszalnym promieniem wiekuistej jasności. Natura nie ma tonów; tony są dziełem sztuki, wrodzonej człowiekowi; one są instynktową umiejętnością; one są matematyką uczuć.

Wytłumaczę ci się bliżej.

Powietrze otuliło ziemską kulicę morzem przejrzystym i osklepiło ją w jasne błękity; w niem oddycha żywot wszelki zmysłowy, w niem rodzi się i żywot duchowy, bo mowa i muzyka.

Gdy materya, gdy ciało jakie zadygoce w sobie, wtedy już, jakby po zwierciadle cichem jeziora, rodzą się po tém morzu powietrznem kręgi po kręgach; one niewidome rozpływają się w coraz większe i większe pierścienie, aż nie uderzą w słuch. Zważ, gdy morska fala bijąc w skalne brzegi wraca się, a w tym powrocie spotyka drugą nadchodzącą falę, już obie zderzają się z sobą, łamią się, i razem ogromnym kipiącym bałwanem wznoszą się, wzbijają w górę, a tak bez końca u brzegów powtarza się ta gra; tak też grają w słuchu fale powietrzne, co idą od drgającej materyi. Zważ atoli, gdy ciało jakie np. struna dygoce tym trybem, iż drgania się powtarzają jednostajnie, bo w jednakowych ustępach czasu, wtedy też w jednakowych ustępach czasu każda fala, już odbita, wracając się spotka nową nadchodzącą falę, a tém samem i w jednakowych ustępach czasu odbędzie się owo wspólne ich wzniesienie się, wzbijanie, co uderzy w słuch.



Otóż ta prawidłowość i jednostajność zradza ton muzyczny. Gdy zaś te fale nie będą nadchodziły w jednakiach ustępach, wtedy się zrodzi zamęt bałamutny fal nowo nadchodzących a już odbitych, wtedy nie będzie tonu muzycznego, wtedy zrodzi się łoskot jako grzmot walącej się turni, jako gwar puszczy, jak owa swawolna gra i szum morskich bałwanów, jak ryk i świst, wrzawa zwierzęcego świata; słowem, powstają te wszystkie głosy niesforne przyrody, których nie zdołasz udać żadnym tonem, których ująć nie zdołasz żadną sztuką ani nutą. Natura bezdechowa dygoce w sobie, ale jej dygotanie nie odbywa się prawidłowo, nie w pewnych ustępach czasu. Ona nie oblicza matematycznie tych drgań swoich i dla tego nie zna muzycznych tonów. Zważmy następnie, że różnice tonów, że niżenia i podwyższenia ich są właśnie skutkiem różnej ilości tych drgań w jednym i tymże samym czasie. Jeżeli zaś ton ma się godzić z drugim tonem, wtedy potrzeba, aby liczba drgań jednego tonu w pewnym czasie zostawała w pewnym matematycznym stosunku do liczby drgań, które odbywa ten drugi w tymże samym czasie (np. jeżeli w tym czasie jedna struna odbywa dwa razy tyle drgań, co druga, wtedy zrodzi oktawę; jeżeli zaś jedna w tym samym czasie odbywa 2 drgania kiedy druga trzy, wtedy powstaje kwinta i t. d.)

Te tony są iście dopiero żywiołem pierwotnym, początkowym materyałem, z którego muzyka buduje czarodziejskie a rozwiewne pałace swoje. Powiesz atoli, z kąd ów pastuszek tatrzański, co zna tylko trzodkę kozek swoich na ziemi, a drugą bożą trzodkę gwiazdek na niebie, przyszedł do tej matematyki? z kąd mu te tony pieśni jego, co radośnie jak wiosny technienie,

świeże jak zioła błyszczące rosą niebiańską? Pytasz, z kąd pastuszkowi te rachuby sztuczne? Wszak on na samotni skalnej rozmawia jedynie z echem, odgradzony od świata obłokiem, co żegluje nadpowietrznym statkiem pod stopami jego! — Przecież wiesz, że prawdy, na których spoczął świat, drzemią zwinięte w piersiach każdego człowieka, czekając rozkwitnienia swojego. Jakoż prawdy o Bogu, o nieśmiertelności, o tém wszystkiém, co zacne i sprawiedliwe westchnęły już wszystkie uczuciem, instynktem w piersiach naszych, zanim późna filozofia roztoczyła je całością umiejętną. Tak i matematyka natury, co mierzy i liczy stworzenia potęgi, co wodzi krążące gorejące światy po wiekuistej przestrzeni nieba, wprzód zamieszkała w bezświadomém sercu człowieka i w niém żyje jako przecucie, jako instynkt, zanim umiejętność przedstawiła je kalkulem rozumowym dla jasnej wiedzy jego. Jest to, jak rzekłem, matematyka uczuć, umiejętność wrodzona duchowi człowieka; te tony są sztuką naturalną; człowiek z nią na świat przychodzi. Ta matematyka jest tylko duchom właściwa, nie wie o niej materyalny świat, on nie wie, co muzyka; ba, nie zna nawet co tony. Głosy, na które się przyroda zdobyć może, mają się do muzykalnych tonów, jak materya a duch, jak niebo a ziemia, jak doczesne pojawy do wieczystego trwania. Farby przypylone, pomieszane na palecie malarza, to są dźwięki wymuszone gwałtem zewnętrznym na przyrodzonych jestestwach, a promień słoneczny, niebiański rozszczepiony w pryzmacie krystalicznym na siedm przeczystych barw tęczyowych, to są siedm tonów muzyki.

Wszak, gdy każdy ton zostaje w pewnym stosunku

matematycznym do innych tonów, więc już każdy ton z istoty swojej tęskni, by ten stosunek swój w rzeczywistości objawił, tęskni do powiązania się z innymi tonami, jako uzupełnieniem swoim. On zaś wiązać się może trybem dwoistym. Bo albo łączy się w następstwie czasów, gdy ton po tonie się rodzi, a tak powstaje melodia, albo gdy więcej tonów razem się rodząc spływają z sobą, a tak dają początek harmonii.

Melodya i harmonia, to dwa Boże anioły, które pozostały na Ziemi, gdy ona utraciła niewinności raj — te nieba posłannice śpiewają w oniej harmonii i melodii, co wiąże wszechstnienia stworzone w jedną kompozycją wiekiustą. Te anioły pańskie śpiewają o myślach Bożych, które żyją życiem tajemniczym we wszech światach, i witają himnem anioła-dzieciątka, co się zrodziło w ciasnej chatce serca twojego, otulone promieniem, światłością powite. Melodya owa nieskończona płynie od wieków, płynie przez światy od pierwszego stworzenia dnia; jej falami lat tysiące, jej tonami, to gwiazdy na niebie, to narody na ziemi; a harmonia wiąże te lat tysiące i gwiazdy i ludzkie dzieje, i wiąże skon i zrodzenie, przeszłość dawną, zmarłą i przyszłe stolecia, co się zrodzić mają; ona wiąże ciemności i światła, i cierpienia i wesela, żale serdeczne i nadzieje w jedne wspólne akordy. Ta harmonia doleciała odgłosem z gwiazd do ducha Platona, ale ona była dla niego tylko szczęśliwym snem wróżącym; on jej dosłyszał w jednej chwilce szczęśliwego zachwyty; ona dopiero powodzią światła otuliła chrześcijańskie ludy; świat chrześcijański dopiero usłyszał tę harmonią świętą co goi i koi sprzeczności i odstęp-

stwa od ducha, co jest snem i jawem, śmiercią i zmar-  
twychwstaniem. Tej melodyi, tej harmonii spisał nóty  
wiekuisty kompozytor, zanim stworzył gwiazdy, zanim  
zagrał na promieniach światłości swojej; te melodyi,  
tej harmonii odgłosy ciche żyją w muzyce ziemskiej,  
żyją w sercu człowieka.

Już dawno przedemną inni okazali, jako natura  
nie zna melodyi, ona nie zna harmonii; ona zna jedy-  
nie, i to bardzo rzadko, najniższy pierwiastek muzyki,  
bo rytm (takt; np. krople spadające mogą wypukiwać  
rytm, koń czwalujący lub kłusujący kopytem, — prze-  
piórki głosem wybijają rytm, przeznaczony im od  
stworzenia świata. Lecz i ten rytm jest tutaj tylko  
przypadkowy, bo bezświadomy, a w muzyce on tylko  
jest podścieliskiem melodyi i harmonii. Tak jak ton,  
takt, melodia i harmonia są wykwitem a dziełem swo-  
bodnym ducha, jego dziełem samoistnym, wzniesionym  
nad świat materyalny.

Gdy w malowanych obrazach, gdy w rzeźbionych  
dziełach żyje choćby przypomnieniem natura zewnętrz-  
na, więc jej ludzkie postaci i kształty, zwierzęce i ro-  
ślinne, i kwiaty, i owoce, i góry i wody i obłoki; —  
w poezyi i w dramacie żyją dzieje ludzkie i uczucia  
serca i sprawy człowieka; w muzyce niema tego przy-  
pomnienia; w niej brzmi, maluje się, rzeźbi się jedynie  
państwo duchowe i mieszkańce jej w głębi piersi zro-  
dzone. I dla tego też możesz odpowiednio słowami  
wypowiedzieć treść obrazu, rzeźby poematu, ale nie  
zdołasz opowiedzieć treści kompozycyi muzykalnej; bo  
muzyka zerwała ze światem rzeczywistym; bo muzyka  
jest rozmową ducha z sobą. Nie zdołasz odpowiedzieć  
treści kompozycyi muzykalnej mocą słów, wyrazów,

bo mowa ludzka jest wyjawieniem myśli, a muzyka jest rzeczą uczucia; uczucie zaś jest niewymowne, nie da się słowami określić. Słowa, jak myśli same, odnoszą się zawsze do przedmiotu jakiegoś wyraźnego, oznaczonego, bo i przedmiot każdy, choćby należał do zewnętrznego, zmysłowego świata, jest szatą myśli, — myśli stworzenia.

Chciiej teraz spojrzeć wstecz na to wszystko, cośmy dotychczas o muzyce powiedzieli.

Naprzód okazało się iż każde brzmienie odbywa się w czasie i przestrzeni, a choć wszystkie jestestwa zmysłowe istnieją w czasie i przestrzeni, jednakże czas i przestrzeń nie są zmysłowe. Tak tedy już samo brzmienie, jakiegokolwiek będzie, jest jakby cieniem bezśmiertnym jestestw zmysłowych. Widzieliśmy również, iż brzmienie objawia skład mechaniczny, wewnętrzny jestestw, pochodzi z ich wnętrza, jest jakoby symboliką ich istoty wewnętrznej. Tak się rzecz ma z każdym brzmieniem, a cóż dopiero rzecz o tonie, który stosunkiem liczebnym mogącym być jedynie pojętym przez duchów, odróżnia się od brzmienia. Między tonem a brzmieniem niema ogniw pośrednich, jak niema ogniw pośrednich między naturą bezrozumną (choćby ona była najzmysłniejszym zwierzęciem) a duchem rozumnym człowieka.

Jak atoli brzmienie okazuje układ mechaniczny, wewnętrzny jestestw materialnych; tak ton, tak melodye i harmonie, tak muzyka jest wyrazem duchowego wnętrza człowieka, najgłębszego wnętrza jego; ona rodzi się tedy z uczuć i jest uczuć objawem — a uczucie jest właśnie to, co jest najwięcej wewnętrznym, najwięcej osobistym w duchu człowieka. Każdy czło-

wiek ma prawo do uczuć własnych, bo co myślą pojął, to jest jego własnością, co czuje, to jest on sam. Jeżeli zaś tony muzyki nie są więcej materią, ale jedynie jej zidealizowaniem, jeżeli są jakby symboliką wewnętrznienia się wnętrza jestestw, jakby zerwaniem stosunków ducha a grubiej natury zmysłowej, jeżeli muzyka jest ducha nawrotem i pograżeniem się jego w sobie, więc już znać, że to właśnie muzyka ze wszystkich innych rodzajów sztuki odpowiada najsilniej usposobieniu duchowemu ludów chrześcijańskich, że jest sztuką wybraną, ukochaną ich fantazyi, która również jest zerwaniem ze światem materyalnym, która również jest wskroś liryczną. Widać przeto, że muzyka jest sztuką chrześcijańską w najwyższej swojej potędze. Gdy sztuka każda stoi właśnie na pogodzeniu dwóch światów sprzecznych, bo ducha i materyi, głębin wewnętrznych i zewnętrznej rzeczywistości, ztąd to pogodzenie sprzeczności idealizuje się w muzyce, bo się staje zestrojem tonów odwrotnych sobie.

Obaczmy atoli zaraz, że wieki średnie rzuciły dopiero siejbę tej sztuki anielskiej, a siejba ta weszła dopiero w dziejach nowożytnego świata.

Rzekliśmy powyżej, że fantazyja romantyczna, o ile jest doprawdy artystyczną, właśnie tę ma istotę, iż ona tę sprzeczność, to rozdwojenie, te więc tęsknoty społeczne sobie wyjawia w swoim dziele; ale je godzi, koi i goi, a tak staje się wyrazem nieskończoności ducha, nieskończoności owej, która zlewa, zestraja razem sprzeczne światy spólną harmonią. Ta potęga godząca, kojąca właśnie wyjawia się w muzyce, a przedewszystkiem w harmonii. Tak tedy nastąpiło koniecznie, że ludy chrześcijańskie z tą głębią

w sercu, w duchu, która im się roztworzyła na wotanie wiary zbawienia, zrodziły z siebie harmonią i stały się pierwszymi piastunami prawdziwej muzyki. Takiej muzyki nie miała starożytność, bo nie miała harmonii. Niema muzyki prawdziwej, krom muzyki ludów chrześcijańskich, a tę poczęły właśnie w sobie stolecia średniowiekowe.

Muzyka wykwitła na ołtarzach wiary zbawienia. Jest temu półtora tysiąca lat, gdy Śty Ambroży rzucił ziarno przyszłej muzyki w Medyolanie, a Śty Augustyn tak mówi o tych śpiewach medyolańskich: „Głosy wpływały w duszę moją, prawda wiekuista „sączyła się w serce, a nabożeństwa uczucie wylewało „się radości łzami, pełnemi słodyczy.“ Później Grzegorz Wielki zasiadł na stolicy apostolskiej a na tronie muzyki (r. 590); on zakładcą pierwszej szkoły śpiewów. W trzysta lat potem zakonnik we Flandryi, ów Huckbald, ośmielony gienuszem, owiany technieniem anioła tonów, zanurzył się w tajnikach bezdennych harmonii i wyniósł na świat zaród pierwszy kontrapunktu, więc poczęcie nowej muzyki, co miała dźwiękami przerodzić serce Europy. A już od dawnych lat organy głosem uroczystym, grzmiącym łączyły się z nabożeństwem po bożych domach. I znów niezadługo przeradza Guido z Arezzo tryb ujęcia tonów w znaki pisane — w noty. Tak to poczęte zostało zacne dzieło muzyki pod błogosławieństwem nieba, a było ogrzane sercem rzewnym i przeczystą pobożnością wielkich mistrzów, a szerzej, szerzej roztwieralo się czarowne państwo tonów. Obok muzyki kościelnej, co płynęła rzeką wspaniałą, pełną, uroczystą, ciekły też świeżym, krystalicznym zdrojem strumyki muzyki

światowej. Spiewają trubadury, minnesengery, towarzysząc melodyą pieśniom lekkim, pieśniom uciechy i światowego kochania.

Przecież wiadomo ci może, że średnie wieki nie zdołały rozwinąć tych pięknych zarodków muzyki kościelnej; ona straciła później swoją głęboką, uroczystą i świętą grozę, wyradzając się w sztuczność, w cześć, pedanckie formy, co trwało aż do XVI stulecia. Zkąd to poszło? — Ośmielam się wytłómaczyć to zjawisko, właśnie z całego naszego pojmowania powyższego. Duch cofnął się w siebie; to zapadanie się w siebie miało — jak wiesz — dwojaki skutek. Raz duch ujrzał w sobie samym najświętsze tajnice istoty swojej, prawdy wiekuiste, rękojmię nadziemskie, łączące go z niebem i z nieskończonością. Z drugiej strony jednak to zapadanie się w siebie, to uczucie siebie zrodziło też wypadki ziemskie, bo ludzkie pomyłki; to samo poczucie siebie wydało bowiem, jak wiesz z powyższego listu, ową nieograniczoną dufność w siebie, która okazywała się tak często w chęci awanturowania się, w swawoli pragnącej nacieszyć się swoją swobodą, uczuciem tej swobody nieskończonej, osobistej. Ztąd poszło owo rzucanie się w świat, goniące za przygodami, ztąd poszły wszystkie one zjawiska, właściwe średnim wiekom. Ztąd też zrodziła się owa filozofia scholastyczna, swawoląca sylogizmami, mająca upodobanie w popisywaniu się z bystrością osobistą. Ta filozofia dufając sobie, a niedbając o prawdę, która tkwi w rzeczach samych, pragnęła nacieszyć się zwinnością awanturną swojego sztucznego rozumowania, nie mającego w sobie treści. Zupełnie podobnym zjawiskiem była muzyka; i ona się wyro-



działa, i ona mniej dbała o prawdy, tkwiące w muzyce samej, żyjące w jej głębiach. Kompozytorom chodziło o to, aby się popisać sztucznością, aby awanturować się wedle kaprysów swawoli, aby gwałcić prawa kontrapunktu i melodyi, byle zadowolnić osobiste swoje zachcianki. Widzisz tedy, że i ta muzyka była objawem swojej nieskończonej a spaczonój dufności w sobie.

Może się zgodzisz na takowe moje tłómaczenie muzyki ówczesnej; w późniejszym liście okaże, ile mię stać będzie, dla czego to właśnie wiek XVI był stółciem odrodzenia muzyki. Tutaj tylko chciój jeszcze zważyć, że gdy tym trybem muzyka umiejętna, uczona, paczy się i skręca szkolnictwem, muzyka gminna, bliższa natury, bliższa serca ludzkiego, płynęła ciągle z drojem skromnym ale świeżym, krystalicznym. Jak śpiewki ptasząt, brzmia pieśni trubadurów, minnesengerów, minstrelów, towarzyszą im melodye lekkie, wdzięczne o uczuciu lotném, skrzydlatém, o sercu ciepłém, kochającym.

Te tchy nadziejskie, a niewymówne tęsknoty, co żyją w kościelnej muzyce, te jej melodye i harmonie, akordy i tony, gdy nie uleczą ku niebu, lecz zatrzymane na ziemi uwidomią się oczom śmiertelnym, już wtedy skamienieją głazem, stają się architekturą tumów i onych świątynie uroczystych, co je nam przekazały średnie wieki, jako Boże strażnice a zadatki święte naszego przymierza z wiarą i z duchem dawno pomarłych pokoleń.

Wszak od dawnego już czasu ludzie gienialni porównywali tę muzykę z architekturą. To porównanie trafne dokonywali ich następcy coraz dobitniej i ści-

ślej. Nie rozwodząc się zbyt szeroko, pragnę w kilku słowach podać ci wypadek ostatni ich badań szczęśliwych, odsyłając cię po bliższe roztoczenie przedmiotu do dzieł, których nie brakuje literaturze europejskiej. Zaiste i muzyki i architektury pulsem jest liczba i matematyczny stosunek. Obie te sztuki liczą i mierzą i wiążą. Jak muzyka płynąc tonami rodzi się i przemija w czasie, tak budowanie dźwiga się i szerzy w przestrzeni. Muzyka buduje sobie z tonów własne domy Boże, a budowanie gra na głazach, jako na strunach święte psalmy i himny, i z nich wydobywa i rytmy i harmonie i melodye swoje. Jak muzyka przeistacza niesforne głosy natury, one łoskoty i szумы i szelesty na tony przeczyste, tak architektura przerabia skalne, niesforne opoki na ciosy, na figury geometryczne, i nadaje im kształty piłą, dłóttem i młotem. Dla tego też architektura, równie jak muzyka, nie pożycza sobie kształtów od natury, nie odziewa treści duchowej w szatę jestestw zmysłowych; więc też obie te sztuki jako siostry rodzone wyzwalają się od zewnętrznego świata; każda z nich stwarza sobie osobny dla siebie świat. Muzyka rodzi go z serca i w nim żyje, w nim tonie nie słysząc wrzawy tłumnej rzeczywistości przyrodzonej; architektura, budując dzieło swoje, odgradza się również od zewnętrznego świata; stwarza własne sobie przestrzenie swoje i przebywa w nich, jako w domu własnym. Muzyka i architektura są serca hieroglyfem, symbolem przecucia, co robi, co się rusza i mówi na pół zrozumiane w duszy, a wciela się we formy tonów i formy architektoniczne. Gdy atoli architektura, krom surowego, dzikiego materiału, nie wcale nie unosi z natury, gdy ona używa jedynie

natury za środek do objawienia potęgi duchowej, gdy przyroda ma jedynie dla niej znaczenie ujemne, gdy ona, podobnie jak muzyka, całą osnowę swoją czerpie z tajników najskrytszych piersi naszych, gdy ona po ideał swój sięga do głębin duchowych; więc też ona jest najwolniejszą córą fantazyi artystycznej każdej i każdej wielkiej epoki w dziejach ludzkich. Gdy zaś architektura, jak już w innem miejscu rzekłem, tém znów różni się od muzyki, że ona już nie ma do czynienia z dźwiękiem ulotnym, rodzącym się w chwili i znikającym w chwili, gdy ona buduje przez długie lata, a niekiedy i wieki, gdy jej dzieło jest rzeczą jakby całego ludu i stolecia, a ma zostać w świecie zewnętrznym na widoku wszystkich ludów i narodów; ztąd znać, że architektura nie jest wyrazem jednej fantazyi indywidualnej, fantazyi jednego pojedynczego ludu, ale jest jakby wykwittem serc tysięcy i milionów, że tedy architektura więcej niż którakolwiek sztuka spoczywa na fantazyi, którąśmy fantazyą powszechną, ogólną nazwali, więc jest symboliką uczuć powszechnych. I zaiste, pomijając tę architekturę bazilik, w których tak potężnie i uroczo występuje duch chrześcijański, cofający się do wnętrza swojego, pomijając również architekturę bizantyńską, zostawując na ubo- czy, budowanie romańskie, które wypiastrowały wzory architektury klasycznej, zwrócimy się wyłącznie do budownictwa w środkowej Europie, które zwykle go- tykiem zowiemy. Ono właśnie jest tą architekturą, która w całej wolności, bez wzorów i reguł narzuco- nych, wyrosła z serca średnich wieków. Ono też jest najwyraźniejszém odbiciem fantazyi romantycznej i usposobienia duchowego średniowiekowych ludów.

W tych tedy tumach gotyckich na oczy własne dotykalnie obaczmy i zerwanie ducha z naturą, i cofnięcie go w siebie, owo zwrócenie ku sobie od zewnętrznego świata, utonienie w sobie, a zatem uczucie nieskończonej swobody, niewiązanej już zewnętrznymi względami. Obaczmy zatem z jednej strony wybujsanie zuchwałe, fantastyczne osobistej indywidualności istoty człowieka, lekceważenie natury zmysłowej; a z drugiej strony uczucie sprzeczności wewnętrznej; ta sprzeczność niewymówną rodzi tęsknotę, jakby nieśmiertelnego ducha za wiekuistością wołanie. Lecz znów zarazem ta architektura, jako dzieło fantazyi artystycznej, będzie zestrojem tej sprzeczności, tego rozdwojenia, — ukojeniem tego rozstania się dwóch światów.

Obejdz kościół nasz Maryacki, albo Dominikański, lub katedrę w Krakowie; przypatrz się, jak te kaplice kruchty, zakrystye, skarbee i te wszystkie budynki drobniejsze przeróżnym trybem występują na zewnątrz; spójrzyj potem na górę, na te dachy strome, co w odmiennych bardzo wysokościach pokryły różne części kościoła, a wyznasz, że całe założenie tego budynku bynajmniej nie miało na wględzie zewnętrznej strony jego, że tutaj budowała się myśl, patrząca się we wnętrze swoje, że ta architektura odwróciła się od otaczającego ją wkoło świata, że jest zebraniem się w sobie, cofnięciem się we własne tajne przybytki, w sobie się budując i w duchu się modląc. To cofnięcie się do wnętrza a skupienie się w sobie jest pierwszą cechą każdego gotyckiego budynku, manowicie kościoła, wyrażającą się nawet i tam z całą potęgą kędy niema tych występujących budowli pomniejszych,

i gdy, jak to najczęściej bywa, gmach składa się z jednej całości; bo wszędzie obaczysz, że zewnętrzny kształt jakby nie istniał dla siebie, że ma wprost tylko znaczenie ujemne, jak natura, jak cały świat zewnętrzny. To zewnętrzne świątynicy jest wprost wypadkiem budującego się wnętrza. Kościół gotycki jest obrazem kupienia się w sobie, onego zmrużenia się zmysłów światowych, utopienia się w sobie. Dla tego, gdy cię obstąpią wewnętrzne, święte, przestrzenie, gdy cię otoczą wkoło cichym niemym majestatem i nawy i filary, i łuki i chór i sklepienia śmiałe, gdy cię uderzą, akordem harmonii pełnym, i światła i cienie i perspektywa uroczysta; wtedy odezwie się budowanie całe pieśnią tajemniczą i przejmie duszę dreszczem niewymownym; wtedy uczujesz, że te wewnętrzne przybytki są isticznie jednością artystyczną zamkniętą i ukończoną w sobie; że tutaj zebrały się promienie całej budowy, jako uczucia zbierające się w piersiach twoich. A sercem tego wnętrza, a ogniskiem tych promieni jest ołtarz wielki, co króluje spotęgowanym przepychem zdobnych bogactw i sztuki.

Chciój teraz przywieść sobie na pamięć świątynię staro-grecką. Tutaj wszystko inaczej się dzieje. Wszak istotą fantazyi Hellady była właśnie równowaga ducha a materyi, świata wewnętrznego a rzeczywistości zewnętrznej. Ztąd też świątynia jej buduje się i ku światu; te zdobne frontony, te przedsienia urocze a kolumny strojne są zaiste całą jedną połową świątynicy, a one również, jak ich bogi, patrzą uśmiechając się na świat, na naturę, miłą się ludziom, zwracają się wdzięcznie i poufale do żywota ziemskiego, co robi radością i weselem. Podobnie też i od góry świątynica

Greków często bardzo nie odgradza się od natury; ona i od góry nie zamknięta. Dach otwarty, wykrojony czyni wewnątrz świątnicy niby dziedzińcem odkrytym. Więc promienie słoneczne opływają swobodnie posąg boga, a nad nim rozpina się wesoło jasny niebios sklep, a przelatują obłoki, a przelatuje ptasia lekka gawiedź. Duch Grecyi nie był skupionym w sobie, nie tonał w sobie. Ołtarz ofierny nawet stał najczęściej na zewnątrz, przed świątynią, kędy zbierał się lud, oddając bogom wesołym pokłon wesoły. Ale i pod innym względem, jak ci wiadomo, w tych budowlaniach greckich iści się ten cudowny zestrój ducha i przyrody czyli materyi. Wszak fantazyja Hellady obliczyła się ściśle z prawidłami mechaniki, statyki, bacząc pilnie na wszystkie warunki materyi, więc na warunki mocy i trwania budynku. Takowe atoli właśnie stosowanie się jej do natury, do głuchej materyi stało się dla Grecyi źródłem architektonicznej piękności (List XII.); technika, jako wzgląd na naturę i jej prawa, stała się zarazem estetyką, bo względem duchowym na wdzięki i urok artystyczny. Harmonia precudna wszystkich części świątnicy jest zarazem rękojmią jej trwałości i mocy, a każdy członek architektury, jak może być wytłumaczony rozumowo z potrzeby technicznej, tak również jest zarazem przystrojem i ozdobą. Tutaj ciężenie massy ku ziemi, właściwe materyi, nie jest ukryte; występuje owszem na jaw, ale będąc zestrojone z siłą dźwigających kolumn spływa z nią wdzięcznym akordem.

Inaczej się pojawia fantazyja w architekturze goetyckiej. Sklepienie tutaj niby nie ciąży na filarach, ale z nich wyrasta, z nich się unosi. Żyły sklepienia,

nadające im utwierdzenie potężne i kształt i rytm, już często nawet istnieją w zarodzie w filarach samych, przechodząc przez ich głowicę, a z tych znowu strzelając w górę w żyły sklepienia, jako konary palmowe rozpinają się po sklepieniach siatką kształtną, łącząc filary między sobą. To ostrołukie sklepienie jest najwyższej swobody wyjawem; tutaj ciężkość ku ziemi cisnąca, ów pierwotnej materji grzech, jest starta, pokonana; tu materja odrodzona zmartwychwstaniem, uskrzydłona duchem, lekko ulatuje w górę, zrywa z rzeczywistością; a kościelne sklepienie, błękitne, zdobne patrzy się gwiazdkami złotymi z zawrótnej wysokości na mrowienie się ludzkie, co jeszcze na ziemi, co jeszcze doczesnością nekane. Tak tutaj lekkość form, dzwigających ogromne masy, jest zwiastuną przewagi ducha nad naturą i przemożenia ciężkiej materji. Podobne tryumfy ducha nad przyrodą obaczysz spojierając na ściany kościelne. One odgradzają świątynię od zewnętrznego świata, ale to nie ściany, to raczej filary wysokie, śmiałe, połączone olbrzymimi oknami; tutaj znika potęga jednostajnej kupiącej się materji.

Okna, sklepienia ostrołukie wlatują ku niebu — im ekliwio na ziemi. Ta forma ostrołuka zaprawdę jest tętmem tej architektury i świadczy, że duch już przełamał linią poziomą, równoległą do poziomemu, będącą w Grecyi wyrazem onego ciśnienia materji ku ziemi. Te linie gotyckiego ostrołuku chwytają oczy i serce widza i unoszą je z sobą nad gwiazdy nieskończonym przeczuciem. Lecz już w wieży potęguje się najsilniej ta kipiąca tęsknota; tu wezbranie uczuć a wrzących pragnień niewymownych, tu oderwanie się od rzeczywistości, od nizin doczesnych, od świata i gwarne-

jego żywota. Te wieże kościelne strzałą lotną, budowaniem nadpowietrznem w dzierganą koronkę, wzbijają się w niebiańskie błękity. Głazy, z przepaści ziemskich wydobyte, teraz sąsiadują ze światem obłocznym, piętrzą się senne, przejrzyste, eteryczne, niby prorocze głosy onych milionów serc, co pozostały na pielgrzymce żywota. Przez tkanki przezroczyście, plecionki wyrabiane, hafty ciosowe tych wież przezierniebo i przeglądają gwiazdy, prawiąc ludziom, że materia złamana, zidelizowana stała się matką zwycięstw duchowych. Ta strzelistość a podlotność, ten kierunek pionowy, ta tęsknota ku niebu a silenie się, by się oderwać od ziemi, wyjawia się i tętni w całej świątnicy, i w ostrołuku, i w sklepieniu, i w bramach, i w oknach, i w filarach i w wieży, nawet w wieźbie i zrębie stromego dachu. Nie myśl bowiem, jakoby ta spadzistość jego była względem technicznym na północne śniegi; ona się zrodziła wprost jako wypadek ogólny charakteru i całej dążności onej fantazyi romantycznej; bo z odwróceniem się od natury nastaje niby lekceważenie technicznych względów. (\*)

(\*) Przypominam atoli, że jeżeli tu mówimy o lekceważeniu sobie zasad technicznych i o strojeniu sobie żartów z potęgą natury, toć się rozumie, że te lekceważenia i żarty są tylko czemś pozornem; techniczność jest tutaj ukrytą, choć zachowana z pewnem zuchwalstwem a wyzywaniem sił przyrody. Nie mieszajmy tedy architektury gotyckiej z arabską: choć obie są wielce do siebie podobne, choć gotycka pewnie doznała wpływu tchu budowania maurytańskiego, który jej zawiął z Hiszpanii, i choć nakoniec obie te fantazyje są jakoby spokrewnione z sobą i obie są fantastyczne. Z drugiej strony jednak przypomnij sobie, jako powyżej rzekłem, że każda z tych fantazyi jest fantastyczną sobie właściwym sposobem,



Rzekłbyś, patrząc się na tумы średniowiekowe, że duch onych starych ludów stroił sobie żarty z żywiołów, które przyroda zawistna urokiem dzieł ludzkich wysyła jako czeladkę swoją, by je trawiły, psowały niezniekaną nigdy pracą.

Właśnie te wyrabiane, misternie dziergane ciosy, te załamki, zakręty przerozmaite, tak właściwe gotyckim budowaniom, jawnie świadczą, że mistrz nie oglądał się na żywioły niszczące dzieła rąk ludzkich, że budował się im na przekor, i wyzywając je jakoby do zapasów i walki. Zważ, że to samo sklepienie nawet jest tak misterne i lekkie, że nie zdoła wstrzy-

że fantazyja wschodnia ma się do fantazyi ludów średniowiekowej Europy, jak abstrakcyjny, głuchy teizm Islamski, — przedraczający się tak łatwo w swawolny panteizm — do wiary zbawienia, co tak pełna głębokiej wiekuiestej treści, przenikającej wszystkie życia kierunki. Otoż ta moc ducha chrześcijańskiego przeniknęła sobą i przemogła zacie potęgi natury, ale nie puszcza się w swawolę w tych architekturach swoich; ona dochodzi do najwyższego stopnia śmiałości w przewycięzeniu materyi, ale igrając niby z niebezpieczeństwem umie mu zapobiedz. Czyliż inaczej te misterne tумы, te przezroczyte wieże mogłyby przetrwać tak długi szereg wieków i dochować się naszym stóleciom? Architektura gotycka ukrywa tylko baczenie swoje na techniczne względy, ale ich nie gwałci; i dla tego ona rzeczywiście jest budownicą, ona doprawdy buduje, ona nie jest kuglarstwem jak maurytańska, jój dzieła nie są dekoracyjne; nadto, duch artystyczny natchnieniem prawdziwóm przenika całe to budowanie i czyni je całością organiczną.

Inaczej dzieje się w maurytańskiej architekturze. Tam fantastyczność jest swawolą, drwinkami z materyi; tam fantazyja oczynia materya, oczynia widza czarnoksiężką sztuką. Ta moc czarodziejska a pełna wdzięku tego budowania ma atoli sprawę z innym klimatem; a zresztą, jak ci wiadomo, jest czasem li dekoracyjną np. w onój Alhambrze i w innych bu-

mać pożaru, skoro płomienie ochłoną wiązanie dachu, jak tego smutnym dowodem nasz rok 1850.

A czyliż same olbrzymie rozmiary tumów średniowiekowych, przypominające budowanie starego wschodu, nie świadczą równie głośno pod tym względem, że duch człowieka potęgą swoją przeparł materią, że jej przyznaje tylko wartość ujemną, zostawując na niej oznaki swoich tryumfów? Sam ogrom świątyni świadczy, że duch człowieka położył tutaj stopę swoją na bezdusznój naturze, jako na podnożu wiekuistości swojej. I zaiste, jeżeli ludzie nazywają ojca zacnym, co z miłością w sercu dla swoich dzieciak szczepi

dowach maurytańskich, w których gęsto bardzo znajdziesz wrzekome tylko sklepienia, bo nie z ciosowych cegieł ale z kawałków drzewa pilnie, misternie ułożone, a w innych miejscach znowu sklepienia są raczej oszalowaniem belek dachowych. Niedziw tedy, że takie sklepienie, udające mrowanie, spocząć może na istotnie cienkich słupach i uderzyć podwyższeniem czarodziejskiem. Nie przytaczałbym tej właściwości, samej przez się może drobniejszej, gdyby ona zarazem nie przypominała nam onej istotnej cechy ducha i fantazy Arabów, bo onego bujania bez granic, co raz senne, bezużadne, opojone, a znów zamienia się na jałową rozsądkową prozę, tak, iż tam chwila uniesienia, zachwycenia fantazyi nie jest zarazem chwilą mądrości, onego artystycznego jasnowidzenia. Tak, jakem rzekł dawniej, na Wschodzie, po chwilec upojenia, przystępuje rozsądek, co wiąże i waży i rafinuje. Ztąd te ornamenta i przystroje maurytańskie, nie będąc kwiatem natchnienia, nie są niby z jednego odlewu; one równie jak wschodnia poezya, jak cała architektura, nie są organiczną całością.

Toć jest, jak mnie się zdaje, istotna różnica onych dwóch fantastycznych fantazyi, bo europejskiej średniowiekowej a islamskiej; toć jest różnica onych dwóch architektur, choć obadwa te światy są romantyczne i na pozór podobne do siebie.

drzewka, o których wie, że już nie jemu zaświecą owocem; cóż rzec o tych szanownych pokoleniach, co nie litując krwawego trudu, z wysileniem bez granic, z nabożeństwem w sercu a miłością gorącą dźwigały te tummy ogromne, choć przewidywały, że nawet ich późne prawnuki nie doczekają się końca tej pracy a mocowania się. Przystępowało pokolenie po pokoleniu zmieniając się w robocie, i umierały i rodziły się z kolei pokolenia, o dom Boży rósł a rósł na chwałę wiary i na cześć narodu, który w nim złożył świadectwo głośne, wymowne, że umiał żyć i umierać dla myśli, która się stała pulsem jego serca, żywotem ducha jego na ziemi.

Choć atoli one wieki i pokolenia zacne, ręka rękę, ramię w ramię, spólną pracą, jedném spólném sercem jęły się budowania tego, toć przecież po tych dziełach ich znać, że to były „czasy, w których indywidualność ludzka wybujala swobodą samodzielną, „a człek każdy uważał się za jednostkę osobną, o „sobie stojącą; słowem, były to czasy, w których, jak „to w inném miejscu rzekłem, społeczność cała była „zbiorem punktów świecących, iskier odrębnych, z których każda odnosiła się do siebie samej jako do „ogniska swojego“ (feudalność — list poprzedni). I zaiste znać w tej architekturze, że przeczucie nieskończonej wartości roztworzyło głębie bezdenne w duchu, że człowiek każdy czuł się być jednostką osobną, o sobie stojącą. (Obacz oba listy poprzednie.)

Jako, gdy drzewo się rozwija w konary, w gałęzie, gałązki i liście, każdy konar, każda gałązka, każdy listek jest jakoby całością dla siebie, osobném drzewem, osobną rośliną; tak podobnie w budowaniu

średniowiekowem każda jego część, każda cząstka, każda nawet drobnostka rada niby stać się całością odrębną, rozwijając się po swojemu, nie oglądając się na inne; więc każda, udając całość, w siebie się cofa i w siebie się patrzy. Gdy u Greków znajdziem najprostsze założenie świątynicy na prostokątnej jej podstawie, — w gotyckim kościele całość rozszczepia się na mnóstwo kaplic, kapliczek, drobniejszych świątnic, z których każda jest odrębnym dla siebie kościołem, z których każda ma ognisko własne w sobie i do siebie się odnosi. Ba, niekiedy nawet te kaplice, to obszernością swoją, to umieszczeniem swoim względem głównej świątynicy, nabierają niby znaczenia rzeczywistych kościołów odrębnych, a przecież należą do wspólnej całości; przykład nie daleki: wszak sam lud, i słusznie, nasz kościół franciszkański w Krakowie nazywa kościołem o siedmiu kościołach. (\*)

Podobne rozjednostkowanie się na osobne całości i całości znajduje się w budowaniu wież. Spójrzmy na nasze dwie wieże maryackie. Owa niższa wyrosła wierzchołkiem baniastym swoim; lecz obok niego osiadły cztery jemu podobne, z których niby każdy jest dla siebie całością. Wyższa zaś wieża, tak śmigła i strzelista, otoczyła się u góry ośmią wieżyczkami, co równie strzeliste, śmigłe, z których każda o gałce i chorągiewce pokazuje po swojemu prądy wietrzne i drogę obłokom. Wyznaję, że forma tej wieży jest

---

(\*) Powie może czytelnik, że przecież w Grecyi i Rzymie widzimy podobne zjawisko! Ale w Grecyi i Rzymie dwie lub więcej świątnic budowanych około siebie nie składają jedności, ale są to całości materyalnie tylko powiązane z sobą a z istoty są zupełnie odrębne.

oryginalna, i, o ile mi wiadomo, nie ma nigdzie sobie równej. Natomiast na Zachodzie i na germańskiej północy, cała przednia strona świątnic a mianowicie już wieże ustroiły się w bogactwo bujne, niedoliczone ornamentów zdobnych. Bujają, cisną się tłumem, przędą się i śpinają niby bluszczem wyżej i wyżej, szérzej a szérzej najcudniejsze skamieniałe dziwy fantazyi, a każda ich cząstka jest niby czémś osobném, odrębném, niby samoistną całością. Jeżeli zaś już na rękę tej fantazyi są formy ze świata roślinnego wzięte, zatem sploty i zwoje gałęzi, konarów, kwiatów, owoców i liści, a nawet formy zwierzęce; toć zgadniesz że z istoty swojej najwięcej się rozkochać musiała w owęj drobnój, niby miniaturowój architekturze, w onnych niżach, baldakinkach, kościółkach, kapliczkach, wieżyczkach; słowem, w tych zdrobniałych architektonicznych całościach, bo takowe właśnie są niby czémś zupełném w sobie, odnoszącém się do siebie, do wnętrza swojego, jako do własnego ogniska. Tak na przyporach, trzymających zewnątrz ściany kościelne, wytrysły takie miniatury kościółków, splecionych jakby ze zwojów gałęzi, konarów; one wyrosły wysoko nad okap dachu; często bardzo znów te świątniczki oznaczone szczytem gotyckim; a częściej jeszcze, ba prawie zawsze na tych szczytach, i kędy tylko miejsce się zdarzy, sterczą one wieżyczki czworścienne występujące w świat jedną krawędzią, a przykryte dachem śpiczastym, co to o czterech okapach i z kwiatem na wierzchołku a z perełkami na krawędziach. Te wieżyczki są pełne, niewydrażone, one są niby niewykończoną, ślepą kapliczką, w której miał być umieszczony posązek.

Słowem, kędy spójrzysz, obaczysz założone niby świątniczki, zamarzone kościołki, rozpoczęte szczyty; rzekłbyś, że mimowolnie one się rodzą w rysunku mistrza. Wszak i we wnętrzu znajdziesz niże, niby kapliczki osobne, świątuczki obstepujące filary; nawet w kształt kościoła budowany często bywa ołtarz wielki, ławki, konfesionały, ambony, ha nawet święte sprzęty kościelne, np. monstrancye średniowiekowe, najczęściej wyrobione są trybem kościołków gotyckich, nawet często opatrzone w rury, niby na ściek wody, zakończone w głowy, w paszcze fantastyczne, jak to bywa u prawdziwych kościołów.

Widzisz, że te wszystkie rozpojedyńczenia się, rozjednostkowania, te wszystkie zewsząd kipiące stroje i ornamenta to mają do siebie, że ciągle, wicznie strzelają w górę, mają dążność pionową, i, ile ich stać, rade przełamać, poprzecinać linią poziomą; dalej uważ, że one nie są w żadnej styczności z naturą, z rzeczywistością; one są wykipieniem swobody duchowej i jej wykwittem, bo nie rodzą się bynajmniej, jak greckie ozdoby architektoniczne, z praw i warunków technicznych, i nie mogą być wyjaśnione rozsądkiem prozaicznym, bo one nie są uzasadnione potrzebą.

Pomyśl też, co się dzieje, gdy promienie słoneczne przejrzą się po tych ornamentach; cienie i światła ostre, dobitne, wąskie, potężne, odcięte od siebie, uderzą całą siłą swoją. Widok ten jest tak różny od gry światła na świątnicy greckiej, gdzie i jasności i cienie, mroki zwolna łagodnieją, spływają z sobą przelewając się niespostrzeżonym tonem.

Chciiej baczyć, że to rozjednostkowanie się w odrębne niby niezawisłe całości, z których każda do sie-

bie się odnosi, o sobie stoi, wyjawia się najpotężniej, gdy znajdzie uosobienie swoje, — a toć właśnie się dzieje w onych rzeźbionych osobach, figurach, posągach i posążkach o przeróżnaitych wymiarach, co tłumną ludnością ożywiły i zewnątrz i wewnątrz kościołów gotyckich. Te figury wysadziły węgary i podwoje kościelne, mieszka ją po wieżach, stanęły pod baldakiem na spornikach, pod podniebkami; to znów stanowią kapitele filarów, to znów patrzą się na ludzi ze szczytów, ganków, przypór i t. p.

Te posągi i posążki święte tak płyną ze samego serca i ducha tej architektury, że wykwitają nawet na wzniesieniach, z dołu okiem niedostrzeżonych. (\*)

Rozumiem, że com powyżej powiedział, wystarczy, by ci wskazać tę dążność do indywidualizowania się, do swobody odrębnej, niezależnej, do wyjawienia jakby osobistości oddzielnej, która, jak widziałeś, występuje we wszystkich kierunkach życia średniowiekowego i świeci ni by iskrami, ni by błyszczącemi punktami udzielniemi, odrębnemi.

Proszę byś, obok tej cechy tak wydatnej, miał na pamięci greckie świątlice, te ich ściany zewnętrzne tak jednostajne bez okien, bez niż (bo te nierównie później się zjawiają). W gotyeczynie ta dążność do

(\*) Uważ np. że samo zewnętrzne marmurowe katedry medyolańskiej liczy tych figur półpiąta tysiąca, z których większa część osadzona w onych wieżach i wieżyczkach dzierganych, przezroczystych. One wszystkie marmurowe, misternie, pilnie wyrobione i wyrzeźbione, a tak drobne, że chcąc je obaczyć trzeba stanąć na tym płaskim dachu kościelnym, a tu nawet zda ci się szkło bystre, byś ich wdzięk i sztuczność mógł podziwiać.

indywidualności, do odrębności ściśle się łączy z dążnością przemożenia wielkich mas ciężkiej materji, i nadania jej lekkości duchowej, idealnej. Tak filary kościelne rozjednostkowały się na cienkie, odrębne kolumny; są tedy raczej pękiem, wiązką, snopem filarów. Czasem one są bez kapitelów i wprost, strzelając w górę, przeistaczają się na żyły sklepienia; czasem znów, a to najczęściej, każdy z tych cienkich misternych słupków ma kapitel swój własny, a tak okazuje indywidualność swoją. Niekiedy pęk kolumn cienkich, strzelających z dołu, u góry kończy się spornikiem, na którym stoją figury pod podniebkiem, od którego znów te słupki cienkie wznoszą się w górę, rozwijając się, niby gałęzie, w żyły sklepienia, jak to widzisz w głównej nawie katedry krakowskiej.

Takowe rozjednostkowanie się niekiedy tak bywa potężne, że spotykamy w jednej i tej samej nawie kościelnej rozmaitość, zatem odrębność i udzielność; tak np. w głównej nawie naszego kościoła Śtój Katarzyny, po prawej stronie kończą się kolumny zdobnemi szczytami gotyckimi; poczem, po małej przerwie, nad temi szczytami sznuruje gżems, na tym gżemsie stanęły podnoża nowych kolumn, te kolumny wznoszą się pod sklepienia, gdzie zamieniają się na ich żyły. Po lewej stronie tej samej nawy, słupy idąc od dołu dosięgają gżemsu przecinającego i strzeliwszy bez przerwy pod sklepienia tam rozszczepiają się na żyły sklepienia. Jeżeli tedy po stronie prawej gżems panuje przerzynając kolumny, na stronie lewej władztwo przeważne ma kolumna, boć ona przerywa gżems. W tym samym kościele kaplica Śtój Moniki i zakrystya tém się odznaczają że ich sklepienie opiera się na słupie jednym



środkowym ośmiokątnym. W kaplicy żyły rozwijają się z krawędzi słupa, w zakrystyi zaś wyrastają ze środka jego ścianek. W kościele krakowskim „Bożego-Ciała“, w nawie głównej, słupki cienkie wznoszą się jednostajnie aż pod sklepienia, kędy rozkładają się w konary jego; w nawach pobocznych zaś — z jednej strony żyły na ścianie kończą się w sporniki, a na ścianie przeciwniej kończą się w ostrza misterne i t. d. Inaczej się znów dzieje w kościele dominikańskim, inaczej w kollegium Jagiellońskim i t. d.

Przypatrz się teraz oknom gotyckim kościelnym — one, choćby równej wielkości, najczęściej przecież każde odróżnia się od innych właściwą sobie indywidualnością; w każdym środkowe słupki i węgarki wysmukłe rozgałęziają się osobnym wzorem, osobnym rysunkiem; w każdym tedy inne kontury szybek; co więcej, te środkowe węgarki niejako znów dzielają okna na dwa, trzy, cztery i więcej okien. A jak całe okno ma osobny swój szczyt a w nim np. swoją różę, tak znowu każde z tych okien pomniejszych ma swój szczyt i w nim różę własną, często i własny rysunek swój. Tak się dzieje przynajmniej najczęściej, najczęściej. W kościele Śtój Katarzyny jedna z pobocznych naw ma okna od siebie oddzielone, w drugiej okna umieszczone są parami.

Otoż to rozjednostkowanie, ta indywidualność, ta swoboda i odnoszenie się do siebie powtarza się i w najdrobniejszych szczegółach; wszak nawet te żłobki, tak płytkie w greckiej architekturze, są tutaj głębokie i nurzą się w tej głębi swojej, a tak okazują to odnoszenie się do siebie, do swojego wnętrza, to cofanie się w siebie. Jak cała świątynia u Greków wy-

stępuje na zewnątrz, tak też u nich cały rysunek gzymsów, opraw występuje w świat; w Gotycyzmie zaś właśnie ten sam rysunek okazuje że cofanie się idzie na wewnątrz. Krawędzie, które u Greków pojawiają się jako kąt prosty, tu zaś jako kąt ostry lub rozwarty. (\*)

Wszak już dość tych skazówek, boć i tak nie miałem na celu wyczerpania rzeczy całej, pragnąłem jedynie niektórymi przykładami potrącić baczenie twoje; chodziło mi mniej o poparcie całego rozumowania, roztozonego w tych trzech listach moich, jak raczej o wyjaśnienie bliższe całego sposobu zapatrywania się naszego.

Racz przeto jeszcze pozwolić, bym ci i w architekturze wskazał ono rozłamanie się na dwoje, oną walkę dwóch pierwiastków, oną sprzeczność, będącą istotą i cechą wieków średnich, a zarazem zestrojenie tych dwóch pierwiastków mocą fantazyi artystycznej — i pogodzenie ich i zlanie w jedną pełną harmonią. Otóż i pod tym względem kilka skazówek zupełnie nam wystarczy.

Pierwsza sprzeczność jest właśnie ta, o której teraz mówiłem. Cały budynek jest zaiste całością i dąży, by był jednością; tym czasem, jakoby sam sobie był przeciwny, wykwita w nieskończone drobne całości, z których każda rości sobie prawo, by była czemś osobnym, osobistym, odrębnym. Powtóre, gotycka

(\*) Ob. co o tej architekturze gotyckiej pisze Vischer, Hübsch, Kugler, Schnaase, Ramée, Bourasse z których tutaj korzystałem. Rozumie się że autorowie protestantcy mniej życzliwie oceniają te gotyckie budowania, uważając je za katolickie.

świątynica cała odnosi się do wnętrza swojego; ona jest utożsamieniem w sobie, duch tutaj cofa promienie swoje z rzeczywistości zewnętrznej; kształt więc zewnętrznej strony ma tylko znaczenie ujemne. A tak masz w tej odwrótności strony zewnętrznej a wewnętrznej pierwszy dualizm a sprzeczność tego budowania.

Aleć znów nową sprzecznością jest sama ta zewnętrzna strona, bo ona niby nie ma mieć znaczenia dla siebie, a przecież znów jest tak bogato ustrojona! Mianowicie też wystawa naczelna (front) nabiera tak ogromnej wartości, że się zdaje, jak gdyby to ona była przeważną częścią całej budowli; tak i podwoje główne ubrane najwyższym przepychem, utkane w rzeźby misterne, wykwintne.

Lecz w tych samych ozdobach znów jest sprzeczność, bo one zdobią zewnętrzną stronę kościoła a przecież każda z tych ozdób ma cechę odnoszenia się do swojego znów wnętrza, do siebie; wszak one są świątyniczkami, kapliczkami, podniebkami i t. d.

Tak i wieże również są częścią zewnętrzną; a one właśnie są spotęgowaniem arcydzieła sztuki gotyckiej, dźwigającym się z całym wysileniem onych pracujących stuleciów. Słusznie też powiedziano, że one często więcej kosztowały trudu i roboty i wydatków niż sam kościół, którego są przyczynkiem i ozdobą.

Zważ nową sprzeczność: te same wieże ulatujące w obłoki, a krypta podziemna!

Świątynica gotycka jest całością w sobie, a wieża, do niej będąc jakoby przybudowana, roztrąca tę jedność na dwoje.

Ale te sprzeczności mnożą się, są jeszcze dalszym

nieskończonym szeregiem. Tak zważ ogrom okien, ich wysokość i szerokość; one są tak olbrzymie, iż, jak rzekłem powyżej, zostawują między sobą przestrzeń, będącą raczej filarem niż ścianą; znać tedy, że chodzi niby o powódź światła, która pełną rzeką wpływać ma do wnętrza świątynicy. Te ściany atoli, właśnie osłabione ogromem okien, zradzają znów potrzebę przypór zewnętrznych a nawet łuków przypornych, a często znowu nad temi łukami piętrzą się drugie i trzecie bogate, zdobne łuki. Te jednak przypory i łuki przyporne wstrzymują światło, ściemniają okna, a tak niby okna te nie osięgają pierwotnego, celu swojego, a to tém mniej, że te okna znów pyszną się w malowane szyby, co mroczą barwami święte wewnętrzne przestrzenie świątynicy.

Gotycka architektura buduje świątynię, w niej okazując zebranie się w sobie i skupienie wszystkich promieni w jednem spólnem ognisku (np. w wielkim ołtarzu); a przecież wbrew tej dążności stwarzając obok głównego ołtarza wiele innych ognisk pomniejszych (pobocznych ołtarzy, kaplic, naw pobocznych, poprzecznych) rozsypuje znowu duchowe promienie dopiero co w jednem ognisku zebrane, i z kolei znów je kupi i zbiera. To kolejne bez końca zbieranie się i rozsypywanie, będące jedną z wielu sprzeczności, właściwych budowaniu gotyckiemu, gra w światłach, co strugą barwną, migotną, wpływawszy malowanemi szybami, mieni się i świeci po całej świątyni.

Dzieło architektury romantycznej jest całością, jednością; a z drugiej strony wykwita bogatym światem ornamentów, przystrojów, z których każdy jest całością osobną. Budowla jest z prawa swojego archi-

tekturą; przecież znowu ornamentów kamieniarskich i rzeźbiarskich jest taka ciżba, że pokrywają ściany całe, że właściwa architektura kryje się i chowa i cofa przed nawałem innego rodzaju sztuki. Rzekłbyś, że budownictwo jest tu tylko tłem dla rzeźbiarza, by miał po czém bujać, cieszyć się i tworzyć.

Architektura ta zuchwałe sobie żarty stroi z ciężkiej, nieużytej materyi, nadając ciosom dłutem, młotkiem formy fantastyczne, dziergane przeroczyste; ale wnet, znów zniewolona uznać prawa materyi, przekuwa żelazo na kotwy, zwory, naciągi, aby niemi pośpinać i utwierdzić te ciosy i mury.

Patrz — w tych kościołach wszystko technie świętą powagą, głęboką uroczystością; a obok rzeźb rzewnych, religijnych widzisz znów często figle, koncepta, karykatury wyrobione z kamienia, sceny komiczne, nawet burleskiady, często wcale nie skromne; prawda że to są przenośnie, niby symboliczne wyobrażenia, ale one wręcz są sprzeczne innym rzeźbom i całemu duchowi budynku.

Otóż takich sprzeczności możnaby wiele jeszcze przytoczyć, bo dużo też rozprawiano o tém wszystkiém w architektonicznym świecie. Przywiodeę atoli jeszcze jedną tylko okoliczność. Wszak tu panuje wolna, niezczém niekępowana fantazyja, co buja, igra i przedzie z siebie te świątnice i stroje, to zdobne, przepyszne bogactwo ornamentów; a przecież zdaje się, że na dnie téj fantazyi, niby bez granic wolnej, były prawidła kępujące ją, nakazujące przeróżne kombinacye i przeróżne połączenia liczb, figur jeometrycznych. Tutaj wielkiej wagi były trójkąty, sześciokąty, sześciany i t. d. Obok tedy fantazyi swobodnej znalazły się pra-

widła wiążące jęj butność i swawolę. Ztąd też być może słusne twierdzenie tych, którzy są zdania, jakoby umiejętność budowania była tajemnicą przechowaną wyłącznie w cechu budowników. To być może, zwłaszcza że architektura średniowiekowa nie jest wypadkiem samej natury i istoty rzeczy i prawideł podanych przez względy techniczne, jak to było w Grecyi; ale jest raczjć córą fantastyczności trzymanęj na wodzy przez prawidła dowolne i wyobrażenia przyjęte. Bądź jak bądź, fantastyczność a matematyka! czyliż może być przeciwieństwo silniejsze, ogromniejsze?

Zwracam ci uwagę że, jako już w inném miejscu rzekłem, architektura jest sztuką symboliczną; widzisz tedy że to wszystko, com dotychczas mówił o architekturze gotyckiej i co jeszcze powiem o niej, okazuje się symbolicznie w całym budowaniu; duch średnich wieków w ciosach wyraża, co się we wnętrzu jego dzieje, ale wyraża to bezświadomie; ta symbolika różnie z głębin jego niby kwiat; on sam nie zna własnej sprawy swojej. Przecież obok tęj symboliki bezświadomej jest druga świadoma; mistrz, budujący w średnich wiekach, rysując plan kościoła, już w położeniu jego, w rysunku poziomym, w rozmiarach, w stosunkach liczbowych z najzupełniejszą wiedzą wyraża myśli symboliki tajemnicze odnoszące się do wiary kościoła. Ta sama symbolika jeszcze potężniej okazuje się siebie świadomą w ornamentach, w figurach ludzkich i zwierzęcych, fantastycznych i t. d. Lecz do rozpraw o tęj świadomej symbolice nie staje nam miejsca; a do naszego celu też daleko więcej się nadaje i nierównie więcej jest zajmująca ta symbolika

instynktowa, bezświadoma, która prze w najgłębszych toniach średniowiekowego mistrza.

Com powyżej rzekł dostatecznie nam dowodzi owego rozdwojenia, onęj walki i pasowania się w średnich wiekach; wszak to wszystko było właśnie przedmiotem tych naszych trzech listów o fantazyi romantycznej. Widzieliśmy wszędzie tę sprzeczność bujającą całą nieskończoną swobodą, wolnym szerokim oddechem, wszędzie spotykaliśmy tę treść duchową, która kipiała i warzyła się w sercu człowieka. Natura z całym zachwytem porywającym a duchowość w sobie zamknięta, rzeczywistość hałaśna, wesoła, tłumna a pokutne zamknięcie się w sobie i wstąpienie do wewnętrznej pustelni serca, dzikość twarda, okrutna a skrucha miękka, topliwa, rozpływająca się rzewnością, doczesność z wieńcem różowym, a wiekuistość w gwiazdzistej koronie, śmiechy światowe a łza samotna, paląca, spokój cichy słuchający pieśni cherubinowych a awanturne miotanie się po świecie, tęsknoty nieukozone, unoszące duszę w nieznaną dal, a lekkie, skoczne, ziemskie radości, kipiący puhar uciech doczesnych a ostateczne sądy, śmierć i życie wieczne, kolebka i dół grobowy, żarty i drwiny i gromy piorunne, słowem to wszystko, co się roi i burzy, i tętni i żyje w sercu człowieka, słowem wszystkie rozdwojenia i walki, co robią w duszy naszej, zebrały się, spłynęły w te sprzeczności, które skamieniały w architekturze świątyni gotyckich, które nas w koło otaczają niby Bożym światem, niby wszechnicą stworzenia. Te walki a rozdwojenia są niby wbudowane w tę architekturę, bo istnieją w duszy średnich wieków, bo są pulsem ich serca i uderzeniem.

Przecież zkądże, mimo tych sprzeczności, tego rozdwojenia, ta świątnica uderza cię taką potęgą niewymówną? Zkąd ci to mrówie uszanowania, te dreszcze czci i podziwienia chodzą po duszy? Dla czegoż nie widzisz, nie czujesz tych sprzeczności, tej walki pierwiastków, gdy świątnica ta, jakby wieczność, obstąpi cię do koła? Wszak, gdy spojrzysz na te przybytki, nie możesz się upamiętać, a twoje życie całe, tresć cała ducha twojego ożyje w piersiach; w nich przeszłość zmartwychwstanie, a przyszłość żywota twojego, nieurodzona jeszcze, ubierze się w lekkie, eteryczne, barwne okien promienie i przemówi w falach organów, w światłach i cieniach sklepienia i kolumn.

Zkąd to budowanie, co niby tak pełne sprzeczności, a przeciwnieństw, zaśpiewa ci jednak tą kamienną, niebiańską harmonią i uspokoi, zagoi wszystkie rany, wszystkie sprzeczności bolejące w sercu, i zaleje pociechą nadziemską palące rany duszy twojej? — Pytasz zkąd się biorą te dziwy, te cuda! Oto — bo to budowanie jest jako Boży świat, jako wszechnica stwórczenia! — bo mistrz był na prawdę mistrzem, bo on, jak powyżej rzekłem, wyraził w dziele budowaném swoim sprzeczność, dwoistość, i pasowanie się i łamania, będące znamieniem epoki świata, z której on wykwitł, niby z ziemi swojej. Ale mistrz ten, właśnie dla tego, że jest mistrzem, wyrażając tę sprzeczność w osnowie swojego dzieła, umiał ją zarazem zestroić spółdźwiękiem, harmonią; on mistrzem będąc wzniósł się nad ostateczności rozdzierające świat mu spółczesny, a tak je przemógł, przewyciężył i w duchu z sobą pogodził, pojednał; on piersiami objął ten kon-



trapunkt, w którym zlewają się, topnieją dyzharmonie rzeczy skończonych.

Tak jest, ta świątnica gotycka, niby sama tak pełna najgłębszych sprzeczności, goi i koi i łagodzi sprzeczności bolejące serca twojego, — bo ona jest jako Boży świat, jako wszechnica stworzenia.

Przypatrzyć się życiu i światu w szczegółach, a znajdziesz nieprzebrane morze sprzeczności, tak, że każda jednostka będzie zagadką nierozwiązaną; znajdziesz walkę i wojnę wszystkich jestestw, wszystkich potęg, znajdziesz bezpotrzebne katusze i męki, rozpacz bezdenną, cierpienia bez winy, szczęśliwość bez zasługi, obaczysz miliony pączków zwarzonych mrozem zanim rozwinęły się w kwiaty, obaczysz miliony pączków ludzkich, złożonych w trumienki, pogrzebionych po cmentarzach, zanim wykwitły ku gwiazdom uczuciem pełnym, jasną wiedzą ku Bogu. Obaczysz, jak to w tym życiu nie dochodzą najświętsze, najgorętsze serca pragnienia, jak to rzeczywistość nieubłagana, nieużyta, szydzi z tęsknot, z nadziei, co umierają samotne, nieznane w piersiach naszych, jak to same ślepe, grubo potęgi, bezwidne, bezuzdne moce w niwecz obracają nawet najświetniejsze arcydzieła ducha ludzkiego, co miały pójść na chwałę całego naszego rodu. W życiu, w świecie słyhać jęki, kwilenia boleści, słyhać gwałty i krzyki rozpacz, widać rządy wrogiego przy-padku, co jakby fatum, jakby zmora ciąży na duszy rodzaju człowieka.

Tak jest, tak się istotnie rzecz ma, gdy się zwrócisz ku światu krótko-wzrokiem zmysłem doczesnym, gdy patrzeć się będziesz jedynie na szczegóły, na jednostkowe jestestwa we wszechstworzeniu, wtedy dostrze-

ziesz jedynie dyzharmonie i usłyszysz jęczące dźwięki fałszywe. Ale gdy, natchniony mądrością, gdy wznie-  
siony uczuciem wiekuistości nad te ułamki i okruchy  
biedne, obejmiesz światy wszystkie i doczesne i wie-  
kuiste, i światy materji i światy duchowe, niekona-  
jące nigdy; wtedy nie dosłyszysz już dyzharmonii, zo-  
stawisz je na tutecznych nizinach; okruchy, ułamki  
zrosną się w jedną całość, jak kości rozsypane ludów  
zmarłych na ostatecznym sądzie; rozdwojenia się i  
sprzeczności, wszelki dźwięk fałszywy, przetopią się  
w jedną ogromną harmonią, w jeden hymn, w jedno  
oratorium, które słyszą anieli; świat materji skon-  
czonej i nieskończonej, doczesny i wiekuisty, złożą  
jeden wielki Boży dom. Tak i gotycka świątelnia w  
szczegółach sprzeczności pełna; jój zaś całość, ogół  
jest przecuciem harmonii nadgwiżdżnej, odgłosem  
innych światów; co tu zebrał się w kamienne budo-  
wanie i pozostał wśród ludzi, wśród ziemskiego ży-  
wota.

---

# LIST XXIX.

## Stólecie XVI.

Wstęp. — Wyśtańcy nowój historyi. — Kolumb, Kopernik, Keppler. — Franciszek Bako, Böhme, Des Cartes i Malebranche. — Machiavelli. — Paracelsus. — Wynalazki. — Feudalizm ustępuje powadze monarchicznój. — Charakter i istota fantazyi artystycznój w XVI. stóleciu. — Fantazyczność średniowiekowa o ile może się nadać fantazyi w téj nowój epoce. — Zestrój ducha i natury, będący istotą téj nowój poezyi, nie jest atoli nawrotem do klassyczności zupełnej. — Studya klassyczne. — Różnica téj fantazyi od fantazyi klassycznój. — Inne znamiona téj nowój fantazyi. — Fantazyja późniejszych czasów nie odpowiada nadziejom, które zrodził świetny wiek XVI.

**G**dy słońce opuści tamtę, nam odwrotną półkulę naszego planety, — gdy pożegna nieskończone jęj oceanów przestworza, co oblały owe samotne, ostre kończyny trzech dzielnic świata, — gdy jego tarcza, ta pani światłodawcza, życia i ciepła mistrzyni, roztoczy wiosenne spójrzzenie swoje po naszej północnej połowie ziemi; już wtedy ogrzane jęj promieniem

duchy natury obudzą się po długim śnie zimowym, i, przeciągając się, leniuszki ziewną, spójrzą w koło siebie, i zabiorą się ochoczo, rzesko do wydzielonej im pańszczyzny. Jedni z tych duchów-wyrobników imają się łąk, gajów i gór i roli, i chuchają na wszystko, co rosnące, kwitnące, więc na drzewa, na kwiaty, na trawki i posiew zbożny, i przędą cieniuchno włókienka, i tkają listeczki misterne, i malują kwiatki barwami i tehną na nie wonią — a wnet Karpaty, co w zimie odziane bielą, niby w chusty śmiertelne, ubrane w zielone śliczne sukienki, na powitanie posyłają nam w doliny potoki i rzeki swoje, którym było tak tęskno za Wisłą, a teraz w jej objęciu śpieszą na Bałtyckie brzegi. A przedwieczne mogiły odmłodniały wiosną i z wysokości swojej patrzą kwiatkami na błonia i gaje i na grody stare. Ba, wszak i na jednej z zsiwiałych baszt krakowskich, na jej samym szczycie kołysze się krzew kwiecisty, jakby jej bukiet ślubny. Tym ogrodnikom a gospodarzom niewidzialnym są też niepomału na rękę znów cechu braciszkwowie, co ulatując w powietrze, wzgórze, wysoko siadają na obłoczkach, na chmurkach, a płyną na nich, jakoby na statkach niebiańskich, i wszędy patrzą ciekawie, a kędy posucha, tam kierują te rozpływne statki swoje, to kropią dżdżem, luną ulewą, to zasłaniają nasze pszeniczne łany chmurną oponką od skwarów palących; a tak co sił pomagają onej czeladce na dole, co to od urodzajów wszelkich a chlebowawczych plonów. Inna drużyna ma znów oddane sobie wszystkie żyjące, więc zaraz z wiosną pierwszą co tehu wyprawiają się w zamorskie południe i wnet wracają przez Tatry, wiodąc za sobą gęste bocianów półki, i wskazują drogę przez powie-

trzne morze jaskółkom domasznym, i sprowadzają nad Wisłę wszystkie one zmarzlaki skrzydlate, co ciągną pod jesień, pod zimę tam, kędy pomarańcza kwitnie a ryż i daktyl rośnie; bo im biedakom tak chłodno i srogo i dygotno u nas wśród mrozów sarmackich. A czeka je też z tęsknotą bocian biedny przed ganikiem staroczesnego dworu; on sam jeden się zabałamucił i został z nami na północy, więc wita braci radośnie i gościnnie, i rozpowiada biedy swoje zimowe i chłody i smutki.

Po ziołach, po trawach i liściach. po wodzie i trzcinie coś się szmerzy i rusza i szumi i kluje i burczy — to owadki, robaczki o zbrojach błyszczących, o szmaragdowych, rubinowych pancierzach, jakby żywe stworzenia klejnoty; inne rozpinają jak żagle skrzydełka błękitne i muskają po wodzie, przezierając się zalotnie w jej szklistych zwierciadłach. Wszędzie tego życia pełno, wszędy się coś burzy i robi, i huczy, i roi, i w liściu, i w krzewiu, i w strumieniu, i w powietrzu, i w ziemi, i w trawce, na grobach i w ogrodach.

I wierzaj, choć to sam człek, jako natury pan, zasiadł na myśli swojej tronie — choć się udrapował hardą purpurą swojej wiedzy, toć jednak nie wie, że i on sam oddany jednemu z tych niewidomych cechów. Te robotniki natury, choć udają, że mu są potulne i posłuszne i korne, rade go przecież omajaczyć, oczynić, i najczęściej też postawią na swoim. One chichocząc z cicha wabią i kuszą, byś czasem westchnął, patrząc wśród zimy na góry, na bory i jary, co zamknięte w ramach zawiesiłeś na ścianie; to znów przebierają się za wróbla, rozpustnego paliwodę, co czepia się u okna i dziobem puka w szybę zmarzłą, drwiąc

sobie z ciebie, coś zamknięty w izbie, jako w więzieniu zimowem. Ot, te duchy przez całą zimę grają z tobą „w zielone“; one się czają na ciebie w tych biednych ogródkach, coś je porozstawiał w doniczkach na oknie, lub się kryją w bluszczu, co nie wiedzieć po co pnie się od stolika, lub sobie żarty stroją, jawiąc się w trupich kwiatach robionych, lub w owocach z cukru i wosku.

Niechajno atoli wiosna już na prawdę zawita, toć to dopiero z tych ichmościów wielomocne, czarnoksiężkie pany, one ci cały dom przewrócą i na głowę zburzą w nim ład zimowy. Gdy pierwszy raz na oścież roztworzą się okna, wtedy też szeroko, na oścież roztworzy się dusza, i odetchniesz serdecznie, głęboko; wtedy zewsząd do mieszkania wpadną one duchy odmłodnionej przyrody, i nuż się krzątać, nuż wietrzyć; wyścigają cały zimowy tryb oknem i kominem, wypłoszą ckliwość stęchłą i plotki i bajki, owe nedorodne dzieci stariej zimy, i wypędzą je precz — aż na Łysą Górę.

Gdy z wiosną, na święto nasze miejscowe, od wielu wieków i pokoleń mnogich obchodzone, wyroi się miasto nasze jakby z ula, gdy się wyroi co żywe do słońca, do powiewów świeżych, do ptasich pogadank; wtedy dziwnie się coś i w duszy zaświeci, i coś się w niej kluje, i rusza, szmerzy i burzy i roi i brzęczy: jakieś przecucia wróżby w piersiach gwarzą i szepcą, i tęsknotki westchną, i znowu jakieś swobody, słodycze koją, tulą biedki kwilące, i pieszczą te uczucia, co to grymaśne, zdrażnione w sercu chorują.

A cóż dopiero dzieje się w sercu młodém, co samo wiosenne, śpiewne, kwieciste! Dziewczyna, młodzieuchny

podrostek trzyma fiołki w ręku, oddycha ich wonią, i dusza rada im się wyśpowiadać, ale jej słów braknie; ona doprawdy myśli, że te fiołki w jej piersiach urosły, że to są wróżby, że to one senne obrazy, co jej się w nocy przyśniły, że to owe marzenia, co ją dniem pieściły, rozbierając serce rzewną, tkliwą tęsknotą — nieskończonem prorocstwem. Ona stanęła i patrzy w kwiaty i słucha, a duchy przyrody po krzewach, po gajach ukryły słowiki, co wyśpiewują zakochane serenady swoje, i nucą zalecanki tęskne; aż się też i dziewczynie zdaje, że to one w jej sercu śpiewają i nucą, a te pieśni ledwie jej duszy nie rozsadzają. Nadleciał też i motyl wietrznik, siadł tuż przy niej na kwiatku, i rozwinął skrzydełka swoje, i pokazuje jej hieroglify na skrzydełkach popisane, a ona duma i myśli i darmo się sili, by to pismo tajemne, dziwaczne, czarnoksiężkie przeczytać — i duma i myśli i tęskni. Ktoż jej rozwiąże owe wróżby i przeczucia, owe wonne i śpiewające proroki? Kto jej przeczyta i wyjaśni zagadkowe hieroglify, popisane na skrzydełku motylém?

Oto — jak w świecie przyrody, tak bywa i w świecie historii; dzieje też ludzkiego rodu mają swoich duchów, Bożych wysłańców. Gdy się kończy jedna epoka, jedna pora rozwojów dziejowych na ziemi, a gdy nastaje nowy rzeczy zwrot, już wtedy, jakby na wiosnę, wszędzie pełno szeptu, szmeru, wszędzie się coś kluje i burzy i rusza i robi, bo duchy historii, rozpuszczone po krajach, po narodach pukają zrazu zcicha, wnet mocniej i mocniej do duszy, do wnętrza owych ludzi, co sercem, co głową wyrosli nad miarę powszednią, codzienną, co zdolni przeczytać hieroglify, popisane na skrzydełku tych duchów historii.

Taką epoką dziejową, taką porą nową a zwrotem duchowym było szesnaste stolecie. Przecież historia już w końcu piętnastego wieku wyprawiła zacnych wysłańców, a promiennych gieniuszem gońców swoich, by gotowały ścieżkę nową, po której chodzić miały dzieje ludzkiego rodu — o nowej myśli, o przerodzonej artystycznej fantazyi.

Jaki to był kierunek tej myśli, jaka to nastąpiła nowa cecha fantazyi? — Łatwo zgadnąć, byleś chciał pójść ze mną i podpatrzeć onych wysłańców historii, i uważał, jakich ludzi oni do pracy wzywali, i jak każdy z wezwanych wybrańców dokonywał wydzielonej mu roboty na tej roli pańskiej. Zdołasz też dokładnie ocenić i cel ich mozolów twardych i silenia się zacnego, jeżeli nie wypuścisz z pamięci, że średnie wieki zeszły już z widowni dziejów, że inny nowy dramat ma wystąpić z poza kulis świata, że tym samym cecha, stanowiąca istotę stoleców romantycznych, miała teraz odbyć przemienienie swoje na inną, zupełnie od niej różną. A wiesz, że ową cechą było właśnie ono odwrócenie się od natury, zatopienie się wyłącznie w głębinach wewnętrznych, duchowych, a opieranie się na osobistém, indywidualném nastrojeniu umysłu. Ztąd też wypływało owo rozdwojenie ducha i przyrody, myśli a zmysłów potęgi, owe dualizmy a sprzeczności i złamanie się człowieka na dwoje; ztąd ona tęsknota niewymowna, ztąd też niepokój miotający człowiekiem i ścigający go przez życie awantur i przygód. Wszak przypominasz sobie również, że te moce wewnętrzne, żyjące w duszy człowieka, stwarzały sobie na miejscu natury i historii osobną naturę, osobną historią, pełne widziadeł magicznych, oświeconych



czarodziejskim płomieniem. Tak w średnich wiekach rzeczywistość cała, zasłonięta światem złudzeń optycznych, czarnoksiężkich, nie istniała niby dla ludzkiego ducha. Otoż te wszystkie moce, robiące w sercu wieków romantycznych, doznały w szesnastym stuleciu przestroju i ważnej przemiany.

Wśród głuchej oceanów pustyni, co samotna jak grób, rozłożysta jak wieczność — kołysze się statek — pod nim ziewają wodne, ciemne otchłanie i patrzy stóoka śmierć; nad nim ciche, spokojne niebios bezdnie, kędy mrugają gwiazdki ufnością, nadzieją. Upłynęły długim szeregiem dnie, upłynęły tygodnie, miesiące — jak widmo senne zniknęły wędrowcom obrazy brzegów ojczystych; już drwinami gaje, góry, strzechy domowych stron, już bajką, lądy i stała twierdza; pod stopami kołysze się statek, a serce kołysze się strachem, szaleńcem rozpacz, gniewnym buntem. — Statek goni — śpieszy na Zachód, bo na rozpięte żagle jego tchnął duch historii! — Europie duszno, dławno, brak jej oddechu, pogrąża ją ciasno, ona już sobie nie wystarczy; duch ją prze, by wystąpiła z siebie. Na statku Kolumb sam jeden, jak te gwiazdy na niebie, cichy i spokojny w sobie, choć w koło wre szaleńca rozpacz i strach i rokosz mściwy. Bo Kolumb w jasnowidzeniu gieniuszu obaczył wizerunek całego, ziemskiego planety; on natury prorokiem, on dziejom ludzkim ma roztworzyć nowe pracownie, nowe zawody, by człowiek dorabiał się własnej a nieznannej mu istoty swojej, by się doczekał chwały i pociechy z siebie. Kolumb, sam jeden na statku, jest synem nowoczesnej epoki świata; jego towarzysze, toć jeszcze wyobraźniki średnich stuleciów; ich ściga, goni przez morskie prze-

strzenie żądza przygód i awantur. Kolumb prorokiem natury i kochankiem jęj. Jak ulubieniec o wdziękach kochanki swojej, tak on prawi o urokach przyrody odkrytego przez niego świata. (\*) Opisuje, malując pędzlem natchnienia, i palmy powiewne, i gaje wiecznie strojne w liście gęste, bujne, w kwiatów tłummy, w owoce cudnego wejrzenia. Dniem i nocą podsłuchuje cizbę ptaków śpiewnych i świerszczków świergotanie, i pogadanki krystalicznych wód strumieni, — i dziwi się i raduje, gdy patrzy na harde góry, co czarnoksiężkiem malowaniem rysują szczyty na czystém niebios przezroczu. Uczucia serdeczne, wzniosłe czynią blisko 70-letniego żeglarza malarzem, poetą, gdy roztacza obrazy tęg nowęj, niewidzianej jeszcze Natury, i żali się i boleje, że ręka jego, „oczyniona“ czarem uroków przyrody, nie zdoła opisać tych opatrności cudów, że języków tysiące nie sprostają tym niewymownym wdziękom, które go otoczyły do koła; więc śni czarodziejskiem marzeniem, więc woła, że mu się zdaje, jak gdyby nigdy, nigdy nie mógł pożegnać tych rajskich, pełnych piękności, cudnych stron. Tak ludzka myśl, uosobiona w Kolumbie, obchodzi śluby swojej miłości z naturą.

Zaledwie duch Europy puścił zagony swoje w młody, odkryty świat, a już drugi Anioł pański, zwiastun Bożęj chwały, rozpina skrzydła i zbliża się z nowem wysłannictwem do naszego planety. Anioł nocą spuszczał się na ziemską kulicę, ujrzał w blasku księżycowej poświaty wstęgę Wisły srebrną; wysłannik nadgwiżdny stanął wśród milezących murów starego

---

(\*) Ob. Humboldt „Kosmos“ T. II.

krakowskiego grodu. Oniemiały błyszczały świątynie, uspione rynki, ulice. Anioł dumiał i myślał, kogoby z naszych uwieńczyć miał koroną wiekuistej sławy, ku uczczeniu tej ziemi całej, która od dawna i krwią serdeczną wychrzciła się na wierną Bogu służebnicę. A w tych murach żył mąż, co dumaniem zapadał w topielach ducha swojego; w nich jakby na firmamencie paliły się myśli, niby gwiazdy, a to niebo w piersiach jego było bezobłoczne, przezyste, żadna chmurka samolubna nie przyćmiła niebiańskiej pogody duszy. Tak ten mąż, łamiąc się z sobą, uświęcił się na mądrości Bożej wieszczą, na zacnego tłumacza wszechstworzenia dzieł. Bo kto duchem ma sięgnąć w sprawy wiekuistej miłości, niechaj sam wprzód będzie w doczesnym żywocie miłości obrazem; kto się chce zaślubić jej mądrości nieskończonej, niechaj sam wprzód wystąpi z ciasnych, dusznych szranków samolubstwa; niechaj wyrzuci z siebie myśl, jakby wewnątrz jego osobiste było wyłącznym ogniskiem prawdy wszelkiej; niechaj, nie tracąc siebie, wie przecież, iż jest tylko jednym tonem w spółdźwięku wszech jestestw, żyjących w wiekuistym zakonie.

Zaprawdę, w tej miłości nieskończonej skapał ducha swojego Mikołaj Kopernik. On dumiał w samotnej komnacie i czuwał gorejącą myślą wśród snem uspionego miasta. Roztaczał w duszy umiejętności stare podania; i ważył i badał naukę, co ją był przywiózł z Padwy, Bononii i Rzymu na ziemię ojczyzną; z miłością przechodził słowa Brudzewskiego, co mu był niegdyś pierwszym w umiejętności przewodnikiem w Krakowie, w Jagiellońskiej szkole. I dał gwiazdom posłuchanie i ważył je i mierzył i zgłębiał; tęsknił

głęboko za prawdą i wierzył nabożeństwem serca w łaski Boże, i ufał im jako twierdzy niezachwianej. Wtedy Bóg z duchem jego rozmówił się na gwiazdy, wtedy stanął Anioł prawdy, wysłaniec niewidzialny, obok Kopernika, i tchnął tchem na dumające czoło; wtedy dreszcze, idące od Ojca na niebie, przejęły mrowiem duszę, a myśli stworzenia, dawniejsze niż światów poczęcie, zrodziły się po raz drugi w nieśmiertelnym duchu człowieka. Jak w onym dniu, gdy się wykluwały gwiazdy, rozgarnęły się ciemności od światłości, tak w tej chwili w myśli Kopernika jasność rozgarnęła się od mroku wątpienia. Rozstąpił się strop niski samotnej komnaty — anioł uniosł w górę ducha wybrańca swojego. Mijali gwiazdy, księżyce, mijali światy płomienne, przyświecające im niby kagańce natury po ciemnej, nieskończonej przestrzeni. Kopernik na własne oczy duchowe widział kołowroty planet około słonecznego ogniska i słyszał psalmy aniołów, co je wiodły przepaścią bezdenną, bez chyby — jako boże zegary.

Nowy system świata zrodził się dla umiejętności ludzkiej, a zrodził się miarkując, łagodząc potęgę uczuć osobistych, a dufanie w siebie pełne pychy. Planeta ziemski uznał, że to dawiejsze uważanie siebie za ognisko wszech jestestw, za środek wszech ciał niebiańskich jest kłamliwem samolubstwem. Za Kopernika słowem, ziemia wystąpiła z ciasnych szranków miłości własnej, uznała, że sama jest jednym tylko tonem w onym społdźwięku gwiazd żyjących, w wiekuistym Bożym zakonie. Przejrzał planeta ziemski i obaczył, że on oraz z innemi światami, braćmi swoimi, obchodzi ognisko światłości, z kąd im wszystkim pły-

nie jasność i ciepło i wszelkiego żywota zdroj. Mikołaj Kopernik nieskalaną, niebolotną a śmiałą i pobożną myślą przemógł ducha wieków średnich, poślubiając znów serce człowieka z naturą a ścierając zarozumiałe odnoszenie się do siebie, jako do ogniska a środka wszelkiej prawdy. On przyprawił myśli ludzkiej skrzydła, by się puściła w one „boże ogrody“ kędy klują się planety, niby ziola, a słońca, jako kwiaty.

Kolumb i Kopernik, toć dwaj bracia po duchu. Kolumb oduczył starą półkulicę ziemską, a Kopernik oduczył całego planetę pychy samolubnej. Obaj roztworzyli na oścież dla myśli nowe nieznane światy, by duch człowieka w swojej tęsknocie za nieskończonością, za wiekuistą prawdą, miał kędy oddychać w doczesnym żywocie, by się wychowywał, gotował i rósł w sobie, zanim go cherubin zmartwychwstania nie poprowadzi przed oblicze Wszchemocności i nie pokaże całego gospodarzenia mądrości wiekuistej aż do końca <sup>czyn</sup> światów. Kolumb otworzył ludzkiemu rodowi świat, kędy historia doczesna rozwija pole dla ziemskiej pracy człowieka; Kopernik otworzył ludzkiemu rodowi świat, kędy, jak gwiazdy płomieniste, chodzą nasze przeczucia o tamecznym żywocie, kędy wznoszą się tęskne serca naszego proroki i wróżby ciche.

Miał swoich następców Kolumb w onych gienialnych a dzikich awanturnikach, na poły rycerzach, a na poły zbójcach, co je wysyłała Hiszpania na zrabowanie Ameryki i uświęcenie jej krwią pierwotnych mieszkańców dla przyszłych dziejów ludzkości. Miał swoich następców Kopernik w tych ludziach, co, podjąwszy nic wielkich myśli jego, snują i przędą w ci-

chości ducha tę nie, po której spinać się ma nauka pod stolicę wiekuiściej mądrości. Są to one szanowne umiejętności zakonniki, co żyjąc tylko dla tej jednej myśli wybranej, dla idei umiejętniej, wyrzekają się świata i jego uciech, żyją wśród trudów cierpkich, walki ze światem i z boleścią własnego serca. Takim pracownikiem był Keppler. Kopernik wyrzekł, co się dzieje na niebie, Keppler duchem wywróżył, jak się to dzieje; wywróżył duchem prawa świata światów. Gwiazdy zwierzyły się geniuszowi jego z ustaw matematycznych, które je wodzą po przestrzeni bez granic. Gdy do Kepplera mówiły myśli Boże, chodzące płomiennymi drogami po niebie, niedostatek głodowy zazierał do domowych jego ścian; gdy geniusz jego jasnością rozświecał tajniki pierwszego dnia stworzenia, na małżonkę jego padła noc obłąkania, w skutek okropności ówczesnej wojny.

W tych właśnie latach, w których Keppler mocował się ze światem o chleb powszedni dla siebie i dla swoich, wtedy właśnie żył w Anglii wielki pan, przemożny lord, hr. de St Alban, wielki kanclerz połączonych królestw Brytanii. Świecisto i butno i hardo było w przepysznych pałacach a zamkach magnata; strumieniem płynęło złoto z rąk jego, słowo z ust jego władało publiczną sprawą, a w myśli jego pracowały zdolności tak genialne, że miały rozwidnić ścieżkę do umiejętności dla przyszłych pokoleń. Tym lordem a kanclerzem był Franciszek Baco na Werulamie. Choć atoli on był imiennikiem onego szanowego ziomka swojego mnicha Rogera Baco, co uzacnił sobą całe średnie wieki; choć hardy lord, równie jak korny zakonnik, przesiedział wielką

część żywota swojego w więzieniu, przecież byli oni wręcz odwrótni sobie charakterem. Roger Baco umiejętność swoją opłacił więzieniem; wielki kanclerz Brytanii, potomek sławnych zasługą przodków, choć przemożny władzą a świecący bystrością talentu, znievažył się niecném przekupstwem, matactwem; ztąd mu poszła utrata dostojęństw i czci, ztąd więzienie jego.

Niechaj mu jednak odpuszczone będą te winy, boć one i tak od dawna przez ludzi zapomniane. Co Baco zgrzeszył sercem, wynagrodził sownie światu głową, i toć zostało we wdzięcznej pamięci. Wszak to on przetarł oczy Europie ówczesnej i kazał ję się patrzeć na zjawiska natury zmysłem zdrowym, nieomajaczonym; on spłoszył widma fantastyczne, czarodziejskie, zasłaniające przyrodę, bo nauczył jak to czynić spostrzeżenia, doświadczenia, jak badać pojawy zmysłowego świata: on podał ludziom metodę w dochodzeniu prawd.

Baco jest wskróś Anglikiem, jest człowiekiem z gruntu praktycznym; sponiewierał on wprawdzie idealność w zapatrywaniu się na rzeczy: on był właśnie twórcą tęg filozofii podszadzistęj, materyalnej, tęg filozofii, co zakłęła myśl w kółku ciasnym zmysłów, która temu jedynie ufa, czego się ręką dotknie, a to tylko wiedzieć chce, o czym się na oczy zmysłowo przekonać może. Prawda, że taka filozofia nie jest jeszcze najwyższą filozofią, ale i to prawda, że Baco przysłużył się ogromnie światu swoją metodą zdrową, trzeźwą nie mającą bielma na oczach, że się stał wzorem jasnego języka, że wymiółł po za progi nauk, jako śmierci, one syllogizmy i czeze gadaniny filozofii

scholastycznej średnich wieków, że pogodził człowieka z naturą, że potłukł kolorowe szkiełka, przez które dawniejsze stolecia patrzyły się na rzeczy, a tak widziały nie rzeczy, jak raczej swoje własne osobiste usposobienie i własne marzenia.

Gdy Baco jeszcze był młodzieńcem a już stał się podziwem otoczenia swojego, i już podobno myślał nad napisaniem książki: „O stanie Europy,“ którą w rzeczy samej wydał, mając lat dziewiętnaście; wtedy, zdaleka od świetnego, błyszczącego angielskiego państwa, — bo w Gorlicach, w miasteczku Luzacyi, siedziało zamysłone, ubogie pacholę w drobnym szewskim kramie. Było to z wieczora, — małe chłopię, zostawione samo w sklepiku, czegoś się od dawna głęboko zadumało. Ocknęło się przecież, bo drzwi skrzypliły, otwarły się i jakiś obcy zapytał się o cenę pary trzewików. Chłopczyzna w kłopotcie, — bo nie był upoważniony od majstra do sprzedaży, — więc zacenił bardzo drogo swój towar; nieznajomy zapłacił żądane pieniądze, zabrał trzewiki i wyszedł. Lecz z ulicy zawołał: „Jakóbie wyjdź też do mnie“ Chłopiec zdziwiony, że nieznajomy wiedział, jak mu było na imię, wyszedł. „Słuchaj Jakóbie,“ — rzekł do niego obcy, z twarzą serdecznej życzliwości, a głosem uroczystym, „słuchaj Jakóbie, tyś jeszcze mały, ale ty tak urosniesz w chwałę, że aż się świat będzie wielkości twojej dziwił! Bądź pobożnym, miej bojaźń bożą w sercu a cześć dla słowa Jego! Doznasz wiele biedy, ubóstwa i prześladowania w życiu; ale ty stój przy Bogu, bo Pan Bóg łaskaw na ciebie!“

Otóż ten szewczyk mały, toć ów sławny Jakób Boehme, ów Philosophus Teutonicus, co się stał pra-



szcurem całej filozofii mistycznej nowożytnych czasów. Przez życie aż do śmierci pilnował sumiennie uczciwego rzemiosła swojego, a przy tém, choć nieuczny prostaczek, pokochał filozofią, i ona go też pokochała wzajemną miłością.

Mądrość Boehmego jest widzeniem, natchnieniem. Iskra geniuszu, tlejąca w duchu jego, niewidzialna dla ludzi, jemu samemu nieznaną, czekała tylko lada przyczyny zewnętrznej, lada podwiania, by buchnąć jasnością promienną. Toć się i stało. Pewnego poranku, wtedy Boehme już był majstrem został, słońce całą światłością zajrzało przez wązkie okienko do izby szanownego rzemieślnika, i uderzyło w sprzęt miedziany, błyszczący na półce, sprzęt, niby zwierciadło, odbił blaski słoneczne, i jakby rozgorzał płomieniem. Widok ten rozebrał serce Boehmego, i iskra jaśnią płomienną rozgorzała mu w duszy. Jak światła słoneczne przyświecające planetom przejrzały się w biednym naczyniu, tak światło wiekuiste, co jest wszech duchów światłem, przejrzało się w duszy nieumnego prostaczka. Gdy Böhme zoczył one blaski na sprzęcie, już sobie nie mógł dać rady; ledwie mu serce nie pękło. Wybiega z domu, wybiega za bramę w pola zielone, w laski zielone, by się jakoś upamiętać wśród natury, by nawrócić do siebie. Odtąd on już, choć jego ręka ociążała pracą, w chwilach wolnych zabiera się do pióra i skreśla te pisma swoje, które przez długi szereg lat leżały w zapomnieniu, pogardzone od szkolnych pedantów, jako od biednego, nieumiejętnego szewca popisane, dziś zaś odebrały cześć sobie należną. Zaprawdę, gdy weźmiesz do ręki te dzieła jego, toć zajmujący będzie widok po-

patrzeć, jak tu miota się geniusz głęboki, jak się sili, by dla tej treści nieskończonej znaleźć formy, znaleźć wyrażenia i słowa. I zaiste Böhme pasuje się i sili z językiem, z mową, w którąby rad ubrać treść, co mu się tak w duszy warzy i kipi. Ale, aby słowami ująć treść, którą natchnienie podaje, aby tę treść już ujętą, zrozumianą, wydać jasnymi, odpowiedniami słowy, do tego potrzeba wykształcenia naukowego i wprawy, a tych warunków właśnie brakło Boehmemu. Zatem myśli abstrakcyjne, myśli najgłębszej spekulacji ubiera w wyrazy oznaczające rzeczy zmysłowe, materialne. Tak, rozprawiając o prawdach kłujących się w wiekuistości łonie, obejmujących pierścieniem niebo i ziemię, o zakonie żywym, który istniał przed świata stworzeniem, używa wyrazów; saletra, merkurysz, siarka, słodycz, kwas, gorycz, separator, tynktura i t. p. Takowa forma barbarzyńska tej książki, obok głębokiej, przepaścistej spekulacji, czyni dzieła jego tak ciemne, mroczne, zagadkowe, jak ten rysunek położony przy tytule jego dzieła.

Przecież te pisma jego-to nocne podmorskie ciemnice, w których rosną korale i perły kosztowne. Lubo książka „Aurora we wschodzie“ jest najważniejszém z jego dzieł, toć przecież nas tu obchodzi osobliwie druga książka, co ją nazwał: „Signatura Rerum.“ W niej to widzisz, jak on zacie rozтворzył duszę swoją przyrodzie; on ma to wewnętrzne przekonanie, że na kim duch Boży spocznie, już wejrzeć może w serce roślin, kamieni i gwiazd, że zdoła z zewnętrznych postaci rzeczy stworzonych odgadnąć ich duszę i ich wiekuiste znaczenie. Bo u niego natura jest zmaterializowaną myślą Bożą, słowem Bożém, które się

stało światem, a treść każdego jestestwa stała się jego formą zewnętrzną. Tak i Boehme, również jak Baco, przywrócił niby dobrą sławę, ogromne znaczenie naturze; Baco wziął ją ze strony zmysłów, Boehme uczcił tę naturę, jako usymbolizowaną myśl Bożą. Boehme jest odwrótnym Baconem, nie tylko pod względem położenia zewnętrznego do świata i życia, nie tylko pod względem jasności tłumaczenia się, ale głównie z powodu, że droga obu jest odwrótne. Baco bierze rzeczy przyrodzone materyalnie, zmysłom tylko wierząc, jest z gruntu empirykiem, zmysły u niego gotują dopiero treść dla myśli. Boehme odwrótnie rozpoczyna od myśli, i bez doświadczeń bliższych, bez badań, z kształtu zewnętrznego jestestw natury chce z góry natchnieniem wywróżyć ich serce, ich duszę. Obaj są wcieleniem dwóch ostateczności, i dla tego właśnie jak Baco tak i Boehme nie dosięgnęli celu swojego.

Przecież choć Boehme nie osiągnął celu swojego, choć jego filozofia jest mistyczną, choć tedy nie poprowadziła wyrazistych granic między duchem stworzonym, a mądrością wiekuistą światem władnącą; toć jednak z nią się mierzyć nie mogą one bezmóźnie mistycyzmy, co straszą po głowach w nowożytnej Europie; a które zapewne dla tego tak wiele znalazły zwolenników i chętniej czeladzi, że podawały wielce wygodną zasadę, ucząc: że się obejdzie bez pilnego badania, bez trudu a skrzętniej pracy, że najwyższą mądrością jest pogrążenie we własnym wnętrzu. Ztąd też lada kto poszedł za tą radą i pogrążył się w tym wnętrzu swoim, wierząc prostodusznie, że z tych pułkowników, niezbożacych pracą i nauką, że z tej częściej niewidnej nocy wyniesie tanim kosztem, ba, za

bezcen mądrość głęboką i prorocstwa, któremi rozwidni świat. Nie ma się też czemu dziwić, że każdy znaczniejszy na sercu a wyższy na rozumie, choćby na chwilą oczyniony tą wrzekomą tajemniczą nauką, w rymie wyzdrowieje z tój chorobliwój pychy serca a zwróciwszy ducha do rzeczywistości otrzeźwieje prawdami starami jak historia i świat.

Co w Jakóbie Boehmie jest dopiéro natchnieniem, pocuciem, toć rozwinął rozumowo, umiejętnie Des Cartes, choć nie znał ucziwego majstra z Luzacyi. I Des Cartes bowiem również rozpoczyna od wnętrza duchowego, od myśli. Trzy słówka: „myślę, więc jestem,“ przez niego wyrzeczone, stały się węglem całej nowożytnój filozofii. Te słówka, na pozór biedne i puste, choć dopiéro łączą myśl z jój własném istnieniem, mają w sobie jakby w zarodzie zwinięte ogromne zadanie. Na tych słówkach Des-Cartes zbudował swój dowód o bytności Bożej, dowód tak ogromny, że gdy go przeczytał piérwszy raz Malebranche osłabł i zachorował na serce. Te słówka, tak na pozór biedne, wpłynęły potężnie na całe przysze dzieje następnój filozofii, bo rzuciły jój zadanie, aby rozsnuła naprzód myśl ludzką, i wykazała w tém roztoczeniu wszystkie jój coraz wyższe stopnie, a potém, aby stosowała tę myśl, tak już rozwiniętą, do rzeczywistości całej, do wszelkiego istnienia, więc do natury i do świata duchowego. W tym atoli świecie duchowym, wśród innych nauk, wielce waży historia. I do niój swojną miłość zwrócił świat odrodzony. A już przed innemi jaśnieje Machiawelli — ten wielki, skrzywdzony, zapoznany człowiek; on, krom ogromnój wagi dzieł, napisał historią tój cudnój ojczyzny swojój — Florencyi w tych jego księgach

plynie mowa tak czysta, że jest już sama arcydziełem geniuszu, a ta mowa, jeszcze rozwijając najgłębszą sztukę, pragmatycznego pisania historii, świadczy, że autor rozumiał moce władzące w ludzkich dziejach, że przeniknął ich najskrytsze tajemnice.

Jak tedy w naturze tak i w świecie duchowym roztworzyły się duchowi nowe światy, a światy niezmyślane, światy rzetelne i prawdziwe.

Słowem, dech nowy, świeży zawiał całą Europę; gdy wionął po krajach, narodach i ludziach, wszędzie dał znać o sobie i odezwał się w przeróżnych zjawiskach. Zrozumiesz łatwo, że gdy ogarnął ludzi o mniej potężnej myśli, już ich upoił szalem, przyprawił o zawrót głowy, miotając nimi a podrzucając. Tacy ludzie, oczynieni duchem, który na nich padł, sami nie wiedząc, co im się stało, co ich posiadło, wykręcali się i wypaczali w karykatury polityczne lub umiejętnie. Tak wiele lat wcześniej od Boehmego, żyjącego w zaciszu pokorném, w głębokości ducha swojego, zaszumił, zabuczał po Europie ów hałaśnej sławy Philipus Aureolus Theophrastus Paracelsus Bombastus de Hohenheim, co tak buńczuczny jak to imię jego. On ciężko wyćwiczony po wszystkich wszechnicach europejskich, a uczył się jeszcze, jak sam powiada i od mądrych i niemądrych, od zakonników i cyrulików, od czarodziejów i katów; on był iście uosobieniem tego opętania i niepokoju, który pada na ród ludzki, gdy jakaś nowa epoka się rodzi a stara epoka umierać jeszcze nie chce i nie może. On zwiedził świat od Lizbony od Litwy, od Londynu do wyspy Rodus, od Wołoszczyzny do Paryża. Sam był mędrcom i szarlatanem, niby geniuszem i obłąkanem, kuglarzem.

Przecież mniejsza o to wszystko, dla nas on tu ważny jako człowiek, który, mimo, dziwactwa i wrzaskliwej zarozumiałości, miał tę wielką zasługę, że również zwrócił cały zapał do badania przyrody. On na głos woła, że natury nie można się nauczyć przy kopcieniu lampy, w zapyłonej komnacie, ale przy jasnym świetle słońca; więc publicznie na rynkach wznosi stosy i pali stęchłe pisma średniowiekowe o sztuce lekarskiej. Paracelsus sam się mianuje królem i ogłasza ludom, że jego monarchią jest natura cała i woła na wszystkich świat: „Wy coście z Montpellier i z Paryża, wy co żyjecie w Szwabii i Miśni, wy z po nad Renu i Dunaju, wy Włochy i Dalmaty, wy wyspy na morzu! I ty Grecyo i ty Arabio i ty Izraelu! dalej za mną, dalej za mną do mojej monarchii!!!

Przecież dość już tych przykładów, mógłbym ci na oczy postawić cały jeszcze szereg znakomitych figur, jako wysłańców nowego nadchodzącego zwrotu w dziejach ludzkich. Com atoli dotychczas rzekł wystarczy do naszego celu.

Jak na wiosnę zewsząd coś się gotuje, roi, rusza, szmerzy i rośnie; w powietrzu, w wodzie, pod ziemią, w ziołach, w kwiatkach pełno życia i niepokoju; — tak wszędzie już zaiste spostrzegłeś w tym XVI stuleciu wystąpienie człowieka z pogrążenia się w jego wnętrzu osobistym, roztworzenie się jego oczu na świat, który go w koło otacza; wszędzie już brzmi uczczenie natury i niby przywrócenie jej dobrej sławy. Odtąd osobiste uczucia, w sobie, jakby w twierdzy, zamknięte, nie są więcej wyłącznym zakonem w świecie, — odtąd owo opieranie się uporne na sobie znika z pośród ludzi. Przywiedź sobie na pamięć wszystkie

one wypadki, które zatrzęsły szesnastym stuleciem a wyznasz, że one wszystkie zmierzały ku temuż samemu a spólnemu celowi, boć one wszystkie rosły ze spólnego tchu, który wówczas przeszedł światem. Przypomnę ci tylko trzy potęgi, które nastąpiły w dziejach ludzkich. Pierwszą jest druk; on choć dawniej wynaleziony, dopiero w tym stuleciu staje się potęgą, a potęgą, co, upowszechniając wiedzę ludzką, wyprowadzając tedy myśl z ciasnoty osobistej, nadaje jej cechę ogólną, zbliżając wyobrażenia do siebie. Obok tej potęgi staje druga, również dawniej znana, nabierająca atoli właściwej sobie wagi w szesnastym wieku; jest to wynalazek prochu. Obie te potęgi są niby sobie odwrótne, bo jak druk jest pierwiastkiem duchowym, tak broń palna jest potęgą fizyczną, materialną, a przecież obie zarówno łamią przewagę osobistą ludzi pojedynczych; jak bowiem drukowane księgi przekonywają, że zdanie osobiste, opierające się li na sobie, nie wystarczy, a tak zniewalają człowieka do poddania się ogólnym prawdom i zasadom uznanym w świecie, tak broń palna przekonywa, że dufanie rycerskie swojej osobistej sile cielesnej i odwadze serca, słowem swojej indywidualności już więcej nie wystarcza, a tym samym zniewala do poddania się zewnętrznemu ogólnemu szykowi bojowemu, więc zasadom sztuki wojennej. Dodajmy jeszcze, że szesnasty wiek spotęgował potęgę monarchiczną, uosabiającą się przez świetny poczet wielkich ludzi, zasiadających właśnie wtedy prawie na wszystkich tronach, a pojmujemy że na on czas konał feudalizm romantycznych stuleciów, które uczyniły, jak już rzekłem, ze społeczności zbiór punktów

świeących, odrębnych, z których każdy odnosił się do siebie, w siebie dufając, na sobie się opierając.“

Łatwo nam zgadnąć, że ten zwrot ludzkiej historii w szesnastym stuleciu był i zwrotem fantazyi artystycznej; nie trudno też z tego, co dotychczas powiedziałem, oznaczyć choć ogólnemi rysami tej fantazyi cechę a oblicze.

Patrzmyż, — duch człowieka wychylił się z siebie i godzi się z rzeczywistością, więc z historią a mianowicie z naturą; on po długiem, tęsknym rozstaniu z Przyrodą Bożą, odnawia z nią zrzekowiny swoje. Fantazyja objęła tę naturę promieniem, prześwieciła ją jasnością, ociepliła płomieniem swoim a natura się uduchowniła, a duch przemienił naturę, i tak znów w niej znalazł wyrażenie swoje. Teraz duch człowieka, co wyszedł z ciepłej dłoni miłości nieskończonój, i natura, co dla niego jest stworzona, poznały się po długiem, tęskliwym niewidzeniu się. Fantazyja żyje więc teraz rękę w rękę z naturą, a obie wypiastowały arcydzieło piękności.

Teraz ułagadza się tedy ono przelamanie człowieka na dwoje, teraz miały uciechnąć w sercu jego walki i mocowanie się ducha a ciała, wiekuiste a doczesne potęgi połączyły się przymierzem; — sprzeżność rozdierająca tak długo duszę człowieka, tęsknota do natury, nieukojona, niezagojona, teraz przeboleła pokojem, ciszą.

Widać przeto, że teraz natura nie jest więcej ową naturą fantastyczną średnich wieków. Człowiek teraz już własnymi oczyma patrzy na przyrodę; nauki zażegnały moce magiczne, które broiły po świecie stworzonym; pogasły ich lampki czarodziejskie, migotne,



błyskotne; poświata, mająca ducha, spłynęła z rzeczywistości; ów ludek karłów, ondyn, olbrzymów, czarnoksiężników, spłoszony uciekł gdzieś do ciemnych nieprzystępnych jarów, pochował się w zapadłe doliny, w zaświatne góry, kędy nie zazierał świt duchowy, kędy nie dochodziły wołania nowej epoki. Teraz już gdzieś podziały się upiory, gnomy i uroki psotne, pokusne, swawolne, drwiące, chichotne, co broiły między ludźmi; — słowem zmyślony, choć pełny wdzięków, świat skończył się, jakby opera czarodziejska; ten świat uleciał niby sen, niby mgła nocna; a na miejscu przyrody ułudnej pojawił się oczom rozumu i fantazyi artystycznej świat rzetelny i natura w prawdzie swojej. Fantazyja otrzymała teraz z pierwszej ręki naturę, to wspiane Boże dzieło, tę księgę obrazkową wiekuistej mądrości. Teraz umiejętność wzięła na siebie powołanie, by się ucieszyła naturą, by przejrzała jej zagadki a rozświeciła jej tajemnice; teraz jest powinnością fantazyi artystycznej, a mianowicie poezyi, by się obeznała, choć ogólnie, z tym dorobkiem bogatym umiejętności, by jej nie były obce nauki przyrodnicze. Te nauki i umiejętności własne będą pomocą główną dla fantazyi do stworzenia obrazów i przenośni, do wcielenia treści duchowych w kształty zmysłowe, z natury wzięte. Boć przecież te uzmysłowienia, te przenośnie a obrazy są duszą fantazyi; bez nich nie ma sztuki, nie ma poezyi. Zaprzyjaźnienie się mistrza z naturą, jak mu potęguje ducha i nadaje siłę i dzielność, tak również staje się nigdy niewyczerpanym światem postaci i figur poetycznych.

Co z naturą, toć się dzieje również i z historią i z rzeczywistością całą.

Teraz się kończy ona historia fantastyczna, gmatwająca sobą figury z różnych epok, odległych między sobą o stolecia i lat tysiące; dzieje ludzkie przestały być gadką czarodziejską, po której hulają i dokazują moce magiczne, cudotworne. Umiejętność teraz ku temu się ma, by w samej rzeczy wywieść na jaw zdarzenia wielkie, by wskrzesić postaci dziejowe, przemawiające o drogach, któremi opatrzna mądrość prowadziła ludzki ród. Ta mądrość, to opatrzne oko Boże, czuwające nad dziejami świata, jest tak cudów pełne, że się fantazyja artystyczna już obejdzie bez onęj cudotworności czarnoksiężkiéj, zmyślonéj, czyniącéj z historyi dziwaczny kaleidoskop fantazyi; podobnież i zapatrywanie się na naturę obejdzie się już teraz bez wiary w magiczne moce; zjawiska zmysłowego świata, w swojej prawdzie pojęte, wystarczą, by podziwiać z uwielbieniem uzmysłowione w nich wiekuiste słowo, i wysłuchać w nich nieme modlitwy i psalmy wszech jestestw stworzonych.

Zaiste, właśnie dla tego, że jedna ogromna epoka się skończyła, że one lat tysiąc, stanowiące historiją średnich wieków, już do przeszłości należą, — właśnie dla tego w szesnastém stoleciu fantazyja genialna może się spójrzeć wstecz za siebie, na tę przeszłość, którą ród ludzki przebył, może zrozumieć historyczne znaczenie każdego z tych wieków i zajrzeć w duszę wielkim ich wydarzeniom i dopatrzeć się wiekuistęj ręki, która wiodła wielkich ludzi po dramacie świata.

Chciejmy się atoli porozumieć; wszystko, com dotychczas wyrzekł o pojednaniu się fantazyi artystycznéj z naturą, z historiją i rzeczywistością całą, nadaje się do szesnastego stolecia o tyle, że w tém stoleciu ten

nowy zwrót fantazyi ma swój początek i zaród; lecz ziszczenie się tego nowego pierwiastku sztuki miało być zadaniem następnych wieków. Wiész albowiem że historii nie śpieszno nigdy; ona ma wiele czasu do szafunku swojego. Jak dalece zaś te późniejsze epoki dokonały zadania owego, o tém wspomnimy później, choć kilku słowami.

Spytasz się atoli, czyli ten tak wdzięczny, zajmujący fantastyczny świat romantycznych wieków już ma być stracony dla nowożytnej sztuki? czyli ta natura i historia czarodziejska z całą ludnością swoją magiczną, majaczną mają pójść na odstawkę, jako już niegodne fantazyi artystycznej? Czyli podania ludu, owe wieści gminne, owe wdzięczne kwiaty fantazyi powszechnej, o ile wprowadzają do siebie świat czaroksięzki, — już zupełnie dla nas przepadły? — Bynajmniej. Fantazyja mistrza w nowożytnych czasach, zyskując dla siebie naturę i historią rzeczywistą, z bogaciła się nieprzebrany skarbem, a nie traci przecież fantastycznego świata średnich wieków; — winna jednak mieć na pamięci, że ten świat fantastyczny nie ma już dawnego znaczenia, że spadł na wartości swojej; a powtóre, mistrz nowoczesny niechaj nie wypuszcza z uwagi, że jego stosunek do tego czarodziejskiego świata różni się wielce od stosunku, którym się miał do niego mistrz średniowiekowy. Wytłómaczę ci się dokładniej,

Świat fantastyczny, ułudny, zmysłowy stracił dla sztuki na znaczeniu swoim, bo obok niego stanął świat rzeczywisty, a rzeczywisty tak pod względem natury jak i historii. Ów świat fantastyczny przeto już dla tego jest mniej ważnym, iż przestał być je-

dyną, wyłączną osnową dla fantazyi artystycznej, a następnie dla tego, że nie zdołał się równać ani z pochodzenia, ani z godności ani z treści ze światem rzeczywistym. Świat fantastyczny jest zrodzeniem samowolnym osobistych uczuć człowieka, kapryśną igraszką omajaczonego umysłu jego; świat rzeczywisty jest uwidomioną bożą mądrością, jej wcieleniem i szatą, — on jest symboliką myśli wiekuistej.

Mistrz nowoczesny niechaj pamięta, że zachodzi walna różnica między nim a mistrzem stuleciów romantycznych. Ten wierzył sam w gusła i czary, w całą gawieź duchów i strachów mącających rozumny ład świata; mistrzowi naszych czasów nie wolno jest okazać téj wiary swojej w dziele sztuki, bo albo wyjawilby tém, że nie jest synem swojego stulecia i uczyniłby się śmiesznym, — albo też udając wiare, której nie ma, pisałby bez natchnienia; dzieło jego wymuszone byłoby jałową pracą, wysyleniem się niepoetycznym. Dla tego poeta, roztaczający świat czarodziejski, niechaj nam w nim raczej przedstawia lud, który ten świat wynosił, wypiautował w swojej fantazyi; osnową artystycznego dzieła będzie tedy nie tak sam ten świat czarowny, nadprzyrodzony, jak raczej lud, który jest jego piastunem. Siadłeś nocą przy ognisku razem z grupą goralich tatrzańskich; — zdaleka ciche gawory wodne morskiego oka wtórują szumom stuletnich świerków, górskie szczyty obstały cię do koła, otulone światłem i cieniem księżycowej poświaty; w ich szczelinach granitowych pochowały się orły, — zasnęły kozy dzikie; — po wondolach i jarach wysokich, wzniosłych, po ostrych szczytach hasają wichry; a światła czerwone rozpalonych ognisk

dziwnie się migocą po twarzach onych chybkich a fantastycznych tatrzańskich synów. Wtedy słuchaj, co prawi juhas, (pasterz) jeżeli chętny do gadek, — słuchaj, co mu się baje o tej cudotworności jego gór, borów, przepaści i jezior. I baje i baje góral o królu co zaklęty w tych skałach czeka póki nie stopnieją śniegi po jarach, i z nim czeka 1000 rycerzy na koniach; a rycerze w rynsztunku, z brodami po pas; te rycerze drzemią i czekają, póki na nich nie zawoła król; — i znów mu się plecie o wężu ogromnym, widzianym od starego stryja, co spi na dnie morskiego oka, i jedynie po długich latach głowę z wody wystawi i ziewnie i wróży i połknie kilka owiec i t. d. To wszystko widział rodzony dziad juhasa-gaduły. Jeżeliś poetą a gracko się sprawisz, ucieszysz nas śliczną powieścią, lecz pamiętaj przecież, że w tej powieści sam ten góral-pleciuga winien stanąć na głównem a przedniem tle; niechaj ciebie nie będzie tam widać, boś ty sam niewierny, ten góral jest tutaj poetą; on osnową dla siebie; on sam primadonną tej powieści twojej. Słowem, niechaj będzie znać, że ty nie do prawdy mówisz. Możesz tedy duchów i czarownic i czarnoksiężników użyć w znaczeniu symbolicznem; możesz w nich wystawić owe moce, co nie zewnątrz nas ale w nas samych mają łęgowisko swoje, — one moce, co jakby albo anioły do zacności wodzą, albo jako pokusnice złego wtrącają w przepaść zbrodni. Możesz także tej czeladki użyć za figury komiki; możesz też z rzeczą całą obchodzić się jako z żartem poetyckim. Nie będziemy się gniewali, jeżeli, opatrzony świetnym talentem, tak nas omajczysz, oczynisz powieścią swoją, że na chwilę się sami oswojemy z duchami i strachami,

i że nam się zdawać będzie, jakoby taki świat dziwaczny na prawdę mógł istnieć; ale tego wszystkiego znowu wtedy jedynie dosięgniesz, gdy mocą genialności twojej rzeczy nadnaturalne naturalnemi się wydadzą, gdy w tym bezrozumie znajdzie się rozum, bo wtedy dopiero sobie powiemy: gdyby były na świecie strachy i upiory, toćby zaiste one się właśnie tak sprawowały a nie inaczej. Pamiętaj przeto, że do tej fantastyczności ogromnego talentu potrzeba, a to właśnie dla tego, że, jak rzekłem, tutaj nienaturalność ma być naturalną, a nierozum rozumem. Pamiętaj przeto że lada bezrozsądne androny i duby, że niedorzeczności, które ten lub ów prawi jak na mękach, nie są bynajmniej poezją fantastyczną. Choćbyś atoli miał talent najświetniejszy w opowiadaniu fantastycznych powieści, przecież nie zapominaj, że one zawsze są tylko żartem poetyckim; co właśnie okazać się winno nawet już samym drobnym ich wymiarem. Któż nie zna Hoffmana, onego genialnego fantasty? Jemu, jak prawią, najszaleńsze koncepta się roiły, gdy siedział nocą w podziemnych knajpach berlińskich. Tu wśród wrzawy obojętnej kompanii, wśród kart, lamp i świeczek, wyziewów piwnych i dymów fajeżanych głębami dziwaczny snuły się i wiły i wiązały, wydrzeźniały straszidła, postaci senne, mary, szatanice i diabła. Hoffman tu widział świat fantastyczny; a co tu zobaczył, wplótł w powieści swoje, wplótł tak z mistrzowska w życie codzienne, prozaiczne; iż ci się zdaje, że te straszidła a dziwaki, wglądające w ten powszedni ład domowy, a mieszkające się w prozę życia, rozumieją się same przez się, że nie są niczem nadzwyczajnym; więc z podejrzeniem patrzysz na tego lub

owego uczciwego jegomości z myślą, czy to nie jaki przemajaczony demonek. Mimo tego wszystkiego, te powiastki genialne Hoffmana byłyby nie do zniesienia, gdyby które z nich były kilkutomowej długości, jak one czarnoksiężkie romanse, które dziedzictwem na nas spadły po wiekach romantycznych. A ów Holender Breughel, co tak maluje strachy, straszki, szatanów i czarownice, iżbyś rzekł, że te figury, co na poly węże, niby krokodyle, niby małpy, niby ryby, niby niewiasty zrodziły się w mózgu gorączką przepalonym; ale choć ten Breughel szaleńcem, toć przecież jakby po przez tę okropność widzisz drwiącą z ciebie twarz mistrza, a genialnym instynktem te sceny piekielne mieszczą się w szczupłych ramkach; są to najczęściej małe obrazki, bo inaczej byłby żart za gruby. Krótko mówiąc, prawidła są tu zbyt liczne; instynkt, zmysł artystyczny sam powie prawdziwemu poecie, jak się ma obejść z fantastyczną pracą swoją.

Teraz zważmy, że ta cudotworność jest tylko pod-rzędnym pierwiastkiem fantazyi romantycznej; obaczymy jeszcze, jaki obrót wzięła ta fantazyja pod innym a ważniejszym względem.

Mówiłem, że fantazyja w XVI. stuleciu po długiem, tęsknem rozstaniu z naturą, znów się jej zaślubia, znowu ziemia patrzy się na kochanie wzajemne Psychy, onęj córy z doczesnego świata zrodzonej a boga piękności — boga, co zstąpił z wysokiego Olimpu. Teraz tedy nastaje serdeczne zapatrywanie się człowieka na przyrodę. Sztuka rozpoczyna od najgłębszych studyów zjawisk zmysłowego świata. Teraz i ta cicha, martwa natura, jej skały i góry, wody i powietrze, obłoki i światła, dźwięki i tony, wszystkie królestwa roślin

i kwiatów, borów i błoni, i państwo zwierząt, i kształty i formy człowieka są przedmiotem sumiennych i pełnych miłości badań. Fantazyja teraz ogarnia już całą rzeczywistość, niby ojcowiznę swoją; więc się też uczy i duchowego żywota. Ona podsłuchuje, jak uczucia pukają w sercu człowieka, ona wзира w głębie charakterów ludzkich, wróżąc potęgi, co pracują niewidzialnie w głębiach duszy, do działania porywając. Podobnie też fantazyja bada i serce ludzkiego rodu, co pracuje w dziejach świata; fantazyja proroczy o potędze, co prze do dzieł i czynów stolecia i narody, i występuje na jaw dzienny wcielona w postaci wielkich ludzi i bohaterów światowładnych.

Tak mistrz, promieniem gieniuszu od nieba danego, przenikając naturę i rzeczywistość wszystką, czyni z nich ciała dla swojej treści nieskończonej; on je przemienia na krew, na kości swoich dzieł; on cały ten świat zewnętrzny, widomy zamienia na naczynie swojej chwały.

Powiesz atoli, że ten zestrój ducha z naturą i całą rzeczywistością musiał już zrodzić w XVI. wieku powrót do klassyczności, bo klassyczność starożytna, a zwłaszcza grecka, jest właśnie tym zestrojem i tą harmonią cudną onych dwóch różnych od siebie światów.

I tak się też stało. Gorącą miłością wzięto się do wzorów sztuki i poezyi klassycznej. Imiona wielkich mistrzów i wieszczów rzymskich i greckich stały się przedmiotem czci serdecznej. Otworzył się nowy świat! Kto żył pięknnością, całą duszą oddawał się studyom starożytnych mistrzów; dech Hellady zawiał na fantazyję Europy i przerodził ją i orzeźwił. Ten



dech wiać będzie aż na późne stolecia, a póki on wiać będzie, uratuje świat od zepsucia, od znieważenia godności swojej. (\*)

Lecz, mimo tej ogromnej potęgi, którą wpłynęła sztuka starożytna na nawożytną fantazyą, zachodzi pytanie, czyli fantazyą, XVI stolecia i następnych wieków, słowem, czyli nowożytna sztuka mogła się stać z gruntu klassyczną? Na to odpowiadam: nowożytna fantazyą jedynie ułagodziła oną dufność nieskończoną w sobie, ale jej nie zniosła. Jak ta fantazyą umiar-

(\*) Zanim atoli bliżej się tej rzeczy przypatrzemy, chciejmy się pozbyć do dna uprzedzenia i przesądu, który i dziś jeszcze dość powszechnie a gęsto chodzi między ludźmi. Jakoż najczęściej nasłuchać się i naczytać można zdania, jakoby ten nawrót do klassyczności był skutkiem studyów pilnych i głębokich około wskrzeszonych wzorów starożytnego świata; jakoby właśnie zdobycie Konstantynopolu w XV. wieku przez Turków, więc napływ ztamtąd do Włoch uczonych Greków, unoszących zabytki stariej sztuki Hellenów, nie mało się przyczynił do przebudzenia z martwych tej zacnej fantazyi artystycznej dawno umarłej, i rozszerzenia się jej po Europie. Takowe zdanie jest nowym przykładem, jak to często, sądząc o dziejach, bierzemy skutek za przyczynę, a przyczynę za skutek; jak nam skoro i łatwo czepiać się wypadków zewnętrznych, płynących po wierzchu, na widoku, im przypisując światowładną moc, a pomijamy inne potęgi, które właśnie działają w głębiach historyi i wysyłają one wypadki a zdarzenia widoczne na świat, jako sługi a wyrobniki swoje. Jeżeliś bowiem przystał na cały powyższy rozwój mój, zgodzisz się też ze mną, że zwrót świata do klassyczności był skutkiem koniecznym całego rozwoju historyi ludzkiego rodu.

Średnie stolecia dobiegły swojego kresu z końcem XV. wieku; one dogorzały i dla dziejów świata i dla fantazyi artystycznej, a tém samym i badanie zjawisk natury, które było wręcz przeciwne duchowi średnich wieków, właśnie obudzić

kowała tylko nieskończoną tęsknotę i wewnętrzną sprzeczność w sercu człowieka, tak ta fantazyja ani się stała, ani mogła się stać doprawdy i w całym znaczeniu klasyczną; jęj nawet niewolno było chcieć być do dna klasyczną i spłynąć w jedno ze sztuką Hellenady i Rzymu. Ta prawda wyświeci się nam do syta jeżeli zechcemy porównać świat klasyczny i nowożytny, a porównać oba te światy pod różnemi względami.

Świat klasyczny, mianowicie grecki był klasy-

się musiało z całą miłością, z całą potęgą. Prostem skutkiem tego zwrotu fantazyi do natury było uczenie się wzorów sztuki klasycznego świata, bo w nich właśnie również tętniała pulsem ona harmonia wdzięczna ludzkiego ducha z całym państwem przyrody. Zważ jeszcze, że fantazyja XVI. stulecia, przestając być fantazyją romantyczną w znaczeniu dawném, straciła zrazu podstawę wszelką pod sobą, a będąc jeszcze za młodą, żeby się zdołała opatrzeć i nową, właściwą sobie, pójść drogą, rada była chwycić się wzorów sztuki Helleńskiej, znajdując w nich spokrewnionego sobie ducha; te jęj studia około starożytnej sztuki były przeto nie przyczyną, ale skutkiem całego nawrotu tego fantazyi. Prawda, że właśnie w tym czasie wypadki historyczne w samą porę nastąpiły, czyli raczej ułatwiły światu sposobność nauczenia się arcydzieł, sztuki klasyczej, ale temu nie ma się czego dziwić; bo mądrość, władająca dziejami rodu ludzkiego, ile razy wywołuje nową epokę, by odświeżyła świat, podaje jęj zarazem i sposobność, by urosła, by się spotęgowała, jest to ta sama opatrzna mądrość, co pamięta o rozwijającej się lilii polnej, o pisklęciu, co się dopiero wykluło ze skorupy swojej. Bądź co bądź, to jednak pewna, że z nową odradzającą się klasycznością, że ze zmartwychwstaniem cudów starożytnej sztuki, owianej najwyższą pięknnością, i sztuka chrześcijańska wzmódz się musiała urokiem idealnym, jakby nie z tego świata zrodzonym. Piękność klasyczna staje się przeto teraz jednym z pierwiastków, jedną z cech głównych nowożytnej sztuki.

cznym *pierwotnie*, bo z *rodu swojego*; on tę harmonią ducha i natury, stanowiącą istotę *klassyczości*, wziętą z urodzenia swojego, ona była jego duszą, *pierwiastkiem* jego żywota. Grecya z urodzenia była *uwiadomieniem* wyjawieniem *zewnętrznem* tój harmonii i *wdzięcznego zestroju*. Ta harmonia była tedy *istotą*, *ba, całą istotą* i *żywotnym warunkiem* Grecyi.

Inaczej zupełnie się rzecz ma z wiekiem XVI i z *artystyczną jego fantazyą*.

Sztuka XVI stólecia, jak *cała fantazyja* *nowożytnych czasów*, nie mogła być *klassyczna* w tём *znaczeniu*, jak nią była *fantazyja grecka*, a to już *naprzód dla tego*, że stólecia *nowożytnie* nie *były klassyczne pierwotnie ze samego urodzenia swojego*. Świat *chrześcijański* *wprzód* *napasował się*, *nałamał z sobą* przez *półtora tysiąca lat*, zanim *znowu zbliżył się do natury*, zanim *pełen dla nięj miłości serdecznej objął* w *objęcia* *swoje rzeczywistość* *całą*, a tak *zbliżył się do tój harmonii zewnętrznej*, która *klassyczność stanowi*. A *gdy po tak długim czasie ten świat zabrał się do klassycznych wzorów starych mistrzów*, te *wzory* nie były *przecież własnymi dziełami jego*, one nie powstały z *własnej kości*, z *własnej krwi chrześcijańskich ludów*; te *wzory* były *przybrane*, *obce*, *wzięte* *po ludzie* *zupełnie różnym*, *po epoce* *w dziejach świata* *wcale innej* i która *dawno już ustąpiła* z *dramatu dziejów powszechnych*. Tak *przeto z góry już spostrzegamy*, że *klassyczność dawna* nie *zdołała* w *całej prawdzie* *swojej* *przyjąć się* *na gruncie* *nowożytnej* *historii*.

Z tego, co *właśnie* *teraz* *rzekłem*, już *widzimy* że *sztuka nowożytna* *zamyka* *w sobie* *klassyczną* *jako* *jeden* *ze swoich* *pierwiastków*, *lecz* *właśnie* *dla tego*

nie jest w zupełności klassyczną; tak jak ciało żywe zamyka w sobie ten i ów organ, a przecież ciało całe nie jest tylko tym lub owym organem. W dziełach nowożytniej sztuki znajdziesz równie i ducha starożytnego, klassycznego świata, ale znajdziesz w niej jeszcze inne jej właściwe pierwiastki; wszak nawet w areymistrzowskich naśladowaniach poezyi klassycznej uczujesz jeszcze powiewy nowożytnego ducha. Ta prawda potwierdzi nam się jeszcze dokładniej gdy porównamy pod innym względem starożytność klassyczną z nowożytnym światem.

Jakoż, uważ jeżeli w Helladzie treść duchowa z rodzaju swojego była w harmonii zupełnej z naturą i z całym światem zewnętrznym, rzeczywistym, to ta harmonia miała miejsce znów dla tego, że duch Grecyi właśnie o tyle był urósł, że cała treść jego mogła się jeszcze zupełnie pomieścić w rzeczywistości zewnętrznej; więc też ta treść ducha Hellady we formach z natury wziętych a zidealizowanych, zatem w dziełach sztuki mogła znaleźć zupełnie odpowiednie a najwyższe wyrażenie swoje. Wyrażenie zaś takowe było tak zupełne, ta harmonia między treścią a formą była tak doskonała, że co było w treści tej, czyli co istniało w człowieku wewnętrznym, znalazło w zupełności odbicie i wcielenie swoje we formie zewnętrznej; to jest w jego prawach i naukach, w jego religii, w historii jego; co więc, człowiek zostawał nawet w harmonii z naturą fizyczną swojego kraju a ukształtowaniem jego powierzchni, z klimatem i t. p.; słowem, cały świat rzeczywisty, zewnętrzny był tylko uwidomieniem treści wewnętrznej człowieka. Tę więc Grecya w dziele sztuki, jak w wolnym i swobodnym

dziele ducha swojego, mogła się przejrzyć i obaczyć całą istotę swoją; przeto w pieśni, w posągu, w świątynicy budowanej Grecya wypowiedziała całą treść ducha swojego, nie już w sobie nie zachowując; i nawzajem też ta forma właśnie tyle jedynie miała w sobie osnowy, ile służyło do wyjawienia treści owej, ani więcej ani mniej. Tak przeto w Grecyi co było w treści, było i w formie, a co w formie istniało, to się znalazło w treści. Tę całą myśl przeprowadziłem przez owe trzy listy, w których rozprawiałem o fantazyi greckiej. Tam również rzekłem, że stanowisko takowe *raz tylko* w historii świata pojawić się mogło, a potem przebrzmieć bezpowrotnie. A tak i klasyczność prawdziwa nigdy już nie mogła wrócić się światu; nie wróciła się też nigdy, bo w dziejach rodu ludzkiego nie ma nic starego, co się tu rodzi, rodzi się po raz pierwszy i po raz ostatni. Historia jest wiekiście młoda.

Otóż takowej ścisłej harmonii między treścią duchową a światem zewnętrznym, rzeczywistym, takowej harmonii, jedynie Grecyi właściwej, takowej tedy klasyczności nie było, ani być nie mogło w stółciu XVI, ani też w całej sztuce nowożytniej. Treść duchowa już nie zdołała się pomieścić w rzeczywistości, bo w formie zewnętrznej, w naturze, choćby podniesionej przez fantazyą w krainy nadziemskie ideału. Wiara chrześcijańska nawiedziła wewnętrzne tajnice serca ludzkiego, rozwarła w niem głębie wiekiście, nadała im treść nieskończoną. Jak przeto teraz człowiek w świecie zewnętrznym, rzeczywistym, jako doczesnym, nie znajdzie wyrażenia treści swojej, tak też tej treści bezdennej człowiek nie zdoła wyśpiewać pieśnią, nie zdoła

jéj wyjawić obrazem malowanym ani rzeźbą. To co istnieje życiem wiekuistém, co żyje w przybytkach piersi twoich, tego nie zdołasz uzmysłwić arcydziełem piękności; boć właśnie co jest najwyższą treścią twoją, to nie jest z tego świata zrodzone. Dzieło piękności będzie jedynie tchem nieśmiertelnego ducha, ale nie będzie nim samym. Choć się ustoi ten gwałtowny niepokój, co miotał wnętrzem człowieka, ciskając go po ostatecznościach wręcz sobie przeciwnych; choć się ułagodzi ochota do przygod nadzwyczajnych i awantur; przecież zostanie na dnie ducha ukryte niezadowolenie z rzeczywistości doczesnej i z siebie samego, — zostanie w głębinach istoty naszej niewypowiedziana tęsknota, rzewność bezdenna, żalność słodczy pełna, odzywająca się w chwilach cichych, spokojnych z całą potęgą — dusza uczuje, że jest gościem na ziemi, i że ziemia jest przemijającą gospodą. Ten nastrój, będący piętnem ducha nowożytnych, najdzie też wtórowanie swoje i w sztuce nowoczesnej. W nadniebnych widziadłach madonny Rafaelowej usłyszysz tęsknoty aniołów, usłyszysz je w mszach świętych Palestryny, w akkordach Bethowenowych; owa tęsknota rośnie i dźwiga się w sprzeczność, staje się niekiedy śmiertelną boleścią, rozłamując serce wieszczów, jakim jest Byron. I właśnie dla tego, mimo zbliżenia się człowieka do natury a rzeczywistości, nie uleciała i w nowych dziejach ona dufność człowieka w siebie, ono opieranie się na sobie, ona sprzeczność we wnętrzu duchowém. Te pierwiastki jedynie się umiarkowały, ułagodziły, ale nie znikły.

Widzieliśmy tedy, że mimo onéj przybranéj klas-

syczności swojej, nowożytna fantazyja całym światem rozdzieliła się od sztuki Helleńskiej.

Lecz chciej mieć bacność, że obie te fantazyje przegrodziła jeszcze inna ogromna różnica, a różnica odnosząca się nawet do rzeczy ziemskich, tutecznych. Grecya była ludem żyjącym wśród zarania ludzkich dziejów, i ona przeminęła tak rychło, jak spływają purpury z porannego nieba — życie Hellady tak było krótkie! Ona, mimo genialności, nie miała czasu zdobyć sobie treści tak bogatej, tak pełnej, jakiej się dośłużyć jedynie może lud, który liczy żywot swój, doświadczenie swoje, na długi szereg wieków. Inaczej dzieje się z Europą XVI wieku; ona tak wiele już była przecierpiała, tak wiele przeboleła! Historia średnich wieków, toć to była szkoła twarda a długa dla ludów chrześcijańskich, ta szkoła uczyłowieczyła świat, ona nauczyła go czci dla kobiet, a wpoila uczucie honoru i uszanowania siebie i drugich. Ta długa tysiącoletnia walka rodu ludzkiego, napełniając ludzi bogatą, nieprzebraną treścią, a treścią przerozmaitą, wyrobiła zarazem barwę osobniczą, indywidualność odznaczającą tak silnie ludzi między sobą.

Widzieliśmy w poprzednich listach, że ta indywidualność, będąc skutkiem wiary chrześcijańskiej, jest jedną z cech sztuki romantycznej, a nie zatarła się ona i w nowożytnych dziejach; owszem ona się jeszcze silniej spotęgowała, jak rzekłem, przez długą historią, przez doświadczenie tak twarde tych ludów chrześcijańskich. Ta indywidualność nadająca osobną, że tak rzekę, fizyognomią duszy każdego człowieka, wycisnęła się na jego dążnościach, na rysach jego twarzy, w ruchu i mimice jego. Ale co więcej, te wszystkie potęgi,

które się przyczyniły do wyrobienia tój indywidualności, nadały też głębokość ogromną człowiekowi, o której nie ma śladu w sztuce starożytnej. O tój głębi w duszy, będącej piętnem sztuki nowożytnej, będziemy jeszcze mówili w liście następnym. Tutaj proszę tylko, byś porównał posągi bogów greckich między sobą, a znajdziesz, ogólnie mówiąc, wielkie między nimi podobieństwo, a treść ich tak prosta, że niby cała wykwitła na wierzch; gdy, odwrotnie, madony Rafaela, choć tak liczne, choć one wszystkie mają jedno spólne piętno, choć one wszystkie jakby marzenie śniącego o niebie anioła, przecież one wszystkie są inne a inne: każda ma swoją indywidualność i jedynie do siebie samej tylko podobna. Każda z nich ma treść głęboką jako niebo całe, o każdej mógłbyś napisać dzieje rzewne a długie jak wieczność. Porównaj figury tragedyi greckich z figurami Shakespeara, a wyznasz, że tamte, jakem już wyżej powiedział, są podobne do posągów, bo cała treść ich mogła zkamienieć w jednej chwili; gdy przeciwnie figury Shakespeara potrzebują długiego rozwoju w dramacie, aby nam wykazać tę treść głęboką, bogatą, nieprzebraną, która w nich przebywa a która jest wypadkiem onej pracy ciężkiej, którą się mocował ród ludzki przez lat tysiące. (\*)

(\*) Widziałeś w liście, w którym kończyłem rzecz o Grekach, jak cudowną jest tragedia Sofoklesa *Antygona*. Wspomniałem ci o zachwyceniu, w które wprawiała widzów teatru paryzkiego, bo co piękne, jest wiecznie piękne, a przecież mimo tego każdy naród, każda epoka nadaje swojej właściwej fantazyi całość, tchnienie i barwę, i rade siebie widzieć w dziele sztuki; i dla tego też, mimo zachwycenia publiczności pięknoscią *Antygony*, rzadko bardzo ta tragedia bywa przedstawiana



Takowych różnic, oddzielających fantazyą nowożytnych mistrzów od sztuki klassycznej, moglibyśmy wiele jeszcze wytknąć; one wszystkie zrodziłyby się z tej głównej prawdy, że mimo nachylenia się sztuki nowoczesnej do klassycznej fantazyi, pierwiastki duchowe, właściwe ludom chrześcijańskim, były tak potężne, że nie mogły pójść w zapomnienie, że żyły z całą świeżością w nowożytnych mistrzach. Owszem duch chrześcijański, jak coraz potężniej przenikał wszystkie świata stosunki, jak coraz silniej a silniej przejmował wszystkie tajniki duszy, tak i teraz był tłem głównym, i życiem i sercem artystycznej fantazyi; i teraz tedy sztuka romantyczna trwa i nie ginie, ale ona ułagodziła swoje barwy jaskrawe, swoje sprzeczości sztuką klassyczną i nią się wzmogła i uzacniła. Tak tedy pod tym względem mają słuszość estetycy, którzy twierdzą, że sztuka nowoczesna jest cudnym połączeniem romantycznej i klassycznej fantazyi. Pamiętajmy atoli, że to połączenie nie jest bynajmniej obojętnym istnieniem obok siebie tych dwóch różnych żywiołów; to połączenie jest organiczną jednością, jest onym zestrojem, akkordem dźwięcznym dwóch odwrótnych sobie tonów. Tak tedy powołanie sztuki nowoczesnej jest ogromne, olbrzymie, ale dla tego właśnie niezmiernie trudne. Mistrz nowożytnych czasów nie dopełni powołania swojego, jeżeli nie zanurzy ducha

na teatrach, o ile mi wiadomo. Dotychczas pojawiła się w czterech czyli nawet w trzech tylko miastach europejskich.

Nikt tak nie umiał naśladować Horacyusza, jak nasz Sarbiewski; to mistrzostwo przyznała mu cała Europa, a przecież, czyli właśnie dla tego, poezye jego są prawie dla nas exotycznym kwiatem.

swojego w krystalicznym zdroju piękności klassycznego świata, a przytém nie zachowa piętna własnego swojego czasu i narodu, do którego należy.

Przekonywasz się przeto, drogi przyjacielu moj! jakie są cechy główne tej sztuki nowożytnej. W niej znajdziesz idealność klassyczną, a zarazem całą głąb' uczuć chrześcijańskiego świata, pogodzenie się z naturą i całą rzeczywistością, a zarazem tęsknotę zaświatną, rzewność pełną słodyczy i wdzięku, dalej piękność niebiańską nadgwiadną a zarazem indywidualność wyrobioną, pełną siły a potęgi. Czyliż mam wyliczać dalej jeszcze znamiona żywotne, będące tętmem tej nowoczesnej fantazyi? Rozumiem, że ci samemu już nie trudno będzie roztoczyć jeszcze ich szereg długi, byleś zechciał zgodzić się na cały wątek rozumowania naszego. Złóż i powiąz razem z sobą to wszystko, com ci rozwinął w dawniejszych czterech listach moich, mówiąc o Grecyi i Rzymie, z tём, com znów rzekł w trzech listach poprzednich, rozprawiając o fantazyi średnich stóleciów, a już same przez się wypłyną dalsze cechy sztuki nowożytnej, a mianowicie XVI stólecia.

Historya fantazyi nowoczesnej, doprowadzona aż do dni naszych, jest tak bogata, tak treści pełna, że bynajmniej nie ośmielam się, choćby ogólnym zarysem, skreślić ci jęj. wizerunku. Gdybym się chciał jako tako wywiązać z podobnego zadania, gdybym miał zwłaszcza jeszcze oznaczyć charakter sztuki różnych ludów w tych ostatnich stóleciach, wypadałoby mi popisać całe tomy takich listów; bo inaczej sądy moje byłyby czczemi ogólnikami, wyrokowaniem zuchwałém,

traciłyby niepomaniu zarozumiałością lekkomyślną. Przystanąłoby tedy i skończyłoby rzecz na wieku XVI.

Tutaj atoli odpowiedzmy sobie tylko, choć z lekka, na pytanie, czyli rzeczywiście sztuka piękna w ostatnich wiekach ziściła w zupełności zadanie swoje? Czyli jej dzieła są w samej rzeczy wyrażeniem doskonałym tych cech, właściwych nowożytnej fantazyi, zrodzonej w XVI-tém stóleciu. Śmiało odpowiadamy że jedynie w dziełach niektórych geniuszów wybrańców, a szczęśliwych namaszczeńców piękności, a zwłaszcza żyjących w tém XVI stóleciu, iści się duch nowożytnej fantazyi z całą świetnością nieskończoną. Najczęściej zaś, a to mianowicie w późniejszych stóleciach, dzieła sztuki nie sprostały jeszcze zadaniu, które na nie włożyły dzieje świata, a które zapowiedziane były przez ten cudny wiek szesnasty.

Zdaje się, że Europa dzisiejsza nie skończyła nawet pierwszego okresu tej epoki sztuki, która się zawiązała z oném stóleciem szesnastém. Prawda, że fantazyja artystyczna miała arcytrudne zadanie, znalazłszy się zniemacka w obec istnej natury i całej rzeczywistości prawdziwej, która stanęła na miejscu ówjej fantastycznej, zmyślonej; — fantazyja nie mogła się zrazu obaczyć, upamiętać, czując, że jej nagle zabrakło podstawy, na której przywykła stać przez lat tysiąc onych wieków średnich. Co więc, to zadanie było jeszcze dla tego tak trudne, iż było tak wielkie a ciężkiej wagi; zasadzało się bowiem na zestrojeniu romantycznego a klassycznego świata, a zatem dwóch ostateczności wręcz przeciwnych sobie; tak przeto sztuka nowoczesna miała być współdzwiękiem a harmonią najwyższą tych wszystkich cech tych wszyst-

kich pierwiastków, z których kilka wyliczyłem ci powyżej.

Temu zadaniu tedy tak trudnemu często bardzo nie zdołała sprostać nowożytna fantazya; ona często nie była dość silna, aby jemu poradzić, aby ująć i zespolić te różne a rozmaite dźwięki. Działo się tedy, że często te różne tony odstały od siebie, że te pierwiastki nawzajem się odstały, że każdy z nich samopas, z osobna, odrębnie się rozwinął bez drugich współdźwięków, że zbyt w śród innych wybujał, nie będąc już trzymany na wodzy przez tamte pierwiastki. Gdy zaś te pierwiastki z istoty swojej miały właśnie przeznaczenie, aby się zlewały z sobą, więc też każdy z nich, gdy pozostał sam jeden, nie tylko wybujał zbyt, ale musiał koniecznie się jeszcze wypaczyć i zwichnąć.

Do naszego celu wystarczy, bym ci natrącił, choć dla wyjaśnienia, kilka przykładów. Tak np. jednym z pierwiastków, zapowiedzianych przez to wielkie i świetne stolecie szesnaste, była znów owa wskrzeszona miłość do natury; ten pierwiastek, puszczając się sam bez idealności, doszedł do ostateczności, zrodził przeto później ową sztukę zmysłową, materyalną, zakochaną w naturze grubiej, poziomej, powszedniej a nie zidealizowanej tchem duchowym; (np. obrazy Caravaggio i innych późniejszych naturalistów).

Albo się też stało wręcz przeciwnie; bo wychyliła się jakaś idealność fałszywa, która bez zapatrywania się na rzeczywistość, bez słuchania praw, którym z natury swojej ulegają przedmioty zewnętrzne, chciała być najwyższą pięknosci mistrzynią. Ta idealność, sama sobie oddana, a nie uświęcona natchnieniem

artystycznem, wypaczała się w swawolę kapryśną, majaczyła się w dziwaczne kształty, w których nie dojrzysz istoty rzeczy samej, ale raczej chorowitość epoki, uosobioną w mistrzu; (przypomnij sobie np. one rzeźby, udające postawy złych komedyantów; one budowania, kędy kamień i mury fryzowane, wycinane, powykrawane jakby papierki, — słowem, on czas rokoko; — przypominam te malowania „manierowane,“ mianowicie widoki natury, drzew, na pamięć robione, one sztuczne, poetyczne figle wymuszone i płaskie, kędy koncepta udają skoczków na linach i t. d.). Tego odstania od rzeczywistej treści, od natury nie mieszajmy atoli ze zjawiskiem sztuki romantycznej, bo w wiekach średnich ono odstanie od natury, ono pogrążenie się w duchu właśnie dla tego, że było pierwiastkiem rodzimym, zrodziło ten cudowny kwiat fantazyi romantycznej; przeciwnie w nowożytnych czasach to odstanie od rzeczywistości, od natury zra-  
dza często one chorobliwe, osobiste zachcianki, które niekiedy niby uśmiechają się i milą, ale częściej są dziwaczkami, które udają fałszywą sentymentalność, lub chodzą na szczytach skłamanej wielkości.

Wiesz równie, że jednym z owych pierwiastków jest także techniczność; jest ona warunkiem ogromnej wagi dla mistrza. — Lecz gdy ona sama jedna wybija, wtedy zamienia się na wirtuozowstwo, co bezpłodne, co oczynia, oślepia na chwilę, a potem znika, gaśnie bez śladu wśród stuku i puku, jako sztuczne ognie.

Jeszcze jeden przykład:

Wszak sztuka nowożytna ma w sobie jako pierwiastek i klassycznosc; występuje tedy klassycznosc

a mianowicie we Francyi. Wyżej zwróciłem już uwagę twoją, że wskrzeszenie prawdziwej klassyczności w nowoczesnej sztuce było istnieniem niepodobniestwem; a samo pokuszenie się o to, co nie mogło być osiągnięte, ściągnęło na się konieczną karę. Otóż właśnie tragedia francuzka stała się niby klassyczną pod względem zachowania formy zewnętrznej. Ona trzyma się ściśle prawideł greckich, a zwłaszcza żyje w ciągłej obawie, by nie ubliżyć prawidłom Arystotelesa o trzech jednościach dramatycznych. (\*)

Naśladowano klassycznych tragików co do formy, ile ich tylko można naśladować, a przecież mimo tego, mimo mocy a wzniosłości Corneilla, mimo nieskończonych wdzięków i harmonii Racina, mimo zgrabności zwinnej Voltaira, — ta dramatyczna poezya nie tylko nie jest dziś powszechnie uznana za klassyczność prawdziwą, ale, co więcej, ośmieliłbym się powiedzieć: jest wręcz odwrótną klassyczności prawdzi-

---

(\*) Wiész że po dziś dzień te prawidła wrzekome Arystotelesa uchodzą za przykazania nietykalne, za powagę świętą. Przecież, mówiąc po prawdzie, każdy poeta prawdziwy i bez Arystotelesa powinienby czuć, że bez jedności w czynie dramatycznym nie ma dramatu, jak nie ma żadnego dzieła sztuki. Co do jedności czasu, tej wcale nie podaje Arystoteles, jako prawidło, wspomina o niej zupełnie przypadkowo, przygodnie a to raz jeden tylko, i to jeszcze jako zwyczaj, który zachowany bywa. Co się zaś tyczy jedności miejsca, o tej ani słówka nie ma w całym Arystotelesie. Otóż przykład jak studyowano starożytnych autorów, i jak łatwo uprzedzenia się rodzą w świecie, jak wystarczy, by ktoś wyrzekł zdanie choć mylne, a już wszyscy powtórzą za nim gadkę, a nikt się nie przekona, nikt nie zajrzy w źródło, by obaczyć, czyli też owo twierdzenie jest prawdziwe!

wój. Bo jeżeli ta opiera się właśnie na harmonii ducha z rzeczywistością i naturą; w onej wrzeczomiej klassyczności nie ma ani natury, ani rzeczywistości. Występują tam figury tak głuche i zimne jakby allegorye jakie; są to uosobione myśli abstrakcyjne bez krwi i ciała, których nie ma w naturze; są to figury bez treści, bez barwy indywidualnej, bez fizyognomii własnej. Autor w nich nawet nie stosuje się ani do rzeczywistości wschodu, ani starożytności, z której bierze osnowy swoje; nadto on nie stosuje się ani do rzeczywistości, która żyje w jego własnem społecznem stolecie, z bogactwem treści i pracowaniem się tylu wieków, która żyje w narodzie własnym autora. Bo ta poezya jest dworską, nawet dworacką, zamkniętą w kółku osobnem, oderwaną od reszty świata. Więc te postaci bez treści głębszej mają treść przyuczoną, udaną; nie czują, nie działają, ale deklamują rozprawy o uczuciu, o sercu, o działaniu i t. d. Te figury same są uosobioną abstrakcją od rzeczywistości; popisują się osobistą treścią, a ta treść sama jest zmyślona, nie rzeczywista, bo nie jest z życia wzięta. Prawda, że to wszystko może i ztąd poszło, że nie Eschylus, że nie Sofokles, ale Eurypides był wzorem tej poezyi. Przecież ten Eurypides, choć jest Grekiem, jest właśnie wyobraźnikiem późniejszej greckiej historyi, boć w nim już brzmi zerwanie ducha z naturą i rzeczywistością, które się dopiero u niego wyradza w popisywanie się sentymentami, w rozprawianie o uczuciach, o powinnościach, w sentencye i maksymy. O ile zaś Eurypides jest jeszcze Grekiem, o tyle wyrządzono mu gwałt, gdy mu kazano zmartwych wstać i wystąpić przed dworem Ludwików francuzkich. Lecz cała

rzecz ta już była nadto ogadana, aby nam było potrzeba rozwodzić się jeszcze w tój mierze; powiedzmy raczěj, że mimo tych niedostatków studyowanie klasyycznych tragedyi francuzkich i podziś dzień może pójść nie jednemu na zdrowie. Nie mówię już tutaj o szlachetności Corneilla, ani o cudności wiersza Racina, bo któż ze wszystkich poetów do tėj chwili pisze piękniejszym, wdzięczniejszym wierszem? To wszystko już pomijam; — jest atoli inna korzyść stanowcza, którą wynieść możemy z czytania tych klasyków francuzkich. Jak bowiem ta klassyczność wzięła w karby dziką i surową wyobraźnię północnych ludów, i nie tylko Francuzów ale całą Europę oduczyła gburowatości i rubaszněj swawoli, tak dziś jeszcze może być napomnieniem nie dla jednego autora, by tę muzę swoją, źle wychowaną, nie umyłą, rozczochną jakoś przecie uczynił przyzwoitszą, by ją ogładził i ucywilizował. (\*)

---

(\*) Godzi się też aby ze czcią wspomnieć tutaj o naszych tragikach a mianowicie już o szanownym wieszczu Franciszku *Wężyku*. Wczytanie się w takowy dramat, jakim jest jego „Barbara Radziwiłłówna“ może pójść wielce na zdrowie poczynającym talentom, bo nauczy formy artystycznej i przyzwoitości a przedewszystkiem nauczy jakto kochać to wszystko co historia uczciła serdecznym hołdem. Dawnoż to, gdy jeden z młodych pisarzy, ze zdolnością prawdziwie świetną, ale jakby przepojony szałem poetyckim, brudném piórem dotknął się tēj przeczystěj postaci Barbary i skalał to, cośny od wieków szanowali i kochali, oszargał pamięć Barbary, aby uczynić może swój dramat (czyli liryczność?) więcj efektywnym. Myślę iż każdy przyzna że owi starzy tragicy francuzcy bez wątpienia są mistrzami w swoim *rodzaju*, ale się też zgodzi że te ich figury są abstrakcyjne i głuche, bez wyrazistěj indywidualności; o przyczynach tego niedostatku nieco rozprawiłem powyżej, przecież niechaj o jedněj z nich wspomnę wyraźniej je-



I powiedzmy prawdę, w najnowszych czasach jaśniały zaiste w wielu krajach Europy znakomite talenta w tój szkole, co się romantyczną zowie; lecz gdy im się bliżej przypatrzysz, poznasz, że ta romantyczność, mimo talentu niezaprzeczonego autorów, najczęściej jest tylko potęgą ujemną; moc tych pisarzy rodzi się bowiem najczęściej, że tak powiem, „z opozycji“ przeciw onęj fałszywéj klassycznosci, niby z chęci zrzucenia z poezyi przewagi cisnącej a cudzej, czyli to greckiej, czyli nałożonej przez inne obce a spółczesne narody. Jeżeli zaś znajdziesz geniusze promieniste, co obok tój siły ujemnej mają jeszcze w sobie pierwiastek twierdzący, własny, twórczy, toć zapewne zdołasz się ich na palcach doliczyć.

Przestaję na tém, com dotychczas powiedział; obejdzie się bez wywodzenia innych jeszcze pojavów

sze kilku słowami. Ci tragicy francuzcy wprowadzają figury to rzymskie, to greckie, albo nieco żydowskie lub azyatyckie, to historyczne, to mitologiczne, a mimo tego żadna z nich nie ma piętna ani swojego narodu ani wieku, ani cechy osobistój indywidualnej, bo one wszystkie wciśnione są w formy dworskie króla Ludwika XIV, one wszystkie nie mają prawdy. Inaczej u Wężyka. Figury jego są rodzime, swojskie, one urodziły się na tój samej ziemi, której językiem przemawiają. Zygmunt August nie jest weale takową abstrakcją, on się pocie zrodził z historii rzeczywistój, więc jest indywidualnością, więc rusza się i działa, czuje nawet i mówi tak, jak go nam kroniki przechowały. Zatem widzimy tutaj formę klassyczną połączoną z treścią historyczną, a z treścią swojską tak serdecznie od autora ukochaną. I w tém właśnie jest moc i potęga Wężyka. Do przesytu już nasłuchać się można że formy klassyczne są przeżyte. Przecież pół stolecia minęło od pojawienia się Barbary p. Wężyka; a od półstolecia nie znalazła się u nas żadna tragedia coby obok niej stanęła.

w sztuce, które podobnie ztąd się rodziły, że pierwiastki fantazyi artystycznej, właściwe epoce nowożytnej, zamiast się zestrajać w harmonią, odstawały od siebie. Tak tedy często jeden z tych pierwiastków a żywiołów, zbyt się rozpierając, przytłumił inne; a z tego powodu koniecznie dzieła sztuki musiały się wyradzać i zwichnąć. Wszak gdy w ciele organiczném jeden z organów zbyt się rozwinię, już tęp samem głuszy działanie innych i psuje całość, hamuje organizm, wypaczając go w chorobę.

Obejdzcie się przeto już i bez rozbioru bliższego onęj poezyi zatrutej i trującej, co w rozpaczliwym przesycie, obmierziwszy sobie rzeczywistość, zerwawszy z nią do dna, zamyka się w sobie i po to jedynie występuje między ludzi, aby z prawdziwą lub skłamaną boleścią poniewierać całym bożym światem, niby łupiną pustą wymietną. Czyliż mamy znowu wdawać się w wyroby owych niewydarzonych poetów, co, pożegnawszy się z rozsądkiem, częstują czytelników bezsenssem i andronami, nazywając je kwiatem genialności fantastycznej! — A cóż dopiero owa poezya, co po śmieciskach towarzyskich poluje na osnowę dla siebie, a jakby z krynicy kastalskiej czerpie natchnienie z płuczk skłębłych społeczności!

Bez tego wszystkiego iście się obejdzem, zwłaszcza że nad światem jaśniejże przecież konstellacya gwiazdzista prawdziwych wieszczów i artystów. W to piękności niebo się patrzmy! one niech nam przyświecają i rozświecają duszę, w chwilach gdy zajdzie smętkiem i życia żalobą!

Zrozumiesz, że znamiona fantazyi nowoczesnej, skreślone powyżej, są ogólną, bardzo jedynie ogólną i

lekką charakterystyką; wszak te cechy micniły się wielce pod wagą wielkich wydarzeń historycznych, pod wpływem znakomitych okresów dziejowych; roztoczenie atoli tych zrodzeń nie jest tutaj zamiarem naszym. Nie trudno równie zgadnąć, że każdy lud wywiązywał się po swojemu z powołania wziętego na siebie; możnaby przeto i tutaj okazać jako usposobienie ogólne, duchowe każdego nowożytnego narodu odbiło się w jego fantazyi artystycznej, jako np. Bacona filozofia zapowiada cechę angielskiej fantazyi, tak jędrnej, zdrowej, ujmującej z gruntu rzeczywistość i rzetelny świat, i jako znów Boehmego teozoficzna filozofia w sobie tonąca, mistyczna, wewnętrzna, jest wysłanicą onęj głębokiej liryki niemieckiej, zwróconej w świat wewnętrzny; jako np. znowu duch Kolumba odpowiada téj fantazyi ludów romańskich południowej Europy, téj fantazyi gorącej, ognistej, żyjącej z naturą w wiecznym, nigdy nierozetwanym przymierzu.

Przecież, puszcżając mimo się to wszystko, napomknę jeszcze słówkiem o owym wypadku dziejowym ciężkiej wagi, który podzielił Europę na dwie połowice, odróżniające się tak potężnie pod względem umysłowym. Tym wypadkiem są wywroty religijne XVI stolecia. Nie wspomniałem o nich powyżej, natrącając twojej pamięci pierwiastki dziejowe tego wieku XVI, bom pragnął właśnie dla ich ważności przytoczyć je z osobna.

Protestantyzm, zwłaszcza niemiecki, ulotnił wiarę; ona z ciepłych, tajnych duszy przybytków, z głębin serca przeniosła się do głowy; co było proroctwem świętym uczuć, staje się tutaj pojęciem rozsądku, abstrakcją rozumową. Ale rozsądek, pojęcie, wiedza,

myśl nie rodzą natchnienia, nie znają, co zachwyty artystyczny. Myśli i pojęcia filozoficzne, choćby wcielone w formy zmysłowe, nie stworzą dzieła piękności; one, jak rzekłem tyle razy, zrodzić zdołają jedynie allegoryą zimną, głuchą, bezsercą. Wszak też mówiłem już przy innej sposobności, że co człowiek wie, co rozumem ogarnął, co myślą zbadał, toć jest wprawdzie jego własnością, ale własnością tylko przyswojoną, a zatem nie jest jeszcze jego istotą; co zaś człowiek czuje, co on wierzy — to on sam, i to jedynie właśnie może się stać natchnieniem jego i przybrać na się formy sztuki pięknej, w których się przeziara nieskończona, wiekuista natura ludzka. Widzisz przeto, jakto Protestantyzm sam się pozbawił jednej z najważniejszych osnów sztuki, i dla czego obrazy, jak je maluje np. Angelico da Fiesole, lub Madonny Rafaela stały się niepodobnemi dla protestanckiego artysty; co więcej, zarazem z tém ochłodzeniem wewnętrzném serca, rozplynął ów świat legend, podań religijnych, wspomnień cichych a rzewnych, co są przedmiotem tak cudownym, osnową już gotową dla natchnionej fantazy uświęconego mistrza.

Przecież czas bym ukończył list ten i nawrócił do właściwego naszego przedmiotu, bo teraz przyjdzie nam choć ledziuchnym zarysem oznaczyć w liście następnym kierunek, który nabierał każdy rodzaj sztuki w tym czasie. Łatwo zgadniesz, że ten kierunek będzie właśnie wypadkiem ogólnej cechy całego stolecia, a tém samém stanie się i ostatecznym jój wyjaśnieniem.

# LIST XXX.

## Stólecie XVI.

(*Ciąg dalszy.*)

Architektura XVI. wieku. — Bramante. — Palladio. — Michał-Anioł, jako architekt i jako rzeźbiarz. — Leonardo da Vinci, Rafael, Szkoła Wenecka. — Muzyka i Palestryna. — Tasso, Ariosto i Kamoens. — Cerwantes. — Jan Kochanowski. — Shakespeare.

**Dopisek.** Wyprawienie tych listów.

**Z**nasz te uczucia, co grają na pół zrozumiane, na pół dosłyszane w serc toni? Znasz te uczucia, co żyją i tętnią w duszy, jako głuchy szum podziemnych wód — jako grzmotny huk ogniów ukrytych w ciemném ziemi wnętrzu? Oto — co tam w sercu żyje uczuciem, to występuje na jaw we właściwych postaciach przez fantazyą powszechną stworzonych, przez tę fantazyą gminną, wszędzie rozlaną. Gmin tę treść swojej duszy, na pół mu zrozumianą, odziewa w legendy, powieści, klechdy; on ją wyśpiewuje piosenką, albo wypuści z głębin duszy melodyą swojej muzyki;

a te piosnki, te muzyki swoje wyczytuje, jakoby w piśmie kamienném, w szczytach, w liniach świątnic, które mu stawiali mistrze jego. Zaiste, te budowania, te z ciosów dźwignione fantazyje, te architektoniczne linie są jedynie artystyczną przenośnią tych uczuć zagadkowych ludu, są jedynie symboliką serca gminu.

Wiesz, że w romantycznych stóleciach główną osnową dla mistrza była treść podana mu właśnie przez fantazyję powszechną; on ją ujął miłości pełen, przerobił na dzieło artystyczne, a co wziął od ludu swojego jako kwiatek polny, oddał mu jako kwiaty niebiańskie, uwite w wieniec chwały promiennój.

Wiesz atoli równie, co się stało w XVI wieku? Choć i w tém stóleciu, jak po wszystek świat i po wszystkie czasy, mistrz nie przestawał być synem swojej epoki i swojego narodu — choć on zawsze był jeszcze wyobraźnikiem jego uczuć, choć i teraz w nim słyhać tętno serca całej ziemi i tchy rodzinnych powiewów, i gawory jego gajów i wód, przecież dla mistrza ta fantazyja powszechna, powieści, legendy i klechdy, te symboliki uczuć ogólnych nie były już główną osnową jego dzieł artystycznych; on teraz najczęściej zaczął udawać się do rzetelnej historyi, do prawdziwej natury po treść swoją. Tak tedy już z tego względu fantazyja mistrza a fantazyja powszechna odstawały od siebie. Ale nadto sama ta fantazyja powszechna osłabła w sobie i zwałtała, bo straciła jednolitą swoją moc: nowa nastąpiła epoka, runęły wieki średnie, zewsząd nowe wyobrażenia powodzia wylały się na Europę, uczucie nie mogło się upamiętać; więc i fantazyja powszechna się zachwiała, ta fantazyja, co była dawniej tchem żywotnym,

wszędzie rozlanym; ona, co była dawniej jakby akordem wszystkich tonów, wszystkich sere, ona teraz pozrywała struny, w sobie mącąc się i bałamucąc. I tać była druga przyczyna, dla której fantazyja artystyczna zerwała dawną ścisłość ślubów swoich z fantazyją powszechną gminu, i z tą symboliką jego uczuć.

Lubo zaś to zerwanie było stratą dla mistrza, przecież ją sobie wynagradzał w poezyi, malarstwie i rzeźbie; trudno mu jednak było zastąpić tę stratę w tym rodzaju sztuki, która właśnie jest wskrós symboliczną, która więcej niż którykolwiek inny rodzaj sztuki jest odbiciem zagadkowej treści zamkniętej w serca głębinach, w uczuciach na poły zrozumianych. Tą sztuką, jak ci wiadomo i jak dopiero co rzekłem, jest przedewszystkiem architektura. — Ona jest wskrós symboliczną, ona nie przemawia postacią uosobioną, wyraźną jak rzeźba lub malarstwo, ona nie przemawia słowami, mową jasną jak poezya; jój wyrazem jest symbolika płaszczyznu i linii; w niej ona składa przeczucia swoje i zagadki serca na poły zrozumiane, żyjące na dnie serca całego ludu; ona, więcej niż którakolwiek inna sztuka, spoczywa na uczuciach ogólnych, wszędzie rozlanych, i na fantazyji powszechniej; boć ona nawet niema, jak inne sztuki, oparcia i pierwowzoru w formach przez samą naturę podanych, w onych postaciach ludzkich, kształtach zwierzęcych, widokach kraju i wód i gór.

Jasna tedy rzecz, że gdy powszechna ta fantazyja, ta symbolika ludu stała się w XVI stóleciu czémś obcém dla mistrza, gdy ona w sobie omdlała, zwałala, — już tém samém i architekturze XVI stólecia zabrakło rodzimego źródła; nie stać było tej sztuki na zrodzenie

wskrós nowego rodzaju budowania, nowego architektonicznego stylu. Jeżeli zaś sobie zarazem przypomnisz, iż właśnie ten wiek szesnasty nawrócił do klassycyzmu, więc rzecz jest jasna, że architektura teraz, w tym braku rodzimego, swojskiego pierwiastku, udaje się do wzorów, które jej zostawił świat starożytny. Z tego zaś powodu ten nawrót właśnie się najwcześniej odbyć musiał we Włoszech, jako w kraju, który nawet przez całe średnie wieki patrzył własnymi oczyma na puściznę umarłego klasycznego świata. Gdy we Włoszech łącniej było o wspaniałe i majestatu pełne zwaliska rzymskie, co jeszcze harde i pyszne choć w upadku i ponieważ, niż o wzory hellenickiej architektury, ztąd też Włochy raczej z tych gruzów rzymskich, w których żył zaklęty duch pogromców świata, brały wzory dla swojej architektury. Tak stanęło budowanie, technące wspomnieniami Rzymu, owiane atoli chrześcijańskim powiewem; tak zrodził się ów pierwszy prześliczny *Renaissance*.

Ten styl Renaissance choć rzymski, przecież łagodny i wdzięków pełen, uśmiecha się bogatym przystrojem, brzmącym harmonią cudowną. Te ozdoby jego tak misterne, jakby były onych trzech graczy lubem marzeniem, a przecież są dziwnej szlachetności i czystości rysunku; te przystroje są tak zamożne, bujne, a przecież w nich nie widać napuszystości popisującej się próżnością; tutaj dobrze zrozumiane bogactwo obok zacnej prostoty; a lubo tu są wskrzeszone rzymskie formy, przecież w nich żyje świętością wiara. Jak to widzieć możesz mianowicie na budynkach, któremi zagrał na duszy melodyą kamienną Bramante (ur. 1444 † 1514); wszak on jest jednym z wczesnych



wyobraźników tej odrodzonej architektury (stylu *Renaissance*).

Jeżeli atoli zapragniesz zajrzeć w samo tajemnicze serce starorzymskich budowniczków, a zarazem obaczyć czem się staje ta architektura klasyczna, gdy ją wywoła gieniusz nowożytnych czasów, wtedy patrz na dzieła Andrzeja Palladio. Ten wielki mistrz a istny syn szesnastego stulecia (ur. 1518) w okrucach a zwaliskach zapadłej Romy podслуchał życie dawniej klasycznej fantazyi i umiłowal ją jako oblubienicę swoją i w tém swoim kochaniu stal się arcywładczą tej harmonii, co się rodzi z dzwicznęj proporecy a wymiarów w przestrzeni. Palladio atoli wskrzesił przeczyste architektoniczne formy starożytnych ludów, a jednak nie stracił siebie samego a własnej samodzielnej oryginalności, którą od natury wziął posagiem w świat; on do zmartwychwstania wezwał myśli, które niegdys robiły w duchu artystów-budowniczków, będących chwałą wieku Augustów, Trajanów, a przecież ten wielki mistrz, stawiając kościoły chrześcijańskie, dzwigając twórczą potęgą okazałe pałace, daje znać że go wykołysala wiara Zbawiciela, i że się wskrós przejął potrzebą, dążnością smakiem, obyczajem i całą atmosferą nowożytnych czasów. (\*)

(\*) Zaiste żalować mi przychodzi, że szczupły zakres tych listów nie pozwala nam bliżej przypatrzeć się, jakto pod tchem odradzających się sztuk i nauk klasycznych wykluwał się w architekturze styl Renesansowy. Byłoby to rzeczą arcy zajmującą obaczyć jak on się zachowywał do wyprzedzającej go architektury średniowiekowej, więc głównie do gotyckiej i romańskiej. Lubo mówiąc w jednym z powyższych listów o architekturze średniowiecznej ograniczyliśmy się stylem gotyckim,

Przecież, mimo potęgi tych gieniuszów, mimo sile-  
nia się tych świetnych mistrzów, architektura XVI stó-  
lecia nie miała w sobie zarodu wielkiej przyszłości.  
Bo gdy ta sztuka nowoczesnego budowania nie miała,  
jak się rzekło, własnej podstawy pod sobą, gdy jej  
brakło rodzimego żywotnego pierwiastku, z którego by  
się mogła rozwinąć i urosć sama z siebie, dla tego nie  
dziw, że się też wnet wypaczyła, że jej przemiany  
późniejsze nie były bynajmniej postępem. Co więcej,  
do dziś dnia nawet nie stać nas, by stworzyć właści-  
wy nam styl architektoniczny; dzisiaj najwyższym

---

bo on najwydatniej i najsilniej przedstawia nam ducha owych  
czasów, toć przecież i styl romański jest także, choć już słab-  
szym i mniej wyraźnym, odgłosem téj głębi duchowej, indywi-  
dualności, która była piętnem średnich wieków. Gdy atoli  
styl ten przez długi czas był przeważającym we Włoszech,  
więc w kraju w którym właśnie najwcześniej rozwinął się rene-  
sans, więc tém trudniej wykazałby nam przychodziło stosunek  
tego renesansu do poprzedzających go stylów i wykluwanie się  
jego z nich, nie wyświeciwszy wprzód istoty architektury romań-  
skiej; a która znówu była głównie wypadkiem stylów chrze-  
ścijańskich, więc bazylikowego i bizantyńskiego, choć za przy-  
czynieniem się innych jeszcze wpływów a mianowicie za dzia-  
łaniem rozwijającego się coraz postępu duchowego.

Dla uniknienia pomyłki czynimy atoli tutaj uwagę, żeśmy  
pod jednem ogólnem imieniem: *Renesansu* objęli i styl Braman-  
tego i Palladiusa; dla tego, bośmy tą ogólną nazwą pragnęli  
oznaczyć całą epokę odrodzenia. Przecież niechaj zechce pa-  
miętać młodszy nasz czytelnik że style tych dwóch mistrzów,  
lubo oba się poczęły pod wpływem sztuki klassycznej, są wielce  
od siebie różne. Prosimy również mieć na pamięci, iż styl tak  
wdzięczny, który zwykle w życiu renesans zowiemy (np. kaplica  
Zygmuntów w Krakowie), lubo jest także stylem odrodzenia  
(w ogólnem znaczeniu) ma swoje właściwe cechy, które go różnią  
od czystego prawie klassycyzmu, co go stworzył Palladio.

szczytem sztuki budowania jedynie są studia gruntowne stylów całej przeszłości i umiejętne ich naśladowanie! Przypatrz się budowom dzisiejszym; najlepsze z nich są najczęściej te, które są mistrzowskiem powtórzeniem dawnych czystych stylów, a te, które żadnej nie mają wartości, które są „murowaną niedorzecznością“ najczęściej bywają arlekinadą pomieszanych stylów.

Zważ jeszcze, że ten brak żywotnych warunków w architekturze nowoczesnej stał się przyczyną, że ona tak łatwo zmieniała się i przeradzała za dotknięciem schorzałego już czasu, lub w kapryśnych rękach wielkich mistrzów. Tak precudnej piękności Renaissance został zwichnięty w genialnym a zuchwałym ręku Michała-Anioła Buonarrotto; — on, tytan w ludzkiej postaci, dźwignął świątnię S. Piotra w Rzymie, na podziw świata, na tryumf śmiałości sztuki, przemagającej bezmierne massy i przestrzenie; ale te wszystkie tryumfy nie są tryumfem najwyższej artystycznej piękności.

Ten sam Michał-Anioł jest rzeźbiarzem: on młotem uderzył w głuche marmuru bałwany, a jak z przedświatnych bezkształtnych zamętów, wystąpiły na Boże skinienie światłości i słońca i księżycy, wszystko żyjące; tak za uderzeniem dłota mistrza tego, z bezkształtnych marmurowych bałwanów wystąpiły postaci jego. Te postaci, to nie wizerunki ludzi śmiertelnych; w nich żyją całe pokolenia, z nich patrzą na nas całe epoki i lat tysiące, one są odziane siłą i potęgą, jakby ich wykarmiły moce natury wstrząsające światem; a przecież na nich wyciśnięte piętno indywidualności; gdy stajesz w obec nich, czujesz, że to oblicze, te rysy, te

ruchy w kamieniu raz tylko w świetle się pojawiły, że one nie są ślepa, bezduszną abstrakcją — w nich tętni prawda żywa. Patrz na posąg Mojżesza, co jest najwyższym klejnotem jednego z rzymskich kościołów. Zasiadł zakonodawca tak poważnie i uroczyście, jakby na stolicy wszech ludów; w oczach jego i wejrzeniu, i w obliczu całym, w jego rękach, ba w szatach, we falach tej długiej spływającej brody technie i goreje duch meża, co sam na sam rozmawiał z Bogiem, wśród obłoków i błyskawic i gromów. Czujesz, widzisz duchem, że to jest mąż, co stworzył naród; owszem, co więcej dokazał, bo dźwignął z upodlenia naród swój, naród, co widział i Faraonów Egiptu i przepych Babilonu i Assyryą ludowładną, co zapamiętał, kiedy Rzym się rodził, co był przy skonaniu jego, który przeżył wszystkie ludy, państwa, wszystkie tysiące lat a przecież jeszcze snuje się pomiędzy nami, chodzi wśród ludów nowych prawnucznych, bo żyje swoją wiarą, choć w rozsypaniu, choć jest niby upiorem pośmiertnym przeszłości zapadłej. Buonarrottego geniusz, sam tak olbrzymiego a posepnego majestatu, zrozumiał onego prawodawcę bogochwalczego ludu, więc obaczył oblicze jego wśród błyskawic własnego swojego geniuszu.

Ten sam Michał-Anioł widział, jakby na własne oczy swoje, strachy i grozy ostatecznego sądu; on jakby stworzenia prorok patrzył na chwilę zrodzeń natury, na losy pierwszego człowieka, na jego winę i upadek; i chwycił za pędzel i w Sykstyńskiej kaplicy Watykanu w malowanych obrazach zostawił i ten sąd ostateczny i te wszystkie widzenia swoje, jakby epopeję Bożą, jakby dramat wiekuistości, i zostawił te widzenia swoje nadchodzącym pokoleniom na puściznę po

sobie a piorunne „memento“ swojego przejścia po ziemi.

A lubo Buonarotti jest malarzem, jakby od wiekui-  
stości w służby wziętym, toć nie on przecież jest wy-  
razem a uosobieniem malarstwa XVI stólecia. Michał-  
Anioł nie jest wyobraźnikiem ani żadnego stólecia,  
ani żadnej w szczególności sztuki, ani żadnego narodu;  
on sam siebie jest wyjawem, i dla tego wyobraża  
wszystkie czasy, wszystkie sztuki, wszystkie narody.  
Ztąd też nie Buonarotti ale Leonardo da Vinci stanął  
na reju temu świetnemu pochodowi malarzy wielkich,  
którzy przeszli stóleciem szesnastém przez świat na  
uczeczenie rodu ludzkiego. Leonardo jest zaiste pier-  
wszém uosobieniem i poczęciem sztuki nowoczesnej, on  
jest klasykiem i romantykiem zarazem. Z jedo obra-  
zów spogląda idealna piękność Grecyi i indywidual-  
ność chrześcijańskiego świata; tutaj wdzięki natury  
odziały ciałem one proroki, co wróżą o zbawieniu w  
głębiach duszy człowieka.

Leonardo bada przyrody tajemnice, on zgłębia  
prawdy matematyki, dokonywa cudów w mechanice;  
a przytém harcuje na koniu i składa się orężem jakby  
rycerz średniowiekowy; on najurodziwszym mężem  
swojego czasu, on wielbi piękne panie, a obok ziem-  
skiego kochania żyje w sercu jego niebiańskiej miłości  
kwiat: więc też Franciszek I. król francuzki, co sam  
był uosobieniem monarchii XVI stólecia, uczcił sam  
siebie uwielbieniem i serdeczną przyjaźnią dla malarza,  
który w skonaniu umarł w objęciach króla, a umarło  
i arcydzieło mistrza: owa Wieczerza Pańska w refe-  
ktarzu medyolańskim! Moce bezmyślne natury i dziksze  
jeszcze barbarzyństwo ludzi zabiły, sponiewierały na

ścianie te postaci święte! Przecież w tejże lombardzkiej stolicy, w jednej z bogatych jej galeryi znajdziesz dziś na jednej ze ścian zawieszona ramki skromne — za szkłem papier zmięty o roztrzępionych, podartych brzegach, na nim malowanie o lekkich rzutach, niedokończone, tu i ówdzie przebijają jeszcze zarysy ołówka — to głowa Zbawiciela, to karton do onej wieczerzy — on się zrodził w natchnieniu, w zachwycie nadziemskim Leonarda. Zaiste, gdy zanurzysz duszę w tym strzępku papierowym, wyznasz że łaska Boża tchnęła na duszę mistrza, by dreszczem przecucia rozebrał serca ludzi, by je przejął rozrzewnieniem gorącym bezmierném. Mistrz przywiódł tu na oczy cielesne i żal niebiański do zradnego ucznia, i przebaczenie i słodycz nadziemską! Wiekuistość i doczesność spłynęły w tém obliczu. Znać że Leonardo widział oczyma geniuszu dzieje Boże; widział, jako ludzki ród uwiedziony samowolą odstaje od miłości wiekuistej, jako wiekuista miłość zstępuje do niego na ziemię, i sama staje się człowiekiem, i w postaci ludzkiej cierpi jak człowiek, umiera jak człowiek, a tak ześlubia znów człowieka z niebem, godzi wiekuistym okupem wiekuistość z ziemskim żywotem.

W sąsiedztwie starego rzymskiego forum i mamertyńskich więzień, tuż pod kapitolium, w akademii świętego Łukasza jest także malowanie nadpsute; treść jego taka: malarz pracuje nad obrazem Najświętszej Panny; oczy mistrza jaśnieją blaskiem nie z ludzi poczętym — oblicze jego goreje światłem promienném. Obok na poly dokończonej pracy jego stanął mu wzór — widziadło lekkie, przejrzyste, wdziękiem nadświatnym odziane, — to sama Boga-Rodzica. I wpatruje się

mistrz w niebiańskie widziadło; więc jaśnieją oczy jego blaskiem nie z ludzi poczętym! Obok krzesła natehnionego malarza stanął młodzieniec urodny; z napiętą duszą wpatruje się w prace starszego mistrza i tonie w powstającym obrazie, i uczy się jako malować Królowę Nieba, uczy się wcielać i w barwę i w postać widomą niewinność anielską, dziewiczą i kochanie, co nie ma granic: otoż tym mistrzem malującym, któremu modłą jest widziadło nadniebne, tym mistrzem jest Łukasz Ś.; a młodzieńcem, co uczy się od niego, jak malować Matkę Bożą i niewinność anielską dziewiczą i kochanie, co niema granic — tym młodzieńcem jest Rafael Sanzio z Urbinu. Wszak ten obraz cały w Akademii jest jego ręki.

Powiedz, jeżeli pomyślisz duchem o wizerunkach Boga-Rodzicy, onej przeczystej lilii niebiańskiej, czyliż duchem nie złączysz jej postaci ze wspomnieniem o Rafaelu, co czyste niby lilia ziemską! Tak w duszy twojej ciałem przyémionej żyją i wizerunki niebiańskiej Maryi Świętej, i żyje pamięć Rafaela malarza z Urbino — co rodził się w Wielki Piątek i umarł w Wielki Piątek — w dniu najwyższej boleści i najwyższej chwały Boga-Bodzicy.

Słuchaj słów, które wyrzekł o Rafaelu spółczesny mu Vasari: „O szczęśliwości i błogosławieństwa pełny duchu! O tobie z roskoszą człek każdy rozprawia i sławi czyny twoje, i podziwia dzieła twoje. Zaiste, gdy mistrz ten umarł światu, mogło umrzeć i malarstwo; gdy on zamknął powieki, mogła też olsnąć sztuka na zawsze!..... Niebo tyle mu udzieliło miłości, że wszyscy artyści nasi, którzy z nim spólnie pracowali, łączyli się związkami serdecznym, wzajemnym;

a gdy on w ich kole się zjawił, już z serca każdego ustąpiła wszelka żądza niedobra; na sam widok mistrza tego uleciała każda zła, niezacna, pozioma myśl. A to się stało, bo każdy był oczyniony jego uprzejmością i artystycznym geniuszem, a więcej jeszcze czystym sercem jego, które już było tak szlachetne i tak miłości pełne, że nie tylko ludzie ale i zwierzęta oddawali mu cześć!“

Podobno trudno nam już dodać więcej do tych słów zacnego Vasarego; wspomnij sobie tylko jeszcze ten orszak szkół, które chwałą wiekami nieprzeżytą rozwinęły się po miastach włoskich, a mianowicie te szkoły, co je urodziła Wenecya. Wszak mistrzowie Wenecyi malowali tak, jakby już to czyste niebo nad niemi, palące się w barwy tęczowe, było ich paletą malarską, a o których tak trafnie wyraża się A. Raczynski, mówiąc, że ich obrazy, to kwiaty żywe, rozsypane na tle jasnego srebra. W Wenecyi geniusz malarski nawrócił silnie do natury i pokochał ją rzewną, gorącą miłością; na tych obrazach postaci cudowne tchną radością i weselem doczesnym; a przyroda w koło i jej góry i morza i rośliny i zwierzęta obchodzą jakby święto stworzenia swojego.

Wszelako nie brakło i europejskiej północy wielkich malarzy; więc na północy, na południu i na wschodzie i na zachodzie obaczysz miłość do natury, lecz miłość ta wszędzie unosi naturę w świat niebiański piękności idealnej. Piękność ta nie tylko uczciła ideałem postać człowieka, ona sercem szerokim, wielkim i zycznym rozlała promienie swoje na całą naturę, a nawet i na tę cichą, bezduszną w koło przyrodę; ona uduchowniła swoim kochaniem wszystkie stwo-



zenia ziemskie. Tak też zrodziło się na świat piękności malowanie widoków natury — pejzażów, co już jest najwyższą oznaką ześlubienia się powtórnego sztuki z przyrodą.

Już dawniej rozwinąłem ci zdanie, że rzeźba ze samej istoty swojej jest nad wszystkie inne sztuką klassyczną; widzieliśmy zarówno, że malarstwo ma to do siebie, iż w niem nikną wymiary materji, że oddalenia, skrócenia, światła i cienie nie istnieją w rzeczywistości, ale istnieją jedynie dla widza obrazu, że tedy malarstwo jest sztuką już więcej idealną, duchową, niż rzeźba. Otóż zrozumieć możemy dla czego i w XVI wieku mimo geniuszu Michała-Anioła, że i później za naszych czasów, mimo świetności dłota Thorwaldsenów, rzeźba była zawsze i wszędzie uczennicą klassycznej skulptury, gdy przeciwnie malarstwo chrześcijańskie roztworzyło sobie nowe światy dla swojego żywota i swojej chwały.

Gdy zaś ludom chrześcijańskim odsłoniły się czarniejskie dziedziny malarstwa, cóż dopiero się dzieje muzyka, z oną sztuką duchową, o eterycznej postaci, której stopa nie dotyka się już przestrzeni ani czasu, i jakby zwłoki doczesne zmiata z siebie szaty materji. Wszak muzyka niby woń przywiana z rajskich ogrodów, niby szept miłości wiekuistej, ona nie dojrzana śmiertelnemu oku — dowidzisz jęj zjawienia tylko po łączce rzewnej, po rumieńcu, co obłoczkiem przelatuje po licach, po tęsknem serca pukaniu. Muzyka nade wszystkie sztuki jest sztuką idealną; ona przemieszkuje w sanctissimum duszy naszej, ona tą kapłanką świętą, co najwierniej pilnuje ognia niebiańskich uczuć człowieka.

Wiesz, jak to w wiekach średnich w ród ludzki padł błogi zaród muzyki przyszłej; wszak już z niego miały się cudownym kwiatem rozwinąć tajemnice kontra-punktu. Te średnie stolecia atoli z istoty swojej nie zdołały wypielegnować téj roślinki niebiańskiej. Bo choć w sercu ludzkości wiara rozwarła bezdenie nieskończone, a tak nauczyła człowieka czuć ogromne swoje znaczenie; toć właśnie, jak już dawniej rzekłem, to znaczenie wiekuiste było po ziemsku poczone i wyrodziło się w dufność w siebie bezmierną, w samowolę osobistą, w kapryśną ochotę popisywania się samym sobą a pomiatania rzeczą. To odnoszenie się do siebie samego a poniewieranie rzeczywistością i prawami, które w niej władają, wylęły z siebie w średnich wiekach oną filozofią scholastyczną, co ślepa na istny, zewnętrzny świat, na zakon, którym się rządzą i rzecz. duchowe i zmysłowe, puszczała się łózem w subtelność czczych syllogizmów, w których już nie o to chodziło co jest prawdą w istocie, ale o to, aby okazać misterność własnej (osobistej) bystrości rozumowej; tak te wyradzała się w sztuczne, pedanckie gadaniny. Ot to samo odnoszenie się do siebie a poniewieranie rzeczywistością i prawami jej, ta sama dufność w osobistą samowolną powagę pogwałciła świętokradzko muzyk. Muzyka, ta córka nadziemskiej krainy, była zwichni kaprysem kompozytorów, spaczona grymaśną ich ochotą popisywania się. Tak zwolna melodia zupełnie zagięła, a na jej miejscu występuje silenie się na sztuczne subtelności kontra-punktu. Gdy muzyka gminu nieuczna śpiewała sobie od serca, gdy trzymając się li wrodzonych uczuć, nie opuszczając świeżego źródła natury, zachowała i prawdę swoją i wdzięk melodyi;

inny kierunek wzięła muzyka umiejętna, a mianowicie kościelna. O tém wszystkiém wspomniałem atoli obszernie w liście ostatnim. Słuchaj, co nam spólcześnie prawią o tej muzyce: „im kombinacye dziwaczniejsze i powikłańsze trudności, im mniej Kanon jaki podobny do rozwiązania, tém piękniejszą zdawała się być muzyka, a kompozytor nazywał się boskim mistrzem.“ Ta swawola wyrodziła się nawet w niezręczne proste burdy; tak donoszą nam np.: „że gdy jeden głos śpiewał pieśń *alma mater*, drugi swoim dworem *Regina coeli*, a trzeci sobie *inviolata, integra, casta*.“ Wszak i na naszej północy pewnie nie było lepiej, gdyż Jan Kochanowski żaląc się mówi: „wniesiona jest muzyka „do kościołów i tak postanowiona aby ludzie ku na- „bożeństwu pobudzała: czego tak dalece ci nowi pro- „rocy nie baczą, którzy mniemają, że to wszystko w „taniec kiedy organy słyszą i tym kościoły porządne „ludziom hydzą.“ i t. d. (*W. ózki*.)

Znać, że muzyka podnieść się mogła z upadku poniewierki w tym dopiéro czasie, gdy człowiek zaczął uznawać prawa rzeczywistego świata, prawa ogólne, a tém samém ukrócił w sobie samowolę osobistą, i wziął samego siebie w karby; a takim czasem, jak wiesz, był właśnie wiek XVI.

Jak muzyka rozwiązuje sprzeczność tonów zlewając je w harmonią, tak i fantazyja artystyczna XVI stolecia, jako rzekłem, umiała zjednoczyć sprzeczność, zestrzajając w harmonią świat wewnętrzny i zewnętrzny, myśl i naturę, ducha nieprzebrane głębie i rzeczywistość doczesną.

Jak stolecie XVI było epoką odrodzenia muzyki, tak nie trudno zgadnąć, że potęgą odrodzenia i podniesie-

nia jój z upadku i poniżenia był kościół; boć muzyka jest nad wszystkie inne sztuki sztuką chrześcijańskich ludów, z nią zawarła wiara zacne przymierze swoje. Tak się też stało. Na Trydenckim Soborze, a 22 posiedzeniu jego, właśnie w połowie Września r. 1562, zapadła uchwała stanowiąca o przeistoczeniu muzyki kościelnej.

A gdy dziś po blisko trzechset latach odbywasz pielgrzymki wędrowne po przestrzeniach bezmiernych kościoła Ś. Piotra w Rzymie, gdy ta świątynia, jakby nie przez ludzi śmiertelnych dźwiguiona, obejmuje cię w koło ogromem swoim niby światem Bożym, wtedy w nawie poprzecznej okazują ci miejsce, kędy złożony: „Johannes Petrus, Aloysius, Praenestinus, Musicae princeps“ — To jest Palestryna! to on człowiek, co tak godnie i święcie odpowiedział nadziejom soboru zebra nego w Trydencie.

Po śmierci Palestryny znaleziono na jednej z jego mszy skreślone słowa: *Domine illumina oculos meos* (Panie rozświeć oczy moje!) Snać, że zacny mistrz z Bogiem poczynał prace swoje. Więc też te ton, nieskończone harmonii cudownych, te dźwięki co rozlane po światów przestrzeni przygrywają gwiazdom cichą pieśnią, wodząc uroczysty pochód ich, te harmonie i akordy, co zabrzmiały, gdy się światło rodziło, a co prowadzą ludzki ród przez stolecia i lat tysiące; te spółdźwięki i tony Boże, co grają choć niedosłyszane w sercu każdego uczciwego człowieka, te tony, harmonie i akordy wszystkie zebrały się w duchu Palestryny; a co mistrz od Boga otrzymał, toć wszystko oddał wiernie ludziom śmiertelnym — on muzykę niebiańską, przedświatną przetłómaczył na muzykę ziem-

ską. Te kompozycje jego już mieszkają między ludźmi; one to jedne z tych aniołów co stanęły dziejom ludzkim na straży, by nie zdziczały chucią zmysłową i nie przepadły w zapomnieniu siebie.

Są, którzy porównywali Palestrynę z Homerem, lub z Platonem, a to już zapewne dla tego, że Homer plastyczny, że on jest wieszczem zapominającym siebie i osobiste ocboty swoje w postaciach, które z duszy swojej wyspiewał, im się już w zupełności oddając. Wszak i Plato tonie w nadświatnych ideach, w onych pierwowzorach wszechrzeczy stworzonych, wykazując marność jednostkowych jestestw i wyobrażeń osobistych. Podobnie jak Homer, jak Plato, Palestryna też nie siebie ma na celu, nie o własną osobę, tę jednostkę mu chodzi, on oddał siebie wiekuistym piękności pierwowzorom. Dla tego on żyje i żyć będzie po wieki; bo to tylko umiera śmiercią, co się samolubnie buntuje ogólnym prawdom, siebie na szczycie stawiając; co zaś żyje w prawdzie, toć jest wiekuiste, jak prawda ma. Malarze uczą się na obrazach wielkich mistrzów .VI stolecia, architektura ćwiczy się na wzorach Helleńskich i gotyckich, rzeźba wpatruje się w puszczoną bogatą, która jej po świecie klasycznym i po wiekach Michała-Anioła została. Słuszność tedy, jak myślę, mają znawcy muzyki gdy się dziwią, dla czego sami muzycy tak są trudni, by się uczyć od Palestryny albo od Orlando Lasso, co przecież swojego czasu był także cudem. A lubo często gęsto mowa o tych mistrzach sławnych, toć przecież nie usłyszysz ich muzyki, a już do nadzwyczajnych zjawisk należy, gdy kiedyś duszę skąpać i pokrzepić możesz w dziełach światopomnych Sebastjana Bacha. Muzyka Palestryny

stanęłaby za niejednen z dzisiejszych koncertów, a równie nam słuchającym profanom jak i artystom poszłaby na zdrowie. Lecz aby go słyszeć trzeba aż do Rzymu jeździć. (\*) Boć tam do dziś dnia w kaplicy Sykstyńskiej watykańskiej, w wielki tydzień, gdy kaplica obrana ze wszelkich przystrojów, оголоcona z przepychów bogatych, świeci jedynie malowaniem Michała-Anioła — wtedy, w obec jego Sądu Ostatecznego, co grzmi zgrozą i strachem — płacze, kwili się muzyka Palestryny. Wtedy roztapia się serce, choćby od wielu lat oskorupiałe cierpieniem lub pychą, wtedy myśl ulatuje po nad doczesności doliny; żalność, pełna niebiańskiej słodyczy, radości i tryumfu, nieskończone tęsknoty wpływają w duszę słuchacza, budzą w niej i rozwiązują najgłębsze tajemnice życia i śmierci, tudzież wszystkie świata zagadki. Boć też i skon i boleść ścisnęły serce samego mistrza i zwróciły je ku ni-  
nym wysokościom. Palestryna stracił przez swoją małżonkę ukochaną; on w żarach swojej ro-

(\*) Właśnie atoli dowiadujemy się z Kolonii, cna i prawdziwa miłość do staréj muzyki kościelnej miała towarzystwo muzykalne w Brühl (nad I wienia kompozycyi starych mistrzów. W Sierpniu 1871 śpiewano tedy między innymi arcydziełami także trzy kompozycye Palestryny: *Missa solemnis Papae IV. alma redemptoris mater*, i psalm *Jubilate Deo*. Ze wykonania odbyło się w sposób znakomity, widać z tego że przeszło 200 dzieci z różnych szkół elementarnych całej okolicy śpiewało Soprau i Alt. Do miasteczka Brühl zjechała się publiczność ze wszystkich stron, wiedzona uwielbieniem dla muzyki staréj. Takowe koncerty odbywać się będą co rok; założycielem tego towarzystwa muzykalnego i jego duszą jest proboszcz katolicki małej miejsciny i przyjaciel jego nauczyciel szkoły elementarnej.

stał u grobu kochania swojego i zaśpiewał muzyką, pieśnią; i śpiewał Palestryna u grobu małżonki swojej a tęsknił, aby w rychle się z nią połączył; ale znowu padły na niego lęki i powątpiewania, bo zgrozą i mrozem przejęła go myśl, że jego własne winy a grzechy odgradzą go może na zawsze, na wieczność całą od żony ukochanej! i paliły lęki w duszy jego, i żary boleści — Anioł muzyki utulił boleści wybranka swojego — śpiewał u grobu małżonki Palestryna a tony pieśni jego ulatywały do nieba, do gwiazd, i wracały z nieba rosą, — rosą niebiańskiej pociechy!

Jeszcze żył Palestryna, gdy umierał Correggio, co kże piękności wybranym ulubieńcem; on przed śmiercią zasnął, i obudził się raz jeszcze, raz ostatni na zeszkłone oczy zapromieniły ogniem i szepnął: „Wielki umieram, bo będę połączony z Palestryną, i w Niebie“ poczem skonał wielki

tego jeszcze roku, gdy z processyą uroczystą wzięli zwłoki Palestryny pod sklepy kompozycye śpiewając, przybył w jemu wieszcz. On jeszcze w pełnej potędze swojego, ale o znękanem padającym się sercu, a wybladłem, schorzałem, o ranie śmiertelnej uszy. Papież wezwał do Rzymu wieszca, by był uczony najwyższą chwałą, bo ukoronowany wieńcem laurowym na kapitolium, — na kapitolium w obliczu wiekuistego Rzymu i w obec świata całego. Papież, pragnąc by wysłannicy różnych ludów Europy mogli zdążyć na koronacyą Tassa, odroczył uroczystość świąteczną na wiosnę, na czas gdy natura się wieńczy

w kwiaty, gdy ptaki śpiewają swoje radości weselne.

Tymczasem przycisnęła zima szarugą słotną naturę; bladły, bladły lice schorzałego wieszczą, a głębiej, głębiej roztwierała się śmiertelna rana w duszy jego.

Na onęj starosławnej górze Janiculus stanął klasztor Ś. Onofrio; w głębinach, u podnoża rozkłada się mapę Rzym chrześcijański; a dalej, dalej, rozwaliska niegdyś starorzymskiej pogańskiej stolicy. Do tego klasztoru zaniesiono omdlałego wieszczą. On tak z serca pragnął przemieścić zimę w celi samotnej, cichej, odsuniętej od gwarów światowych, i w tej celi, cichej jak trumna, skonał Tasso na wiosnę; wtedy właśnie, gdy kapitol Rzymski, gdy zebrana Europa czekała go napróżno z wieńcem laurowym.

Dziś osiwiwały zakonnik prowadzi cię ścieżką przez sad klasztorny. Tyki z pnącem się winem, — jarzynne grządki, — a w dali resztki zwalonego dębu. Pod tym dębem siadywał w dni pogodniejsze zimowe Tasso umierający, i patrzył na nieprzeliczone świątnice i kopuły, co w głębi, jakby wyspy skalne, wznoszą się nad morzem kamiennem ulic, rynków nowego Rzymu, i znów oczy zapuszczał w dal zieloną, kędy wśród bukietów drzew i ogrodów i pol dźwigają się harde, pełne majestatu zwaliska, niby pośmiertne pomniki dawnego Rzymu, i widział jak kroczy Tyber odwiecznym, uroczystym pochodem i szepce o starych latach, bo on sam jeden tylko pamięta dzieje zapadłe. Wyprowadzano wieszczą umierającego pod cień starego dębu i on rozmawiał z dziejami świata; aż i nie wrócił więcej pod stary dąb, skonał w celi swojej cichej, samotnej. Dziś w tej celi cicho, spokojnie,



uabożno. Krzesła drewniane, stół, szafa, łoże proste, — toć puścizna cała po wieszczu zmarłym; w ramach za szkłem list ostatni Tassa, pisany przed skonem do przyjaciela Antonio; do tego na ścianach napisy chwalne późnych pokoleń i porozwieszane wience laurowe zwiędłe, rozsypujące się w pył.

Choć się atoli rozsypują zwiędłe wience na ścianach, „Jerozolima wyzwolona“ zieleni się wiecznie w świeże laury i w kwiaty nigdy nieumierającej chwały.

Poemat Tassa jest przejęty wskróś fantazyą właściwą XVImu stuleciu. Żyje w nim życiem pełnem, potężnem i duch klassycznego świata i duch romantycznej poezyi. Jakoż znać z tych pieśni wyuczenie się mistrza na wzorach klassycznej literatury, znać nawet, że Virgilius był wybranym przewodnikiem jego. Dalej obrazy cudowne przyrody, przedmiot wzięty z prawdziwych dziejów świata, forma wdzięczna, wykończona wieszczą artystycznością, są z jednej strony cechą nieśmiertelnego dzieła.

Drugiej zaś strony również w tych pieśniach romantyczna tętni pulsem świeżym, a zwłaszcza instek wewnętrzny człowieka, ono opieranie się doznaniu własnem, na potędze osobistej, i znać o sobie daje; wszędzie też widać nieśmiertelnego człowieka nad światem ze-zaś okazuje się i pod względem pod względem usposobienia mistrza

Tę przecież osnową a treścią jest czyn najwięcej romantyczny romantycznych czasów! — bo wojny krzyżowe. Tak tedy figury pojedyncze są to właśnie

one rycerze, z których każdy, na sobie się opierając, idzie za osobistém wewnętrzném natchnieniem, sobie ufając i mniej bacząc na świat zewnętrzny; są to właśnie postaci, które ci skreśliłem w jednym z listów o fantazyi romantycznej. Drugą zaś cechą romantyczności jest tutaj własny stosunek Tassa do tej treści pieśni jego; bo lubo śpiewca trzyma się wątku prawd historycznych, przecież własne jego uczucia gorące, to serce jego płonące żarem, cała wewnętrzna osobista jego treść przeniesione są do pieśni jego. Tak historia, którą on śpiewa, jest raczej historią jego własnej duszy; te figury, które on maluje, są raczej uosobieniem jego uczuć, są naczyniem jego wesela i boleści. Nie są to przeto figury plastyczne w znaczeniu ścisłym, bo mistrz nie oddaje im się w całości, nie zapomina samego siebie w nich; on zanadto zajęty własném życiem wewnętrzném, aby się mógł oddać w zupełności zewnętrznemu światu, który żyje w poemacie jego. Dla tej natury lirycznej jego epopei, przedmiot nie jest wyczerpanym w całej głębi swojej, wiele jego stron nie było wcale tkniętych przez Tassa; eo więcej, dla tej liryczności, przeważającej w wieszcu, cała też epopeja nie jest sama z sobą ściśle powiązaną; mógł ją tedy lud włoski rozebrać sobie na pieśni pojedyncze i nucić z niej najcudniejsze ułomki. Wszak do ostatnich czasów i rybak w Sorrento i gondolier wenecki śpiewali pieśni jego Jerozolimy wyzwolonej. Dziś w Sorrento zaledwie ci dom wskażą, kędy się rodził wielki mistrz; nie wiedzą że wśród ich ojców żył niegdyś Tasso, jako żebrak obłąkany; a w niemocie i w ciszy bezspiewnej przesuwają się, jakby czarne trumny, gondole po lagunach Wenecyi,

onej wodnej pani, co płynie w głębokiem tęsknem milezeniu na falach, niby marmurowa lilija morskich topieli.

Dopełnieniem Tassa jest Aryost; bo lubo ten, również jak Tasso, stał się istnym wyrażeniem XVI stolecia, toć przecie jest mu wręcz odwrotnym.

Tasso ukochał sobie przedmiot ściśle historyczny; ale, malując ten przedmiot, raczej siebie w nim maluje; w obrazach jego jaśniej, promienieją barwy i światła własnej duszy jego. Odwrotnie Aryost w swoim „Orlando“ (czyli Rolandzie) wymyślił sobie przedmiot; ten więc przedmiot nietylko nie jest uniesiony z dziejów, nie pożyczony z rzeczywistości, lecz jest wskrós fantastyczny; za to znowu ten przedmiot, choć urodził się w zupełności z duszy mistrza, nie jest bynajmniej odbiciem tego wnętrza jego, tych uczuć jego; ta jego popeja nie jest tedy bynajmniej natury lirycznej. Aryost przedstawia przedmiot swój wskrós plastycznie; jego sceny i figury nie są bynajmniej wyobraźnikami uczuć poety, ani jego indywidualności osobistej; te postaci jego mają własną swoją indywidualność, własną flzyognomią; one mówią i działają za siebie, wedle własnego usposobienia swojego. Te sceny, figury wio-ają ród swój z wnętrza poety, w niem są poczęte; lecz one działają wedle usposobienia własnego, a to znowu usposobienie nadał im sam mistrz. Co więc, one są dziećmi fantastyczności tak kapryśnej, żeć się zdaje jakoby Aryost stroił sobie żarty ze wszystkiego, co tylko fantastyczne, ba! rzekłbyś nawet, że sobie drwił ze samej poczty fantastycznej, bo tak w niej przesadzał. On roztoczył istny świat czarnoksiężki. Niby snem na jawie przemykają się cudotworne sceny i obrazy, a są

to żyjące, żywe obrazy, wrzące krwią i zmysłowością; a te postaci i sceny, te wypadki i ta natura cała mienią się, migocą jakby w ogniach sztucznych; bo na figury i naturę Aryost puścił poświatę magiczną, uludną. W epizodę jedną wplata się druga, a w tę drugą znów trzecia; tu nie niema statku ani celu, tu niby wszystko igraszką swawolnego trafu, tu wszystko się gmatwa, wikła; bo to państwo oczynienia, cudów i dziwów. Tutaj dokazują czarnoksiężniki i czarodziejki, hulają karły, olbrzymy, wszędzie awanturują się rycerze waleczni i damy prześliczne, harcują bohaterzy o tarczach zaklętych, świecą zamki urzeczone, mroczą się gaje pokusne. Ale już pierwszym czarnoksiężnikiem w tym świecie czarnoksiężkim jest sam Aryost, on gospodarzem a pierwszym cechmistrzem w tym świecie uludnym, cudnie pięknym, choć tak bajecznym i szalonym. Te pieśni Aryosta o Rolandzie, toć iście kwintessencya a wyskok w najwyższej potędze onych bajeczek romantycznych, które na nas spłynęły po poetach stóleciów średnich, tych bajeczek i powieści tak wdzięcznych i powabu pełnych, lubo tak majaczych i cudaczych; z tą atoli różnicą, że gdy owi poeci średniowiekowi prawią sobie na dobre te bajki cudotworne, Aryost zaś drwiarz maluje tę cudotworność romantyczną w szalonej przesadzie; sam się uśmiecha nad dziełem swoim, a tak dowodzi, że jest iście już synem nowej epoki w ludzkich dziejach.

Już Karol V, dwóch światów pan, uwieńczył był wawrzynem Aryosta; już sława wieszczka tego obleciała oba te światy, gdy od ostatnich kończyn zachodniej Europy, od pbrzeżów portugalskich zabrzmiała pieśń wzniosła, harda, świetna; zaśpiewał ją Kamoens.

Wieszcz portugalski czuje się być wznioślejszym od Aryosta i woła, że wyższe dzieła śpiewa niż Rolanda sprawy! — I Kamoens miał słuszność; on zaprawdę jest wieszczem XVI stulecia w całym, pełnym znaczeniu. Gdy Tasso obiera sobie przedmiot z rzeczywistego świata, ale zamienia go na wyraz wewnętrznych uczuć swoich, gdy odwrótnie Aryost czerpie treść z własnego wnętrza swojego, ale, raz ją stworzywszy, obchodzi się z nią jakoby z przedmiotem rzeczywistym, prawdziwym, nie pokazując już w nim uczuć swoich własnych, toć Kamoens łączy i Tassa i Aryosta w Luzydzie swojej.

Kamoens, równie jak Tasso, ujął w swojej pieśni treść pożyczoną z rzeczywistego świata, ale on, równie jak Aryost, obchodzi się z treścią swoją jako z przedmiotem rzeczywistym; Kamoens, podobnie jak Tasso, wlewa w przedmiot uczucia swoje i całą treść wrzącą, kipiącą serca; ale w tém znów równy Aryostowi, że postaci, sceny, figury, które przedstawia, nie ulatniają się z serca tonami; one, choć są uobrazowaniem uczuć wieszczą, zachowują całą plastyczność; one działają, mówią, ruszają się po swojemu, nie tracąc własnej swojej fizyognomii; — mistrz w nich tonie, im się całkiem oddając, im się powierzając. Tak świat wewnętrzny poety a świat zewnętrzny rzeczywisty, będący przedmiotem jego pieśni, zestroiły się w harmonią prawdziwie mistrzowską, klassyczną.

Pytasz zaś, skąd te dziwy, pytasz skąd wieszczowi temu ta potęga zestrzajająca tak wszechmocnie ostateczności wręcz przeciwne? — Kamoens mógł przelać serce swoje w przedmiot historyczny a przecież nie spacyć uczuciami osobistemi przedmiotu tego; bo uczu-

cia jego, choć wrzące, gorące, nie były uczuciami li osobistemi, one były serdeczną miłością dla treści, którą śpiewał. Podobnie i przedmiot jego zdolny być przedmiotem uczuć ciepłych, obecnych w piersiach śpiewaka; bo przedmiot ten, choć historyczny, nie jest światem tak obcym i oddalonym, jak wojny krzyżowe, które śpiewa Tasso, ani jest przedmiotem zmyślnym, jak również obcym i cudzym sercu, jakim był świat fantastyczny, migocący się w pieśniach Aryosta, w który sam Aryost już nie wierzył: — słowem treścią pieśni Kamoensa były wielkie czyny własnego ludu jego, tym przedmiotem była świetna chwała Portugalii, ojczystego, serdecznie od wieszca ukochanego kraju. Tak tedy Kamoens mógł zestroić serdeczne uczucia wnętrza swojego z przedmiotem rzeczywistym, historycznym. Rycerskie wyprawy ziomków jego do Indyi zagrzmiały podówczas po wszystkich krajach i ludach; więc wieszcz zachwycony obrał sobie te wyprawy, te dzieła bohaterskie za osnowę swojej pieśni i uczcił je najwyższą ezcją i uświęcił najwyższém uwielbieniem, najwyższą miłością. Tak tedy co było u niego w sercu, co było pragnieniem kipiącém duszy, co radości, wszystko to miało ziszczenie swoje w przedmiocie prawdziwym, rzeczywistym, i nawzajem, co było w tym przedmiocie zewnętrzném, brzmiało i żyło życiem głębokiém w sercu wieszca.

Takie to jest rozwiązanie tych dziwów! ztąd to przyszła Kamoensowi ta potęga jego pieśni! Geniusz od Boga mu dany, wypiastrwany miłością wielkich spraw własnego kraju, urósł w olbrzyma!

Więc słusznie tedy zaeny wieszca bohaterów swoich wyżej kładzie nad Rolanda i całą drużynę rycerzy

Aryostowych; mógł tedy w pieśni swojej zwrócić się do swojego króla śpiewając:

„Osądź, sławę poddanych słysząc w wierszu pianym,

„Czy lepiej nimi rządzić, niż być świata panem?

„Słuchaj! a nie usłyszysz w pieśni moich treści,

„Ani czczych bajek, ani dziwacznych powieści;

„Ujrzyś jak nad zmyślanie wyższą wielkość szczerą,

„Przedniejszą niż Rolanda sprawy lub Rogiera.“

(Pieśń I. tłum. J. Przybylskiego.)

Kamoens zaiste spłynął z przedmiotem swoim, on sam jest wieszczem-rycerzem, on sam walczy za chwałę swojej Luzytanii, a składa pieśni wśród łomotu bitwy; on uczczony kalectwem na oko, strzałem. Kamoens wieszcz-żeglarz płynie po dalekich Oceanach; wszak nawet pewnego razu zgruchotał się statek jego; wtedy Kamoens wśród bałwanów walczy z nimi o życie; lecz po nad pieniające wody podnosi rękopism pieśni swojej, która będzie chwałą i mistrza i kraju i Europy wszystkięj.

Jak Luzyada jest poematem romantycznym już nawet dla samej romantycznej treści swojej i dla głębokich uczuć mistrza, tak znowu ma cechę klasyczną dla onego cudownego zestroju wnętrza poety ze światem rzeczywistym zewnętrznym; ta harmonia czyni Kamoensa śpiewakiem do Homera podobnym. Dodaj jeszcze do tej cechy dźwięczną formę jego śpiewu, a nade wszystko przepyszne obrazy indyjskiej przyrody, którą on widział w całej butnej, przemożnej potędze, choć tak pełną wdzięku i uroku, a zgadniesz jaki duch, jakie moce przebywają w tych pieśniach jego. Ten też duch a moce pokrzepiały go i tchnęły na niego pociechę i wytrwanie, gdy w późnej starości stracił

podporę w królu swoim, co zaginął w afrykańskich wojnach; ten duch poił wieszczą pociechę, gdy on, śpiewca chwały ziomków swoich, żywił się jałmużną, którą wyprosił od ludzi sługa jego, chodząc nocą po ulicach i żebrząc za swojego pana.

Ale nagiął czas — był czas wielki, aby wieszczowie obu półwyspów południowej Europy pośpieszyli się z Epopeją; boć w sąsiedztwie ojczyzny Kamoensa, w Hiszpanii, mniżej szczęśliwie rozwinął Epopeję swoją Alonzo d'Ercilla, mimo świetności swojego talentu i mimo cudnych ustępów swojego poematu. Co więcej, w tej samej Hiszpanii zjawił się Romans niby epopeja, niby żart co śmiejąc się płacze. W tym romansie zajaśniała niby błyskawicą wiedza o tych światach sprzecznych sobie, które tak cudnie zestroił z sobą Kamoens, wiedza co niby wróżka odgadła gotującą się w świecie sprzeczność między ideałem w sercu wypieszczonym a życiem zewnętrznym — między uczuciem ciepłym duszy a rzeczywistością zimną — między duchem a zmysłowością. Mistrz genialny przejrzał wskrósł świata tajemice, przejrzał je wskrósł i poznał, że ta harmonia pierwiastków odwrótnych, którą ci powyżej wywiodłem jako cechę fantazyi XVI stulecia, nie istnieje w swojej prawdzie wśród ludzi, że pojawienie się tej harmonii jest jedynie przechodnim pojawem, że brzmienie fałszywe zakrzyknie boleśnie dyzharmonią w życiu i w fantazyi, w rzeczywistości i w krainie ideałów; że ta dyzharmonia odezwie się jakby zerwana struna w sercu, a jęk jej zapłacze wśród wesela i radości żywota. Patrz — to wszystko ten mistrz wypowiedział a wypowiedział wśród żartów i dowcipów; on te sprzeczne pierwiastki, co mają być w je-



дноść zlane, zestrojone z sobą, objął wprawdzie jako jedność w swoim geniuszu, ale w dziele je rozłączył, rozerwał a drwiąc i żartując przedstawił jako rozdzielone na dwóch ludzi, na dwie figury osobne. On tego dokazał arcymistrzowstwem swoim w romansie tak wysokiego znaczenia, że już nie znajdziesz drugiego we wszech-literaturze, którybyś mógł godnie z nim zmierzyć.

Pytasz zapewne, kto był tym arcymistrzem, co z uśmiechem na licach a raną bolejącą sercu, co z krotoczwiałą wdzięczną na ustach stał się w wróżbitą rzeczy łzawych, co żartem, dowcipkiem, drwinką wypowiedział najgłębsze prawdy? Pytasz, jak się zwał, jakże wyglądał ten powieściarz-filozof? Niechaj on sam za siebie mówi; słuchaj, co prawi żartując sobie z własnego wizerunku na rycinie: „Człek, którego tu widzicie przed sobą; o orlęż twarzy, ciemnych włosach, z czołem gładkiem i swobodnym, z nosem zagiętym (ale wcale nie szpetnym), z wąsem potężnym, brodą dziś srebrną co niedawno była złocistą, z cerą świeżą, trzymający się nieco pochyło, jest to człek, którego zwykle zowią Miguel de Cervantes Saavedra; on to napisał Don Quichota i Galateę.“ (Cervantes w przedmowie do swoich powieści.)

Wiesz jak to Don Quichot czytywał wiele romanów rycerskich, i czytał i marzył, aż mu się w głowie skreśliło na prawdę. Więc biedny obłąkaniec wybiera się w świat na koniu, z kopią w rękę, by walczyć za te marzenia swoje jako rycerz błędny ze światem, z olbrzymiami czarodziejami; pewien że chwała nieśmiertelna czeka go z koroną laurową, nigdy niezwiądlą, że miłość szlachetnych dam czeka go z wień-

cem różanym! I pojechał rycerz na koniu swoim Rosinante w świat, by potężném ramieniem wytepił nieprawości i nadużycia na świecie. I harcuje i kruszy kopie za zacne chęci swoje, lecz kędy się zmiery z tym światem, już spotykają go drwiny, poniewierki i guzy.

Możesz sobie to wszystko naprzód wytłómaczyć w ten sposób, że epoka Cervantesa, że wiek XVI. już nie jest więcej czasem romantycznym, że średnie stolecia naprawdę przeminęły, że nastąpiła z gruntu inna społeczność, która sobie żartuje z czasów rycerskich. Ktoby tedy puszczał się teraz na romantyczne awantury, a błędne rycerstwo, daremnie szuka guza, i swego nie dokaże i będzie od ludzi za obłąkańca miany. W tém znaczeniu przeto ten romans byłby niby satyrą na czasy romantyczne.

Są inni, którzy znowu, biorąc rzeczy zupełnie odwrótnie, prawią, że ten Don Quichot jest uosobieniem dawniej Hiszpanii, téj Hiszpanii, chwałą promiennej, co tak szlachetna, wzniosła i zacna a dawno umarła, zapomniana od wnuków wyrodných; że nastąpił czas upadku, znikczemnienia, czas oszargany własną lichotą. Więc też czas ten Don Quichota, rycerza z dawnych lat, nazywa obłąkańcem, bo Hiszpanie już nie zdolni, by się wznieśli do zacności jego, by go pojąć mogli. W Don Quichocie atoli ta jedyna wina, że się nie poznał na ich ubóstwie duchowém, i że nie spostrzegł, że już on sam jeden tylko, niby upiór wielkiej przeszłości, błąka się od nikogo już niezrozumiany wśród pokolenia o sercu wymoklém, skurczoném. Nie pomylisz się może zaiste choćbyś i tym trybem myśl Cervantesa pojmował, uważając dzieło jego jako satyrę na czasy późniejsze nieromantyczne.

Choć sam Cervantes powiada w końcu dzieła swojego, że miał tylko po prostu na celu ohydzić światu romanse rycerskie, toć się i u niego iści prawda, jako zwykle geniusz objawia najgłębsze idee bez wiedzy swojej; że, dokonywając ogromnej sprawy, sam nie zna jej głębokiej wagi; więc jej przypisuje powody mało znaczące, powierzchowne, nie znając potęgi, która w nim prze. Nie dziw tedy, że z jego romansem dzieje się jak z każdym arcydziełem sztuki; im bliżej w nim się rozpatrzysz, tem wyższe piękności w nim odkryjesz, i tem więcej świetnych stron w nim zaświeci, niby ścianki przepysznego brylantu.

Rozsłómy tedy to dzieło jeszcze z trzeciej strony, weźmy figurę Don Quichota w całkowitości, więc z jej dopełnieniem; więc bierzmy rycerza z Manchy z giermkim jego, którym, jak wszyscy wiemy, jest ów Sancho Pansa.

Don Quichot i Sancho giermek jego — to nieodstępni towarzysze, choć wręcz sobie odwrotni, — są to dwie połowice jednej i tej samej całości, uzupełniające się nawzajem, jak dwa bieguny magnetyczne, i dla tego właśnie tak nierozdzielne.

Don Quichot ma się do Sanchy jak dusza do ciała, jak człowiek wewnętrzny do zewnętrznej strony swojej — jak teoria do życia praktycznego, jak ideały w sercu ciepłym wypieszczone do rzeczywistego świata, jak duch do materji, jak fantazyja niebolotna do powszedniej, grubiej prozy życia, — jak marzenia nadświatne do zmysłowości poziomej. Słowem, są to one sprzeczne pierwiastki, które z istoty swojej powinny się zlać w cudną jedność harmonijną, które nawzajem się wymagają, które wzajem tęskniąc do siebie, nawza-

jem się waząc i miarkując, dopiero stwarzają zupełnego, całego człowieka. Te pierwiastki w romansie Cervantesa zerwały jedność swoją, rozdzielone są na dwie osobne figury, z których tedy każda staje się karykaturą własną, które obie stają się wzajemną sobie satyrą — cierpką ironią.

Sam Don Quichot pełen uczuć wzniosłych, człowiek szlachetny, odważny, poświęcający się za ideę swoją, ale słuchający jedynie osobistego, wyłącznego natchnienia swojego, nie uznaje prawd władających światem. On rozprawia wielce mądrze i uczenie o świecie, o życiu; ale gdy rozmowa dotknie onej struny panującej w nim, wtedy ta struna duszy jego zabrzmie dyzharmonią; wtedy mu się rozum ści, pada na niego obłąd, majaczą się i mieszają myśli i rzeczy, a on świat i przedmioty wszystkie widzi już przez szkiełko tej idei wyłącznej, która go posiadła. Tak karczma szynkowna w jego oczach jest grodem zamczystym, wieżastym, o srebrnych kopułach, fosach i mostach zwodzonych; pastuch trzody, strębiący nierogatych podwładnych swoich, to u niego karzeł, co daje znać straży zamkowej o zbliżaniu się obcego rycerza; wiatraki, to w jego oczach machające rękami olbrzymy złośliwe; biedna wychudła szkapina, która zaledwie pod nim nogi wlecze, ów jasnokościsty Rossinante, zdaje mu się być rumakiem przepysznym, któremu „ledwie sprostą Bucephalus Alexandra W. lub Babiesą Cyda;“ a brudna dziewczyna ladaco, to u niego piękności cudo, jej poświęca idealną miłość swoją, jej poprzysięga służby swoje, jej się poleca w myśli przy każdym niebezpieczeństwie, w każdej krwawej potrzebie.

Tuż za rycerzem naszym zbiedniałym, suchym i

tak już wychudłym, że „przez niego przeświecają promienie księżycowe“ wlecze się na osiołku małym krótki, podpasły, pękaty giermek jego Sancho; przed nim ukochane sakwy nabite prowiantami, bo to przedmiot najtroskliwszych starań jego. Sancho — to chłop z wioski Don Quichota. On widzi rzeczy tak jak są, on materyalista, daleki od wszelkiej fantazyi, od wszelkich ideałów, człek co się zowie praktyczny, bo temu tylko ufa czego się dotknie, w to tylko wierzy co ukąsić i połknąć może, on istną prozą; zresztą tchórz, głowa dość ciasna, ale za to człek w gruncie poczciwy, wesoly, pełny conceptów, ma prosty chłopski rozsądek; dla tego też cała mądrość jego w przysłowiacz, których umie mnóstwo niezliczone, które stosuje do każdego wypadku, a nie baczy, że prawie na każdy wypadek znajdują się zawsze dwa przysłowia zbijające się nawzajem. Więc, mimo praktyczności rozsądku i przysłów, dał się otumanić przez obłąkanego pana swojego. Bo ideały, choć spaczony i krzywe, nielada przecież „imponują“ Sanchom Pansom choćby najpraktyczniejszym i najprozaiczniejszym, zwłaszcza gdy te idee wyrzeczone są przez człeka o uczuciach gorących, o sercu szlachetnym. A co więcj: Don Quichot przyrzekł uroczyscie giermkowi, że zdobędzie dla niego wyspę, w której Sancho będzie święcie wielkorządzcą; tak i chciwość i nadzieja osobistych korzyści omajaczyły giermka. Sancho też, dufny w swoją mądrość polityczną, przylada sposobności mówi do rycerza: „Jasny Panie Don Quichocie! dajcie mi onę wyspę, bo choćby była i najogromniejszą, toć się czuję dość silnym na duszy, bym nią rządził tak mądrze a tak dobrze, jak ktokolwiek z tych wszystkich, którzy kiedyś wypsami rządzili.“

Tak tedy ci dwaj nierozdzielni towarzysze puszcza ją się w świat na przygody. Don Quichot, nie widząc rzeczy, jakie one są w rzeczywistości, lecz tak, jako je sobie wymarzył, zderza się ze światem; więc lzenia, wyśmiechy, bolaki i trudy daremne są jedynym plonem, jaki zbiera za poświęcenia swoje. Szereg nieskończony awantur dziwacznych, najrozmaitszych rozsnuwa się przez całe cztery tomy arcymistrzowskiego romansu tego. Atoli te awantury właśnie dla tego, że z jednej strony zależą od zewnętrznego trafu, a z drugiej od przywidzeń obłąkańca, nie są z sobą powiązane żadnym koniecznym następstwem; kolój ich jest zupełnie przypadkowa; nicby nie zawadziło, choćby były następowały po sobie inną zupełnie koleją. Z téjże samój przyczyny te przygody nie mają końca; jest to romans bez zakończenia, co właśnie odpowiada istocie całego dzieła. Koniec jego także jest przypadkiem szczerym, jest to niespodziana śmierć rycerza z la Manchy.

Pewnego razu Don Quichot wróciwszy do domu zachorował — trawi go boleść że nie zdołał przeprowadzić zamiarów swoich; lekarz orzeka że mu serce pęka — to serce biedne a tak szlachetne! Chory zasypia; po przebudzeniu urok obłąkania spływa z oczu duchowych — duch przejrzał — poznaje, że przez życie całe cisnął go obłąd wrogi. Synowica, przyjaciele, krewni płaczą, bo przeczuwają, że powrót do rozsądku jest wróżbą nadchodzącej śmierci. Sancho o duszy uczciwój, ciepłej, stojąc w kącie, serdecznie szlocha.

„Cały dom, mówi Cerwantes, był w ciągłej trwodze i nieustającym niepokoju a szczerym smutku, lubo synowica smacznie zajadała, a gospodyni popijała, a

Sancho dogadzał sobie ile tylko mógł. Nadzieja bowiem sukcessyi, mówi dalej Cervantes, zawsze jakoś ulagadza choćby najszczęśliwsze boleści, sprawione przez śmierć spadkodawcy!“

Umarł Don Quichot, bo mu, jak mówił lekarz, serce pękło. Sancho zaś, choć bez wysp obiecanych, żył jeszcze długo i zdrowo, wesoło pożywając darów tutecznego świata.

Skończyła się komedia łzawa, tak krotochwilna a przecież tak tragiczna. Ale choć się skończyła w romansie, żyła na jawie; krzyknęła dyzharmonią zerwana w duszy struna, brzęczała tonem fałszywym w ludzkiem życiu i w łzawych dziejach świata; dzwiała dyzharmonia i w nadchodzącem już XVII-ém stuleciu i w tym wieku XVIII, co dopiero kiedyś zrodzić się miał. Bo ten wiek XVI miał przeminąć jak sen ułudny, jak poranek wiosenny.

---

Już jękała tonem fałszywym, dyzharmonią owa zerwana w duszy struna i miała zapłakać po dziejach świata, po sercach ludzi. A serca tęskniły za pociechą, za utuleniem boleści serdecznej.

I zabrzmiały na północy akordy rozplątne, eteryczne, jako innych światów pieśni; a na północy tony niebiańskie ciągnęły przez dusze, jako Cherubinów wołanie, niosących ukojenie boleści palącej. Te akordy, te tony, — to są harmonie owej harfy, co niegdyś grała na Syonie, to są dźwięki i pieśni święte harfy Dawidowej. Król-Psalmista, Boży śpiewca, użyczył tych dźwięków, tych harmonii, tych pieśni swoich śpiewakowi z Czarnolesia, a on ujął tę harfę nadziem-

skich tonów, uderzył w struny świętego wieszca, a pieśni syońskie rozplynęły po ziemicach Północy i po wodach jój, i górach i borach, i padły niby rosa boża na grody i groby, i chaty i dwory, uświęcając umarłe i przyszłe i żyjące pokolenia. I zestroiły się w harmonią niebo i ziemia, śmierć i żywot, boleści, rozkosze wszystkie, i przeszłość z przyszłością, i natura i duchów królestwo. A nie miało już być żalu bez ulgi, ani lzy bez pocieszenia; bo te pieśni już miały pozostać na zawsze między nami i śpiewać przy ognisku domowém, i na cmentarzach i w świątnicy Pańskiej, miały śpiewać w duszy rankiem i wieczorem.

Gdy serce boleje boleścią bez granic, gdy zwątpiony świat, żywot opłakany, gdy niema się czego człowiek jąć stroskany, wtedy: „Kto się w opiekę poda Panu swemu, a całym prawie sercem ufa Jemu; tego nie dostąpi żadna zła przygoda, ani się najdzie w domu jego szkoda“ — bo Pan radzi o swojej na świecie czeladzi! (\*) Te pieśni już zostaną z każdym z nas aż do śmierci! One przejęły sobą duszę każdego zacnego człowieka, one mu pofolgują boleści, gdy z niemi nad sobą zapłacze, a gdy się weseli uroczystém świętém duszy, już wtedy one dodadzą naszym weselom radości niebiańskich a wieszczowi z Czarnolesia tryumfu. Niechaj mu będzie chwała i cześć!

Powiedz, mamże się rozpisywać szeroko nad Janem Kochanowskim? mamże się dotknąć miarą i cyrklem estetycznym tych drgających strun, brzmiących tak pełną harmonią? — pewno, żeby to była nie w porę

---

(\*) Jan Kochanowski w Psalmie XXII i XCI.



rzecz a zbyt uczona; już wieszczą z Czarnolesia kto inny lepszy przedemną a po mistrzowsku ocenił; a zaiste trudna tutaj krytyka wszelka. Dla czego? powiem szczerze — a wiem, że co rzeknę, toć tobie i innym będzie po sercu. Wiesz — Jan Kochanowski tak już przejął dźwiękami a harmonią swoją wszystkie serca, tak je przelał w krew i dech duszy naszój, że się stał jakoby własną duszą i oddechem naszym, jakoby był już całém naszym sumieniem i miłością i wiarą naszą; dla tego też tak nam trudno osądzić artystyczną wielkość jego. Bo sądzić możemy jedynie o tém trafnie, co jest czémś odróżniającém się od nas, niby czémś obcém dla duszy. Ale Kochanowski, ale sumienie nasze i miłość i uczucie nasze, — toć my, to przecież my sami. Kochanowski, jako wieszczą, to nie jest ten człowiek pojedynczy, jeden, co żył w onym pewnym czasie; on krajem całym, on wyrazem uczuć wszystkich. Czytając Jana, każdy z nas jedynie siebie samego w nim znajdzie, choć nie już siebie, jako powszedniego, codziennego człowieka, przyćmionego pyłem tój ziemi, i jakby znieważonego wadami, co się rodzą z tój ubogiój a ułomnej natury naszój; ale znajdzie siebie w Kochanowskim, jakim jest bez tych biedek a ułomności, bo uzacnionym, wzniesionym nad siebie, i jakoby oblanym światłością wyższój swojój istoty.

I dla tego tak trudno, prawie niepodobna ocenić Kochanowskiego; trzebaby być na to wieszczem, równym jemu z chwały i dosługi.

Przecież wiesz, że w tych listach pisanie rozbiórów estetycznych nie było nigdy moim zamiarem, a jeżeli przywozidł dzieła sztuki, to już w tój myśli,

abym na nich, jako na przykładzie, objaśnił rozwinięte teorye, lub lekkie moje orzeczenia o charakterze jakiego stolecia.

Podobny też był mój cel, gdym w dwóch tych ostatnich listach prowadził cię jakoby przez galeryą wielkich ludzi, którzy byli wyobraźnikami XVI stolecia, więc i synami a zarazem twórcami społecznego im wieku. Rozpocząwszy tedy od Kolumba i Kopernika pochód nasz po tój świątnicy chwały, teraześmy zatrzymali się z tobą przed postacią promienną Jana Kochanowskiego, co się wznosi nad nami na tak wysokim podnożu, że mu ledwie pod stopy sięgamy. Chciejmy przeto i teraz przyjętym przez nas obyczajem rozpatrzeć się w tój postaci, jedynie z tą myślą, aby w niej wykazać choć lekkim słowem zarysy XVI stolecia.

Jeżelim ci rozwinął powyżej, choć może niedostatecznie jeszcze, pierwiastki żywotne, które zaświeciły tak cudownemi barwy w tym dziwnie uroczym wieku XVI, toć wierzaj, że te pierwiastki wszystkie, w nim żyjące, zebrane są, jakoby w ognisku swoim a sercu, w poezyi Jana Kochanowskiego. Jeżeli tedy chcesz zrozumieć tego wieszczę, nie dość, byś go ujął na tle literatury polskiej a na podstawie rodzinnego kraju, boć to jest tylko jedna strona istoty jego; stroną drugą, również tak ważną, jest stosunek jego do onych potęg a mocy żyjących w sztuce społecznej mu Europy. On równie jest poetą Europejskim jak jest polskim wieszczem. I dla tego, jak niepodobna jest przetłómaczyć Kochanowskiego na obcy język, tak też i nawzajem nie podobna go pojąć nie rozpatrzywszy się w pierwiastkach fantazyi artystycznej,

która żyła sercem po ludach i krajach społecznego mu świata. Chciiej też baczyć, że prawie w tym samym roku, w którym się rodzi Kochanowski, umiera Aryost i Corregio, że choć dwanaście lat wprzód przypadł skon Rafaela, lecz wtedy mistrz ten kwitnął jeszcze wiosenną młodością swoją; — że Kochanowski był młodzieńcem, gdy rodził się Cervantes a konał Kopernik, — że był mężem w całej potędze swojego geniuszu, gdy na świat przychodzi Bako, Keppler, Shakespeare a żegna życie pełne chwały. Michał-Anioł i Kamoens, nakoniec że tylko w dziesięć lat po skonie Kochanowskiego umiera także Tasso i Palestryna.

Zaiste, byleś się wczytał w duszę Jana z Czarnolesia, a już wszystkie tony XVI stolecia zadrgają ci w piersiach; zwłaszcza odezwą się cudnym zestrojen uczucia chrześcijańskiego świata i piękność klasyczna. Toć to jest ta sama harmonia, co naprzód, choć dopiéro symbolicznie, zabrzmiała w rysunku, w liniach owój Architektury Renaissance a przemówiła liniami, przestrzenią, jakoby w rytmie i tonach, w miarach i akordach. Dla tego, gdy się zanurzysz w pieśniach Kochanowskiego, już uczucia twoje przebudzone mimowolnie zwiążą się i zbudują w kaplicę uroczą Zygmunatów katedry Krakowskiej, boć i ona Renaissance szlachetnym, wdzięcznym i ona jakby odgłosem ducha Bramantego, i ona kwiatem marmurowym przesadzonym z ziemi klasycznej, rozwiniętym pod tchem ciepłym uczuć chrześcijańskich. W tej świątnicy grobowej, jakby w pieśniach naszego wieszczą, panuje ten cichy, święty spokój głęboki, ta strojność przeznaczona, ten wdzięk wyższy, szlachetności pełen a zamożność i wykwił bez przesady. I tutaj lśniaca błysko-

tność została na zewnętrznej kopule złoconej, a wewnątrz kaplicy same linie i ruchy dźwięczne grają muzyką światła i cieniów, wywołanych jasnością z góry płynącą. Wśród tej jasności z góry płynącej, wśród tej muzyki światła i cieniów spokojnie dumają dzieje stare w poważnej uroczystości, w eichym majestacie. Ta kaplica — to zaiste duch Kochanowskiego Jana w ogólnym, symbolicznym zarysie.

Znać zaprawdę że studia starożytnej klasycznej literatury były pierwszą kąpielą w której się zanurzyła fantazja poetycka mistrza naszego; a z drugiej strony przecież Kochanowski miał serce otwarte dla rzeczywistości żywej, obecnej, bo dla mowy ojczystej; on całą miłością utonął w tej mowie, on na nią technął ducha swojego, on podsłuchał jej serca tętna, on ją ogrzał kochaniem swoim; więc też i ona, nawzajem miłość miłością płacąc, zaśpiewała mu duchem jego. Mógł on tedy z uczciwą dumą zawołać: „wdarłem się na skałę pięknej Kalliopy, gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy.“

Jan Kochanowski jest pierwszym mistrzem mowy polskiej. Więc kto sobie dziś rości jakieś prawo do polskiego języka, niechaj poprzez życie całe, poprzez wszystkie lata swoje pije z tej przeczystej krynicy pieśni jego, a ta krynica go ożywi, pokrzepi, wyzwoli od wszelkiej niemocy i uchroni mowę jego od kalectwa i wypaczenia, od swawoli świętokradzkiej, od ulicznej rozpusty. Nie będzie pisarzem polskim, komu język Kochanowskiego nie jest talizmanem chroniącym, broniącym, wodzącym.

Jan Kochanowski był twórcą mowy swojej a pięniom swoim nadał formę klasycznych idealnych wzo-

rów; te pieśni jego zaiste mieszkają na wysokościach Helleńskiej „Kalliopy“; one jakoby posągi starożytne w przezczystej piękności, one tak wykończone, tak spokojne, niby olimpijskie bogi, a jaśnieją i świecą najwyższym urokiem; a przecież pod tą formą marmurową roztwierają się głębie duchowe, wiecznością promieniejące; — te poezye są istic zarazem córami chrześcijańskiego świata. Posłuchaj tych Trenów, któremi wieszcz zapłakał nad umarłym dzieckiem swoim. Żalność jego serdeczna, bolesna, smętna staje tutaj w formie elegii klassycznej; ta żalność odziana formą tak szlachetną, iżbyś rzekł, że to ów posąg Nioby florenckiej, onego areydzieła starożytnych mistrzów. I Nioby oblicze pełne wzniosłej boleści, i w niej nie widać rozpaczy bezdennej, bez granic. Niobe przytula do siebie córeczkę najmłodszą, co przed śmiercią ucieka do matki, do niej się tuląc, a matka z boleści skamieniała marmurem. Taką Niobą, takim posągiem marmurowym o precudnych formach klassycznych jest żalność serdeczna, głęboka czarnoleskiego wieszcz. Ale gdy się dotkniesz tej Nioby Kochanowskiego, już uczujesz pod tą idealną formą serce bijące, krew ciepłą, tętniejącą; pod tą marmurową bielą poczujesz, że tam serce boleścią się pada, że łza spływa po tych marmurowych licach i Niobe polska przemówi:

„Pańska ręka mię dotknęła!  
 Wszystkie mi radości odjęła,  
 Ledwie w sobie czuję duszę,  
 I tę podobno oddać muszę!  
 Lubo wstając gore jaśnie,  
 Lubo padnąc słońce gaśnie;  
 Mnie jednako serce boli,  
 A nigdy się nie utuli.

Oczu nigdy nie osuszę,  
 I tak wiecznie płakać muszę  
 Muszę płakać o mój Boże!  
 Któż się przed Tobą skryć może!“ (Tr. XVII.)

„Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,  
 Moja droga Orszulko, tém zniknieniem swoim.  
 Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;  
 Jedną mańczką duszą tak wiele ubyło!“ (Tr. VIII.)

„Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?  
 W którą stronę, w którąś się krainę udała?  
 Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona.  
 I tam w liczbie aniołów małych policzona?“ (Tr. X.)

„Moja wdzięczna Orszulo, bodaj ty mnie była  
 Albo nie unierała lub się nie rodziła;  
 Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim.  
 Za tém nie odpowiedniem pożegnaniem twojem!  
 Omyliłaś mię jak nocny sen znikomy!“ (Tr. XIII.)

„Próżno morzem nie pływamy,  
 Próżno w bitwach nie bywamy,  
 Ugodzi nieszczęście wszędzie,  
 Choć podobieństwa nie będzie.  
 Wiodłem mój żywot tak skromnie,  
 Że ledwie kto wiedział o mnie,  
 A zazdrość i złe przygody,  
 Nie miały mi w co dać szkody.“ (Tr. XVII.)

Ta boleść, trawiąca serce ojcowskie na jawie, za dnia, staje nocą przy łożu jego, „nie dając długo zamknąć oczu i uspokoić zemdlonego ciała i ledwie na godzinę przed świtaniem sen otulił duszę jego ciemnymi skrzydły. Wtedy we śnie jak niebiańskie widziadło ukazała mu się matka jego, co go niegdyś wypiautowała miłością bez granic; a teraz żalność i

cierpienia syna zabolaly w sercu matki umarłej, i z grobowych światów i z krain bardzo dalekich przywiodły ją w te tu nasze strony, by syna pocieszyć.“  
 Pojawia się mu matka śpiącemu, mając na ręku jego ukochaną dziewczynkę, „któręj i twarz rumiana, i włoski pokręcone, a oczy ku śmiechu skłoniłone,“ jako wtedy gdy po paciorek ranny do ojca przychodziła. I rzecze matka: „Czyli nas umarłe macie za stracone, I którym już na wieki słońce jest zgaszone?... O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie, Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie!... Ona „między anioły i duchy wiecznemi, Jako wdzięczna jutrzeńka świeci, A za swemi rodzicami się modli, jak to umiała z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała!“  
 I pociesza matka ukazując marność ziemskich rozkoszy, bo w nich więcej frasunków i żalości więcej, a rozta-  
 cza obraz rozkoszy niebiańskich, kędy: „troski nie „panują a pracy nie znają, kędy nieszczęścia miejsca „przygody nie mają, ani śmierci łzami karmionęj, kędy „widny Stwórca wszechrzeczy w jego majestacie.“  
 „Doznałeś“ mówi co świat umie i jego kochanie.“

Powiedz, w tej rzewności głębokiej, w tém widzia-  
 dle niebiańskiem nie z tego świata zrodzonem, w tém cofaniu się we własne sanctissimum naszego serca, w wiekuiste głębie jego, czyliż nie żyje życiem nadziemskiem ona poezya romantyczna, co tutaj tak wdzięcznie zaślubiła się formom klassycznym. Tutaj one zrękowiny świetne form starożytnych a uczuć głębokich, właściwych jedynie chrześcijańskim ludom. Tutaj zestrojone jakby kontrapunktem światy tameczne, niebiańskie, z doczesności żywotem. Jak śmierć ukochanej małżonki zagrała boleścią na duszy Palestryny,

a tony duszy jego zapłakały, jakby śpiewem aniołów, nieskończoną zagrobową tęsknotą, zestrajając w akordy świat tuteczny z nadziemską krainą, tak skon drogiego dziecięcia wywołał z głębin serca Kochanowskiego tony tęskne, rzewne, co, ulatując do nieba, wracały z nad gwiazd, przynosząc utulenie boleści i rosę niebiańskiej pociechy, a te tony wstęgą niewidomą wiązały ziemię i niebo!

I zważmy, ten sam wieszcz, którego duch zwrócony w siebie podsłuchuje wiekuistości głosy, żyjące we własnem wnętrzu jego, ten sam wieszcz znów zwraca się do spraw zewnętrznego świata, do politycznych spraw kraju. On przemawiając do Zygmunta Augusta pisze poemat o wadach publicznych.

Przecież ten sam znów człowiek, co tak z mistrzowską prozą i wierszem dotyka się pełen miłości i żalu ran publicznego życia, umie także i zniżyć i nastroić pieśni swoje, i śpiewać życie ciche, prywatne, codzienne; więc to żartem, to krotocwilą gani z lekka, łaje usterki, oddając zaeności hołd i obyczajom domowym cześć. To znowu śpiewa czyny wielkie, roztaczając historyczne karty przeszłości bohaterskiej i wielkie wypadki dziejowe. Poczem uderza znowu w nowe strony i zwraca się do natury, i wywołuje sobie z duszy one prześliczne Sobótki, niby sielanki ludowe, a nawet tłómaczy poemat Arata o gwiazdach i ich biegach po przestrzeni niebiańskiej. Poczem znowu duszę nurzy w rozplątne tony, nadziemskie harmonie arfy Dawidowej.

Słowem, wszystkie barwy i tony, na pozór różne i sprzeczne, jednoczą się uroczym dźwiękiem w tym wielkim wieszczu, który już splótł w sobie wszystkie



żywioty i pierwiastki fantazyi artystycznej XVI stolecia. Dodaj do tego jeszcze, że słusznie powiedziano, jako on pierwszy z pośród wszystkich Europejskich pisarzy stworzył dramat wedle prawideł sztuki Hellenów, jak to jego „Odprawa posłów greckich“ jest dramatem iście greckim w całej świeżości swojej. Wszak to wszystko tém wyższego jest znaczenia, gdy zważysz, że dramaturgia klassyczna francuzka, ten zwichniony klassycyzm, pojawia się nawet dopiero w sto lat po urodzeniu naszego wieszca.

Zaiste dramat mógł wystąpić na świat dopiero w XVI stoleciu! które przejrzało, które dopiero pierwsze ujęło koleje świata i ludzkich dziejów w prawdzie ich głębokiej. Wieszczy duch ludzkiego rodu, jak dopiero teraz poznał zakon rzeczy przyrodzonych a materyalnego świata, tak też teraz dopiero poznał ustawy i prawa, co choć niewidne na zewnątrz, wiodą losy ludów i mistrzują od wieków sercem człowieka. Jak na szczycie wszelkiej poezyi stanęła dramaturgia, tak na szczycie dramaturgii, która jest ostatniem słowem XVI stolecia, stanął Shakspeare. (\*)

Przeliczne, przeróżne moce i potęgi przyrody, rozwiewne, niewidome rozplywają po wszem świecie; a cicho, spokojnie w naturze, póki te moce równoważą się harmonią w wielkiej pracowni stworzenia, słuchając ogólnego zakonu i wiekuistych prawd. Cicho, spo-

(\*) Co do zjawisk duchowych w XVI stoleciu a mianowicie co do Shakespeara obacz: Schmidt (Romantik) Cariere (Weltanschauung) — Ulrici i Gervinus (Shakspeare) dalej Phil. Chasles i Guizot. Wszakże i pod tym względem wypada mieć baczenie na stanowisko często zbyt jednostronne protestanckich pisarzy.

kojnie, uroczysto wówczas w naturze, jakoby w wigilią wielkiego święta wszechjестestw. I obłoczki świeciste igrają lekkie, barwiste po szklaném morzu powietrzném, i spuszczają się wieńcem rozlotnym na górskie przyczola, przelewają się w piersi szczytów skalnych, tętnią w ciemnych, chłodnych wnętrzościach gór, aż się pojawią na wierzch źródłem krystaliczném; wtedy już rosną gawornym potokiem, potężują w rzekę poważną, by spłynąć do nieskończoności oceanów. Z oceanów tych wznoszą się znów wody wyziewem, i znów obłoczkiem lekkim, barwistym płyną po szklaném, powietrzném morzu. I z cicha igrają powiewne tehy, i z cicha, tajemnie gospodarzą moce przyrodzone w tém wielkiém państwie bożem, równoważąc się i miarkując nawzajem. Więc spokojnie, uroczysto, i w atmosferze i nad ziemią, na dolinach i górach, i spokojnie w podziemnych sklepach, kędy mieszkają moce wielowładne. Przecież, gdy te potęgi wszystkie zerwą wzajemne przymierze, gdy się zbuntują ogólnemu prawu, gdy się wyłamią z pod ogólnej prawdy, która jest ich mistrzynią, gdy każda z nich skupi siłę swoją w sobie i zbierze się w sobie; już wtedy występują do walki i zderzają się z sobą wojną na zabój, pasowaniem się na wytępienie. Płynny niewidome ściskają się w twierdze ciężkie czarnych chmur i w pioruny błyskawiczne, i zagrzmia, aż niebo stanie pożarem; potęgi podziemne szarpiają się, rozsadzają sklepione ciemnice, wyleją się rzeką ogniów płynnych, staną słupem płomiennym, zatrzęsą ziemską posadą, runą budowaniem gór. I wody i ognie i ziemie i wichry ciskają się guiewem i zderzają się wojną na zabój, rozmiatając w koło zniszczenie i zgrozę.

Podobnie, jak w świecie przyrody, dzieje się i w świecie duchowym. Przeliczne moce serca, przeróżne potęgi rozlane są po wszem ludzkim rodzaju; one spokojnie gospodarzą w społeczności ludzkiej, nawzajem się miarkując, mierząc i ważąc. Tak honoru, uczucie, miłość, rodzinne kochanie, chęć sławy i chwały i władzy, przywiązanie do kraju, i te wszystkie inne moce, które nam są dane posagiem, miarkują stosunki wszystkich ludzi nawzajem. Wszak wszystkie te same potęgi są zamknięte i w każdym z osobna człowieku i w nim wzajem się równoważą i mierzą i chronią go od przygody. Póki tym trybem ma się człek do człeka, i człek każdy sam do siebie, póty cicho w społeczności i spokojnie i spokojnie też w pierśsiach pojedynczego człowieka, bo błogie gospodarzenie tych potęg w sercach ludzkich jak jest wzajemnym ich podniecaniem się tak i wzajemnym ich miarkowaniem.

To atoli miarkowanie się wzajemne, ten zestrój tych pierwiastków jest właśnie cichym, choć bezświadomym, uznawaniem ogólnego prawa, uczczeniem ogólnej prawdy wiekuistej, wewnętrznej, która rodzi te wszystkie prawdy szczegółowe z siebie samej, i zestraja je wszystkie w sobie. Lecz gdy te potęgi i prawdy szczegółowe zerwą z sobą i z tą prawdą ogólną bezwzględną, gdy pęknie łączące ich przymierze, gdy jedna z tych mocy szczegółowych dźwignie się olbrzymem samodzielnie w pierśsiach, gdy przygłuszy inne moce, inne pierwiastki, inne prawdy, wtedy zarazem zbuntuje się człowiek i onej ogólnej prawdzie Bożej, co jest świata zakonem; wtedy ona potęga, wezbrana w sercu jego, demonicznym uczynieniem porywa go całego namiętnością, staje się jego losowład-

na mistrzynią i panią, wtedy rzuci go o innego człowieka, w którym znów inny pierwiastek, inna z tych potęg jest mocą panującą. Zderzenie się tych mocy jest tragicznością ich. Gdy każda z tych zderzających się postaci jest pod wyłączną władzą tej jednej miotającej nią siły, co stanowi jej życie i duszę, więc też każda z tych postaci życie za nią oddaje i żywotem ją opłaca. Jedynie śmierć jest ich pogodzeniem z prawdą ogólną i sercem własnym.

Rzekłem już i po innych listach moich, że każda z tych postaci, z tych figur tragicznych ma słuszość, a zarazem niema słuszości. Jest bowiem w prawie swoim, bo przekonanie, któremu się ona poświęca, za którą życie daje, jest jedną z onych wielu prawd szczegółowych, które władają światem, która są przytomne i w każdym z nas; dla tego właśnie skon i los jej tragiczny wzbudza w nas spólcucie i przejmuje zgrozą duszę naszą; ale z drugiej strony figura tragiczna zawiniła w tém, że nie miarkuje uczucia swojego, że przygłusza inne prawdy w piersiach swoich, które równie do jej posłuchu mają prawo, że tém samym obraża ona prawdę ogólną, nieskończoną, wiekuistą, ona prawdę prawd, która tych wszystkich szczegółowych prawd jest macierzą i zestrojem najwyższym. Dla tego też postaci tragiczne zderzeniem śmiertelnym, skonem za tę winę swoją płacą. Śmierć atoli ich jest zadosyć uczynieniem za grzech przeciw onej prawdzie wiekuistej; więc nad ich grobem unosi się ta wiekuista prawda z palmą w rękę, z palmą przebaczenia i odkupu.

O tém wszystkiém atoli wspomniałem już na innych miejscach; powtórzyłem tutaj to zapatrywanie się nasze

na tragiczność, aby nam tém łatwiej przyszło wykazanie różnicy między tragicznością starożytną klasyczną a Shakespearem.

Zważ, że to wszystko, com właśnie teraz powiedział, jest spólnem i tragiczności starożytnej i Shakespearowskiej. Obaczmy teraz, w czem między niemi zachodzi różnica.

W świecie starożytnym człowiek nie ma jeszcze we własnych głębiach swoich poczucia onęj prawdy nieskończonej, wiekuistej, więc żyje w harmonii z rzeczywistością zewnętrzną, więc w harmonii z obyczajem przyjętym wśród ludzi, z prawem, z naturą, z wyobrażeniami religijnymi, słowem, z temi wszystkiemi potęgami, które u niego również istnieją w świecie zewnętrznym, jak żyją w samem sercu jego. Grek nie jest jeszcze tak wewnętrznym człowiekiem, aby się mógł ohejść bez powagi zewnętrznej; co on czuje, toć u niego powinno mieć uświęcenie zewnętrzne. Zatém idzie, że owa prawda wszystkich prawd, owa prawda ogólna, nieskończona, wiekuista, obejmująca wszystkie inne, uświęcona jest powagą zewnętrznego świata, jest dla Greka również urzeczywistniona w świecie zewnętrznym.

Prawda, że póki Grek żyje z tą prawdą w harmonii, póki ona przejmuje jego przekonanie wewnętrzne, póty też on nie zdoła się na nią patrzeć, jako na moc zewnętrzną, któraby była li mocą a nie zarazem i prawdą; lecz w chwili, gdy on występuje przeciw niej, już tém samem rodzi się rozdwojenie, dyzharmonia między nim a tą prawdą — ona staje się dla niego potęgą zewnętrzną; on łamie się z nią, jakoby z mocą obcą, cudzą. Zatém idzie, że też moce, które go za

winę karzą, są również w jego oczach czemś obcym, cudzym, zewnętrznym, jest to fatum, są to bogi, eumenidy, jędze, nemesis.

Inaczej zupełnie ma się rzecz w tragiczności Shakespear'a. Tu świat chrześcijański w całym znaczeniu, tu głębie nieskończone rozwarły się w duchu człowieka; świat zewnętrzny tutaj traci znaczenie swoje, człowiek ma całą wagę swoją na wewnątrz, człowiek nie dba o to, co zewnątrz waży, on zamyka się we własnych głębiach i w nich żyje; owa prawda wiekuista, ogólna, nieskończona, owa prawda wszystkich prawd nie przebywa zewnątrz niego, ale mieszka w nim samym i tam świeci okiem bożym, niezmrzonym nigdy.

Gdy przeto tutaj figura tragiczna występuje przeciw tej prawdzie wiekuistej, bezwzględnej, już wtedy nie zderza się z potęgą zewnętrzną, ale zderza się z własną a najgłębszą istotą swoją, rozdwa się we własnym wnętrzu swoim. A gdy tedy figura tragiczna ginie od mocy tej prawdy ogólnej, wiekuistej, to jej skon jest właśnie zadosyć uczynieniem tej prawdy, jest pogodzeniem się człowieka z własną istotą swoją wiekuistą, jest pogodzeniem się jego ze sobą samym. Zatem idą już dalsze różnice obu tragiczności.

Figura tragedji klassycznej (greckiej), zderzając się jedynie ze światem zewnętrznym, nie zna tego rozdwojenia własnego wnętrza swojego, nie zna sprzeczności wewnętrznej, a zatem ona już w całości oddaje się własnemu czynowi swojemu; ona, nierozdzielna w sobie, całym brzemieniem istoty swojej waży w stronę, kędy ją porywa jej losowładne uczucie. Ona jest niby z jednej sztuki, z jednego odlewu, ona wyobraża tylko jedną pojedyńczą myśl, która nią włada; dla

tego te postaci są tak plastyczne, do posągu rzeźbiennego podobne, w którym przecież „równie jedna chwila, więc jedno poruszenie, jedno uczucie skamieniało marmurem.“ Wynika ztąd, że figury tragedyi klassycznej mniej są charakterami rozwijającemi się, jak raczej typami prawie nieruchomemi, niezmiennemi od początku do końca tragedyi. Z tego wypływa następnie, że we wnętrzu figur tragedyi klassycznej niema potęgi, coby łagodziła, miarkowała to uczucie, które unosi figurę tragiczną do czynów, a które ona za prawdę najwyższą uważa, lubo ta prawda jest tylko jedną z szczególnych prawd. Tą potęgą miarkującą mogłoby być jedynie przekonanie o onęj prawdzie wiekuistej, bezwzględnej, nieskończonej, obejmującej w sobie wszystkie one szczegółowe prawdy. Gdy jednak ta prawda wiekuista nie przebywa jeszcze we własnych piersiach człowieka, ale jest zewnętrzną, więc ją zastępuje chór tragedyi grecki, który także jest zjawieniem zewnętrznem, bo wyraża świat zewnętrzny a lud; ten chór łagodzi, miarkuje, napomina, narzeka; ale jest bezwładnym, beczynnym.

Inaczéj u Shakespeara! Tutaj owa prawda bezwzględna już jest żywą we własnym sercu człowieka; ztąd rodzi się nieskończona ufność jego do siebie, do swojego wewnętrznego przekonania, jako do wyroczni niemylnéj. Widzieliśmy atoli w czterech ostatnich listach, jako ta ufność, która z istoty swojej winna być poleganiem na prawdzie wiekuistej, przebywającej w sercu człowieka, dla ułomności jego spacza się i wykręca. Dla tego też człowiek w średnich stóleciach, nie zrozumiawszy téj własnej dufności ku sobie, téj niezawisłości od zewnętrznego świata, rad jej zadłosyć

uczynić puszczeniem się na awantury fantastyczne. Co więcej, człowiek, nie zdołając odróżnić głosu demonów ciemnych, pokusnych od wołania bożych aniołów, bierze ów popęd wewnętrzny, błędny, odzywający się we wnętrzu jego, za oną prawdę bezwzględną, wiekuistą. Baczmyż atoli jakie się ztąd rodzą skutki. Gdy człowiek, porwany tą bez granic ufnością w siebie, rzuca się całą potęgą duszy w strony, kędy go prze uczucie, będące li osobistém, wtedy właśnie jakby przez oddziaływanie przebudza się w nim i owa prawda wiekuista, ogólna, bezwzględna, która ożyła w sercu wiary Zbawienia, a która nigdy nie zmruży wiekuistej źrenicy i wiecznie czuwa w duchu człowieka. Tak tedy u Shakespeara w obec widza staje na scenie człowiek, w którym dźwiga się, rośnie demon popędu samowolnego, uczucia osobistego. Przecież, gdy w tym samym duchu jego jest zarazem i uczucie prawdy wiekuistej, zatem człowieka rozdziera rozdwojenie i pełne boleści powątpiewanie o sobie samym. Ale im mocniej w piersiach jego wzniesie głos swój ta prawda wiekuista, przestrzegając i grożąc, im przeto głębsze jest w nim powątpiewanie o sobie i zachwianie się w sobie, tém więcej, jakby przez nową reakcyę, ów popęd złowrogi napręza się w sobie, potęguje, podnieca się i skupia w sobie, by nie uleż onemu powątpiewaniu, by się nie poddać onym wiekuistym głosom, by je przytłumić, przygłuszyć. Dla tego właśnie te uczucia, te namiętności w tych figurach rosna, a rosna przez oddziaływanie w moc tak olbrzymią, że już z nią nie może pójść w porównanie żadne uczucie, żadna wewnętrzna potęga, żadne patos, które prze do działania bohaterów tragedyi klassycznej; dla tego też właśnie te



figury winny ginąć, bo one nie tylko buntują się przeciw wiekuistej prawdzie istniejącej zewnątrz, ale przeciw własnej nieskończonej istocie swojej; bo ta prawda żyje w nich samych.

Mimo atoli najwyższego spotęgowania i tego parcia w każdej figurze dramatów Shakespeara, mimo wysilenia się duszy jej, owa prawda bezwzględna, wiekuista, ogólna wiecznie stoi na straży, wiecznie żyje w jej sercu; wynika ztąd, że w tych figurach, mimo ciśnienia potężnego do winy, zawsze owa prawda wiekuista znać o sobie daje, a daje znać w różnej formie, wedle różnej indywidualności i usposobienia tych figur. Ale w jakiejkolwiek postaci wtedy pojawia się w tych figurach ona prawda ogólna, zawsze ich przekonanie osobiste, ich świadomość własna, udzielna będzie dla nich najwyższą wyrocznią, której one ufają bez granic, bo ta osobista świadomość jest ich duszą, ich prawem.

Obaczmy, dla przykładu, niektóre z tych form, w których pojawia się prawda wiekuista w sercu figur Shakespearowych. Tak, aby uciszyć w sercu to wołanie wiekuistości, figura dramatyczna radaby je połączyć z osobistym patos swoim, onym popędem swoim; więc wymyśla osobne teorie życia, osobne tryby zapatrywania się na świat, a tak widać, że w tej figurze prawda wiekuista odzywa się, że jest obecną w niej; ale ta figura wysila się na sofizmy, aby się pogodzić z ową prawdą bezwzględną, aby samą siebie otumanić. Ryszard III np., co jest istnym demonem zbrodni, poczuwa przeciw oną prawdę w sobie, która w sercu jego znać o sobie daje; przetoż on tłómaczy się sam przed sobą, dla czego chce być ludzkości wrogiem.

Natura go upośledziła, uczyniła jego postać ohydną, potworną — ludzie go nienawidzą, unikają jego obecności; więc sądzi, że ma prawo zerwać z naturą, sporniewierać jej ustawy, poigrać krwawo z uczuciem ludzkim, odpłacić się za krzywdy swoje i naturze i światu i ludzkości. To jest jego przekonanie, i wedle niego idąc przez świat urosł w szatana. (Ryszard III, scena I).

Podobny mu Falstaf, choć on jest komiczną figurą komedyi. On dowcipny, żartobliwy i prawdziwy geniusz cynizmu; jest to figura, na jaką tylko duch olbrzymi Shakespeara zdobyć się mógł. Falstaf jest wskrós zmysłowym; on wierzy jedynie w grube, ziemskie rozkosze, bierze życie li ze strony cielesnej; reszta u niego bajką. On drwi z honoru i ze sławy, kalając się w cynizmie filozofuje, argumentuje i dowodzi, że jego sposób zapatrywania się jest jedyną najwyższą mądrością na świecie, jest właśnie prawdą ogólną, bezwzględną. (Henryk IV, 1-a i 2-a część). Więc w charakterach, tak zupełnie sobie różnych jak Ryszard III i Falstaf, prawda bezwzględna odzywa się podobnym trybem, gdyż oba wyrozumowali sobie osobne teorye życia, by ją przygłuszyć, uciszyć w sobie. Znowu w innej figurze, jako w Lady Macbet, w innej formie pojawi się ta prawda wiekuista; jakoż one głosy wewnętrzne odzywają się w sumieniu, w widzeniach. To jej się zdaje, że zamordowany Dulkan tak podobny do jej własnego ojca! to znów ze świecą w rękę, snem somnambulicznym błądzi w nocy po zamku i żali się i trwoży, że wszystkie wonie Arabii nie zdołają zmyć krwi z jej małej, białej ręki! Albo prawda wiekuista znów w innej, nowej a zupełnie

właściwej i odwrótnej postaci występuje w Hamlecie. Jemu się zjawia duch własnego ojca, wzywając by zemścił się za śmierć jego; ze wszystkich stron biją na niego dowody okropnej zbrodni dokonanej na ojcu jego. Ale Hamlet tęp grzeszy, że nie ma właśnie żadnej namiętności, żadnego popędu i energii; więc mimo ducha ojcowskiego, mimo że sam wierzy onym dowodom, boi się działania; on z natury swojej beczynnym. Ta ujemność charakteru czyni z człowieka, pełnego szlachetnych uczuć i zacności, charakter trwożliwy, szperający, wątpiący, sceptyczny. Hamlet tonie w badaniach nad wiecznością, śmiercią i życiem, nad sobą i prawdą, waży i mierzy i kołysze się w zdaniu, a nie działa. On radby nie wierzyć w zbrodnią ojczyzna i w słabość pełną winy własnej matki swojej, bo ma wstręt do wszelkiej czynności; i w tęp właśnie jego wina, tęp właśnie wywołuje ujemność w duchu swoim; on za tęp ujemność swoją, za ten sceptycyzm życiem płaci.

Czyliż przywodzić jeszcze więcej tych postaci, rysowanych mistrzowską ręką Shakespeara? Odstępuję od zamiaru tego, byś mnie nie pomówił słusznie o lekko-myślność, zem się odważył jakby mimochodem, jakby przygodnie rozprawiać o najogromniejszych arcydziełach sztuki, o dziełach, które po wszystkie wieki zostaną zdrojem żywym mądrości artystycznej. Zresztą, nie braknie im już dzisiaj mistrzowskich objaśnień i komentarzy, do których cię odsyłam. Czynię ci tylko tęp uwagę tutaj, że właśnie z tego, com powyżej rzekł, okazuje się cała przepaścista głębia tych jego figur. Zaiste, jest to otchłań w której mieszka wiekuistość; ztąd też te figury są tak butne, takie demoniczne, tak

na sobie się opierające, ztąd tyle wewnętrznej energicznej potęgi, mimo wewnętrznego rozdwojenia. I w tém właśnie widzisz iscie pierwiastek romantyczny w całej swojej mocy, — ów żywioł, który napotykalismy w średnich stóleciach.

Tak tedy Shakespeare, nadając głębie niesłychane tym figurom swoim, nadając im piętno romantyczne, sam geniuszowi swojemu daje świadectwo, że ujął potęgą swoją istotę romantycznego świata; wszak on czerpie nawet przedmioty do swoich tragedyi ze średnich wieków, on wprowadza fantastyczność tych stóleciów romantycznych w dramata swoje (np. duchy, czarownice, widma i t. d.) Ale z drugiej strony, Shakespeare jest synem XVI wieku, a to już właśnie dla tego, że jest autorem dramatycznym! On zna zakon, który żyje na dnie ludzkich spraw i dziejów świata; on wie, że osobiste uczucia i moce, żyjące w sercu człowieka, nie powinny być wyłącznym prawem jego. Shakespeare ma oczy otwarte na świat wewnętrzny; on geniuszem przejrzał historią wewnętrzną człowieka, on czynił studia psychologiczne, on nauczył się na pamięć serca ludzkiego, a tak dowiódł, że sam już nie ogranicza się na osobistych uczuciach, ale uczył się ludzi, by poznać człowieka.

Z tego, co już rzekłem, widzisz już że Shakespeare jest szczęśliwym zestrojem świata romantycznego i XVI stólecia; ale spytasz się: gdzie znajdujemy w nim pierwiastek klassyczności. Wszak ten pierwiastek klassyczności jest również żywiołem XVI stólecia? a przecież geniusz Shakespeara, wedle powszechnego mniemania, jest wbrew odwrótnym biegunem wszelkiej klassyczności?

W liście przeszłym powiedziałem, że poezya klasyczna nie może być w zupełności przeniesiona w nowożytnie stolecia, że klassycyzm wśród ludów chrześcijańskich będzie zawsze rośliną exotyczną, nie swoją, więc chorobliwą, sztuczną, spaczoną. W niniejszym liście starałem się wykazać ogromną różnicę między tragedją klasyczną a pojnowaniem Shakespeara; ale zatęm nie idzie bynajmniej jakoby oba te rodzaje dramaturgii nie miały cech spólnych sobie; wszak wszystko, co prawdziwie wielkie i piękne, oparte jest koniecznie na spólnęj podstawie. Jakoż nawet dotknąłem się powyżęj ogólnęj zasady tragiczności, będącęj spólną i klassycznosci i Shakespearowskięj tragiczności.

Zaiste, nie miejsce ani czas po temu, abym rozwinął ci w szczegółach dramata Shakespeara i okazał o ile one mają pierwiastek spólny z tragedją starogrecką. Jedna uwaga niechaj wystarczy. Wszak Arystoteles był Grekiem, a zatęm już z samego urodzenia swojego człowiekiem-klassykiem; on przecięz miał przed oczyma arcydzieła wielkich tragicików greckich, zatęm swoich ziomków a prawie mu spólczesnych; on, zapatrując się na te wzory a poparty będąc geniuszem swoim filozoficznym, napisał prawidła poezyi, rozwinął teorię dramatu tak doskonale, że już od 2000 przeszło lat są prawdą, a będą prawdą póki ludzie będą wierzyć w rozum i czuć prawdę. Otoż ustawy, które skreślił Arystoteles, znajdziesz w zupełności zastosowane w dziełach Shakespeara. Rozumie się atoli, że ja tu mówię o Arystotelesie prawdziwym, nie o tym Arystotelesie spaczonym, którego sobie wymyślili klassycy nowożytni, przypisując mu nawet zdania i zasady,

o których tamten prawdziwy Arystoteles nawet nie pomyślał.

Zaiste, Shakespeare dopełnił wszystkich warunków, których wymaga Arystoteles. Pochodzi to ztąd że, co Arystoteles wydobył z głębi filozoficznych spekulacją rozumową i ze wzorów geniuszów dramatycznych własnej ojczyzny swojej, to uczuł instynktem natchnienia Shakespeare. Od Arystotelesesa do Shakespeara świat, ród ludzki urósł blisko o 1800 lat, nabrał tedy treści ogromnej, bogatej. Więc jak z jednej strony mistrz angielski zadosyć uczynił wszystkim prawdom, które orzekł Arystoteles, tak z drugiej strony nadał im znaczenie głębsze i rozwinął bogato. Dawna klassyczność jest w nim przeto tylko jednym z wielu różnych pierwiastków, które w nim żyją, jako organa różne w żywém ciele. Gdyby tedy dziś żył Arystoteles i rozpatrzył się w arcydziełach Shakespeara, pewnieby nie wykreślił żadnego ze swoich niegdyś danych prawideł, aleby te prawidła rozwinął, roztoczył, i kto wie, czyliby ten filozof-klassyk nie przyznał się chętniej do Shakespeara, jak do nowożytniej, zwichniętej klassyczności. Czém byli Francuzi klassycy dla świata francuzkiego dworu, tém są tragicy Grecy dla całej starożytności, dla każdego człowieka nieco ukształconego, tém jest i będzie Shakespeare dla wszystkich narodów i wieków. Dosyć być człowiekiem z trocha zdrowém sercem a głową nie chorą, aby złożyć mu cześć i uwielbienie.

Zważ — nie ma pierwiastku żyjącego w duchu ludzkim, któryby nie wystąpił żywym człowiekiem w głównej jakiej figurze Shakespeara. Każdy z tych pierwiastków przybrał się w ciało i krew jednego

pewnego człowieka; a choć pierwiastek ten, np. zazdrość, miłość, chęć władzy i t. p. są dawne jak ród ludzki, i ciągle i ciągle się pojawiają w świecie, toć przecież figury, w których się one u Shakespeara pojawiają, mają tyle silnej i oryginalnej indywidualności, że są jakby wizerunki osób prawdziwych, które raz tylko rodzą się w rzeczywistym świecie.

A jak każda u Shakespeara figura jest całością i zupełnym zestrojeniem przeróżnych tonów, tak znów każdy z jego dramatów jest światem dla siebie, jest jakoby epepeją, w której występują moce serca ludzkiego; ale poprzez ten świat tuteczny, po przez mocowanie się, walkę potęg patrzą się oczy wiekiowości.

Shakespeare, stojąc jakby na opoce nadświatnej, pogląda na świat, na ludzi, na dzieje duchowe i daje posłuchanie światu, i sądzi jakby sądem ostatecznym całą serca treść, wszystkie moce i potęgi. Bo geniusz roztworzył mu oczy, i wieszcz był jakby przytomny wtedy, gdy był stworzony ludzki ród; on wtedy patrzył, gdy demon złego kusił człowieka, i widział upadek ludzkości, i słyszał owo odkupienia słowo, co wróżyło w Prorokach i Sybillach!

## D o p i s e k.

Tak tedy doprowadziłem te dzieje fantazyi do epoki, którą sobie oznaczyłem za kres pracy mojej. Nie będę ci już prawił o celu tych listów, o myśli przewodniczącej mi w czasie ich pisania, bo o tē m wszystkim rozwodziłem się już dość szeroko w końcu tomu drugiego; co tam wyrzekłem stosuje się zupełnie i do tego trzeciego tomu. Widzisz, że, mimo sporęj liczby tych listów moich, nie wyczerpałem bynajmniej całej treści estetyki; zaiste, gdybym tego chciał dokazać, przyszłoby mi najmniej drugie tyle ich napisać, a nie wiem czyli mi się kiedy na to zbierze; dla tego lepiej podobno iż się nie związę żadnym w tym względzie oświadczeniem, bo choć dopełnienie wziętego na mnie obowiązku mogłoby być dla ciebie dość obojętném, dla mnie zaś stałoby się powinnością, z którejby się koniecznie uiścić należało, a bez którejby się nawet i obeszło, a to tē m więcęj, że te listy tworzą niby jakąś całość skończoną w sobie. Owszem, zamiast wchodzić w nowe zobowiązania, raczēj mi przystoi wytłōmaczyć się przed tobą, dla czego przez tak długi czas nie wywiązałem się z danego prawie wyraźnie przyrzeczenia przy końcu tomu pierwszego. Zaiste, widzę potrzebę wyjaśnienia powodów tēj odwłoki; zwłaszcza że, jak się spodziewam, uznasz ich słusność.



Zważ — w literaturze każdego kraju, każdego narodu dwie są główne dzielnice; jakoż jedna część piśmiennictwa odnosi się do literatury nadobnej, pięknej, a druga zajmuje się pracą około nauk i umiejętności poważnych. Literatura nadobna — toć jest kwiat umysłowy, to wonny, barwny, luby ogród co otacza wiankiem wdzięcznym mieszkanię doczesne człowieka; a zamiłowanie jego w tych rajskich kwiatach, unosząc go po nad kłopotki i biedy ziemskie, jak jest cichą wróżbą serca, że człowiek nie zdoła poprzestać na powszedniem przemijającym życiu, tak jest zarazem rękomią, że dusza jego nie wyschła, nie zjałowiała wśród skwarów a krzywd światowych. Piśmiennictwo atoli, trudniące się nauką i umiejętnością, więc uprawą wiedzy ludzkiej, jest twarde m łamaniem się mocy duchowych. Tutaj nie słyhać tonów uroczych pieśni, tutaj nie brzmią muzyki uczuć lubyh, tutaj niema fantazy — onęj niebiańskiej wysłannicy, coby zcałowała trud z pracowników czoła, bo tu jedynie prawda, grozy pełna, jest panią a przewodniczą. Na tój roli od wczesnego świtu do późnego zmierzchu twardo idzie robota, na tój roli nie roztulają się róże, nie wonią fiołki; ale za to błogosławną siejbą spada na zagon rodzinny ziarno przyszłości duchowej, ziarno co jest podstawą umysłowego bytu i gruntem wszelkich zasobów, na których stoi dom; na tój roli nie roztulają się róże, nie wonią fijołki, ale rośnie życiodawcze zboże. Gdy człowiek wyciągnął rękę swoją do drzewa wiadomości i pożył owoc jego, wtedy stał się wygnańcem z ogrodów rokoszy; odtąd już krwawym znojem uprawia tój wiadomości rolę „i w ciężkiem utrudzeniu je chleb z nięj.“ Ale, choć ta praca

nad wiedzą jest tak twardem pasowaniem się, choć jest powinnością poświęcenia pełną, przecież ona jest ludzkiego rodu świętym prawem, jest żywotnym każdego kraju zadatkiem.

Takowe mając przekonanie o duchowym rozwoju każdego kraju, wpatrzyłem się w piśmiennictwo nasze. Nie trudno było mi dojrzeć, że u nas literatura nadobna, w porównaniu z literaturą ściśle naukową, jest uprawiana przez grona nierównie liczniejsze pisarzy; a tych właśnie prace same jedne stanęły na świeczniku chwały i głośnego imienia, a choć im, jako owocom znakomitych i świetnych talentów, bez wątpienia należy się to miejsce, i choć jestem przekonany, że ci zacni pisarze stanowią tak przeważną epokę w literaturze, iż dopiero potomki nasze zdołają obliczyć ich ogromny wpływ, jaki wywarli na kulturę umysłową wielkiej publiczności i kraju całego (że nawiasem przywiodę tylko samego Kraszewskiego i Korzeniowskiego), przecież, mimo to wszystko, smutno mi przychodziło widzieć, że prace czysto naukowe, gruntowne, umiejętne, najwyższej wagi, opłacone wysileniem długoletniem bystrego rozumu i głębokiej nauki, stały na uboczu niewidnej, przeoczone od wielkiej publiczności i patrzyły z zacisza swojego, gdy innym dostawały się wieńce chluby i brzmiące oklaski. Nie dziw tedy, że te dzieła prawdziwej nauki tak rzadko się u nas pojawiają, a rzadziej jeszcze pojawiają się bez ofiary materyjalnej własnego mienia tych zacnych pracowników. (\*)

(\*) Nie trudno wcale o dowodne przykłady, potwierdzające to zdanie. Bo nie sięgając po nie do innych miast, kędy również nie brak mężów wysokiej zasługi w naukach, poprze-

Nie dziw tedy że właśnie za to trudno nam nie oddać im serdecznej czci i hołdu z całej duszy; bo to oni przecież tej pracy i trudu ciężkiego nie podejmują, zaiste dla żadnych zewnętrznych widoków i korzyści,

stają tylko na przykładach, które nam Kraków nastęrcza; co więcej, wymienię i tutaj tylko te imiona, które w najuowszych czasach przysłużyły się umiejętności. Otóż prace PP. *Mucz-kowskiego, Majera, A. Z. Helcla, Skobla, Czerwiakowskiego, Steczkowskiego*, zbogaciły znakomicie bardzo u nas literaturę naukową, obdarzając ją dziełami wysokiego znaczenia; a jednak tych prac nie spotkała cześć odpowiednia zasłudze. Dobrze wiemy że podobne księgi nie mogą być tak znane większej publiczności jak pisma liczące się do literatury pięknej, wiemy że niesłusznieby było wymagać po publiczności aby się obznajomiła up. z dziełami matematycznymi, lekarskimi, prawnymi i t. p. ale zdaje mi się że można wymagać najwięcej od tych pisarzy, których powołanie wiąże się z osnową dzieła i od tych, którzy sami obrali sobie miejsce na strażnicy rozwoju duchowego, aby zwracali baczność pilną na każdy pojaw w piśmiennictwie, oddając mu słuszne uznanie i cześć; życzymy zaś tego już mniej ze względu na samych autorów, bo tych już wynagradza poważanie choć szczupłego kółka braci w nauce i własne przekonanie o dopełnionej zadanie powinności; ale wymagamy tego oddania czci zasłudze raczej ze względu na publiczność, której się to z prawa należy. Bo publiczność, choć nie może sama znać dzieł ściśle naukowych, poznałaby imiona szanownych pracowników, policzyłaby się ze siłami duchowemi i dowiedziałyby się, komu też naprawdę literatura winna najpotężniejsze zapomożenie i siłę moralną — Nie jest to pocieszającą oznaką, że, gdy rozprawiają o literaturze, piszą i mówią prawie wyłącznie o literaturze nadobnej, tak jak gdyby umiejętności i nauki już na świecie nie było; więc też się niekiedy dzieje (a stało się nawet w tych dniach) że o dziełach, o których prawie wzmianki u nas nie było, pisma zagraniczne rozwodzą się szeroko, nie szczędząc zasłużonych pochwał i winszując literaturze polskiej, że tak celujących posiada pisarzy.

ich nie wiedzie nawet chęć głośnego imienia, ich gwiazdą przewodnią jest ukochanie prawdy i nauki, a tętmem ich serca jest miłość przezczysta, bo gorejące pragnienie służenia zaczą, pracą oświacie prawdziwej; więc ta gwiazda, ta miłość prowadzi ich na oną rolę, na której za ciężkim ich móżem rodzi się życiodawcze ziarno przyszłości duchowej. Są to zakonnik-ascety szanowne, co, wyrzekłszy się świata i siebie, ofiarowały się bóstwu przebywającemu w ich sercu. Są to kapłany pilnujące świętego ognia cywilizacyi każdego kraju; bo, widzisz, poezya choć tak ogromnego znaczenia w życiu duchowym ludów, sama nie wystarczy aby je ucywilizować i uczynić człowiekiem w najściślejszym znaczeniu. Wszak historia i jeografia dają świadectwo pełne powagi, że są ludy na półbarbarzyńskie a świecące przecież urocą, cudnie piękną poczyą i powieściami pełnemi najwyższego wdzięku! Bez dzieł naukowych nie ma literatury! Do prawdziwej cywilizacyi czegoś innego jeszcze potrzeba niż poezyi samej; potrzeba aby promień wiary chrześcijańskiej rozgrzał serce, a promień jasny nauki i umiejętności rozświecił myśl i rozum.

Ufam że tych wyrazów moich, tu wyrzeczonych, nie wytlómaczysz sobie tym trybem, jakobym ja niedość cenil pracy około literatury pięknej, boć przecież trzy tomy tych listów, które poświęciłem sztuce i poezyi, są dowodem dostatecznym, jak wysoko ją ważę, a forma ich nie naukowa i lekka czyni te książki przecież niby dziełem belletrystycznym. Ale postrzeżesz także, że po napisaniu przed wielu laty pierwszego tomu tej książki, widząc tak szczupły a przytém tak szanowny zastęp robotników, poświęcających się u

nas umiejętności, sam siebie zapytałem, czyliby mi się nie godziło raczej wrócić do nich i pomnożyć ich liczbę, choćby o jedną jednostkę? Sam siebie zagadnąłem, czyli mi samo sumienie nie nakazuje zaniechania na czas dłuższy pracy nad piękną literaturą, więc tych listów moich, i czyli raczej nie wypada zabrać się, ile mnie stać, do pracy ściśle naukowej?

Pragnąc mówić do ciebie z całą otwartością, nie waham się wyznać, że ostateczne postanowienie w tym względzie nie przyszło mi wcale bez walki.

Chodziło mi bowiem o przerwanie pracy około tych listów tak lekkiej a miłej, że mi raczej była zabawą i ochłodą po trudach codziennych powołania mojego; wypadało również rzec się wszelkiej próżności wrodzonej jakby każdemu prawie autorowi; jakoż wiadomo ci jak wielce życzliwie, jak łaskawie był przyjęty od publiczności tom pierwszy; nie dziw się tedy że sama miłość własna parła chęć moją bym raczej zajął się następnymi listami, do których i tak zebrane już były dostateczne materiały; a mogłem już mieć pewną nadzieję, że ten dalszy ich ciąg znajdzie również życzliwego a liczego czytelnika. Słowem, miałem się uczynić, jak się powyżej wyraziłem, dobrowolnym wygnancom „z onego lubego ogródka co otoczył wdzięcznym wiankiem“ choć kilka miesięcy życia mojego, w którym się już zbierało nie na jeden pączek dla mnie, a może nawet na jaki kwiatek skromny, a natomiast miałem się napowrót przenieść na tę rolę umiejętności, pełnej grozy, kędy życie jest „twardém łamaniem się, kędy od wczesnego świtu do późnego zmierzchu idzie praca pełna trudu.“ Przewidywałem z góry, że, zajmując się ściśle naukowym przedmiotem,

znajdę nie liczne, bardzo szczupłe grono czytelników, że dla większej części publiczności książka, do której się zabierałem, przejdzie bez śladu, bez imienia nawet; wiedziałem dobrze że mnie czeka w najściślejszym znaczeniu to, co zwykle nazywają pracą niewdzięczną. Przecież wszystkie te względy z istoty swojej nie są dość silne, aby mogły powodować człowiekiem, bo my w życiu doczesnym nie jesteśmy na rozkosze stworzeni; tu nie chodzi bynajmniej o to, co nam jest wdzięczne, miłe i ponętne, ale raczej o to, co naszą powinnością być uważamy. Nakoniec wyznaję, że we mnie przeważył w końcu zupełnie wzgląd na samą naturę umiejętności, która miała być przedmiotem roztoczenia mojego, to jest wzgląd na istotę Filozofii. Uważałem że szeroko u nas rozwijany jest dech owej filozofii, co, upiorem bezsennym chodząc po świecie wysysa, jakby krew ciepłą żywotną, najświętsze, najdroższe prawdy z piersi ludzi, ich samych na upiory bezserce zamieniając. Od uściśnienia tej nauki dławiać nie ochronią żadne rozprawy choćby najświetniejszych talentów, nie obronią żadne przedstawienia ani namowy, bo owa filozofia, umiejętnością będąc, jedynie także przez umiejętność pogrzebioną i zaklętą być może. Bo co drogą umiejętności jest zepsute, jedynie także drogą umiejętną naprawić zdołamy. Tak zapatrując się na tę naukę, co pada dżumą na ducha i okrywa ciemnym skrzydłem prawdy o istocie nieśmiertelnej człowiecka, o przeznaczeniu świata i ludzkich dziejów, o Bogu, zdawało mi się być obowiązkiem, abym naprzeciw nauce takowej rozłożył umiejętność, którą oddawna wynosiłem w myśli mojej. Należało mi tedy rozwinać i w szczegółach tę umie-

jętność, powiązać jej ogniwa ścisłą logicznością i rozwinać ją w książce przed oczyma czytelnika, jako całość systematyczną ukończoną w sobie.

Tą tedy chęcią ostatecznie powodowany zabrałem się do tej roboty i dokonałem jej, ile mnie stać było, w przeciągu znacznego szeregu lat wytrwałej i sumiennej pracy. (\*)

Tak wyłożywszy ci powody, dla których przerwałem dalszy ciąg tych listów moich, jako mniej znaczącej pracy, ufam że mi tej przewłoki nie policzysz na niekorzyść moją!

Jednak, gdy przejęty jestem najmocniej zdaniem, że jest rzeczą arcyważną aby stosunek piszącego do czytelnika wyjaśnił się do czysta i w zupełności, więc już nie waham się jeszcze wynurzyć ci się z niepewności, która zrazu dość ciężko przycisnęła mi duszę. Otóż, gdy owa praca umiejętna już była dokończona, gdym tedy dla odpocznienia sobie po niej chciał nawrócić, choć na czas niejaki, do lżejszego pisania, a przedewszystkiem do tych listów, nachodziły mnie dwojakie wątpliwości, które mimowolnie z głębi ducha wypływając, trapiły mnie niemile a natrętnie.

Bo naprzód nasuwała mi się niepewność co do owej pracy poważniejszej. Jakoż sobie samemu zadawałem pytanie, czyli też ona dosięgnęła celu swojego? Czyli z niej iście zrodził się skutek tak gorąco upragniony, dla którego przecież porzuciłem miłszą, wdzięczniejszą a już rozpoczętą pracę, dla którego poświęciłem tak znaczny szereg lat a podjąłem tak ciężkie

(\*) Wykład systematyczny Filozofii, obejmujący wszystkie jej części. Tom I. Kraków 1849 r. Tom II. Wilno 1852 r. u Józefa Zawadzkiego.

pasowanie i twarde łamanie się myśli? Słowem, czyli ostateczny wypadek jej obstoi za poświęcenie a ofiary łożone? Na to pytanie trudno mi odpowiedzieć. To tylko Bóg wie! Pocieszałem się atoli tą wiarą, iż przecież każda praca, choć słabszemi siłami, ale za to w uczciwej chęci podjęta, nie jest nigdy zupełnie straconą, gdyż jest zaprawdę rzeczą niepodobną aby na nią nie spłynęło błogosławieństwo z góry; więc mniemam że i moje usiłowania nie pójdą na zupełny rozwiew i poniewierkę, bo dobra chęć stanie w nich za moc i udolność duchową. I pomyśliłem u siebie: że choćby część posianego ziarna padła na opokę, a drugą część zagłuszyły chwasty, a inną znów wyjadły kruki czarne, toć przecież choć może cząsteczka przyjmie się na ziemi urodzajnej i wyrośnie kłosem na chleb pożywny ludziom a Bogu na chwałę.

Druga zaś wątpliwość, która mi chodziła po myśli rodząc we mnie nieufność ku sobie, odnosiła się już do samego dalszego ciągu tych listów. Jakoż tyle lat już upłynęło od pojawienia się owego pierwszego ich tomu, iż bardzo się stać mogło, że czytająca publiczność zubożyła i na dawniejsze listy i na późniejszy ich szereg, zwłaszcza że od tego czasu wystąpiło na jaw niemało pisarzy o znakomitych a prawdziwie świetnych talentach! Ta niepewność tępiała mi się słuszniejszą, że sam wątpiłem czyli kreśląc te listy zdołam nastroić znów umysł do tego samego usposobienia, którego byłem wówczas, gdym pisał pierwszy ich tom; czyli przeto ten ich następny szereg nada się bez naciągania do nich i z barwy i z tonu i z ciepła duszy? Bym tego mógł dokazać, wypadłoby abym i ja sam tym samym był co przed laty. A tu przecież upły-



nęło lat dziesięć. A lat dziesięć — to przeciąg długi, bardzo długi w życiu człowieka! Przez lat dziesięć ileż to w duszy światła zgasnie, ile uczuć gorących ochłodnie pod zawieją mroźną świata, ile nowych ułud wdzięcznych zemrze w sercu, ileż ufnych nadziei, uniesień wymrze w piersiach, ileż ogłuchnie w nich tonów i zerwie się strun! a choćby nawet w życiu zewnętrznem zostało

„Wszystko, tak jak było,  
Przecież się do starości więcej pochyliło!“

Tak wyznaję ci że niemalą miałem wątpliwość o sobie samym, azali zdołam duszę cofnąć w upłynione, w młodsze epoki życia, i znów odmłodnicę ciepłem uczuć i wskrzesić, rozcieplić dawne serca pukanie!

Gdym się tak wahał a bił z tą własną, a tak niemalą myślą moją, przyszła mi na pamięć owa gadka, którą ci opowiadałem jeszcze przy końcu pierwszego tomu, owa historia o górniku a zaślubionej mu kochance jego. — Przypominam ci treść tej powieści. — Pewien górnik młody, zaślubiony kochaniu swojemu, przed samemi godami weselnemi zginął, a nikt nie przeczuwał że przepadł w otchłani kopalni głębokiej. Pół stolecia przeleżał w ciemnicach górskiego szybu. Wody metaliczne przesiąkły ciało jego i uchroniły od zepsucia. Gdy po pięćdziesięciu latach znaleziony był i wyniesiony na świat słoneczny, zdziwione tłumy otoczyły w kolo ciało młodzieńca, nikt go przecież nie poznaje; młodzi z cicha pytają zgrzybiałych starców; — ale ten górnik martwy i zimny, niegdyś towarzysz ich młodości, wygasł z ich pamięci bez śladu. W tém, patrz, — jakaś niewiasta, złamana wiekiem, okryta bielą późnej siwizny, na kulach, chwiejąc się

i drząc zbliża się, wiedziona natchnieniem niewypowiedzianego przeczucia; znagła te jej omdlałe oczy zatliły się błyskawicznym ogniem, — z najgłębszego duszy dna wystrzelił rumieniec na lica dawno zbladłe i oblał je, jakby młodości barwą. Niewiasta biedna rzuca się na młodzieńca i okrywa zimną twarz jego gorącym ucałowaniem i rzewnymi łzami bolesnej radości. To jest narzeczony jej, to jej kochanek! Ten młodzieniec był jej zaślubiony niegdyś, przed pół wiekiem. Ona przez tak długie lata przechowała dlań pamięć i miłość gorącą! Ta miłość była jej talizmanem przez tak długie ekliwe lata; ta miłość odrodziła teraz blade lice zgrzybiałej niewiasty młodości rumieńcem, zapaliła światła w źrenicy ześklonej, — ona znowu zapukała w sercu życiem pełnym, zbudziła z martwych świat cały wspomnień lubych, ułud wdzięcznych, niby dawno w duszy pogrzebionych; ona w niej rozgrzała, rozcieplila wszystkie uczucia, od tak dawnych czasów zawieją świata zmrożone. Tych cudów dokazała miłość wiernie kochaniu swojemu zaślubiona: ona w sercu nawiązała struny do dawnych pieśni, co uniosły duszę w dawne młodości lata, w dawne zachwycenia, w raj uczuć błogich.

Patrz — ta gadka i mnie wróciła ufanie w siebie i przejęła wiarą, iż miłość będzie i dla mnie talizmanem, że ona przemoże dawno upłynione lata i nastroi duszę moją do dawnych tonów, do uczuć dawnych, a to tém przecież więcej, że mojem kochaniem to nie młodzieniec martwy, umarły, przez długie lata w górskich ciemnicach pochowany; to nie człowiek pojedynczy, śmiertelny przedmiotem mojej miłości, której tę pracę moją poświęcam, — to młodzieniec ciągle od-

radzający się życiem i uczuciem; tą miłością moją jest duch wszystkich czytelników naszych. Ale, czy to kochanie znajdzie wzajemne współczucie i życzliwe przyjęcie? Ufam całym sercem; bo słuchaj co prawi dziadek u naszego enego i ukochanego Ignacego Chodźki:

„A póki skryptury i księgi wasze z taką miłością „czułą i serdeczną i z takim życzeniem dla braci „waszych pisać będziecie, z jakimi stary dziadulek „naucza katechizmu swoje małe wnuczęta i broni je „od zgorzenia, z jakimi naprzykład ja ciebie naucza- „łem, póty nie lękajcie się Zoilów.“

Lubo ja nie mogę sobie rościć prawa do tej świętej powagi, jaką ma dziad uczący wnuki swoje, i lubo treść, w tych moich książkach zamknięta, daleką jest od znaczenia, jakie mają wiekuiste prawdy wiary, toć przecież, z bożej łaski, nie brak im czulej serdecznej życzliwości i dobrej woli.

Dla tego też i ja, pełen ufania, wyprawiam tę pracę moją z krzyżykiem w świat.

*Kraków, w Jesieni 1854.*



# TREŚĆ LISTÓW.

ZAWARTYCH W TRZECIM TOMIE.

## LIST XX., str. 5.

### HISTORIA FANTAZJI U RÓŻNYCH LUDÓW.

(Ciąg dalszy.)

#### FANTAZJA LUDÓW KLASYCZNYCH.

##### Grecya.

Wstęp, 5. — Stosunek Grecyi do starego Wschodu, 9. — Stanowisko Grecyi w Historii Powszechnej, 10. — Znaczenie fantazyi klasycznej, 13. — Piękność i młodość cechą Grecyi, 14. — Wszystkie warunki sprzyjające estetycznemu rozwojowi Greków, 17. — Jak Grecy pojmują obyczaj, 21. — Idealizują nawet potrzeby cielesne, 22. — Uczucie piękności rozpowszechnione, 23. — Mitologia grecka, 25. — Różność szczepów jest u Greków korzyścią duchową, 30. — Te szczepy jednoczą się językiem, religią i spólnymi igrzyskami, 30. — Harmonia człowieka wewnętrznego i zewnętrznego zradza charaktery niby z jednego odlewu, 34. — Z téj harmonii i historia grecka jest arcydziełem, 38. — Aspazya wyrazem ducha greckiego, 40. — Sokrates, 41. — Czasy greckie i nowożytna, 44. — Grecya umiera na piękność.

## LIST XXI., str. 46.

##### Grecya.

(Dalszy ciąg.)

Pestum, 46. — Świątynie Posejdońskie a mianowicie świątynia Neptuna i charakterystyka architektury greckiej, jako ściśle klasycznej, 50. — Wyróżba o skonaniu Hellady, 65. — Mit o Prometeuszu i Herkulesie, 69. — Torso belwederski Herkulesa, 73. — Plastyczność jest cechą przeważającą w fantazyi greckiej, zatem rzeźba jest sztuką najwięcej celującą w Helladzie, 81. — Wysokie znaczenie urody cielesnej u Greków, ztąd taniec i gimnastyka tak ważnym pierwiastkiem ich żywota, 84. — Uczta ateńska i Sokrates, 90.

## LIST XXII., str. 100.

## Grecya.

*(Dalszy ciąg.)*

Poezya grecka, 100. — Jój charakterem jest plastyczność, 104. — Bliższa cecha poetów greckich, 105. — Homer i świat jego, 113. — Lira grecka, 120. — Tragedya w Helladzie jest wróżbą jój skonu, 122. — Znaczenie Tragiczność w świecie greckim i nowożytnym, 127. — Eschilus, 129. — Sofokles, 129. — Euripides oznaką blizkiego skonu, 134. — Arystofanes, 136. — Sokrates i Arystofanes, 137. — Grecya umiera na filozofią Sokratesa, 139. — Epikureizm, Stoicyzm i Sceptycyzm u Greków, 143. — Sokrates i Antygona Sofoklesa, 144. — Filip i Alexander Macedoński.

## LIST XXIII., str. 153.

## R z y m.

Wstęp, 153. — Forum Romanum, 164. — Zadanie Rzymu w Historii, 165. — Idea panująca w Rzymie, 169. — Ztąd usposobienie jego duchowe, 170. — Porównanie Greków i Rzymian a ludów Chrześcijańskich, 171. — Duch historii rzymskiej (użyteczność), 173. — Rodzina rzymska, 176. — Wielkość rzymska. 178. — Bogowie rzymscy i greccy, 180. — Bogi rzymskie są sprawą rozsądku ale nie fantazyi, 181. — Rozsądek nie wystarczy głębokim prawdom religijnym ani filozoficznym, 184. — Zemsta bogów, 187. — Z tego usposobienia ducha wypływa też piętno ich fantazyi, 188. — Architektura rzymska i techniczność, 190. — Rzeźba, 191. — Kilka słów o poezyi rzymskiej, 201.

## LIST XXIV., str. 204.

## R z y m.

*(Dalszy ciąg.)*

Poezya i język rzymski, 205. — Wiek Augusta, 207. — Piętno téj poezyi, odpowiednie usposobieniu tego ludu, 208. — Allegoryczność, 210. — Horatius i Wirgilius, 211. — Przewaga poezyi dydaktycznej, 216. — Owidius, 216. — Tybullus, 218. — Dramaturgia. 219. — Satyra, właściwa poezya rzymska, 221. — Skon Rzymu.

## LIST XXV., str. 225.

## Ż Y D Z I.

Przegląd ludów mieszkających nad morzem Środiemném, 225. — Palestyna, 231. — Powołanie ludu Hebrajskiego, 232. — Architektura, 233. — Przybytek, 234. — Kościół Salomona i dzieje jego, 236. — Brama tryumfalna Tytusa w Rzymie, 244. — Język hebrajski, 245. — Pieśni święte, 247. — Dzieje Hiobowe, 252. — Pieśń Mojżesza dziękczynienia, 261. — Późniejsze czasy, 262. — Muzyka hebrajska, 262. — Psalmy, 263. — Kaplica Syxtyńska w Rzymie. 265.

## LIST XXVI., str. 267.

## FANTAZYA U LUDÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH.

## Średnie Wieki.

Wstęp, 267. — W. ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie wykonany przez Wita Stwosza, 272. — Widok wewnętrzny kościoła, 272. — Święte postaci na w ołtarzu, 274. — Wrażenie których doświadcza widz, 275. — Charakterystyka tego dzieła, 277. — Porównanie tej sztuki z grecką rzeźbą, 278. — Bliższe opisanie Stwoszowego dzieła, 280. — Wpływ malarstwa i architektury w tém dziele, 282. — Dramatyczność. 285. — Wpływ wiary Zbawienia na mistrzów Chrześcijańskich, 285. — Nowy kształt świata, 287. — Sztuka zmienia znaczenie swoje. Romantyczna fantazyja, 289. — Porównanie powołania sztuki w Grecyi a u ludów Chrześcijańskich, 292. — Cofanie się ducha w siebie a sztuka ludów Chrześcijańskich, 292. — Zastosowanie tej prawdy do dzieła Stwosza. 293. — Miłość niebiańska i Legenda, 298. — Prawda wiekuista w sercu zamieszkuje, 314. — Skrucza. 317. — Dokończenie o dziele Stwosza, 318. — Niewiasta. rodzina i obyczaj domowy w świecie Chrześcijańskim, 318. — Rzeźba, dal tych samych powodów dla których jest sztuką odpowiednią światu klasycznemu, staje się sztuką mniej właściwą dla ludów chrześcijańskich, 321. — A natomiast pojawiają się inne sztuki odpowiednie duchowi czasów Chrześcijańskich, 321. — Fantazyja romantyczna,

## LIST XXVII., str. 327.

## Średnie Wieki.

*(Ciąg dalszy.)*

Wstęp, 327. — Władysław Biały książę Gniewkowski jako typ rycerza średniowiekowego, 333. — Powód figur podobnych w wiekach średnich, 339. — Bliższe ich oznaczenie, 339. — Wojny krzyżowe, 345. — Fantastyczność; poezya romantyczna, 346. — Cechą tych wieków honor, 348. — Miłość; miłość jako ustawa wszechrzeczy, 353. — Miłość ziemską jest przejściem do miłości niebiańskiej, 357. — Dante, Petrarca, Heloiza, Barbara Radziwiłłówna, Walkierz i Helgunda, 358. — Ziemskie pierwiastki życia romantycznego, 362. — Zapatrywanie się w średnich wiekach na rzeczywistość i na naturę, 365. — Witello i Roger Bako, 366. — Dwie wręcz sobie odwrótne Filozofie w średnich wiekach a pochodzące z tego samego źródła, 368. — Zwolna zapoznaje się człowiek z naturą, 369. — Katakomby, 370. — Symboliczność, 372. — Cimabue i Giotto, 374. — Indywidualność inaczej występuje w dziełach sztuki włoskiej a inaczej na północy, 375. — Angelico da Fiesole, 377. — Poezja romantyczna, 379. — Fantastyczny świat, 381.

## LIST XXVIII., str. 385.

## Średnie Wieki.

*(Ciąg dalszy.)*

Bliższe określenie średniowiekowej fantastyczności, 385. — Ścisłejsze oznaczenie istoty fantazyi romantycznej, 388. — Brak uczucia plastycznego we fantazyi romantycznej, 395. — Za to występuje liryczność potężna i muzyka, 399. — S. Ambroży w Medyolanie. Powody, dla których średnie wieki nie zdołały rozwinąć tych zarodków muzyki kościelnej, 409. — Muzyka światowa, 409. — Architektura Gotycka i niektóre przykłady z kościołów krakowskich, 411. — Porównanie jej z Islamskim budowaniem, 418. — Architektura ta jest wprost wpływem cech fantazyi romantycznej, powyżej wykazanych, 420.

## LIST XXIX., str. 437.

## Stólecie XVI.

Wstęp, 437. — Wysłancy nowój historyi, 442. — Kolumb, Kopernik, Kepller, 440. — Franciszek Bako, Böhme, Des-Cartes i Malebranche, 448. — Machiavelli, 454. — Paracelsus, 455. — Wynalazki, 456. — Feudalizm ustępuje powadze monarchicznej, 457. — Charakter i istota fantazyi artystycznej w XVI. stóleciu, 458. — Fantastyczność średniowiekowa o ile może się nadać fantazyi w téj nowój epoce. 461. — Zestrój ducha i natury, będący istotą téj nowój poezyi, nie jest atoli nawrotem do klassycznosci zupełnej, 465. — Studya klassyczne, — Różnica téj fantazyi od fantazyi klassycznej, 467. — Inne znamiona téj nowój fantazyi. 473. — Fantazyja późniejszych czasów nie odpowiada nadziejom, które zrodził świetny wiek XVI., 476. — Powody tego zdania i przykłady, 478.

## LIST XXX., str. 487.

## Stólecie XVI.

(Ciąg dalszy.)

Architektura XVI. wieku, 489. — Bramante, 490. — Palladio, 491. — Michał-Anioł, jako architekt i jako rzeźbiarz. 493. — Leonardo da Vinci, Rafael, Szkoła Wenecka, 495. — Muzyka i Palestryna. 499. — Tasso, Ariosto i Komoens, 503. — Cervantes, 515. — Jan Kochanowski, 521. — Shakespeare, 531. DOPISEK. Wyprawienie tych listów, 546.



## **Sprostowania**

w Tomie III.

<i>Str.</i>	<i>Wiersz.</i>	<i>Zamiast:</i>	<i>Czytaj:</i>
137	28	krzywdziął	krzywdził
143	26	ratunaku	ratunku
147	26	spólnię	spólnie
208	12	światnic	świętnic
233	1	człowiec	człowiek
241	26	złot!	złotą
265	31	jako	jako
306	1	młodzienka	młodzieńca
306	3	zostaci	postaci
317	8	istnieje	istnieje
462	18	wysyleniem	wysileniem
515	11	w wróżbitą	wróżbitą.

---

Drukiem G. Paetza w Naumburgu.

## SPIS RZECZY

W TOMIE PIERWSZYM ZAWARTYCH.

	<i>Strona.</i>
August Wilkoński . . . . .	V
Przedmowa. . . . .	3
Głos pierwszy do czytelników . . . . .	7
Głos drugi do czytelników . . . . .	10
Do panów krytyków . . . . .	13
Do najszanowniejszych prenumeratorów . . . . .	16
Wspomnienie szkolne (z 2-a drzeworytami) . . . . .	21
Spostrzeżenia nad moralnemi chorobami XIX stulecia. O ko- łowaciznie literackiej . . . . .	35
Małeńki odłamek z historyi mojego nosa (z drzeworytem) . . . . .	57
Napoleon i żydki swarzędzkie (z drzeworytem). . . . .	65
A B C dla pełnoletnich dzieci (z 12-a drzeworytami). . . . .	73
Zemsta mlecznego brata, szkic (z drzeworytem) . . . . .	209
„Za pozwoleniem, ja państwu opowiem bardzo ciekawą histo- ryą“ (z drzeworytem). . . . .	235
Moja mówka pogrzebowa (z drzeworytem) . . . . .	251
w wychowaniu. . . . .	267









Biblioteka im. Hieronima  
Łopacińskiego w Lublinie



32.3962

T. 1-3

1000904575

